Oszałamiający rozmachem chiński bestseller,
który stał się wydawniczym fenomenem w USA
CIXIN LIU
KONIEC
ŚMIERCI
KSIĄŻKA
LAUREATA
NAGRODY
HUGO
REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

KONIEC ŚMIERCI

Cixin Liu

PRZEŁOŻYŁ
Andrzej Jankowski

REBIS
Dom Wydawniczy REBIS

Nota od autora przekładu angielskiego

Pojawiające się w tekście chińskie i koreańskie nazwiska zapisane są zgodnie z panującym w tych kulturach zwyczajem, czyli nazwisko podaje się na pierwszym, a imię na drugim miejscu. Na przykład w „Yun Tianming” YUN jest nazwiskiem, a TIANMING imieniem.

Postaci z *Problemu trzech ciał* i *Ciemnego lasu*

Ye Wenjie – fizyczka, której rodzina była prześladowana podczas rewolucji kulturalnej. Nawiązała kontakt z Trisolarianami, przez co doprowadziła do kryzysu trisolariańskiego.

Yang Dong – fizyczka, córka Ye Wenjie.

Ding Yi – fizyk teoretyk, pierwszy człowiek, który zetknął się z trisolariańskimi kroplami, chłopak Yang Dong.

Zhang Beihai – oficer Floty Azjatyckiej, który uprowadził *Dobór Naturalny* podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego, co pozwoliło ludziom zachować iskierkę nadziei w najczarniejszej godzinie. Prawdopodobnie jeden z pierwszych oficerów, który zrozumiał naturę ciemnych bitw.

Say –sekretarz generalna ONZ w czasie kryzysu trisolariańskiego.

Manuel Rey Diaz –Wpatrujący się w Ścianę. Zaproponował plan rozmieszczenia w Układzie Słonecznym ogromnych bomb termojądrowych dla obrony przed Trisolarianami.

Luo Ji –Wpatrujący się w Ścianę, odkrywca teorii ciemnego lasu, twórca odstraszania groźbą powiadomienia ciemnego lasu.

SPIS ER

era powszechna	teraźniejszość–201X
era kryzysu	201X–2208
era odstraszania	2208–2270
era postodstraszania	2270–2272
era nadawania	2272–2332
era schronu	2332–2400
era galaktyczna	2273–do nieznanego roku
era czarnej domeny w układzie DX3906	2687–18906416
oś czasowa Wszechświata 647	18906416–…

Fragment Wstępu do *Przeszłości poza czasem*

Sądzę, że należy to nazwać „historią”, ale ponieważ mogę się opierać tylko na własnej pamięci, brakuje temu niezbędnej dla prac historycznych dokładności i ścisłości.

Nie można tego nawet nazwać „przeszłością”, ponieważ przedstawione przeze mnie wydarzenia nie miały miejsca w przeszłości, nie rozgrywają się teraz i nie nastąpią w przyszłości.

Nie chcę zapisywać szczegółów, a jedynie stworzyć pewne ramy historii lub opisu przeszłości. Tych szczegółów zachowało się naprawdę mnóstwo. Miejmy nadzieję, że – zamknięte w dryfujących butelkach – dotrą do nowego wszechświata i tam przetrwają.

Tak więc przedstawiam tylko zarys; pewnego dnia będzie można go wypełnić tymi wszystkimi szczegółami. Oczywiście nie nam przypadnie to zadanie. Liczę tylko na to, że nadejdzie kiedyś dzień, kiedy ktoś będzie mógł to zrobić.

Żałuję, że ten dzień nie zdarzył się w przeszłości, nie istnieje w teraźniejszości i nie nadejdzie w przyszłości.

Przesuwam słońce na zachód i gdy zmienia się kąt padania jego światła, krople rosy na siewkach na polu lśnią jak niezliczone otwierające się nagle oczy. Przygaszam słońce, by zmierzch nastał wcześniej, a potem patrzę na swoją sylwetkę na tle słońca chowającego się za odległy horyzont.

Macham do tej sylwetki, a ona macha do mnie. Kiedy patrzę na swój cień, wracam do młodości.

To wspaniała pora, odpowiednia na rozpamiętywanie.

CZĘŚĆ I

Maj 1453 roku ery powszechnej

Śmierć czarodziejki

Przerwawszy, by się opanować, Konstantyn XI odsunął leżący przed nim stos map z zaznaczonymi pozycjami obronnymi, owinął się ciaśniej purpurową szatą i czekał.

Miał dobre wyczucie czasu – wstrząs nastąpił akurat w chwili, gdy się go spodziewał, potężne drżenie, które zdawało się dochodzić z głębi ziemi. Zadzwoniły srebrne świeczniki, a kłąb dymu, który może z tysiąc lat gromadził się pod sufitem Wielkiego Pałacu, spadł w płomienie świec i wybuchł snopem iskier.

Co trzy godziny – bo tyle czasu zajmowało osmańskim kanonierom ponowne naładowanie jednej z ogromnych bombard zaprojektowanych przez inżyniera Urbana – w mury Konstantynopola waliły pięćsetczterdziestokilogramowe kamienne kule. Były to najsilniejsze mury na świecie – wzniesione w V wieku przez Teodozjusza II, stale wzmacniane i rozbudowywane. Głównie dzięki nim bizantyński dwór przetrzymał ataki wielu potężnych wrogów.

Jednak teraz uderzenia ogromnych kamiennych kul żłobiły w nich dziury niczym ugryzienia niewidzialnego giganta. Cesarz wyobrażał sobie te sceny – gdy kurz z wyłomów kłębił się w powietrzu, niezliczone zastępy żołnierzy i obywateli wbiegały w jego tumanach w świeżą ranę jak dzielne mrówki i wypełniały ją wszystkim, co było pod ręką: gruzem z roztrzaskanych budynków, lnianymi workami z ziemią, drogimi arabskimi

dywanami… Wyobrażał sobie nawet chmurę pyłu przesyconą światłem zachodzącego słońca, opadającą powoli na Konstantynopol jak złocisty całun.

Podczas pięciu tygodni oblężenia wstrząsy te nadchodziły siedem razy dziennie, regularnie jak uderzenia jakiegoś ogromnego zegara. Był to czas i rytm innego świata – świata pogan. W porównaniu z nimi uderzenia zwieńczonego dwugłowym orłem miedzianego zegara w rogu sali, który odmierzał czas chrześcijaństwa, wydawały się bardzo słabe.

Wstrząsy ustały. Po chwili cesarz Konstantyn skierował z wysiłkiem uwagę na to, co dzieje się w sali. Dał strażnikowi gestem znak, że gotów jest przyjąć gościa.

Wszedł Phrantzes, jeden z jego najbardziej zaufanych dyplomatów, a za nim szczupła, drobna postać.

– Oto Helena. – Phrantzes usunął się na bok, ukazując kobietę, którą przyprowadził.

Cesarz spojrzał na nią. Konstantynopolitańskie damy nosiły bogato haftowane szaty, przystrojone przeróżnymi ozdobami, natomiast kobiety z gminu proste, białe, luźne suknie do kostek. Ta wydawała się połączeniem obu. Zamiast wyszywanej złotem tuniki miała białą suknię plebejuszki, ale na nią narzucony był luksusowy płaszcz, tyle że nie purpurowy ani czerwony, które to kolory zarezerwowane były dla patrycjatu, lecz żółty. Jej urocza i zmysłowa twarz przywodziła na myśl kwiat, który raczej zbutwieje otoczony podziwem niż uschnie w samotności.

Prostytutka, której pewnie dobrze się powodziło.

Drżała. Miała spuszczone oczy, ale cesarz zauważył, że lśniły gorączkowym blaskiem, zdradzając podniecenie i żarliwość, rzadko spotykane u osób z jej klasy.

– Twierdzisz, że masz magiczną moc? – zapytał cesarz.

Chciał jak najszybciej zakończyć tę audiencję. Phrantzes był zwykle skrupulatny. Tylko małą część z ośmiu tysięcy obrońców Konstantynopola stanowiły regularne siły cesarstwa, około dwóch tysięcy było genueńskimi najemnikami. Resztę werbował Phrantzes po trochu spośród mieszkańców miasta. Chociaż jego najnowszy pomysł nie interesował specjalnie cesarza, pozycja zdolnego dostojnika wymagała, by dać mu przynajmniej szansę.

– Tak, mogę zabić sułtana. – Cichy głos Heleny drżał jak nitki jedwabiu na wietrze.

Przed pięcioma dniami Helena stanęła przed bramą pałacu i zażądała widzenia z cesarzem. Gdy strażnicy próbowali ją odepchnąć, pokazała im małe zawiniątko, którego zawartość ich oszołomiła. Nie byli pewni, co to jest, ale wiedzieli, że nie powinna tego posiadać. Zamiast zaprowadzić kobietę przed oblicze cesarza, zatrzymano ją i wypytano o to, skąd wzięła rzecz, którą przyniosła. Jej zeznania zostały potwierdzone i wtedy zaprowadzono ją do Phrantzesa.

Ten wziął od niej teraz tobołek, rozwinął lnianą tkaninę i położył zawartość na biurku cesarza.

Cesarz miał tak samo osłupiały wzrok jak przed pięcioma dniami żołnierze, ale w odróżnieniu od nich wiedział, na co patrzy.

Ponad dziewięćset lat wcześniej, za panowania Justyniana Wielkiego, mistrzowie złotnictwa odlali z czystego kruszcu dwa olśniewająco piękne, wysadzane drogimi kamieniami kielichy. Różniły się jedynie kształtem i ułożeniem tych klejnotów. Jeden z nich przechodził w ręce następujących po sobie władców, drugi podczas przebudowy Hagii Sophii w 537 roku zamknięto wraz z innym skarbami w sekretnej komorze w fundamentach tego wspaniałego kościoła.

Kielich przechowywany w pałacu z czasem zmatowiał i stracił blask, natomiast ten, który cesarz widział teraz przed sobą, błyszczał, jakby

wykonano go wczoraj.

Początkowo nikt nie dawał wiary wyznaniu Heleny – wszyscy myśleli, że prawdopodobnie ukradła go jednemu ze swych bogatych patronów. Chociaż o istnieniu ukrytej komory pod kościołem wiedziało wiele osób, tylko nieliczni znali jej dokładne położenie. Poza tym znajdowała się wśród ogromnych głazów, z których zrobiono fundamenty, i nie prowadziły do niej żadne drzwi ani tunel. Wejście tam byłoby nie lada inżynieryjnym przedsięwzięciem.

Jednak cztery dni temu cesarz rozkazał wydobyć cenne przedmioty na wypadek, gdyby Konstantynopol padł. Był to desperacki krok, ponieważ bardzo dobrze wiedział, że Turcy odcięli wszystkie drogi ucieczki z miasta i nie miałby gdzie się schronić ze swymi skarbami.

Trzydziestu robotników pracowało bez przerwy przez trzy dni, by dostać się do ukrytej komory, której ściany zbudowano z równie potężnych bloków skalnych jak piramidę Cheopsa. Pośrodku komory znajdował się masywny kamienny sarkofag opasany dwunastoma krzyżującymi się żelaznymi obręczami. Ich przepiłowanie zajęło pięciu robotnikom większość czwartego dnia. W końcu pod okiem wielu strażników zdjęli pokrywę sarkofagu.

Wszystkich obecnych przy tym zdumiały nie skarby i święte przedmioty ukryte przez prawie tysiąc lat, lecz leżąca na nich kiść świeżych winogron.

Helena utrzymywała, że zostawiła je tam przed pięcioma dniami, a połowę wcześniej zjadła. I tak jak oświadczyła, na gałązce zostało tylko siedem owoców.

Robotnicy porównali zawartość sarkofagu z listą umieszczoną na wewnętrznej stronie jego wieka. Zgadzało się wszystko oprócz kielicha. Gdyby nie znaleziono go wcześniej przy Helenie i gdyby nie jej świadectwo, wszystkich obecnych przy otwarciu skazano by na śmierć, nie

zwracając uwagi na ich zaklinanie się, że zarówno komora, jak i sarkofag wydawały się nietknięte.

– Jak to wyjęłaś? – zapytał cesarz.

Helena zaczęła jeszcze bardziej drżeć. Najwyraźniej magiczna moc nie dawała jej poczucia bezpieczeństwa. Popatrzyła na cesarza przerażonym wzrokiem i wydusiła z siebie odpowiedź.

– Te miejsca… Widzę je… Widzę je… – rozpaczliwie starała się znaleźć odpowiednie słowo – …otwarte…

– Możesz mi to zademonstrować? Wyjmij coś z zamkniętego pojemnika.

Helena potrząsnęła głową. Strach odebrał jej mowę. Spojrzała na Phrantzesa, szukając u niego pomocy.

– Twierdzi, że może uprawiać magię tylko w pewnym konkretnym miejscu – rzekł tamten. – Ale nie ujawniła, co to za miejsce, i nikomu nie wolno tam za nią iść, bo w przeciwnym razie straci na zawsze magiczną moc.

Helena energicznie pokiwała głową.

– W Europie zostałabyś spalona na stosie – powiedział cesarz.

Helena osunęła się na podłogę i obronnym ruchem zacisnęła ręce na piersi.

– Wiesz, jak zabić? – naciskał cesarz.

Ale Helena tylko się trzęsła. Po wielokrotnych ponagleniach Phrantzesa skinęła w końcu głową.

– Dobrze – rzekł cesarz do Phrantzesa. – Wypróbuj ją.

Phrantzes poprowadził Helenę długimi schodami w dół. Pochodnie w obejmach rzucały kręgi mdłego światła. Pod każdą stało dwóch

żołnierzy, w których zbrojach odbijał się ich blask i tworzył na ścianach żywe, migoczące wzory.

W końcu znaleźli się w ciemnym lochu. Helena owinęła się ciaśniej płaszczem. W tych podziemiach trzymano lód do użytku latem.

Teraz jednak nie było tam lodu. Pod pochodnią w rogu siedział w kucki więzień, zapewne anatolijski oficer, jak można było sądzić. Łypnął przez kraty na Phrantzesa i Helenę dzikim, wilczym wzrokiem.

– Widzisz go? – zapytał Phrantzes.

Helena skinęła głową.

Phrantzes wręczył jej sakwę z owczej skóry.

– Możesz teraz odejść. Wróć przed świtem z jego głową.

Helena wyjęła z sakwy szablę, lśniącą w świetle pochodni jak sierp księżyca. Oddała ją Phrantzesowi.

– Nie potrzebuję tego.

Potem weszła bezszelestnie na schody. Gdy przechodziła przez kręgi światła, zdawała się zmieniać kształt – raz wyglądała jak kot, raz jak kobieta. W końcu zniknęła.

Phrantzes obrócił się do jednego z oficerów.

– Wzmocnijcie straż. – Wskazał więźnia. – Miejcie go stale na oku.

Gdy oficer odszedł, Phrantzes kiwnął ręką i z ciemności wyłonił się mężczyzna w czarnej szacie mnicha.

– Nie podchodź zbyt blisko – powiedział Phrantzes. – Nie szkodzi, jeśli ją zgubisz, ale w żadnym razie nie pozwól jej się zorientować, że ją śledzisz.

Mnich skinął głową i równie cicho jak Helena wspiął się na schody.

Konstantyn nie spał tej nocy ani trochę lepiej niż od początku oblężenia. Gdy tylko zaczynał zapadać w sen, budził go wstrząs wywołany uderzeniem pocisku wystrzelonego z ciężkiej bombardy. Przed świtem poszedł do gabinetu, gdzie czekał już na niego Phrantzes.

Zupełnie zapomniał o czarownicy. W odróżnieniu od swego ojca, Manuela II, i starszego brata, Jana VIII, Konstantyn był człowiekiem trzeźwo myślącym i zdawał sobie sprawę, że tych, którzy pokładają całą wiarę w cudach, czeka przedwczesna śmierć.

Phrantzes skinął w stronę drzwi i do gabinetu wsunęła się bezszelestnie Helena. Wyglądała na tak samo przestraszoną jak poprzednim razem i gdy podniosła sakwę, trzęsły się jej ręce.

Zaledwie Konstantyn zobaczył sakwę, pojął, że traci tylko czas. Torba była płaska, nie ciekła z niej krew. Widać było wyraźnie, że nie ma w niej głowy więźnia.

Ale wyraz twarzy Phrantzesa nie świadczył o rozczarowaniu. Malowała się na niej raczej dezorientacja, jakby chodził we śnie.

– Nie przyniosła tego, co chcieliśmy, prawda? – zapytał Konstantyn.

Phrantzes wziął od Heleny sakwę, położył na biurku cesarza i otworzył. Popatrzył na cesarza jak na ducha.

– Prawie przyniosła.

Cesarz zajrzał do sakwy. Na dnie leżało coś szarawego i miękkiego jak stary barani łój. Phrantzes przysunął bliżej kandelabr.

– To mózg tego Anatolijczyka – powiedział.

– Rozłupała mu czaszkę?

Konstantyn zerknął na Helenę. Drżała pod płaszczem jak przestraszona mysz.

– Nie, ciało więźnia wyglądało na nietknięte. Wyznaczyłem do obserwowania go dwudziestu ludzi, po pięciu na jednej zmianie, i każdy

patrzył pod innym kątem. Strażnicy przed drzwiami zostali postawieni w stan wzmożonej czujności, nie prześliznąłby się między nimi nawet komar.

Phrantzes przerwał, jakby to wspomnienie go poraziło.

Cesarz dał mu głową znak, by kontynuował.

– Dwie godziny po jej wyjściu więzień dostał nagle konwulsji i padł martwy. Wśród obserwatorów byli doświadczony grecki lekarz i weterani wielu bitw. Żaden z nich nigdy nie widział, by ktoś umarł w taki sposób. Godzinę później wróciła i pokazała im tę sakwę. Potem ten grecki medyk otworzył czaszkę trupa. Była pusta.

Konstantyn przyjrzał się mózgowi w sakwie – był cały, bez żadnych śladów uszkodzeń. Delikatny narząd musiał zostać usunięty bardzo starannie. Cesarz skupił wzrok na szczupłych palcach Heleny trzymających brzegi płaszcza. Wyobraził sobie, jak obejmują schowany w trawie grzyb, zdejmują świeży kapelusz z trzonka…

Przesunął spojrzeniem w górę po ścianie, jakby obserwował coś wznoszącego się nad horyzont za pałacem. Murami wstrząsnęła kolejna kula wystrzelona z ogromnej kolubryny, ale po raz pierwszy nie poczuł drgań.

„Jeśli naprawdę zdarzają się cuda, to pora na to, by się objawiły” – pomyślał.

Konstantynopol był w strasznych opałach, ale tliła się jeszcze iskierka nadziei. Po pięciu dniach krwawych walk wróg też poniósł poważne straty. W niektórych miejscach stosy trupów Turków sięgały szczytów murów, a atakujący byli tak samo wyczerpani jak oblężeni. Przed kilkoma dniami śmiała flota genueńska przedarła się przez blokadę na Bosforze i weszła w Złoty Róg, przywożąc cenne dostawy i pomoc. Wszyscy wierzyli, że jest strażą przednią posiłków reszty krajów chrześcijańskich.

Morale w obozie tureckim było niskie. Większość dowódców w głębi duszy chciała przyjąć zaproponowane przez dwór bizantyński warunki rozejmu i się wycofać. Nie odstąpiono jeszcze od oblężenia tylko z powodu uporu jednego człowieka.

Władał on biegle łaciną, znał się na nauce i sztuce, umiał prowadzić wojny. Nie zawahał się utopić własnego brata w wannie, by nie zawadzał mu w drodze do tronu, przed swoim wojskiem uciął głowę pięknej niewolnicy, by dowieść, że nie da się skusić kobiecie… Sułtan Mehmed II był osią, na której kręciły się koła osmańskiej machiny wojennej. Gdyby go zabrakło, cała ta machina by się rozpadła.

„Może naprawdę zdarzył się cud” – pomyślał cesarz.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – zapytał, nadal wpatrując się w ścianę.

– Chcę zostać zapamiętana – odparła Helena. Czekała na to pytanie.

Konstantyn skinął głową. Tej kobiety nie pociągały pieniądze ani skarby, żadne mury ani zamki nie mogły powstrzymać jej przed wzięciem tego, czego pragnęła. Prostytutka pragnęła jedynie, by darzono ją czcią.

– Jesteś potomkinią krzyżowców?

– Tak. – Po chwili dodała: – Nie tych z czwartej krucjaty.

Cesarz położył dłoń na jej głowie. Uklękła.

– Idź, dziecko. Jeśli zabijesz Mehmeda II, będziesz zbawczynią Konstantynopola i na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci jako święta. Święta ze świętego miasta.

O zmroku Phrantzes wyprowadził Helenę na mury koło bramy św. Romana.

Piasek przy murach był czarny od krwi umierających ludzi, ciała poległych leżały wokół jak grad, który spadł z nieba. Nieco dalej unosił się biały dym z wielkich dział, niestosownie lekki i zwiewny. Przed nimi

rozpościerał się jak okiem sięgnąć obóz sił osmańskich, z którego wznosiły się gęste jak las proporce, powiewające w wilgotnej morskiej bryzie pod ołowianoszarym niebem.

Z innej strony osmańskie okręty pokrywały Bosfor jak czarne żelazne gwoździe przytrzymujące niebieską powierzchnię morza.

Helena zamknęła oczy. „To moje pole bitwy – pomyślała. – Moja wojna".

Przypomniała sobie legendy z dzieciństwa, snute przez ojca opowieści o przodkach. W Europie po drugiej stronie cieśniny znajdowała się prowansalska wioska. Pewnego dnia na wioskę opadła chmura i wyłoniła się z niej armia dzieci ze lśniącymi czerwonym krzyżami na zbrojach, prowadzona przez anioła. Jej przodek, człowiek z wioski, odpowiedział na ich wezwanie i pożeglował przez Morze Śródziemne, by walczyć w Ziemi Świętej w imię Boga. Zaczynał jako szeregowy żołnierz, ale został templariuszem. Później przyjechał do Konstantynopola, gdzie poznał piękną kobietę, świętą wojowniczkę. Zakochali się i dali początek ich świetnej rodzinie…

Kiedy była starsza, odkryła, jak było naprawdę. Główny wątek tej opowieści był prawdziwy. Ów przodek rzeczywiście był członkiem krucjaty dziecięcej. Po spustoszeniu wiosek przez zarazę przyłączył się do wyprawy w nadziei napełnienia brzucha. Gdy zszedł ze statku, znalazł się w Egipcie, a tam z ponad dziesięcioma tysiącami innych dzieci sprzedano go w niewolę. Po wielu latach uciekł i przedostał się do Konstantynopola, gdzie faktycznie poznał wojowniczkę. Jednak jej los był niewiele lepszy od jego losu. Cesarstwo bizantyńskie miało nadzieję, że z całej Europy ściągną doborowi żołnierze i zaczną walczyć z niewiernymi, ale zamiast nich przybyła armia kruchych, ubogich jak żebraczki kobiet. Dwór bizantyński

odmówił wsparcia tych „świętych wojowniczek”, więc zostały prostytutkami.

Przez ponad sto lat „świetna” rodzina Heleny ledwie wiązała koniec z końcem. Za czasów jej ojca wpadli w jeszcze większą biedę. Głodna Helena wybrała profesję swej znakomitej przodkini, ale gdy ojciec się o tym dowiedział, stłukł ją na kwaśne jabłko i powiedział, że gdy jeszcze raz ją na tym przyłapie, zabije ją… jeśli nie zacznie przyprowadzać klientów do domu, by mógł negocjować lepszą zapłatę i zatrzymywać pieniądze „dla niej”.

Uciekła z domu, po czym zaczęła żyć i pracować na własny rachunek. Była w Jerozolimie i Trapezuncie, a nawet w Wenecji. Nie chodziła już głodna i nosiła piękne stroje, ale wiedziała, że nie różni się od źdźbła trawy rosnącego w przydrożnym błocie i wdeptywanego w nie przez podróżnych.

I wtedy Bóg zesłał jej cud.

Nie wzorowała się na Joannie d’Arc, innej kobiecie natchnionej przez Boga. Co Dziewica Orleańska otrzymała od Boga? Tylko miecz. Natomiast Helenie Bóg dał coś, dzięki czemu stanie się ona najświętszą kobietą po Maryi…

– Spójrz, to jest obóz Fatiha, Zdobywcy. – Phrantzes wskazał teren za murami.

Helena kiwnęła głową.

Phrantzes wręczył jej drugą sakwę z owczej skóry.

– W środku są trzy jego portrety, namalowane z różnych punktów widzenia i przedstawiające go w różnych strojach. Dałem ci też nóż – będzie ci potrzebny. Musimy dostać całą głowę, nie tylko mózg. Najlepiej zaczekaj do nocy. W dzień nie będzie go w namiocie.

Helena wzięła sakwę.

– Pamiętaj o moim ostrzeżeniu.

– Oczywiście.

„Nie idź za mną – pomyślała. – Nie wchodź tam, gdzie ja muszę wejść. W przeciwnym razie magia na zawsze przestanie działać”.

Szpieg, który poszedł za nią poprzednim razem w przebraniu mnicha, powiedział Phrantzesowi, że bardzo uważała, wielokrotnie kluczyła, zawracała i na koniec dotarła do dzielnicy Blacherny, gdzie ostrzał tureckich armat był najcięższy.

Szpieg widział, jak Helena wchodzi w ruiny minaretu, który kiedyś był częścią meczetu. Gdy Konstantyn wydał rozkaz zburzenia meczetów w mieście, ostała się tylko ta wieża, bo podczas ostatniej zarazy wbiegło do niej kilka chorych osób i umarło tam, więc nikt nie chciał się do niej zbliżyć. Na początku oblężenia zbłąkana kula armatnia zmiotła jej górną połowę.

Stosując się do napomnienia Phrantzesa, szpieg nie wszedł do minaretu, ale wypytał dwóch żołnierzy, którzy byli w nim, zanim trafiła go zbłąkana kula. Powiedzieli mu, że zamierzali ustanowić na jego szczycie punkt obserwacyjny, ale zarzucili ten pomysł, gdy się zorientowali, że wieża nie jest odpowiednio wysoka. Powiedzieli też, że wewnątrz minaretu nie ma nic oprócz kilku ciał, które rozłożyły się tak, że zostały z nich praktycznie szkielety.

Tym razem Phrantzes nie posłał za Heleną żadnego szpiega. Patrzył, jak toruje sobie drogę wśród żołnierzy tłoczących się na szczytach murów. Jej jasny płaszcz wyróżniał się na tle ich pokrytych kurzem i krwią zbroi. Ale wyczerpani wojacy nie zwracali na nią uwagi. Zeszła z murów i nie sprawdzając, czy ktoś za nią idzie, skierowała się do dzielnicy Blacherny.

Zapadła noc.

Konstantyn gapił się na wysychającą plamę wody na posadzce, metaforę jego topniejącej nadziei.

Plamę zostawiło parunastu szpiegów. W ubiegły poniedziałek, przebrani w turbany i stroje sił osmańskich, prześlizgnęli się przez blokadę małą łodzią żaglową, by powitać flotę europejską, która rzekomo płynęła im z odsieczą. Ale zobaczyli tylko puste Morze Egejskie, bez śladu statków. Wykonali zadanie i rozczarowani znowu przemknęli się przez blokadę, wiozący cesarzowi straszną wiadomość.

Konstantyn wreszcie zrozumiał, że pomoc obiecana przez Europę jest tylko marzeniem. Chrześcijańscy królowie z zimnym wyrachowaniem postanowili porzucić na pastwę niewiernych Konstantynopol, święte miasto, które przez tak wiele stuleci opierało się zalewowi muzułmanów.

Do jego uszu dotarły niespokojne krzyki z zewnątrz. Wszedł strażnik i doniósł o zaćmieniu księżyca, co było złą wróżbą. Według starej przepowiedni Konstantynopol nie upadnie, dopóki będzie świecił księżyc.

Konstantyn obserwował przez wąską szczelinę okienną znikający w cieniu księżyc, który wyglądał, jakby wchodził do grobu na niebie. Wiedział, chociaż nie miał pojęcia dlaczego, że Helena nie wróci, a on nigdy nie zobaczy głowy wroga.

Minął dzień, później noc. O Helenie nie było żadnych wieści.

Phrantzes zatrzymał swych ludzi przed minaretem w dzielnicy Blacherny. Zsiedli z koni. Wszyscy osłupieli. W zimnym białym świetle wzeszłego przed chwilą księżyca minaret wydawał się nieuszkodzony. Jego ostry wierzchołek sterczał w rozgwieżdżone niebo.

Szpieg przysiągł, że gdy był tu ostatnim razem, minaret nie miał wierzchołka. Jego słowa potwierdziło wielu znających tę dzielnicę oficerów

i żołnierzy.

Ale Phrantzes popatrzył na niego z wściekłością. Bez względu na to, ilu świadków twierdziło, że było inaczej, szpieg musiał kłamać. Nietknięty minaret był tego niezbitym dowodem. Jednak Phrantzes nie miał czasu na wymierzenie kary. Konstantynopol niedługo padnie i nikt nie ucieknie przed karzącym ramieniem Zdobywcy.

Stojący z boku żołnierz wiedział, że wierzchołka minaretu wcale nie zniszczyła kula armatnia. Pewnego ranka przed dwoma tygodniami zobaczył, że górna połowa minaretu zniknęła. Poprzedniej nocy nie było ostrzału miasta i pamiętał, że wokół wieży nie było gruzu. Jego dwaj towarzysze, którzy byli tu z nim wtedy, polegli w bitwie. Jednak na widok miny Phrantzesa postanowił zachować milczenie.

Phrantzes wszedł ze swymi ludźmi do budowli. Podążył za nimi nawet szpieg, który jego zdaniem kłamał. Zobaczyli szczątki ofiar zarazy, rozwłóczone po ruinach przez zdziczałe psy, ale ani śladu żywej istoty.

Wspięli się po schodach. Na drugim piętrze dostrzegli w chybotliwym świetle pochodni skuloną pod oknem Helenę. Wydawała się spać, ale w jej półprzymkniętych oczach odbijał się blask pochodni. Miała porwane i pobrudzone ziemią ubranie, potargane włosy i kilka krwawych zadrapań na twarzy, być może od własnych paznokci.

Phrantzes się rozejrzał. Był to szczyt minaretu, pusta przestrzeń w kształcie stożka. Zauważył pokrywającą wszystko grubą warstwę kurzu, ale było na niej trochę śladów stóp, jakby Helena, tak jak oni, przyszła tutaj niedawno.

Obudziła się i skrobiąc dłońmi po ścianie, wstała. Wpadające przez okno światło księżyca przemieniło jej zmierzwione włosy w srebrzystą aureolę. Gapiła się na nich szeroko otwartymi oczami i wydawało się, że z trudem

wraca do rzeczywistości. Zaraz jednak ponownie zamknęła powieki, jakby pragnęła znowu zapaść w sen.

– Co tu robisz? – krzyknął Phrantzes.

– Ja… ja nie mogę tam iść.

– Gdzie?

Z nadal zaciśniętymi powiekami, jakby rozkoszowała się wspomnieniem niczym dziecko ulubioną zabawką, odparła:

– Jest tam tyle przestrzeni. Tak wygodnie… – Otworzyła oczy i rozejrzała się z przerażeniem. – Ale tutaj jest jak w trumnie, i w minarecie, i poza nim. Muszę tam iść.

– A co z twoim zadaniem?

– Zaczekaj! – Helena się przeżegnała. – Zaczekaj!

Phrantzes wskazał za okno.

– Już nie ma na co czekać.

Zalały ich fale dźwięków. Gdyby się w nie uważnie wsłuchać, można by wyróżnić dwa źródła.

Jedno z nich było za miastem. Mehmed II postanowił przypuścić następnego dnia ostateczny atak. W tej chwili młody sułtan objeżdżał osmańskie obozy i mówił żołnierzom, że chce tylko samego miasta, a skarby i kobiety Konstantynopola przypadną armii. Po jego zdobyciu wojsko będzie miało trzy dni na plądrowanie. Żołnierze powitali to wiwatami, a ich radość spotęgowały jeszcze głosy trąb i bębnów. Ten radosny gwar, zmieszany z dymem i iskrami unoszącymi się z ognisk przed obozami, nasunął się na Konstantynopol jak fala śmierci.

Natomiast dźwięki dochodzące z miasta były ponure i stłumione. Wszyscy obywatele zebrali się w Hagii Sophii na ostatniej mszy. Ta scena nie rozegrała się nigdy wcześniej i już się nie rozegra w historii chrześcijaństwa: przy wtórze podniosłych hymnów, w blasku świec, cesarz

bizantyński, patriarcha Konstantynopola, prawosławni chrześcijanie ze Wschodu i katolicy z Włoch, żołnierze w pełnej zbroi, weneccy i genueńscy kupcy i żeglarze oraz ogromne rzesze zwykłych obywateli zebrali się przed Bogiem, by się przygotować do ostatniej bitwy w swym życiu.

Phrantzes wiedział, że jego plan się nie powiódł. Być może Helena była tylko zręczną oszustką i nie miała żadnych magicznych mocy. Wolałby, by tak było, bo istniała jeszcze inna, groźniejsza możliwość – Helena naprawdę posiadała magiczną moc i zaproponowała swe usługi Mehmedowi II, który zlecił jej nowe zadanie.

Co w końcu mogło jej zaoferować chylące się do upadku cesarstwo bizantyńskie? Obietnica cesarza, że uczyni z niej świętą, nie mogłaby zostać spełniona. Ani Konstantynopol, ani Rzym nie ogłosiłyby czarownicy i dziwki świętą. Prawdopodobnie wróciła z tureckiego obozu z dwoma nowymi celami: zgładzeniem Konstantyna i jego.

Czy tak nie postąpił już Urban, ten węgierski inżynier? Najpierw zgłosił się z planami wielkich dział do Konstantyna, ale ponieważ cesarz nie miał pieniędzy ani na ich budowę, ani na zapłatę za te projekty, zwrócił się ze swym pomysłem do Mehmeda II i teraz codzienny ostrzał stale przypominał o jego zdradzie.

Phrantzes spojrzał na szpiega, który natychmiast wydobył miecz z pochwy i dźgnął nim Helenę w pierś. Ostrze przeszyło jej ciało i uwięzło w szczelinie za nią. Szpieg starał się wyciągnąć broń, ale ta ani drgnęła. Helena oparła ręce na rękojeści. Szpieg puścił miecz, nie chcąc dotknąć jej dłoni.

Phrantzes wyszedł ze swymi ludźmi.

Podczas egzekucji Helena nie wydała żadnego głosu. Jej głowa stopniowo opadła, usuwając się poza snop wpadającego przez okno światła księżyca, i zniknęła srebrzysta aureola z jej włosów. W ciemnym wnętrzu

minaretu księżyc oświetlał mały kawałek podłogi, po którym płynął jak czarny wąż cienki strumyk krwi.

Na krótko przed wielką bitwą ucichły wszelkie dźwięki w mieście i poza jego murami. Cesarstwo wschodniorzymskie, leżące w miejscu, gdzie Europa styka się z Azją, a ziemia z morzem, witało ostatni świt.

Na drugim piętrze minaretu skonała przyszpilona do ściany czarodziejka. Była prawdopodobnie jedyną prawdziwą czarodziejką w całych dziejach rodzaju ludzkiego. Niestety, dziesięć godzin wcześniej skończył się też krótki wiek czarów.

Zaczął się on o czwartej po południu 3 maja 1453 roku, kiedy po raz pierwszy skrzyżowały się drogi Ziemi i fragmentu wielowymiarowego obiektu, a zakończył o dziewiątej wieczorem 28 maja tego samego roku, kiedy ten fragment oddalił się od Ziemi. Po dwudziestu pięciu dniach i pięciu godzinach świat wrócił na swą normalną orbitę.

Wieczorem 29 maja Konstantynopol padł.

Kiedy krwawa rzeź zbliżała się do nieuchronnego końca, Konstantyn stanął naprzeciw mrowia wojsk tureckich i krzyknął:

– Miasto padło, a ja nadal żyję.

Potem zrzucił cesarski płaszcz i z dobytym mieczem stawił czoło nacierającym hordom. Jego srebrzysta zbroja lśniła przez chwilę jak kawałek metalowej folii wrzucony do wanny z ciemnoczerwonym kwasem siarkowym, po czym znikła.

Przez wiele lat nie zdawano sobie sprawy z historycznego znaczenia upadku Konstantynopola. Dla większości osób było oczywiste, że wraz z jego zdobyciem przez Turków cesarstwo rzymskie wydało ostatnie tchnienie. Bizancjum było tysiącletnią koleiną pozostawioną przez koła starożytnego Rzymu i chociaż przez pewien czas cieszyło się splendorem, w końcu zniknęło jak plama wody w upalnych promieniach słońca. Niegdyś

w jego wspaniałych łaźniach pogwizdywali Rzymianie, przekonani, że ich imperium będzie trwało tak samo wiecznie jak granitowe ściany basenów, w których się pluskali.

Żadna uczta nie trwa wiecznie. Wszystko się kiedyś kończy. Wszystko.

1 rok ery kryzysu

Możliwość życia

Yang Dong chciała się ratować, ale wiedziała, że dla niej nie ma już prawie nadziei.

Stała na balkonie najwyższego piętra ośrodka nadzoru i patrzyła na unieruchomiony akcelerator cząstek. Z tego miejsca widziała cały dwudziestokilometrowy obwód zderzacza cząstek. Wbrew powszechnej praktyce jego pierścień nie znajdował się w podziemnym tunelu, lecz w biegnącej nad ziemią betonowej rurze. W świetle zachodzącego słońca obiekt wyglądał jak ogromna kropka*.

„Jakie zdanie kończy ta kropka? – pomyślała. – Miejmy nadzieję, że tylko to, które ogłasza koniec fizyki”.

Kiedyś Yang Dong była przekonana, że być może życie i świat są brzydkie, ale w skali mikro i makro wszystko jest harmonijne i piękne. Świat, w którym toczy się nasze codzienne życie, jest tylko pianą unoszącą się na powierzchni oceanu doskonałej rzeczywistości. Jednak teraz wydawało się, że ten codzienny świat jest jedynie piękną skorupką, a zamknięta w nim mikrorzeczywistość i makrorzeczywistość, w której on sam jest zamknięty, są dużo brzydsze i bardziej chaotyczne niż ta skorupka.

Zbyt przerażające.

Byłoby lepiej, gdyby mogła przestać myśleć o takich rzeczach. Mogła wybrać zawód, który nie miał nic wspólnego z fizyką, wyjść za mąż,

urodzić dzieci i wieść spokojne, szczęśliwe życie jak wiele innych kobiet. Oczywiście takie życie byłoby dla niej życiem połowicznym.

Martwiło ją jeszcze coś innego – jej matka, Ye Wenjie. Yang Dong odkryła przypadkiem w jej komputerze kilka zaszyfrowanych wiadomości. Bardzo ją to zaintrygowało.

Jak wiele starszych osób, matka Yang nie była zbyt obeznana z siecią i własnym komputerem, więc zamiast zniszczyć odszyfrowane wiadomości, tylko je usunęła. Nie zdawała sobie sprawy, że nawet gdyby przeformatowała dysk twardy, do tych danych można by było łatwo dotrzeć.

Pierwszy raz w życiu Yang Dong zachowała coś w sekrecie przed matką i odzyskała informacje zawarte w usuniętych dokumentach. Przeczytanie ich zajęło jej kilka dni, ale dowiedziała się wiele o świecie Trisolarian oraz tajemnicy znanej tylko im i jej matce.

Yang Dong była oszołomiona. Matka, na której przez większość życia całkowicie polegała, okazała się kimś, kogo zupełnie nie znała, osobą, w której istnienie nie mogłaby uwierzyć. Nie śmiała stanąć z nią twarzą w twarz i zapytać o to, bo w chwili, w której by to zrobiła, obraz matki w jej umyśle uległby nieodwracalnemu przeobrażeniu. Lepiej było udawać, że matka nadal jest osobą, którą znała, i żyć jak dotąd. Oczywiście takie życie byłoby dla Yang Dong tylko połowiczne.

Ale czy naprawdę byłoby tak źle żyć tylko połowicznie? O ile się orientowała, takie życie wiodło dużo osób z jej otoczenia. Dopóki ktoś potrafił zapominać i umiał się przystosować, mógł być z niego zadowolony, a nawet szczęśliwy.

Ale koniec fizyki zabrał już jej pół życia, a sekret matki drugą połowę, więc w sumie straciła całe życie. Co jej pozostało?

Yang Dong oparła się o barierkę i spojrzała w przepaść pod sobą, która ją przerażała, a jednocześnie pociągała. Poczuła, że barierka drży pod naciskiem jej ciała, i cofnęła się jak rażona prądem. Bała się zostać tam dłużej. Wróciła do środka.

Znajdowały się tam terminale superkomputera wykorzystywanego do analizowania danych wytwarzanych przez zderzacz. Przed kilkoma dniami wszystkie zamknięto, ale teraz kilka znowu się jarzyło. Przyniosło jej to odrobinę pociechy, ale wiedziała, że nie będzie już miała do czynienia z akceleratorem cząstek, bo superkomputer pracował teraz na potrzeby innych projektów.

W pokoju była tylko jedna osoba, młody mężczyzna, który wstał, gdy weszła Yang Dong. Miał ekstrawaganckie okulary w grubych jasnozielonych oprawkach. Yang powiedziała, że przyszła tylko po to, by zabrać parę rzeczy osobistych, ale kiedy Zielone Okulary usłyszał jej nazwisko, zaczął jej z zapałem wyjaśniać, na czym polega program, nad którym pracuje.

Był to matematyczny model Ziemi. W odróżnieniu od wcześniejszych podobnych projektów, w tym modelu połączono czynniki biologiczne, geologiczne, astronomiczne, atmosferyczne, oceanograficzne, a także będące obiektem badań innych nauk w celu stworzenia symulacji ewolucji powierzchni Ziemi w przeszłości i w przyszłości.

Zielone Okulary skierował jej uwagę na kilka dużych ekranów. Nie pokazywały się na nich przewijające się kolumny cyfr ani wykresy krzywych, lecz jasne, barwne obrazy, na których kontynenty i oceany wyglądały jak z lotu ptaka. Zielone Okulary powiększył myszką kilka z nich, robiąc zbliżenia rzek i zagajników.

Yang Dong poczuła oddech natury przenikający do tego miejsca, zdominowanego kiedyś przez abstrakcyjne liczby i teorie. Miała wrażenie,

jakby uwolniono ją z zamknięcia.

Wysłuchawszy wyjaśnień Zielonych Okularów, Yang Dong zabrała swoje rzeczy, uprzejmie się z nim pożegnała i odwróciła się do wyjścia. Czuła na plecach jego wzrok, ale przywykła do takiego zachowania mężczyzn, więc nie tylko jej to nie rozdrażniło, ale wręcz poprawiło jej humor jak promyk słońca zimą. Naszło ją nagle pragnienie, by z kimś porozmawiać.

Odwróciła się do Zielonych Okularów.

– Wierzy pan w Boga?

Ją samą zaskoczyło to pytanie, ale ze względu na model Ziemi, który pokazywały terminale, nie było ono całkowicie nie na miejscu.

Zielone Okulary gapił się na nią z otwartymi ustami. Po chwili otrząsnął się z oszołomienia i zapytał ostrożnie:

– Jakiego „Boga” ma pani na myśli?

– Po prostu Boga.

Powróciło obezwładniające uczucie wyczerpania. Nie miała siły ani cierpliwości, by dokładniej mu to wytłumaczyć.

– Nie.

Yang wskazała wielkie ekrany.

– Ale fizyczne parametry rządzące istnieniem życia są bezlitosne. Weźmy na przykład wodę w stanie ciekłym – może istnieć tylko w wąskim zakresie temperatur. W skali całego Wszechświata staje się to jeszcze bardziej oczywiste. Gdyby parametry Wielkiego Wybuchu były choćby o jedną biliardową inne, nie mielibyśmy żadnych ciężkich pierwiastków, a zatem nie powstałoby życie. Czy nie jest to dowód na istnienie inteligentnego planu?

Zielone Okulary potrząsnął głową.

– Nie wiem wystarczająco dużo o Wielkim Wybuchu, żeby się odnieść do pani słów, ale jeśli chodzi o środowisko naturalne na Ziemi, jest pani

w błędzie. Wprawdzie Ziemia zrodziła życie, ale ono też ją zmieniło. Środowisko, które mamy teraz, jest wynikiem interakcji między nimi. – Chwycił myszkę i zaczął klikać. – Zróbmy symulację.

Wyświetlił na jednym z dużych ekranów panel konfiguracji, okno gęste od ciągów liczb. Odznaczył miejsca w polu wyboru i wszystkie ciągi liczb poszarzały.

– Usuńmy możliwość „życia” i zobaczmy, jak rozwijałaby się Ziemia bez niego. Zostawię obraz gruboziarnisty, żeby nie tracić czasu na obróbkę.

Yang Dong zerknęła na inny terminal i zobaczyła, że superkomputer pracuje pełną mocą. Taka maszyna zużywała tyle energii co małe miasto, ale Yang nie powiedziała mu, by przerwał.

Na ekranie pojawiła się świeżo ukształtowana planeta. Jej powierzchnia była rozżarzona do czerwoności, jak kawałek węgla wyciągnięty z pieca. Następowały w szybkim tempie kolejne ery geologiczne i planeta stopniowo stygła. Zmieniały się kolory i wzory na jej powierzchni, tworząc hipnotyzujący widok. Po kilku minutach planeta przybrała pomarańczową barwę, co oznaczało koniec symulacji.

– Obliczenia zostały przeprowadzone na najbardziej podstawowym poziomie. Bardziej precyzyjne zajęłyby ponad miesiąc.

Zielone Okulary poruszył myszką i powiększył obraz. Przez ekran przesunęła się rozległa pustynia, grupa dziwnie ukształtowanych, wysokich górskich szczytów, okrągłe zagłębienie, które wyglądało jak krater.

– Na co patrzymy? – zapytała Yang Dong.

– Na Ziemię. Bez życia tak wyglądałaby teraz jej powierzchnia.

– A gdzie są oceany?

– Nie ma oceanów. Ani rzek. Cała powierzchnia jest sucha.

– Twierdzi pan, że gdyby na Ziemi nie było życia, nie byłoby też wody w stanie ciekłym?

– Rzeczywistość byłaby prawdopodobnie jeszcze bardziej szokująca. Proszę pamiętać, że to tylko symulacja. Ale i tak może pani przynajmniej zobaczyć, jak wielki wpływ wywarło życie na obecny stan Ziemi.

– Ale…

– Myśli pani, że życie jest tylko wątłą, cienką skorupką pokrywającą powierzchnię tej planety?

– A nie jest tak?

– Tylko wtedy, jeśli zignoruje pani siłę czasu. Gdyby kolonia mrówek przesuwała bez końca grudki ziemi wielkości ziarnka ryżu, przeniosłaby za miliard lat Tai Shan. Jeśli da się życiu dość czasu, okaże się trwalsze niż metal i kamień, potężniejsze od tajfunów i wulkanów.

– Ale przecież góry powstają w wyniku procesów geologicznych!

– Niekoniecznie. Życie może nie jest w stanie podnosić gór, ale może zmienić ich rozmieszczenie. Powiedzmy, że mamy trzy góry, z których dwie są pokryte szatą roślinną. Tę, która jest naga, wkrótce zniszczy erozja. „Wkrótce” oznacza w tym przypadku miliony lat, ale w skali er geologicznych to mgnienie oka.

– Wobec tego jak zniknęły oceany?

– Musielibyśmy sprawdzić zapisy symulacji, co wymagałoby wiele pracy. Domyślam się jednak, że rośliny, zwierzęta i bakterie odegrały ważną rolę w tworzeniu się obecnego składu naszej atmosfery. Gdyby nie było życia, byłaby ona zupełnie inna. Możliwe, że nie mogłaby chronić powierzchni Ziemi przed wiatrem słonecznym i promieniowaniem ultrafioletowym i oceany by wyparowały. Efekt cieplarniany przemieniłby wkrótce atmosferę ziemską w kopię wenusjańskiej, a wtedy po pewnym czasie para wodna uciekłaby w przestrzeń kosmiczną. Po kilku miliardach lat Ziemia byłaby sucha.

Yang Dong patrzyła bez słowa na żółtą skorupę planety.

– A zatem Ziemia, na której teraz żyjemy, jest domem, który zbudowało dla siebie życie. Nie ma to nic wspólnego z Bogiem. – Zielone Okulary, wyraźnie zadowolony ze swojej oracji, wyciągnął ręce, jakby chciał objąć ekran.

Yang Dong nie była w nastroju do rozmowy o takich sprawach, ale gdy Zielone Okulary usunął z panelu konfiguracji możliwość istnienia życia, w jej głowie pojawiła się pewna myśl.

– A co ze Wszechświatem? – zadała następne przerażające pytanie.

– Ze Wszechświatem?

– Gdybyśmy użyli podobnego modelu matematycznego dla stworzenia symulacji ewolucji całego Wszechświata i usunęli na początku możliwość istnienia w nim życia, to jak by wyglądał?

Zielone Okulary zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– Tak samo. Kiedy mówiłem o wpływie życia na środowisko, ograniczyłem się do Ziemi. Ale skoro mówimy o ewolucji Wszechświata, wpływ życia na niego możemy pominąć, bo jest ono niezwykle rzadkim zjawiskiem.

Yang Dong ugryzła się w język. Starając się przywołać na twarz uśmiech uznania, jeszcze raz się pożegnała. Wyszła z budynku i popatrzyła na usiane gwiazdami nocne niebo.

Z tajnych dokumentów matki wiedziała, że życie we Wszechświecie wcale nie jest takim rzadkim zjawiskiem. Prawdę mówiąc, Wszechświat był zatłoczony.

„Jak bardzo życie zmieniło Wszechświat?” – pomyślała.

Zalała ją fala strachu. Wiedziała, że nie zdoła już się uratować. Próbowała przestać myśleć, przemienić umysł w czarną pustkę, ale uparcie powracało nowe pytanie: „Czy Natura jest rzeczywiście naturalna?”.

* W chińskiej interpunkcji kropkę wyraża się znakiem ° [przypisy są pióra autora amerykańskiego przekładu powieści, Kena Liu].

4 rok ery kryzysu

Yun Tianming

Po rutynowym sprawdzeniu stanu zdrowia Yun Tianminga doktor Zhang zostawił mu gazetę, mówiąc, że skoro od tak dawna przebywa w szpitalu, to powinien się dowiedzieć, co się dzieje na świecie. W pokoju Tianminga był telewizor, więc słowa lekarza go zaskoczyły. Zastanawiał się, czy nie miał on na myśli czegoś innego.

Przeczytał gazetę i doszedł do następującego wniosku: w przeciwieństwie do okresu sprzed jego pójścia do szpitala wiadomości o Ruchu na rzecz Ziemskiej Trisolaris (RZT) nie usuwały już w cień wszystkich innych. Co najmniej kilka artykułów nie miało nic wspólnego z kryzysem wywołanym przez Trisolarian. Ludzie znów skupiali się na tym, co dzieje się tu i teraz, i zamiast martwić się wydarzeniami, do których dojdzie nie wcześniej niż za czterysta lat, myśleli o życiu w czasach obecnych.

Nie było w tym nic dziwnego. Starał się przypomnieć sobie, co się działo przed czterystu laty: w Chinach panowała dynastia Ming, a Nurhaczi chyba – nie był tego pewien – dopiero założył imperium, które miało zastąpić Mingów, po wymordowaniu milionów ludzi. Na Zachodzie niedawno skończyły się wieki ciemne, maszyna parowa miała się pojawić dopiero za sto lat z okładem, a na elektryczność trzeba było czekać jeszcze trzy stulecia. Gdyby w owych czasach ktoś martwił się tym, co będzie za

czterysta lat, zostałby wyśmiany. Martwienie się tym, co przyniesie przyszłość, było równie absurdalne jak lamentowanie nad przeszłością.

Co do samego Tianminga, to ze względu na jego stan zdrowia nie musiał się martwić nawet tym, co się będzie działo w przyszłym roku.

Ale jego uwagę przyciągnęła jedna wiadomość. Znajdowała się na pierwszej stronie pod nagłówkiem:

Na posiedzeniu nadzwyczajnym Trzeciego Stałego Komitetu Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych przyjęto ustawę dopuszczającą eutanazję

Tianming był zdezorientowany. Sesję nadzwyczajną zwołano z powodu kryzysu trisolariańskiego, ale ta ustawa zdawała się nie mieć z nim nic wspólnego.

„Dlaczego doktor Zhang chciał, żebym zobaczył tę wiadomość?" – zachodził w głowę Tianming.

Zaniósł się od kaszlu, więc odłożył gazetę i spróbował się zdrzemnąć.

Następnego dnia również w telewizji pokazano kilka reportaży i wywiadów na temat ustawy o eutanazji, ale nie wzbudziło to większego zainteresowania publiczności.

W nocy Tianming miał kłopoty ze spaniem – kaszlał i z trudem łapał oddech. Po chemioterapii był osłabiony i miał nudności. Pacjent z sąsiedniego łóżka przysiadł na brzegu łóżka Tianminga i przytrzymał mu rurkę z tlenem. Nazywał się Li i wszyscy mówili na niego Lao Li, czyli Stary Li.

Lao Li rozejrzał się po sali, upewniając się, że pozostali dwaj pacjenci śpią, po czym powiedział:

– Tianming, niedługo odchodzę.

– Wypisują pana?

– Nie. Skorzystam z tej ustawy.

Tianming usiadł.

– Ale dlaczego? Pana dzieci są takie troskliwe i tak dbają o pana…

– I właśnie dlatego postanowiłem odejść. Jeśli będzie się to jeszcze długo ciągnąć, będą musieli sprzedać swoje domy. Po co? Przecież i tak nie ma na to leku. Muszę wziąć odpowiedzialność za los moich dzieci i ich dzieci.

Lao Li westchnął, poklepał Tianminga po ramieniu i wrócił do swojego łóżka.

Patrząc na cienie rzucane przez kołyszące się drzewa na zasłonkę w oknie, Tianming powoli zasnął. Po raz pierwszy od początku choroby miał przyjemny sen.

Siedział w małej papierowej łódce, płynąc bez wioseł po spokojnej wodzie. Niebo było zamglone, ciemnoszare. Mżył zimny deszcz, ale jego krople nie padały na powierzchnię jeziora, która była gładka jak lustro. Woda, również szara, stapiała się ze wszystkich stron z niebem. Nie było horyzontu, żadnego brzegu…

Gdy obudził się rano, był zdumiony, że w tym śnie miał taką pewność, iż tam będzie zawsze padać, powierzchnia będzie zawsze gładka, a niebo zawsze zamglone i ciemnoszare.

Szpital miał zastosować procedurę, o którą poprosił Lao Li. W środkach przekazu rozgorzała dyskusja nad wyborem właściwego terminu na określenie tego zabiegu. „Wykonać” było z oczywistych względów słowem niestosownym, „wykorzystać” brzmiało równie źle, natomiast „zakończyć” zdawało się sugerować, że śmierć jest już pewna, co niezupełnie zgadzało

się ze stanem faktycznym, a więc ostatecznie zdecydowano się na „zastosować”.

Doktor Zhang zapytał Tianminga, czy czuje się na siłach wziąć udział w ceremonii eutanazji Lao Li. Pospiesznie dodał, że ponieważ jest to pierwszy przypadek eutanazji w mieście, byłoby dobrze, gdyby świadkami byli przedstawiciele różnych grup, w tym pacjentów, i że nie chodzi mu o nic innego.

Jednak wbrew tym zapewnieniom Tianming nie mógł się pozbyć uczucia, że kryje się w tym jakiś podtekst. Mimo to zgodził się, bo doktor Zhang zawsze się nim dobrze opiekował.

Dopiero potem uświadomił sobie, że twarz i nazwisko lekarza wydawały mu się znajome, choć nie mógł sobie przypomnieć skąd. Czyżby znał go przed hospitalizacją? Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ ich kontakty ograniczały się do rozmów o jego stanie zdrowia i leczeniu. Sposób, w jaki lekarz zachowuje się i mówi, wykonując swoje czynności zawodowe, różni się od tego, w jaki zachowuje się i mówi jako osoba prywatna.

Na ceremonii nie było nikogo z rodziny Lao Li. Utrzymał swoją decyzję w tajemnicy przed nimi i poprosił, żeby miejski Urząd Spraw Obywatelskich – nie szpital – poinformował jego rodzinę dopiero po zakończeniu całej procedury. Nowa ustawa pozwalała na to.

Pojawiło się wielu reporterów, ale większości nie wpuszczono do środka. Pokój do eutanazji urządzono na szpitalnym oddziale ratunkowym. W jednej ze ścian osadzone było lustro weneckie, dzięki czemu świadkowie mogli obserwować, co się dzieje w pokoju, ale pacjent ich nie widział.

Tianming przepchnął się przez tłum widzów do lustra. Gdy zobaczył wnętrze pokoju eutanazji, poczuł strach i wstręt. Zbierało mu się na wymioty.

Ktokolwiek odpowiadał za wystrój tego pomieszczenia, zadał sobie wiele trudu – w oknach wisiały nowe, piękne zasłony, w wazonach stały świeże kwiaty, a na ścianach nalepione były papierowe różowe serduszka. Jednak jego starania, by nadać tej sytuacji pokrzepiający charakter, przyniosły odwrotny skutek: przerażające tchnienie śmierci mieszało się z dziwną wesołością, zupełnie jakby ów dekorator chciał przemienić grobowiec w salę ślubną.

Lao Li leżał na łóżku pośrodku pokoju. Wydawał się spokojny. Tianming uświadomił sobie, że właściwie nie pożegnali się, jak należało, i zrobiło mu się ciężko na sercu. Było tam też dwóch notariuszy, którzy kończyli formalności prawne. Gdy Lao Li podpisał dokumenty, wyszli.

Do pokoju wszedł inny mężczyzna, by wyjaśnić Lao Li kolejne etapy procedury. Chociaż miał na sobie biały kitel, nie było jasne, czy naprawdę jest lekarzem. Najpierw wskazał duży ekran w stopach łóżka i zapytał Lao Li, czy potrafi odczytać wszystko, co się na nim pokazuje. Lao Li skinął głową. Potem mężczyzna poprosił go, by wciskając klawisz myszki obok łóżka, zakreślił właściwe odpowiedzi na ekranie, i wyjaśnił, że jeśli jest to dla niego za trudne, mogą spróbować innych dostępnych metod. Lao Li użył myszki i stwierdził, że dobrze sobie z nią radzi.

Tianming przypomniał sobie, że Lao Li wyznał mu, iż nigdy nie korzystał z komputera. Gdy potrzebował gotówki, musiał stać w kolejce do okienka w banku. A więc po raz pierwszy w życiu posługiwał się myszką.

Potem mężczyzna w białym kitlu powiedział Lao Li, że na ekranie pięć razy ukaże się jedno pytanie. Za każdym razem będzie pod nim sześć guzików ponumerowanych od zera do pięciu. Jeśli Lao będzie chciał odpowiedzieć twierdząco, musi kliknąć w guzik, którego numer będzie się losowo zmieniał przy każdym powtórzeniu pytania. Jeśli będzie chciał

odpowiedzieć przecząco, musi nacisnąć zero, i wtedy natychmiast przerwie się całą procedurę. Nie będzie guzików z odpowiedziami „tak” i „nie”.

Mężczyzna wyjaśnił, że przyjęto tę skomplikowaną procedurę, by uniknąć sytuacji, w których pacjent naciskałby stale ten sam guzik, nie zastanawiając się nad odpowiedzią.

Weszła pielęgniarka i w lewą rękę Lao Li wbiła wenflon. Był on połączony rurką z automatycznym aparatem wstrzykującym wielkości notebooka. Mężczyzna w białym kitlu wyjął paczuszkę, zdjął z niej kilka warstw folii ochronnej i wydobył ze środka szklaną fiolkę wypełnioną żółtawym płynem. Jej zawartość wlał ostrożnie do aparatu i wraz z pielęgniarką wyszedł. Lao Li został sam.

Na ekranie pojawiło się pytanie i jednocześnie przeczytał je cichy, łagodny, kobiecy głos:

Czy chcesz zakończyć swoje życie? Jeśli tak, wybierz 3. Jeśli nie, wybierz 0.

Lao Li wybrał 3.

Czy chcesz zakończyć swoje życie? Jeśli tak, wybierz 5. Jeśli nie, wybierz 0.

Lao Li wybrał 5.

Proces ten powtórzył się jeszcze dwukrotnie. A potem:

Czy chcesz zakończyć swoje życie? To ostatnie pytanie. Jeśli tak, wybierz 4. Jeśli nie, wybierz 0.

Tianmingowi zakręciło się z żalu w głowie i o mało nie osunął się na podłogę. Takiego bólu i złości nie czuł nawet wtedy, gdy umierała jego

matka. Chciał krzyknąć do Lao Li, żeby wybrał 0, chciał rozbić lustro, zdusić ten głos.

Ale Lao wybrał 4.

Bezgłośnie uruchomił się aparat wstrzykujący. Tianming widział, jak obniża się, a potem znika słupek żółtawego płynu. Lao Li nawet się nie poruszył. Zamknął oczy i zasnął.

Tłum wokół Tianminga rozproszył się, ale on pozostał z dłonią przyciśniętą do szyby tam, gdzie stał. Nie patrzył na leżące za szybą martwe ciało. Miał otwarte oczy, ale na nic nie patrzył.

– Nie czuł bólu. – Głos doktora Zhanga był tak cichy, że brzmiał jak brzęczenie komara. Tianming poczuł dłoń na swoim ramieniu. – To mieszanka dużej ilości barbitalu, środków zwiotczających mięśnie i chlorku potasu. Najpierw zaczyna działać barbital i pacjent zapada w głęboki sen, potem pod wpływem środka zwiotczającego ustaje oddychanie, a chlorek potasu prowadzi do zatrzymania akcji serca. Cały proces trwa nie dłużej niż dwadzieścia, trzydzieści sekund.

Po chwili dłoń doktora Zhanga zsunęła się z jego ramienia i Tianming usłyszał oddalające się kroki. Nie odwrócił się.

Nagle przypomniał sobie, skąd go zna.

– Panie doktorze – zawołał cicho. Kroki ustały. Tianming nadal się nie odwracał. – Zna pan moją siostrę, prawda?

Odpowiedź nadeszła po długim milczeniu.

– Tak. W liceum byłem z nią w jednej klasie. Pamiętam, że parę razy pana widziałem.

Tianming wyszedł machinalnie z budynku. Teraz wszystko stało się jasne. Doktor Zhang działał na rzecz jego siostry – siostra chciała, by umarł. Nie, chciała, żeby „zastosowano wobec niego procedurę”.

Chociaż Tianming często wspominał szczęśliwe dzieciństwo, które spędził z siostrą, to gdy oboje dorośli, odsunęli się od siebie. Nie doszło między nimi do żadnego konfliktu, żadne z nich nie zraniło drugiego, ale zaczęli się postrzegać jako zupełnie różniące się od siebie osoby i czuli, że żywią do siebie nawzajem pogardę.

Jego siostra była sprytna, ale niezbyt mądra i wyszła za mąż za podobnego człowieka. Żadne z nich nie zrobiło kariery w swoim zawodzie i nawet kiedy mieli już dorosłe dzieci, nie stać ich było na kupno mieszkania. W domu jej męża nie było dla nich miejsca, zamieszkali więc z ojcem Tianminga.

Natomiast Tianming był samotny. Zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym nie wiodło mu się ani trochę lepiej niż siostrze. Zawsze mieszkał w hotelach robotniczych należących do jego pracodawcy i opiekę nad słabym ojcem pozostawił siostrze.

I nagle zrozumiał sposób myślenia siostry. Jego ubezpieczenie zdrowotne nie wystarczało na pokrycie kosztów pobytu w szpitalu i im bardziej się on przedłużał, tym bardziej rosły. Płacił za to jego ojciec z oszczędności całego życia, ale nigdy nie zaoferował takiej samej sumy jego siostrze, by pomóc jej kupić mieszkanie, a więc wyraźnie go faworyzował. Z punktu widzenia siostry Tianminga ojciec wydawał na niego pieniądze, które należały się jej. Poza tym tracił je na terapie, które mogły tylko przedłużyć mu życie, ale nie wyleczyć chorobę. Gdyby wybrał eutanazję, siostra dostałaby spadek, a on sam mniej by cierpiał.

Niebo wypełniały zamglone, ciemnoszare chmury, jak w jego śnie. Podniósłszy wzrok na tę nieskończoną szarość, Tianming przeciągle westchnął.

„Dobrze – pomyślał. – Skoro chcesz, żebym umarł, umrę”.

Przyszedł mu na myśl *Wyrok* Kafki, w którym ojciec przeklina syna i skazuje go na śmierć. Syn zgadza się z tym tak łatwo, jakby ktoś kazał mu wynieść śmieci albo zamknąć drzwi, wychodzi z domu, biegnie ulicami w stronę mostu i skacze z niego do rzeki. Później Kafka powiedział biografowi, że kiedy pisał tę scenę, myślał o „gwałtownym wytrysku".

Teraz Tianming zrozumiał Kafkę, człowieka w meloniku i z teczką, który przed ponad stu laty samotnie przemierzał ciemne ulice Pragi, człowieka, który był równie samotny jak on.

Gdy Tianming wrócił do swego pokoju, czekał tam na niego gość – Hu Wen, kolega ze studiów.

Od czasów studenckich był on dla Tianminga kimś najbliższym definicji przyjaciela, choć stosunki, które ich łączyły, trudno by było nazwać przyjaźnią w pełnym znaczeniu tego słowa. Wen należał do osób, które wszystkich znały i ze wszystkimi dobrze się dogadywały, ale nawet w kręgu jego znajomych Tianming zajmował odległą pozycję. Od wręczenia dyplomów nie miał z nim żadnego kontaktu.

Wen nie przyniósł kwiatów ani niczego innego w tym stylu, tylko cały karton napojów w puszkach.

Po krótkim niezgrabnym powitaniu Wen zadał Tianmingowi zaskakujące pytanie:

– Pamiętasz naszą wyprawę w plener na początku studiów? Tę, kiedy pierwszy raz wyjechaliśmy całą grupą?

Oczywiście pamiętał. Wtedy usiadła obok niego Cheng Xin i po raz pierwszy odezwała się do niego.

Gdyby nie przejęła inicjatywy, to wątpił, by podczas pozostałych czterech lat studiów zdobył się na odwagę i ją zagadnął. Na tej wycieczce

siedział sam, gapiąc się na rozległy zbiornik wodny Miyun koło Pekinu. A ona przysiadła obok niego i zaczęła konwersację, rzucając kamyki do wody.

Rozmowa kręciła się wokół tematów wspólnych dla świeżo upieczonych studentów, którzy dopiero się poznają, ale Tianming wciąż pamiętał każde słowo. Potem Cheng Xin zrobiła małą łódkę z papieru i puściła ją na wodę. Pchana przez słaby wiatr powoli odpływała, aż stała się małą plamką w oddali…

Ten najpiękniejszy dzień z czasów studenckich jarzył się w jego umyśle złotą poświatą. W rzeczywistości pogoda wcale nie była wtedy idealna – siąpił deszcz, powierzchnia zbiornika była pomarszczona, a kamyki, które do niego wrzucali, były mokre. Ale od tamtej pory Tianming pokochał deszczowe dni, zapach wilgotnej ziemi i mokre kamyki. Niekiedy robił łódki z papieru i stawiał je na szafce nocnej.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy świat w jego spokojnym śnie nie zrodził się z tego wspomnienia.

Wen jednak chciał z nim porozmawiać o tym, co zdarzyło się później podczas tej wycieczki, o wydarzeniach, które nie zrobiły na Tianmingu wielkiego wrażenia, a więc nie zapadły mu tak silnie w pamięć. Mimo to z pomocą Wena udało mu się w końcu przywołać te wyblakłe wspomnienia.

Cheng Xin zawołały przechodzące obok nich przyjaciółki. Wtedy do Tianminga przysiadł się Wen.

„Nie pochlebiaj sobie za bardzo. Ona jest miła dla każdego” – powiedział.

Oczywiście Tianming wiedział o tym. Wtedy Wen zobaczył w jego ręku butelkę wody mineralnej i zmienił temat.

„Co ty, u licha, pijesz?”

Woda w butelce miała zielony kolor, pływały w niej kawałki trawy i liści.

„Pokruszyłem trochę roślin i dodałem je do wody. To najbardziej ekologiczny napój. – Był w dobrym nastroju, więc stał się bardziej gadatliwy niż zwykle. – Może pewnego dnia zacznę go produkować”.

„Musi mieć obrzydliwy smak”.

„Uważasz, że papierosy i wódka mają aż tak dobry smak? Pewnie nawet coca-cola za pierwszym razem smakuje jak lekarstwo. Wszystko, co uzależnia, jest takie”.

– Stary, ta rozmowa odmieniła moje życie! – rzekł Wen.

Otworzył karton i wyjął puszkę. Była ciemnozielona, ze zdjęciem łąki. Widniał na niej napis „Zielona Burza”.

Wen otworzył ją i podał Tianmingowi. Ten pociągnął łyk. Napój był wonny, ziołowy, z nutką goryczy. Tianming zamknął oczy i znowu znalazł się na brzegu zbiornika podczas deszczu. Obok niego siedziała Cheng Xin…

– To gatunek specjalny. Ten, który masowo idzie na rynek, jest słodszy.

– Dobrze się sprzedaje?

– Wspaniale! Największą przeszkodą są koszty produkcji. Można by pomyśleć, że trawa jest tania, ale dopóki nie zacznę tego robić na dużą skalę, jest droższa niż owoce i orzechy. Poza tym składniki trzeba pozbawić toksyn i poddać odpowiedniej obróbce, żeby nie szkodziły zdrowiu, a to skomplikowany proces. Ale perspektywy są fantastyczne. Interesuje się tym mnóstwo inwestorów, a Huiyuan Juice chce kupić moją firmę. Pierdolić ich.

Tianming gapił się na Wena, nie wiedząc, co powiedzieć. Wen skończył inżynierię lotniczą i kosmonautyczną, ale stał się producentem napojów. Był człowiekiem przedsiębiorczym. Do takich ludzi należało życie. Natomiast osoby pokroju Tianminga, bezwolne i pozbawione inicjatywy, mogły tylko patrzeć, jak życie przemija.

– Mam wobec ciebie dług – powiedział Wen. Wręczył mu trzy karty kredytowe i skrawek papieru, rozejrzał się, nachylił do jego ucha i rzekł szeptem: – Na tym koncie są trzy miliony juanów. Na kartce masz hasło.

– Nigdy nie wystąpiłem o patent ani nic w tym stylu – odparł Tianming.

– Ale to twój pomysł. Bez ciebie nie byłoby zielonej burzy. Jeśli się zgodzisz, będziemy kwita, przynajmniej pod względem prawnym. Ale w kwestii przyjaźni na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem.

– Nie jesteś mi nic winny ani pod względem prawnym, ani żadnym innym.

– Musisz to przyjąć. Wiem, że potrzebujesz pieniędzy.

Tianming nie powiedział nic więcej. Dla niego była to astronomiczna suma, ale nie ekscytował się tym. Pieniądze nie uratują mu życia.

Mimo to nadzieja jest upartą istotą. Po wyjściu Hu Wena Tianming poprosił o ponowne badanie. Nie chciał jednak, by wykonał je doktor Zhang. Kosztowało go to sporo trudu, ale udało mu się dotrzeć do zastępcy dyrektora szpitala, sławnego onkologa.

– Gdyby pieniądze nie stanowiły problemu, czy pomogłaby mi jakaś terapia?

Stary lekarz sprawdził w komputerze kartotekę Tianminga i po chwili potrząsnął głową.

– To już nie tylko rak płuc. Ma pan przerzuty w całym ciele. Operacja jest bezcelowa, zostają panu tylko chemio- i radioterapia, tradycyjne metody. Nawet pieniądze tu nie pomogą… Młody człowieku, zapamiętaj powiedzenie: „Lekarz może wyleczyć tylko te choroby, które mają być wyleczone, a Budda może zbawić tylko tych, którzy mają być zbawieni”.

Tianming stracił resztę nadziei, ale zachował spokój. Tego samego popołudnia wypełnił wniosek o poddanie go eutanazji.

Wręczył wniosek opiekującemu się nim lekarzowi, czyli doktorowi Zhangowi. Zhang zdawał się przeżywać jakieś moralne rozterki i unikał wzroku Tianminga. Powiedział mu tylko, że może przerwać chemioterapię, żeby niepotrzebnie nie cierpieć.

Tianmingowi pozostało jedynie zdecydować, na co przeznaczy trzy miliony otrzymane od Wena. „Słuszną" rzeczą byłoby dać pieniądze ojcu i pozwolić mu rozdzielić je między pozostałych członków rodziny, ale byłoby to równoznaczne z przekazaniem ich siostrze, a tego Tianming nie chciał. Postanowił już umrzeć, jak sobie tego życzyła, i uznał, że nic więcej nie jest jej winien.

Zastanawiał się, czy ma jakieś niespełnione marzenia. Byłoby miło udać się w podróż dookoła świata luksusowym statkiem wycieczkowym… ale jego ciało nie nadawało się już do tego i nie zostało mu dużo czasu. Wielka szkoda. Chciałby poleżeć na zalanym słońcem pokładzie i patrząc na hipnotyczne morze, dokonać podsumowania swego życia. Albo mógłby w deszczowy dzień zejść na ląd w jakimś obcym kraju, usiąść na brzegu jeziora i rzucać na jego pomarszczoną powierzchnię mokre kamyki…

Znowu myślał o Cheng Xin. Ostatnio myślał o niej coraz więcej.

Wieczorem telewizja podała następującą wiadomość:

Na dwunastym posiedzeniu Rada Obrony Planety ONZ podjęła uchwałę 479 w sprawie rozpoczęcia programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem. Program ten ma natychmiast wprowadzić w życie komisja składająca się z przedstawicieli Programu ONZ do spraw Rozwoju, Komisji ONZ do spraw Bogactw Naturalnych i UNESCO.

Dzisiaj po południu zostanie uruchomiona oficjalna chińska strona internetowa poświęcona programowi Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem. Według wysokiego urzędnika pekińskiego biura przedstawiciela Programu ONZ do spraw Rozwoju do udziału w aukcji dopuści się oferty od osób fizycznych i przedsiębiorstw, ale nie będzie się rozpatrywać ofert od organizacji pozarządowych.

Tianming wstał i powiedział pielęgniarce, że chce iść na spacer, ale go nie wypuściła, ponieważ zaczęła się już cisza nocna. Wrócił do ciemnego pokoju, odciągnął zasłony i otworzył okno. Nowy pacjent, który zajął łóżko po Lao Li, zaczął zrzędzić.

Tianming wyjrzał na zewnątrz. Niebo pokrywała łuna świateł miasta, ale mimo to widać na nim było kilka srebrnych plamek. Wiedział już, co zrobi z pieniędzmi – kupi Cheng Xin gwiazdę.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Infantylizm na początku kryzysu

Wiele wydarzeń z pierwszych dwudziestu lat ery kryzysu było niezrozumiałych dla tych, którzy żyli wcześniej, i dla tych, którzy żyli później. Historycy ochrzcili ten okres mianem „kryzysowego infantylizmu”.

Powszechnie uważano, że infantylizm był reakcją na niespotykane zagrożenie dla całej cywilizacji. Może rzeczywiście tak było w indywidualnych wypadkach, ale w odniesieniu do całej ludzkości było to zbyt proste wyjaśnienie.

Wpływ kryzysu trisolariańskiego był dużo głębszy, niż początkowo myślano. Używając niedoskonałych analogii, można by rzec, że w sferze biologii byłby to odpowiednik chwili, w której przodkowie ssaków wyszli z oceanu na ląd, w sferze religii chwili wygnania Adama i Ewy z raju, w sferach historii i socjologii… tu próżno by było szukać jakichkolwiek, nawet niedoskonałych odpowiedników. W porównaniu z tym kryzysem bladło wszystko, czegokolwiek doświadczyła wcześniej ludzka cywilizacja. Kryzys wstrząsnął podstawami kultury, polityki, religii i gospodarki. Chociaż dotknął najgłębszego jądra cywilizacji, jego wpływ najszybciej ujawnił się na jej powierzchni. Główną przyczynę kryzysowego

infantylizmu można dostrzec w oddziaływaniach między tymi przejawami i straszną inercją przyrodzonego konserwatyzmu ludzkiego społeczeństwa.

Klasycznymi przykładami tego infantylizmu były program Wpatrujących się w Ścianę i program Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem, zainicjowane przez społeczność międzynarodową w ramach specjalnych agend ONZ, które wkrótce stały się niezrozumiałe dla wszystkich spoza tej epoki. Program Wpatrujących się w Ścianę zmienił historię i tak bardzo wpłynął na dalsze dzieje cywilizacji, że trzeba go będzie omówić w osobnym rozdziale. Te same elementy, które doprowadziły do narodzin wspaniałego projektu Wpatrujących się w Ścianę, legły u podstaw programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem. Jednak ten program ugrzązł tuż po rozpoczęciu i nigdy więcej o nim nie słyszano.

Były dwa główne źródła motywacji dla stworzenia programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem: zwiększenie siły ONZ na początku kryzysu trisolariańskiego i pojawienie się oraz popularność eskapizmu.

Podczas kryzysu trisolariańskiego cała ludzkość stanęła po raz pierwszy wobec wspólnego wroga, więc całkiem naturalnie nadzieje wielu osób skierowały się ku ONZ. Nawet konserwatyści przyznawali, że organizację tę trzeba zupełnie zreformować, rozszerzyć jej uprawnienia i zwiększyć środki do jej dyspozycji. Radykałowie i idealiści żądali ustanowienia Unii Ziemskiej i przekształcenia ONZ w rząd światowy.

Wzmocnienie pozycji ONZ popierały zwłaszcza mniejsze kraje, ponieważ postrzegały one kryzys jako okazję do otrzymania większej pomocy technicznej i gospodarczej. Natomiast wielkie mocarstwa odnosiły się do tego z rezerwą. W istocie rzeczy po kryzysie dużo inwestowały w obronę kosmiczną. Robiły to po części dlatego, że zdawały sobie sprawę, iż nakłady na nią staną się podstawą ich siły i znaczenia politycznego w przyszłych stosunkach międzynarodowych, ale też z tej przyczyny, że

chociaż zawsze chciały przeznaczać dużo pieniędzy na badania podstawowe w dużej skali, w przeszłości uniemożliwiała to postawa ich społeczeństw i ograniczenia narzucane przez politykę międzynarodową. A zatem w pewnym sensie kryzys trisolariański dał przywódcom wielkich mocarstw podobną szansę, jaką dała Kennedy'emu zimna wojna, z tym tylko, że była ona o kilka rzędów wielkości większa. Chociaż wszystkie wielkie mocarstwa nie miały ochoty prowadzić badań pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych, wzbierająca fala nawoływań do prawdziwej globalizacji zmusiła je do scedowania na ONZ pewnych symbolicznych politycznych zobowiązań, których nie miały zamiaru honorować. Na przykład proponowany przez ONZ system wspólnej obrony kosmicznej uzyskał od nich niewielkie finansowe wsparcie.

Kluczową postacią we wczesnej fazie ery kryzysu była sekretarz generalny ONZ Say. Uważała, że nadszedł czas na utworzenie nowej ONZ, i namawiała do przekształcenia instytucji, która, choć była miejscem spotkań wielkich mocarstw i forum międzynarodowym, niewiele znaczyła, w niezależne ciało polityczne z możliwością autentycznego pokierowania budową obrony Układu Słonecznego.

Dla osiągnięcia tego celu ONZ potrzebowała dostatecznych środków, co było wymogiem, który w świetle ówczesnych stosunków międzynarodowych wydawał się niemożliwy do zrealizowania. Zaproponowany przez Say program Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem był próbą zdobycia takich zasobów. Bez względu na wyniki, już sam fakt podjęcia tej próby był świadectwem jej inteligencji politycznej i wyobraźni.

Podstawą, na której opierał się ten program, była konwencja o międzynarodowej odpowiedzialności za szkody wyrządzone przez obiekty kosmiczne, przyjęta w epoce przedkryzysowej. Konwencję tę, nawiązującą do zasad wyłożonych w konwencji o prawie morza i traktacie

antarktycznym, długo negocjowano i poprawiano, ale i tak jej przedmiotem były tylko zasoby znajdujące się w przestrzeni kosmicznej ograniczonej do Pasa Kuipera. Dopiero kryzys trisolariański zmusił narody Ziemi do sięgnięcia wzrokiem dalej.

Ponieważ ludzie nigdy nie postawili stopy nawet na Marsie, wszelkie dyskusje o dalszej przestrzeni były bezsensowne, przynajmniej przed datą wygaśnięcia konwencji, co miało nastąpić pięćdziesiąt lat po jej podpisaniu. Mimo to wielkie mocarstwa traktowały ją jako wspaniałą scenę dla rozgrywania spektakli politycznych i wprowadziły do niej poprawkę dotyczącą surowców poza Układem Słonecznym. Przewidywała ona, że eksploatacja bogactw naturalnych za Pasem Kuipera i inne związane z nimi przedsięwzięcia gospodarcze będzie można prowadzić tylko pod auspicjami ONZ. Zdefiniowano w niej drobiazgowo termin „bogactwa naturalne", ale zasadniczo odnosił się on do źródeł niezajętych jeszcze przez cywilizacje pozaziemskie. W traktacie tym po raz pierwszy wprowadzono międzynarodową definicję prawną „cywilizacji". Dokument ten historycy określali później jako poprawkę kryzysową.

Drugim źródłem motywacji dla programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem był eskapizm. W owym czasie ruch ten był dopiero w powijakach i jego konsekwencje nie były jeszcze widoczne, więc wiele osób uważało go za uzasadniony wybór w sytuacji kryzysowej. W takich warunkach inne gwiazdy, zwłaszcza z własnymi planetami, stały się cenne.

W pierwotnym projekcie ONZ miała przeprowadzić licytację praw do pewnych gwiazd i krążących wokół nich planet. Do udziału w przetargu planowano dopuścić państwa, przedsiębiorstwa, organizacje pozarządowe i osoby prywatne, a dochód z niej zamierzano przeznaczyć na sfinansowanie podstawowych badań nad systemem obrony Ziemi. Sekretarz generalna Say wyjaśniała, że we Wszechświecie jest mnóstwo

gwiazd, ponad trzysta tysięcy w odległości do stu lat świetlnych od Układu Słonecznego i ponad dziesięć milionów w promieniu tysiąca lat świetlnych. Według ostrożnych szacunków wokół co najmniej jednej dziesiątej z nich krążyły planety. Sprzedaż na licytacji małej ich części nie wpłynęłaby na przyszłą eksploatację kosmosu.

Ta niezwykła rezolucja ONZ wzbudziła szerokie zainteresowanie. Stali członkowie Rady Obrony Planety (ROP) dokładnie ją rozważyli i każdy z nich doszedł do wniosku, że w przewidywalnej przyszłości nie będzie ona miała żadnych negatywnych konsekwencji. Poza tym głosowanie przeciw niej przyniosłoby w panującym wówczas w polityce międzynarodowej klimacie straty wizerunkowe. Mimo to nie obeszło się bez sporów czy kompromisów i w ostatecznie przyjętej wersji ograniczono się do gwiazd oddalonych o ponad sto lat świetlnych od Ziemi.

Program ten został jednak wstrzymany krótko po jego rozpoczęciu, i to z prostego powodu: nie było chętnych na kupno gwiazd. Wylicytowano zaledwie siedemnaście, a i to za cenę wywoławczą. ONZ zyskała w sumie tylko około czterdziestu milionów dolarów.

Wszyscy nabywcy pozostali anonimowi. Snuto przeróżne spekulacje, dlaczego wydali tyle pieniędzy na kupno bezwartościowego kawałka papieru, nawet jeśli w założeniu miał on wiążącą moc prawną. Może kupujący uznali, że byłoby fajnie posiadać inny świat, ale co komu z tego, że tylko go widzi, lecz nie może dotknąć? Ba, niektórych z tych gwiazd nie było nawet widać gołym okiem.

Say nigdy nie uznała tego programu za porażkę. Twierdziła, że rezultaty okazały się zgodne z jej przewidywaniami. Zasadniczo program Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem był polityczną proklamacją ONZ.

Szybko o nim zapomniano. Był to klasyczny przykład odbiegającego od norm zachowania ludzkości na początku kryzysu.

4 rok ery kryzysu

Yun Tianming

Na drugi dzień po podjęciu decyzji o kupnie gwiazdy dla Cheng Xin Yun Tianming zadzwonił pod numer znajdujący się na stronie internetowej chińskiego biura programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem.

Potem zatelefonował do Hu Wena, żeby uzyskać podstawowe informacje o Cheng Xin: adres kontaktowy, numer dowodu tożsamości i tak dalej. Przygotowany był na to, że Wen zareaguje na jego prośbę sarkazmem, litością, zdziwieniem, ale po długiej ciszy usłyszał tylko ciche westchnienie.

– Nie ma sprawy – rzekł Wen. – Ale prawdopodobnie nie ma jej obecnie w Chinach.

– Tylko nie mów jej, że to ja o to proszę.

– Nie martw się. Nie zapytam jej bezpośrednio.

Następnego dnia Tianming dostał od Wena wiadomość ze wszystkimi informacjami, o które prosił, ale w tekście nie było ani słowa o miejscu zatrudnienia Cheng Xin. Wen wyjaśnił, że nikt nie wie, dokąd się udała po ukończeniu w ubiegłym roku Akademii Technologii Kosmicznej. Podał Tianmingowi jej dwa adresy pocztowe: w Szanghaju i w Nowym Jorku.

Po południu Tianming poprosił doktora Zhanga o przepustkę ze szpitala w celu załatwienia pewnej sprawy. Doktor chciał mu towarzyszyć, ale Tianming uparł się, że pojedzie sam.

Wezwał taksówkę i pojechał do pekińskiego biura UNESCO. Po kryzysie wszystkie agendy ONZ w Pekinie bardzo się rozrosły i UNESCO zajmowała teraz większą część budynku przy Czwartej Obwodnicy.

W przestronnym biurze programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem powitała Tianminga ogromna mapa gwiezdna. Konstelacje gwiazd łączyły srebrne linie na czarnym jak smoła tle. Mapa była wyświetlona na ekranie o dużej rozdzielczości, a znajdujący się obok komputer pozwalał na przeszukiwanie i powiększanie obrazu. W biurze nie było nikogo oprócz recepcjonistki.

Kiedy Tianming się przedstawił, rozgorączkowana recepcjonistka wyszła i wróciła z jakąś blondynką.

– To dyrektorka pekińskiego oddziału UNESCO, a także jedna z osób zajmujących się wdrożeniem programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem w rejonie Azji i Pacyfiku – wyjaśniła.

Również dyrektorka wydawała się bardzo zadowolona z wizyty Tianminga. Podała mu rękę i powiedziała płynną chińszczyzną, że jest pierwszym obywatelem tego kraju zainteresowanym zakupem gwiazdy. Wolałaby zorganizować ceremonię z udziałem środków przekazu, ale ze względu na jego życzenie ochrony prywatności zrezygnowała z tego. Wydawała się bardzo przygnębiona utratą wspaniałej okazji do rozreklamowania programu.

„Nie przejmuj się – pomyślał Tianming. – Żaden inny Chińczyk nie będzie taki durny jak ja”.

Do biura wszedł dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku. Miał okulary na nosie. Dyrektorka przedstawiła go jako doktora He, badacza z obserwatorium w Pekinie. Astronom miał pomóc Tianmingowi ustalić szczegóły zakupu. Po wyjściu dyrektorki poprosił go, by usiadł, i zaproponował herbatę.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał.

Tianming wiedział, że nie wygląda jak okaz zdrowia, ale po zaprzestaniu chemioterapii, która była nieustającą torturą, czuł się dużo lepiej, prawie jakby odżył. Zignorował pytanie i powtórzył prośbę, którą złożył już przez telefon.

– Chcę kupić gwiazdę w prezencie. Tytuł własności gwiazdy powinien zostać zarejestrowany na nazwisko osoby obdarowanej. Nie podam żadnych informacji o sobie, chcę, żeby moja tożsamość pozostała dla niej tajemnicą.

– To żaden problem. Wie pan już, jakiego rodzaju gwiazdę chce pan kupić?

– Znajdującą się jak najbliżej Ziemi. Z planetami. Najlepiej typu ziemskiego – odparł Tianming, patrząc na mapę.

Doktor He potrząsnął głową.

– Przy takiej sumie, jaką pan mi podał, to niemożliwe. Ceny wywoławcze za gwiazdy spełniające te kryteria zaczynają się od kwot dużo wyższych. Może pan kupić tylko gwiazdę bez planet, i to położoną niezbyt blisko. Pozwoli pan, że coś panu powiem: zaproponowana przez pana suma jest za mała nawet na samą gwiazdę, ale po pana wczorajszym telefonie, biorąc pod uwagę fakt, że jest pan pierwszą osobą w Chinach, która wyraziła zainteresowanie naszą ofertą, postanowiliśmy obniżyć cenę wywoławczą jednej z gwiazd do pańskiej propozycji. – Poruszył myszką, powiększając pewien region na mapie. – To ta. Powie pan: „Tak” i jest pańska.

– Jak daleko jest od Ziemi?

– Dwieście osiemdziesiąt sześć i pół roku świetlnego.

– To za daleko.

Doktor He się roześmiał.

– Widzę, że nie jest pan zupełnym laikiem w dziedzinie astronomii. Niech pan pomyśli: czy to, że gwiazda znajduje się dwieście osiemdziesiąt sześć czy dwieście osiemdziesiąt sześć miliardów lat świetlnych od nas, to naprawdę wielka różnica?

Tianming zastanowił się nad tym. Astronom miał rację. Nie było żadnej różnicy.

– Ta gwiazda ma dużą zaletę – powiedział doktor He. – Jest widoczna gołym okiem. Moim zdaniem, kiedy kupuje się gwiazdę, najważniejsze są względy estetyczne. O wiele lepiej jest posiadać odległą gwiazdę, którą widać, niż położoną blisko, ale niewidoczną. Dużo lepiej jest mieć samą gwiazdę, którą widać, niż gwiazdę z planetami, której nie widać. W końcu i tak możemy tylko patrzeć na nią. Nie mam racji?

Tianming kiwnął głową. „Cheng Xin będzie mogła ją widzieć. To dobrze” – pomyślał.

– Jak się nazywa?

– Została skatalogowana przez Tychona Brahe sto lat temu, ale nie otrzymała jakiejś zwyczajowej nazwy. Ma tylko numer.

Doktor He przesunął wskaźnik myszki nad jarzący się punkt i obok niego ukazał się ciąg liter i cyfr: DX3906. Potem cierpliwie wytłumaczył Tianmingowi ich znaczenie, typ gwiazdy, wielkość absolutną i pozorną, położenie w ciągu głównym i tak dalej.

Papierkowa robota związana z zakupem nie zajęła dużo czasu. Aby mieć pewność, że wszystkiego dokonano prawidłowo, doktorowi He pomagało dwóch notariuszy. Potem pojawiła się ponownie dyrektorka, z dwoma urzędnikami z Programu ONZ do spraw Rozwoju i Komisji ONZ do spraw Bogactw Naturalnych. Recepcjonistka wniosła butelkę szampana i wszyscy uczcili zawarcie transakcji.

Dyrektorka oświadczyła, że tytuł własności DX3906 został przyznany Cheng Xin, i wręczyła Tianmingowi najwyraźniej kosztowną czarną skórzaną teczkę ze słowami:

– Pańska gwiazda.

Po wyjściu urzędników doktor He zwrócił się do Tianminga:

– Jeśli pan nie chce, proszę nie odpowiadać, ale zdaje się, że kupił pan tę gwiazdę dziewczynie?

Tianming przez chwilę się wahał, po czym skinął głową.

– Szczęściara! – Doktor He westchnął. – Miło jest być bogatą.

– Tylko nie to! – odezwała się recepcjonistka i pokazała doktorowi język. – Bogatą? Kupiłby pan swojej dziewczynie gwiazdę, nawet gdyby pan miał trzydzieści miliardów juanów? Ha! Nie zapomniałam, co pan powiedział dwa dni temu.

Doktor He był zakłopotany. Obawiał się, że recepcjonistka ujawni jego opinię o programie Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem: „Tę sztuczkę, jaką stosuje teraz ONZ, wypróbowała już ponad dziesięć lat temu banda naciągaczy. Sprzedawali naiwnym ziemię na Księżycu i na Marsie. To byłby cud, gdyby ktoś ponownie dał się na to nabrać!”.

Na szczęście recepcjonistka uderzyła w inną nutę.

– To nie jest tylko kwestia pieniędzy. Tu chodzi o romans. Romans! Rozumie pan?

Przez cały czas finalizowania zakupu młoda kobieta rzucała na Tianminga ukradkowe spojrzenia, jakby był postacią z baśni. Najpierw miała zaciekawioną minę, potem patrzyła na niego z podziwem. W końcu, gdy przekazano mu teczkę z aktem własności gwiazdy, na jej twarzy pojawiła się zazdrość.

Doktor He spróbował zmienić temat.

– Najszybciej jak się da, wyślemy obdarowanej oficjalne dokumenty. Zgodnie z pańskim życzeniem nie ujawnimy żadnych informacji o panu. Zresztą nie moglibyśmy, nawet gdybyśmy chcieli: przecież ja nawet nie znam pańskiego nazwiska! – Wstał i podszedł do okna. – Mogę teraz pokazać pańską gwiazdę… przepraszam, gwiazdę, którą pan jej kupił.

– Możemy ją zobaczyć z dachu tego budynku?

– Nie. W mieście jest zbyt duże zanieczyszczenie świetlne. Będziemy musieli pojechać na dalekie przedmieście. Jeśli nie czuje się pan dobrze, możemy się tam wybrać innego dnia.

– Jedźmy teraz. Naprawdę chcę ją zobaczyć.

Jechali ponad dwie godziny, aż łuna, która otaczała Pekin, została daleko za nimi. By uniknąć świateł przejeżdżających samochodów, doktor He zjechał na pole. Potem wyłączył reflektory i wysiedli. Na późnojesiennym niebie gwiazdy były wyjątkowo jasne.

– Widzi pan Wielką Niedźwiedzicę? Niech pan sobie wyobrazi przekątną przeprowadzoną przez ten czworobok utworzony z gwiazd i przedłuży ją. Widzi pan te trzy gwiazdy, które tworzą trójkąt? Niech pan przeciągnie linię z wierzchołka prostopadle do podstawy. Widzi pan? Właśnie tam. Oto pańska gwiazda – ta, którą pan jej podarował.

Tianming wskazał dwie gwiazdy po kolei, ale doktor He powiedział, że to żadna z nich.

– Znajduje się między tymi dwiema, ale trochę na południe od nich. Jej pozorna wielkość wynosi pięć i pięć dziesiątych. Normalnie potrzeba wyćwiczonego oka, żeby ją znaleźć, ale dziś wieczorem pogoda jest idealna, więc powinien pan móc ją dostrzec. Niech pan zrobi tak: proszę nie szukać jej wprost przed sobą, ale przesunąć wzrok trochę w bok. Widzenie peryferyjne jest bardziej wrażliwe na słabe światło. Kiedy ją pan znajdzie, będzie pan mógł spojrzeć prosto na nią…

Z pomocą doktora He Tianming w końcu znalazł DX3906. Bardzo słabo świeciła, więc za każdym razem gdy osłabła jego uwaga, musiał jej szukać od nowa. Chociaż ludzie powszechnie uważają, że gwiazdy są srebrzyste, dokładna ich obserwacja wykazała, że każda ma inny kolor. DX3906 była ciemnoczerwona.

Doktor He obiecał dać Tianmingowi materiały, które miały mu pomóc znaleźć gwiazdę o każdej porze roku.

– Ma pan szczęście, tak jak dziewczyna, która dostała od pana ten prezent – powiedział.

– Nie sądzę. Jestem bliski śmierci.

Wydawało się, że to wyznanie nie zaskoczyło doktora He. Zapalił papierosa i zaciągał się w milczeniu. Po chwili powiedział:

– Mimo to uważam, że jest pan szczęściarzem. Większość ludzi aż do śmierci nie zaszczyci Wszechświata poza Ziemią nawet jednym spojrzeniem.

Tianming przez chwilę patrzył na doktora He, po czym spojrzał ponownie na niebo i łatwo odnalazł DX3906. Przed jego oczami unosił się dym z papierosa doktora He i przez tę zasłonę mrugało słabe światło gwiazdy. „Kiedy ona je zobaczy, mnie już nie będzie na tym świecie” – pomyślał.

Oczywiście gwiazda, którą widział, i gwiazda, którą miała zobaczyć Cheng Xin, były tylko jej obrazem sprzed dwustu osiemdziesięciu sześciu lat. Jej słabe światło musiało podróżować przez trzy wieki, by dotrzeć do ich siatkówek. Żeby światło rzucane w tej chwili dotarło do Ziemi, musiało minąć kolejnych dwieście osiemdziesiąt sześć lat. Do tej pory Cheng Xin obróci się dawno w proch.

„Jakie będzie jej życie? Może będzie pamiętała, że w morzu gwiazd jest jedna, która należy do niej?”

Miał to być ostatni dzień jego życia.

Tianming chciał zauważyć w nim coś szczególnego, ale niczego takiego nie dostrzegł. Obudził się jak zwykle o siódmej, promyk słońca padł na to samo co zawsze miejsce na ścianie, pogoda nie była wspaniała, ale również nie taka zła, niebo było tego samego szaroniebieskiego koloru, dąb pod oknem miał nagie gałęzie (zamiast, powiedzmy, choćby jednego symbolicznego liścia). Nawet śniadanie było takie samo.

Był to dzień jak każdy inny w jego życiu od dwudziestu ośmiu lat, jedenastu miesięcy i sześciu dni.

Podobnie jak Lao Li, Tianming nie poinformował rodziny o swojej decyzji. Nawet próbował napisać list, który można by było dać jego ojcu po zakończeniu procedury, ale zrezygnował z tego, bo nie wiedział, co powiedzieć.

O dziesiątej wszedł o własnych siłach do pokoju eutanazji, tak spokojnie, jakby udawał się na codzienne badanie. Był czwartą osobą w mieście, która postanowiła skończyć z sobą w ten sposób, więc nie wzbudziło to wielkiego zainteresowania środków przekazu. W pokoju było tylko pięć osób: dwóch notariuszy, dyrektor, pielęgniarka i członek dyrekcji szpitala. Nie było doktora Zhanga.

Mógł odejść w spokoju.

Zgodnie z jego życzeniem nie umieszczono żadnych ozdób. Otaczały go tylko białe ściany normalnej sali szpitalnej. Czuł się nieskrępowany.

Powiedział dyrektorowi, że zna procedurę, a więc jego obecność nie jest konieczna. Dyrektor kiwnął głową i przeszedł za szklaną ścianę. Notariusze szybko skończyli sprawy i zostawili go samego z pielęgniarką. Ta nie okazywała niepokoju i strachu, który musiała pokonać za pierwszym razem.

Wbiła mu igłę w żyłę delikatnie i bez wahania. Tianming poczuł z nią dziwną więź – w końcu była ostatnią osobą, która będzie z nim na tym świecie. Żałował, że nie wie, kto przyjmował go przed blisko dwudziestoma dziewięcioma laty, gdy się narodził. Tamta położna i ta pielęgniarka należały do małej grupy osób, które szczerze starały się mu pomóc w życiu. Chciał im podziękować.

– Dziękuję – powiedział.

Pielęgniarka uśmiechnęła się i wyszła cicho jak kot.

Czy chcesz zakończyć swoje życie? Jeśli tak, wybierz 5. Jeśli nie, wybierz 0.

Urodził się w rodzinie inteligenckiej, ale jego rodzicom brakowało sprytu politycznego i umiejętności zawierania korzystnych znajomości, nie zrobili więc kariery. Chociaż nie należeli do elity, uparli się, by dać mu wykształcenie, które w ich mniemaniu przystało jej członkom. Pozwalali mu czytać tylko klasykę i słuchać muzyki klasycznej, a przyjaciele, których starał się zdobyć, musieli pochodzić z kulturalnych i – ich zdaniem – dystyngowanych rodzin. Mówili mu, że ludzie z ich otoczenia są nieokrzesani i mają prymitywne zainteresowania. Oni mieli bardzo wyrafinowane gusta.

W szkole podstawowej Tianmingowi udało się zaprzyjaźnić z kilkoma kolegami, ale nigdy nie zaprosił ich do domu na zabawę. Wiedział, że rodzice nie pozwoliliby mu przyjaźnić się z takimi „nieokrzesanymi” dziećmi. Gdy znalazł się w szkole średniej, wskutek wzmożonego nacisku rodziców na uzyskanie przez niego elitarnego wykształcenia stał się kompletnym samotnikiem. Wtedy też rodzice się rozwiedli, bo ojciec poznał młodą kobietę, która sprzedawała ubezpieczenia. Potem jego matka wyszła powtórnie za mąż za bogatego przedsiębiorcę.

Tak oto jego oboje rodzice skończyli w związkach z tego rodzaju „nieokrzesanymi” ludźmi, od jakich kazali mu się trzymać z daleka, i wreszcie uświadomili sobie, że nie mieli moralnego prawa narzucać mu wyboru edukacji. Ale co się stało, to się nie odstanie. Tianming nie mógł się wyzwolić z więzów wychowania, które były jak kajdanki zaciskowe – im bardziej starał się z nich oswobodzić, tym mocniej go krępowały. W latach licealnych stawał się coraz bardziej samotny, coraz bardziej wrażliwy i coraz bardziej stronił od innych.

Wszystkie jego wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości były szare.

Nacisnął 5.

Czy chcesz zakończyć swoje życie? Jeśli tak, wybierz 2. Jeśli nie, wybierz 0.

Przed pójściem na studia wyobrażał sobie, że uniwersytet będzie strasznym miejscem: nowe, obce otoczenie, nowy, obcy tłum, jeszcze więcej rzeczy, do których będzie musiał się przystosować. I gdy po raz pierwszy się tam pojawił, wszystko zdawało się potwierdzać jego obawy.

Dopóki nie poznał Cheng Xin.

Dziewczyny pociągały go już wcześniej, ale nie aż tak. Wydawało mu się, że wszystko wokół niego, wcześniej zimne i obce, było teraz przesycone ciepłym słonecznym światłem. Najpierw nie rozumiał, skąd się ono bierze. Było zupełnie tak, jakby słońce przenikało przez grubą warstwę chmur, widoczne dla obserwatorów tylko jako zamglona kula. Dopiero kiedy zniknęło, ludzie pojęli, że to ono było przez cały dzień źródłem światła. Słońce Tianminga zniknęło na początku trwającego tydzień święta ustanowienia Chińskiej Republiki Ludowej, gdy Cheng Xin wyjechała do

domu. Tianming odniósł wrażenie, że wszystko wokół stało się szare i ponure.

Było prawie pewne, że poczuł się wtedy tak niejeden chłopak. Ale Tianming nie cierpiał tak jak pozostali, ponieważ nie miał nadziei, że jego pragnienie się spełni. Wiedział, że dziewczęta nie lubią jego rezerwy, jego wrażliwości. Mógł tylko patrzeć na nią z daleka i kąpać się w ciepłym świetle, którym promieniowała, cicho podziwiając piękno wiosny.

Początkowo Cheng Xin wydawała się małomówna. Piękne kobiety często zachowują się powściągliwie, ale Cheng nie była królową lodu. Wprawdzie rzadko się odzywała, ale słuchała, naprawdę słuchała. Gdy z kimś rozmawiała, jej skupione, spokojne spojrzenie mówiło rozmówcy, że jest dla niej ważny.

Cheng Xin różniła się od ślicznych dziewcząt, z którymi Tianming chodził do liceum. Nie ignorowała jego obecności. Za każdym razem gdy go spotykała, uśmiechała się i mówiła: „Cześć”. Zdarzało się, że podczas organizowania wyjazdów czy przyjęć koledzy z roku o nim zapominali. Ale Cheng Xin zawsze zdołała go znaleźć i zaprosić. Później pierwsza z grupy zaczęła zwracać się do niego tylko per „Tianming”, bez podawania nazwiska. Podczas tych – wprawdzie bardzo ograniczonych – kontaktów najbardziej zapadło mu w serce to, że była jedyną osobą, która zdawała się rozumieć, jaki jest wrażliwy, i starała się nie sprawić mu bólu jakąś niestosowną uwagą.

Ale Tianming nigdy tego nie wyolbrzymiał. Była taka, jak powiedział Hu Wen – miła dla każdego.

Szczególnie zapadło mu w pamięć jedno wydarzenie. Wspinali się z kolegami na małą górę. Cheng Xin nagle przystanęła, pochyliła się i podniosła coś z kamiennych stopni szlaku. Była to brzydka gąsienica, miękka i wilgotna, która wiła się w jej białych palcach. Dziewczyna, która

szła obok niej, krzyknęła: „Ależ to wstrętny robal! Dlaczego go dotykasz?”. Cheng Xin delikatnie położyła gąsienicę w trawę przy szlaku. „Ktoś mógłby ją rozdeptać” – odparła.

Prawdę mówiąc, Tianming bardzo mało z nią rozmawiał. Z czterech lat studiów zapamiętał raptem kilka rozmów w cztery oczy.

Był chłodny wieczór wczesnym latem. Tianming wdrapał się na taras na dachu biblioteki, swoje ulubione miejsce. Przychodziło tam niewielu studentów, więc mógł być sam ze swoimi myślami. Po burzy niebo było czyste. Świeciła na nim nawet normalnie niewidoczna Droga Mleczna.

– Naprawdę wygląda, jakby była z mleka![*]

Tianming zerknął na osobę, która to powiedziała. Wiatr rozwiewał włosy Cheng Xin zupełnie jak w jego śnie. Potem oboje popatrzyli na galaktykę.

– Jest tam tyle gwiazd – rzekł Tianming. – Wyglądają jak mgła.

Cheng Xin odwróciła się do niego i wskazała na kampus i miasto w dole.

– To też jest piękne. Pamiętaj, że żyjemy tutaj, nie w odległej galaktyce.

– Ale przecież studiujemy inżynierię kosmonautyczną. Naszym celem jest odlecieć z Ziemi.

– Po to, by polepszyć tutaj życie, nie po to, by opuścić naszą planetę.

Tianming zrozumiał, że Cheng Xin chciała mu delikatnie wytknąć jego rezerwę i samotność, ale nic nie odpowiedział. Wtedy był najbliżej niej. Być może poniosła go wyobraźnia, ale wydawało mu się, że czuje ciepło promieniujące z jej ciała. Pragnął, by wiatr zmienił kierunek i kilka pasemek jej włosów musnęło jego twarz.

Cztery lata licencjatu dobiegły końca. Tianming nie dostał się na studia magisterskie, natomiast Cheng Xin przyjęto na nie bez problemu. Pojechała na wakacje do domu, ale Tianming ociągał się z wyjazdem. Jego jedynym celem było zobaczyć ją znowu na początku nowego roku akademickiego. Nie miał prawa pozostać w domu studenckim, więc wynajął pokój

w pobliżu kampusu i starał się znaleźć pracę. Wysyłał życiorys za życiorysem i chodził na niezliczone rozmowy z potencjalnymi pracodawcami, ale nic to nie dało. Nim się zorientował, minęło lato.

Wrócił na kampus, ale nie mógł znaleźć Cheng Xin. Zasięgnął ostrożnie informacji i dowiedział się, że wraz ze swoim promotorem pojechała na studia magisterskie do Akademii Technologii Kosmicznej w Szanghaju. Tego samego dnia Tianming znalazł w końcu pracę w nowej firmie cywilnego transferu technologii kosmicznej, która rozpaczliwie potrzebowała wykwalifikowanych inżynierów.

I tak oto Tianminga opuściło jego słońce. Z bólem serca wkroczył w prawdziwe życie.

Nacisnął 2.

Czy chcesz zakończyć swoje życie? Jeśli tak, wybierz 4. Jeśli nie, wybierz 0.

Przez pewien czas tuż po rozpoczęciu pracy czuł się szczęśliwy. Odkrył, że w porównaniu z rywalizującymi między sobą kolegami na studiach ludzie w świecie biznesu byli dużo bardziej tolerancyjni i łatwiejsi we współżyciu. Myślał nawet, że skończyły się dla niego dni izolacji towarzyskiej i samotności. Kiedy jednak po kilku biurowych rozgrywkach i złych rozwiązaniach wylądował na szarym końcu, zrozumiał, że rzeczywisty świat jest okrutny, i zatęsknił za życiem studenckim. Ponownie zamknął się w swojej skorupie i odseparował od tłumu. Oczywiście miało to katastrofalne skutki dla jego kariery. Nawet w przedsiębiorstwie państwowym, takim jak jego firma, panowała zacięta rywalizacja. Jeśli ktoś trzymał się na uboczu, nie miał szans na awans. Z roku na rok Tianming zostawał coraz bardziej w tyle.

W owym czasie spotykał się z dwiema kobietami, ale oba związki szybko skończyły się fiaskiem. Nie dlatego, że jego serce było już zajęte przez Cheng Xin, bo dla niego pozostawała ona zawsze słońcem za zasłoną chmur. Chciał tylko patrzeć na nią, czuć jej światło i ciepło. Nie śmiał nawet marzyć, by zrobić jakiś krok w jej stronę. Nigdy nie szukał wieści o niej. Przypuszczał, że ze swoją inteligencją zrobi doktorat, ale nie snuł żadnych domysłów na temat jej życia osobistego. Główną przeszkodą w stosunkach z kobietami była jego skrytość. Starał się prowadzić normalne życie, ale było to za trudne.

Właściwie nie nadawał się ani do życia w społeczeństwie, ani poza nim. Brak mu było umiejętności odnoszenia sukcesów w społeczeństwie, ale także środków, by je ignorować. Mógł jedynie egzystować na jego marginesie i cierpieć. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza.

Ale wtedy dojrzał koniec tej drogi.

Nacisnął 4.

Czy chcesz zakończyć swoje życie? Jeśli tak, wybierz 1. Jeśli nie, wybierz 0.

Kiedy wykryto u niego raka płuc, był on już w stadium zaawansowanym. Może wcześniej postawiono błędną diagnozę. Rak płuc jest jednym z tych nowotworów złośliwych, które się szybko rozwijają, więc nie zostało mu już dużo czasu.

Kiedy opuszczał szpital, nie był przerażony. Jedyną emocją, którą odczuwał, była gorycz osamotnienia. Wzbierała w nim od dawna, ale powstrzymywała ją niewidzialna tama. Była to pewna równowaga, którą mógł znieść. Teraz jednak ta tama runęła i lata samotności przytłoczyły go niczym ciemny ocean. Tego było już za dużo.

Chciał zobaczyć Cheng Xin.

Bez wahania kupił bilet na samolot i jeszcze tego popołudnia poleciał do Szanghaju. Gdy zamówiona przez niego taksówka podjechała pod podany adres, jego zapał nieco osłabł. Powiedział sobie, że jako osoba, która ma wkrótce umrzeć, nie powinien jej niepokoić. Nie da jej nawet znać, że tu jest. Chciał tylko popatrzeć na nią z daleka, jak tonący, który próbuje wziąć ostatni oddech, zanim woda pochłonie go na zawsze.

Stojąc przed bramą Akademii Technologii Kosmicznej, jeszcze bardziej się uspokoił. Widział teraz, jak nieracjonalnie się zachowywał w minionych kilku godzinach. Nawet jeśli Cheng Xin zdecydowała się na studia doktoranckie, do tej pory już by je skończyła i może nawet nie pracowała tutaj. Z rozmowy ze strażnikiem przed bramą dowiedział się, że w akademii jest zatrudnionych ponad dwadzieścia tysięcy osób, więc jeśli chciał kogoś znaleźć, musiał znać nazwę wydziału, na którym ten ktoś pracował. Skoro stracił kontakt z kolegami ze studiów, nie mógł podać strażnikowi żadnych dokładnych informacji.

Zasłabł i zabrakło mu tchu, więc usiadł nieopodal bramy.

Nadal było możliwe, że Cheng Xin tutaj pracuje. Zbliżał się koniec dnia pracy, zatem jeśli poczeka, może ją zobaczy.

Brama akademii była bardzo szeroka. Na czarnym murze obok niej widniała wyryta dużymi złotymi znakami nazwa tej instytucji, która od czasu powstania bardzo się rozrosła. Czy do takiego dużego kompleksu nie prowadziłoby więcej wejść? Podniósł się z trudem i znowu zapytał strażnika. Rzeczywiście były jeszcze cztery inne wejścia.

Powoli wrócił na swoje miejsce, usiadł i czekał. Nie miał wyboru.

Rachunek prawdopodobieństwa był niepomyślny. Cheng Xin musiałaby pracować tutaj po doktoracie, być na uczelni, a nie w podróży służbowej, wybrać to wyjście zamiast któregoś z pozostałych.

Ta chwila była jak reszta jego życia – czekanie na wątły promyk nadziei.

Dzień pracy dobiegł końca i ludzie zaczęli opuszczać kompleks – niektórzy pieszo, niektórzy na rowerach, inni samochodami. Strumień ludzi rósł, potem się skurczył. Po godzinie zostało tylko kilku maruderów.

Cheng Xin się nie pojawiła.

Był pewien, że nie przeoczyłby jej, nawet gdyby jechała samochodem. Oznaczało to, że albo już tu nie pracuje, albo nie przyszła dzisiaj do pracy, albo skorzystała z innego wyjścia.

Zachodzące słońce wydłużało cienie budynków i drzew, które wyglądały jak ręce wyciągnięte ku niemu z litością.

Pozostał na miejscu, aż zapadł zupełny zmrok. Nie pamiętał, jak udało mu się przywołać taksówkę, by zawiozła go na lotnisko, jak leciał z powrotem do swojego miasta, jak wrócił do hotelu pracowniczego swojej firmy.

Czuł, że jest już martwy.

Wcisnął 1.

Czy chcesz zakończyć swoje życie? To ostatnie pytanie. Jeśli tak, wybierz 3. Jeśli nie, wybierz 0.

Jakie chciałby mieć epitafium? Nie był nawet pewien, czy będzie pochowany w grobie. Kwatery cmentarne w okolicach Pekinu były drogie. Nawet gdyby ojciec chciał mu jakąś kupić, siostra prawdopodobnie by się na to nie zgodziła – ona nadal żyła, a nie miała nawet własnego mieszkania! Najpewniej jego prochy spoczną w skrytce w murze na cmentarzu Babaoshan. Gdyby jednak miał nagrobek, chciałby, by napisano na nim:

„Przyszedł, kochał, dał jej gwiazdę, odszedł”.

Wcisnął 3.

Po drugiej stronie szklanej ściany nastąpiło jakieś zamieszanie. Akurat w chwili gdy Tianming naciskał przycisk myszki, drzwi do pokoju eutanazji otworzyły się z impetem i wpadła tam grupa ludzi.

Na przedzie pędził dyrektor, który skoczył do wyłącznika automatycznego aparatu do wstrzykiwania. Pracownik administracji szpitalnej, który biegł za nim, wyrwał ze ściany kabel aparatu. Za nimi pokazała się pielęgniarka, która tak mocno wyszarpnęła rurkę przymocowaną do igły tkwiącej w ręce Tianminga, że poczuł ostry ból.

Wszyscy zebrali się wokół rurki i badali ją.

– Było blisko! Ale do jego organizmu nie dostała się ani kropla – powiedział ktoś.

Potem pielęgniarka zaczęła bandażować krwawiącą lewą rękę Tianminga.

Za drzwiami pokoju eutanazji stała tylko jedna osoba.

W oczach Tianminga jednak cały świat pojaśniał – była to Cheng Xin.

Poczuł wilgoć na piersi – łzy Cheng Xin przesiąkły przez jego ubranie.

Kiedy ją zobaczył za drzwiami, pomyślał, że wcale się nie zmieniła, ale teraz zauważył, że ma krótsze włosy. Nie spływały już jej na ramiona, lecz kończyły się na karku. Ich końce ładnie się zakręcały. Nadal nie miał odwagi wyciągnąć ręki i ich dotknąć, do czego od dawna tęsknił.

„Jestem naprawdę do niczego” – pomyślał, ale czuł się jak w niebie.

Cisza wydawała mu się rajskim spokojem. Chciał, by trwała. „Nie możesz mnie uratować – powiedział do niej w myślach. – Posłucham cię i nie poddam się eutanazji, ale i tak skończę w tym samym miejscu. Mam nadzieję, że przyjmiesz gwiazdę, którą ci podarowałem, i znajdziesz szczęście”.

Cheng Xin zdawała się słyszeć ten jego monolog wewnętrzny. Podniosła głowę. Jej oczy po raz pierwszy znalazły się tak blisko jego oczu, bliżej, niż kiedykolwiek śmiał marzyć. Łzy sprawiły, że były jeszcze piękniejsze. Ale kiedy w końcu przemówiła, powiedziała zupełnie nie to, czego się spodziewał.

– Tianming, wiedziałeś, że eutanazję dopuszczono specjalnie z myślą o tobie?

* Czytelnik anglojęzyczny [również polski] mógłby odnieść mylne wrażenie, że także w języku chińskim nasza galaktyka nosi nazwę „Droga Mleczna”. Tymczasem zwana jest ona *Yinhe*, czyli „Srebrna Rzeka”, ale chińscy studenci znają nazwę angielską, ponieważ przez wiele lat uczą się tego języka.

Lata 1–4 ery kryzysu

Cheng Xin

Początek kryzysu trisolariańskiego zbiegł się w czasie z ukończeniem przez Cheng Xin studiów magisterskich, więc została przyjęta do zespołu pracującego nad projektem układu napędowego następnej generacji rakiet Długi Marsz. Innym wydawało się, że jest to idealna praca – ważna i ciesząca się wielkim uznaniem, ale ona sama szybko straciła serce do wybranego przez siebie zawodu.

Stopniowo zaczęła postrzegać rakiety o napędzie chemicznym jako coś podobnego do ogromnych kominów fabrycznych z początków epoki przemysłowej. Wówczas poeci opiewali dymiące kominy, utożsamiając je z cywilizacją przemysłową. Teraz w taki sam sposób zachwycano się rakietami, traktując je jako symbole epoki kosmicznej. Cheng Xin uważała, że jeśli ludzkość będzie polegać na rakietach o napędzie chemicznym, być może nigdy nie stanie się gatunkiem naprawdę penetrującym kosmos.

Kryzys trisolariański tylko uwypuklił ten fakt. Próba stworzenia systemu obrony Układu Słonecznego opartego na rakietach o napędzie chemicznym była czystym szaleństwem. Cheng Xin podjęła trud poszerzenia swoich kwalifikacji zawodowych i zaliczyła kilka kursów poświęconych napędowi jądrowemu. Po kryzysie przyspieszyły wszystkie prace nad technologią kosmiczną, dano nawet zielone światło długo odwlekanemu projektowi budowy samolotu kosmicznego pierwszej generacji. Wydawało się, że Cheng Xin czeka świetlana przyszłość – doceniano jej zdolności,

a większość głównych inżynierów w chińskim przemyśle kosmicznym zaczynała karierę od prac nad napędem. Ponieważ jednak uważała, że rakiety o napędzie chemicznym opierają się na przestarzałej technologii, nie sądziła, że zajdzie daleko. Kroczenie w złym kierunku było gorsze niż nicnierobienie, ale praca wymagała od niej ciągłego skupienia uwagi. Była bardzo sfrustrowana.

Wtedy pojawiła się szansa na odejście od rakiet o napędzie chemicznym. Organizacja Narodów Zjednoczonych zaczęła tworzyć przeróżne agencje związane z obroną planety. W odróżnieniu od agencji oenzetowskich z przeszłości nowe podlegały bezpośrednio ROP, a ich personel składał się ze specjalistów z różnych krajów. Chiński sektor kosmiczny skierował do nich wiele osób. Urzędnik wysokiego szczebla zaproponował Cheng Xin nowe stanowisko: asystentki dyrektora Centrum Planowania Technologii przy Agencji Wywiadu Strategicznego ROP. Praca wywiadowcza ludzkości koncentrowała się dotąd na RZT, ale Agencja Wywiadu Strategicznego ROP, czyli Planetarna Agencja Wywiadowcza, w skrócie PAW, miała się skupić bezpośrednio na flocie trisolariańskiej i samej Trisolaris. Potrzebni jej byli ludzie dobrze obeznani z technicznymi aspektami technologii kosmicznej.

Cheng Xin przyjęła tę propozycję bez wahania.

Dowództwo PAW mieściło się w pięciopiętrowym budynku nieopodal siedziby ONZ. Pochodzący z końca osiemnastego wieku dom miał silną konstrukcję i był zwalisty jak bryła granitu. Gdy Cheng Xin weszła tam po raz pierwszy po podróży samolotem nad Pacyfikiem, poczuła dreszczyk, jakby wkraczała do zamku. Był zupełnie inny, niż się spodziewała –

bardziej niż siedzibę światowej agencji wywiadowczej przypominał miejsce, gdzie szeptem snuto bizantyńskie intrygi.

W środku było prawie pusto; Cheng Xin była jedną z pierwszych osób, które zameldowały się na stanowisku. W gabinecie pełnym nieustawionych mebli i dopiero rozpakowanych kartonowych pudeł spotkała się ze swym szefem, dyrektorem Centrum Planowania Technologii.

Michaił Wadimow miał czterdzieści kilka lat, był wysoki, muskularny, i mówił po angielsku z silnym rosyjskim akcentem. Dopiero po paru minutach Cheng Xin zorientowała się, że to w ogóle jest angielski. Siedział na kartonowym pudle i narzekał, że skoro przepracował w przemyśle kosmicznym ponad dziesięć lat, nie potrzebuje żadnego asystenta do spraw technicznych. Jego zdaniem każde państwo chciało zapełnić PAW swoimi ludźmi, ale było dużo mniej chętne do dawania żywej gotówki. Potem uświadomił sobie chyba, że mówi to pełnej nadziei młodej kobiecie, która jest coraz bardziej rozczarowana jego utyskiwaniami, i by ją pocieszyć, powiedział:

– Jeśli tej agencji uda się wejść do historii, co jest bardzo możliwe, nawet jeśli nie będzie to zbyt szczęśliwa historia, my dwoje zostaniemy zapamiętani jako pierwsi, którzy się tu pojawili!

To, że jej szef też pracował w przemyśle kosmicznym, dodało Cheng Xin otuchy. Zapytała, czym się zajmował. Wspomniał beztrosko o jakimś stanowisku w programie budowy wahadłowca Buran, dodał, że był głównym projektantem pewnego towarowego statku kosmicznego, ale później jego wyjaśnienia stały się mętne. Twierdził, że służył przez kilka lat w dyplomacji, a następnie w „pewnym wydziale”, który zajmował się „tym samym, czym teraz zajmujemy się tutaj”.

– Lepiej, żeby nie wnikała pani za bardzo w historię zatrudnienia swoich przyszłych kolegów. Rozumiemy się? – rzekł na koniec. – Naczelny też już

tu jest. Ma gabinet na górze. Powinna pani tam wpaść i przywitać się z nim, ale niech mu pani nie zabierze za dużo czasu.

Po wejściu do przestronnego gabinetu szefa PAW Cheng Xin powitał silny zapach dymu z cygara. Na ścianie wisiał duży obraz. Jego większą część zajmowało ołowiane niebo i zamglona, pokryta śniegiem ziemia; w oddali, gdzie chmury stykały się ze śniegiem, majaczyły ciemne kształty. Po bliższym przyjrzeniu się okazało się, że to brudne budynki, z których większość stanowiły drewniane parterowe chaty. Między nimi znajdowało się kilka jedno- i dwupiętrowych domów w europejskim stylu. Jak można było sądzić z kształtu rzeki na pierwszym planie i paru innych wskazówek, był to pejzaż Nowego Jorku z początku osiemnastego wieku. Od obrazu wiało chłodem, który – jak pomyślała Cheng Xin – dość dobrze pasował do siedzącej pod nim osoby.

Obok dużego wisiał mniejszy obraz. Głównym przedmiotem na nim był starożytny miecz ze złotą rękojeścią i lśniącym ostrzem, który trzymała ręka w brązowej rękawicy – widoczne było tylko przedramię. Ręka ta sięgała mieczem po unoszący się na wodzie wieniec spleciony z czerwonych, białych i żółtych kwiatów. W przeciwieństwie do dużego obrazu ten był utrzymany w żywych kolorach, ale mimo to sprawiał upiorne wrażenie. Cheng Xin zauważyła na białych kwiatach plamki krwi.

Szef PAW, Thomas Wade, Amerykanin, był dużo młodszy, niż się spodziewała – wyglądał na młodszego od Wadimowa. Był też bardziej przystojny, miał bardzo klasyczne rysy. Później doszła do wniosku, że ten klasyczny wygląd brał się głównie stąd, iż jego twarz była pozbawiona wyrazu, jakby należała do posągu przeniesionego z zimnego obrazu za nim. Nie wydawał się zajęty, biurko przed nim było zupełnie puste, bez śladu komputera czy papierowych dokumentów. Zerknął na nią, gdy weszła, ale zaraz powrócił do kontemplacji cygara, które trzymał w prawym ręku.

Cheng Xin przedstawiła się, oznajmiła, że jest jej miło, iż będzie mogła się od niego uczyć, i kontynuowała przemowę, dopóki nie podniósł wzroku i nie spojrzał na nią.

Zobaczyła w jego oczach wyczerpanie i rozleniwienie, ale było w nich też coś głębszego, coś ostrego, co sprawiło, że poczuła się nieswojo. Na twarzy Wade'a pojawił się uśmiech niczym woda sącząca się ze szczeliny w lodzie pokrywającym rzekę. Nie było w nim ciepła i nie rozluźniła się na jego widok.

Starała się również uśmiechnąć, ale pierwsze słowa, które popłynęły z jego ust, zmroziły ją.

– Czy sprzedałabyś swoją matkę do burdelu?

Cheng Xin potrząsnęła głową, ale nawet nie próbowała odpowiedzieć na to pytanie – bała się, że nie zrozumiała tego, co powiedział. Ale Wade machnął cygarem.

– Dzięki. Idź robić to, co trzeba.

Kiedy powiedziała o tym Wadimowowi, roześmiał się.

– To tylko takie powiedzenie, które było kiedyś popularne w naszej… robocie. Słyszałem, że narodziło się podczas drugiej wojny światowej. Weterani żartowali sobie w ten sposób z nowicjuszy. Jego sens jest taki: nasz zawód jest jedynym na Ziemi, w którym sednem są kłamstwa i zdrada. Jeśli chodzi o powszechnie przyjęte zasady etyczne, musimy być… elastyczni. PAW składa się z dwóch grup ludzi: niektórzy są, tak jak pani, ekspertami technicznymi, inni to weterani z różnych agencji wywiadowczych na całym świecie. Każda z tych grup ma odmienny sposób myślenia i działania. Dobrze, że znam obie, bo mogę pomóc pani przystosować się do tej drugiej.

– Ale przecież naszym wrogiem jest Trisolaris. To nie ma nic wspólnego z tradycyjnym wywiadem.

– Niektóre rzeczy są stałe.

W ciągu następnych kilku dni zgłosili się do pracy inni nowi członkowie personelu PAW. Większość z nich pochodziła z krajów, które były stałymi członkami ROP.

Wszyscy byli dla siebie nawzajem mili, ale nie było wśród nich wzajemnego zaufania. Specjaliści do spraw technicznych trzymali się na dystans i zachowywali się tak, jakby w każdej chwili mieli się na baczności. Starzy wyjadacze ze służb wywiadu byli towarzyscy i przyjaźni, ale stale patrzyli, jak coś zwędzić.

Było dokładnie tak, jak przewidywał Wadimow – tych ludzi o wiele bardziej interesowało wzajemne szpiegowanie niż zbieranie informacji o Trisolaris.

Dwa dni po przybyciu Cheng Xin PAW zorganizowała pierwsze zebranie walne, mimo że nie pojawili się jeszcze wszyscy pracownicy. Oprócz szefa Wade’a wzięli w nim udział jego trzej zastępcy: jeden z Chin, drugi z Francji, trzeci z Wielkiej Brytanii.

Pierwszy zabrał głos wicedyrektor Yu Weiming. Cheng Xin nie miała pojęcia, czym zajmował się w Chinach, a miał twarz, którą można było zapamiętać dopiero po wielu spotkaniach. Na szczęście nie miał powszechnego wśród chińskich biurokratów zwyczaju wygłaszania długich, zawiłych przemówień. Chociaż powtarzał banały o misji PAW, przynajmniej mówił zwięźle.

Powiedział, że rozumie, iż skoro wszyscy członkowie zostali wysłani tam przez swoje kraje, obowiązuje ich podwójna lojalność. PAW nie wymaga, a nawet nie oczekuje od nich, by przedkładali lojalność wobec agencji nad obowiązki wobec państw, z których pochodzą, ponieważ jednak zadaniem

PAW jest obrona całego rodzaju ludzkiego, ma nadzieję, że wszyscy obecni będą przynajmniej się starali zrównoważyć te odmienne zobowiązania. Zważywszy na to, że PAW ma się przeciwstawiać zagrożeniu ze strony Trisolaris, powinni być najbardziej zjednoczoną z nowych agencji.

Cheng Xin zauważyła, że podczas przemówienia Yu Wade odpychał się od nogi stołu konferencyjnego i powoli odsuwał ze swoim krzesłem, jakby nie chciał tam być. Później, ilekroć proszono go, by powiedział kilka słów, potrząsał odmownie głową.

Odezwał się dopiero wtedy, kiedy wypowiedzieli się wszyscy, którzy chcieli. Wskazując stertę pudeł i świeżo dostarczonych materiałów biurowych w sali zebrań, oświadczył:

– Chciałbym, żeby reszta z was zajęła się tymi sprawami w swoim zakresie. – Najwyraźniej miał na myśli szczegóły administracyjne związane z rozpoczęciem pracy agencji. – Proszę, byście nie zajmowali czasu ani mnie, ani im. – Wskazał Wadimowa i podległy mu personel. – Wszyscy, którzy mają doświadczenie w inżynierii kosmonautycznej, zostają. Reszta wychodzi.

W znacznie mniej zatłoczonej sali konferencyjnej pozostało kilkanaście osób. Gdy tylko zamknęły się ciężkie dębowe drzwi, Wade zrzucił swoją bombę:

– PAW musi wysłać w kierunku floty trisolariańskiej sondę szpiegowską.

Oszołomieni członkowie personelu popatrzyli po sobie. Cheng Xin też była zdumiona. Oczywiście miała nadzieję, że szybko dostanie coś konkretnego do zrobienia, ale nie spodziewała się aż takiego tempa i takiej bezpośredniości. Z uwagi na to, że PAW została dopiero utworzona i nie miała na razie żadnych oddziałów krajowych ani regionalnych, wydawała się nieprzygotowana do realizacji tak wielkich projektów. Jednak naprawdę

szokująca była śmiałość propozycji Wade’a – wyzwania technologiczne i inne przeszkody zdawały się niemożliwe do pokonania.

– Jakie są konkretne wymogi? – zapytał Wadimow. Był jedynym człowiekiem, który przyjął oświadczenie Wade’a bez mrugnięcia okiem.

– Konsultowałem się z przedstawicielami stałych członków ROP, ale ten pomysł nie został jeszcze oficjalnie zgłoszony. W oparciu o to, co wiem, członków ROP najbardziej interesuje jeden konkretny wymóg, i w tej sprawie nie pójdą na żaden kompromis: sonda musi osiągnąć jeden procent prędkości światła. Jeśli chodzi o inne parametry, członkowie ROP mają różne pomysły, ale jestem pewien, że w toku oficjalnych dyskusji dojdą do porozumienia.

– Pozwólcie, że ujmę to krótko – powiedział ekspert NASA. – Przy tych parametrach misji i przy założeniu, że będziemy się martwić tylko przyspieszeniem i nie damy sondzie żadnych możliwości hamowania, dotarcie do Obłoku Oorta zajmie jej dwa do trzech stuleci. Tam przechwyci i zbada hamującą flotę trisolariańską. Proszę mi wybaczyć, ale zdaje się, że ten projekt lepiej zostawić na przyszłość.

Wade potrząsnął głową.

– Odkąd sofony latają z prędkością światła wokół Ziemi, stale nas szpiegują i blokują wszystkie badania w naukach podstawowych, nie jest pewne, czy w przyszłości uda się nam dokonać znaczącego postępu technologicznego. Jeśli ludzkość jest skazana na wleczenie się w ślimaczym tempie przez przestrzeń kosmiczną, to lepiej zacząć te prace jak najszybciej.

Cheng Xin podejrzewała, że plan Wade’a jest przynajmniej częściowo motywowany polityką. Pierwsze próby nawiązania aktywnego kontaktu z cywilizacją pozaziemską bardzo podniosłyby prestiż PAW.

– Ale w obecnym stanie naszej technologii kosmicznej dotarcie do Obłoku Oorta zajmie dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy lat. Nawet gdybyśmy wystrzelili tę sondę teraz, to za czterysta lat, kiedy przybędzie tu flota trisolariańska, nie znaleźlibyśmy się daleko od drzwi Ziemi.

– I właśnie dlatego musi ona osiągnąć jeden procent prędkości światła.

– Mówi pan o stukrotnym zwiększeniu naszej obecnej prędkości maksymalnej! To wymaga zupełnie nowej formy napędu. Nie da się tego zrobić z zastosowaniem współczesnej technologii i nie ma powodu przypuszczać, że w przewidywalnej przyszłości nastąpi w tej dziedzinie przełom. Ta propozycja jest po prostu niewykonalna.

Wade walnął pięścią w stół.

– Zapominacie, że mamy teraz środki! Wcześniej podróże kosmiczne były luksusem, teraz są absolutną koniecznością. Możemy prosić o środki znacznie przekraczające to, co było wcześniej wyobrażalne. Możemy je wykorzystywać w pracy nad tym problemem, dopóki nie ugną się prawa fizyki. Użyjcie brutalnej siły, jeśli będzie trzeba, ale musimy przyspieszyć tę sondę do jednego procenta prędkości światła!

Wadimow instynktownie rozejrzał się po sali. Wade zerknął na niego.

– Niech się pan nie martwi. Nie ma tu żadnych dziennikarzy ani osób postronnych.

Wadimow się roześmiał.

– Bez urazy, ale jeśli nasza agencja ogłosi, że chcemy wykorzystywać środki do pracy nad tym problemem, dopóki nie ugną się prawa fizyki, to staniemy się dla całego świata pośmiewiskiem. Proszę, niech pan nie powtarza tego przed ROP.

– I tak już wiem, że wszyscy się ze mnie śmiejecie.

Wszyscy zamknęli usta na kłódki. Chcieli, żeby to zebranie już się skończyło. Wade spojrzał na każdego po kolei, a potem zwrócił wzrok na

Cheng Xin.

– Nie, nie wszyscy. Ona się nie śmieje. – Wskazał ją palcem. – Co pani myśli, Cheng?

Pod jego przenikliwym spojrzeniem poczuła się tak, jakby kierował w jej stronę nie palec, lecz miecz. Rozejrzała się bezradnie. Kim była, żeby zabierać głos w tej sprawie?

– Musimy wcielić tu DM – powiedział Wade.

Cheng Xin była jeszcze bardziej skonsternowana. DM? Doktor medycyny?

– Przecież jest pani Chinką! Jak może pani nie wiedzieć, co to jest DM?

Spojrzała na pozostałych pięciu Chińczyków w sali. Wyglądali na tak samo skołowanych.

– Podczas wojny koreańskiej Amerykanie odkryli, że nawet wzięci do niewoli zwykli żołnierze chińscy dużo wiedzieli o strategii swoich wojsk. Okazało się, że wasi dowódcy przedstawiali żołnierzom plany bitw do masowej dyskusji, licząc na to, że w ten sposób znajdą sposoby, żeby je poprawić. Oczywiście nie chcemy, byście wiedzieli aż tyle, jeśli zostaniecie jeńcami Trisolarian.

Kilkoro obecnych się roześmiało. Cheng Xin zrozumiała w końcu, że DM to „demokracja militarna”. Pozostali entuzjastycznie poparli propozycję Wade’a. Oczywiście ci wybitni specjaliści nie spodziewali się, że zwykła asystentka techniczna będzie miała jakieś świetne pomysły, ale byli to przeważnie mężczyźni i myśleli, że dając jej szansę mówienia, będą mieli doskonały pretekst do podziwiania jej przymiotów fizycznych. Cheng Xin zawsze dokładała starań, by ubierać się niezbyt wyzywająco, ale mimo to stale musiała sobie radzić z tego rodzaju nagabywaniem.

– Mam pomysł… – zaczęła.

– Pomysł, jak nagiąć prawa fizyki? – zapytała starsza Francuzka imieniem Camille, bardzo poważana i doświadczona konsultantka Europejskiej Agencji Kosmicznej. Spojrzała pogardliwie na Cheng Xin, jakby ten pokój nie był odpowiednim miejscem dla niej.

– Raczej na to, jak je obejść. – Cheng Xin uśmiechnęła się do niej uprzejmie. – Najbardziej obiecującymi z zasobów, które mamy do dyspozycji, są zapasy broni jądrowej na świecie. Jeśli nie nastąpi jakiś przełom techniczny, będzie to największe źródło energii, którą możemy wystrzelić w kosmos. Wyobraźcie sobie statek czy sondę kosmiczną wyposażony w żagiel radiacyjny, podobny do żagla słonecznego: cienką folię popychaną przez promieniowanie. Gdybyśmy od czasu do czasu detonowali bombę jądrową za tym żaglem…

Rozległo się kilka chichotów. Najgłośniej śmiała się Camille.

– Moja droga, nakreśliłaś nam scenę z komiksu. Twój statek kosmiczny wypełniony jest bombami jądrowymi i ma ogromny żagiel. Na statku znajduje się bohater łudząco podobny do Arnolda Schwarzeneggera. Rzuca te bomby za statek, gdzie wybuchają i go popychają. Och, ależ to świetne! – Gdy reszta zebranych dołączyła do tej wesołości, kontynuowała: – Może zechciałabyś przejrzeć swoją pracę domową z pierwszego roku studiów i powiedzieć mi, po pierwsze, ile bomb jądrowych będzie musiał zabrać ten statek, i po drugie, jakie przyspieszenie zdoła uzyskać przy takim stosunku ciągu do wagi?

– Nie udało się jej nagiąć praw fizyki, ale spełniła drugie życzenie szefa – powiedział inny ekspert. – Przykro mi patrzeć, jak taka piękna dziewczyna pada pod naciskiem brutalnej siły.

Fala śmiechu osiągnęła crescendo.

– Bomby nie będą na statku – odparła spokojnie Cheng Xin. Śmiech ustał jak nożem uciął. – Sama sonda będzie małym jądrem wyposażonym

w sensory przymocowane do dużego żagla, ale musi być lekka jak piórko. Będzie ją wtedy łatwo popychać promieniowaniem pochodzącym z wybuchów jądrowych poza nią.

W sali konferencyjnej zrobiło się bardzo cicho. Wszyscy zastanawiali się, gdzie miałyby się znaleźć te bomby. Kiedy inni przez chwilę drwili z Cheng Xin, Wade zachował chłodną i niewzruszoną minę. Teraz jednak na jego twarzy powoli pojawił się ponownie ten uśmiech niczym woda sącząca się ze szczeliny w lodzie.

Cheng Xin wyjęła z dystrybutora wody stos papierowych kubeczków i ustawiła je w linii na stole konferencyjnym.

– Możemy wcześniej wystrzelić w przestrzeń bomby jądrowe za pomocą rakiet o napędzie chemicznym i rozmieścić je wzdłuż pierwszego etapu toru lotu sondy. – Wzięła ołówek i przesunęła jego końcem po linii od jednego kubeczka do następnego. – Kiedy sonda będzie przelatywać obok każdej z tych bomb, będziemy je detonować tuż za żaglem, nadając jej coraz większe przyspieszenie.

Mężczyźni oderwali spojrzenia od ciała Cheng Xin. W końcu chcieli potraktować jej propozycję poważnie. Tylko Camille patrzyła na nią jak na intruza.

– Możemy nazwać tę technikę „napędem po drodze”. Ten pierwszy odcinek jest etapem przyspieszania i stanowi zaledwie drobny ułamek całego kursu lotu sondy. Według bardzo pobieżnych obliczeń, jeśli użyjemy tysiąca bomb jądrowych, można je rozmieścić wzdłuż drogi o długości około pięciu jednostek astronomicznych, prowadzącej od Ziemi do orbity Jowisza. Możemy nawet rozmieścić je gęściej w granicach orbity Marsa. To jest absolutnie wykonalne przy naszej obecnej technologii.

W ciszy, która potem zapadła, słychać było kilka szeptów. Stopniowo stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej podekscytowane, jak skąpy

deszcz przechodzący w ulewę.

– Nie wpadła pani sama na ten pomysł, prawda? – zapytał Wade. Uważnie przysłuchiwał się dyskusji.

Cheng Xin uśmiechnęła się do niego.

– Mój pomysł opiera się na starej koncepcji znanej w kręgach zajmujących się przemysłem kosmicznym. Coś takiego zaproponował pierwszy już w 1946 roku Stanisław Ulam. To jądrowy napęd pulsacyjny.

– Doktor Cheng – powiedziała Camille – wszyscy wiemy o jądrowym napędzie pulsacyjnym, ale poprzednie propozycje wymagały przewożenia paliwa na statkach. Pomysł rozmieszczenia go wzdłuż trasy statku kosmicznego jest rzeczywiście pani wkładem. Ja przynajmniej nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałam.

Dyskusja stała się zażarta. Grono ekspertów rzuciło się na pomysł Cheng jak wataha głodnych wilków na świeże mięso.

Wade znowu walnął w stół.

– Dość! Nie grzęźnijcie teraz w szczegółach. Nie oceniamy, czy pomysł jest wykonalny – raczej staramy się zorientować, czy warto jest przeprowadzić ocenę jego wykonalności. Skupcie się na przeszkodach w całościowym obrazie rzeczy.

– Najlepsze w tej propozycji jest to, że łatwo jest zacząć ją realizować – rzekł po krótkiej ciszy Wadimow.

Wszyscy od razu zrozumieli sens jego wypowiedzi. Pierwszy etap planu Cheng Xin wymagał wystrzelenia dużej liczby bomb jądrowych na orbitę okołoziemską. Ludzkość nie tylko dysponowała taką technologią, ale ładunki były już na rakietach – można było łatwo użyć w tym celu przeprogramowanych międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Amerykańskie peacekeepery, rosyjskie topole i chińskie dongfengi mogły umieścić ładunki na orbitach wokół Ziemi. Ba, zadanie to mogłyby

wykonać nawet pociski balistyczne średniego zasięgu, gdyby wyposażono je w rakiety nośne. Ten plan byłby dużo tańszy niż plany pokryzysowego rozbrojenia jądrowego, które wymagały zniszczenia tych pocisków.

– Świetnie. Na razie przerwijmy dyskusję nad pomysłem Cheng Xin. Są jakieś inne propozycje? – Wade rozejrzał się po sali.

Kilka osób chyba chciało coś powiedzieć, ale ostatecznie zdecydowało się zachować milczenie. Widocznie każda z nich uznała, że jej pomysł nie może konkurować z propozycją Cheng Xin. W końcu spojrzenia wszystkich znowu skupiły się na niej, ale tym razem z zupełnie innym nastawieniem.

– Jeszcze dwukrotnie zorganizujemy burzę mózgów i zobaczymy, czy uda się nam coś wymyślić. Ale możemy też zacząć badania wykonalności napędu po drodze. Będziemy potrzebowali jakiegoś kryptonimu.

– Skoro prędkość sondy będzie wzrastać o jeden poziom po każdym wybuchu bomby, to będzie to trochę jak wchodzenie po schodach – powiedział Wadimow. – Proponuję, żebyśmy nazwali ten program Klatką Schodową. Poza potrzebą uzyskania przez sondę prędkości finalnej przekraczającej jeden procent prędkości światła musimy pamiętać o innym wymogu, mianowicie jej masie.

– Żagiel radiacyjny może być bardzo cienki i lekki. Przy obecnym stanie materiałoznawstwa możemy wyprodukować żagiel o powierzchni około pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych i ograniczyć jego masę do około pięćdziesięciu kilogramów. To powinno wystarczyć – stwierdził rosyjski ekspert, który kiedyś kierował nieudanym eksperymentem z żaglem słonecznym.

– Wobec tego kluczowym problemem będzie masa samej sondy.

Oczy wszystkich skierowały się na innego mężczyznę, głównego projektanta sondy Cassini–Huygens.

– Jeśli weźmiemy pod uwagę pewne podstawowe czujniki i antenę oraz radioizotopowe źródło energii niezbędne do przesyłania informacji z Obłoku Oorta, powinno się to zmieścić w granicach dwóch–trzech tysięcy kilogramów.

– Nie! – Wadimow potrząsnął głową. – Musi być taka, jak powiedziała Cheng Xin, lekka jak piórko.

– Jeśli zadowolimy się najbardziej podstawowymi czujnikami, to może wystarczy tysiąc kilogramów. Nie mogę zagwarantować, że to się uda, bo nie dajecie mi prawie nic, co mógłbym wykorzystać podczas pracy.

– Będzie pan musiał zrobić ją tak, żeby działała – powiedział Wade. – Włącznie z żaglem masa całej sondy nie może przekroczyć jednej tony. Użyjemy siły całej ludzkości, by nadać tysiącowi kilogramów odpowiednią prędkość. Miejmy nadzieję, że będzie to dostatecznie mała masa.

Przez następny tydzień Cheng Xin spała głównie w samolotach. Jako członkini grupy do zadań specjalnych kierowanej przez Wadimowa krążyła między agencjami kosmicznymi Stanów Zjednoczonych, Chin, Rosji i Europy, koordynując badania wykonalności programu Klatka Schodowa. Przez ten tydzień zwiedziła więcej miejscowości niż w całym swym dotychczasowym życiu, ale oglądała je tylko z okien samochodów i sal konferencyjnych.

Początkowo myśleli, że uda się im skłonić wszystkie agencje do współpracy, ale okazało się to niemożliwe z przyczyn politycznych. W końcu każda agencja wykonała własną analizę. Takie podejście było korzystne, gdyż można było porównać te cztery studia i uzyskać bardziej dokładny wynik, ale oznaczało też dużo więcej pracy dla PAW. Cheng Xin

pracowała nad tym projektem ciężej niż nad czymkolwiek innym w życiu zawodowym – w końcu było to jej dziecko.

Autorzy tych czterech studiów wykonalności szybko doszli do wstępnych wniosków, które były bardzo podobne. Dobra wiadomość była taka, że powierzchnię żagla radiacyjnego można zmniejszyć do dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych, a jego masę, przy zastosowaniu jeszcze nowocześniejszych materiałów, do dwudziestu kilogramów.

Potem była zła wiadomość: aby osiągnąć wymagany jeden procent prędkości światła, trzeba było zmniejszyć masę całej sondy o osiemdziesiąt procent, do zaledwie dwustu kilogramów. Po odjęciu masy zarezerwowanej dla żagla zostawało tylko sto osiemdziesiąt kilogramów na czujniki i urządzenie komunikacyjne.

Wyraz twarzy Wade’a się nie zmienił.

– Nie smućcie się. Mam jeszcze gorszą wiadomość. Na ostatnim zebraniu ROP zawetowano rezolucję o rozpoczęciu programu Klatka Schodowa.

Czterech spośród siedmiu stałych członków ROP głosowało przeciw uchwale. Ich argumenty były zadziwiająco podobne. W przeciwieństwie do technicznego personelu PAW, który miał doświadczenie w przemyśle kosmicznym, nie interesował ich rodzaj napędu. Ich sprzeciw budziło to, że sonda miała zbyt ograniczoną wartość dla wywiadu – „praktycznie zerową”, jak ujął to przedstawiciel USA.

A uważali tak dlatego, że zaproponowana przez PAW sonda nie miałaby żadnych możliwości wyhamowania. Nawet gdyby flota trisolariańska już zwalniała, sonda minęłaby się z nią przy względnej prędkości około pięciu procent prędkości światła (jeśli nie zostałaby przechwycona przez Trisolarian). Miałaby bardzo małą możliwość zbierania informacji. Ponieważ ze względu na jej małą masę aktywne czujniki, takie jak radar,

byłyby niepraktyczne, musiałaby się ograniczyć do biernego odbierania sygnałów, głównie elektromagnetycznych. Tymczasem było niemal pewne, że dysponujący zaawansowaną technologią wróg nie będzie korzystał z promieniowania elektromagnetycznego, lecz raczej z takich środków jak neutrina czy fale grawitacyjne, co było poza zasięgiem obecnej ludzkiej technologii.

Poza tym dzięki obecności sofonów wróg poznałby plan wysłania sondy na wylot, co sprawiłoby, że w ogóle nie byłoby szans na to, iż uzyska się jakieś wartościowe informacje o nim. Realizacja planu budowy sondy wymagałaby ogromnych inwestycji, a korzyści byłyby minimalne. Plan miał raczej czysto symboliczne znaczenie i wielkie mocarstwa po prostu nie były nim zainteresowane. Pozostali trzej stali członkowie ROP głosowali za jego przyjęciem tylko dlatego, że przydałaby się im nowa technologia napędu.

– No i ROP ma rację – stwierdził Wade.

Wszyscy żałowali w milczeniu, że program Klatka Schodowa wylądował w koszu. Najbardziej zawiedziona była Cheng Xin, ale pocieszała się myślą, że chociaż jest młoda i nie może się pochwalić żadnymi osiągnięciami, udało się jej doprowadzić swój pomysł do takiego etapu. Nie było tak źle, a już z pewnością przeszło to jej oczekiwania.

– Pani Cheng, ma pani smutną minę – powiedział Wade. – Widocznie myśli pani, że zarzucamy program Klatka Schodowa.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

– Otóż nie. – Wade wstał i zaczął się przechadzać po sali konferencyjnej. – Od tej pory, czy jest to plan Klatka Schodowa, czy jakikolwiek inny, nie przestajecie nad nim pracować, dopóki nie powiem wam, że kończymy. Zrozumiano? – Porzucił zwykły obojętny ton i zawył jak rozwścieczony dziki zwierz: – Będziemy iść naprzód! Naprzód! Nic nas nie powstrzyma!

Szedł akurat za Cheng Xin. Czuła się tak, jakby za jej plecami doszło do erupcji wulkanu. Skuliła się i o mało sama nie krzyknęła.

– Jaki jest nasz następny krok? – zapytał Wadimow.

– Wyślemy kogoś. – Wade wrócił do swojego normalnego, spokojnego, wypranego z emocji tonu.

Dopiero po chwili reszta osób zebranych w sali, nadal pod wrażeniem jego wybuchu, zrozumiała, co powiedział. Nie mówił o wysłaniu kogoś do ROP, ale z Układu Słonecznego. Proponował wysłanie zwiadowcy do odległego o rok świetlny ponurego, lodowatego Obłoku Oorta, by szpiegował flotę trisolariańską.

Wade zasiadł na swoim miejscu, odepchnął się od nogi stołu i przesunął krzesło do tyłu, by znaleźć się za plecami podwładnych. Ale nikt nie kwapił się, by zabrać głos. Była to powtórka zebrania sprzed tygodnia, kiedy przedstawił pomysł wysłania sondy w stronę floty trisolariańskiej. Wszyscy trawili jego słowa i starali się rozwiązać tę zagadkę. Niebawem doszli do wniosku, że jego pomysł nie jest tak absurdalny, jak początkowo się wydawało.

Hibernacja była już względnie dojrzałą technologią. Można było odbyć podróż w stanie zawieszenia funkcji życiowych. Przy założeniu, że pasażer ważyłby siedemdziesiąt kilogramów, zostawało sto dziesięć kilogramów na sprzęt do hibernacji i kadłub, który przypominałby trumnę. Ale co potem? Jak obudziliby tę osobę po dwustu latach, gdy sonda spotkałaby się z flotą trisolariańską, i co miałaby ona wtedy robić?

Zastanawiali się nad tym wszyscy zebrani, ale nikt się nie odezwał. Mimo to Wade zdawał się czytać w ich myślach.

– Musimy posłać przedstawiciela ludzkości w samo serce wroga – powiedział.

– Żeby tak się stało, Trisolarianie musieliby przechwycić sondę – zauważył Wadimow. – I zatrzymać naszego szpiega.

– To bardzo prawdopodobne. – Wade podniósł wzrok. – Nie?

Zebrani w sali konferencyjnej zrozumieli, że mówi do sofonów krążących wokół nich niczym duchy. W tym zebraniu „uczestniczyły” też inne niewidzialne istoty, znajdujące się na świecie odległym o cztery lata świetlne. Ludzie tak przywykli do obecności sofonów, że zapominali o nich. Gdy sobie o tym przypominali, oprócz strachu ogarniało ich też coś w rodzaju poczucia nieistotności, jakby byli mrowiskiem, które jakieś okrutne dziecko dla zabawy ogląda przez lupę. Trudno było zachować pewność siebie, gdy każdy miał świadomość, że bez względu na to, z jakimi wystąpi planami, wróg wszystkiego się dowie, zanim zdąży je wyjaśnić swemu przełożonemu. Ludzkość musiała się przyzwyczaić do wojny, w której wszystko było przezroczyste dla wroga.

Teraz jednak wydawało się, że Wade nieco zmienił sytuację. W jego scenariuszu to, że wróg znał plan, było korzystne. Trisolarianie będą znali każdy szczegół trajektorii sondy i bez trudu będą mogli ją przechwycić. Ale nawet chociaż sofony pozwalały im dowiedzieć się wiele o ludzkości, na pewno będą zainteresowani schwytaniem jej żywego przedstawiciela, by go dokładniej zbadać.

W tradycyjnej wojnie wywiadów posłużenie się szpiegiem o znanej wrogowi tożsamości było nonsensowne. Ale ta wojna była inna. Wysłanie człowieka do floty trisolariańskiej było samo w sobie bohaterskim aktem i nie miało znaczenia, że Trisolarianie dowiedzieliby się o tym przed faktem. PAW nie musiała nawet się zastanawiać nad tym, co szpieg musiałby robić, gdyby się tam znalazł – jeśli dostałby się bezpiecznie do floty, możliwości były nieograniczone. Skoro Trisolarianie nie potrafili

ukrywać myśli i byli bezbronni wobec wszelkich podstępów i forteli, pomysł Wade’a był tym bardziej atrakcyjny.

„Musimy posłać przedstawiciela ludzkości w samo serce wroga”.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Hibernacja: człowiek po raz pierwszy przekracza czas

Nowa technologia może przekształcić społeczeństwo, ale na początku jej istnienia niewiele osób jest w stanie zrozumieć jej pełny potencjał. Na przykład komputer po wynalezieniu był po prostu narzędziem zwiększającym efektywność pracy i niektórzy uważali, że całemu światu wystarczy pięć takich urządzeń. Tak samo było z hibernacją. Zanim stała się faktem, sądzono, że da ona tylko osobom cierpiącym na nieuleczalne choroby możliwość szukania skutecznych terapii w przyszłości. Po głębszym namyśle ludzie doszli do wniosku, że może się stać użyteczna również podczas podróży międzygwiezdnych. Kiedy jednak nauka ją urzeczywistniła, to przez soczewkę socjologii dostrzeżono, że hibernacja kompletnie zmieni oblicze ludzkiej cywilizacji.

Wszystko to opierało się na jednej myśli: „Jutro będzie lepiej”.

Była to stosunkowo nowa wiara, skutek kilku ostatnich przedkryzysowych stuleci. Wcześniej przeświadczenie o stałym postępie byłoby śmieszne. W porównaniu z antycznym Rzymem sprzed tysiąca lat średniowieczna Europa była uboga pod względem materialnym i intelektualnym. W Chinach ludziom żyło się gorzej za czasów Wei, Jin

oraz Dynastii Południowych i Północnych niż za panującej przed nimi dynastii Han, a za dynastii Yuan i Ming było dużo gorzej niż za wcześniejszych dynastii Tang i Song. Jednak po rewolucji francuskiej postęp stał się stałą cechą społeczeństwa i wiara ludzi w przyszłość była silniejsza.

Wiara ta osiągnęła szczyt w przededniu kryzysu trisolariańskiego. Jakiś czas przedtem zakończyła się zimna wojna i chociaż nadal istniały problemy, takie jak degradacja środowiska, nie były aż tak dokuczliwe. Materialne warunki życia poprawiały się w szybkim tempie i zdawało się, że będzie tak już zawsze. Gdyby ktoś przeprowadził wśród ludzi ankietę, jak wyobrażają sobie przyszłość, to w odniesieniu do tego, co będzie za dziesięć lat, odpowiedzi mogłyby się różnić, ale niewiele osób wątpiłoby, że za sto lat ludzkość będzie żyła w raju. Łatwo było dojść do takiego przekonania – wystarczyło porównać swoje życie z życiem przodków przed stu laty!

Skoro można było poddać się hibernacji, po co trwać w teraźniejszości?

Z punktu widzenia socjologii taki przełom w biotechnologii, jakim było klonowanie ludzi, był dużo mniej złożony niż hibernacja. Owszem, klonowanie budziło zastrzeżenia moralne, ale mieli je głównie ci, na których poglądy etyczne wpływ wywarło chrześcijaństwo. Natomiast kłopoty z hibernacją miały charakter praktyczny i dotyczyły całej ludzkości. Po komercjalizacji tej technologii ci, których byłoby na to stać, mogliby się dzięki niej dostać na skróty do raju, natomiast reszta musiałaby zostać w stosunkowo bardziej przygnębiającej teraźniejszości, by stworzyć im ten raj. Ale bardziej niepokojąca była największa pokusa, którą wabiła przyszłość: koniec śmierci.

W miarę szybkich postępów medycyny ludzie zaczęli wierzyć, że za kolejnych sto czy dwieście lat uda się przezwyciężyć śmierć. A skoro tak, to

ci, którzy wybrali hibernację, stawiali pierwsze kroki na schodach prowadzących do wiecznego życia. Po raz pierwszy w historii sama śmierć stała się niesprawiedliwa. Miało to niewyobrażalne skutki.

Sytuacja była podobna do okropnych warunków panujących w epoce pokryzysowego eskapizmu. Późniejsi historycy nazywali to wczesnym eskapizmem albo okresem ucieczki przed czasem. Tak więc jeszcze przed kryzysem rządy państw na całym świecie zakazywały stosowania hibernacji z większym zapałem niż klonowania.

Ale kryzys trisolariański wszystko zmienił. W ciągu jednej nocy raj przyszłości zmienił się w piekło na Ziemi. Przyszłość straciła urok nawet dla śmiertelnie chorych – kiedy by się obudzili, świat mógłby być morzem ognia i nie znaleźliby nawet aspiryny.

A zatem w epoce pokryzysowej pozwolono rozwijać, choć z pewnymi ograniczeniami, technologię hibernacji. Wkrótce stała się opłacalna i ludzkość posiadła pierwsze narzędzie, które pozwalało jej pokonywać masę lat.

Lata 1–4 ery kryzysu

Cheng Xin

Cheng Xin popłynęła do Sanyi na wyspie Hainan, żeby zgłębić sprawę hibernacji.

Ta tropikalna wyspa wydawała się niestosownym miejscem dla największego ośrodka badań nad hibernacją, którym zarządzała Chińska Akademia Nauk Medycznych. Chociaż na kontynencie był środek zimy, tutaj panowała wiosna.

Ośrodek mieścił się w białym budynku ukrytym za gęstą roślinnością. Wewnątrz parenaście osób było pogrążonych w krótkiej, eksperymentalnej hibernacji. Na razie nikogo nie wprowadzono w ten stan z zamiarem przeskoczenia stuleci.

Cheng Xin zapytała najpierw, czy można zmniejszyć do stu kilogramów wagę oprzyrządowania potrzebnego do utrzymywania kogoś w hibernacji.

Dyrektor ośrodka wybuchnął śmiechem.

– Do stu kilogramów? To byłby olbrzymi sukces, gdyby udało się ją zmniejszyć do stu ton!

Dyrektor przesadził, ale tylko trochę. Oprowadził Cheng Xin po ośrodku. Zorientowała się wtedy, że sztuczna hibernacja niezupełnie przystaje do jej publicznego obrazu. Przede wszystkim nie stosowano niezwykle niskich temperatur. Procedura polegała na zastąpieniu krwi w ciele niezamarzającym roztworem krioochronnym, a następnie na obniżeniu temperatury ciała do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Czynności

narządów podtrzymywał na niezwykle niskim poziomie biologicznym zewnętrzny układ sercowo-płucny.

– To jest jak stan uśpienia w komputerze – powiedział dyrektor.

Cały układ – zbiornik hibernacyjny, układ podtrzymania życia, aparatura chłodząca – ważył około trzech ton.

Kiedy Cheng Xin rozmawiała z personelem technicznym o możliwych sposobach zminiaturyzowania sprzętu do hibernacji, tknęła ją nagle myśl, że skoro temperaturę ciała należy utrzymywać na poziomie około minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, to w lodowatej przestrzeni kosmicznej komorę hibernacyjną trzeba by było podgrzewać, nie ochładzać. Zwłaszcza podczas długiej podróży poza Neptunem temperatura zewnętrzna byłaby bliska absolutnemu zeru. W porównaniu z nią we wnętrzu statku, gdzie temperatura wynosiłaby minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza, byłoby gorąco jak w piecu. Ponieważ podróż potrwałaby od stu do dwustu lat, najbardziej praktycznym rozwiązaniem byłoby ogrzewanie radioizotopowe. Twierdzenie dyrektora, że całość ważyłaby sto ton, nie było dalekie od prawdy.

Cheng Xin wróciła do centrali PAW i zdała sprawozdanie z wizyty w ośrodku. Po zebraniu wszystkich związanych z tematem wyników badań personel ponownie popadł w depresję. Jednak tym razem spoglądali na Wade’a z nadzieją.

– Co tak na mnie patrzycie? Nie jestem Bogiem! – Wade potoczył wzrokiem po sali konferencyjnej. – Jak myślicie, po co was tu przysłały wasze kraje? Po to, żebyście odbierali wypłatę i przynosili mi złe wiadomości? Nie mam rozwiązania. To wy macie je znaleźć!

Odepchnął się od stołu konferencyjnego, a jego krzesło odsunęło się dalej niż zwykle. Lekceważąc zakaz palenia w sali, wyciągnął cygaro.

Zebrani przenieśli uwagę na nowych – ekspertów od hibernacji. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, ale nawet nie starali się ukryć złości i frustracji typowej dla specjalistów postawionych wobec nieznających się na rzeczy fanatyków, którzy prosili ich o coś, co jest niemożliwe.

– Może… – Cheng Xin rozejrzała się niepewnie. Nadal nie mogła przywyknąć do zachowania dyrektora naczelnego.

– Naprzód! Nic nas nie powstrzyma! – rzekł do niej Wade, wydmuchując te słowa razem z dymem.

– Może… nie musimy wysyłać w kosmos żywego człowieka.

Reszta zespołu popatrzyła na nią, potem po sobie nawzajem, a później zwróciła oczy na ekspertów od hibernacji. Tamci potrząsnęli głowami, niepewni, o czym mówi Cheng Xin.

– Moglibyśmy szybko zamrozić człowieka do minus dwustu stopni Celsjusza, a potem wystrzelić go w kosmos. Nie potrzebowalibyśmy aparatury podtrzymującej życie ani systemów ogrzewania, więc kapsuła z ciałem mogłaby być bardzo mała i lekka. Jej masa całkowita nie powinna przekraczać stu dziesięciu kilogramów. Dla nas takie ciało jest trupem, ale może nie dla Trisolarian.

– Bardzo dobrze – powiedział Wade, kiwając do niej głową. Po raz pierwszy pochwalił kogoś spośród personelu.

– Mówi pani o krioochronie, nie o hibernacji – rzekł jeden z ekspertów. – Największą przeszkodę w ponownym ożywieniu zamrożonego w błyskawicznym tempie ciała stanowi zapobieżenie uszkodzeniu komórek przez kryształki lodu podczas rozmrażania. To samo dzieje się z zamrożonym tofu: kiedy się je rozmrozi, zamienia się w gąbkę. Aha, domyślam się, że większość państwa nie jadła mrożonego tofu. – Ekspert, który był Chińczykiem, uśmiechnął się na widok zdezorientowanych ludzi z Zachodu. – Cóż, być może Trisolarianie znają metody zapobiegania takim

uszkodzeniom. Może potrafią przywrócić ciału normalną temperaturę w bardzo krótkim czasie, w mili- czy nawet w mikrosekundę. My nie wiemy, jak to zrobić, w każdym razie bez zamienienia ciała w parę.

Cheng Xin niezbyt uważnie przysłuchiwała się tej dyskusji. Zastanawiała się, kto miałby być tą osobą zamrożoną do minus pięćdziesięciu stopni i wystrzeloną w przestrzeń kosmiczną. Starała się iść naprzód bez względu na konsekwencje, ale na myśl o tym zadrżała.

Na bieżącym zebraniu ROP miało się odbyć głosowanie nad najnowszą wersją programu Klatka Schodowa. Prywatne rozmowy Wade’a z przedstawicielami różnych krajów napawały optymizmem. Ponieważ zmodyfikowany plan miał doprowadzić do pierwszego kontaktu ludzkości z cywilizacją pozaziemską, jego znaczenie różniło się jakościowo od wysłania zwykłej sondy. Poza tym można było powiedzieć, że osoba wysłana do Trisolarian będzie tykającą bombą wszczepioną w serce wroga. Umiejętnie wykorzystując przewagę ludzi w sferze forteli i podstępów, będzie mogła zmienić przebieg całej wojny.

Jednak tego wieczoru Zgromadzenie Ogólne miało ogłosić na specjalnej sesji program Wpatrujących się w Ścianę, więc spotkanie ROP przesunęło się o ponad godzinę. Personel PAW czekał w holu sali posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego. W poprzednich spotkaniach ROP pozwalano brać udział tylko Wade’owi i Wadimowowi, a pozostali musieli siedzieć poza salą i czekać na wezwanie, jeśli potrzebne były wyjaśnienia techniczne z zakresu ich specjalizacji. Jednak tym razem Wade poprosił Cheng Xin, by towarzyszyła jemu i Wadimowowi podczas samego spotkania, co dla asystentki technicznej niskiego szczebla było wielkim wyróżnieniem.

Po zakończeniu sesji Zgromadzenia Ogólnego Cheng Xin i inni patrzyli, jak przez hol przechodzi i opuszcza budynek jakiś mężczyzna otoczony tłumem reporterów, widocznie jeden z przedstawionych przed chwilą Wpatrujących się w Ścianę. Ponieważ wszyscy z PAW koncentrowali się na programie Klatka Schodowa, większości personelu agencji nie obchodzili Wpatrujący się w Ścianę i tylko kilkoro z nich wyszło na zewnątrz, by rzucić na niego okiem. Dlatego też kiedy doszło do zamachu na życie Luo Ji, nikt z PAW nie słyszał odgłosu strzału, zobaczyli tylko przez szklane drzwi jakieś zamieszanie. Wybiegli na zewnątrz, gdzie natychmiast oślepiły ich reflektory helikopterów.

– O mój Boże, zastrzelono jednego z Wpatrujących się w Ścianę! – krzyknął jeden z kolegów Cheng Xin. – Słyszałem, że wpakowano mu kilka kul. W głowę!

– A kim są ci Wpatrujący się w Ścianę? – zapytał Wade. W jego głosie nie słychać było szczególnego zainteresowania.

– Też nie bardzo wiem. Chyba trzech z nich pochodzi z grona dobrze znanych kandydatów, ale czwarty, ten, którego zastrzelono, to pani rodak. – Kolega wskazał Cheng Xin. – Ale nikt o nim wcześniej nie słyszał. Po prostu zwykły facet.

– W tym wyjątkowym czasie nikt nie jest „zwykłym facetem” – powiedział Wade. – Na przypadkowej osobie może nagle spocząć wielka odpowiedzialność, a kogoś ważnego można w każdej chwili zastąpić kimś innym. – Spojrzał najpierw na Cheng Xin, a potem na Michaiła Wadimowa. Po chwili odwołał go sekretarz ROP.

– Grozi mi – szepnął Wadimow do Cheng Xin. – Wczoraj wpadł w szał i oświadczył, że może się mnie łatwo pozbyć.

– Michaił, ja…

Wadimow uciszył ją podniesieniem ręki. Silne światło z helikoptera przeświecało przez jego dłoń i ukazywało krew pod skórą.

– On nie żartował. Nasza agencja nie musi przestrzegać normalnych procedur zarządzania zasobami ludzkimi. Jesteś zrównoważona, spokojna, ciężko pracujesz, a do tego myślisz kreatywnie i czujesz się odpowiedzialna za sprawy, które daleko wykraczają poza to, co musisz robić na swoim oficjalnym stanowisku. To rzadki zespół cech u osoby w twoim wieku. Xin, naprawdę się cieszę, że mogłabyś mnie zastąpić… ale niezupełnie potrafisz robić to co ja. – Rozejrzał się po otaczającym ich tłumie ludzi. – Nie sprzedasz matki do burdelu. Jeśli chodzi o ten aspekt naszej profesji, wciąż jesteś dzieckiem. Mam szczerą nadzieję, że zawsze taka pozostaniesz.

Podeszła do nich Camille ze spiętym plikiem papierów. Cheng Xin domyśliła się, że jest to wstępna analiza wykonalności programu Klatka Schodowa. Camille podniosła dokumenty i przez chwilę trzymała je w górze, a potem, zamiast im je dać, walnęła nimi o ziemię.

– Pierdolić ich wszystkich! – wrzasnęła. Mimo że nad ich głowami huczały helikoptery, parę osób odwróciło się i spojrzało na nią. – Jebane świnie! Nie wiedzą nic oprócz tego, jak się tarzać w błocie!

– O kim mówisz? – zapytał Wadimow.

– O wszystkich! O całej ludzkości! Pół wieku temu chodziliśmy po Księżycu, a teraz nic nie mamy, niczego nie możemy zmienić!

Cheng Xin schyliła się i podniosła papiery. Faktycznie było to studium wykonalności. Przekartkowała je z Wadimowem, ale napisane było bardzo technicznym, trudnym do szybkiego zrozumienia językiem. Wrócił też Wade – sekretarz ROP poinformował go, że sesja zacznie się za piętnaście minut.

W obecności szefa PAW Camille trochę się uspokoiła.

– NASA przeprowadziła w kosmosie dwie małe próby z jądrowym napędem pulsacyjnym – powiedziała. – O wynikach możecie przeczytać w tym studium. Sprowadzają się do tego, że proponowany przez nas statek jest nadal za ciężki, by osiągnąć wymaganą prędkość. Według ich szacunków cały zespół musi mieć jedną dwudziestą proponowanej przez nas masy. Jedną dwudziestą! To dziesięć kilogramów! Ale poczekajcie, mają też dla nas dobrą wiadomość. Okazuje się, że masę żagla można zmniejszyć do poziomu poniżej tych dziesięciu kilogramów. Zlitowali się nad nami i napisali, że możemy tam umieścić ładunek o ciężarze pół kilograma. To jednak nieprzekraczalna granica, bo każde zwiększenie ładunku wymaga grubszych lin, którymi połączony jest z żaglem. Każdy dodatkowy gram ładunku oznacza trzy gramy lin więcej. Tak więc utknęliśmy na zero, przecinek, pięć kilograma. Ha, ha, dokładnie tak, jak przewidziała nasza anielica – sonda lekka jak piórko!

Wade się uśmiechnął.

– Powinniśmy poprosić Monnier, kotkę mojej mamy, żeby tam poleciała. Chociaż nawet ona musiałaby stracić połowę wagi.

Gdy wszyscy ochoczo zajmowali się pracą, Wade wydawał się ponury; gdy byli przybici, stawał się odprężony i tryskał humorem. Początkowo Cheng Xin myślała, że to dziwne zachowanie jest częścią jego stylu kierowania zespołem, ale Wadimow wyprowadził ją z błędu. Powiedział, że nie ma to nic wspólnego ze stylem kierowania zespołem pracowników ani dowodzenia oddziałem żołnierzy, że on po prostu lubi patrzeć, jak inni tracą nadzieję, nawet jeśli sam należy do tych, którzy powinni wpaść w rozpacz. Cheng Xin zdziwiła się, że Wadimow, który zawsze starał się mówić o innych pochlebnie, ma taką opinię o Wadzie. Teraz jednak rzeczywiście wyglądało na to, że widok przygnębionych min ich trojga sprawia Wade’owi przyjemność.

Zrobiło jej się słabo. Wiele dni wyczerpującej pracy dało o sobie znać i osunęła się na ziemię.

– Wstań – powiedział Wade.

Po raz pierwszy Cheng Xin odmówiła wykonania jego polecenia. Pozostała na ziemi.

– Jestem zmęczona – odparła beznamiętnym głosem.

– Ty i ty – rzekł Wade, wskazując palcem ją i Camille. – W przyszłości nie wolno wam tracić panowania nad sobą. Musicie iść naprzód i nie cofnąć się przed niczym!

– Nie ma żadnej drogi naprzód – stwierdził Wadimow. – Musimy się poddać.

– Uważasz, że nie ma żadnej drogi naprzód, bo nie wiesz, jak lekceważyć konsekwencje.

– A co ze spotkaniem z ROP? Mamy je odwołać?

– Nie, powinniśmy postępować tak, jakby nic się nie stało. Ale nie możemy przygotować nowych dokumentów, więc musimy przedstawić im nowy plan ustnie.

– Jaki plan? Z pięćsetgramowym kotem?

– Oczywiście, że nie.

Oczy Wadimowa i Camille pojaśniały. Zdawało się, że w Cheng Xin też wstąpiły nowe siły. Wstała z ziemi.

W asyście samochodów eskorty i helikopterów odjechała sprzed budynku karetka z czwartym Wpatrującym się w Ścianę. Na tle świateł Nowego Jorku Wade ze swoim zimnym wzrokiem wyglądał jak duch.

– Wyślemy tylko mózg – oznajmił.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Program Klatka Schodowa

W czternastowiecznych Chinach, za panowania dynastii Ming, marynarka wojenna wynalazła broń zwaną *huolong chu shui*, co dosłownie znaczy „ognisty smok wydobywający się z wody”. Była to wielostopniowa rakieta zasilana prochem, w zasadzie podobna do pocisków do zwalczania okrętów z ery powszechnej. Pocisk ten napędzały rakiety nośne. Po wystrzeleniu niosły go tuż nad powierzchnią wody w stronę statku wroga. Kiedy kończył się w nich proch, zapalały wiązkę mniejszych rakiet, które uderzały w cel i wyrządzały tam ogromne szkody.

W starożytności używano też kusz powtarzalnych, które były zapowiedzią karabinów maszynowych ery powszechnej. Pojawiły się zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie, a ich chińską wersję odkryto w grobach z czwartego wieku przed naszą erą.

Oba rodzaje broni były próbami nowatorskiego wykorzystania prymitywnej technologii, które dawały dysponującymi nimi krajami moc nieprzystającą do tamtych czasów.

Z obecnego punktu widzenia program Klatka Schodowa, wcielony w życie na początku ery kryzysu, był takim samym osiągnięciem. W jego ramach udało się rozpędzić małą sondę do jednego procentu prędkości

światła. Powinno to być niemożliwe bez dostępu do technologii, która miała się pojawić dopiero za półtora wieku.

Zanim powstał, ludzkości udało się wysłać kilka statków kosmicznych poza Układ Słoneczny i parę sond, które wylądowały na satelitach Neptuna. Tak więc technologia potrzebna do rozmieszczenia bomb jądrowych na odcinku lotu sondy, na którym nabierała przyspieszenia, była już względnie rozwinięta. Niemniej jednak kierowanie sondą tak, by przeleciała koło każdej z tych bomb, i zdetonowanie ich w odpowiedniej chwili było wielkim wyzwaniem.

Każda z nich musiała wybuchnąć, kiedy mijał ją żagiel radiacyjny, przy czym ich odległość od sondy w chwili eksplozji wynosiła w zależności od ich siły od trzech do dziesięciu tysięcy metrów. Im większej prędkości nabierała sonda, tym dokładniej trzeba było ustalić ten czas. Jednak nawet po osiągnięciu przez sondę jednego procentu prędkości światła margines dopuszczalnego błędu nie przekraczał rzędu nanosekund, co mieściło się w możliwościach ówczesnej technologii.

Sama sonda nie miała silnika. Jej kierunek całkowicie wyznaczały względne pozycje wybuchających bomb. Każda z nich wyposażona była w małe silniki sterujące. Gdy sonda przelatywała obok którejś z nich, odległość między nimi wynosiła zaledwie kilkaset metrów. Odpowiednio ją zwiększając lub zmniejszając, można było zmienić kąt między żaglem i siłą pchania wytwarzaną przez wybuch bomby, i w ten sposób kierować jej lotem.

Żagiel radiacyjny był cienką błoną i mógł jedynie ciągnąć ładunek w kapsule za sobą. Tak więc cała sonda przypominała gigantyczny spadochron, z tym że leciał on „do góry nogami”. Żeby zapobiec uszkodzeniom, które mogły spowodować wybuchy jądrowe w odległości od trzech do dziesięciu kilometrów za żaglem, liny łączące go z ładunkiem

musiały być bardzo długie – mierzyły około pięciu kilometrów. Samą kapsułę chroniła powłoka ablacyjna. Gdy wybuchała bomba, materiał ablacyjny stopniowo wyparowywał, co schładzało kapsułę oraz zmniejszało jej masę ogólną.

Liny zrobione były z nanomateriału zwanego „latającym ostrzem”. Nie można ich było dostrzec gołym okiem, bo miały grubość zaledwie jednej dziesiątej nici pajęczej. Z ośmiu gramów tego materiału można było zrobić linę o długości stu kilometrów, na tyle mocną, by mogła bezpiecznie ciągnąć ładunek podczas przyspieszania i nie przerwać się wskutek wybuchów jądrowych.

Oczywiście *huolong chu shui* nie dorównywał w istocie rzeczy dwustopniowej rakiecie, a powtarzalna kusza karabinowi maszynowemu. Tak samo program Klatka Schodowa nie mógł zapoczątkować ery kosmicznej. Był jedynie rozpaczliwą próbą wykorzystania wszystkiego, co mogła zaoferować ówczesna prymitywna technologia.

Lata 1–4 ery kryzysu

Cheng Xin

Od ponad pół godziny trwało wystrzeliwanie pocisków Peacekeeper. Smugi pozostawione przez sześć z nich połączyły się i w świetle księżyca wyglądały jak prowadząca do nieba srebrna droga.

Co pięć minut po tej srebrnej drodze wspinała się w kosmos kolejna ognista kula. W jej blasku ludzie i drzewa rzucali na ziemię cienie, które wyglądały jak minutowe wskazówki zegarków. Pierwsza seria składała się z trzydziestu pocisków, które miały rozmieścić na orbicie trzysta głowic jądrowych o sile od pięciuset kiloton do dwóch i pół megatony.

W tym samym czasie wzbijały się w górę pociski Topol w Rosji i Dongfeng w Chinach. Niebo wyglądało jak podczas apokalipsy, ale z trajektorii rakiet Cheng Xin wiedziała, że nie były to uderzenia międzykontynentalne, lecz loty na orbitę okołoziemską. Urządzenia, które mogłyby zabić miliardy ludzi, nigdy nie wrócą na powierzchnię Ziemi. Ich połączona energia nada piórku jeden procent prędkości światła.

Oczy Cheng Xin wypełniły się gorącymi łzami. W blasku każdej ze wznoszących się rakiet wyglądały jak połyskujące sadzawki. Co rusz powtarzała sobie, że warto było posunąć tak daleko program Klatka Schodowa.

Ale dwóch stojących obok niej mężczyzn, Wadimowa i Wade’a, ów spektakl rozgrywający się przed ich oczami zdawał się w ogóle nie poruszać. Żadnemu z nich nie chciało się nawet podnieść głowy; palili

i rozmawiali ściszonymi głosami. Cheng Xin dobrze wiedziała, o czym dyskutują – kto zostanie wybrany do programu.

Podczas ostatniego zebrania ROP po raz pierwszy przyjęto propozycję w sprawie, której nawet nie przedstawiono na piśmie. A Cheng Xin przekonała się, że Wade, który zwykle był bardzo lakoniczny, potrafi dyskutować. Przekonywał, że gdyby założyć, iż Trisolarianie potrafią ożywić ciało w stanie głębokiego zamrożenia, to można by przyjąć, że potrafią również ożywić sam mózg, który jest w takim samym stanie, i prowadzić z nim rozmowę poprzez jakiś zewnętrzny interfejs. Z pewnością byłoby to błahe zadanie dla cywilizacji, która zdołała rozwinąć proton w dwóch wymiarach i na powstałej płaszczyźnie wyżłobić obwody. W pewnym sensie mózg nie różnił się od całej osoby – miał te same co ona myśli, osobowość i pamięć. I na pewno posiadał też zdolność tej osoby do spiskowania. Gdyby się to udało, ten mózg byłby bombą tykającą w sercu wroga.

Chociaż członkowie ROP nie w pełni się zgodzili, że mózg jest tym samym co cała osoba, nie mieli lepszych propozycji, tym bardziej że program Klatka Schodowa interesował ich głównie ze względu na technologię przyspieszenia sondy do jednego procentu prędkości światła. W końcu podjęto uchwałę pięcioma głosami przy dwóch wstrzymujących się.

Po przyjęciu programu na plan pierwszy wysunął się problem, kogo powinno się wysłać. Cheng Xin brakowało odwagi, by choćby wyobrazić sobie taką osobę. Nawet gdyby jej mózg został przechwycony przez Trisolarian i ożywiony, jej późniejsze życie – jeśli taką egzystencję można było nazwać życiem – byłoby niekończącym się koszmarem. Za każdym razem gdy o tym pomyślała, czuła się tak, jakby jej serce ściskała dłoń schłodzona do minus dwustu stopni Celsjusza.

Pozostali przywódcy i wykonawcy programu Klatka Schodowa nie mieli takich wyrzutów sumienia. Gdyby PAW była agencją wywiadu jakiegoś państwa, sprawę tę rozstrzygnięto by już dawno temu. Jednak ponieważ była ciałem międzynarodowym składającym się z przedstawicieli stałych członków ROP, po przedstawieniu programu społeczności kwestia ta stała się bardzo drażliwa.

Kluczowym problemem było to, że przed wystrzeleniem w przestrzeń kosmiczną osobę tę trzeba było zabić.

Kiedy nieco opadła początkowa panika wywołana kryzysem trisolariańskim, w głównym nurcie polityki międzynarodowej zapanowała zgoda co do tego, że nie można dopuścić, by został on wykorzystany jako narzędzie zniszczenia demokracji. Kraje, których przedstawiciele stanowili personel PAW, poinstruowały ich, by zachowali wyjątkową ostrożność podczas wybierania potencjalnych kandydatów do programu i nie popełnili politycznych błędów, które mogłyby postawić je w kłopotliwej sytuacji.

I znowu wyjątkowy sposób pokonania tej trudności zaproponował Wade. Za pośrednictwem ROP, a potem ONZ, zaproponował, by w jak największej liczbie krajów przyjęto ustawy dopuszczające eutanazję, ale nawet on nie był pewien, czy ten plan się powiedzie.

Trzech z siedmiu stałych członków szybko poszło za jego radą, ale w przyjętych przez nie ustawach wyraźnie stwierdzano, że z prawa do eutanazji mogą skorzystać tylko osoby nieuleczalnie chore. Nie było to rozwiązanie idealne dla programu Klatka Schodowa, ale wydawało się, że jest to ostateczna granica tego, co jest do przyjęcia pod względem politycznym.

A zatem kandydatów do programu trzeba było wybrać spośród śmiertelnie chorych.

Umilkł grzmot silników, z nieba zniknęły jasne światła. Wszystkie pociski zostały wystrzelone. Wade i inni obserwatorzy z ramienia PAW wsiedli do samochodów i odjechali. Zostali tylko Wadimow i Cheng Xin.

– A może byśmy zerknęli na twoją gwiazdę? – zaproponował.

Przed czterema dniami Cheng Xin otrzymała akt własności DX3906. Była całkowicie zaskoczona i wpadła w szał radości. Przez cały dzień powtarzała sobie: „Ktoś podarował mi gwiazdę, ktoś podarował mi gwiazdę, ktoś podarował mi gwiazdę…”.

Gdy poszła złożyć Wade’owi raport o stanie prac, tak jaśniała szczęściem, że szef zapytał ją, co się z nią dzieje. Pokazała mu akt własności.

– Bezużyteczny świstek papieru – stwierdził i zwrócił go jej. – Jeśli jesteś sprytna, powinnaś od razu obniżyć cenę i odsprzedać to. W przeciwnym razie zostaniesz z niczym.

Ale jego cynizm nie ostudził jej entuzjazmu, bo z góry wiedziała, co powie. Wiedziała o nim bardzo mało poza tym, gdzie wcześniej pracował: najpierw służył w CIA, potem był zastępcą sekretarza Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, a na koniec znalazł się tutaj. Jego życie osobiste, poza faktem, że miał matkę, a matka kotkę, było dla niej tajemnicą. Zresztą nie tylko dla niej. Nie miała pojęcia, gdzie mieszka. Był jak maszyna – kiedy nie pracował, zamykał się w jakimś nieznanym miejscu.

Nie mogła się powstrzymać i pochwaliła się gwiazdą Wadimowowi. Gorąco jej pogratulował.

– Muszą ci zazdrościć wszystkie dziewczyny na świecie – powiedział. – Włącznie z wszystkimi żyjącymi kobietami i martwymi księżniczkami.

Z pewnością jesteś pierwszą kobietą w historii ludzkości, której podarowano gwiazdę.

Czy mogło być dla kobiety większe szczęście, niż dostać gwiazdę od kogoś, kto ją kochał?

– Ale kto to jest? – mruknęła.

– Nie powinno być trudno to odgadnąć. Przede wszystkim musi być bogaty. Właśnie wydał kilka milionów na symboliczny podarunek.

Cheng Xin potrząsnęła głową. Miała wielu adoratorów i zalotników, ale żaden nie był aż tak bogaty.

– Ma również kulturalną duszę. Wyróżnia się z tłumu. – Wadimow westchnął. – I zdobył się na romantyczny gest, który nazwałbym cholernie absurdalnym, gdybym przeczytał o tym w książce albo zobaczył w filmie.

Cheng Xin też westchnęła. Za młodu pozwalała sobie na snucie optymistycznych fantazji, z których obecnie tylko by drwiła. Jednak te romantyczne marzenia zupełnie bledły przy tej prawdziwej gwieździe, która pojawiła się znikąd.

Była pewna, że nie zna takiego mężczyzny.

Może był to jakiś tajemniczy wielbiciel z daleka, który pod wpływem impulsu postanowił przeznaczyć część ogromnego majątku na zaspokojenie kaprysu, jakiegoś pragnienia, którego ona nigdy nie zrozumie. Mimo to była mu wdzięczna.

Tamtego wieczoru wspięła się na dach One World Trade Center, by zobaczyć swą gwiazdę. Starannie przejrzała materiały dołączone do aktu własności, które wyjaśniały, jak ją znaleźć. Ale niebo nad Nowym Jorkiem było zaciągnięte chmurami. Następnego wieczoru i kolejnego tak samo. Chmury tworzyły ogromną rękę, która zakrywała jej prezent i nie chciała się cofnąć. Jednak Cheng Xin nie była zawiedziona; wiedziała, że nikt nie może odebrać jej daru, który otrzymała. DX3906 istniała w tym

Wszechświecie. Mogła nawet przetrwać Ziemię i Słońce. Pewnego dnia Cheng Xin ją zobaczy.

Stała wieczorem na balkonie swojego mieszkania, spoglądała w niebo i wyobrażała sobie swoją gwiazdę. Światła miasta w dole rzucały na okrywę chmur mdłą żółtą poświatę, ale ona wyobrażała sobie, że jej gwiazda oświetla je na różowo.

Potem śniło się jej, że leci nad powierzchnią gwiazdy, która jest różowo zabarwioną kulą. Zamiast palących płomieni Cheng Xin czuła chłód wiosennego wietrzyka. Pod nią rozciągały się czyste wody oceanu, przez które widziała kołyszące się obłoki różowych alg…

Po przebudzeniu śmiała się z samej siebie. Jako specjalistka z dziedziny przemysłu kosmicznego nawet w snach nie powinna zapomnieć, że DX3906 nie ma planet.

Czwartego dnia po otrzymaniu gwiazdy Cheng Xin poleciała z kilkoma innymi pracownikami PAW na przylądek Canaveral, żeby wziąć udział w ceremonii wystrzelenia pierwszej baterii pocisków. Umieszczenie ich na orbicie wymagało wykorzystania ruchu obrotowego Ziemi, więc pociski międzykontynentalne przewieziono tam z miejsc ich pierwotnego rozlokowania.

Na czystym niebie stopniowo rozwiały się smugi pozostawione przez rakiety. Cheng Xin i Wadimow poszukali w przewodniku dla obserwatorów wskazówek pozwalających znaleźć jej gwiazdę. Oboje mieli pewne przeszkolenie z astronomii, więc niebawem patrzyli w stronę, gdzie w przybliżeniu powinna się znajdować. Ale żadne z nich jej nie ujrzało.

Wadimow wyjął dwie wojskowe lornetki. Przez nie zobaczyli DX3906 z łatwością. Potem udało się im znaleźć ją już gołym okiem. Cheng Xin patrzyła jak zauroczona na bladoczerwoną plamkę i starała się jakoś

przedstawić sobie niewyobrażalną odległość dzielącą ją od gwiazdy, ująć ją w terminach, które byłyby do pojęcia dla ludzkiego umysłu.

– Gdybyś włożył mój mózg do sondy z programu Klatka Schodowa i wystrzelił go w stronę tej gwiazdy, dotarłby tam po trzydziestu tysiącach lat.

Nie usłyszała odpowiedzi. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że Wadimow nie przygląda się już razem z nią gwieździe, lecz oparty o maskę samochodu patrzy przed siebie pustym wzrokiem. Miał zatroskaną minę.

– Co się stało?

Wadimow przez chwilę milczał, po czym powiedział:

– Uchylam się od spełnienia mojego obowiązku.

– Co ty wygadujesz?

– Jestem najlepszym kandydatem do programu.

Początkowo zaszokowało to Cheng Xin, ale potem uświadomiła sobie, że Wadimow mówi prawdę. Miał duże doświadczenie w lotach kosmicznych, dyplomacji i wywiadzie, był zrównoważony i dojrzały… Nawet gdyby mogli poszerzyć pulę kandydatów tak, by objęła osoby zdrowe, nadal najlepiej by się do tego nadawał.

– Ale przecież jesteś zdrowy.

– Jasne. Mimo to uciekam od odpowiedzialności.

– Naciskano na ciebie? – Cheng Xin myślała o Wadzie.

– Nie, ale wiem, co muszę zrobić, tylko że jeszcze tego nie zrobiłem. Trzy lata temu się ożeniłem, moja córeczka właśnie skończyła rok. Nie boję się umrzeć, ale moja rodzina wiele dla mnie znaczy. Nie chcę, żeby oglądali mnie zamienionego w coś gorszego od trupa.

– Nie musisz tego robić. Nie każe ci tego ani PAW, ani rząd twojego kraju, i nie mogą tego zrobić!

– Tak, ale chciałem ci powiedzieć… w końcu jestem najlepszym kandydatem.

– Michaił, ludzkość nie jest żadną abstrakcją. Żeby ją kochać, trzeba zacząć od miłości do pojedynczych osób, od spełnienia swoich obowiązków wobec nich. Byłoby absurdem obwiniać się o to.

– Dziękuję ci, Cheng Xin. Zasługujesz na dar, który otrzymałaś. – Spojrzał na DX3906. – Chciałbym dać żonie i córce gwiazdę.

Na niebie pojawił się jasny punkt świetlny, potem następny. W ich blasku postacie Cheng Xin i Wadimowa rzucały na ziemię cień. W kosmosie testowano jądrowy napęd pulsacyjny.

Proces wyboru uczestnika programu trwał w najlepsze, ale Cheng Xin nie była w to zbyt zaangażowana. Poproszono ją tylko, by przeegzaminowała kandydatów z wiedzy o lotach kosmicznych, bo jej posiadanie było podstawowym wymogiem. Ponieważ grono kandydatów było ograniczone do osób nieuleczalnie chorych, znalezienie wśród nich kogoś, kto dysponowałby taką wiedzą, było prawie niemożliwe. PAW zintensyfikowała wysiłki i wszystkimi dostępnymi kanałami starała się pozyskać więcej kandydatów.

W Nowym Jorku odwiedziła ją jedna z koleżanek ze studiów. Rozmowa zeszła na to, co się dzieje z resztą ludzi z tego roku, i koleżanka wspomniała o Yun Tianmingu. Słyszała od Hu Wena, że był on w ostatnim stadium raka płuc i nie pozostało mu już dużo czasu. Cheng Xin od razu poszła do wicedyrektora Yu i zaproponowała Yun Tianminga jako kandydata.

Miała zapamiętać tę chwilę na resztę życia. Za każdym razem przyznawała sama przed sobą, że nie myślała wtedy wiele o Tianmingu

jako człowieku.

Musiała wrócić do Chin w pewnej sprawie. Ponieważ była koleżanką Tianminga z roku, wicedyrektor Yu poprosił ją, by porozmawiała z nim w imieniu PAW. Zgodziła się, nadal niewiele o tym myśląc.

Wysłuchawszy opowieści Cheng Xin, Tianming usiadł powoli na łóżku. Prosiła go, by się położył, ale powiedział, że chce kilka minut spędzić w samotności.

Cheng Xin zamknęła delikatnie drzwi za sobą. Tianming zaczął się histerycznie śmiać.

„Jestem popieprzonym idiotą! Czy naprawdę myślałem, że skoro dałem jej z miłości gwiazdę, to ona odwzajemni moją miłość? Naprawdę myślałem, że przeleciała przez Pacyfik, żeby ofiarować mi swe święte łzy? Co za bajeczkę ja tu sobie opowiadam?”

Nie, Cheng Xin przyleciała poprosić go, żeby umarł.

Wyciągnął drugi logiczny wniosek i wybuchnął jeszcze większym śmiechem. Śmiał się tak, że w końcu zabrakło mu tchu. Skoro dopiero co przyleciała, było oczywiste, że nie mogła wcześniej wiedzieć, iż już zdecydował się poddać eutanazji. Innymi słowy, gdyby nie wybrał tego wyjścia, starałaby się go do tego przekonać. Może nawet kusiłaby go albo naciskała na niego, dopóki by się nie zgodził.

Słowo *euthanasia* znaczyło „dobra śmierć”, ale w losie, który obmyśliła dla niego Cheng Xin, nie było niczego dobrego.

Siostra chciała, by umarł, bo uważała, że jego leczenie to strata pieniędzy. Mógł to zrozumieć i wierzył, że szczerze życzyła mu, by zmarł w pokoju. Natomiast Cheng Xin chciała, by wiecznie cierpiał. Tianming bardzo się bał kosmosu. Jak każdy, kto zarabiał na życie studiowaniem

lotów kosmicznych, lepiej niż ogół społeczeństwa zdawał sobie sprawę z jego złowrogiej natury. Piekło istniało nie na Ziemi, lecz w niebiosach.

Cheng Xin chciała, by jego część, ta część, która zawierała jego duszę, wędrowała bez końca w tej zimnej, pozbawionej światła otchłani. Tak zresztą byłoby w najlepszym przypadku, bo prawdziwy koszmar mógłby się zacząć, gdyby zgodnie z życzeniem Cheng Xin Trisolarianie rzeczywiście przechwycili jego mózg. Obcy, których nic nie łączyło z ludzkością, podłączyliby do mózgu czujniki i sprawdzaliby jego zmysły. Oczywiście najbardziej interesowałoby ich doznanie bólu, więc po kolei cierpiałby głód, pragnienie, biczowanie, przypalanie, duszenie, wstrząsy elektryczne, średniowieczne tortury, śmierć przez tysiąc nacięć…

Potem przeszukaliby jego pamięć, by stwierdzić, jakiej tortury boi się najbardziej. Odkryliby metodę, o której czytał kiedyś w książce – najpierw ofiarę biczowano, dopóki nie pozostał nietknięty ani jeden centymetr jej skóry, potem owijano ją ciasno bandażami i gdy ustało krwawienie, zrywano je, odnawiając naraz wszystkie rany – a potem przesłaliby do jego mózgu sygnały odtwarzające tę torturę. W książce ofiara nie mogła tego przeżyć, ale mózg Tianminga nie mógł umrzeć. Mógłby najwyżej się wyłączyć. W oczach Trisolarian przypominałoby to wyłączenie się komputera. Kierując się ciekawością albo po prostu chęcią zabawy, po prostu włączyliby go na nowo i poddali innym eksperymentom…

Nie miałby żadnej możliwości ucieczki. Bez rąk i ciała nie mógłby popełnić samobójstwa. Jego mózg przypominałby baterię stale ładowaną bólem.

Ciągnęłoby się to bez końca.

Ryknął śmiechem.

Cheng Xin otworzyła drzwi.

– Co się stało, Tianming?

Stłumił śmiech i zesztywniał jak trup.

– Tianming, w imieniu Agencji Wywiadu Strategicznego ROP pytam, czy jako członek rodzaju ludzkiego gotów jesteś wziąć na siebie odpowiedzialność i podjąć się tego zadania. Decyzja należy tylko do ciebie. Wolno ci odmówić.

Popatrzył na jej twarz, na jej poważną, lecz podekscytowaną minę. Walczyła w obronie ludzkości, w obronie Ziemi… Ale co się działo z jego otoczeniem? Wpadające przez okno światło zachodzącego słońca malowało na ścianie kałużę krwi, gałęzie samotnego dębu za oknem wyglądały jak wystające z grobu ręce trupa…

W kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu, melancholijnego i bolesnego. Uśmiech ten powoli ogarnął całą jego twarz.

– Oczywiście podejmuję się tego zadania – powiedział.

Lata 5–7 ery kryzysu

Program Klatka Schodowa

Zginął Michaił Wadimow. Kiedy przejeżdżał autostradą międzystanową przez Cieśninę Harlemską, jego samochód uderzył w balustradę mostu Alexandra Hamiltona, przebił ją i wpadł do wody. Wydobyto go dopiero następnego dnia. Badanie ciała wykazało, że Wadimow cierpiał na białaczkę, a do wypadku doszło wskutek krwawienia siatkówki.

Cheng Xin pogrążyła się w żalu, bo dbał o nią jak starszy brat i pomógł jej przystosować się do życia w obcym kraju. Przede wszystkim tęskniła za jego wielkodusznością. Chociaż wyróżniała się inteligencją i błyszczała bardziej niż on, a przecież była tylko jego asystentką, nigdy nie okazywał zazdrości. Zawsze zachęcał ją, by popisywała się swą błyskotliwością na coraz wyższych szczeblach.

W PAW były dwojakie reakcje na śmierć Wadimowa. Większość personelu technicznego, podobnie jak Cheng Xin, ubolewała nad stratą. Natomiast specjaliści od wywiadu wydawali się raczej niezadowoleni z faktu, że ciała Wadimowa nie wydobyto na czas, wskutek czego jego mózg nie nadawał się do użytku.

W umyśle Cheng Xin stopniowo rodziło się podejrzenie. Gdy po raz pierwszy ta myśl przyszła jej do głowy, zadrżała – było to zbyt przerażające, zbyt podłe, by ktoś mógł się zdobyć na taki czyn.

Skonsultowała się ze specjalistami z zakresu medycyny i dowiedziała się, że białaczkę można wywołać rozmyślnie. Wystarczyło umieścić ofiarę

w miejscu, gdzie jest wystarczająco silne promieniowanie. Ale dobranie jego odpowiedniej dawki i czasu naświetlania nie było proste. Zbyt mała dawka i zbyt krótki czas wystawienia na nią nie wywołałyby choroby w oczekiwanym czasie, a zbyt duże doprowadziłoby ofiarę do śmierci z powodu choroby popromiennej i być może uszkodziłoby jej mózg. Ze stanu zaawansowania choroby Wadimowa wynikało, że spisek na jego życie musiałby się zacząć mniej więcej w czasie, gdy ROP zaczęła propagować na świecie przyjęcie aktów prawnych umożliwiających eutanazję. Jeśli rzeczywiście istniał domniemany zabójca, musiał mieć dużą wprawę.

Cheng Xin sprawdziła sekretnie gabinet i mieszkanie Wadimowa licznikiem Geigera, ale nie odkryła niczego niezwykłego. Znalazła zdjęcie jego rodziny, które trzymał pod poduszką. Jego żona, młodsza od niego o jedenaście lat, była baleriną, mieli małą córeczkę… Cheng Xin wytarła łzy z oczu.

Wadimow wyznał jej kiedyś, że jest przesądny i nigdy nie stawia zdjęcia rodziny na biurku ani na szafce nocnej. Wydawało mu się, że w ten sposób naraziłby je na niebezpieczeństwo. Trzymał zdjęcie w ukryciu i patrzył na nie tylko wtedy, kiedy czuł taką potrzebę.

Za każdym razem gdy Cheng Xin myślała o Wadimowie, myślała też o Yun Tianmingu. Przewieziono go z sześcioma innymi kandydatami do tajnej bazy w pobliżu siedziby głównej PAW, gdzie zamierzano poddać ich ostatniej serii prób, po których jeden z nich zostanie wybrany.

Od czasu spotkania z Tianmingiem w Chinach Cheng Xin robiło się coraz ciężej na sercu, aż w końcu popadła w depresję. Wspominała, jak się poznali. Tuż po początku pierwszego semestru na studiach wszyscy świeżo upieczeni studenci inżynierii kosmonautycznej przedstawiali się nawzajem. Zobaczyła Tianminga siedzącego samotnie w rogu. Od razu poznała, że jest

wrażliwy i wyobcowany. Znała innych chłopaków, którzy też byli zagubieni, ale nigdy wcześniej nie czuła się tak jak wtedy – jakby wkradła się do jego serca i poznała jego wszystkie tajemnice.

Lubiła pewnych siebie, optymistycznych młodzieńców, którzy byli jak światło słońca – ogrzewali siebie i dziewczyny obok nich. Tianming był zupełnym przeciwieństwem tego typu. Mimo to zawsze czuła potrzebę opiekowania się nim. W kontaktach z nim była delikatna, bała się, że może go zranić, choćby niechcący. Żadnego innego chłopaka nie chroniła tak jak jego.

Kiedy jej przyjaciółka przyleciała do Nowego Jorku i w rozmowie wypłynęło nazwisko Tianminga, Cheng Xin odkryła, że chociaż usunęła go w odległy zakątek pamięci, jego obraz pozostał zadziwiająco żywy.

Pewnej nocy miała koszmarny sen. Znowu znalazła się na swej gwieździe, ale czerwone morze alg stało się czarne. Potem gwiazda zapadła się w czarną dziurę, pozbawioną światła nieobecność we Wszechświecie. Wokół tej czarnej dziury krążył mały lśniący obiekt. Uwięziony w jej polu grawitacyjnym, nigdy nie zdoła uciec. Był to zamrożony mózg.

Cheng Xin obudziła się i spojrzała na prześwitujące przez zasłony w oknach światła Nowego Jorku. Zrozumiała, co zrobiła.

Z jednego punktu widzenia przekazała tylko prośbę PAW – Tianming mógł się nie zgodzić. Poleciła go, ponieważ starała się chronić Ziemię i jej cywilizację, a jego życie niemal dobiegło końca; gdyby nie pojawiła się w porę w szpitalu, byłby już martwy. W pewnym sensie go uratowała!

Nie zrobiła niczego, czego powinna się wstydzić, niczego, co powinno obciążać jej sumienie. Ale zrozumiała też, że właśnie tak ktoś mógł sprzedać matkę do burdelu.

Pomyślała o hibernacji. Technologia ta była tak zaawansowana, że niektórzy ludzie – głównie śmiertelnie chorzy, którzy liczyli na wyleczenie

w przyszłości – zapadli już w długi sen. Tianming miał szansę. Ze względu na jego pozycję społeczną trudno by mu było pozwolić sobie na hibernację, ale ona mogłaby mu pomóc. Była to możliwość, którą mu odebrano.

Następnego dnia Cheng Xin poszła zobaczyć się z Wade'em.

Jak zwykle siedział w gabinecie i gapił się na dymiące cygaro. Rzadko widziała, by wykonywał zadania związane ze zwykłym administrowaniem – prowadził rozmowy telefoniczne, czytał dokumenty, chodził na zebrania i tak dalej. Nie wiedziała, czy w ogóle kiedykolwiek zajmuje się takimi czynnościami. Za każdym razem gdy do niego wchodziła, siedział pogrążony w myślach, zawsze głęboko pogrążony w myślach.

Cheng Xin wyjaśniła, że kandydat numer 5 nie nadaje się do misji. Chciała wycofać rekomendację i prosić, by nie brano go pod uwagę.

– Dlaczego? W testach wypadł najlepiej.

Uwaga Wade'a zmroziła Cheng Xin. Jednym z pierwszych przeprowadzonych przez nich testów było poddanie każdego kandydata szczególnej formie znieczulenia ogólnego, po której tracił on czucie we wszystkich częściach ciała i narządach zmysłów, ale pozostawał przytomny. W założeniu miała to być symulacja sytuacji mózgu istniejącego niezależnie od ciała. Następnie badacze oceniali zdolność psychologiczną kandydata do przystosowania się do obcych warunków. Oczywiście badacze nie mieli najmniejszego pojęcia o warunkach panujących we flocie trisolariańskiej, więc musieli się opierać wyłącznie na swoich domysłach. Ogólnie test był bardzo nieprzyjemny.

– Ale on ma tylko licencjat – powiedziała Cheng Xin.

– Ty na pewno masz dużo wyższych stopni naukowych – odparł Wade – ale gdybyśmy wysłali z tą misją twój mózg, byłby to bez wątpienia jeden z najgorszych mózgów, jakie moglibyśmy wybrać.

– To samotnik! Nie spotkałam nikogo, kto byłby tak wyobcowany. Nie ma absolutnie żadnej zdolności do przystosowania się do warunków, w których się znajdzie.

– I właśnie to jest najlepszą cechą kandydata numer 5! Mówisz o społeczeństwie ludzkim. Ktoś, kto czuje się w nim dobrze, nauczył się też na nim polegać. Gdy zostanie odcięty od reszty ludzkości i znajdzie się w obcym otoczeniu, najprawdopodobniej całkowicie się załamie. Jesteś doskonałym przykładem osoby, o jakiej mówię.

Cheng Xin musiała przyznać, że wywodowi Wade'a nie sposób odmówić logiki. Ona prawdopodobnie załamałaby się już podczas symulacji.

Oczywiście wiedziała, że nie ma odpowiednich wpływów, by skłonić szefa PAW do rezygnacji z kandydata do programu Klatka Schodowa, ale nie chciała się poddać. Przygotowała się, by powiedzieć wszystko, co konieczne dla uratowania Tianminga.

– Nie osiągnął w życiu niczego znaczącego. Nie ma poczucia odpowiedzialności za ludzkość czy miłość.

Powiedziawszy to, Cheng Xin zaczęła się zastanawiać, czy jest w tym choć trochę prawdy.

– O, zdecydowanie jest na Ziemi coś, do czego jest przywiązany.

Wzrok Wade'a nadal utkwiony był w cygarze, ale Cheng Xin wyczuła, że jego uwaga przenosi się z żarzącego się czubka cygara na nią, a wraz z nią część tego żaru. Ku jej uldze Wade nagle zmienił temat.

– Inną wspaniałą cechą kandydata numer 5 jest kreatywność. Rekompensuje to jego brak wiedzy technicznej. Wiedziałaś, że dzięki jego pomysłowi jeden z jego kolegów ze studiów został miliarderem?

Rzeczywiście widziała to w kartotece Tianminga – czyli jednak znała kogoś, kto był naprawdę bogaty. Ale nawet przez minutę nie wierzyła, że gwiazdę podarował jej Hu Wen. Sama myśl o tym była absurdalna. Gdyby

mu się podobała, kupiłby jej luksusowy samochód albo naszyjnik z brylantami, ale nie gwiazdę.

– Myślałem, że żaden z kandydatów się nie nadaje, i zaczynało mi brakować pomysłów. Ale przywróciłaś mi wiarę w numer pięć. Dziękuję.

W końcu podniósł wzrok i spojrzał na Cheng Xin ze swym zimnym, drapieżnym uśmiechem. Jak poprzednio zdawał się czerpać przyjemność z jej bólu i rozpaczy.

Cheng Xin jednak nie straciła całej nadziei.

Brała udział w ceremonii złożenia przysięgi wierności przez kandydatów do programu Klatka Schodowa. Zgodnie z traktatem o przestrzeni kosmicznej, z poprawką wprowadzoną po kryzysie, każda osoba korzystająca z zasobów Ziemi, która zamierzała opuścić Układ Słoneczny w ramach rozwoju gospodarczego, emigracji, badań naukowych czy z innych przyczyn, musiała najpierw złożyć przysięgę, że dochowa wierności ludzkości. Gdy podpisywano ten traktat, wszyscy myśleli, że będzie się można na niego powołać dopiero w dalekiej przyszłości.

Ceremonia odbyła się w sali posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego ONZ. W przeciwieństwie do sesji sprzed kilku miesięcy, kiedy ogłoszono program Wpatrujących się w Ścianę, była zamknięta dla publiczności. Poza kilkoma kandydatami do programu Klatka Schodowa uczestniczyli w niej tylko sekretarz generalna Say, przewodniczący ROP i kilku obserwatorów, włącznie z Cheng Xin i innymi członkami PAW pracującymi nad tym programem, którzy zajęli dwa pierwsze rzędy foteli.

Ceremonia nie trwała długo. Kandydaci kładli po kolei rękę na trzymanej przez sekretarz Say fladze ONZ i recytowali słowa wymaganej przysięgi, że

będą „przez cały czas wierni rodzajowi ludzkiemu i nigdy nie dopuszczą się żadnego czynu, który szkodziłby dobru ludzkości”.

Przed Yun Tianmingiem stało czterech kandydatów – dwóch Amerykanów, Rosjanin i Brytyjczyk – a za nim jeszcze dwóch, kolejny Amerykanin i kolejny Chińczyk. Wszyscy wyglądali na chorych, a dwóch było na wózkach inwalidzkich. Ale wszyscy najwyraźniej byli w dobrym nastroju – jak lampki oliwne, które na moment przed zgaśnięciem wybuchają żywym płomieniem.

Cheng Xin patrzyła na Tianminga. Od czasu ich ostatniego spotkania jeszcze bardziej schudł i był bledszy, ale wydawał się bardzo spokojny. Nie spojrzał w jej stronę.

Przysięgi czterech pierwszych kandydatów przebiegły bez kłopotów. Jeden z Amerykanów, pięćdziesięciokilkuletni fizyk z rakiem trzustki, podniósł się z trudem z wózka i o własnych siłach wszedł na mównicę. Głosy kandydatów niosły się echem w pustej sali, słabe, lecz pełne oddania. Rutynę przerwał tylko Brytyjczyk, który zapytał, czy może złożyć przysięgę na Biblię. Jego życzenie spełniono.

Nadeszła kolej na Tianminga. Chociaż Cheng Xin była ateistką, pragnęła w tej chwili wyrwać Biblię z rąk poprzednika i krzyknąć: „Tianming, przysięgnij na nią, proszę cię! Wiem, że jesteś człowiekiem odpowiedzialnym. Dochowasz wierności rodzajowi ludzkiemu. Jak powiedział Wade, są tu rzeczy, z którymi nie zdołasz się rozstać…”.

Patrzyła, jak wchodzi na podwyższenie, patrzyła, jak podchodzi do sekretarz generalnej Say, a potem zamknęła oczy.

Nie usłyszała, jak powtarza przysięgę.

Tianming wziął niebieską flagę ONZ z rąk Say i powiesił ją na mównicy obok siebie.

– Nie złożę przysięgi. Na tym świecie czuję się jak obcy. Nigdy nie zaznałem wiele radości ani szczęścia i nie obdarzono mnie wielką miłością. Oczywiście można to złożyć na karb moich wad…

Mówił spokojnym tonem, jakby dokonywał przeglądu swego życia. Siedząca przed podwyższeniem Cheng Xin zaczęła drżeć, jakby czekała na apokaliptyczny sąd.

– …ale nie złożę przysięgi. Nie mam żadnych zobowiązań wobec rodzaju ludzkiego.

– Wobec tego dlaczego zgodził się pan wziąć udział w programie Klatka Schodowa? – zapytała łagodnie Say, nie spuszczając oczu z Tianminga.

– Chcę zobaczyć inny świat. To, czy będę wierny ludzkości, zależy od tego, jaką cywilizację znajdę u Trisolarian.

Say skinęła głową.

– Złożenie przysięgi jest całkowicie dobrowolne. Może pan odejść. Proszę następnego kandydata.

Cheng Xin trzęsła się, jakby wpadła do lodowni. Zagryzła usta i siłą woli powstrzymała płacz.

Tianming przeszedł ostatnią próbę.

Wade, który siedział w pierwszym rzędzie, odwrócił się i spojrzał na Cheng Xin. Rozkoszował się jej rozpaczą i bólem. Jego oczy zdawały się mówić:

„Teraz sama widzisz, co to za człowiek”.

„A jeśli mówi prawdę?”

„Skoro nawet my mu wierzymy, wróg też uwierzy”.

Wade obrócił się z powrotem w stronę podium, ale potem, jakby przypomniało mu się coś ważnego, ponownie zerknął na Cheng Xin.

„Niezła zabawa, co?”

Niespodziewana odmowa złożenia przysięgi przez Tianminga zmieniła atmosferę w sali. Ostatnia kandydatka, nosicielka wirusa HIV, czterdziestotrzyletnia inżynier NASA nazwiskiem Joyner, również odmówiła złożenia przysięgi. Wyjaśniła, że wcale nie chciała tam być, ale czuła się do tego zmuszona, bo gdyby się nie zgodziła, przyjaciele i rodzina wyrzekliby się jej i umarłaby w samotności. Nikt nie wiedział, czy mówi prawdę, czy zainspirował ją Tianming.

Następnej nocy stan Joyner nagle się pogorszył. Wskutek infekcji, która przerodziła się w zapalenie płuc, przestała oddychać i przed świtem zmarła. Zespół medyczny nie miał dość czasu, by przygotować jej mózg do szybkiego zamrożenia, w związku z czym nie nadawał się do użytku.

Do wykonania misji Klatka Schodowa wybrano Tianminga.

Ta chwila nadeszła. Cheng Xin dowiedziała się, że stan Tianminga gwałtownie się pogorszył i że trzeba natychmiast usunąć mu mózg. Zabieg ten zaplanowano przeprowadzić w Westchester Medical Center.

Cheng Xin zawahała się przed szpitalem. Nie miała odwagi wejść, ale coś ją powstrzymywało przed odejściem. Mogła tylko czekać i cierpieć. Wade, który z nią tam przyszedł, pomaszerował sam do wejścia. Zatrzymał się, odwrócił i napawał się jej bólem. Potem zadowolony zadał ostatni cios.

– A, mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. To on dał ci tę gwiazdę.

Cheng Xin na chwilę zastygła w bezruchu. Wydawało się, że wszystko wokół niej się zmieniło. Rzeczy, które widziała wcześniej, były tylko cieniami; dopiero teraz pojawiły się prawdziwe kolory życia. Pod naporem emocji zachwiała się, jakby usunął się jej grunt pod nogami.

Wbiegła do szpitala i popędziła długimi, krętymi korytarzami. Zatrzymali ją dwaj strażnicy przed oddziałem neurochirurgii. Zaczęła się im wyrywać, ale trzymali ją mocno. Wymacała swój dowód tożsamości, machnęła nim i kontynuowała szalony bieg ku sali operacyjnej. Tłum zdziwionych ludzi przed salą rozstąpił się przed nią. Wpadła jak burza przez drzwi z migającymi nad nimi czerwonymi lampkami.

Spóźniła się.

W jej stronę odwróciła się grupa mężczyzn i kobiet w białych kitlach. Ciało usunięto już z sali. Pośrodku stał stół laboratoryjny, a na nim izolowany cylindryczny pojemnik z nierdzewnej stali wysokości około metra. Właśnie został zamknięty i jeszcze niezupełnie rozwiała się biała mgła wytworzona przez ciekły hel. Powoli osiadała na powierzchni cylindra, przesuwała się nad stołem, przelewała przez jego krawędź niczym miniaturowy wodospad i zbierała na podłodze, gdzie się w końcu rozpraszała. Cylinder wyglądał w niej jak przedmiot z obcego świata.

Cheng Xin rzuciła się na stół, rozrywając obłok mgły, i ogarnął ją na parę sekund przenikliwy ziąb. Poczuła się tak, jakby przelotnie dotknęła czegoś, czego szukała, po czym straciła to na zawsze na rzecz innego czasu i innego miejsca.

Leżąc przed pojemnikiem z ciekłym helem, szlochała. Jej smutek wypełnił salę operacyjną, rozlał się na cały budynek, zatopił Nowy Jork. Stał się jeziorem, potem oceanem, a ona miała wrażenie, że tonie i opada na jego dno.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Może ta dłoń spoczywała tam już od dawna, może ten, do kogo należała, też przemawiał do niej już od dawna.

– Jest nadzieja. – Był to głos starszego mężczyzny, cichy i łagodny. – Jest nadzieja.

Nadal szlochająca Cheng Xin nie mogła złapać tchu, ale to, co ten głos powiedział potem, przyciągnęło jej uwagę.

– Proszę pomyśleć! Co byłoby idealnym pojemnikiem dla tego mózgu, jeśli uda się im go ożywić?

Ten głos nie prawił czczych frazesów, lecz zadał konkretne pytanie.

Podniosła głowę i mimo że łzy mąciły jej spojrzenie, rozpoznała siwowłosego mężczyznę – czołowego neurochirurga na świecie, współpracującego z Harvard Medical School. To pod jego kierunkiem przeprowadzono ten zabieg.

– Byłoby nim ciało, które nosiło ten mózg. Każda komórka mózgu zawiera wszystkie informacje genetyczne niezbędne dla zrekonstruowania ciała. Mogliby go sklonować, wszczepić klonowi mózg i w ten sposób znowu stałby się całością.

Cheng Xin patrzyła na kontener z nierdzewnej stali. Po jej twarzy spływały łzy, ale nie dbała o to. Potem odzyskała panowanie nad sobą i zaskoczyła wszystkich.

– A co on będzie jadł? – spytała.

Wybiegła z sali w takim samym pośpiechu, z jakim tam wpadła.

Następnego dnia Cheng Xin wróciła do gabinetu Wade’a i położyła kopertę na jego biurku. Była tak blada jak niektórzy nieuleczalnie chorzy.

– Żądam, żeby te nasiona umieszczono w kapsule Klatki Schodowej.

Wade otworzył kopertę i wysypał jej zawartość na biurko. Było tam kilkanaście małych torebek. Obejrzał je z zainteresowaniem.

– Pszenica, kukurydza, ziemniaki, a te tutaj… to warzywa, tak? Hmm, papryka chili?

Cheng Xin kiwnęła głową.

– Jego ulubiona.

Wade włożył z powrotem torebki do koperty i przesunął ją w stronę Cheng Xin.

– Nie.

– Dlaczego? W sumie ważą tylko osiemnaście gramów.

– Musimy dołożyć wszelkich starań, by pozbyć się nawet jednej i ośmiu dziesiątych grama zbędnej masy.

– Po prostu uznaj, że jego mózg jest o osiemnaście gramów cięższy!

– Ale nie jest, prawda? Dodanie tego ciężaru doprowadziłoby do zmniejszenia końcowej prędkości sondy i o wiele lat opóźniło jej spotkanie z flotą trisolariańską. – Na twarzy Wade’a pojawił się znany zimny uśmieszek. – Poza tym on jest teraz tylko mózgiem, nie ma ust, żołądka. Jaki miałoby to sens? Nie wierz w te bajki o klonowaniu. Włożą po prostu mózg do miłego inkubatora i tam będą go utrzymywać przy życiu.

Cheng Xin miała ochotę wyrwać Wade’owi cygaro z ręki i wepchnąć mu je rozżarzonym końcem w twarz, ale się opanowała.

– Pominę cię i zwrócę się z tą prośbą do tych, którzy mają większą władzę.

– To nic nie da. A potem?

– Potem złożę rezygnację.

– Nie pozwolę na to. Nadal jesteś użyteczna dla PAW.

Cheng Xin roześmiała się gorzko.

– Nie zdołasz mnie powstrzymać. Nigdy nie byłeś moim faktycznym szefem.

– Nie zrobisz niczego bez mojej zgody.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– W ramach programu Klatka Schodowa musimy wysłać w przyszłość kogoś, kto zna Yun Tianminga.

Cheng Xin zatrzymała się.

– Jednak ta osoba musi być członkiem PAW i moim podwładnym. Jesteś zainteresowana? A może chcesz od razu złożyć rezygnację?

Ruszyła dalej, ale szła coraz wolniej. W końcu zatrzymała się po raz drugi. Znowu dobiegł do niej głos Wade'a.

– Tym razem dobrze się zastanów nad swoim wyborem.

– Zgadzam się wyruszyć w przyszłość – odparła.

Oparła się o ościeże drzwi, by nie upaść. Nie odwróciła się.

Cheng Xin widziała sondę Klatka Schodowa tylko raz, kiedy rozwinął się jej żagiel na orbicie. Od ogromnego żagla o powierzchni dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych odbiło się na krótko w kierunku Ziemi światło słoneczne. Cheng Xin była już w Szanghaju i zobaczyła na czarnym jak smoła niebie jarzącą się pomarańczowoczerwoną plamkę, która stopniowo zgasła. Po pięciu minutach już jej nie było, jakby nagle zmaterializowało się znikąd oko, a potem powoli zamknęło powiekę. Sonda nabierała prędkości, by wylecieć z Układu Słonecznego, i nie można jej było zobaczyć nieuzbrojonym okiem.

Cheng Xin dodawał otuchy fakt, że Tianmingowi jednak towarzyszyły nasiona, chociaż nie te, które dla niego kupiła, lecz inne, starannie wybrane przez wydział rolnictwa kosmicznego.

Ogromny żagiel miał masę 9,3 kilograma. Cztery pięciokilometrowe liny łączyły go z kapsułą, której średnica wynosiła zaledwie czterdzieści pięć centymetrów. Pokrywała ją warstwa materiału ablacyjnego, wskutek czego jej masa przy wystrzeleniu osiągnęła osiemset pięćdziesiąt gramów. Po pokonaniu odcinka, na którym miała nabrać oczekiwanej prędkości, zmniejszy się ona do pięćset dziesięciu gramów.

Odcinek przyspieszania ciągnął się od Ziemi do orbity Jowisza. Wzdłuż trasy sondy rozmieszczono tysiąc cztery bomby jądrowe, z których dwie trzecie stanowiły bomby atomowe, a resztę termojądrowe. Tworzyły coś w rodzaju rzędu min, które uruchamiały statek, gdy koło nich przelatywał. Rozmieszczono tam też liczne sondy w celu monitorowania kursu i prędkości statku oraz wprowadzania drobnych korekt pozycji pozostałych bomb. Kolejne wybuchy jądrowe, miarowe niczym uderzenia serca, rozświetlały przestrzeń kosmiczną za żaglem, a strumień promieniowania popychał to piórko naprzód. Gdy statek dotarł na orbitę Jowisza i eksplodowała dziewięćset dziewięćdziesiąta siódma bomba, sondy monitorujące przekazały, że osiągnął jeden procent prędkości światła.

Wtedy zdarzył się wypadek. Analiza widma światła odbijającego się od żagla wykazała, że zaczął się on zwijać, prawdopodobnie z powodu pęknięcia jednej z lin. Zanim zdążono wprowadzić poprawki, wybuchła dziewięćset dziewięćdziesiąta ósma bomba i statek zboczył z kursu. Żagiel w dalszym ciągu się zwijał, wskutek czego jego profil radarowy raptownie się kurczył, i w końcu obiekt zniknął z ekranów systemu monitorującego. Bez znajomości dokładnych parametrów trajektorii jego lotu nigdy nie zostanie odnaleziony.

Z upływem czasu ta trajektoria będzie się coraz bardziej odchylała od planowanej. Zgasła nadzieja, że statek spotka się z flotą trisolariańską. Przy przybliżonym kierunku jego lotu powinien za sześć tysięcy lat minąć inną gwiazdę, a za pięć milionów lat opuścić Drogę Mleczną.

Program Klatka Schodowa zakończył się przynajmniej połowicznym sukcesem. Po raz pierwszy obiekt stworzony przez człowieka został rozpędzony do prędkości quasi-relatywistycznej.

Właściwie nie było już powodu, by wysłać Cheng Xin w przyszłość, ale mimo to PAW poprosiła ją, by weszła w stan zawieszenia procesów

życiowych. Jej zadaniem było służyć za łączniczkę z programem Klatka Schodowa w przyszłości. Gdyby ta pionierska próba okazała się pomocna w rozwoju ludzkiej kosmonautyki za dwieście lat, musiał się wtedy znaleźć ktoś, kto mógłby wyjaśnić zarchiwizowane dane i zinterpretować nieme dokumenty. Oczywiście prawdziwym powodem jej wysłania mogła być zwykła próżność, pragnienie, by program Klatka Schodowa nie został w przyszłości zapomniany. Z podobnych przyczyn wysłały w przyszłość oficerów łącznikowych inne współczesne organizacje realizujące projekty inżynieryjne.

Gdyby przyszłość chciała osądzić nasze wysiłki, to przynajmniej można było teraz posłać tam kogoś, by wyjaśnić nieporozumienia, które mogły narosnąć z upływem czasu.

Gdy jej świadomość znikała w zimnie, Cheng Xin pocieszała się, że podobnie jak Tianming będzie przez wieki unosiła się w bezdennej otchłani.

CZĘŚĆ II

12 rok ery odstraszania

Epoka Brązu

Z okna widokowego *Epoki Brązu* można było teraz zobaczyć Ziemię gołym okiem. Gdy statek wytracał prędkość, ci, którzy nie pełnili akurat wachty, przyszli na rufę, by przez szerokie iluminatory przyjrzeć się ojczystej planecie.

Z tej odległości Ziemia nadal przypominała gwiazdę, ale w jej blasku widać było bladoniebieski ton. Zaczęło się ostateczne hamowanie i członkowie załogi, którzy przy zerowej grawitacji unosili się w powietrzu, pofrunęli ku oknom jak liście opadające jesienią z drzew i wylądowali na szerokich taflach szkła. Spowodowana hamowaniem sztuczna grawitacja stopniowo się zwiększała, aż osiągnęła 1 g. Okna stały się podłogą, a leżący na niej ludzie poczuli swój ciężar jak objęcia Matki Ziemi. W pomieszczeniu narastało podniecenie.

– Jesteśmy w domu!

– Wierzysz, że to się dzieje naprawdę?

– Znowu zobaczę swoje dzieci.

– Będziemy mogli mieć dzieci!

Kiedy *Epoka Brązu* opuszczała Układ Słoneczny, prawo stanowiło, że na statku może się urodzić dziecko tylko wtedy, kiedy umrze jeden z członków załogi.

– Powiedziała, że poczeka na mnie.

– Jeśli ją zechcesz. Jesteś teraz bohaterem ludzkości – o twoje względy będą się starały gromady pięknych dziewczyn.

– Od wieków nie widziałem gromad pięknych dziewczyn!

– Czy to wszystko, co przeszliśmy, nie wydaje się snem?

– Mam wrażenie, że śnię teraz.

– Kosmos mnie przeraża.

– Mnie też. Jak tylko wrócimy, przechodzę na emeryturę. Kupię sobie gospodarstwo na wsi i resztę życia spędzę na solidnym gruncie.

Minęło czternaście lat od całkowitego zniszczenia połączonej floty Ziemi. Ci, którzy ocaleli, po stoczeniu bratobójczych walk zerwali zupełnie kontakt z ojczystą planetą. Jednak półtora roku później *Epoka Brązu* nadal odbierała z Ziemi przekazy, z których większość stanowiły transmisje radiowe dla jej mieszkańców, ale część przeznaczona była dla ludzi przebywających w kosmosie.

A potem, na początku listopada 208 roku ery kryzysu, wszystkie transmisje radiowe z Ziemi ustały. Na wszystkich częstotliwościach panowała cisza, jakby Ziemia była lampą, którą nagle wyłączono.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Nyktohylofobia

Gdy ludzkość się dowiedziała, że Wszechświat jest ciemnym lasem, w którym każdy poluje na każdego, przestała być dzieckiem, które siedzi przy jasno płonącym ognisku i głośno krzyczy „hop, hop!”, żeby nawiązać z kimś kontakt. Zgasiło ognisko i trzęsło się w ciemnościach ze strachu. Przerażała je nawet iskra.

Gdy zaczął wracać rozsądek, sieci telefonii komórkowej stopniowo wznowiły działalność, ale wciąż obowiązywały surowe ograniczenia dotyczące promieniowania elektromagnetycznego. Wszystkie stacje radiowe musiały pracować na minimalnej mocy, a każdy, kto łamał te przepisy, ryzykował, że zostanie oskarżony o zbrodnię przeciw ludzkości.

Większość ludzi zdawała sobie sprawę, że ta reakcja jest niewspółmierna do zagrożenia i bezsensowna. Wysyłanie sygnałów elektromagnetycznych w kosmos osiągnęło szczytowe natężenie w erze analogowej, kiedy stacje radiowe i telewizyjne wykorzystywały do transmisji nadajniki o ogromnej mocy. Odkąd jednak zaczęła przeważać komunikacja cyfrowa, większość informacji przekazywano kablami i światłowodami i nawet transmisje radiowe nie wymagały już tak potężnych nadajników jak przy sygnałach analogowych. Ilość promieniowania elektromagnetycznego wydostającego się z Ziemi w kosmos tak bardzo się zmniejszyła, że niektórzy naukowcy

z ery powszechnej obawiali się, że przyjaźnie nastawieni obcy nie będą w stanie jej odkryć.

Poza tym fale elektromagnetyczne są najbardziej prymitywnym i najmniej energooszczędnym sposobem przekazywania informacji Wszechświatu. W ogromie kosmosu fale radiowe szybko słabną, więc większości sygnałów elektromagnetycznych pochodzących z Ziemi nie można odebrać w odległości przekraczającej dwa lata świetlne. Słuchacze wśród gwiazd mogli przechwycić tylko coś takiego jak przekaz Ye Wenjie, która wykorzystała Słońce jako antenę.

Wskutek rozwoju ludzkiej technologii stały się dostępne dwie wydajniejsze metody sygnalizowania: neutrina i fale grawitacyjne. Te drugie były główną metodą odstraszania zastosowaną później przez ludzi wobec Trisolarian.

Teoria ciemnego lasu wywarła głęboki wpływ na ludzką cywilizację. To dziecko siedzące przy wygaszonym ognisku przeszło od optymizmu do pesymizmu i wpadło w paranoję, osamotnione we Wszechświecie.

12 rok ery odstraszania

Epoka Brązu

Większość załogi *Epoki Brązu* uznała, że nagłe zakończenie wszystkich transmisji z Ziemi jest wynikiem podboju całego Układu Słonecznego przez Trisolarian. Statek przyspieszył i skierował się ku odległej o dwadzieścia sześć lat świetlnych gwieździe z planetami typu ziemskiego.

Ale dziesięć dni później *Epoka Brązu* odebrała przekaz od dowództwa floty. Został on przesłany jednocześnie do *Epoki Brązu* i *Błękitnej Przestrzeni*, która znajdowała się po drugiej stronie Układu Słonecznego. Informowano w nim pokrótce o tym, co się zdarzyło na Ziemi, i powiadamiano o stworzeniu skutecznego systemu odstraszania Trisolarian. Nakazywano też obu statkom natychmiastowy powrót na Ziemię. Co więcej, wysyłając ten przekaz, Ziemia podjęła ogromne ryzyko, więc nie nada go powtórnie.

Początkowo *Epoka Brązu* nie dała wiary tej wiadomości – czy nie mogła to być pułapka zastawiona przez tych, którzy podbili Układ Słoneczny? Statek przestał przyspieszać i wielokrotnie prosił Ziemię o potwierdzenie. Nie otrzymał odpowiedzi, ponieważ Ziemia utrzymywała ciszę radiową.

Akurat w chwili gdy *Epoka Brązu* miała znowu zacząć się szybko oddalać od domu, zdarzyło się coś niewyobrażalnego – na statku rozwinął się w małej liczbie wymiarów sofon i ustanowił komunikację kwantową z Ziemią. Dzięki temu statek otrzymał w końcu potwierdzenie wszystkiego, co się zdarzyło.

Członkowie załogi dowiedzieli się, że jako jedni z nielicznych, którzy przetrwali zagładę połączonych sił kosmicznych Ziemi, stali się nowymi bohaterami ludzkości. Cały świat czekał z zapartym tchem na ich powrót. Dowództwo floty przyznało im najwyższe odznaczenia wojskowe.

Epoka Brązu ruszyła w podróż powrotną. Statek znajdował się teraz w odległości około dwóch tysięcy trzystu jednostek astronomicznych od Ziemi, daleko poza Pasem Kuipera, ale wciąż bardzo daleko od Obłoku Oorta. Ponieważ dotychczas leciał z prawie maksymalną szybkością, podczas hamowania zużył większość paliwa. Powrót na Ziemię musiał się odbywać z małą prędkością i trwał jedenaście lat.

Gdy w końcu zbliżyli się do Ziemi, ukazała się przed nimi biała plamka, która szybko rosła. Była to *Grawitacja*, statek wojenny, który został wysłany na ich powitanie.

Grawitacja była pierwszym statkiem wojennym klasy gwiezdnej zbudowanym po bitwie w dniu Sądu Ostatecznego. W erze odstraszania nie konstruowano już statków według z góry ustalonych projektów kadłubów. Większość dużych jednostek tworzono z wielorakich modułów, które można było składać w różnych konfiguracjach. Jednak *Grawitacja* była wyjątkiem. Jej kadłub był białym cylindrem, tak regularnym, że wydawał się równie nierzeczywisty jak podstawowy kształt umieszczony w kosmosie przez matematyczne oprogramowanie, bardziej przypominał platoński ideał niż obiekt materialny.

Gdyby załoga *Epoki Brązu* widziała anteny fal grawitacyjnych na Ziemi, rozpoznałaby w *Grawitacji* ich niemal doskonałą kopię. W istocie rzeczy cały kadłub *Grawitacji* był jedną wielką anteną fal grawitacyjnych. Podobnie jak jego siostry na Ziemi statek mógł przesyłać na nich w jednej chwili wiadomości do wszystkich zakątków Wszechświata. Anteny fal

grawitacyjnych na Ziemi i w kosmosie tworzyły system odstraszania Trisolarian w ciemnym lesie.

Po jeszcze jednym dniu rejsu *Epoka Brązu*, eskortowana przez *Grawitację*, weszła na orbitę geosynchroniczną i powoli zmierzała do portu kosmicznego. Jego załoga widziała gęste masy ludzi wypełniające wielki obszar sektora mieszkalnego koło portu jak podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich albo hadżdżu do Mekki. Statek dryfował przez chmury kolorowych wieńców. Członkowie załogi wypatrywali w tłumie ukochanych. Wszyscy wydawali się mieć łzy w oczach, płakać ze szczęścia.

Epoka Brązu zatrzymała się z ostatnim wstrząsem. Komandor zdał dowództwu floty raport o stanie statku i zadeklarował zamiar zostawienia na nim zredukowanej do minimum załogi. Dowództwo odparło, że ważniejsze jest ponowne spotkanie wszystkich członków załogi z ukochanymi osobami. Nie trzeba było zostawiać nikogo na statku. Na pokład wkroczył kapitan z małym zespołem dyżurnym, którego wzruszeni członkowie obejmowali wszystkich napotkanych załogantów.

Po mundurach przybyszy trudno się było zorientować, do której z trzech flot kosmicznych należą, ale wyjaśnili oni załodze, że nowa Flota Słoneczna jest jedną zespoloną siłą, a wszyscy, którzy brali udział w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego, włącznie z mężczyznami i kobietami z *Epoki Brązu*, będą w niej kluczowymi postaciami.

– Jeszcze za naszego życia zdobędziemy Trisolaris i otworzymy drugi układ słoneczny dla ludzkiej kolonizacji! – oznajmił kapitan floty.

Na to ktoś odparł, że przekonali się, iż kosmos jest zbyt przerażający, i wolą pozostać na Ziemi. Kapitan rzekł, że ta postawa jest całkowicie do przyjęcia. Jako że byli bohaterami ludzkości, każdy mógł wybrać sobie własną drogę życiową, ale może po rozejrzeniu się zmienią nastawienie. On

sam osobiście miał nadzieję zobaczyć jeszcze raz ten słynny statek wojenny w akcji.

Załoga *Epoki Brązu* zaczęła opuszczać pokład. Wszyscy przechodzili długim korytarzem do mieszkalnej dzielnicy portu. Wokół nich rozciągała się otwarta przestrzeń. W przeciwieństwie do powietrza na statku to tutaj miało świeży, miły zapach, jak tuż po burzy. Rozległy obszar wypełniały radosne okrzyki witającego ich tłumu na tle niebieskiej kuli Ziemi.

Na polecenie kapitana floty dowódca *Epoki Brązu* ogłosił apel dla załogi. Po naleganiach tamtego powtórnie sprawdził obecność, żeby potwierdzić, iż wszyscy członkowie zeszli ze statku.

Potem zapadła cisza.

Chociaż świętujący tłum wokół nich nadal tańczył i wymachiwał rękami, nie wydawał żadnych dźwięków. Wszyscy z *Epoki Brązu* słyszeli tylko głos kapitana floty. Na twarzy miał miły uśmiech, ale w tej niesamowitej ciszy jego głos dźwięczał ostro jak brzeszczot miecza.

– Informuje się was niniejszym, że zostaliście karnie wydaleni ze służby. Nie jesteście już członkami Floty Słonecznej. Nigdy nie da się zmyć plamy, którą pozostawiliście na jej honorze! Nigdy nie zobaczycie waszych ukochanych, bo nie mają oni ochoty się z wami widzieć. Wasi rodzice wstydzą się za was, żony i mężowie większości z was dawno się z wami rozwiedli. Mimo że społeczeństwo nie dyskryminowało waszych dzieci, przez ostatnich dziesięć lat dorastały one w cieniu waszej hańby. Gardzą wami! Zostajecie przekazani sądownictwu Floty Międzynarodowej.

Kapitan floty odszedł z zespołem dyżurnym. W tym samym czasie zniknęły witające ich tłumy, a w ich miejsce pojawiła się ciemność. Błądzące światła kilku reflektorów ukazywały otaczające załogę *Epoki Brązu* oddziały w pełni uzbrojonej policji. Stały z wymierzoną w nią bronią na platformach wokół szerokiego placu.

Niektórzy członkowie załogi obrócili się i zobaczyli, że wieńce unoszące się wokół *Epoki Brązu* nie są obrazami holograficznymi, lecz zrobione zostały z prawdziwych kwiatów. Teraz jednak w ich otoczeniu statek wydawał się ogromną trumną, która ma wkrótce spocząć w grobie.

Wyłączono elektryczne zasilanie magnetycznych butów załogi, więc pofrunęła w górę i unosiła się w powietrzu jak grupa manekinów czy atrap na strzelnicy.

– Wszyscy członkowie załogi mają natychmiast rzucić broń – przemówił skądś zimny głos. – Jeśli nie posłuchacie, nie będziemy mogli zagwarantować wam bezpieczeństwa. Jesteście aresztowani za morderstwo pierwszego stopnia i zbrodnie przeciw ludzkości.

13 rok ery odstraszania

Proces

Sprawę przeciwko *Epoce Brązu* prowadził sąd wojenny Floty Słonecznej. Chociaż główne obiekty Floty Międzynarodowej znajdowały się koło orbity Marsa, pasa asteroid i orbity Jowisza, ze względu na ogromne zainteresowanie sprawą ze strony Ziemi Międzynarodowej proces odbywał się na orbicie geosynchronicznej.

Aby pomieścić licznych obserwatorów z Ziemi, baza obracała się w celu wytworzenia sztucznej grawitacji. Za szerokimi oknami sali sądowej pojawiały się po kolei niebieska Ziemia, jasne Słońce i srebrzyste gwiazdy, tworząc kosmiczną metaforę starcia wartości. Proces trwał miesiąc w tych naprzemiennych okresach światła i mroku. Oto fragmenty protokołu.

Neil Scott, 45 lat, komandor, dowódca *Epoki Brązu*

SĘDZIA: Powróćmy do wydarzeń, które doprowadziły do podjęcia decyzji o ataku na *Kwant*.

SCOTT: Powtarzam: to była moja decyzja i to ja wydałem ten rozkaz. Wcześniej nie omawiałem jej z żadnym oficerem na statku.

SĘDZIA: Konsekwentnie stara się pan wziąć całą odpowiedzialność na siebie. Nie jest to jednak mądre i korzystne ani dla pana, ani dla tych, których stara się pan bronić.

PROKURATOR: Ustaliliśmy już, że przed atakiem odbyło się głosowanie całej załogi.

SCOTT: Jak wyjaśniłem, spośród tysiąca siedmiuset siedemdziesięciu pięciu członków załogi atak poparło tylko pięćdziesiąt dziewięć osób. To głosowanie nie było ani powodem, ani podstawą mojej decyzji o ataku.

SĘDZIA: Może pan przedstawić listę tych pięćdziesięciu dziewięciu osób?

SCOTT: Głosowanie przeprowadzono anonimowo w wewnętrznej sieci komunikacyjnej statku. Może pan zbadać dziennik pokładowy. Znajdzie pan tam potwierdzenie moich słów.

PROKURATOR: Kolejne kłamstwo. Mamy aż nadto dowodów przemawiających za tym, że głosowanie nie było anonimowe. Co więcej, wynik był zupełnie inny, niż pan twierdzi. Po fakcie sfałszował pan zapisy w dzienniku pokładowym.

SĘDZIA: Musi nam pan przedstawić prawdziwy wynik głosowania.

SCOTT: Nie mam tego, czego pan chce. Wynik, który podałem, jest prawdziwy.

SĘDZIA: Panie Scott, pozwoli pan, że przypomnę panu: jeśli nadal będzie pan utrudniał pracę sądowi, skrzywdzi pan niewinnych członków swojej załogi. Niektórzy głosowali przeciw atakowi, ale bez dowodów, które tylko pan może dostarczyć, nie możemy oczyścić ich z zarzutów i będziemy musieli uznać wszystkich oficerów, podoficerów i szeregowych z *Epoki Brązu* za winnych.

SCOTT: O czym pan mówi? Jest pan prawdziwym sędzią? To prawdziwy sąd? A co z domniemaniem niewinności?

SĘDZIA: Takiego domniemania nie stosuje się do zbrodni przeciwko ludzkości. To zasada prawa międzynarodowego ustalona na początku ery kryzysu. Ma ona gwarantować, że zdrajcy ludzkości nie unikną kary.

SCOTT: Nie jesteśmy zdrajcami ludzkości! Gdzie pan był, kiedy walczyliśmy o Ziemię?

PROKURATOR: Bez dwóch zdań jesteście zdrajcami! Dwieście lat temu RZT zdradził tylko interesy ludzkości, natomiast wy zdradziliście nasze najbardziej podstawowe zasady moralne, co jest o wiele większą zbrodnią.

SCOTT: (milczenie)

SĘDZIA: Chcę, by zrozumiał pan konsekwencje fałszowania dowodów. Na początku procesu odczytał pan w imieniu wszystkich oskarżonych oświadczenie, w którym wyraziliście skruchę z powodu śmierci tysiąca ośmiuset czterdziestu siedmiu mężczyzn i kobiet na *Kwancie*. Pora wreszcie okazać tę skruchę.

SCOTT (po długim milczeniu): Dobrze. Przedstawię prawdziwe wyniki. Możecie je znaleźć w zaszyfrowanym zapisie w dzienniku pokładowym *Epoki Brązu*.

PROKURATOR: Natychmiast je odnajdziemy. Może mi pan podać w przybliżeniu, ilu członków załogi opowiedziało się za atakiem na *Kwant*?

SCOTT: Tysiąc sześciuset siedemdziesięciu. Dziewięćdziesiąt procent załogi.

SĘDZIA: Spokój! Proszę o spokój na sali! Przypominam publiczności, że podczas rozprawy należy zachowywać milczenie.

SCOTT: Ale to i tak nie miałoby znaczenia. Przystąpiłbym do ataku, nawet gdyby opowiedziało się za nim mniej niż pięćdziesiąt procent. Ostateczna decyzja należała do mnie.

PROKURATOR: Stara się pan bronić załogę, ale *Epoka Brązu* nie była podobna do nowszych statków, które znajdowały się po drugiej stronie Układu Słonecznego, takich jak *Dobór Naturalny*. Sztuczna inteligencja na pańskim statku była prymitywna. Bez współpracy tych, którymi pan dowodził, nie mógłby pan zaatakować.

Sebastian Schneider, 31 lat, komandor podporucznik, dowódca systemów namierzania celów i atakowania na *Epoce Brązu*

PROKURATOR: Poza dowódcą statku jest pan jedynym oficerem z upoważnieniami do zapobieżenia atakowi lub do jego zakończenia.

SCHNEIDER: Zgadza się.

SĘDZIA: Ale nie zrobił pan tego.

SCHNEIDER: Nie.

SĘDZIA: Co pan wtedy myślał?

SCHNEIDER: W tamtej chwili – nie na początku ataku, ale kiedy uświadomiłem sobie, że *Epoka Brązu* nigdy nie wróci do domu – zmieniłem się. To nie był proces; po prostu zmieniłem się od stóp do głowy. To było jak ta legendarna plomba mentalna.

SĘDZIA: Uważa pan, że to było możliwe? Że na pańskim statku były plomby mentalne?

SCHNEIDER: Oczywiście, że nie. Mówiłem metaforycznie. Sam kosmos jest pewnego rodzaju plombą mentalną… W tamtej chwili zrezygnowałem z mojego ja. Moje istnienie miałoby znaczenie tylko wtedy, gdyby przetrwał kolektyw… Nie potrafię wyjaśnić tego lepiej i nie oczekuję, że Wysoki Sąd mnie zrozumie. Nie zrozumiałby, nawet gdyby wsiadł na *Epokę Brązu* i przeleciał dwadzieścia tysięcy jednostek astronomicznych od Układu Słonecznego albo jeszcze dalej.

SĘDZIA: Dlaczego?

SCHNEIDER: Dlatego, że Wysoki Sąd wiedziałby, że wróci do domu! Dusza Wysokiego Sądu zostałaby na Ziemi. Wysoki Sąd miałby szansę zrozumieć przemianę, którą przeszedłem, tylko wtedy, gdyby przestrzeń za statkiem stała się bezdenną otchłanią, tylko wtedy, gdyby Słońce, Ziemię i wszystko inne pochłonęła pustka.

Pochodzę z Kalifornii. W 1967 roku, według starego kalendarza, nauczyciel liceum w moim mieście rodzinnym, Ron Jones, zrobił coś ciekawego… Proszę mi nie przerywać. Dziękuję.

By pomóc uczniom zrozumieć nazizm i totalitaryzm, postarał się stworzyć symulację społeczeństwa totalitarnego. Potrzebował zaledwie pięciu dni, by przekształcić klasę w miniaturowe państwo faszystowskie. Wszyscy uczniowie dobrowolnie zrezygnowali z indywidualności i wolności, utożsamili się z nadrzędnym kolektywem i z religijnym żarem starali się realizować cele tego kolektywu. W końcu ten szkolny eksperyment, który zaczął się jako nieszkodliwa zabawa, wymknął się spod kontroli. Jones napisał szczegółową relację pod tytułem *Trzecia Fala*, a Niemcy nakręcili film na podstawie jego eksperymentu. Kiedy na *Epoce Brązu* zorientowaliśmy się, że jesteśmy skazani na wieczną tułaczkę po kosmosie, też utworzyliśmy państwo totalitarne. Wie Wysoki Sąd, ile zajęło nam to czasu?

Pięć minut.

Tak. Pięć minut po rozpoczęciu zebrania całej załogi fundamentalne wartości tego totalitarnego społeczeństwa zdobyły poparcie jej ogromnej większości. A zatem powiem Wysokiemu Sądowi, że kiedy ludzie zagubią się w kosmosie, stworzenie totalitarnego ustroju zajmie im tylko pięć minut.

Boris Rovinski, 36 lat, komandor porucznik, członek kadry kierowniczej *Epoki Brązu*

SĘDZIA: To pan poprowadził pierwszą grupę abordażową na *Kwant* po ataku?

ROVINSKI: Tak.

SĘDZIA: Ocalał ktoś z jego załogi?

ROVINSKI: Nikt.

SĘDZIA: Może pan opisać, co pan tam zobaczył?

ROVINSKI: Załoga zginęła wskutek działania fal infradźwiękowych wytworzonych przez kadłub *Kwanta*, kiedy uderzyły w niego impulsy elektromagnetyczne wywołane przez wybuch bomby wodorowej. Ciała były dobrze zachowane, nie widać było żadnych oznak uszkodzeń zewnętrznych.

SĘDZIA: Co zrobiliście z tymi ciałami?

ROVINSKI: Tak jak *Błękitna Przestrzeń*, zbudowaliśmy im pomnik.

SĘDZIA: To znaczy zostawiliście je w pomniku?

ROVINSKI: Nie. Wątpię też, czy w pomniku zbudowanym przez *Błękitną Przestrzeń* były jakieś ciała.

SĘDZIA: Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Zapytałem, co zrobiliście z ciałami.

ROVINSKI: Uzupełniliśmy nimi nasze zapasy żywności.

SĘDZIA: Wszystkimi?

ROVINSKI: Wszystkimi.

SĘDZIA: Kto wydał decyzję o przekształceniu ich w żywność?

ROVINSKI: Naprawdę nie pamiętam. W tamtym czasie wydało się to nam zupełnie naturalną rzeczą. Odpowiadałem za logistykę i zapasy na statku, więc kierowałem magazynowaniem i rozmieszczaniem tych ciał.

SĘDZIA: Jak zostały spożyte?

ROVINSKI: Nie zrobiliśmy niczego specjalnego. Zostały zmieszane w systemie biorecyklingu z warzywami i mięsem, a potem ugotowane.

SĘDZIA: Kto to jadł?

ROVINSKI: Wszyscy. Wszyscy na pokładzie *Epoki Brązu* musieli jadać w jednej z czterech kantyn i było tylko jedno źródło pożywienia.

SĘDZIA: Czy wiedzieli, co jedzą?

ROVINSKI: Oczywiście.

SĘDZIA: Jak reagowali?

ROVINSKI: Jestem pewien, że niektórzy czuli się nieswojo, ale nikt nie protestował. Aha, przypominam sobie, że kiedyś jadłem w mesie oficerskiej i usłyszałem, jak ktoś powiedział: „Dziękuję ci, Carol Joiner”.

SĘDZIA: Co ten oficer miał na myśli?

ROVINSKI: Carol Joiner była oficerem łącznościowym na *Kwancie*. Jadł jakąś jej część.

SĘDZIA: Skąd o tym wiedział?

ROVINSKI: Każdemu z nas założono kapsułkę umożliwiającą tropienie i identyfikację. Była wielkości ziarnka ryżu, wszczepiona pod skórę lewego ramienia. Czasami proces gotowania jej nie niszczył. Na pewno ten oficer znalazł ją na talerzu i użył komunikatora do jej odczytania.

SĘDZIA: Spokój! Proszę o spokój na sali. Proszę wynieść osoby, które zemdlały. Panie Rovinski, niewątpliwie musiał pan zdawać sobie sprawę, że łamiecie najbardziej podstawowe zasady, które czynią nas ludźmi.

ROVINSKI: Ograniczały nas inne zasady moralne, których Wysoki Sąd nie rozumie. Podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego *Epoka Brązu* musiała przekroczyć wyznaczone dla niej parametry przyspieszania. Systemy zasilania były przeciążone, a do układów podtrzymania życia przez dwie godziny nie docierał prąd, co doprowadziło do ogromnych uszkodzeń. Naprawy trzeba było przeprowadzać bardzo wolno. Tymczasem zostały uszkodzone również systemy hibernacji i można było w nich umieścić tylko około pięciuset osób. Ponad tysiąc członków załogi musiało coś jeść, więc gdybyśmy nie zapewnili dodatkowych źródeł pożywienia, połowa zmarłaby z głodu.

Ponieważ czekała nas niekończąca się podróż, nawet bez tych ograniczeń pozostawienie takiej ilości cennego białka w kosmosie byłoby

naprawdę nierozsądne…

Nie próbuję się bronić i nie próbuję bronić nikogo innego z załogi *Epoki Brązu*. Teraz, kiedy odzyskałem zasady myślenia ludzi przykutych do Ziemi, jest mi bardzo trudno wypowiadać te słowa. Bardzo trudno.

Ostatnie oświadczenie złożone przez komandora Neila Scotta

Nie mam już wiele do powiedzenia poza przestrogą.

Życie zrobiło milowy krok, kiedy wyszło z oceanu na ląd, ale te pierwsze ryby, które wspięły się na ląd, nie były już rybami.

Podobnie ludzie przestaną być ludźmi, gdy naprawdę wkroczą w kosmos i uwolnią się od Ziemi. A więc do wszystkich tu obecnych kieruję te słowa: Kiedy pomyślicie o wylocie w przestrzeń kosmiczną bez oglądania się za siebie, zastanówcie się, proszę, co robicie. Cena, jaką będziecie musieli zapłacić, jest dużo wyższa, niż sobie wyobrażacie.

Ostatecznie dowódcę Neila Scotta i sześciu innych wyższych oficerów uznano winnymi morderstwa oraz zbrodni przeciwko ludzkości i skazano na dożywocie. Z pozostałych tysiąca siedmiuset sześćdziesięciu ośmiu członków załogi uniewinniono tylko stu trzydziestu ośmiu. Reszta otrzymała wyroki od dwudziestu do trzystu lat więzienia.

Więzienie Floty Międzynarodowej znajdowało się w pasie asteroid, pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza. Tak więc skazani musieli ponownie opuścić Ziemię. Chociaż *Epoka Brązu* dotarła na orbitę geosynchroniczną, więźniom nie dane było przebyć ostatnich trzydziestu tysięcy kilometrów ich liczącej trzysta pięćdziesiąt miliardów kilometrów podróży do domu.

Kiedy statek więźniarka przyspieszył, znowu poszybowali w górę i opadli na okna na rufie niczym jesienne liście, które nigdy nie osiądą przy korzeniach drzewa.

Przed opuszczeniem bazy floty były komandor porucznik Rovinski, były komandor podporucznik Schneider i około dziesięciu innych oficerów wróciło po raz ostatni, pod strażą, na *Epokę Brązu*, by przekazać statek jego nowej załodze.

Przez ponad dziesięć lat był on całym ich światem. Starannie przystroili jego wnętrze hologramami łąk, lasów i oceanów, uprawiali na nim prawdziwe ogrody, zbudowali nawet stawy rybne i fontanny, przekształcając go w prawdziwy dom. Ale teraz to już zniknęło. Usunięto wszystkie ślady ich istnienia. *Epoka Brązu* stała się znowu zwykłym, zimnym statkiem klasy gwiezdnej.

Wszyscy, na których natknęli się w korytarzach, patrzyli na nich chłodno albo po prostu ich ignorowali. Ci, którzy salutowali, dokładali starań, by ich wzrok nie błądził i by więźniowie mieli jasność, że salutowano nie im, lecz eskortującym ich żandarmom.

Schneidera wprowadzono do sferycznej kabiny, by przekazał trzem oficerom szczegóły systemu namierzania celu. Cała trójka traktowała go jak komputer. Zadawali mu pytania głosami wypranymi z emocji i czekali na odpowiedzi. Nie było w nich ani cienia uprzejmości, nie dodano ani jednego zbędnego słowa.

Po godzinie zakończono procedurę. Schneider stuknął kilka razy w unoszący się przed nim interfejs, jakby z przyzwyczajenia zamykał kilka okien. Nagle odepchnął się mocno nogą od sferycznej ściany i poleciał na drugi koniec kabiny. Jednocześnie ściany się przesunęły i podzieliły kabinę na dwie połowy. Trzej oficerowie i żandarm zostali uwięzieni w jednej, Schneider znalazł się sam w drugiej.

Wywołał szybujące okno. Stukał w nie tak szybko, że jego palce tworzyły zamazany obraz. Był to interfejs sterujący systemem komunikacji. Schneider uruchomił antenę do komunikacji międzygwiezdnej.

Rozległ się słaby trzask. W ścianie kabiny pojawiła się mała dziurka i kabinę wypełnił biały dym. W otworze ukazała się lufa pistoletu żandarma i skierowała się na Schneidera.

– To ostatnie ostrzeżenie. Natychmiast przestań i otwórz drzwi.

– *Błękitna Przestrzeń*, tu *Epoka Brązu*. – Schneider mówił cichym głosem. Wiedział, że to, jak daleko popłynie ta wiadomość, nie ma nic wspólnego z głośnością.

Pierś Schneidera przeszył promień lasera. Z rany wydobyła się czerwona para powstała z jego krwi. Otoczony czerwoną mgłą Schneider wychrypiał ostatnie słowa:

– Nie wracajcie. To już nie jest wasz dom!

Błękitna Przestrzeń zawsze odpowiadała na usilne prośby Ziemi z większym wahaniem i podejrzliwością niż *Epoka Brązu*, więc hamowali powoli. Tak więc kiedy otrzymali ostrzeżenie od Schneidera, wciąż oddalali się od Układu Słonecznego. Po tej wiadomości natychmiast przeszli od hamowania do przyspieszania i z pełną prędkością skierowali się naprzód.

Gdy Ziemia dowiedziała się o tym od trisolariańskich sofonów, obie cywilizacje po raz pierwszy w historii miały wspólnego wroga.

Pewną pociechą dla Ziemi i Trisolaris był fakt, że *Błękitna Przestrzeń* nie mogła obecnie przesłać informacji o położeniu ich układów słonecznych w głąb ciemnego lasu. Nawet gdyby próbowała to zrobić z użyciem całej dostępnej mocy przekazu, było prawie niemożliwe, żeby ktokolwiek je usłyszał. Dotarcie do Gwiazdy Barnarda, najbliższej, którą *Błękitna*

Przestrzeń mogłaby wykorzystać jako superantenę, powtarzając wyczyn Ye Wenjie, zajęłoby jej trzysta lat. Jednak statek nie zmienił kursu. Zamiast w stronę Gwiazdy Barnarda nadal kierował się ku NH558J2, do której nie mógł dotrzeć wcześniej niż za dwa tysiące lat.

Natychmiast ruszyła za nim w pościg *Grawitacja*, jako jedyny statek w Układzie Słonecznym zdolny do odbywania podróży międzygwiezdnych. Trisolaris wystąpiła z pomysłem wysłania szybkiej kropli – która oficjalnie zwana była sondą kosmiczną, zbudowaną z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym – w celu dogonienia i zniszczenia *Błękitnej Przestrzeni,* ale Ziemia jednoznacznie odrzuciła tę propozycję. Z punktu widzenia ludzkości problem z *Błękitną Przestrzenią* był jej sprawą wewnętrzną, natomiast bitwa w dniu Sądu Ostatecznego jej największą raną, która mimo upływu ponad dziesięciu lat nadal się nie zabliźniła. Udzielenie pozwolenia na to, by kropla po raz drugi zaatakowała ludzi, zupełnie nie wchodziło w rachubę. Chociaż w umysłach większości załoga *Błękitnej Przestrzeni* stała się obcymi, tylko ludzkość mogła wymierzyć jej sprawiedliwość.

Ponieważ musiałoby minąć dużo czasu, zanim *Błękitna Przestrzeń* mogłaby im zagrażać, Trisolarianie przystali na to. Podkreślali jednak, że skoro *Grawitacja* może przesyłać wiadomości na falach grawitacyjnych, jej bezpieczeństwo jest dla nich sprawą życia i śmierci, więc krople mogłyby stanowić jej eskortę, a poza tym zapewniłyby jej miażdżącą przewagę nad ściganymi.

W rezultacie *Grawitacja* leciała w szyku z dwiema oddalonymi od niej o kilka tysięcy metrów kroplami. Kontrast pomiędzy rozmiarami tych dwóch typów statków nie mógłby być większy. Jeśli ktoś oddaliłby się na tyle, by zobaczyć *Grawitację* w całej okazałości, krople stałyby się dla niego niewidoczne, a jeśli zbliżyłby się do jednej z kropel na tyle, by się jej

dobrze przyjrzeć, w jej gładkiej powierzchni ujrzałby wyraźne odbicie *Grawitacji*.

Zbudowano ją dziesięć lat po *Błękitnej Przestrzeni*. Poza anteną fal grawitacyjnych niewiele różniło ją od poprzedniczki. Na przykład jej układy napędowe miały tylko trochę większą moc. Wiara w to, że dopadnie ofiarę, opierała się na dużo większych zbiornikach paliwa.

Mimo to ze względu na obecne prędkości obu statków pochwycenie *Błękitnej Przestrzeni* miało zająć *Grawitacji* pięćdziesiąt lat.

61 rok ery odstraszania

Dzierżyciel Miecza

Cheng Xin patrzyła ze szczytu gigantycznego drzewa na swoją gwiazdę. To ze względu na nią ją obudzono.

Podczas krótkiego trwania programu Gwiazdy Naszym Przeznaczeniem sprzedano ogółem siedemnaście gwiazd piętnastu osobom fizycznym. Pozostałych czternastu właścicieli gwiazd zniknęło w mrokach historii, nie można też było odnaleźć ich prawnych spadkobierców. Wielki Jar był niczym sito i zbyt wielu osobom nie udało się przedostać przez jego oczka. Teraz jedyną osobą, która posiadała prawny tytuł własności gwiazdy, była Cheng Xin.

Chociaż ludzkość nie podjęła jeszcze nawet próby dotarcia do żadnej gwiazdy poza Układem Słonecznym, szybki postęp technologiczny sprawił, że wartość tych, które znajdowały się w odległości do trzech lat świetlnych od Ziemi, nie była już czysto symboliczna. Okazało się, że wokół DX3906, gwiazdy Cheng Xin, krążą jednak planety. Z dwóch dotąd odkrytych jedna, sądząc z masy, orbity i analizy spektralnej jej atmosfery, wydawała się bardzo podobna do Ziemi. W rezultacie jej wartość wzrosła astronomicznie. Ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że ma ona właścicielkę.

ONZ i Flota Słoneczna chciały odzyskać DX3906, ale nie mogły tego zrobić bez zgody właścicielki na przekazanie im praw. A zatem po dwustu sześćdziesięciu czterech latach hibernacji obudzono Cheng Xin z drzemki.

Pierwszą rzeczą, którą odkryła po wyjściu z hibernacji, było to, że – jak się spodziewała – nikt nic nie wiedział o programie Klatka Schodowa. Trisolarianie nie przejęli sondy i nie mieli pojęcia, gdzie się znajduje. Historia zapomniała o Klatce Schodowej, a mózg Tianminga zaginął w otchłani kosmosu. Ale ten człowiek, który pogrążył się w nicości, zostawił swojej ukochanej rzeczywisty świat, świat składający się z gwiazdy i dwóch planet.

Planety krążące wokół DX3906 odkryła doktor astronomii nazwiskiem 艾 AA*. W ramach pracy doktorskiej AA opracowała nową technikę, w której wykorzystywano jedną gwiazdę jako soczewkę grawitacyjną do obserwacji innej.

AA przypominała Cheng Xin pełnego życia, wirującego wokół niej bez przerwy ptaka. Powiedziała, że zna takie, pochodzące z przeszłości, osoby jak ona – zwane przez odniesienie do starego kalendarza „ludźmi z ery powszechnej” – ponieważ promotorem jej rozprawy był fizyk z tamtych odległych czasów. Właśnie dzięki tej znajomości ludzi z ery powszechnej została wyznaczona przez Agencję Kosmiczną Organizacji Narodów Zjednoczonych do kontaktów z nią. Było to jej pierwsze zajęcie po doktoracie.

Prośba ONZ i floty, by odsprzedała im gwiazdę, postawiła Cheng Xin w niezręcznej sytuacji. Czuła się winna z powodu posiadania całego świata, ale na myśl o tym, że mogłaby sprzedać prezent, który otrzymała z czystej miłości, robiło się jej niedobrze. Zaproponowała, że zrzeknie się wszelkich praw do DX3906 nieodpłatnie i zadowoli się tylko upamiętnieniem tego gestu, ale odpowiedziano jej, że to niemożliwe. Zgodnie z prawem żadna organizacja ani władza nie mogły przyjąć tak cennej nieruchomości bez rekompensaty dla pierwotnego właściciela, więc nalegano na sprzedaż. Cheng Xin odmówiła.

Po długim zastanowieniu wystąpiła z inną propozycją: sprzeda planety, ale zatrzyma gwiazdę. Jednocześnie podpisze z ONZ i flotą umowę, na mocy której ludzkość będzie miała prawo korzystać z energii wytwarzanej przez DX3906. Specjaliści z zakresu prawa ostatecznie orzekli, że ta propozycja jest możliwa do przyjęcia.

AA powiedziała Cheng Xin, że skoro chce sprzedać tylko planety, kwota zaoferowana przez ONZ będzie dużo niższa. Jednak nadal będzie to astronomiczna suma, więc będzie musiała założyć firmę w celu właściwego zarządzania tymi pieniędzmi.

– Chciałabyś, żebym ci pomogła kierować tą firmą? – zapytała AA.

Cheng Xin zgodziła się, zatem AA natychmiast zadzwoniła do Agencji Kosmicznej ONZ i złożyła rezygnację.

– Teraz pracuję dla ciebie – powiedziała – porozmawiajmy więc chwilę o interesach. Zwariowałaś? Wybrałaś najgorszą ze wszystkich możliwości! Mogłabyś sprzedać gwiazdę z planetami i zostać jedną z najbogatszych osób we Wszechświecie! Mogłabyś też odmówić sprzedaży i zatrzymać cały ten układ dla siebie. Ochrona prawna własności prywatnej nie dopuszcza żadnych wyjątków, więc nikt nie mógłby ci go odebrać. A potem mogłabyś znowu poddać się hibernacji i kazać się obudzić dopiero wtedy, kiedy podróż na DX3906 stanie się możliwa. Mogłabyś tam polecieć! Całą tę przestrzeń miałabyś dla siebie! Oceany, kontynenty… oczywiście zrobisz, co chcesz, ale powinnaś zabrać mnie ze sobą…

– Już podjęłam decyzję – przerwała jej Cheng Xin. – Dzielą nas prawie trzy wieki. Nie sądzę, żebyśmy się od razu zrozumiały.

– Dobrze. – AA westchnęła. – Ale powinnaś przewartościować swoje pojęcia obowiązku i sumienia. Obowiązek kazał ci pozbyć się planet, a sumienie zatrzymać gwiazdę, ale ponownie doszło do głosu poczucie obowiązku i sprawiło, że oddałaś wytwarzaną przez nią energię. Jesteś, jak

mój promotor, jedną z tych osób z przeszłości, które są wewnętrznie rozdarte między dwoma ideałami. Ale w naszej epoce sumienie i obowiązek nie są ideałami: nadmiar któregokolwiek z nich postrzegany jest jako choroba psychiczna, zaburzenie osobowości spowodowane presją społeczną. Powinnaś się leczyć.

Mimo bijącej z dołu łuny świateł miasta Cheng Xin łatwo znalazła DX3906. Powietrze było dużo czyściejsze niż w dwudziestym pierwszym wieku. Potem przeniosła wzrok z nieba na otaczającą ją rzeczywistość: stały z AA niczym mrówki na szczycie jakby rozjarzonej bożonarodzeniowej choinki, a wokół nich wznosił się las innych choinek. Na gałęziach wisiały jak liście rozświetlone budynki. Ale to ogromne miasto zbudowano nie pod ziemią, lecz na jej powierzchni. Pokój, który zapanował w erze odstraszania, zakończył drugą epokę jaskiniową w dziejach ludzkości.

Poszły konarem do jego końca. Każda gałąź była aleją pełną dryfujących przezroczystych okien z informacjami. Za ich sprawą ulica wyglądała jak wielobarwna rzeka. Od czasu do czasu jakieś okno czy dwa odrywały się od reszty i podążały przez chwilę za nimi, po czym, gdy nie przejawiały nim zainteresowania, wracały do strumienia pozostałych. Wszystkie budynki zwisały z gałęzi, a ponieważ ta gałąź była najwyższa, Cheng Xin i AA miały nad głowami rozgwieżdżone niebo. Gdyby znalazły się na jednej z niższych gałęzi, byłyby otoczone jasnymi domami zwisającymi z wyższych konarów i poczułyby się jak owady fruwające w baśniowym lesie, w którym każdy liść i owoc skrzył się i lśnił.

Cheng Xin przyglądała się przechodniom: kobieta, dwie kobiety, grupa kobiet, kobieta, trzy kobiety – same kobiety, wszystkie piękne. Odziane

w śliczne, świetliste ubrania, wyglądały jak nimfy w tym zaczarowanym lesie. Co pewien czas mijały je starsze osoby, również kobiety, którym wiek nie odebrał urody. Gdy dotarły do końca gałęzi i przyglądały się morzu świateł w dole, Cheng Xin zadała pytanie, które nurtowało ją od kilku dni:

– Co się stało z mężczyznami?

Odkąd się obudziła, nie widziała ani jednego.

– O co ci chodzi? Są wszędzie. – AA wskazała ludzi wokół nich. – O tam. Widzisz tego, który opiera się o balustradę? A tam stoi trzech. Dwóch idzie w naszą stronę.

Cheng Xin uważnie się im przyjrzała. Osoby wskazane przez AA miały gładkie, ładne twarze, opadające na ramiona włosy i szczupłe, miękkie ciała, jakby ich kości były z bananów. Poruszali się z gracją, a ich głosy, niesione przez lekki wiatr, były słodkie i łagodne… W stuleciu, z którego pochodziła, uznano by ich za skrajnie zniewieściałych.

Po chwili zrozumiała. Ten trend widoczny był już wcześniej. Lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku były prawdopodobnie ostatnią dekadą, w której tradycyjnie zdefiniowaną męskość uważano za ideał. Potem społeczeństwo i moda preferowały mężczyzn wykazujących tradycyjnie kobiece cechy. Przypomniała sobie azjatyckich piosenkarzy, gwiazdy muzyki popularnej ze swoich czasów, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali jak śliczne dziewczyny. Wielki Jar przerwał ten kierunek ewolucji ludzkiego społeczeństwa, ale pół wieku pokoju i dobrobytu ery odstraszania doprowadziło do jego odrodzenia, a nawet przyspieszenia.

– To prawda, że początkowo ludziom z ery powszechnej odróżnienie mężczyzn od kobiet sprawia zwykle kłopot – powiedziała AA. – Ale dam ci pewną wskazówkę. Zwracaj uwagę na sposób, w jaki na ciebie patrzą. Taka klasyczna piękność jak ty jest dla nich bardzo pociągająca.

Cheng Xin spojrzała na nią z pewnym zdenerwowaniem.

– Nie, nie! – AA się roześmiała. – Ja naprawdę jestem kobietą i nie w ten sposób mi się podobasz. Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, co może być atrakcyjnego w mężczyznach z twojej ery. Gruboskórni, dzicy, brudni, zupełnie jakby nie w pełni wyewoluowali. Przyzwyczaisz się i spodoba ci się ta epoka piękna.

Niemal trzy wieki temu, kiedy Cheng Xin przygotowywała się do hibernacji, wyobrażała sobie różne problemy, z którymi będzie się musiała uporać w przyszłości, ale na coś takiego nie była przygotowana. Teraz wyobraziła sobie, jakby wyglądało jej życie, gdyby jego resztę spędziła w tym sfeminizowanym świecie… i ogarnęła ją melancholia. Spojrzała na niebo, szukając swojej gwiazdy.

– Znowu o nim myślisz, prawda? – AA chwyciła ją za ramię. – Nawet gdyby nie poleciał w kosmos i resztę życia spędził z tobą, nie żyłyby już wnuki waszych wnuków. To nowa epoka, nowe życie. Zapomnij o przeszłości!

Cheng Xin poszła za radą AA i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości. Była tu dopiero od kilku dni i zaledwie w zarysie poznała historię minionych trzech stuleci. Najbardziej wstrząsnęło nią to, że w wyniku odstraszania groźbą wysłania w głąb ciemnego lasu informacji o położeniu ich układów słonecznych między ludźmi i Trisolarianami zapanowała równowaga.

Nagle w jej głowie pojawiła się myśl: „Świat uległ zniewieścieniu… ale jak to wpływa na odstraszanie?”.

Wracały tą samą drogą po konarze. I znowu przepłynęło z nimi kilka okien informacyjnych, ale tym razem jedno z nich przyciągnęło uwagę Cheng Xin. Pokazywało mężczyznę, ewidentnie z przeszłości: chudego, wymizerowanego, ze zmierzwionymi włosami. Stał przy czarnym nagrobku. I on, i nagrobek pogrążeni byli w cieniu, ale w jego oczach

zdawało się odbijać światło odległego świtu. U dołu ekranu pojawił się wiersz tekstu:

W czasach, w których żył, zabójca zostałby skazany na karę śmierci.

Twarz mężczyzny wydała się Cheng Xin znajoma, ale obraz zniknął, zanim przyjrzała się mu dokładniej. W jego miejsce pojawiła się kobieta w średnim wieku, a przynajmniej tak się Cheng Xin wydawało. Miała oficjalny, nieświecący strój, który przypominał Cheng Xin ubiór polityka, i właśnie wygłaszała mowę. Wcześniejszy tekst był podtytułem jednej z części tego przemówienia.

Wydawało się, że okno zauważyło zainteresowanie Cheng Xin. Powiększyło się i zaczęło odtwarzać nagranie audio towarzyszące wideo. Głos przemawiającej był miły i słodki, jakby słowa były połączone ze sobą pasemkami waty cukrowej, ale treść wypowiedzi była przerażająca.

– Dlaczego kara śmierci? Dlatego, że zabił. Ale to tylko jedna z poprawnych odpowiedzi. Inną byłaby taka, że zabił za mało osób. Zabicie jednego człowieka było morderstwem, zabicie kilku lub kilkudziesięciu osób wielokrotnym morderstwem, a zatem za zabicie kilku lub kilkudziesięciu tysięcy powinno się wymierzyć mordercy tysiąckrotną karę śmierci. A gdyby ofiar było więcej? Kilkaset tysięcy? Kara śmierci, prawda? Tak, ci z was, którzy znają trochę historię, zaczynają się wahać. A gdyby zabił miliony ludzi? Mogę was zapewnić, że takiej osoby nie uznano by za mordercę. Ba, może nawet uznano by, że nie złamała prawa. Jeśli mi nie wierzycie, poznajcie historię! Każdy, kto zabił miliony, uznawany jest za „wielkiego” człowieka, za bohatera. A gdyby ta osoba zniszczyła cały świat i zabiła wszystkie formy życia na nim, byłaby wysławiana jako zbawiciel!

– Mówią o Luo Ji – wyjaśniła AA. – Chcą go postawić przed sądem.

– Dlaczego?

– To skomplikowane. Ale zasadniczo z powodu tego świata, którego położenie ujawnił Wszechświatu, przyczyniając się w ten sposób do jego zniszczenia. Nie wiemy, czy na tamtym świecie istniało życie. Mogło tak być. A więc podejrzany jest o światobójstwo, największe przestępstwo według naszego prawa.

– Hej, ty pewnie jesteś Cheng Xin!

Te słowa były szokiem dla Cheng Xin. Wydobyły się z okna unoszącego się przed nią. Polityk z tego okna gapiła się na nią, a na jej twarzy widać było radość zmieszaną ze zdumieniem, jakby niespodziewanie spotkała dawną koleżankę.

– Jesteś tą kobietą, która ma odległy świat! Jesteś jak promyk nadziei, który zawitał do nas z twojej pięknej epoki. Jako jedyny człowiek, który ma cały świat na własność, ocalisz nasz świat. Wszyscy w ciebie wierzymy. Och, przepraszam, powinnam się przedstawić…

AA kopnęła w okno i zamknęła je. Cheng Xin zdumiewał poziom technologii tej epoki. Nie miała pojęcia, jak jej obraz został przetransmitowany do mówczyni ani w jaki sposób ta polityk zdołała wyłuskać ją z miliardów osób, które oglądały transmisję.

AA wybiegła przed Cheng Xin i szła tyłem, podejmując rozmowę:

– Zniszczyłabyś jakiś świat, by stworzyć w ten sposób formę odstraszania? I co ważniejsze, nacisnęłabyś guzik, który spowodowałby zniszczenie dwóch światów, gdyby wroga nie udało się jednak odstraszyć?

– To bezsensowne pytanie. Nigdy nie postawiłabym się w takiej sytuacji.

AA zatrzymała się i chwyciła Cheng Xin za rękę. Spojrzała jej w oczy.

– Naprawdę? Nie postawiłabyś się?

– Oczywiście, że nie. Znaleźć się w takiej sytuacji to najgorsze, co przychodzi mi na myśl. To gorsze niż śmierć.

Nie pojmowała, dlaczego AA wydaje się tak poważna. Ta jednak kiwnęła głową.

– To mnie uspokaja… Może porozmawiamy jeszcze jutro? Jesteś zmęczona i powinnaś odpocząć. Potrzeba tygodnia, żeby po hibernacji dojść w pełni do siebie.

Następnego ranka AA zadzwoniła do Cheng Xin. Ukazała się na ekranie z podekscytowaną miną.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Zabieram cię w fajne miejsce. Na szczycie drzewa czeka samochód.

Cheng Xin poszła tam i zobaczyła latający samochód z otwartymi drzwiami. Wsiadła, ale w środku nie było AA. Drzwi zamknęły się bezgłośnie, a siedzenie przystosowało się do jej kształtów i objęło ją niczym rękawiczka. Samochód ruszył łagodnie i włączył się w strumień pojazdów miasta-lasu.

Było jeszcze wcześnie i gdy auto mknęło przez ten las, przez szyby wpadały snopy światła słonecznego, niemal równoległe do ziemi. Ogromne drzewa zaczęły się powoli przerzedzać i w końcu zniknęły. Pod niebieskim niebem Cheng Xin widziała tylko tereny trawiaste i zadrzewione, oszałamiającą zieloną mozaikę.

Na początku ery odstraszania większość zakładów przemysłu ciężkiego przeniesiono na orbitę, dzięki czemu odrodziła się ziemska przyroda. Powierzchnia planety wyglądała teraz tak, jak w czasach przed rewolucją przemysłową. Dzięki spadkowi liczby ludności i dalszemu uprzemysłowieniu produkcji żywności wiele gruntów rolnych leżało

odłogiem i pozwolono tam wrócić dzikim roślinom. Ziemia zamieniała się w ogromny park.

Ten piękny świat wydawał się Cheng Xin nierzeczywisty. Chociaż obudziła się z hibernacji, czuła się, jakby śniła.

Po półgodzinnym locie samochód wylądował i drzwi automatycznie się rozsunęły. Cheng Xin wysiadła, a samochód wzbił się w powietrze i odleciał. Gdy ustały zawirowania powietrza, nastała kompletna cisza, z rzadka przerywana odległym śpiewem ptaków. Cheng Xin rozejrzała się i stwierdziła, że znajduje się pośród zespołu opuszczonych budynków. Wyglądały na domy mieszkalne z ery powszechnej. Każdy z nich był do połowy porośnięty bluszczem.

Widok przeszłości pokrytej bujną zielenią nowej ery przywrócił Cheng Xin poczucie rzeczywistości, którego dotąd jej brakowało.

Zawołała AA, lecz odpowiedział jej męski głos:

– Cześć.

Odwróciła się i ujrzała mężczyznę stojącego na porośniętym bluszczem balkonie pierwszego piętra. Nie wyglądał jak łagodny, śliczny mężczyzna z czasów współczesnych, lecz jak mężczyzna z przeszłości. Cheng Xin miała wrażenie, że znowu śni, że to dalszy ciąg koszmaru z ery powszechnej.

Był to Thomas Wade. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, ale wydawał się nieco starszy. Może poddał się hibernacji po Cheng Xin, może obudził się wcześniej, a może zrobił i jedno, i drugie.

Wzrok Cheng Xin skupił się na jego prawej ręce, obciągniętej czarną rękawiczką. Trzymał w niej pistolet z ery powszechnej i mierzył w nią.

– Nabój, który w nim jest, został zaprojektowany do strzelania pod wodą – rzekł Wade. – Podobno ma długi okres przydatności. Minęło jednak ponad dwieście siedemdziesiąt lat. Kto wie, czy zadziała?

Na jego twarzy pojawił się ten dobrze jej znany uśmiech zadowolenia z nieszczęścia innych ludzi.

Błysk. Wybuch. Cheng Xin poczuła mocne uderzenie w lewe ramię, które rzuciło ją na kruszący się mur za jej plecami. Gęsty bluszcz stłumił w dużym stopniu huk strzału. Dalekie ptaki nadal ćwierkały.

– Nie mogę użyć pistoletu współczesnego – powiedział Wade. – Teraz każdy strzał jest automatycznie rejestrowany w bazie danych ochrony porządku publicznego.

Mówił takim samym spokojnym tonem jak wtedy, kiedy omawiał z nią rutynowe zadania.

– Dlaczego? – Cheng Xin nie czuła bólu. Lewa ręka była zdrętwiała, jakby nie należała do niej.

– Chcę zostać Dzierżycielem Miecza. Jesteś moją rywalką i masz szanse wygrać. Nie żywię do ciebie żadnej wrogości. Możesz mi nie wierzyć, ale w tej chwili czuję się okropnie.

– Zabiłeś Wadimowa? – zapytała. Z kącika jej ust płynęła krew.

– Tak. Był potrzebny dla programu Klatka Schodowa. A w moim obecnym planie ty nie jesteś potrzebna. Obydwoje byliście bardzo dobrzy, ale teraz stoisz mi na drodze. Muszę iść naprzód bez względu na konsekwencje.

Drugi strzał. Tym razem pocisk trafił w lewą część jej brzucha. Nadal nie czuła bólu, ale ogarniało ją coraz większe odrętwienie i nie mogła utrzymać się na nogach. Osunęła się po murze, zostawiając na bluszczu krwawą smugę.

Wade znowu nacisnął spust. W końcu jednak upływ niemal trzech stuleci dał o sobie znać i broń nie wypaliła. Odciągnął zamek i usunął niewypał, po czym ponownie wycelował w Cheng Xin.

Jego prawa ręka eksplodowała. W powietrze wzbił się obłoczek białego dymu. Wade nie miał prawego przedramienia. Na zielonych liściach wokół niego rozsypały się spalone kawałki kości i mięśni, a nieuszkodzony pistolet upadł u podnóża budynku. Wade się nie poruszył. Spojrzał na kikut swojej ręki, a potem podniósł wzrok. W jego stronę zmierzał lotem nurkowym samochód policyjny.

Gdy pojazd zbliżył się do ziemi, wyskoczyło z niego kilku funkcjonariuszy i wylądowało w gęstej trawie falującej pod wpływem uderzeń powietrza spowodowanych obrotami śmigieł. Wyglądali jak szczupłe, zwinne kobiety. Ostatnia wyskoczyła AA. Cheng Xin zamazywał się widok, ale dostrzegła jej przerażoną minę i usłyszała przerywane szlochem wyjaśnienia.

– …podał się za mnie i sfałszował mój obraz…

Cheng Xin ogarnęła fala paniki. Straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, znajdowała się w latającym samochodzie. Jej ciało było ciasno owinięte przywierającą do niego błoną. Nie czuła bólu, nie czuła nawet ciała. Znowu zaczęła się jej zacierać świadomość. Zapytała słabym głosem, którego nie słyszał nikt oprócz niej:

– Kim jest Dzierżyciel Miecza?

* Zapis tego nazwiska i imienia jest połączeniem znaków chińskich i liter łacińskich. 艾 jest nazwiskiem, które wymawia się „Ai” [imię „AA” natomiast należy w zamyśle autora wypowiadać jako „eiei”, zgodnie z wymową w języku angielskim].

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Duch Wpatrujących się w Ścianę: Dzierżyciel Miecza

Stworzenie przez Luo Ji metody odstraszania Trisolarian było niewątpliwie wielkim osiągnięciem, ale program Wpatrujących się w Ścianę, który do tego doprowadził, traktowano jako absurdalne, infantylne przedsięwzięcie. Ludzkość, niczym zdezorientowane dziecko wchodzące w okres socjalizacji, pokazała Wszechświatu, że gotowa jest gryźć i kopać. Gdy Luo Ji przekazał kontrolę nad systemem odstraszania ONZ i Flocie Słonecznej, wszyscy uznali, że legendarny program Wpatrujących się w Ścianę przeszedł do historii.

Skupiono się na samym odstraszaniu i narodziła się nowa dziedzina badań – teoria gier odstraszania.

Oto główne elementy odstraszania: odstraszający i odstraszany (w tym przypadku ludzkość i Trisolarianie), groźba (wysłanie we Wszechświat wiadomości o położeniu Trisolaris jako gwarancja zniszczenia obu światów), kontroler (osoba fizyczna lub organizacja uprawniona do wciśnięcia guzika uruchamiającego wysłanie tej wiadomości) i cel (zmuszenie Trisolarian do porzucenia planu inwazji i podzielenia się technologią z ludźmi).

Przyjmuje się, że z krańcową formą odstraszania mamy do czynienia wtedy, gdy środkiem odstraszającym jest groźba całkowitego zniszczenia zarówno odstraszającego, jak i odstraszanego.

Od innych rodzajów odstraszania jego krańcową formę odróżnia to, że gdyby nie podziałało, spełnienie groźby nie przyniosłoby żadnej korzyści odstraszającemu.

A zatem kluczem do krańcowego odstraszania jest żywiona przez odstraszającego wiara, że jeśli odstraszany nie spełni żądań odstraszającego, groźba zostanie niemal na pewno spełniona. To prawdopodobieństwo, czyli stopień odstraszania, jest ważnym parametrem w teorii gier odstraszania. By odstraszający osiągnął swój cel, ten stopień musi przekraczać osiemdziesiąt procent.

Jednak ludzkość wkrótce odkryła zniechęcający fakt – jeśli uprawnienia do zrealizowania groźby będzie posiadała ludzkość jako całość, to stopień odstraszania będzie bliski zeru.

Trudno jest prosić ludzkość o podjęcie działań, które doprowadziłyby do zniszczenia dwóch światów, ponieważ zgoda na to byłaby równoznaczna z pogwałceniem jej najbardziej podstawowych zasad moralnych i największych wartości. Fakt, że dzieje się to w warunkach ciemnego lasu, sprawia, iż zadanie to jest jeszcze trudniejsze. Gdyby strategia odstraszania zawiodła, przetrwałoby jeszcze co najmniej jedno pokolenie. W pewnym sensie nie wywarłoby to żadnego wpływu na tych, którzy by wtedy żyli. Ale w takim przypadku spełnienie groźby i wysłanie wiadomości o współrzędnych obu układów oznaczałoby, że w każdej chwili mogą zostać zgładzone, co byłoby dużo gorszym rozwiązaniem niż niespełnienie groźby. A więc łatwo przewidzieć, jaka byłaby reakcja całej ludzkości, gdyby strategia odstraszania zawiodła.

Ale reakcji jednostki nie da się przewidzieć. Sukces strategii odstraszania zasadzał się na nieprzewidywalności Luo Ji. Gdyby ta strategia nie podziałała, zachowałby się zgodnie ze swoją osobowością i psychiką. Nawet gdyby działał racjonalnie, jego interesy nie musiałyby się dokładnie pokrywać z interesami całej ludzkości. Na początku ery odstraszania oba światy dokładnie przeanalizowały osobowość Luo Ji i stworzyły jej szczegółowe matematyczne modele. Zarówno ziemscy, jak i trisolariańscy teoretycy gier odstraszania doszli do zadziwiająco podobnego wniosku: w zależności od jego stanu psychicznego w chwili załamania się obecnego sposobu odstraszania jego zdolność do spełnienia groźby wahała się od 91,9 do 98,4 procent. Trisolarianie nie podjęliby takiego ryzyka.

Oczywiście dokonanie tak dokładnej analizy nie było możliwe od razu po stworzeniu doktryny odstraszania groźbą wysłania informacji do ciemnego lasu, ale ludzkość szybko, choć intuicyjnie, doszła do tego rozwiązania i ONZ oraz Flota Słoneczna przerzuciły niczym gorący kartofel uprawnienia do spełnienia tej groźby z powrotem w ręce Luo Ji. Cały ten proces potrwał raptem osiemnaście godzin. Mimo że trwało to tak krótko, czas ten wystarczyłby, by krople zniszczyły otaczający Słońce pierścień bomb jądrowych i na zawsze uniemożliwiły ludzkości wysłanie informacji o położeniu obu układów. Uznano, że był to największy błąd strategiczny popełniony przez Trisolarian podczas tej wojny. Okryci zimnym potem ludzie odetchnęli z ulgą.

Od tamtej pory prawo uaktywnienia systemu odstraszania należało do Luo Ji. Najpierw trzymał palec na detonatorze pierścienia bomb, potem na guziku uruchamiającym transmisję na falach grawitacyjnych.

Odstraszanie groźbą wysłania wiadomości do ciemnego lasu wisiało nad oboma światami jak miecz Damoklesa, a Luo Ji był włoskiem, na którym trzymał się ten miecz. Dlatego zaczęto go nazywać Dzierżycielem Miecza.

Tak więc mimo wszystko program Wpatrujących się w Ścianę nie odszedł do lamusa. Jego duch nadal nawiedzał ludzkość.

Program Wpatrujących się w Ścianę był bezprecedensową anomalią w dziejach ludzkości, ale doktryna odstraszania i pozycja Dzierżyciela Miecza miały poprzedniczki. Przykładem krańcowego odstraszania była praktykowana podczas zimnej wojny przez NATO i Układ Warszawski groźba wzajemnego zagwarantowanego zniszczenia. W 1974 roku Związek Radziecki wprowadził w życie system „Perymetr" (*sistiema „Pierimietr"*), zwany też „martwą ręką". W przypadku przeprowadzenia przez Amerykanów ataku jądrowego, który unicestwiłby rząd i główne ośrodki dowódcze sił zbrojnych Związku Radzieckiego, miał on zapewnić mu możliwość zadania ciosu odwetowego. System ten opierał się na sieci czujników, które zbierały informacje o wybuchach jądrowych w Związku Radzieckim; wszystkie dane były przekazywane do komputera głównego, który je interpretował i decydował o tym, czy uruchomić arsenał nuklearny ZSRR.

Sercem tego systemu była ukryta gdzieś głęboko pod ziemią komora kontrolna. Gdyby system zdecydował, że trzeba przeprowadzić kontratak, rozkaz wystrzelenia rakiet wydałby oficer dyżurny.

W 2009 roku oficer, który kilkadziesiąt lat wcześniej pełnił tę funkcję, powiedział dziennikarzowi, że w owym czasie był dwudziestopięcioletnim podporucznikiem świeżo po ukończeniu Akademii Wojskowej imienia Frunzego. Gdyby system ostrzegania zdecydował, że trzeba przejść do kontrataku, on byłby ostatnim zabezpieczeniem przed całkowitym zniszczeniem świata. W takiej chwili cały Związek Radziecki i Europa Wschodnia byłyby morzem ognia, a wszyscy jego ukochani na powierzchni już by nie żyli. Gdyby wcisnął guzik, za pół godziny również Ameryka Północna stałaby się piekłem na Ziemi, a zima, która nastąpiłaby po tych

uderzeniach jądrowych, doprowadziłaby do śmierci reszty ludzkości. W jego rękach spoczywałby los całej ludzkiej cywilizacji.

Później wielokrotnie zadawano mu pytanie: Czy gdyby naprawdę nadeszła ta chwila, nacisnąłby guzik?

Pierwszy Dzierżyciel Miecza w historii ludzkości niezmiennie odpowiadał: „Nie wiem”.

Ludzie wierzyli, że podobnie jak wzajemne zagwarantowane zniszczenie w dwudziestym wieku, strategia ciemnego lasu będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Czas płynął, a ta dziwna równowaga się utrzymywała. Strategia odstraszania działała już od sześćdziesięciu lat, a guzik włączający transmisję nadal znajdował się w rękach Luo Ji, który miał już ponad sto lat. Stopniowo zmieniał się też jego publiczny wizerunek.

Luo Ji nie podobał się jastrzębiom, którzy chcieli przyjąć twardą linię wobec Trisolarian. Tuż przed początkiem ery odstraszania nawoływali do narzucenia im surowszych warunków, które doprowadziłyby do ich całkowitego rozbrojenia. Niektóre z tych propozycji były absurdalne. Według jednej z nich, zwanej programem „nagiego przesiedlenia”, wszyscy Trisolarianie musieliby się odwodnić i pozwolić się przetransportować statkami towarowymi do Obłoku Oorta, gdzie przejęłyby ich statki ludzi, przewiozły do Układu Słonecznego i umieściły w odwadnialniach na Marsie. Potem, po spełnieniu przez nich pewnych warunków, nawadniano by ich małymi partiami.

Luo Ji nie podobał się też gołębiom. Ich głównym zmartwieniem było to, czy wokół gwiazdy 187J3X1, której współrzędne przesłał w kosmos Luo Ji, znajdowały się planety, gdzie istniały życie i cywilizacja. Na to pytanie nie potrafił dać zdecydowanej odpowiedzi żaden astronom z Ziemi i Trisolaris. Było jednak pewne, że Luo Ji można postawić zarzut celowego

światobójstwa. Gołębie były przekonane, że podstawą pokojowej koegzystencji między ludźmi i Trisolarianami muszą być uniwersalne „ludzkie” prawa, innymi słowy zasada, że wszystkie cywilizowane istoty we Wszechświecie mają takie same nienaruszalne, podstawowe prawa. By zrealizować ten ideał, trzeba było wytoczyć proces Luo Ji.

Ale on wszystko to ignorował. Przez ponad pół wieku trzymał rękę na włączniku fal grawitacyjnych i spokojnie piastował stanowisko Dzierżyciela Miecza.

Ludzkość uświadomiła sobie, że w polityce prowadzonej wobec Trisolarian zawsze trzeba mieć na uwadze Dzierżyciela Miecza. Bez jego zgody nie można było nic zrobić w tej dziedzinie. Tak oto Dzierżyciel Miecza stał się wszechmocnym dyktatorem, bardzo podobnym do dawnych Wpatrujących się w Ścianę.

Z upływem czasu zaczęto powoli postrzegać Luo Ji jako irracjonalnego potwora i despotę o światobójczych skłonnościach.

Ludzkość zdawała sobie sprawę, że era odstraszania jest dziwną epoką. Z jednej strony ziemska cywilizacja osiągnęła bezprecedensowo wysoki poziom – wszędzie panowała demokracja i przestrzegano praw człowieka. Z drugiej strony na cały ten układ kładł się cień dyktatora. Eksperci uważali, że chociaż nauka i technologia zazwyczaj przyczyniały się do upadku rządów totalitarnych, to gdy zagrożone stawało się samo istnienie cywilizacji, mogły one sprzyjać narodzeniu się nowego totalitaryzmu. W państwach rządzonych według tradycyjnego modelu totalitaryzmu dyktator mógł sprawować władzę tylko poprzez innych ludzi, co było mało skuteczne i niepewne. A zatem nigdy wcześniej w historii nie powstało stuprocentowo skuteczne społeczeństwo totalitarne. Niemniej technologia stworzyła warunki dla pojawienia się takiego supertotalitaryzmu, czego przykładami byli zarówno Wpatrujący się w Ścianę, jak i Dzierżyciel

Miecza. Połączenie bardzo zaawansowanej technologii i nadzwyczajnego kryzysu mogło wtrącić ludzkość na powrót w wieki ciemne.

Mimo to większość zgadzała się, że odstraszanie jest koniecznością. Odkąd sofony przestały blokować rozwój ziemskiej technologii, a Trisolarianie zaczęli przekazywać swą wiedzę ludzkości, nauka rozwijała się skokowo. Mimo to Ziemia była o przynajmniej dwie lub trzy epoki technologiczne w tyle za kosmitami. Zakończenie ery odstraszania można było rozważyć dopiero wtedy, kiedy technologie obu światów znalazłyby się na mniej więcej takim samym poziomie.

Była jeszcze inna możliwość – przekazanie nadzoru nad odstraszaniem sztucznej inteligencji. Poważnie ją rozważano i włożono wiele wysiłku w zbadanie takiego rozwiązania. Jego największą zaletą był wysoki poziom odstraszania. Jednak ostatecznie odstąpiono od tego. Powierzenie losów dwóch światów maszynom było przerażającym pomysłem. Eksperymenty pokazały, że w złożonych warunkach odstraszania sztuczna inteligencja nie podejmowała trafnych decyzji, w czym nie było nic zaskakującego, skoro weźmie się pod uwagę, że podjęcie trafnej decyzji wymaga czegoś więcej niż tylko logicznego rozumowania.

Poza tym przejście od dyktatury człowieka do dyktatury maszyn nie poprawiłoby ludzkości samopoczucia, a politycznie byłoby jeszcze gorsze. Przecież na rozumowanie sztucznej inteligencji mogłyby mieć wpływ sofony. Wprawdzie nie odkryto żadnych prób wtrącania się ich w to rozumowanie, ale sama możliwość ingerencji sprawiała, że to rozwiązanie było nie do przyjęcia.

Znaleziono więc wyjście kompromisowe – zmianę Dzierżyciela Miecza. Niezależnie od powyższych rozważań, Luo Ji był stulatkiem. Jego myślenie i stan psychiczny stawały się coraz bardziej niepewne i ogół coraz bardziej się niepokoił tym, że los obu światów spoczywa w jego rękach.

61 rok ery odstraszania

Dzierżyciel Miecza

Cheng Xin szybko wracała do zdrowia. Lekarze powiedzieli jej, że nawet gdyby wszystkie siedmiomilimetrowe pociski trafiły w nią albo rozerwały jej serce, współczesna medycyna przywróciłaby ją do życia, ale gdyby został uszkodzony mózg, sprawy przedstawiałyby się inaczej.

Na policji poinformowano ją, że ostatni przypadek morderstwa na świecie zdarzył się przed dwudziestoma ośmioma laty, a w mieście nie odnotowano czegoś takiego od lat prawie czterdziestu. Policja wyszła z wprawy w sferze zapobiegania morderstwom i ścigania sprawców takich przestępstw, więc Wade'owi prawie udało się zrealizować plan. Wprawdzie inny jego rywal ostrzegł policję, że ma on zamiar dokonać zbrodni, ale ponieważ nie przedstawił żadnych dowodów, samo podejrzenie oparte na wrażliwości tej nowej ery nie wystarczało, żeby służby stojące na straży porządku publicznego podjęły stosowne kroki. Stracono mnóstwo czasu. Przystąpiono do działania dopiero wtedy, gdy Wade zadzwonił do Cheng Xin i podszył się pod AA.

W szpitalu odwiedziło Cheng Xin wiele osób: oficjalni przedstawiciele rządu, ONZ i Floty Słonecznej, zwykli obywatele oraz oczywiście AA i jej znajomi. Cheng Xin umiała już odróżniać płci, powoli przyzwyczajała się do zupełnie zniewieściałego wyglądu współczesnych mężczyzn i zaczynała dostrzegać u nich elegancję, której brakowało mężczyznom z jej epoki, ale mimo to nie uznawała ich za atrakcyjnych.

Tak więc świat nie wydawał się jej już tak dziwny i pragnęła poznać go lepiej, a tymczasem musiała tkwić w pokoju szpitalnym.

Pewnego dnia AA przyniosła jej holograficzny film. Miał tytuł *Baśń o Jangcy* i został uznany w tamtym roku za najlepszy film podczas ceremonii wręczania Oscarów. Opierał się na piosence napisanej wierszem *busuanzi* autorstwa Li Zhiyi, poety z dynastii Song:

Mieszkasz przy jednym końcu Jangcy, a ja przy drugim.
Ukochana, codziennie o tobie myślę, choć nie możemy się spotkać.
Pijemy z tej samej rzeki…

Fabuła filmu osadzona była w nieokreślonym złotym wieku i opowiadała o parze zakochanych, z których jedno mieszkało u źródła Jangcy, a drugie u jej ujścia. Przez cały film byli od siebie oddzieleni, nie spotkali się ani razu, nawet w scenie fantazji. Ale ich miłość była przedstawiona patetycznie, w sposób wyciskający łzy z oczu. Również zdjęcia były cudowne – urok i wdzięk delty Jangcy oraz energia i siła Wyżyny Tybetańskiej kontrastowały ze sobą i wzajemnie się uzupełniały, tworząc mieszaninę upajającą Cheng Xin. Film pozbawiony był toporności charakterystycznej dla komercyjnych produkcji jej epoki. Opowieść płynęła tak naturalnie jak sama Jangcy i od razu wciągnęła Cheng Xin.

„Jestem na końcu Rzeki Czasu – pomyślała Cheng Xin – ale na jej drugim końcu nie ma nikogo…”

Film obudził w Cheng Xin zainteresowanie kulturą nowej epoki, w której przyszło jej żyć. Gdy odzyskała już siły na tyle, że mogła chodzić, AA zaczęła ją zabierać na wystawy sztuki i koncerty. Cheng Xin dobrze pamiętała, jak chodziła do Fabryki 798* i na Biennale w Szanghaju, by zobaczyć dziwne dzieła „sztuki” współczesnej, więc nie mogła sobie

wyobrazić, jak daleko posunęła się ona przez trzysta lat, które przespała. Jednak wszystkie obrazy, które zobaczyła na wystawie, były realistyczne, utrzymane w pięknych kolorach, pełnych witalności i uczucia. Miała wrażenie, jakby każdy obraz był sercem bijącym w łagodnym rytmie pomiędzy pięknem natury i naturą człowieka. Co do muzyki, wszystkie utwory, które usłyszała, brzmiały jak klasyczne symfonie i przypominały jej Jangcy z tego filmu, potężną i olśniewającą urodą, lecz przy tym spokojną i kojącą. Patrzyła na rzekę tak długo, aż w końcu zaczynało się jej wydawać, że woda przestała się poruszać i że to ona rusza w daleką, daleką drogę do jej źródła…

Sztuka i kultura tej epoki w niczym nie przystawała do tego, co Cheng Xin sobie wyobrażała, ale nie był to też prosty powrót do klasycyzmu. Była to raczej sublimacja post-postmodernizmu, oparta na nowej postawie estetycznej. Na przykład w *Baśni o Jangcy* znajdowały się głębokie metafory Wszechświata, przestrzeni i czasu. Jednak największe wrażenie na Cheng Xin zrobiło to, że zniknęła przytłaczająca atmosfera rozpaczy i wszechogarniającego hałasu, która przeważała w postmodernistycznej kulturze i sztuce dwudziestego pierwszego wieku. W ich miejsce pojawiły się spokój i optymizm.

– Kocham waszą epokę – powiedziała Cheng Xin. – Jestem zaskoczona.

– Byłabyś jeszcze bardziej zaskoczona, gdybyś wiedziała, kim są twórcy tych filmów, obrazów i muzyki. To Trisolarianie z planety odległej od nas o cztery lata świetlne.

Na widok osłupiałej miny Cheng Xin AA wybuchnęła gromkim śmiechem.

* Słynna wspólnota artystyczna w Pekinie mieszcząca się w byłych koszarach. Artyści zaczęli się tam zbierać w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Odbicie kultury

Po stworzeniu strategii odstraszania założono Światową Akademię Nauk, międzynarodową organizację o takim samym statusie jak ONZ, której celem było otrzymywanie i przyswajanie informacji naukowych i technologicznych przekazywanych przez Trisolaris na Ziemię.

Początkowo ludzie przypuszczali, że Trisolarianie będą przesyłać sporadycznie, i to tylko po wielkich naciskach, niepowiązane ze sobą fragmenty wiedzy pełne celowych kłamstw i błędnych tropów prowadzących do tej niewielkiej liczby informacji, którą zechcą się podzielić, w związku z czym ziemscy naukowcy będą musieli je starannie przesiewać, by wyłowić okruchy prawdy, ale tamci zadali kłam tym podejrzeniom. Ich skarbnica wiedzy składała się głównie z podstawowych informacji naukowych z dziedziny matematyki, fizyki, kosmologii, biologii molekularnej trisolariańskich form życia i tak dalej. Każdy temat ujęty był całościowo.

Prawdę mówiąc, był to taki ogrom wiedzy, że zupełnie przytłoczyła ona społeczność naukową na Ziemi. Wobec tego Trisolarianie służyli stale wskazówkami pozwalającymi badać i przyswajać tę wiedzę. Gdy sofony przestały zakłócać pracę akceleratorów cząstek, ziemscy naukowcy mogli eksperymentalnie weryfikować główne idee trisolariańskiej fizyki

i potwierdzić, że relacje są prawdziwe. Trisolarianie wyrażali nawet kilkakrotnie żal, że ludzkość tak wolno chłonie te rewelacje. Wydawało się, że chcą, by Ziemia dorównała im w naukowym pojmowaniu rzeczywistości – przynajmniej w dziedzinie nauk podstawowych.

Tę zdumiewającą reakcję starano się wyjaśnić na Ziemi na różne sposoby. Najbardziej prawdopodobna teoria głosiła, że Trisolarianie zrozumieli, iż rozwój naukowy na Ziemi odbywa się w coraz szybszym tempie, i chcieli to wykorzystać w celu zdobycia poprzez nas nowej wiedzy. Traktowali Ziemię jak akumulator. Po jego pełnym napełnieniu wiedzą trisolariańską będzie miał większą moc.

Natomiast Trisolarianie wyjaśniali to po swojemu: przekazali Ziemi szczodry dar wiedzy z szacunku dla jej cywilizacji. Twierdzili, że sami uzyskali od Ziemi jeszcze więcej. Ludzka kultura dała im nowe spojrzenie, pozwoliła dostrzec głębsze znaczenie życia i cywilizacji oraz docenić piękno przyrody i ludzkiej natury w sposób, z którego wcześniej nie zdawali sobie sprawy. Ludzka kultura szeroko rozprzestrzeniała się na Trisolaris i szybko przekształcała trisolariańskie społeczeństwo. W ciągu pół wieku doprowadziła do wielu rewolucji i zmieniła strukturę i system polityczny tak, że stały się bardziej podobne do ich ziemskich odpowiedników. Na tym odległym świecie przyjmowano i respektowano wartości, którym hołdowała ludzkość, i wszyscy Trisolarianie byli zakochani w ludzkiej kulturze.

Najpierw ludzie odnosili się do takich twierdzeń sceptycznie, ale niewiarygodna fala oddziaływania kulturalnego, która potem nastąpiła, zdawała się dowodzić, że obcy mówią prawdę.

Po dziesiątym roku ery odstraszania Trisolarianie, oprócz dodatkowych informacji naukowych, zaczęli przesyłać wytwory kultury i sztuki, które były imitacjami ludzkich filmów, poezji, muzyki, malarstwa i tak dalej.

O dziwo, imitacje te nie były wcale niezdarne ani infantylne i stały na wysokim poziomie artystycznym. Naukowcy nazwali to kulturowym odbiciem. Ludzka cywilizacja miała teraz we Wszechświecie lustro, w którym mogła się ujrzeć z innego punktu widzenia i postarać się zrozumieć samą siebie. W następnym dziesięcioleciu trisolariańska kultura odbicia stała się popularna na Ziemi i zaczęła zastępować dekadencką kulturę miejscową, która utraciła żywotność. Kultura odbicia stała się źródłem dla naukowców szukających nowych idei kulturalnych i estetycznych.

W owych czasach, chociaż nikt nie mówił tego wprost, trudno było orzec, czy jakiś film lub powieść jest dziełem człowieka czy Trisolarianina. W utworach Trisolarian wszystkie postaci były ludźmi i przebywały na Ziemi – nie było tam ani odrobiny obcości. Jednocześnie samą Trisolaris otaczała tajemnica, świat ten nie przekazywał niemal żadnych szczegółów o sobie. Jego mieszkańcy tłumaczyli to tym, że nie są gotowi ukazać ludzkości swojej prostackiej kultury. Ze względu na wielkie różnice w biologii i środowisku naturalnym obu światów ujawnienie tego mogłoby stworzyć nieoczekiwane przeszkody w cennej wymianie informacji, która się akurat dokonywała.

Ludzkość cieszyła się, że wszystko zmierza w dobrą stronę. Do tego zakątka ciemnego lasu zawitał promyk słońca.

61 rok ery odstraszania

Dzierżyciel Miecza

W dniu, w którym wypisano Cheng Xin ze szpitala, AA powiedziała jej, że chce się z nią spotkać Sofona.

Cheng Xin zrozumiała, że AA nie mówi o obdarzonej inteligencją cząstce elementarnej przysłanej przez Trisolarian, lecz o robocie, który ma postać kobiety, stworzonym przez najbardziej rozwiniętą przez ludzi sztuczną inteligencję i bionikę. Kierowały nią sofony i występowała w roli trisolariańskiego ambasadora na Ziemi. Dzięki niej stosunki między tymi dwoma światami nabierały bardziej naturalnego charakteru niż wtedy, gdy sofony rozwijały się w mniejszej liczbie wymiarów.

Sofona mieszkała na ogromnym drzewie na skraju miasta. Widoczne z okna latającego samochodu liście na tym drzewie były tak rzadkie, jakby była późna jesień. Mieszkanie Sofony znajdowało się na samym końcu gałązki drzewa – był to jeden liść bambusa otoczony białą mgiełką. Niebo było bezchmurne, więc było jasne, że tę mgiełkę wytwarza dom Sofony.

Cheng Xin i AA poszły gałęzią do końca. Ścieżka była obramowana gładkimi kamieniami, a po jej obu stronach ciągnęły się bujne trawniki. Wspięły się po krętych schodach pod drzwi, gdzie powitała jej Sofona. Wspaniałe japońskie kimono na jej drobnym ciele przypominało warstwę kwitnących kwiatów, ale gdy Cheng Xin ujrzała jej twarz, wydało się jej, że te kwiaty straciły kolory. Nie była w stanie wyobrazić sobie doskonalszej piękności, piękna ożywionego duszą. Sofona uśmiechnęła się i nagle jakby

łagodny powiew wiatru poruszył powierzchnię stawu, a odbijające się w niej światło słońca rozpadło się na tysiąc falujących fragmentów. Sofona ukłoniła się im powoli i Cheng Xin doznała wrażenia, że jej cała postać jest ilustracją chińskiego znaku 柔 – *Rou*, „delikatna”.

– Witam, witam! Chciałam złożyć wizytę w waszej wspaniałej siedzibie, ale wówczas nie mogłabym należycie was podjąć i poprowadzić drogą herbaty. Pokornie proszę o wybaczenie. Jestem szczęśliwa, że mogę się z wami spotkać.

Sofona ponownie się ukłoniła. Jej głos był tak łagodny i delikatny jak jej ciało, ledwie słyszalny, ale pełen nieodpartego wdzięku, jakby wszystkie inne głosy musiały milknąć, gdy zaczynała mówić.

Cheng Xin i AA weszły za nią na podwórko. Wpięte w jej kok drobne białe kwiatki drżały, gdy od czasu do czasu odwracała się i uśmiechała do nich. Cheng Xin zupełnie zapomniała, że Sofona jest najeźdźczynią z kosmosu, że kieruje nią potężny świat odległy o cztery lata świetlne. Widziała tylko istotę o tak zniewalającej urodzie, jakby skoncentrowało się w niej kobiece piękno, które niczym odrobina pigmentu może zabarwić całe jezioro na różowo.

Po obu stronach ścieżki biegnącej przez podwórko ciągnął się bambusowy gaj. Pomiędzy bambusami unosiła się sięgająca do pasa biała falująca mgiełka. Przeszły po drewnianym mostku nad tryskającym z ziemi źródełkiem, po czym Sofona odsunęła się na bok i zaprosiła je do salonu. Był on urządzony we wschodnim stylu, pełen światła wpadającego przez szerokie otwory w czterech ścianach, dzięki czemu przypominał pawilon. Widziały niebieskie niebo i białe chmury na zewnątrz. Chmury te, rozwiewające się pasemkami, wytwarzał sam dom. Na jednej ze ścian wisiały mały japoński drzeworyt *ukiyo-e* oraz wachlarz z namalowanym

pędzelkiem chińskim krajobrazem. Całe pomieszczenie emanowało prostą elegancją.

Sofona poczekała, aż Cheng Xin i AA usiądą na tatami, po czym też z gracją usiadła. Metodycznie ustawiła przed sobą przyrządy do ceremonii herbaty.

– Musisz zachować cierpliwość – szepnęła AA do ucha Cheng Xin. – Miną ze dwie godziny, zanim dostaniesz herbatę.

Sofona wyjęła spod kimona nieskazitelnie białą serwetkę i zaczęła wycierać nią równie nieskazitelnie czyste przyrządy. Najpierw powoli wytarła wszystkie łyżeczki. Miały one długie trzonki, każda była wystrugana z jednego kawałka bambusa. Potem przetarła białe porcelanowe czarki i żółtą miedzianą miseczkę. Bambusowym czerpakiem nabrała z ceramicznego pojemnika czystej źródlanej wody i wlała ją do czajniczka, który postawiła na kunsztownie wykonanym miedzianym podgrzewaczu. Później nasypała sproszkowanej zielonej herbaty do czarek, mieszając ją bambusowym pędzelkiem…

Wszystkie te czynności wykonywała powoli i z namaszczeniem, niektóre nawet powtarzała. Najwyraźniej chodziło jej nie o wyniki, lecz ceremonialne znaczenie.

Ale Cheng Xin nie czuła się znużona. Pełne gracji, łagodne ruchy Sofony wywierały na nią hipnotyzujący wpływ. Od czasu do czasu do pomieszczenia wpadał powiew wiatru i blade ręce Sofony wydawały się poruszać nie same z siebie, lecz wskutek tych podmuchów. Jej dłonie, gładkie jak jadeit, zdawały się pieścić nie przyrządy do parzenia herbaty, ale coś delikatniejszego, lżejszego, zwiewnego… jak czas. Tak, pieściła czas. Czas stał się giętki i wił się powoli niczym mgiełka unosząca się w bambusowym gaju. To był inny czas. Zniknęła krwawa historia i świat codziennych trosk odpłynął gdzieś daleko. Zostały tylko obłoki,

bambusowy gaj i aromat herbaty. Osiągnęli *wa kei sei jaku*, stan harmonii, szacunku, czystości i pokoju – cztery zasady drogi herbaty.

Nie wiadomo, ile minęło czasu, zanim herbata była gotowa. Wykonując kolejny ciąg skomplikowanych rytualnych czynności, Sofona w końcu podała Cheng Xin i AA czarki z herbatą. Cheng Xin pociągnęła łyk aromatycznego zielonego napoju. Jej całe ciało przeniknęło uczucie błogości i odniosła wrażenie, że jej umysł stał się jaśniejszy.

– Gdy jesteśmy tu razem, świat jest taki piękny. – Sofona nadal mówiła powoli i łagodnie, niemal niesłyszalnie. – Ale nasz świat jest też bardzo kruchy. Wszystkie musimy dokładać starań, by go chronić. – Potem złożyła im głęboki ukłon i dodała podekscytowanym nagle głosem: – Z góry dziękuję wam za waszą troskę! Dziękuję!

Cheng Xin doskonale zrozumiała, co Sofona ma na myśli, i pojęła prawdziwe znaczenie ceremonii herbaty.

Następne spotkanie przywołało Cheng Xin do otaczającej ją skomplikowanej rzeczywistości.

Na drugi dzień po wizycie u Sofony odwiedziło ją sześciu mężczyzn z ery powszechnej. Byli to kandydaci na następcę Luo Ji na stanowisku Dzierżyciela Miecza. Mieli od trzydziestu czterech do sześćdziesięciu ośmiu lat. Z hibernacji wychodziło teraz mniej ludzi niż na początku ery odstraszania, ale nadal tworzyli osobną warstwę społeczeństwa. Wszystkim im trudno było się z nim zintegrować. Świadomie lub nie, większość mężczyzn z ery powszechnej starała się sfeminizować swój wygląd i zachowanie, ale tych sześciu, którzy stanęli przed Cheng Xin, uparcie się trzymało swojej anachronicznej męskości. Gdyby Cheng Xin spotkała ich

kilka dni wcześniej, dodałoby to jej otuchy, ale teraz czuła tylko, że wywierają na nią presję.

Nie widziała w ich oczach promyka słońca; ich twarze wyglądały jak maski skrywające prawdziwe uczucia. Miała wrażenie, że stoi przed murem zbudowanym z sześciu zimnych, twardych głazów. Wygląd tego muru, stwardniałego z upływem lat, zmroził ją, poraził swym ogromem i zdawał się sugerować śmierć oraz rozlew krwi.

Cheng Xin najpierw podziękowała kandydatowi, który zawiadomił policję o zamachu na nią. Zrobiła to szczerze – w końcu uratował jej życie. Ten czterdziestoośmioletni mężczyzna nazywał się Bi Yunfeng i był kiedyś głównym projektantem największego na świecie zderzacza cząstek. Podobnie jak ona został wysłany w przyszłość z nadzieją, że gdy ludzkość wyrwie się z blokady postawionej przez sofony, zderzacz ten będzie można ponownie uruchomić. Niestety, do ery odstraszania nie przetrwał żaden ze zderzaczy cząstek zbudowanych za jego czasów.

– Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu – powiedział.

Być może chciał, by zabrzmiało to zabawnie, ale ani Cheng Xin, ani nikt z pozostałych się nie roześmiał.

– Przyszliśmy tu przekonać panią, by nie ubiegała się o stanowisko Dzierżyciela Miecza – przeszedł od razu do sedna inny z mężczyzn.

Nazywał się Cao Bin, miał trzydzieści cztery lata i był najmłodszym z kandydatów. Na początku ery kryzysu był fizykiem, kolegą słynnego Ding Yi. Gdy się okazało, że sofony założyły blokadę na badania podstawowe, myśl o tym, iż fizyka zamieniła się w matematyczną grę oderwaną od podstawy eksperymentalnej, skłoniła go do wejścia w hibernację i czekania na zdjęcie tej blokady.

– A myślicie, że wygram, jeśli zgłoszę się do konkursu? – zapytała. Od powrotu z domu Sofony bez przerwy o tym myślała. Nie dawało jej to spać.

– Prawie na pewno – odparł Iwan Antonow.

Przystojny Rosjanin był najmłodszym z kandydatów po Cao Binie, miał czterdzieści trzy lata. I imponujący życiorys: kiedyś został najmłodszym wiceadmirałem marynarki wojennej Rosji, potem został awansowany na zastępcę dowódcy Floty Bałtyckiej. Zdecydował się na hibernację z powodu nieuleczalnej choroby.

– Posiadam wystarczającą siłę odstraszania? – zapytała z uśmiechem Cheng Xin.

– Nie brak pani kwalifikacji. Służyła pani w PAW. W kilku ostatnich stuleciach agencja ta zebrała niezwykłą ilość informacji o Trisolaris. Przed bitwą w dniu Sądu Ostatecznego ostrzegła nawet ziemskie floty o nieuchronnym ataku kropli, ale zignorowano to ostrzeżenie. W obecnych czasach PAW otoczona jest legendą, a to na pewno przysporzy pani punktów. W dodatku jest pani jedyną osobą, która posiada inny świat, dzięki czemu może pani ocalić nasz świat… Nieważne, że jest to błąd logiczny; tak postrzega panią ogół…

– Pozwolą państwo, że przejdę do rzeczy – przerwał mu łysy mężczyzna. Nazywał się A.J. Hopkins, a przynajmniej tak się przedstawił. Zaginęły wszelkie informacje o jego tożsamości sprzed hibernacji, a on sam nie chciał niczego o sobie powiedzieć ani nie starał się stworzyć sobie żadnej legendy. Wskutek tego trudno mu było zostać obywatelem nowego świata, chociaż z drugiej strony jego tajemnicza przeszłość dawała mu pewną przewagę nad innymi kandydatami. Uważano, że on i Antonow zapewnią największą moc odstraszania. – W oczach opinii publicznej idealny Dzierżyciel Miecza powinien przerażać Trisolarian, ale nie ludzi. Ponieważ takie połączenie cech nie jest możliwe, ludzie będą się skłaniać ku komuś, kto nie przeraża ich. Pani na pewno ich nie przerazi, bo jest pani kobietą, a w ich oczach kobieta jest istotą anielską. Te mięczaki są jeszcze bardziej

naiwne niż dzieci w naszych czasach – ulegają pozorom… Myślą, że wszystko układa się wspaniale i że jesteśmy o krok od powszechnego pokoju i miłości. Odstraszanie nie jest już tak ważne, więc chcą, by miecz dzierżyła łagodniejsza ręka.

– A nie jest tak? – zapytała Cheng Xin. Zirytował ją pogardliwy ton Hopkinsa.

Żaden z sześciu mężczyzn jej nie odpowiedział, ale wymienili między sobą spojrzenia. Wyraz ich oczu stawał się coraz bardziej ponury i coraz zimniejszy. Stojąca między nimi Cheng Xin miała wrażenie, jakby pogrążała się w studni. Zadrżała.

– Dziecko, nie nadajesz się na Dzierżyciela Miecza. – Ten, który wypowiedział te słowa, miał sześćdziesiąt osiem lat i był najstarszym z kandydatów. Przed hibernacją był ministrem spraw zagranicznych Korei Południowej. – Jest pani młoda, nie ma żadnego doświadczenia politycznego, zdolności właściwej oceny sytuacji i cech psychicznych niezbędnych Dzierżycielowi Miecza. Pani jedyne cechy to dobroć i poczucie odpowiedzialności.

Po nim zabrał głos ostatni kandydat, doświadczony adwokat:

– Nie sądzę, by naprawdę chciała pani zostać Dzierżycielką Miecza. Musi pani wiedzieć, jakiego wymaga to poświęcenia.

Po tej ostatniej wypowiedzi nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Pojęła, co musiał przechodzić Luo Ji w erze odstraszania.

Kiedy mężczyźni wyszli, AA powiedziała:

– Moim zdaniem życie Dzierżyciela Miecza jest nie do zniesienia. To gorsze niż piekło. Dlaczego ci mężczyźni z ery powszechnej tego pragną?

– Dla niektórych mężczyzn z tamtej ery możliwość decydowania o losie ludzkości jest bardzo pociągająca. Niektórzy poświęcą całe życie dla zdobycia takiej władzy. Stało się to ich obsesją.

– Hm, ty też masz taką obsesję?

Cheng Xin nic nie odpowiedziała. Sprawy nie były już takie proste.

– Trudno wyobrazić sobie tak ponurego, szalonego, zdemoralizowanego człowieka – powiedziała AA. Miała na myśli Wade’a.

– On nie jest najgroźniejszy.

Była to prawda. Wade nie ukrywał swojej nikczemności. Warstwy przebrań, pod którymi ludzie ery powszechnej ukrywali swe prawdziwe zamiary i uczucia, były dla AA i jej współczesnych czymś niewyobrażalnym. Kto wiedział, co kryje się za zimnymi, pozbawionymi wyrazu maskami, które nosiło tych sześciu mężczyzn? Kto wiedział, czy jeden z nich nie może się stać drugą Ye Wenjie albo drugim Zhang Beihaiem? I, co bardziej przerażające, czy wszyscy nie byli tacy? Piękny świat ukazał Cheng Xin swą kruchość – był jak śliczna bańka mydlana płynąca przez krzaki jeżyn.

Tydzień później Cheng Xin przybyła do siedziby ONZ, by wziąć udział w ceremonii przekazania dwóch planet z układu DX3906.

Potem rozmawiał z nią przewodniczący ROP. Poprosił ją w imieniu ONZ i Floty Słonecznej, żeby zgłosiła kandydaturę na stanowisko Dzierżyciela Miecza. Wyjaśnił, że pozostałych sześciu kandydatów budzi wątpliwości. Wybór któregokolwiek z nich doprowadziłby do wybuchu masowej paniki, ponieważ znaczna część ludzkości uważała, że każdy z nich jest ogromnym zagrożeniem. Konsekwencje takiego wyboru byłyby nieprzewidywalne. Poza tym żaden z nich nie ufał Trisolarianom i wykazywali wobec nich

agresywną postawę. Gdyby któryś z nich stał się drugim Dzierżycielem Miecza, mógłby się sprzymierzyć ze zwolennikami twardej linii na Ziemi oraz we Flocie Międzynarodowej i domagać się od nich większych ustępstw. To z kolei mogłoby zakończyć okres pokojowej koegzystencji oraz rozwijającej się wymiany naukowej i kulturalnej i doprowadzić do katastrofy… Cheng Xin mogłaby temu zapobiec.

Gdy ludzkość wyszła z drugiej epoki jaskiniowej, siedzibę ONZ przeniesiono z powrotem pod stary adres. Cheng Xin ją znała: otoczenie budynku sekretariatu wyglądało tak samo jak przed trzema wiekami, nawet rzeźby przed nim były doskonale zachowane, a także trawnik. Przypomniała sobie ten wieczór sprzed dwustu siedemdziesięciu lat: ogłoszenie programu Wpatrujących się w Ścianę, postrzelenie Luo Ji, chaotyczny tłum w omiatającym go świetle reflektorów, swoje włosy powiewające w podmuchach śmigieł helikopterów, karetkę pogotowia odjeżdżającą z błyskiem czerwonych świateł i przenikliwym wyciem syreny… wszystko to było tak wyraźne, jakby stało się wczoraj. Zwrócony tyłem do świateł Nowego Jorku Wade wypowiedział słowa, które odmieniły jej życie: „Wyślemy tylko mózg”.

Gdyby nie to stwierdzenie, nie miałaby nic wspólnego z tym, co się teraz dzieje. Byłaby zwykłą kobietą i zmarłaby ponad dwieście lat temu. Wszystkie informacje o niej zniknęłyby bez śladu w długiej rzece czasu. Gdyby miała szczęście, czekałoby teraz na wybór drugiego Dzierżyciela Miecza dziesiąte pokolenie jej potomków.

Ale żyła. Stała przed tłumem na placu. Unosił się nad nim niczym kolorowa chmura jej hologram. Podeszła do niej młoda matka i podała jej swoje dziecko, zaledwie kilkumiesięczne niemowlę. Maluch zachichotał do niej, a Cheng Xin dotknęła gładkiej skóry jego twarzy. Jej serce zmiękło

i poczuła się tak, jakby trzymała w ramionach cały świat, nowy świat, tak śliczny i kruchy jak dziecko w jej objęciach.

– Patrzcie, ona wygląda jak Maryja Panna! – krzyknęła młoda matka do tłumu. Odwróciła się do Cheng Xin i złożyła dłonie. – Och, śliczna, dobra Madonno, ocal ten świat! Nie pozwól tym żądnym krwi, okrutnym mężczyznom zniszczyć tego piękna!

Tłum krzyknął z radości. Dziecko w ramionach Cheng Xin przestraszyło się i zaczęło płakać. Przycisnęła je mocniej do siebie.

„Czy mam wybór? – pomyślała. Odpowiedź była oczywista: – Nie. Absolutnie nie”.

Z trzech powodów.

Po pierwsze, zostać uznanym za zbawcę to tak, jak znaleźć się na gilotynie. Nie miało się wyboru. Wcześniej przydarzyło się to Luo Ji, a teraz jej.

Po drugie, młoda matka i miękkie, ciepło zawiniątko w ramionach Cheng Xin coś jej uświadomiły. Zrozumiała, jakim uczuciem darzy ten świat – macierzyńskim. Podczas ery powszechnej nigdy nie zaznała takiego uczucia. Podświadomie traktowała wszystkich na tym nowym świecie jak swoje dzieci i nie mogła znieść myśli, że mogłoby im się stać coś złego. Przedtem sądziła, że to poczucie odpowiedzialności, ale okazało się, że jest w błędzie. Instynktu macierzyńskiego nie dało się zracjonalizować – nie mogła przed nim uciec.

Trzeci powód stał przed nią jak mur nie do pokonania. Nawet gdyby nie było pierwszych dwóch, ten by pozostał – Yun Tianming.

Znalazła się w piekielnej sytuacji, w bezdennej otchłani, takiej samej, w jaką skoczył dla niej Tianming. Nie mogła się wycofać. Musiała przyjąć swoją karmę. Teraz nadeszła kolej na nią.

W dzieciństwie była otoczona miłością, ale tylko matczyną. Zapytała kiedyś matkę, gdzie jest jej ojciec. Ta, w odróżnieniu od niektórych innych samotnych matek, zareagowała spokojnie. Odparła, że nie wie, a potem, westchnąwszy, dodała, że chciałaby wiedzieć. Cheng Xin zapytała też, skąd pochodzi, a matka powiedziała, że ją znalazła.

Nie kłamała. Naprawdę ją znalazła. Nigdy nie wyszła za mąż, ale pewnego wieczoru, kiedy była na spacerze ze swoim ówczesnym chłopakiem, znalazła na ławce w parku trzymiesięczne niemowlę z butelką mleka i kartką, na której zapisano datę urodzin. Mieli zamiar odnieść dziecko na policję, która przekazałaby je miejskiemu wydziałowi spraw obywatelskich, a ten do domu dziecka, ale ona postanowiła zabrać ją do domu i dopiero rano zanieść na policję. Być może zadecydowała o tym ta jedna noc, podczas której czuła się jak matka, a może stało się to z innego powodu, ale rano postanowiła Cheng Xin adoptować.

Dlatego chłopak rozstał się z nią. W następnych dziesięciu latach spotykała się jeszcze z czterema czy pięcioma mężczyznami, ale wszystkie te związki kończyły się z powodu Cheng Xin. Później Cheng Xin odkryła, że żaden z nich nie miał nic przeciwko niej, ale gdy tylko któryś wykazywał brak cierpliwości albo brak zrozumienia dla dziecka, matka z nim zrywała. Nie chciała, żeby Cheng Xin stała się krzywda.

Kiedy Cheng Xin była mała, nigdy nie miała wrażenia, że jej rodzina jest niepełna. Myślała, że właśnie tak powinno być – mały świat składający się z matki i córki. W tym małym świecie było tyle miłości i radości, że nawet przypuszczała, iż gdyby pojawił się tam ojciec, byłby to niepotrzebny dodatek. Owszem, później zaczęło jej brakować miłości ojcowskiej. Najpierw było to nieokreślone uczucie, później narastający ból. I właśnie wtedy matka znalazła dla niej ojca, bardzo dobrego, odpowiedzialnego i kochającego człowieka. Zakochał się w jej matce po części dlatego, że tak

bardzo kochała Cheng Xin. I tak w życiu Cheng Xin pojawiło się drugie słońce. Uznała, że jej mały świat jest kompletny, więc jej rodzice nie zdecydowali się na drugie dziecko.

Później Cheng Xin wyjechała na studia. Jej życie popędziło jak koń, który wyrwał się ze stajni i uciekał coraz dalej i dalej, aż w końcu musiała się rozstać z rodzicami nie tylko w przestrzeni, ale w czasie – została wysłana w przyszłość.

W jej pamięć wrył się na zawsze wieczór, kiedy widziała ich po raz ostatni. Skłamała, że wróci na drugi dzień, bo nie potrafiła się pożegnać na zawsze, więc rozstała się z nimi bez wyjaśnienia. Ale wydawało się, że znają prawdę.

Matka ujęła ją za dłoń i powiedziała:

– Kochanie, jesteśmy w trójkę dzięki miłości…

Cheng Xin spędziła tamten wieczór przed oknem rodziców. W jej myślach wieczorny wiatr, mrugające gwiazdy i wszystko inne powtarzały ostatnie słowa matki.

Trzysta lat później była wreszcie gotowa zrobić coś z miłości.

– Będę kandydowała na stanowisko Dzierżyciela Miecza – powiedziała młodej matce.

62 rok ery odstraszania

Grawitacja, pobliże Obłoku Oorta

Grawitacja ścigała *Błękitną Przestrzeń* już od pół wieku. W końcu zbliżyła się do celu. Dzieliły ją od niego tylko trzy jednostki astronomiczne. W porównaniu z półtora rokiem świetlnym, które przebyły, były to centymetry.

Dziesięć lat wcześniej *Grawitacja* przeleciała przez Obłok Oorta. W tym rejonie, znajdującym się około roku świetlnego od Słońca, na skraju Układu Słonecznego, powstawały komety. *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* były pierwszymi zbudowanymi przez ludzi statkami, które przekroczyły tę granicę. Ale ten obszar wcale nie przypominał obłoku. Od czasu do czasu przelatywała dziesiątki czy setki tysięcy kilometrów od statków niewidoczna gołym okiem kula zamarzniętego pyłu – kometa bez ogona.

Po przejściu przez Obłok Oorta *Grawitacja* znalazła się w prawdziwej przestrzeni kosmicznej. Z miejsca, gdzie teraz była, Słońce wydawało się jedną z wielu gwiazd za statkiem. Przestało być realnym bytem i stało się złudzeniem. Z każdej strony widać było tylko bezdenną otchłań, a jedynymi obiektami, których istnienie dało się potwierdzić zmysłami, były krople lecące w szyku z *Grawitacją*. Trzymały się po bokach, ledwie widoczne. Załoga *Grawitacji* lubiła patrzeć na nie przez teleskopy, bo tylko one dodawały jej otuchy w bezkresnej pustce. Obserwowanie kropli było w pewnym sensie przyglądaniem się sobie, bo w ich lustrzanych powierzchniach odbijała się *Grawitacja*. Wymiary były nieco

zniekształcone, ale dzięki idealnie gładkiej powierzchni obraz bardzo wyraźny. Przy odpowiednio dobranym powiększeniu teleskopów obserwatorzy mogli nawet dostrzec iluminatory, a w nich samych siebie.

Większość ponadstuosobowej załogi nie doświadczyła tego poczucia osamotnienia, ponieważ dużą część z tych pięćdziesięciu lat spędziła w hibernacji. Podczas rutynowego lotu każdy był na wachcie od trzech do pięciu lat.

Cały pościg był skomplikowaną grą w przyspieszanie między *Grawitacją* i *Błękitną Przestrzenią*. Przede wszystkim *Błękitna Przestrzeń* nie mogła stale przyspieszać, gdyż kosztowałoby ją to zbyt dużo cennego paliwa i w końcu pozbawiłoby mobilności. Nawet gdyby udało się jej uciec, nic by nie zyskała, bo wyczerpanie paliwa byłoby równoznaczne z popełnieniem samobójstwa w bezkresnej pustce kosmosu. Z kolei *Grawitacja*, mimo że miała dużo większą ilość paliwa, też nie mogła nim szafować bez ograniczeń. Musiała przecież wrócić na Ziemię, więc jego rezerwy trzeba było podzielić na cztery równe części: na przyspieszenie w celu opuszczenia Układu Słonecznego, hamowanie przed celem, ponowne przyspieszenie w drodze powrotnej i hamowanie przed Ziemią. Tak więc na pogoń za uciekinierami mogła przeznaczyć tylko jedną czwartą zasobów. Dzięki obliczeniom poprzednich manewrów wykonywanych przez *Błękitną Przestrzeń* i wiadomościom zebranym przez sofony dowództwo *Grawitacji* dokładnie wiedziało, jakie ma ona rezerwy, natomiast drugi statek nie miał pojęcia o tym, jaką ilością paliwa dysponują ścigający. Tak więc *Grawitacja* znała wszystkie karty *Błękitnej Przestrzeni*, ta zaś licytowała w ciemno. Podczas pościgu *Grawitacja* stale utrzymywała większą prędkość niż *Błękitna Przestrzeń*, ale żadna z nich nie rozwijała jej do maksimum. Co więcej, po dwudziestu pięciu latach od rozpoczęcia ucieczki

Błękitna Przestrzeń przestała przyspieszać, ponieważ zużyła całe paliwo, które śmiała na to przeznaczyć.

Przez pół wieku trwania pościgu *Grawitacja* wielokrotnie wywoływała *Błękitną Przestrzeń* i wyjaśniała, że ucieczka jest bezsensowna, bo nawet gdyby udało się jej w jakiś sposób umknąć łowcom z Ziemi, dopadłyby ją i zniszczyły krople. Natomiast jeśli powróciliby na Ziemię, czekałby ich uczciwy proces. Poddając się, znacznie skróciliby czas pościgu. Ale *Błękitna Przestrzeń* ignorowała te wezwania.

Rok wcześniej, kiedy *Grawitację* i *Błękitną Przestrzeń* dzieliło trzydzieści jednostek astronomicznych, stało się coś niezupełnie nieoczekiwanego: *Grawitacja* i krople weszły w rejon przestrzeni, gdzie sofony straciły połączenia kwantowe z bazą, wskutek czego skończyły się rozmowy *Grawitacji* z Ziemią w czasie rzeczywistym. Jedynymi środkami łączności pozostały zatem neutrina i radio. Przekaz ze statku docierał teraz na Ziemię po roku i trzech miesiącach, na odpowiedź trzeba było czekać tak samo długo.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Bardziej bezpośrednie dowody na istnienie ciemnego lasu: martwe strefy dla sofonów

Tuż przed początkiem ery kryzysu, gdy Trisolarianie wysłali sofony ku Ziemi, wystrzelili też z prędkością podświetlną sześć innych w celu zbadania różnych rejonów Galaktyki.

Wszystkie sofony wkrótce weszły w martwe strefy i straciły kontakt z bazą. Temu, który utrzymywał go najdłużej, udało się dolecieć na odległość siedmiu lat świetlnych. Taki sam los spotkał sofony wystrzelone później. Najbliższą martwą strefę, znajdującą się zaledwie około 1,3 roku świetlnego od Ziemi, napotkały sofony towarzyszące *Grawitacji*.

Gdy splątanie kwantowe między sofonami zostało zerwane, nie można go już było odtworzyć. Każdy sofon, który dostał się do martwej strefy, był na zawsze stracony.

Trisolaris nie mogła pojąć, na jaki rodzaj zakłóceń natrafiły te sofony. Może było to zjawisko naturalne, a może dzieło istot inteligentnych. Zarówno naukowcy trisolariańscy, jak i ziemscy skłaniali się ku temu drugiemu wytłumaczeniu.

Przed zamilknięciem sofonom udało się zbadać tylko dwie pobliskie gwiazdy z planetami. W żadnym z tych układów nie było najmniejszych oznak życia ani cywilizacji. I Ziemia, i Trisolaris doszły do wniosku, że właśnie dlatego pozwolono im tam dotrzeć.

Tak więc choć era odstraszania trwała już od kilkudziesięciu lat, Wszechświat nadal skrywała przed oboma światami zasłona tajemnicy. Istnienie martwych stref zdawało się być bezpośrednim dowodem na to, że jest on istotnie ciemnym lasem – coś dbało o to, by był on nieprzejrzysty.

62 rok ery odstraszania

Grawitacja, pobliże Obłoku Oorta

Utrata kontaktu z sofonami nie oznaczała, że misja *Grawitacji* zakończy się niepowodzeniem, ale bardzo utrudniała jej zadanie. Wcześniej sofony mogły w każdej chwili przeniknąć do *Błękitnej Przestrzeni* i donieść o wszystkim, co się tam dzieje; teraz statek ten był dla *Grawitacji* zamkniętą skrzynką. Poza tym krople straciły możliwość porozumiewania się z Trisolaris w czasie rzeczywistym i musiały się zdać na znajdującą się w nich sztuczną inteligencję. Miało to nieprzewidywalne skutki.

Kapitan *Grawitacji* zdecydował, że nie może już dłużej czekać. Wydał rozkaz: „Cała naprzód!”.

Gdy *Grawitacja* się zbliżyła, *Błękitna Przestrzeń* po raz pierwszy się odezwała i zaproponowała kompromis: załaduje dwie trzecie załogi, włącznie z głównymi podejrzanymi, na pinasy i wyśle na *Grawitację*, jeśli ta pozwoli reszcie kontynuować podróż w głąb przestrzeni kosmicznej. Dzięki temu w kosmosie pozostanie awangarda ludzkości i zalążek przyszłej cywilizacji, co podtrzyma nadzieję na dalszą jego eksplorację.

Grawitacja stanowczo odrzuciła propozycję. Cała załoga *Błękitnej Przestrzeni* była podejrzana o morderstwo, więc wszyscy musieli stanąć przed sądem. Kosmos tak ich odmienił, że nie należeli już do rodzaju ludzkiego, i pod żadnym pozorem nie mogli go „reprezentować”.

Błękitna Przestrzeń najwyraźniej zrozumiała, że dalsze umykanie i opór są daremne. Gdyby ścigał ich tylko statek ziemski i podjęliby z nim walkę,

mieliby pewną szansę. Jednak dwie krople całkowicie zmieniły sytuację strategiczną. Dla nich *Błękitna Przestrzeń* była tylko papierową tarczą strzelniczą, która nie miała żadnej szansy ucieczki. Gdy grupę pościgową dzieliło już tylko piętnaście jednostek astronomicznych, *Błękitna Przestrzeń* oznajmiła, że się poddaje, i zaczęła ostro hamować. Odległość między nimi szybko się zmniejszyła i wydawało się, że długi pościg zbliża się wreszcie do końca.

Załoga *Grawitacji* wyszła z hibernacji i przygotowywała statek do walki. Na opustoszałej do niedawna jednostce znowu zaroiło się od ludzi.

Ci, których dopiero obudzono, dowiedzieli się, że cel jest w zasięgu ręki, ale stracili łączność z Ziemią w czasie rzeczywistym. Strata ta nie zbliżyła ich duchowo do załogi *Błękitnej Przestrzeni*. Przeciwnie, jak dziecko odłączone od rodziców nabrali jeszcze większej nieufności do tych osieroconych łobuzów. Chcieli jak najszybciej przechwycić *Błękitną Przestrzeń* i wrócić do domu. Chociaż obie załogi znajdowały się w zimnej pustce kosmosu i leciały w tym samym kierunku z tą samą mniej więcej prędkością, charakter ich podróży był zupełnie inny. *Grawitacja* miała więź duchową z macierzystym portem, natomiast *Błękitna Przestrzeń* zerwała się z kotwicy.

W dziewięćdziesiątej ósmej godzinie po obudzeniu się załogi z hibernacji do doktora Westa, psychiatry pokładowego na *Grawitacji*, zgłosił się pierwszy pacjent. Doktora zaskoczyło, że przyszedł akurat komandor porucznik Devon. Według kartoteki był on najbardziej zrównoważonym emocjonalnie człowiekiem na statku. Dowodził żandarmerią pokładową, więc jego obowiązkiem było rozbrojenie i aresztowanie załogi *Błękitnej Przestrzeni* po jej zatrzymaniu. Członkowie załogi *Grawitacji* należeli do

ostatniego pokolenia na Ziemi, które zachowało męski wygląd, a Devon był wręcz wzorcem męskości. Czasami brano go nawet za człowieka z ery powszechnej. Często opowiadał się za przyjęciem twardej postawy wobec podejrzanych i przywróceniem kary śmierci.

– Panie doktorze, wiem, że mogę panu zaufać – zaczął ostrożnie Devon, tonem zupełnie niepodobnym do jego zwykłej pewności siebie. – Wiem też, że to, co powiem, wyda się zabawne.

– Panie komandorze, nie wyśmiałbym nikogo, kto przychodzi do mnie po specjalistyczną poradę.

– Wczoraj około 436950 czasu gwiazdowego wyszedłem z czwartej sali konferencyjnej i wracałem korytarzem siedemnastym do mojej kabiny. Kiedy zbliżałem się do centrum wywiadu, zobaczyłem, że z przeciwnej strony idzie oficer, a przynajmniej mężczyzna w mundurze oficera sił kosmicznych. O tej porze wszyscy oprócz członków załogi na nocnej wachcie powinni już spać. Mimo to nie uważam, że spotkanie kogoś na korytarzu byłoby czymś dziwnym. Tylko że… – Devon potrząsnął głową, a w jego oczach pojawiło się roztargnienie, jakby starał się przypomnieć sobie sen.

– Co było nie tak?

– Minęliśmy się. On mi zasalutował, zerknąłem na niego…

Devon znowu urwał, a lekarz zachęcił go kiwnięciem głowy, by kontynuował.

– To był… to był dowódca piechoty morskiej z *Błękitnej Przestrzeni*, porucznik Park Ui-gun.

– Mówi pan o statku, który ścigamy?

Ton Westa był spokojny, bez najmniejszej nuty zdziwienia.

– Doktorze, wie pan, że do moich obowiązków należało śledzenie obrazów przekazywanych w czasie rzeczywistym z wnętrza *Błękitnej*

Przestrzeni przez sofony. Znam załogę tego statku lepiej niż naszą. Wiem, jak wygląda porucznik Park Ui-gun.

– Może był to ktoś z naszej załogi, kto jest do niego podobny.

– Nie, nie ma tu nikogo, kto by był do niego podobny. Znam wszystkich z naszego statku. Poza tym… po zasalutowaniu przeszedł obok mnie z miną bez wyrazu. Stanąłem osłupiały. Ale kiedy się odwróciłem, korytarz był pusty.

– Kiedy obudził się pan z hibernacji?

– Trzy lata temu. Musiałem śledzić, co się dzieje na pokładzie statku, który jest naszym celem. Przedtem też należałem do tych, którzy najdłużej powstrzymywali się przed hibernacją.

– Wobec tego musiał pan zauważyć, kiedy wlecieliśmy w martwą strefę sofonów.

– Oczywiście.

– Przedtem spędził pan tyle czasu na obserwowaniu załogi *Błękitnej Przestrzeni*, że pewnie czuł się pan tak, jakby znajdował się raczej tam niż na *Grawitacji*.

– Tak, panie doktorze. Często tak się czułem.

– A potem ten podgląd się urwał. Nie mógł pan już niczego tam zobaczyć. I był pan zmęczony… Panie komandorze, to proste. Proszę mi wierzyć – to normalne. Radzę panu więcej wypoczywać. Mamy teraz mnóstwo ludzi, którzy robią to, co konieczne.

– Panie doktorze, brałem udział w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego. Mój statek eksplodował, a ja znalazłem się w embrionalnej pozycji w kapsule ratunkowej wielkości pańskiego biurka, która dryfowała w pobliżu orbity Neptuna. Gdy mnie znaleziono, byłem bliski śmierci, ale zachowałem trzeźwość umysłu, nie miałem żadnych halucynacji… Wierzę moim oczom.

– Devon wstał i ruszył do wyjścia. Przed drzwiami się odwrócił. – Jeśli jeszcze raz spotkam tego sukinsyna – nieważne gdzie – zabiję go.

Jakiś czas potem zdarzył się wypadek w obszarze ekologicznym nr 3 – pękła rura, którą dostarczano roślinom substancje odżywcze. Wykonana była z włókna węglowego, a ponieważ ciśnienie w niej nie było wysokie, prawdopodobieństwo awarii było znikome. Zanim inżynier ekolog Iwancow przedarł się przez gęstą jak las deszczowy aeroponiczną plantację, inni odcięli już zawór prowadzący do pękniętej rury i zbierali żółty płyn odżywczy.

Stanął jak wryty, gdy zobaczył pęknięcie.

– To… spowodował mikrometeoroid!

Ktoś się roześmiał. Iwancow był doświadczonym i rozsądnym inżynierem, co sprawiło, że jego wybuch był tym zabawniejszy. Wszystkie obszary ekologiczne znajdowały się w środku statku. Obszar ekologiczny numer 3 oddalony był o kilkadziesiąt metrów od najbliższej części pokrywy kadłuba.

– Pracowałem ponad dziesięć lat w dziale konserwacji i wiem, jak wygląda skutek uderzenia mikrometeoroidu! Przecież na brzegach pęknięcia widać typowe ślady ablacji powstałej pod wpływem wysokiej temperatury.

Iwancow dokładnie zbadał wnętrze rury, a potem poprosił technika, by odciął fragment materiału wokół pęknięcia i powiększył go. Wszyscy ucichli, gdy przyjrzeli się obrazowi w tysiąckrotnym powiększeniu. W ściance rury tkwiły drobne czarne cząstki o średnicy zaledwie kilku mikronów. Skrzyły się jak nieprzyjaźnie patrzące oczy. Wszyscy wiedzieli, co widzą. Meteoroid musiał mierzyć nie więcej niż sto mikronów.

Przechodząc przez rurę, roztrzaskał się, a jego szczątki wbiły się w jej ściankę naprzeciw otworu wlotowego.

Jak na komendę podnieśli głowy.

Sufit nad rurą był gładki, bez żadnych uszkodzeń. Poza tym znajdowały się nad nim dziesiątki, a może nawet setki grodzi o różnej grubości, które oddzielały to miejsce od kosmosu. Uderzenie w którąkolwiek z nich uruchomiłoby alarm.

Ale mimo że alarmu nie było, meteoroid musiał pochodzić z zewnątrz. Jak można było sądzić na podstawie wyglądu pęknięcia, uderzył w rurę z prędkością względną trzydziestu tysięcy metrów na sekundę. Nie można było nadać takiego przyspieszenia pociskowi wystrzelonemu we wnętrzu statku, a już na pewno nie w strefie ekologicznej.

– Zupełnie jakby był to duch – mruknął podporucznik o imieniu Ike i wyszedł. Celowo użył tego słowa; mniej więcej dziesięć godzin wcześniej widział innego, większego ducha.

Ike starał się zasnąć, kiedy zobaczył, że w ścianie naprzeciw łóżka pojawia się otwór. Miał około metra średnicy i znajdował się tam, gdzie przedtem wisiał hawajski pejzaż. Wprawdzie wiele spośród grodzi na statku mogło się tak przesuwać i zmieniać, że w każdym miejscu mogły się pojawić drzwi, ale powstanie takiego okrągłego otworu było niemożliwe. Poza tym ściany kabin młodszych oficerów wykonane były z metalu i nie mogły się odkształcać. Przyjrzawszy się uważniej, Ike odkrył, że skraj otworu jest idealnie gładki i że odbija się w nim światło jak w lustrze.

Chociaż dziura była dziwna, Ike był zadowolony, że się pojawiła. W kabinie obok mieszkała podporucznik Wiera Wierienska, inżynier systemu sztucznej inteligencji na *Grawitacji*.

Ike kilka razy starał się namówić piękną Rosjankę, by się z nim spotkała na osobności, ale ona nie wykazywała zainteresowania jego propozycją. Nadal rozpamiętywał niepowodzenie, jakim skończyła się ostatnia próba, którą podjął przed dwoma dniami.

Akurat oboje skończyli wachtę. Jak zwykle wracali razem do kwater dla oficerów i gdy doszli do drzwi jej kabiny, chciał się do niej wprosić. Wierienska zablokowała wejście.

– Proszę cię, kotku – powiedział Ike. – Pozwól mi wejść. Kto to widział, żeby nigdy nie zaprosić do siebie sąsiada. Pomyślą, że nie jestem prawdziwym mężczyzną.

Wierienska spojrzała na niego z ukosa.

– Każdy prawdziwy mężczyzna na tym statku za bardzo by się przejmował stojącym przed nami zadaniem, żeby myśleć o tym, jak ściągnąć majtki kobiecie.

– A czym się tu przejmować? Kiedy złapiemy tych morderców, nie będzie nam już nic zagrażało. Nastaną dla nas szczęśliwe dni!

– Oni nie są mordercami! Gdyby nie strategia odstraszania, *Błękitna Przestrzeń* byłaby jedyną nadzieją ludzkości. A mimo to ścigamy ich, sprzymierzywszy się z największymi wrogami rodzaju ludzkiego. Nie jest ci wstyd?

– Eee… kotku, jeśli tak uważasz… to jak…

– Jak się tutaj znalazłam? O to chciałeś zapytać? No dalej, idź do psychiatry i do kapitana i donieś im o mnie! Wprowadzą mnie w stan przymusowej hibernacji, a kiedy wrócimy, wykopią mnie z floty. I tego właśnie pragnę!

Wierienska zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Teraz jednak Ike miał doskonały pretekst, by wejść do jej kabiny. Rozpiął pas nieważkości i usiadł na łóżku, ale zastygł, kiedy zobaczył, że zniknęła

też górna część szafki pod ścianą, a zamiast niej jest tam teraz dolna połowa okrągłego otworu. Brzeg tego, co zostało z szafki, był tak samo gładki i odblaskowy jak brzeg otworu. Wyglądało to tak, jakby szafkę i wszystko w środku, włącznie z poskładanym ubraniem, przeciął niewidzialny nóż. Lustrzana powierzchnia tego przecięcia nakładała się na krawędź okrągłego otworu, tworząc z nim część odbijającego światło wnętrza kuli.

Ike odepchnął się od łóżka. Unosząc się w stanie nieważkości, spojrzał przez otwór i o mało nie wrzasnął ze strachu.

„To musi być koszmarny sen!” – pomyślał.

Przez dziurę widział, że zniknęła również dochodząca do ściany część łóżka Wierienskiej. Jej podudzia zostały odcięte. Chociaż przekrój łóżka oraz nóg był gładki i odblaskowy, jakby pokryty warstwą rtęci, widział mięśnie i kości Wierienskiej. Ale wydawało się, że nic jej się nie stało. Była pogrążona w głębokim śnie, a jej jędrne piersi poruszały się w rytm oddechu w górę i w dół. Normalnie Ike podziwiałby taki widok, ale teraz czuł tylko niezwykły strach. Gdy się uspokoił i przyjrzał lepiej, zobaczył, że przekrój nóg Wierienskiej i jej łóżka tworzył taką samą okrągłą przestrzeń jak otwór w ścianie.

Patrzył na bąbel o około metrowej średnicy, który wymazywał wszystko, co stało mu na drodze.

Wziął z szafki nocnej smyczek do skrzypiec i drżącą ręką wsunął go do dziury. Część smyczka, która się w niej znalazła, zniknęła, ale włosie pozostało naprężone. Wyciągnął go i przekonał się, że jest nieuszkodzony. Mimo to cieszył się, że powstrzymał się przed przejściem przez dziurę. Kto wie, czy wyłoniłby się po jej drugiej stronie bez szwanku?

Opanował się siłą woli i starał się wymyślić najbardziej racjonalne wyjaśnienie niesamowitego widoku. Potem podjął mądrą, jak mu się

wydawało, decyzję – włożył czepek snu i z powrotem położył się do łóżka. Zapiął pas nieważkości i nastawił czepek na pół godziny.

Kiedy się obudził, bąbel wciąż tam był. Ike nastawił więc czepek na następne pół godziny. Gdy się obudził tym razem, nie było już ani bąbla, ani dziury. Na ścianie znowu wisiał hawajski pejzaż i wszystko wyglądało tak jak przed owym dziwnym wydarzeniem.

Ike jednak martwił się o Wierienską. Wypadł z kabiny i zatrzymał się przed jej drzwiami. Zamiast zadzwonić, zaczął w nie walić pięściami. W głowie miał przerażający widok bliskiej śmierci Wierienskiej, leżącej na łóżku z obciętymi nogami.

Trochę trwało, zanim drzwi się otworzyły i niezupełnie jeszcze przebudzona sąsiadka zapytała, czego chce.

– Przyszedłem sprawdzić, czy… nic ci nie jest.

Ike spojrzał w dół i zobaczył, że wystające spod rąbka koszuli nocnej piękne nogi Wierienskiej są w idealnym stanie.

– Idiota! – Wierienska zatrzasnęła drzwi.

Po powrocie do kabiny Ike naciągnął na głowę czepek snu i nastawił go na osiem godzin. W sprawie tego, co widział, jedynym mądrym posunięciem było nic nikomu nie mówić. Z powodu specjalnego zadania, do którego wykonania skierowano *Grawitację*, stan psychiczny załogi, zwłaszcza oficerów, był pod stałą obserwacją. Na statku znajdował się zespół psychologów składający się z ponad dziesięciu osób, a cała załoga, włącznie z nimi, liczyła nieco ponad stu członków. Niektórzy zastanawiali się, czy *Grawitacja* jest statkiem wojennym czy szpitalem psychiatrycznym. Do tego był tam jeszcze ten irytujący psychiatra cywilny West, który postrzegał wszystko w kategoriach chorób, zaburzeń i zahamowań psychicznych. Przyglądając się jego poczynaniom, można było dojść do wniosku, że poddałby badaniom psychiatrycznym zapchaną

ubikację. Psychologiczne badania przesiewowe na statku były niezwykle dokładne i nawet drobne zaburzenia umysłowe skutkowałyby poddaniem cierpiącej na nie osoby przymusowej hibernacji. Ike bał się stracić okazję do wzięcia udziału w historycznym spotkaniu obu statków. Gdyby się tak stało, po powrocie na Ziemię dziewczyny nie widziałyby w nim bohatera.

Ale po niesamowitym przeżyciu niechęć Ike'a do korpusu psychologicznego i doktora Westa trochę się zmniejszyła. Zawsze uważał, że robią z igły widły, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że ludzie mogą mieć tak realistyczne omamy.

W porównaniu z lekkimi omamami Ike'a zetknięcie się mata Liu Xiaominga ze światem zjawisk nadprzyrodzonych można było uznać za naprawdę przerażające.

Liu dokonywał rutynowej inspekcji zewnętrznej kadłuba. W tym celu trzeba było odlecieć pinasą na pewną odległość od *Grawitacji* i zbadać cały kadłub, wypatrując jakichkolwiek odchyleń od normy, takich jak ślady uderzeń meteoroidów. Był to praktykowany od starożytności zabieg, teraz przestarzały już i właściwie niepotrzebny, a zatem rzadko przeprowadzany. Statek był pełen czujników, które bez przerwy monitorowały kadłub i natychmiast wykryłyby każdy problem. Poza tym zabieg ten można było wykonać tylko wtedy, gdy *Grawitacja* leciała siłą rozpędu, nie przyspieszała ani nie hamowała. Gdy zbliżyła się do *Błękitnej Przestrzeni*, częste przyspieszanie i hamowanie stały się konieczne dla wprowadzania poprawek do kursu statku. Teraz zdarzyło się jedno z tych rzadkich okienek, kiedy szli siłą rozpędu, więc mat Liu otrzymał rozkaz wykorzystania go w celu inspekcji.

Liu wyprowadził pinasę z zatoczki w środku statku i odleciał na odległość, z której widział całą *Grawitację*. Gigantyczny kadłub skąpany był w blasku Galaktyki. W przeciwieństwie do czasów, gdy większość załogi pogrążona była w hibernacji, teraz ze wszystkich iluminatorów tryskało światło. *Grawitacja* wydawała się jeszcze wspanialsza.

Ale Liu zauważył coś niewiarygodnego. *Grawitacja* miała kształt idealnego cylindra, a jednak wyraźnie widział, że jej ogon kończy się wklęsłością! Była też dużo krótsza, niż powinna być, mniej więcej o dwadzieścia procent. Jakiś ogromny niewidzialny nóż odciął jej ogon.

Liu zamknął oczy i po kilku sekundach ponownie je otworzył. Ogona nadal nie było. Ogarnęło go przerażenie. Gigantyczny statek był organiczną całością. Gdyby nagle stracił ogon, układy rozprowadzania energii zostałyby nieodwracalnie uszkodzone i wkrótce potem statek by eksplodował. Ale nie doszło do tego. Jednostka nadal leciała bez przeszkód, jakby była zawieszona w przestrzeni. Nie słyszał w słuchawkach ani nie widział na ekranie żadnego alarmu.

Nacisnął guzik interkomu i przygotował się do zdania raportu, ale zanim coś powiedział, zamknął kanał. Przypomniał sobie słowa, które pewien stary kosmonauta wypowiedział przed bitwą w dniu Sądu Ostatecznego: „W kosmosie nie możesz polegać na intuicji. Jeśli już musisz się na nią zdać, policz najpierw od jednego do stu, a przynajmniej do dziesięciu”.

Zamknął oczy i zaczął liczyć. Gdy doszedł do dziesięciu, otworzył oczy. Ogona wciąż nie było. Ponownie zacisnął powieki. Jego oddech stał się szybszy, ale Liu starał się pamiętać o przebytym przeszkoleniu i zmusić się do spokoju. Doliczywszy do trzydziestu, znowu otworzył oczy i tym razem zobaczył *Grawitację* całą i nienaruszoną. Jeszcze raz zamknął oczy, westchnął i czekał, aż zwolni rytm jego serca.

Podleciał pinasą do rufy statku, gdzie znajdowały się trzy gigantyczne dysze napędu jądrowego. Silnik nie był włączony, a reaktor termojądrowy pracował na minimalnej mocy, więc otaczała je tylko słaba czerwona poświata, która przypominała mu barwą chmury na Ziemi po zachodzie słońca.

Mat Liu ucieszył się, że nie złożył raportu. Być może oficera poddano by po czymś takim psychoterapii, ale podoficera takiego jak on czekałaby przymusowa hibernacja, a podobnie jak Ike, Liu Xiaoming nie chciał wrócić na Ziemię jako bezwartościowy mężczyzna.

Doktor West poszedł znaleźć Guan Yifana, cywilnego naukowca, który pracował w laboratorium na rufie. Guanowi przydzielono na kwaterę kabinę w śródokręciu, ale rzadko tam bywał. Większość czasu spędzał w obserwatorium, a posiłki przynosiły mu roboty z obsługi. Załoga nazywała go „pustelnikiem z rufy”.

Obserwatorium, w którym mieszkał i pracował, było małą sferyczną kabiną. Guan miał zaniedbaną powierzchowność, nieogoloną twarz i długie włosy, ale wciąż wyglądał względnie młodo. Gdy West go zobaczył, Guan unosił się w stanie nieważkości pośrodku kabiny ze spoconym czołem i błędnym wzrokiem. Nerwowo szarpał kołnierzyk koszuli, jakby miał trudności z oddychaniem.

– Powiedziałem już panu przez telefon, że jestem zajęty i nie mam czasu na przyjmowanie wizyt.

– Przyszedłem właśnie dlatego, że to, co pan mówił przez telefon, zdradzało oznaki zaburzeń psychicznych.

– Nie jestem członkiem sił kosmicznych. Dopóki nie zagrażam bezpieczeństwu statku ani załogi, nie ma pan nade mną żadnej władzy.

– Dobrze. Wobec tego wychodzę. – West odwrócił się. – Trudno mi tylko uwierzyć, że może tu spokojnie pracować osoba cierpiąca na klaustrofobię.

Guan krzyknął do niego, żeby został, ale West to zignorował. Tak jak się spodziewał, Guan ruszył za nim i go zatrzymał.

– Jak pan na to wpadł? Ja naprawdę mam… klaustrofobię. Czasami czuję się, jakby umieszczono mnie w wąskiej rurze, a czasami, jakby ściskano mnie między dwiema żelaznymi płytami, aż zrobię się cienki jak papier…

– Nic dziwnego. Niech pan zobaczy, gdzie pan jest. – Doktor wskazał kabinę. Przypominała jajko zniesione w gnieździe zrobionym z krzyżujących się rur i kabli. – Bada pan zjawiska w największej skali, ale przebywa w najmniejszym pomieszczeniu. Od jak dawna pan tu siedzi? Od pańskiej ostatniej hibernacji minęły cztery lata, prawda?

– Nie narzekam. Zadaniem *Grawitacji* jest postawienie uciekinierów przed obliczem sprawiedliwości, nie prowadzenie badań naukowych. Jestem wdzięczny za to, że w ogóle znalazło się tu dla mnie jakieś miejsce… Zresztą moja klaustrofobia nie ma z tym nic wspólnego.

– A może byśmy się przeszli na plac numer jeden? To pomoże.

Doktor pociągnął Guan Yifana za sobą i obaj podryfowali na dziób. Gdyby statek przyspieszał, przejście z rufy na dziób statku przypominałoby wspinanie się szybem o wysokości jednego kilometra, ale w stanie nieważkości towarzyszącym lotowi siłą rozpędu było to dużo łatwiejsze. Plac nr 1 znajdował się w dziobie cylindrycznego statku, pod przezroczystą kopułą. Człowiek, który tam stał, odnosił wrażenie, że stoi w samym kosmosie. W tym miejscu odczuwało się „efekt desubstancjalizacji” jeszcze silniej niż przed holograficznymi projekcjami pola gwiazdowego na ścianach kabin.

„Efekt desubstancjalizacji” był pojęciem psychologii astronautycznej. Na Ziemi ludzi otaczały przedmioty, a więc w zakodowanym w ich

podświadomości obrazie świat przedstawiał się jako materialny, substancjonalny. Jednak w głębi przestrzeni kosmicznej, daleko od Układu Słonecznego, gwiazdy były tylko odległymi błyszczącymi punkcikami, a Galaktyka świetlistą mgłą. Dla zmysłów i umysłu świat tracił materialność i dominowała pusta przestrzeń. A zatem w podświadomym obrazie świata człowieka podróżującego w kosmosie ulegał on dematerializacji, desubstancjalizacji. Ten model był punktem odniesienia psychologii astronautycznej. W umyśle człowieka statek stawał się jedynym materialnym bytem we Wszechświecie. Przy prędkości podświetlnej ruch statku był niedostrzegalny, a Wszechświat zmieniał się w bezkresną, pustą salę wystawową. Tu gwiazdy były omamami, a jedynym wystawianym dziełem statek. Powodowało to głębokie poczucie osamotnienia i mogło wywoływać u podróżnika podświadome złudzenie, że jest jedynym „obiektem na wystawie”. To poczucie kompletnego obnażenia mogło prowadzić do bierności i niepokoju.

Tak więc wiele ujemnych skutków psychologicznych lotów w głąb przestrzeni kosmicznej wynikało z zupełnej otwartości otoczenia zewnętrznego. W długiej karierze zawodowej doktor West niezwykle rzadko miał do czynienia z przypadkami rozwinięcia się klaustrofobii w taki sposób jak u Guan Yifana. Jeszcze dziwniejsze było to, że szerokie, otwarte niebo nad placem nr 1 wydawało się nie przynosić Guanowi żadnej ulgi; ani trochę nie zmniejszył się jego klaustrofobiczny lęk. Potwierdzało to zapewnienie Guana, że jego lęk przed zamkniętą przestrzenią nie ma nic wspólnego z małymi rozmiarami jego obserwatorium. Przypadek ten jeszcze bardziej wzmógł zainteresowanie Westa.

– Nie czuje się pan lepiej?

– Nie, zupełnie nie. Czuję się jak w matni. Wszystko tutaj jest takie… zamknięte.

Guan zerknął na rozgwieżdżone niebo, a potem skierował wzrok w stronę, w którą zmierzała *Grawitacja*. Doktor wiedział, że szuka *Błękitnej Przestrzeni*. Statki dzieliło teraz zaledwie sto tysięcy kilometrów i oba leciały z wyłączonymi silnikami, z tą samą mniej więcej prędkością. W skali kosmosu tworzyły praktycznie zwartą formację. Ich dowództwa omawiały szczegóły techniczne połączenia. Mimo to *Błękitna Przestrzeń* znajdowała się jeszcze za daleko, by można ją było dojrzeć gołym okiem. Niewidoczne były też krople. Na podstawie zawartego przed półwiekiem porozumienia krople przesunęły się na pozycje odległe o około trzysta tysięcy kilometrów zarówno od *Grawitacji*, jak i *Błękitnej Przestrzeni*. Dwa statki i krople utworzyły wąski trójkąt równoramienny.

Guan Yifan spojrzał z powrotem na Westa.

– Dziś w nocy miałem sen. Poszedłem gdzieś, w miejsce naprawdę otwarte, otwarte tak, że nawet trudno to sobie wyobrazić. Kiedy się obudziłem, rzeczywistość była bardzo ciasna i zamknięta. Stąd wzięła się u mnie klaustrofobia. To tak, jakby… jakby tuż po narodzeniu zamknięto pana w małym pudełku, ale pan by się tym w ogóle nie przejmował, bo niczego więcej by pan nie znał. Ale gdyby wypuszczono pana stamtąd i z powrotem zamknięto, pana uczucia byłyby zupełnie inne.

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej o tym miejscu z pana snu.

Guan obdarzył doktora tajemniczym uśmiechem.

– Opiszę je innym naukowcom na statku, może nawet naukowcom z *Błękitnej Przestrzeni*, ale nie panu. Nie mam nic przeciwko panu, doktorze, ale nie znoszę nastawienia, które mają wszyscy uprawiający pańską profesję: jeśli uważacie, że ktoś ma zaburzenia psychiczne, traktujecie wszystko, co mówi, jako wytwory jego chorego umysłu.

– No, ale sam mi pan przed chwilą powiedział, że to był sen.

Guan potrząsnął głową, starając się przypomnieć sobie, co mu się przydarzyło.

– Nie wiem, czy to był sen, czy stało się to na jawie. Czasami myślisz, że się budzisz, a stwierdzasz, że nadal śnisz. I odwrotnie – czuwasz, ale wydaje ci się, że śnisz.

– Ta druga sytuacja zdarza się nader rzadko. Jeśli doznał pan czegoś takiego, to prawie na pewno jest to objaw jakiegoś zaburzenia psychicznego. Och, przepraszam, znowu pana do siebie zraziłem.

– Nie, nie. Myślę, że w gruncie rzeczy jesteśmy do siebie bardzo podobni. Obaj obserwujemy pewne cele. Pan osoby nienormalne, ja Wszechświat. Tak jak pan mam pewne kryteria oceny tego, czy obserwowane przeze mnie obiekty są zdrowe: harmonia i elegancja w sensie matematycznym.

– Oczywiście obiekty, które pan obserwuje, są zdrowe.

– I tu się pan myli, panie doktorze. – Guan wskazał na Drogę Mleczną, ale wzrok nadal wbijał w Westa, jakby pokazywał mu potwora, który nagle wychynął znikąd. – Tam jest pacjent, który może jest psychicznie zdrowy, ale cierpi na paraliż!

– Dlaczego?

Guan podciągnął kolana pod brodę. Ruch ten sprawił, że jego ciało powoli okręciło się wokół osi. Wspaniała Droga Mleczna obróciła się wokół niego i ujrzał siebie jako środek Wszechświata.

– Z powodu prędkości światła. Znany nam Wszechświat ma około szesnastu miliardów lat świetlnych średnicy i wciąż się rozszerza. Natomiast prędkość światła to zaledwie trzysta tysięcy kilometrów na sekundę, ślimacze tempo. Oznacza to, że światło nigdy nie dotrze z jednego końca Wszechświata na drugi. A skoro nic nie może poruszać się z większą prędkością, z jednego końca Wszechświata nie mogą dotrzeć do drugiego

żadne informacje ani siły motywujące. Gdyby Wszechświat był osobą, sygnały wysyłane przez jego komórki nerwowe nie mogłyby dotrzeć do wszystkich części ciała, jego mózg nie wiedziałby o istnieniu kończyn, a jego kończyny nie wiedziałyby o istnieniu mózgu. Czy to nie paraliż? W moim umyśle rysuje się jeszcze gorszy obraz – Wszechświat jest tylko pęczniejącym trupem.

– To bardzo ciekawe, doktorze Guan, bardzo ciekawe!

– Poza prędkością światła, trzystoma tysiącami kilometrów na sekundę, jest inny objaw na potrójnej podstawie.

– O czym pan mówi?

– O trzech wymiarach. W teorii strun Wszechświat ma, oprócz czasu, dziesięć wymiarów. Ale w skali makro mamy dostęp tylko do trzech, i to one tworzą nasz świat. Wszystkie pozostałe pozostają zwinięte w rzeczywistości kwantowej.

– Myślę, że wyjaśnienie tego daje teoria strun.

– Niektórzy uważają, że wymiary rozwijają się w skali makro dopiero wtedy, gdy spotkają się dwie struny i niektóre ich właściwości znikną, a wymiary powyżej trzech nigdy nie będą miały szansy się spotkać… Nie mam dobrego zdania o tym wyjaśnieniu. Nie jest matematycznie eleganckie. Tak jak powiedziałem, to jest zespół trzech i trzystu tysięcy, na który cierpi Wszechświat.

– Co pana zdaniem jest tego przyczyną?

Guan zaniósł się gromkim śmiechem i objął plecy doktora.

– Świetne pytanie! Nie sądzę, by ktokolwiek wyszedł myślą tak daleko. Jestem pewien, że ma to przyczynę pierwotną i że może to być najbardziej przerażająca prawda, jaką jest w stanie odkryć nauka. Ale… panie doktorze, kim ja pana zdaniem jestem? Jestem tylko obserwatorem skulonym na rufie statku, a do tego asystentem. – Zdjął rękę z ramion Westa i patrząc na

Galaktykę, wydał długie westchnienie. – Przebywałem w hibernacji najdłużej ze wszystkich na statku. Gdy odlatywaliśmy z Ziemi, miałem dwadzieścia sześć lat, a teraz mam tylko trzydzieści jeden. Ale w moich oczach Wszechświat przemienił się ze źródła piękna i wiary w puchnącego trupa. Czuję się staro. Gwiazdy nie mają już dla mnie żadnego uroku. Chcę wrócić do domu.

W przeciwieństwie do Guan Yifana West przez większą część wyprawy pozostawał w stanie czuwania. Zawsze uważał, że po to, by pomóc innym zachować zdrowie psychiczne, musi panować nad własnymi emocjami. Jednak teraz coś zdawało się ciążyć mu na sercu i gdy odtworzył w pamięci pół wieku podróży, oczy mu zwilgotniały.

– Przyjacielu, ja też jestem stary – powiedział.

Jakby w odpowiedzi na ich rozmowę ryknęły syreny alarmu bojowego. Brzmiały tak, jakby wrzeszczało całe rozgwieżdżone niebo. W oknach nad placem pojawiły się ostrzeżenia. Nakładające się na siebie okna wyskakiwały jedno po drugim i szybko zakryły Drogę Mleczną jak barwne obłoki.

– Atak kropel! – rzekł West do zdezorientowanego Guan Yifana. – Obie przyspieszają. Jedna leci na *Błękitną Przestrzeń*, druga na nas!

Guan rozejrzał się, instynktownie szukając czegoś, czego mógłby się chwycić, gdyby statek przyspieszył. Ale wokół niego nie było niczego takiego. W końcu przywarł do doktora.

West ujął go za ręce.

– Nie będzie czasu na unik. Zostało nam tylko parę sekund.

Po krótkiej panice obaj poczuli ulgę. Cieszyli się, że śmierć nadejdzie tak szybko, że nawet nie zdążą się przestraszyć. Być może ich rozmowa o Wszechświecie była najlepszym przygotowaniem do niej.

Obaj pomyśleli o tym samym, ale pierwszy wypowiedział to Guan:

– Wygląda na to, że żaden z nas nie będzie już musiał się troszczyć o swoich pacjentów.

62 rok ery odstraszania

28 listopada, godz. 16.00–16.17

Centrum Odstraszania

Szybka winda wciąż zjeżdżała, a kolejne warstwy ziemi zdawały się kłaść ciężarem na sercu Cheng Xin.

Pół roku wcześniej na połączonej sesji ONZ i Floty Słonecznej wybrano ją na następczynię Luo Ji na stanowisku Dzierżyciela Miecza i przekazano jej władzę nad systemem transmisji fal grawitacyjnych, które były środkiem odstraszania Trisolarian. Dostała prawie dwa razy więcej głosów niż następny kandydat. Teraz udawała się do Centrum Odstraszania na pustyni Gobi, gdzie miała się odbyć ceremonia przekazania miecza.

Centrum Odstraszania było najgłębiej położoną budowlą, jaką kiedykolwiek stworzyli ludzie. Znajdowało się czterdzieści pięć kilometrów pod powierzchnią, już pod skorupą Ziemi, za nieciągłością Mohorovičicia, w jej płaszczu. Panowały tam dużo większe ciśnienie i temperatura niż w skorupie, a otaczająca je warstwa składała się głównie z twardego perydotytu.

Dotarcie do przystanku końcowego zajęło windzie prawie dwadzieścia minut. Cheng Xin wyszła z kabiny i zobaczyła czarne stalowe drzwi. Była na nich wymalowana białymi literami oficjalna nazwa Centrum Odstraszania: Stacja Kontrolna Zero Systemu Wszechświatowej Transmisji

na Falach Grawitacyjnych. Pod nią wytłoczone były godła ONZ i Floty Słonecznej.

Ukryty w głębi Ziemi ośrodek był bardzo złożony. Posiadał własny, niezależny system cyrkulacji powietrza i nie miał bezpośredniego połączenia z atmosferą, ponieważ wysokie ciśnienie powietrza na głębokości czterdziestu pięciu kilometrów byłoby bardzo uciążliwe dla przebywającej w nim osoby. Był też wyposażony w potężny system chłodzenia w celu zrównoważenia wysokiej temperatury płaszcza, prawie pięciuset stopni Celsjusza.

Jednak Cheng Xin widziała tylko pustkę. Wszystkie ściany w holu mogły służyć jako elektroniczne ekrany, ale nie pokazywały niczego poza bielą, jakby budynek nie był jeszcze użytkowany. Pół wieku temu, kiedy projektowano Centrum, skonsultowano się z Luo Ji w sprawie urządzenia wnętrza, ale jego wkład ograniczył się do słów: „Ma być proste jak grób”.

Ceremonia przekazania była podniosłą uroczystością, ale jej większą część zorganizowano czterdzieści pięć kilometrów wyżej, na powierzchni. Tam zebrali się reprezentujący całą ludzkość przywódcy Ziemi Międzynarodowej i Floty Międzynarodowej i patrzyli, jak Cheng Xin wchodzi do windy. Samo przekazanie miecza miały nadzorować tylko dwie osoby: przewodniczący ROP i szef sztabu Floty Słonecznej, reprezentanci dwóch instytucji bezpośrednio zawiadujących systemem odstraszania.

Przewodniczący ROP wskazał hol i wyjaśnił Cheng Xin, że urządzą go wedle jej pomysłów. Jeśli będzie chciała, mogą tam posadzić trawę i inne rośliny, zbudować fontannę i tak dalej. Może też wybrać sobie holograficzne symulacje scen z powierzchni.

– Nie chcemy, by żyła pani tak jak on – rzekł szef sztabu.

Być może z powodu jego munduru Cheng Xin widziała w nim ślady mężczyzn z przeszłości, a jego słowa dodały jej nieco otuchy. Ale nie

zmniejszyło to ciężaru, który spoczywał na jej sercu, równie wielkiego jak czterdzieści pięć kilometrów ziemi nad nią.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Wybór Dzierżyciela Miecza: dziesięć minut między istnieniem a unicestwieniem

Pierwotny system odstraszania groźbą powiadomienia ciemnego lasu składał się z ponad trzech tysięcy owiniętych warstewką oleju bomb jądrowych, rozmieszczonych na orbicie wokół Słońca. Po ich odpaleniu warstewka zaczęłaby drgać i przesłałaby we Wszechświat dane o położeniu Trisolaris. Chociaż system ten robił wrażenie, był bardzo niestabilny. Dlatego kiedy krople przestały blokować promieniowanie elektromagnetyczne Słońca, natychmiast zastąpiono go systemem wykorzystującym Słońce jako superantenę.

Oba opierały się na promieniowaniu elektromagnetycznym, włącznie ze światłem widzialnym, jako środku przekazu. Teraz wiemy, że jest to bardzo prymitywna technika komunikacji międzygwiezdnej, odpowiadająca wysyłaniu w kosmos sygnałów dymnych. Fale elektromagnetyczne szybko zanikają i ulegają zniekształceniu, więc zasięg transmisji jest ograniczony.

W czasach gdy tworzono system odstraszania, ludzkość opanowała już podstawy technologii wykrywania fal grawitacyjnych i neutrin, ale nie potrafiła ich modulować i przesyłać. Pierwszym żądaniem skierowanym

pod adresem Trisolarian było właśnie udostępnienie tych technologii. W porównaniu z komunikacją kwantową one też były prymitywne, ponieważ zarówno fale grawitacyjne, jak i neutrina ogranicza prędkość światła, ale mimo to o szczebel wyższe od fal elektromagnetycznych.

Oba te środki przekazu zanikają względnie wolno i mają bardzo duży zasięg. Zwłaszcza neutrina nie wchodzą w kolizje prawie z niczym. Teoretycznie modulowana wiązka neutrin powinna przekazać informacje na drugi koniec Wszechświata, a towarzyszący temu ich zanik i zniekształcenia wiązki nie powinny mieć wpływu na ich odkodowanie, ale ponieważ neutrina trzeba skupić i wysłać w jednym kierunku, a fale grawitacyjne rozchodzą się we wszystkie strony, one stały się głównym czynnikiem odstraszania.

Fundamentalną zasadą transmisji za pośrednictwem fal grawitacyjnych jest wprawienie w drgania długiej struny z niezwykle gęstej materii. Idealna antena przesyłowa składałaby się z dużej liczby czarnych dziur tworzących łańcuch, który podczas drgań wytwarzałby fale grawitacyjne. Ale nawet Trisolaris nie osiągnęła takiego poziomu rozwoju technologicznego, więc ludzie zmuszeni byli uciec się do konstruowania strun ze zdegenerowanej materii. Ta niezwykle gęsta materia upakowana była w ogromnej masie w strunach o średnicy zaledwie kilku nanometrów. Pojedyncza struna była mikroskopijną cząstką gigantycznej anteny, która w przeważającej części składała się z podstawy i osłony supergęstych strun. A zatem całkowita jej masa nie była niezwykle duża.

Zdegenerowaną materię do produkcji strun pozyskiwano z białych karłów i gwiazd neutronowych. W typowych warunkach rozkładała się ona i z upływem czasu przekształcała w normalną materię. Okres połowicznego rozpadu wytwarzanych przez ludzi strun wynosił około pięćdziesięciu lat.

Po tym czasie anteny stawały się bezużyteczne, a zatem co pół wieku trzeba je było zastępować nowymi.

W najwcześniejszym okresie odstraszania groźbą wysłania fal grawitacyjnych głównym zmartwieniem strategów było zapewnienie odpowiedniej mocy transmisji. Opracowano plany zbudowania stacji przesyłowych na wszystkich kontynentach, ale komunikacja za pośrednictwem fal grawitacyjnych miała jedną wadę – nie można było zminiaturyzować służących do niej urządzeń. Budowa złożonych, gigantycznych anten była bardzo kosztowna i w końcu powstały tylko dwadzieścia trzy takie przekaźniki. Ale inne wydarzenie spowodowało, że przestano się skupiać na zapewnieniu przekaźnikom odpowiedniej mocy.

W erze odstraszania RZT stopniowo coraz bardziej tracił znaczenie i ostatecznie zniknął, ale narodził się inny rodzaj ekstremistycznych organizacji. Ich członkowie wierzyli w supremację ludzkości i nawoływali do całkowitego zniszczenia Trisolaris. Jedną z największych z tych organizacji byli „Synowie Ziemi”. W 6 roku ery odstraszania ponad trzystu synów Ziemi zaatakowało grawitacyjną stację transmisyjną w Antarktyce z zamiarem jej przejęcia. Wyposażeni w zaawansowaną technologicznie broń, taką jak infradźwiękowe minibomby jądrowe, i wspomagani przez członków organizacji, którzy wcześniej przeniknęli do załogi stacji transmisyjnej, o mało nie osiągnęli celu. Gdyby stacjonujące w stacji oddziały obrony nie zniszczyły w porę anteny, skutki byłyby katastrofalne.

Wydarzenie to przeraziło oba światy. Ludzie zaczęli sobie uświadamiać, jak wielkie zagrożenie stanowią przekaźniki fal grawitacyjnych. Jednocześnie Trisolaris domagała się, by Ziemia ustanowiła ściślejszą kontrolę nad technologią przesyłania fal grawitacyjnych. Wskutek tych nacisków liczbę stacji przesyłowych zmniejszono z dwudziestu trzech do

czterech. Trzy z nich znajdowały się na Ziemi, w Azji, Ameryce Północnej i Europie, czwarta na statku *Grawitacja*.

Wszystkie przekaźniki uruchomić można było aktywnym włącznikiem, ponieważ technika „martwej ręki” zastosowana w systemie bomb rozmieszczonych wokół Słońca nie była już konieczna. System odstraszania stworzył sam Luo Ji, ale teraz, gdyby Dzierżyciel Miecza został zabity, jego rolę mogli przejąć inni.

Początkowo gigantyczne anteny grawitacyjne trzeba było budować na powierzchni planety, ale gdy technologia się rozwinęła, trzy naziemne anteny przeniesiono głęboko pod ziemię. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że umieszczenie stacji przesyłowych i centrum kontroli nad nimi w głębi Ziemi, co pierwotnie miało je chronić przed zagrożeniem ze strony ludzkości, na nic się zda w przypadku ataku Trisolarian. Dla kropli zbudowanych z materiału z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym dziesiątki kilometrów skały nie tak bardzo różniły się od cieczy i nie mogły ich powstrzymać przed zniszczeniem centrum kontroli.

Po wcieleniu w życie strategii odstraszania trisolariańska flota inwazyjna ominęła Ziemię, co potwierdziły obserwacje. Gdy to zagrożenie się zmniejszyło, większość ludzi skoncentrowała się na określeniu położenia dziesięciu kropli, które dotarły do Układu Słonecznego. Trisolarianie twierdzili, że zostały już tylko cztery, a decyzję o ich pozostawieniu uzasadniali tym, że skoro przekaźniki fal grawitacyjnych mogą zostać przejęte przez ziemskich ekstremistów, powinni mieć możliwość podjęcia kroków niezbędnych dla ochrony obu światów. Ziemia niechętnie na to przystała, ale zażądała, by krople trzymały się poza Pasem Kuipera. Poza tym każdej z nich miała towarzyszyć ziemska sonda, by ludzie bez przerwy wiedzieli, gdzie się każda znajduje i po jakiej krąży orbicie. Dzięki temu w przypadku przypuszczenia przez nie ataku ludzie dostaliby ostrzeżenie na

mniej więcej pięćdziesiąt godzin przed uderzeniem na Ziemię. Dwie z tych czterech kropli ostatecznie ruszyły z *Grawitacją* w pościg za *Błękitną Przestrzenią* i w pobliżu Pasa Kuipera pozostały tylko dwie.

Nikt nie wiedział, gdzie się podziało pozostałych sześć. Trisolarianie utrzymywali, że opuściły Układ Słoneczny i dołączyły do ich floty, ale nikt na Ziemi w to nie wierzył.

Umysły Trisolarian nie były już przejrzyste. W ciągu poprzednich dwóch stuleci nauczyli się myśleć strategicznie: kłamać, oszukiwać, używać podstępów. Była to prawdopodobnie największa korzyść, jaką odnieśli z badania ludzkiej kultury.

Większość ludzi była przekonana, że sześć kropli, które rzekomo opuściły Układ Słoneczny, w rzeczywistości gdzieś się ukrywa. Jednak ponieważ były one małe, szybkie i niewidoczne dla radarów, niezwykle trudno było je zlokalizować. Nawet dzięki rozprzestrzenianiu pyłu olejowego i innym zaawansowanym technikom wykrywania obiektów kosmicznych można by je było wyśledzić dopiero wtedy, gdyby zbliżyły się do Ziemi na odległość 0,1 jednostki astronomicznej, czyli piętnaście milionów kilometrów. Poza tą sferą mogły się swobodnie poruszać niezauważone przez ludzi.

Przy maksymalnej prędkości kropla mogła przebyć piętnaście milionów kilometrów w dziesięć minut.

Tyle czasu miałby Dzierżyciel Miecza na podjęcie decyzji, gdyby odstraszanie zawiodło.

Rok 62 ery odstraszania

28 listopada, 16.00–16.17

Centrum Odstraszania

Otworzyły się z wielkim hukiem grube na metr, ciężkie, metalowe drzwi i Cheng Xin wraz z towarzyszącymi jej osobami weszła do serca systemu odstraszania.

Powitała ją jeszcze większa pustka – sala z półkolistą ścianą. Powierzchnia ściany była półprzezroczysta jak lód. Podłoga i sufit miały śnieżnobiały kolor. Cheng Xin odniosła wrażenie, że stoi przed pustym, pozbawionym źrenicy okiem, z którego wyziera dojmujące poczucie osamotnienia i straty.

Potem zobaczyła Luo Ji.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami pośrodku ogromnego pomieszczenia, twarzą do ściany. Jego długie, starannie uczesane włosy i broda były tak samo białe jak ściana i niemal się z nią zlewały. Z tą bielą ostro kontrastował jego czarny mundur Zhongshana*. Luo Ji wyglądał jak stabilna, odwrócona litera T, samotna kotwica na piasku, nieruchoma mimo wyjącego nad nim wiatru czasu i huku bijących o brzeg fal epok, czekająca na statek, który nigdy nie wróci. W prawym ręku trzymał czerwoną wstęgę, rękojeść swego miecza – włącznik przekaźników fal grawitacyjnych. Jego obecność sprawiała, że puste oko zyskiwało źrenicę. Chociaż był tylko czarną plamką, dzięki niemu znikało dojmujące poczucie osamotnienia

i straty. Ponieważ siedział tyłem do drzwi, jego własnych oczu nie było widać. Nie zareagował na wejście gości.

Powiadano, że mistrz Batuo, założyciel klasztoru Shaolin, medytował przed ścianą przez dziesięć lat, aż jego cień wrył się w kamień. Gdyby rzeczywiście tak było, to Luo Ji mógłby wpisać w tę ścianę swój cień pięć razy.

Przewodniczący ROP zatrzymał Cheng Xin i szefa sztabu Floty.

– Do przekazania miecza jest jeszcze dziesięć minut – powiedział szeptem.

Przez te ostatnie minuty pełnienia funkcji Dzierżyciela Miecza Luo Ji siedział nieporuszony.

Na początku ery odstraszania Luo Ji zaznał trochę radości. Ponownie połączył się z żoną, Zhuang Yan, i córką, Xia Xią, i przez krótki okres cieszył się takim szczęściem, jak dwieście lat wcześniej. Jednak po dwóch latach Zhuang Yan zabrała dziewczynkę i odeszła. O powodach tego rozstania krążyły różne opowieści. Według jednej z nich, chociaż w opinii ogółu Luo Ji pozostawał zbawcą ludzkości, w oczach osób, które najbardziej kochał, jego obraz się zmienił. Zhuang Yan powoli uświadomiła sobie, że żyje z człowiekiem, który zgładził już jeden świat i w którego rękach spoczywają losy dwóch innych. Stał się dla niej przerażającym potworem, więc go porzuciła. Inna, równie popularna opowieść głosiła, że to on zostawił ją i córkę, by mogły wieść normalne życie. Nikt nie wiedział, dokąd się udały, ale prawdopodobnie nadal żyły gdzieś w spokoju.

Do rozstania doszło, gdy rolę narzędzia odstraszania przejęły po okołosłonecznym pierścieniu bomb jądrowych nadajniki fal grawitacyjnych. Od tamtej pory Luo Ji stał się na długo Dzierżycielem Miecza.

Na tej kosmicznej arenie Luo Ji nie czekał pojedynek w stylu chińskiej walki na miecze, której fantazyjne figury bardziej przypominały taniec niż bój, ani w stylu zachodniej szermierki, która miała ukazać zręczność wojownika, lecz śmiertelne starcie w stylu japońskiego kenjutsu. Prawdziwa japońska walka na miecze często kończyła się po bardzo krótkim, trwającym nie dłużej niż pół sekundy do dwóch starciu. Zanim rozległ się szczęk zwierających się ze sobą mieczy, jeden z walczących leżał już w kałuży krwi. Przedtem jednak przeciwnicy mierzyli się wzrokiem, stojąc jak posągi, niekiedy nawet przez dziesięć minut. Podczas tego niemego pojedynku miecz trzymało serce wojownika, nie jego dłonie. Wbijał się on poprzez wzrok w duszę wroga. Te właśnie chwile decydowały o tym, kto będzie zwycięzcą. W ciszy, która zalegała między nimi, ostrza ich dusz zadawały i parowały ciosy niczym bezgłośne uderzenia piorunów. Zanim padł prawdziwy cios, sprawy zwycięstwa i klęski, życia i śmierci były już rozstrzygnięte.

Właśnie tak wpatrywał się Luo Ji w białą ścianę, dostrzegając oczami duszy świat odległy o cztery lata świetlne. Wiedział, że jego spojrzenie mogą przekazać wrogowi sofony, więc było ono przepełnione chłodem podziemnego świata, ciężkie jak skały nad nim i pełne determinacji oraz gotowości do poświęcenia wszystkiego. Przyprawiało wroga o drżenie serca i zmuszało go do powstrzymania się przed nieprzemyślanym działaniem pod wpływem impulsu.

Po tym wzrokowym pojedynku zawsze następowała chwila prawdy. Dla Luo Ji, jednego z uczestników starcia, chwila, kiedy miecz uniesie się i spadnie po raz pierwszy i ostatni, mogła nigdy nie nastąpić. Ale równie dobrze mogło się to stać w następnej sekundzie.

W taki sposób Luo Ji i Trisolaris patrzyli na siebie od pięćdziesięciu czterech lat. Z beztroskiego, nieodpowiedzialnego człowieka Luo Ji zmienił

się w prawdziwego Wpatrującego się w Ścianę, obrońcę ludzkiej cywilizacji, który w każdej chwili gotów był zadać Trisolarianom śmiertelny cios.

Przez cały ten czas zachowywał milczenie, nie wypowiedział ani jednego słowa. Wiadomo było, że osoba, która nie odzywa się przez dziesięć czy piętnaście lat, traci mowę. Wprawdzie mogła wciąż rozumieć, co się do niej mówi, ale sama nie była w stanie wydawać artykułowanych dźwięków. Tak też stało się z Luo Ji – nie potrafił już mówić, wszystko, co miał do powiedzenia, przekazywał wbitym w ścianę wzrokiem. Przemienił się w maszynę do odstraszania, minę, która gotowa była wybuchnąć przy najlżejszym dotknięciu, i przez ponad pół wieku utrzymywał niepewną równowagę strachu między dwoma światami.

– Nadszedł czas przekazania kontroli nad systemem transmisji fal grawitacyjnych – rzekł uroczystym głosem przewodniczący ROP, przerywając ciszę.

Luo Ji się nie poruszył. Szef sztabu floty podszedł, by pomóc mu wstać, ale Luo powstrzymał go podniesieniem ręki. Cheng Xin zauważyła, że zrobił to energicznie, bez śladu ociężałości, której można się było spodziewać po stulatku. Potem Luo Ji podniósł się o własnych siłach, trzymając tułów prosto. Cheng Xin była zaskoczona, widząc, że nie podparł się przy tym rękami. Równie lekko nie mogłaby tego zrobić nawet większość młodych mężczyzn.

– Panie Luo, oto pana następczyni, Cheng Xin. Proszę przekazać jej włącznik.

Luo Ji stał wyprostowany. Jeszcze przez kilka sekund patrzył na białą ścianę, w którą wpatrywał się przez pół wieku. Potem lekko się ukłonił.

Okazał szacunek wrogowi. Wzajemne wpatrywanie się w siebie przez tak długi czas wytworzyło między nimi więź przeznaczenia.

Potem odwrócił się do Cheng Xin. Stary Dzierżyciel Miecza i jego następczyni stali w milczeniu. Ich oczy spotkały się tylko na chwilę, ale w tej chwili Cheng Xin poczuła, że ciemną noc jej duszy przeszywa ostry promień światła. Pod wpływem spojrzenia Luo Ji poczuła się lekka i cienka jak kartka papieru, nawet przezroczysta. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jakiego rodzaju oświecenia doznał ten starzec po pięćdziesięciu czterech latach wpatrywania się w ścianę. Być może jego myśli się skoncentrowały i stały tak gęste i ciężkie jak skorupa ziemska nad ich głowami albo – wprost przeciwnie – tak delikatne jak błękitne niebo nad ziemią. Nie dowie się tego, dopóki sama nie podąży tą ścieżką. W jego spojrzeniu nie widziała nic oprócz bezdennej głębi.

Luo Ji wręczył jej miecz obiema rękami. Cheng Xin przyjęła, też oburącz, najcięższy przedmiot w historii Ziemi. Tak oto punkt oparcia, na którym spoczywała równowaga między dwoma światami, przesunął się ze stujednoletniego mężczyzny na dwudziestodziewięcioletnią kobietę.

Włącznik był jeszcze ciepły od dotyku dłoni Luo Ji. Naprawdę przypominał rękojeść miecza. Były na nim cztery przyciski – trzy z boku i jeden na końcu. W celu zapobieżenia przypadkowemu uruchomieniu guziki trzeba było nacisnąć mocno i w odpowiedniej kolejności.

Luo Ji cofnął się o dwa kroki i skinął głową trzem stojącym przed nim osobom, po czym równym, pewnym krokiem podszedł do drzwi.

Cheng Xin była zdumiona, że nikt nie podziękował mu ani słowem za pięćdziesiąt cztery lata służby. Nie wiedziała, czy przewodniczący ROP lub szef sztabu Floty zamierzali coś powiedzieć, ale nie przypominała sobie, żeby w próbach tej ceremonii znalazło się coś, co wskazywałoby na jakiś plan podziękowania staremu Dzierżycielowi Miecza.

Ludzkość nie czuła wobec Luo Ji ani odrobiny wdzięczności.

W korytarzu zatrzymało Luo Ji kilku ubranych na czarno mężczyzn. Jeden z nich powiedział:

– Panie Luo, aresztujemy pana w imieniu prokuratury Międzynarodowego Trybunału jako podejrzanego o światobójstwo. Zostanie pan przesłuchany w tej sprawie.

Luo Ji nawet na nich nie spojrzał. Szedł dalej w stronę windy. Śledczy instynktownie się rozstąpili. Może nawet ich nie zauważył. Z jego oczu zniknęło ostre światło, a w jego miejsce pojawił się spokój przypominający blask zachodzącego słońca. Zakończyła się jego trwająca trzy stulecia misja, z jego barków zdjęto wielki ciężar odpowiedzialności. Chociaż sfeminizowana ludzkość postrzegała go jako diabła, wszyscy musieli przyznać, że w całej historii ludzkiej cywilizacji nikt nie odniósł większego zwycięstwa niż on.

Stalowe drzwi pozostały otwarte, więc Cheng Xin usłyszała słowa prokuratora. Pod wpływem impulsu chciała wybiec i podziękować Luo Ji, ale się powstrzymała. Patrzyła z przygnębieniem, jak znika w windzie.

Wyszli również, nic nie powiedziawszy, przewodniczący ROP i szef sztabu Floty. Drzwi zaczęły się zamykać z takim samym hukiem jak przy otwieraniu. Cheng Xin czuła, że jej dotychczasowe życie wycieka przez stale zwężającą się szparę między nimi i ościeżami jak woda uciekająca przez lejek. Gdy się całkowicie zamknęły, narodziła się nowa Cheng Xin.

Popatrzyła na czerwony włącznik w swoim ręku. Był już częścią niej. Od tej pory będą nierozłączni. Nawet śpiąc, będzie musiała go mieć przy poduszce.

W białej półkolistej sali panowała śmiertelna cisza, jakby został w niej zamknięty i przestał płynąć czas. Pomieszczenie naprawdę przypominało grób. Od tej chwili będzie ono jej całym światem. Postanowiła je trochę ożywić. Nie chciała być taka jak Luo. Nie była wojownikiem, lecz kobietą

i musiała spędzić tutaj dużo czasu, może dziesięć lat, a może nawet pół wieku. W istocie rzeczy przez całe życie przygotowywała się do tego zadania. Teraz, na początku tej długiej drogi, czuła spokój.

Ale los miał inne plany. Rolę Dzierżyciela Miecza, do której przygotowywała się od urodzenia, pełniła przez zaledwie piętnaście minut.

* Strój ten zwany jest na Zachodzie „mundurkiem Mao”. W celu uniknięcia niewłaściwych skojarzeń zdecydowałem się użyć oryginalnego chińskiego terminu. Sun Zhongshan (Sun Jat-sen) był założycielem Republiki Chińskiej, poprzedniczki Chińskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej na kontynencie.

Ostatnie 10 minut ery odstraszania

62 rok od jej początku

28 listopada, 16.17.34–16.27.58

Centrum Odstraszania

Biała ściana stała się krwawoczerwona, jakby przepaliła ją znajdująca się za nią piekielna magma. Najwyższy stopień zagrożenia. Na czerwonym tle pojawiły się białe litery, z których każda krzyczała z przerażenia.

Wykryto nadlatujące sondy kosmiczne z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym.
Ogólna liczba: 6.
Jedna kieruje się do punktu libracyjnego L_1 między Ziemią i Słońcem.
Pozostałych 5 kieruje się ku Ziemi w formacji 1–2–2.
Prędkość: 25 000 kilometrów na sekundę. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 10 minut.

Obok Cheng Xin pojawiło się pięć unoszących się w powietrzu przycisków, jarzących się na zielono. Były to hologramy, ale naciśnięcie któregokolwiek z nich otworzyłoby unoszące się również w powietrzu okno z bardziej szczegółowymi informacjami z systemu wczesnego ostrzegania obejmującego rejon przestrzeni w promieniu piętnastu milionów

kilometrów od Ziemi. Dane te analizował Sztab Główny Floty Słonecznej i przesyłał do Dzierżyciela Miecza.

Później Ziemia miała się dowiedzieć, że te krople ukrywały się tuż za liczącą piętnaście tysięcy kilometrów strefą wczesnego ostrzegania. Trzy z nich unikały wykrycia, wykorzystując zakłócenia powodowane przez promieniowanie słoneczne, pozostałe udawały orbitujące w tym rejonie kosmiczne śmieci. Jednak nawet gdyby nie podjęły tych środków bezpieczeństwa, wykrycie ich byłoby prawie niemożliwe, ponieważ ludzie cały czas przypuszczali, że krople znajdują się dużo dalej, w pasie asteroid.

Piorun, na który przez pół wieku czekał Luo Ji, pojawił się pięć minut po jego odejściu i uderzył w Cheng Xin. Nie zawracała sobie głowy naciskaniem żadnego z holograficznych guzików. Nie potrzebowała więcej informacji.

Zrozumiała teraz ogrom swojego błędu. Wizja zadania stojącego przed Dzierżycielem Miecza, którą podświadomie sobie stworzyła, była od początku zupełnie fałszywa. Oczywiście zawsze spodziewała się najgorszego, a przynajmniej starała się przygotować na taki rozwój wydarzeń. Pod kierunkiem specjalistów z ROP i Floty przestudiowała szczegółowo system odstraszania i omówiła ze strategami różne możliwe scenariusze. Wyobrażała sobie nawet gorsze niż ten. Ale nie zdawała sobie sprawy, że popełniła też fatalny błąd. W istocie rzeczy to właśnie ten błąd sprawił, że została wybrana na drugiego Dzierżyciela Miecza. A polegał on na tym, że podświadomie nigdy nie wierzyła, że możliwa jest sytuacja, w jakiej się teraz znalazła.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 14 milionów kilometrów. Najbliższą dzieli od nas 13,5 miliona

kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 9 minut.

W swej podświadomości Cheng Xin była obrończynią, nie niszczycielką, była kobietą, nie wojownikiem. Chciała poświęcić resztę życia na utrzymanie równowagi między dwoma światami, aż Ziemia stanie się dzięki trisolariańskiej nauce silniejsza, a Trisolarianie pod wpływem ziemskiej kultury bardziej cywilizowani, aż usłyszy: „Odłóż ten czerwony włącznik i wróć na powierzchnię. Świat nie potrzebuje już odstraszania, nie potrzebuje już Dzierżyciela Miecza”.

Kiedy jako Dzierżycielka Miecza stawiła czoło temu odległemu światu, w odróżnieniu od Luo Ji nie czuła, że jest to pojedynek na śmierć i życie. Uważała to za coś w rodzaju partii szachów. Miała zamiar siedzieć spokojnie nad szachownicą, myśleć o wszystkich możliwych otwarciach, przewidywać posunięcia przeciwnika i planować reakcje na nie. Była gotowa spędzić życie na tej grze.

Ale przeciwnik nie zawracał sobie głowy przesuwaniem żadnych figur ani pionków. Po prostu podniósł szachownicę i rzucił nią w Cheng Xin.

W chwili gdy Cheng Xin przejęła od Luo Ji czerwony włącznik, sześć kropel ruszyło z maksymalną prędkością na Ziemię. Wróg nie marnował ani jednej sekundy.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 13 milionów kilometrów. Najbliższą dzieli od nas 12 milionów kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 8 minut.

Pustka.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 11,5 miliona kilometrów. Najbliższą dzieli od nas 10,5 miliona kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 7 minut.

Pustka, więc jedynie pustka. Już nie tylko sala i litery były białe – wszystko wokół Cheng Xin spowiła biel. Wydawało się jej, że jest zawieszona w mlecznobiałym wszechświecie o średnicy szesnastu miliardów lat świetlnych. W tej bezkresnej pustce nie było niczego, czego mogłaby się przytrzymać.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 10 milionów kilometrów. Najbliższą dzieli od nas 9 milionów kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 6 minut.

Co miała zrobić?

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 9 milionów kilometrów. Najbliższą dzieli od nas 7,5 miliona kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 5 minut.

Biel zaczęła się rozwiewać. Dała znać o swoim istnieniu gruba na czterdzieści pięć kilometrów skorupa skał osadowych nad nią. Ich najniższa warstwa, ta, która znajdowała się bezpośrednio nad Centrum Odstraszania, zaległa prawdopodobnie przed czterema miliardami lat. Ziemia narodziła

się zaledwie pięćset milionów lat wcześniej. Mętny ocean był w okresie niemowlęcym, w jego powierzchnię bez przerwy biły pioruny; Słońce było niewyraźną kulą światła na zasnutym mgłą niebie, rzucającą szkarłatny blask na wodę. Po niebie przemykały co i rusz inne świetlne kule, ciągnąc za sobą długie ogony ognia, i wpadały z łoskotem do oceanu. Uderzenia tych meteorytów powodowały ogromne tsunami, które pędziły gigantyczne fale na kontynenty nadal poprzecinane rzekami lawy i wznosiły przesłaniające Słońce obłoki pary…

W przeciwieństwie do przerażającego, choć spektakularnego piekła, które panowało na jej powierzchni, mętna woda zaczynała powoli snuć swoją mikroskopijną opowieść. Tu rodziły się z piorunów i promieni kosmicznych organiczne molekuły, które zderzały się ze sobą, łączyły, znowu rozdzielały. Była to gra elementami składowymi, która trwała przez pięćset milionów lat. W końcu łańcuch tych molekuł rozszczepił się na dwie nici. Przyciągały one molekuły ze swego otoczenia, aż powstały dwie identyczne kopie oryginału. One też się rozdzieliły i powieliły… Prawdopodobieństwo, że w tej grze wytworzy się taki samopowielający się łańcuch organicznych molekuł, było tak małe jak to, że tornado porwie stertę złomu i osadzi ją z powrotem na ziemi jako całkowicie złożonego mercedesa.

A jednak tak się stało i w ten oto sposób zaczęła się trwająca od trzech i pół miliarda lat historia.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 7,5 miliona kilometrów. Najbliższą dzieli od Ziemi 6 milionów kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 4 minuty.

Po erze archaicznej nastąpiła proterozoiczna, a każda z nich trwała miliardy lat. Potem nadeszła era paleozoiczna: kambr trwał siedemdziesiąt milionów lat, ordowik sześćdziesiąt milionów, sylur czterdzieści milionów, dewon pięćdziesiąt milionów, karbon sześćdziesiąt pięć milionów, a perm pięćdziesiąt pięć milionów lat. Po paleozoicznej była era mezozoiczna: trias trwał trzydzieści pięć milionów lat, jura pięćdziesiąt osiem, a kreda siedemdziesiąt milionów. Po nich nastała era kenozoiczna: trzeciorzęd sześćdziesiąt cztery i pół miliona lat oraz trwający od dwóch i pół miliona lat czwartorzęd.

A potem pojawili się ludzie. W porównaniu z poprzednimi erami dzieje ludzkości były tylko mgnieniem oka. Dynastie i epoki rozbłyskiwały i znikały jak ognie sztuczne; rzucony przez małpę człekokształtną w powietrze piszczel, który służył jej za maczugę, zamienił się w statek kosmiczny. Ta droga, którą od trzech i pół miliarda lat podróżowała ludzkość, pełna wyzwań i udręk, kończyła się przed trzymającą czerwony włącznik drobną ludzką istotą, jedną ze stu miliardów, które od narodzin tego gatunku żyły na Ziemi.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 6 milionów kilometrów. Najbliższą dzieli od Ziemi 4,5 miliona kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 3 minuty.

Cheng Xin przygniatały i dusiły warstwy ziemi nagromadzone w ciągu czterech miliardów lat. Jej podświadomość starała się przebić przez nie na powierzchnię, zaczerpnąć tchu. Zdawało się jej, że kipi tam życie, którego najbardziej okazałymi przedstawicielami były ogromne gady, w tym dinozaury. Kłębiły się na ziemi po horyzont. Pomiędzy dinozaurami,

między ich nogami i pod ich brzuchami, przemykały ssaki, włącznie z ludźmi. Jeszcze niżej, pod niezliczonymi parami nóg, sączyły się czarne strumienie – rzesze trylobitów i mrówek… Na niebie setki miliardów ptaków tworzyły ciemny wir, który przesłaniał część horyzontu, a od czasu do czasu pojawiały się między nimi pterodaktyle…

Wszystko spowijała śmiertelna cisza. Najbardziej przerażające były oczy – oczy dinozaurów, oczy trylobitów i mrówek, oczy ptaków i motyli, oczy bakterii… Tylko ludzie mieli sto miliardów par oczu, tyle ile było gwiazd w Drodze Mlecznej. Były wśród nich oczy zwykłych ludzi i oczy Leonarda da Vinci, Szekspira i Einsteina.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 4,5 miliona kilometrów. Najbliższą dzielą od Ziemi 3 miliony kilometrów. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 2 minuty.

Dwie z tych sond kierują się w stronę Azji, dwie w stronę Ameryki Północnej, ostatnia zmierza ku Europie.

Naciśnięcie włącznika zakończyłoby trwający trzy i pół miliarda lat postęp. Wszystko zniknęłoby w wiecznej nocy Wszechświata, jakby nigdy nie istniało.

Cheng Xin zdawało się, że znowu trzyma w ramionach dziecko – miękkie, ciepłe, tuliło się do niej z uśmiechem na wilgotnej twarzyczce i nazywało ją „mamą”.

Średnia odległość nadlatującej formacji sond kosmicznych zbudowanych z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym: w przybliżeniu 3 miliony kilometrów. Najbliższa znajduje się 1,5 miliona

kilometrów od Ziemi i szybko hamuje. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 1 minuta i 30 sekund.

– Nie! – krzyknęła Cheng Xin i odrzuciła włącznik. Patrzyła, jak potoczył się po podłodze, takim wzrokiem, jakby zobaczyła diabła.

Sondy kosmiczne zbudowane z materii składającej się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym zbliżają się do orbity i wciąż hamują. Trajektorie lotu zdają się wskazywać, że ich celem są stacje transmisyjne fal grawitacyjnych w Ameryce Północnej, Europie i Azji oraz Stacja Kontrolna Zero Systemu Wszechświatowej Transmisji na Falach Grawitacyjnych. Szacunkowy czas, który pozostał do ich dotarcia na powierzchnię Ziemi: 30 sekund.

Te ostatnie chwile ciągnęły się bez końca, jak nić sieci pajęczej. Ale Cheng Xin się nie wahała – podjęła już decyzję. Decyzja ta nie była wynikiem głębokich przemyśleń, lecz zakodowana była w jej genach, których historia zaczęła się przed czterema miliardami lat, kiedy zapadła pierwsza decyzja. Kolejne miliardy lat tylko ją utrwaliły. Bez względu na to, czy postąpiła dobrze czy nie, wiedziała, że nie mogła dokonać innego wyboru.

Na szczęście za chwilę dozna ulgi.

Potężny wstrząs powalił ją na podłogę – krople przeszyły skorupę Ziemi. Miała wrażenie, że otaczające ją twarde skały zniknęły, a Centrum Odstraszania znalazło się na membranie gigantycznego bębna. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie kroplę przenikającą przez skorupę Ziemi jak ryba przepływająca przez warstwę wody i czekała na przybycie pędzącego z kosmiczną prędkością idealnie gładkiego diabła, który zamieni ją i wszystko wokół niej w stopioną lawę.

Ale po kilku gwałtownych uderzeniach wstrząsy ustały, jakby perkusista zakończył utwór.

Czerwone światło na ekranie zniknęło, zastąpione przez wcześniejsze białe tło. Sala wydawała się teraz jaśniejsza i bardziej przestronna. Pojawiło się kilka linijek czarnego tekstu:

Północnoamerykański przekaźnik fal grawitacyjnych zniszczony.
Europejski przekaźnik fal grawitacyjnych zniszczony.
Azjatycki przekaźnik fal grawitacyjnych zniszczony.
Słoneczne wzmacnianie fal radiowych stłumione na wszystkich pasmach.

Znowu zapanowała cisza, tylko skądś dobiegał słaby dźwięk cieknącej wody. Wstrząsy uszkodziły jakąś rurę.

Cheng Xin domyśliła się, że trzęsienie ziemi wywołał atak kropli na azjatycki przekaźnik fal grawitacyjnych. Jego antena znajdowała się dwadzieścia kilometrów od Centrum i też była zakopana głęboko pod ziemią.

Krople nie zadały sobie nawet trudu, by zaatakować Dzierżyciela Miecza.

Czarny tekst zniknął z ekranu. Po kilku minutach pojawił się ostatni komunikat:

Nie da się odbudować systemu transmisji fal grawitacyjnych. Odstraszanie metodą ciemnego lasu dobiegło końca.

Pierwsza godzina ery postodstraszania

Utracony świat

Cheng Xin wyjechała windą na powierzchnię. Kiedy z niej wyszła, zobaczyła plac, na którym przed godziną odbyła się ceremonia przekazania miecza. Wszyscy, którzy w niej uczestniczyli, już się rozeszli, więc widać było tylko cienie rzucane przez maszty. Na najwyższych wisiały flagi ONZ i Floty Słonecznej, za nimi stały rzędy flag różnych państw. Flagi powiewały w lekkich podmuchach wiatru. Dalej ciągnęła się bezkresna pustynia Gobi. Na nieodległym krzaku tamaryszku siadło stadko świergoczących ptaków. W oddali widać było łańcuch gór Qilian, których masyw uwypuklał, rzucając nań srebrzysty blask, śnieg zalegający na kilku szczytach.

Wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, ale ten świat nie należał już do ludzi.

Cheng Xin nie wiedziała, co ma robić. Po zakończeniu odstraszania nikt się z nią nie skontaktował. Nie istniał już system odstraszania, nie było więc też Dzierżyciela Miecza.

Ruszyła przed siebie bez celu. Gdy wychodziła z bramy kompleksu, zasalutowało jej dwóch wartowników. Bała się stanąć przed ludźmi, ale w ich oczach nie widziała nic oprócz ciekawości – nie wiedzieli jeszcze, co się stało. Regulamin pozwalał Dzierżycielowi Miecza wyjeżdżać na krótko

na powierzchnię, musieli więc myśleć, że zrobiła to, by zbadać przyczynę wstrząsów. Zobaczyła kilku oficerów stojących obok zaparkowanego przy bramie latającego transportera. Nawet nie patrzyli na nią, tylko w stronę, z której przyszła.

Odwróciła się i zobaczyła chmurę w kształcie grzyba. Utworzona z ziemi i podziemnego pyłu, była tak gęsta, że wydawała się zwartą bryłą. Tak bardzo nie pasowała do spokojnego krajobrazu, że przywodziła na myśl zdjęcie spartaczone w Photoshopie. Gdy dokładniej jej się przyjrzała, Cheng Xin odniosła wrażenie, że jest to brzydki biust obnażony w promieniach zachodzącego słońca. Było to miejsce, w którym kropla wbiła się w Ziemię.

Ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła biegnącą ku niej 艾 AA. Zdyszana, z rozwianymi włosami, powiedziała Cheng Xin, że przybyła się z nią zobaczyć, ale strażnicy jej nie wpuścili.

– Przywiozłam kwiaty do twojej nowej siedziby – dodała, wskazując zaparkowany samochód. Potem odwróciła się w stronę grzyba. – To wulkan? To on spowodował to trzęsienie ziemi?

Cheng Xin miała ochotę wypłakać się w jej ramionach, ale się opanowała. Chciała odwlec chwilę, w której ta radosna dziewczyna pozna prawdę, chciała, by jeszcze przez pewien czas trwały echa dobrych czasów, które się właśnie skończyły.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Refleksje nad załamaniem się systemu odstraszania

Najważniejszym czynnikiem, który doprowadził do załamania się systemu odstraszania, był oczywiście wybór nieodpowiedniej osoby na stanowisko Dzierżyciela Miecza. Zajmiemy się tym dalej w osobnym rozdziale. Na razie skupmy się na technicznych słabych punktach tego systemu, które też się przyczyniły do jego załamania.

Natychmiast po fakcie większość ludzi wskazywała jako przyczynę zbyt małą liczbę przekaźników fal grawitacyjnych i obwiniała poprzedników z początków ery odstraszania o to, że zlikwidowali dziewiętnaście z dwudziestu trzech wówczas działających. Ale ta reakcja nie dotykała istoty problemu. Z danych zebranych podczas ataku kropli wynikało, że każda z nich potrzebowała średnio nieco ponad dziesięć sekund na to, by przebić skorupę Ziemi i zniszczyć przekaźnik. Nawet gdyby zgodnie z pierwotnym planem zbudowano ich sto, zniszczenie całego systemu nie zajęłoby kroplom dużo czasu.

Kluczowe znaczenie miało to, że ten system można było zniszczyć. Ludzkość miała możliwość zbudowania niezniszczalnego systemu

transmisji fal grawitacyjnych, ale z niej nie skorzystała. Nie chodziło o liczbę przekaźników, ale o ich rozlokowanie.

Wyobraźmy sobie, że te dwadzieścia trzy przekaźniki zbudowano by nie na powierzchni Ziemi ani pod nią, lecz w kosmosie, to znaczy na dwudziestu trzech statkach, takich jak *Grawitacja*. W normalnej sytuacji byłyby one rozproszone wokół Układu Słonecznego. Nawet gdyby krople zaatakowały z zaskoczenia, byłoby im trudno zniszczyć wszystkie nadajniki. Co najmniej jednemu ze statków udałoby się uciec w głąb przestrzeni kosmicznej.

Zwiększałoby to znacznie niezawodność systemu odstraszania, bo nie byłby już w całości zależny od decyzji Dzierżyciela Miecza. Trisolarianie wiedzieliby, że nie mają dostatecznych sił w Układzie Słonecznym, by zniszczyć cały system, więc zachowywaliby się z większą rezerwą.

Niestety, była tylko *Grawitacja*.

To, że nie zbudowano większej liczby statków z przekaźnikami, wynikało z dwóch powodów. Pierwszym z nich był atak synów Ziemi na stację transmisyjną w Antarktyce. Uważano, że statki kosmiczne są jeszcze bardziej narażone na działania ekstremistów niż stacje podziemne. Po drugie ważny był rachunek ekonomiczny. Ponieważ antena fal grawitacyjnych była ogromna, jej rolę musiał pełnić cały kadłub statku. A zatem musiała być ona zbudowana z materiałów, które spełniały wymogi podróży kosmicznej, co wielokrotnie zwiększało koszty. Sama *Grawitacja* kosztowała prawie tyle, co dwadzieścia trzy nadajniki podziemne. Poza tym kadłuba statku nie można było poddać renowacji – gdyby wibrująca struna ze zdegenerowanej materii, która biegła przez całą długość statku, osiągnęła wynoszący pięćdziesiąt lat połowiczny czas rozpadu, trzeba by było zbudować nową jednostkę.

Ale podstawową przyczyną była pewna głęboko zakorzeniona w umysłach ludzi obawa. Chociaż nigdy nie przyznano tego otwarcie, a może nawet i tego sobie nie uświadomiono, statek z przekaźnikiem fal grawitacyjnych był zbyt potężny, tak potężny, że przerażał swego stwórcę. Gdyby coś – atak kropli czy cokolwiek innego – zmusiło taki statek do ucieczki w głąb kosmosu i gdyby z powodu zagrożenia ze strony wroga nie mógł nigdy powrócić do Układu Słonecznego, stałby się kopią *Błękitnej Przestrzeni* i *Epoki Brązu* albo czymś jeszcze straszniejszym. Każdy taki statek ze swoją już nieludzką załogą mógłby przesłać Wszechświatu (chociaż ograniczoną czasem połowicznego rozpadu wibrującej struny) wiadomość o położeniu Ziemi, a zatem decydowałby o jej losie. Wśród gwiazd zapanowałaby wieczna niestabilność.

Był to więc strach przed samym odstraszaniem metodą ciemnego lasu, charakterystyczny dla najwyższej formy odstraszania: bali się go zarówno odstraszający, jak i odstraszany.

Pierwsza godzina ery postodstraszania

Utracony świat

Cheng Xin podeszła do oficerów i poprosiła, by zabrali ją na miejsce erupcji. Podpułkownik dowodzący zabezpieczeniem obiektu natychmiast wysłał tam dwa samochody: jeden z Cheng Xin, drugi z kilkoma strażnikami dla jej ochrony. Cheng Xin powiedziała AA, by na nią zaczekała, ale tamta uparła się, żeby jej towarzyszyć, i wsiadła do samochodu.

Latające samochody uniosły się tuż nad ziemię i z małą prędkością skierowały się w stronę grzyba. AA zapytała kierowcę, co się stało, ale wiedział tylko tyle, że wulkan wybuchnął dwa razy w krótkim odstępie czasu. Uważał, że mógł to być pierwszy przypadek odnotowanej w spisanej historii Chin erupcji wulkanu na ich terytorium.

Biedak nie potrafiłby sobie wyobrazić, że w wulkanie ukryty był strategiczny punkt oparcia świata – antena fal grawitacyjnych. Pierwszy wybuch spowodowała siła uderzenia kropli w skorupę ziemską. Po zniszczeniu anteny kropla wróciła tą samą drogą i wynurzając się spod ziemi, wywołała drugi wstrząs. Wstrząsy były skutkiem wyładowania ogromnej energii kinetycznej kropli, nie wyrzuceniem materii z płaszcza, dlatego trwały bardzo krótko. Dzięki wielkiej prędkości kropli nie można

jej było zaobserwować gołym okiem ani podczas przenikania przez skorupę Ziemi, ani podczas powrotu.

Przesuwająca się pod latającym samochodem powierzchnia pustyni Gobi usiana była małymi kraterami utworzonymi przez lawę i rozgrzane skały, które wyrzuciła erupcja. Im bardziej zbliżali się do epicentrum, tym było ich więcej, nad pustynią wisiała gruba chmura dymu, a poprzez nią widać było tu i ówdzie kępy płonącego tamaryszku. Chociaż tereny te nie były gęsto zaludnione, od czasu do czasu widzieli powalone stare domy. Cała sceneria przypominała pole bitwy tuż po ustaniu walk.

Tymczasem chmura nieco się przerzedziła i nie wyglądała już jak grzyb, ale raczej jak rozwichrzone włosy, których koniuszki zachodzące słońce zabarwiało na purpurowo. Nadlatujące samochody zatrzymała linia żołnierzy odgradzających teren zdarzenia. Cheng Xin jednak nalegała, by ją przepuszczono, więc w końcu pozwolono jej lecieć dalej. Żołnierze nie wiedzieli, że nastąpił upadek świata, i wciąż szanowali Cheng Xin ze względu na jej stanowisko Dzierżyciela Miecza. Zatrzymali jednak AA i mimo jej krzyków i prób wyrwania się nie pozwolili przekroczyć linii.

Stale wiejący wiatr rozproszył większość pyłu, ale dym co i rusz przesłaniał światło słońca i jego obłoki rzucały na pustynię szybko zmieniające się cienie. Cheng Xin przeszła około stu metrów przez tę strefę i znalazła się na brzegu gigantycznego krateru. Miał kształt leja i mierzył czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów głębokości. Wydobywały się z niego obłoki gęstej białej pary, a na dnie żarzyła się czerwono tafla stopionej lawy.

Czterdzieści pięć kilometrów niżej została rozbita w puch i pochłonięta przez lawę antena fal grawitacyjnych, cylinder o długości tysiąca pięciuset i średnicy pięćdziesięciu metrów.

To ją powinien spotkać taki los. Byłby to najlepszy koniec dla Dzierżyciela Miecza, który nie sprostał swoim powinnościom.

Czerwony żar na dnie krateru przyciągał Cheng Xin jak magnes. Jeszcze jeden krok i dozna upragnionej ulgi. Omiatana gorącymi podmuchami, patrzyła jak zahipnotyzowana, aż z tego odrętwienia wyrwał ją perlisty śmiech.

Odwróciła się. W przefiltrowanym przez dym świetle zachodzącego słońca zobaczyła zbliżającą się ku niej szczupłą postać. Rozpoznała ją dopiero wtedy, kiedy ta stanęła tuż przed nią. To była Sofona.

Wyglądała zupełnie inaczej niż ostatnim razem, kiedy ją widziała – nie zmieniła się tylko jej śliczna, blada twarz. Sofona odziana była w pustynny ubiór maskujący, a jej włosy, dawniej związane w schludny kok, teraz były krótko przystrzyżone. Na szyi miała czarną chustę ninja, na plecach długą katanę. Sprawiała wrażenie mężnej i walecznej, ale otaczająca ją aura kobiecości nie zniknęła zupełnie. Nadal poruszała się z gracją, jednak w jej łagodnych ruchach widać było niezłomną wolę zabijania, jak w swobodnie wiszącej, lecz stanowiącej śmiertelne zagrożenie pętli. Promieniującego od niej chłodu nie usuwał nawet żar buchający z krateru.

– Zachowałaś się tak, jak się spodziewaliśmy – powiedziała szyderczym tonem Sofona. – Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Tak naprawdę wybrała cię ludzkość i w ten sposób wybrała również wynik. Jesteś jedyną niewinną osobą z całego waszego rodzaju.

Cheng Xin zrobiło się lżej na sercu. Nie czuła pociechy, ale musiała przyznać, że ta śliczna diablica potrafiła dotrzeć do jej duszy.

Zobaczyła, że zbliża się do nich AA. Wbijała wzrok w Sofonę, a jej oczy płonęły furią. Podniosła z ziemi obiema rękami kamień i walnęła nim ją w tył głowy. Sofona odwróciła się i odgoniła go jak komara. AA obrzuciła ją wszelkimi wyzwiskami, jakie przyszły jej do głowy, i sięgnęła po drugi

kamień. Sofona wydobyła miecz z pochwy, odpychając drugą ręką próbującą ją powstrzymać Cheng Xin, i machnęła nim. Katana zafurkotała w powietrzu szybciej niż łopatki elektrycznego wentylatora. Gdy się zatrzymała, wokół głowy AA fruwały strzępy jej loków. AA znieruchomiała z przygarbionymi ramionami.

Cheng Xin przypomniała sobie, że widziała katanę Sofony w tamtym spowitym mgłą domu na wschodnim liściu. Wtedy ten miecz i dwa krótsze spoczywały na bogato zdobionym drewnianym postumencie obok stolika do herbaty i wyglądały bardziej na element dekoracji niż na zabójczą broń.

– Dlaczego? – szepnęła Cheng Xin jakby sama do siebie.

– Dlatego że Wszechświat nie jest baśnią.

Podchodząc do tego racjonalnie, Cheng Xin rozumiała, że gdyby nadal utrzymywała się równowaga narzucona przez odstraszanie, ludzkość czekałaby lepsza przyszłość niż Trisolarian, ale w jej podświadomości Wszechświat pozostawał piękną baśnią, baśnią o miłości. Jej największym błędem było to, że nie próbowała spojrzeć na ten problem z punktu widzenia wroga.

Ze spojrzenia Sofony Cheng Xin wreszcie wyczytała, dlaczego zachowano ją przy życiu.

Po zniszczeniu systemu nadawania na falach grawitacyjnych i zablokowaniu możliwości wykorzystania Słońca jako wzmacniacza fal radiowych żyjąca Cheng Xin nie była żadnym zagrożeniem dla Trisolarian. Z drugiej strony, gdyby jakimś cudem ludzie dysponowali jeszcze inną, nieznaną Trisolarianom metodą transmisji danych w głąb Wszechświata, zlikwidowanie Dzierżyciela Miecza mogłoby ich skłonić do wysłania tego przekazu. Dopóki jednak żył Dzierżyciel Miecza, prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, było praktycznie zerowe, bo inni ludzie mieli powód i wymówkę, by nie brać za to odpowiedzialności.

Z odstraszycielki Cheng Xin stała się tarczą. Wróg dokładnie ją przejrzał.

Była postacią z baśni.

– Nie cieszcie się zbyt wcześnie – rzekła AA do Sofony, odzyskawszy trochę odwagi. – Mamy jeszcze *Grawitację*.

Sofona włożyła jednym płynnym ruchem katanę do pochwy na plecach.

– Głupia dziewczyno, *Grawitacja* została zniszczona. Stało się to godzinę temu, po przejęciu przez nią kontroli nad *Błękitną Przestrzenią*. Szkoda, że nie mogę wam pokazać wraku, bo sofony są w martwej strefie.

Trisolarianie już od dawna przygotowywali się na tę chwilę. Dokładny czas przejęcia kontroli nad *Błękitną Przestrzenią* ustalono przed pięcioma miesiącami, zanim sofony towarzyszące *Grawitacji* weszły w martwą strefę. Dwie krople lecące z *Grawitacją* otrzymały rozkaz zniszczenia jej w momencie przejęcia ściganej jednostki.

– Zostawiam was – powiedziała Sofona. – Proszę przekazać doktorowi Luo Ji wyrazy najgłębszego szacunku od całej Trisolaris. Był wielkim wojownikiem. Aha, jeśli będziecie miały okazję, przekażcie też panu Thomasowi Wade’owi nasze przeprosiny.

Cheng Xin spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Według przeprowadzonych przez nas badań osobowości twój stopień gotowości do spełnienia groźby oscylował wokół dziesięciu procent, czyli byłaś jak dżdżownica zwijająca się na piachu. Stopień gotowości Luo Ji stale wynosił około dziewięćdziesięciu procent, zatem był on jak groźna kobra, gotowa w każdej chwili uderzyć. Natomiast Wade… – Sofona spojrzała na słońce zachodzące za kłębami dymu. W jej oczach widać było przerażenie. Potrząsnęła gwałtownie głową, jakby chciała odpędzić jakiś obraz, który pojawił się w jej umyśle. – U niego nie było żadnej krzywej. Bez względu na sytuację zewnętrzną jego gotowość utrzymywała się na poziomie stu procent! To wcielony diabeł! Gdyby został Dzierżycielem

Miecza, mielibyśmy skrępowane ręce. Musiałby trwać pokój. Czekaliśmy już sześćdziesiąt dwa lata, ale musielibyśmy czekać dalej, może jeszcze pięćdziesiąt lat, a może dłużej. A wtedy Trisolaris musiałaby stawić czoło Ziemi dorównującej nam poziomem rozwoju technologii i potęgą. Musielibyśmy pójść na kompromis… Ale wiedzieliśmy, że ludzkość wybierze ciebie.

Sofona oddaliła się wielkimi krokami. Zatrzymała się kawałek dalej i krzyknęła do stojących jak słupy soli Cheng Xin i AA:

– Szykujcie się do podróży do Australii, żałosne robale.

60 dzień ery postodstraszania

Utracony świat

Trzydziestego ósmego dnia po załamaniu się systemu odstraszania Stacja Ringiera–Fitzroya na zewnętrznej stronie pasa asteroid odkryła czterysta piętnaście nowych śladów statków kosmicznych w obłoku pyłu międzygwiezdnego koło Trisolaris. Najwyraźniej Trisolarianie wysłali do Układu Słonecznego drugą flotę.

Wyleciała ona z Trisolaris pięć lat wcześniej i przeszła przez obłok pyłu przed czterema laty. Trisolarianie podjęli ogromne ryzyko, bo gdyby w ciągu pięciu lat nie udało im się zniszczyć ziemskiego systemu odstraszania, odkrycie tej floty mogło doprowadzić do jego włączenia. Oznaczało to, że już przed pięcioma laty wyczuli oni, że nastawienie ludzkości do odstraszania zaczęło się zmieniać, i prawidłowo przewidzieli typ osobowości drugiego Dzierżyciela Miecza.

Wydawało się, że historia zatoczyła koło i zaczął się nowy cykl.

Koniec ery odstraszania wtrącił ponownie ludzi w mrok, ale, podobnie jak podczas pierwszego kryzysu przed dwoma wiekami, nie łączyli tego ze swoimi indywidualnymi losami. Na podstawie analizy szlaków oszacowano, że prędkość drugiej floty trisolariańskiej nie różni się od prędkości pierwszej floty. Nawet gdyby bardziej przyspieszyła, nie dotarłaby do Układu Słonecznego jeszcze przez dwieście albo trzysta lat. Każdy, kto żył na Ziemi, mógłby doczekać końca swoich dni w spokoju. Po

nauczce, jaką stał się Wielki Jar, współcześni ludzie za nic nie poświęciliby swojej teraźniejszości dla przyszłości.

Ale tym razem ludzkość nie miała takiego szczęścia.

Trzy dni po wyjściu drugiej floty trisolariańskiej z obłoku pyłu międzygwiezdnego system obserwacji wykrył czterysta piętnaście śladów w następnym obłoku. Nie mogły ich pozostawić inne statki. Pierwszej flocie trisolariańskiej przelot od jednego obłoku do drugiego zajął pięć lat, drugiej tylko sześć dni.

Oznaczało to, że statki Trisolarian osiągnęły prędkość światła.

Analiza śladów w drugim obłoku pyłu międzygwiezdnego potwierdziła, że jednostki Trisolarian utrzymują prędkość światła. Przy takiej szybkości ślady, które pozostawiały, były bardzo wyraźne.

Biorąc pod uwagę czas przelotu, wydawało się, że flota osiągnęła prędkość światła tuż po przejściu przez pierwszy obłok pyłu; nie zauważono żadnych oznak nagłego przyspieszania. A skoro tak, druga flota trisolariańska powinna już dotrzeć do Układu Słonecznego albo być bardzo blisko. Przez teleskopy o średnich rozmiarach można było zobaczyć czterysta piętnaście jasnych świateł odległych o około sześć tysięcy jednostek astronomicznych od Ziemi. Światła były wywoływane przez hamowanie. Najwyraźniej statki Trisolarian wykorzystywały napęd konwencjonalny. Szybkość floty równała się teraz piętnastu procentom prędkości światła. Była to ewidentnie największa prędkość umożliwiająca bezpieczne hamowanie przed dotarciem do Układu Słonecznego. Z szacunków w oparciu o te dane wynikało, że druga flota trisolariańska osiągnie skraj Układu Słonecznego za rok.

Było to nieco zaskakujące. Wyglądało na to, że statki Trisolarian mogą osiągać prędkość światła i redukować ją w bardzo krótkim czasie, ale zdecydowały się nie robić tego zbyt blisko trisolariańskiego układu

gwiezdnego ani Układu Słonecznego. Po odlocie z Trisolaris prawie przez rok przyspieszały z wykorzystaniem napędu konwencjonalnego i nabrały prędkości światła dopiero wtedy, gdy znalazły się około sześciu tysięcy jednostek astronomicznych od ojczystej planety. I podobnie zmniejszyły prędkość, dopiero kiedy znalazły się w takiej samej odległości od Układu Słonecznego. Lecąc z prędkością światła, można było przebyć ten dystans w ciągu miesiąca, ale druga flota trisolariańska postanowiła pokonać go w rok. A zatem miało jej to zająć dwa lata dłużej, niż gdyby przebyła całą drogę z prędkością światła.

Ludziom przychodziło do głowy tylko jedno wyjaśnienie tej dziwnej decyzji: wróg kierował się pragnieniem, by podczas procesu osiągania i redukowania prędkości światła nie spowodować szkód w żadnym z tych układów słonecznych. Wydawało się, że bezpieczna strefa obejmuje obszar o promieniu dwieście razy większym od odległości Słońca od Neptuna. To z kolei świadczyło, że moc silników statków trisolariańskich była o dwa rzędy wielkości większa od energii gwiazd, co wydawało się niewyobrażalne.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Błyskawiczny rozwój technologii na Trisolaris

Nie wiemy, kiedy dokładnie tempo rozwoju technologicznego na Trisolaris zmieniło się ze stałego w skokowe. Niektórzy uczeni uważali, że zaczęło się to jeszcze przed erą kryzysu, inni byli zdania, że skok technologiczny nastąpił nie wcześniej niż w erze odstraszania. Panowała jednak powszechna zgoda co do przyczyn tej eksplozji technologii.

Po pierwsze, Ziemia wywarła ogromny wpływ na cywilizację trisolariańską – przynajmniej w tej sprawie Trisolarianie prawdopodobnie nie kłamali. Od chwili przybycia w okolice Ziemi pierwszego sofonu gwałtowny napływ ludzkiej kultury głęboko zmienił Trisolaris, a niektóre ludzkie wartości bardzo przypadły do gustu jej mieszkańcom. Społeczeństwo trisolariańskie obaliło bariery stojące na drodze do postępu naukowego, które wzniósł skrajnie totalitarny system polityczny powstały w reakcji na ery chaosu, zaczęło głosić swobodę myślenia i szanować jednostkę. Przemiany te mogły doprowadzić do przełomu w nauce i technologii podobnego do epoki odrodzenia na odległej Ziemi. Musiał to być wspaniały okres historii trisolariańskiej, ale nie znamy jego szczegółów.

Druga możliwość jest domysłem. Otóż wyprawy badawcze sofonów wysłanych w inne strony Wszechświata nie były może tak bezowocne, jak utrzymywali Trisolarianie. Zanim znalazły się w martwej strefie, mogły odkryć co najmniej jeden cywilizowany świat. Jeśli rzeczywiście tak się stało, Trisolarianie mogli nie tylko otrzymać od tej cywilizacji zaawansowaną wiedzę techniczną, ale także ważne informacje o ciemnym lesie, jakim był Wszechświat, i daleko prześcignąć Ziemię w każdej dziedzinie wiedzy.

60 dzień ery postodstraszania

Utracony świat

Po raz pierwszy od końca ery odstraszania pojawiła się Sofona. Nadal w stroju maskującym i z kataną na plecach oznajmiła światu, że za cztery lata przybędzie druga flota trisolariańska i dokona całkowitego podboju Układu Słonecznego.

Od czasu pierwszego kryzysu polityka Trisolaris wobec ludzkości się zmieniła. Sofona oświadczyła, że Trisolarianie nie zamierzają już dokonać zagłady ludzkiej cywilizacji, ale stworzą rezerwaty dla ludzi w Układzie Słonecznym, a konkretnie w Australii i na jednej trzeciej powierzchni Marsa. Zapewni to ludzkiej cywilizacji podstawową przestrzeń życiową.

Aby przygotować grunt do podboju za cztery lata, ludzie muszą natychmiast zacząć się przesiedlać. W celu – jak to określiła – pozbawienia ich kłów i zapobieżenia ponownemu pojawieniu się w przyszłości systemu odstraszania lub podobnych zagrożeń powinni zostać kompletnie rozbrojeni i przesiedlić się „nago”. W rezerwatach nie będzie można mieć żadnego sprzętu ciężkiego ani udogodnień, a przenosiny muszą się zakończyć w ciągu roku.

Siedliska przeznaczone dla ludzi na Marsie i w kosmosie będą mogły pomieścić najwyżej około trzech milionów osób, a zatem głównym miejscem przesiedlenia będzie Australia.

Mimo to większość ludzi wciąż się łudziła, że jeszcze co najmniej jedno pokolenie będzie mogło żyć w spokoju. Żaden kraj nie zareagował na

przemówienie Sofony i praktycznie nikt nie udał się na emigrację.

Pięć dni po „proklamacji rezerwatów” jedna z kropli krążących w ziemskiej atmosferze zaatakowała trzy wielkie miasta w Azji, Europie i Ameryce Północnej. Celem ataku nie było ich zniszczenie, lecz zasianie strachu. Kropla przeleciała przez gęste lasy tych miast, zderzając się ze wszystkimi wiszącymi budynkami, które znalazły się na jej drodze. Trafione budynki zapłonęły, po czym spadły niczym dojrzałe owoce na ziemię kilkaset metrów poniżej. W największej katastrofie od dnia Sądu Ostatecznego zginęło ponad trzysta tysięcy osób.

Ludzie w końcu zrozumieli, że ich świat jest dla kropli kruchy jak jajko złożone pod zwisającą skałą. Miasta i duże obiekty były wobec nich całkowicie bezbronne. Gdyby Trisolarianie zechcieli, mogliby zburzyć wszystkie miasta i powierzchnia Ziemi stałaby się wielkim morzem ruin.

W rzeczywistości ludzkość pracowała już nad usunięciem tej wady, zdawała bowiem sobie sprawę, że do obrony przed kroplami można było użyć tylko materiałów z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym (MCPOS). Przed załamaniem się systemu odstraszania ośrodki badawcze na Ziemi i we Flocie były już w stanie wytworzyć w laboratoriach małe ilości takiego materiału, ale jego produkcja i utylizacja na dużą skalę byłyby jeszcze przez wiele lat niemożliwe. Gdyby ludzie mieli na to jeszcze dziesięć lat, masowa produkcja MCPOS stałaby się faktem. Chociaż system napędowy kropli byłby nadal poza zasięgiem ludzkości, z MCPOS można by było przynajmniej skonstruować konwencjonalne pociski i zniszczyć krople dzięki zwykłej przewadze liczebnej. Można by też użyć MCPOS do budowy tarcz ochronnych. Gdyby krople ośmieliły się je zaatakować, stałyby się bronią jednorazowego użytku.

Niestety, teraz nie można już było urzeczywistnić żadnej z tych wizji.

Sofona wygłosiła następną mowę, w której wyjaśniła, że Trisolaris zmieniła politykę wobec ludzi i zrezygnowała z ich eksterminacji z miłości i szacunku dla ludzkiej cywilizacji. Przesiedlenie do Australii nieuchronnie sprawi, że ludzkość będzie cierpiała, ale potrwa to tylko trzy do czterech lat. Po przybyciu floty trisolariańskiej zdobywcy pomogą stworzyć w Australii wygodne warunki życia. Poza tym udzielą pomocy w budowie dodatkowych siedlisk na Marsie i w kosmosie. Po pięciu latach od przylotu Trisolarian ludzie będą mogli masowo emigrować do tych siedlisk i planuje się, że ten proces potrwa piętnaście lat. Wtedy ludzie będą mieli odpowiednią przestrzeń życiową i obie cywilizacje zaczną pokojową koegzystencję.

Będzie to jednak zależało od tego, czy powiedzie się pierwsze przesiedlenie, do Australii. Jeśli ludzie natychmiast nie zaczną przenosin, krople nadal będą przypuszczać ataki na miasta. Po roku od rozpoczęcia akcji przesiedleńczej wszyscy, którzy znajdą się poza rezerwatami, zostaną potraktowani jako najeźdźcy wkraczający na terytorium Trisolaris i zlikwidowani. Oczywiście gdyby ludzie opuścili miasta i rozproszyli się po kontynentach, pięć kropli nie byłoby w stanie zlokalizować i zabić każdego, ale bez wątpienia poradzi sobie z tym druga flota trisolariańska, która przyleci za cztery lata.

– Tę jedyną szansę przetrwania ludzkość zawdzięcza swej wspaniałej cywilizacji – zakończyła Sofona. – Proszę, doceńcie to.

I tak zaczęło się Wielkie Przesiedlenie całej ludzkości do Australii.

2 rok ery postodstraszania

Australia

Cheng Xin stała przed domem członka starszyzny plemiennej Fraisse’a i patrzyła na Wielką Pustynię Wiktorii, nad którą unosiło się rozedrgane od żaru słońca powietrze. Jak daleko sięgnęła okiem, widziała proste, gęsto skupione schroniska. W blasku słońca te konstrukcje ze sklejki i arkuszy blachy wyglądały na nowiutkie, ale kruche, jakby były rozrzuconymi na piasku zabawkami z papieru.

Gdy pięćset lat wcześniej James Cook odkrył Australię, nie przyszłoby mu do głowy, że pewnego dnia na tym ogromnym pustym kontynencie zbierze się cała ludzkość.

Cheng Xin i 艾 AA przybyły do Australii z pierwszą falą uchodźców. Cheng Xin mogłaby osiąść w dużym mieście, takim jak Canberra czy Sydney, ale uparła się, że będzie żyła jak zwykły emigrant, i udała się do strefy osiedlenia w środkowej części kontynentu, obejmującej pustynie koło Warburton, gdzie panowały najtrudniejsze warunki. Była wzruszona, że AA, która też mogłaby jechać do dużego miasta, postanowiła jej towarzyszyć.

Życie w strefie osiedlenia było trudne. Na początku, kiedy przeniosło się tam niewiele osób, było jeszcze znośnie. Bardziej dawało się im we znaki molestowanie ze strony innych osadników niż braki materialne. Cheng Xin i AA wzniosły dla siebie chatę, ale w miarę przybywania nowych uchodźców dokwaterowywano im inne osoby i w sumie zamieszkało w niej

osiem kobiet. Pozostała szóstka urodziła się w rajskiej erze odstraszania i tu zetknęła się po raz pierwszy z racjonowaniem wody i jedzenia, ślepymi ścianami, na których nie pojawiały się żadne informacje, pomieszczeniami bez klimatyzacji, publicznymi toaletami i prysznicami, pryczami… Było to społeczeństwo, w którym panowała absolutna równość. Nie używano tu pieniędzy, każdy otrzymywał takie same racje żywnościowe. Wcześniej widziały taką biedę tylko na filmach historycznych, więc życie w strefie osiedlenia było dla nich piekłem. Naturalnie złość z tego powodu kierowały na Cheng Xin. Bez żadnej prowokacji z jej strony przeklinały ją i oskarżały, że tylko zajmuje miejsce, które należy się innym, bo przecież nie zdołała powstrzymać Trisolarian. Jej największym grzechem było to, że poddała się zaraz po otrzymaniu ostrzeżenia. Gdyby włączyła przekaźniki fal grawitacyjnych, najeźdźcy uciekliby z przerażeniem, a ludzkość jeszcze co najmniej przez kilkadziesiąt lat cieszyłaby się szczęściem. Nawet gdyby ta transmisja doprowadziła do natychmiastowego zniszczenia Ziemi, byłoby to lepsze niż życie w obecnych warunkach.

Na początku było to znęcanie się słowne, ale wkrótce zmieniło się w fizyczne i współlokatorki zaczęły zabierać Cheng Xin jej racje żywnościowe. AA usilnie starała się bronić przyjaciółkę. Walczyła z jej ciemiężycielkami, czasami kilka razy dziennie. Raz chwyciła najbardziej zajadłą z nich za włosy i tak mocno walnęła jej głową o nogę łóżka, że tamta zalała się krwią. Od tej pory zostawiły ją i Cheng Xin w spokoju.

Ale wrogość wobec Cheng Xin przejawiały nie tylko jej współlokatorki. Przychodzili ją też nękać uchodźcy z innych schronisk. Czasami rzucali w nią kamieniami, czasami wokół chaty zbierał się tłum i obrzucał ją wyzwiskami.

Cheng Xin znosiła to wszystko ze spokojem. W istocie to nękanie dodawało jej ducha. Jako Dzierżycielka Miecza, która nie sprostała swojej

roli, zasługiwała na dużo gorsze traktowanie.

Trwało to, dopóki nie zaprosił ich do siebie krajowiec imieniem Fraisse. Przeniosły się do niego. Fraisse był Aborygenem z siwą brodą na czarnej twarzy i miał ponad osiemdziesiąt lat, ale nadal był krzepki. W erze powszechnej kierował organizacją, której celem było zachowanie kulturowego dziedzictwa Aborygenów, i na początku ery kryzysu poddał się hibernacji, by kontynuować dzieło w przyszłości. Gdy się obudził, przekonał się, że jego obawy się spełniły: australijscy Aborygeni i ich kultura byli o krok od zaniku.

Zbudowany w dwudziestym pierwszym wieku dom Fraisse’a był stary, ale solidny i otoczony ładną kępą drzew. Odkąd Cheng Xin i AA przeprowadziły się tam, ich życie stało się bardziej stabilne. Co ważniejsze, starzec napełniał je duchowym spokojem. Nie podzielał powszechnej złości i nienawiści do Trisolarian, w ogóle rzadko zabierał głos na temat obecnego kryzysu. Mawiał tylko: „Bogowie zapamiętują wszystko, co robią ludzie”.

To prawda. Nawet ludzie pamiętali, co zrobili. Przed pięcioma wiekami cywilizowani Ziemianie, z których zresztą większość była w Europie przestępcami, zeszli ze statków na ten kontynent i zaczęli dla rozrywki strzelać do kryjących się w lasach Aborygenów. Rzeź trwała nawet później, gdy pojęli, że ich ofiarami nie są zwierzęta, lecz ludzie. Aborygeni żyli na tym ogromnym lądzie od dziesiątków tysięcy lat. W chwili przybycia białych ich populacja liczyła ponad pół miliona osób, ale szybko zmniejszyła się do trzydziestu tysięcy uchodźców, którzy musieli uciekać na bezludne pustynie na zachodzie, by przeżyć…

Ludzie słuchali z uwagą, kiedy Sofona ogłosiła utworzenie rezerwatów. Przywodziło to na myśl tragiczny los tubylczych ludów Ameryki Północnej, innego odległego kontynentu, gdzie przybycie cywilizowanych Ziemian sprowadziło wielki smutek.

Po przeprowadzce do Fraisse’a AA ciekawiło wszystko w jego starym domu. Wyglądał on jak muzeum kultury Aborygenów. Wszędzie znajdowały się malowidła naskalne i wykonane na korze drzew, instrumenty muzyczne zrobione z drewnianych listewek i wydrążonych gałęzi, spódniczki wyplatane z trawy, bumerangi, włócznie i inne podobne przedmioty. Najbardziej zainteresowało ją kilka naczyń z farbą zrobioną z białej i czerwonej gliny i ochry. Od razu zorientowała się, do czego służą, i maczając w nich palec, zaczęła malować sobie twarz. Potem zaczęła podrygiwać, naśladując tubylczych tancerzy, których gdzieś widziała, i wydając przerażające okrzyki.

– To by wystraszyło te suki, które z nami mieszkały – powiedziała.

Fraisse roześmiał się i potrząsnął głową. Wyjaśnił AA, że naśladuje nie australijskich autochtonów, lecz Maorysów z Nowej Zelandii. Osoby z innych kontynentów czasami ich myliły, ale australijscy Aborygeni byli ludźmi łagodnymi, natomiast Maorysi wojownikami. Zresztą i tak nie naśladowała tego tańca wiernie i nie udało się jej oddać ich ducha. Potem Fraisse sam pomalował twarz, tak że wyglądała jak imponująca maska, i zdjął koszulę, ukazując ciemny tors i potężne mięśnie, które wydawały się nie pasować do jego zaawansowanego wieku. Wziął z kąta taiahę i zaczął tańczyć prawdziwą wojenną hakę.

Cheng Xin i AA patrzyły jak urzeczone. Z twarzy Fraisse’a zniknął zwykły miły wyraz i przeistoczył się on w przerażającego potwora. Całe jego ciało zdawała się przenikać wielka siła. Od jego krzyków i tupnięć drżały szyby w oknach. Obie kobiety skuliły się ze strachu. Ale najbardziej zaszokował je widok jego oczu: wychodziły z orbit i pałały zimnym pragnieniem mordu i wściekłością, w których łączyły się siły tajfunów i piorunów z Oceanii. Jego spojrzenie zdawało się miotać wstrząsające ziemią okrzyki: „Nie uciekaj! Zabiję cię! Zjem cię!”.

Po zakończeniu haki Fraisse powrócił do zwykłej miłej powierzchowności.

– Dla maoryskiego wojownika kluczowe znaczenie ma to, by wytrzymał utkwiony weń wzrok przeciwnika. Najpierw musi pokonać wroga spojrzeniem, a potem zabić go taiahą. – Stanął przed Cheng Xin. – Dziecko, nie zniosłaś wzroku wroga. – Potem poklepał ją łagodnie po ramieniu. – Ale to nie twoja wina. Naprawdę nie twoja.

Następnego dnia Chen Xin zrobiła coś, co zaskoczyło ją samą – poszła zobaczyć się z Wade’em.

Zabijał okna schroniska płytami wiórowymi, by można je było wykorzystać jako magazyn. Jeden z jego rękawów zwisał pusty. W tej epoce łatwo by mu było uzyskać protezę nieróżniącą się od prawdziwej części ciała, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

Dwóch innych więźniów – wyraźnie również mężczyzn z ery powszechnej – zagwizdało na jej widok. Gdy jednak zorientowali się, z kim przyszła się zobaczyć, ucichli i wrócili do pracy, nawet nie spojrzawszy na nią po raz drugi.

Gdy zbliżyła się do Wade’a, zobaczyła z pewnym zaskoczeniem, że chociaż odbywał wyrok w ostrych warunkach, wydawał się bardziej zadbany niż ostatnim razem. Był gładko ogolony i porządnie uczesany. W tej epoce skazani nie nosili już więziennych ubrań, ale jego biała koszula była najczyściejsza, czyściejsza nawet od koszul strażników. Trzymał w ustach kilka gwoździ, wyjmował je po jednym lewą ręką i wbijał precyzyjnymi, silnymi uderzeniami młotka. Spojrzał na Cheng Xin z obojętną miną i pracował dalej.

Od razu zorientowała się, że się nie poddał. Nie wiedziała, jakie skrywa w sercu ambicje, ideały i zdrady – nie dał tego po sobie poznać.

Wyciągnęła do niego rękę. Ponownie zerknął na nią, odłożył młotek, wypluł gwoździe i wręczył jej po kolei, jakby je wbijał.

– Opuść to miejsce – powiedział. Wyjął ze skrzynki z narzędziami drugą garść gwoździ. Nie podał ich jej ani nie włożył do ust. Rozsypał je na ziemi przy jej stopach.

– Ja… ja tylko… – zaczęła Cheng Xin, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

– Mówię, żebyś opuściła Australię – szepnął, ledwie poruszając ustami. Wpatrywał się w płyty wiórowe. Każdy, kto znalazłby się trochę dalej, pomyślałby, że skupia się na pracy. – Szybko, zanim zakończy się przesiedlanie.

Podobnie jak przed trzema wiekami udało mu się jednym zdaniem wprawić Cheng Xin w osłupienie. Za każdym razem czuła się tak, jakby rzucał jej kłębek splątanych nici, które musiała rozsupłać warstwa po warstwie, by zrozumieć ukryte w nim złożone znaczenie. Ale tym razem po słowach Wade’a zadrżała. Nie miała odwagi rozwiązać tej zagadki.

– Idź. – Wade nie dał jej szansy na zadanie pytania. Potem odwrócił się do niej ze swym zwykłym ironicznym uśmieszkiem, przypominającym szczelinę w lodzie na zamarzniętym stawie. – Teraz mówię, żebyś wynosiła się z tego domu.

W drodze powrotnej do Warburton Cheng Xin widziała ciągnące się po horyzont, ścieśnione schroniska, a w lukach między nimi zaaferowany tłum. Nagle jej pole widzenia się zmieniło, jakby oglądała to wszystko spoza Ziemi, i całe osiedle przekształciło się w mrowisko. Chwyciło ją bezimienne przerażenie i jasne australijskie słońce wydało się jej zimne jak zimowy deszcz.

Trzy miesiące po rozpoczęciu Wielkiego Przesiedlenia przewieziono do Australii ponad miliard osób. Jednocześnie rządy narodów świata zaczęły się przemieszczać do dużych australijskich miast. ONZ przeniosła siedzibę główną do Sydney. Rządy poszczególnych krajów kierowały transportem swych obywateli, a ich działania koordynowała Komisja Przesiedleńcza ONZ. Uchodźcy gromadzili się w różnych rejonach ze względu na miejsce pochodzenia i Australia stała się miniaturową repliką całej Ziemi. Zachowano nawet nazwy wielkich miast, ale „Nowy Jork", „Tokio" czy „Szanghaj" były tylko obozami uchodźców, pełnymi naprędce skleconych prymitywnych schronisk.

Nikt z rządów byłych państw ani z ONZ nie miał doświadczenia w prowadzeniu przesiedleń na taką skalę, więc wkrótce zaczęły się pojawiać liczne trudności i zagrożenia.

Przede wszystkim był problem schronienia. Przywódcy wkrótce zdali sobie sprawę, że nawet gdyby przewieziono do Australii materiały budowlane z całego świata i ograniczono przestrzeń życiową do łóżka na osobę, nie zapewniono by dachu nad głową więcej niż jednej piątej populacji. Gdy w Australii znalazło się pięćset milionów emigrantów, zabrakło budulca na schroniska. Musiano poprzestać na wznoszeniu namiotów, z których każdy był wielkości stadionu i mógł pomieścić ponad dziesięć tysięcy osób. W tak złych warunkach mieszkaniowych i sanitarnych ciągłym zagrożeniem były epidemie.

Brakowało też żywności. Australijskie zakłady rolnicze nie zaspokajały potrzeb nawet miejscowej ludności, trzeba więc było sprowadzać żywność z odległych rejonów świata. W miarę zwiększania się populacji na kontynencie dystrybucja jedzenia stawała się coraz bardziej skomplikowana, a dostawy coraz bardziej się opóźniały.

Jednak największym zagrożeniem była perspektywa załamania się ładu społecznego. W rejonach przeznaczonych dla przesiedleńców przestało istnieć społeczeństwo hiperinformacyjne. Nowi przybysze stukali w ściany, szafki nocne, a nawet swoje ubrania, zanim dotarło do nich, że to wszystko jest martwe, niepodłączone do sieci. Nie można było zapewnić nawet podstawowych środków komunikacji. Wiadomości ze świata docierały bardzo ograniczoną liczbą kanałów. Dla ludzi przyzwyczajonych do natłoku informacji było to równoznaczne z utratą wzroku. Rządy były pozbawione wszystkich nowoczesnych sposobów komunikacji masowej, a tym samym zdolności przywódczych, i nie wiedziały, jak utrzymać porządek na przeludnionym kontynencie.

Również w przestrzeni kosmicznej prowadzono akcję przesiedleńczą.

Pod koniec ery odstraszania żyło tam około półtora miliona ludzi, z czego prawie pół miliona stanowili obywatele Ziemi Międzynarodowej, którzy mieszkali w stacjach i miastach kosmicznych na orbicie okołoziemskiej i w bazach na Księżycu. Reszta służyła we Flocie Słonecznej i stacjonowała w bazach na Marsie i wokół Jowisza oraz na statkach patrolujących Układ Słoneczny.

Większość kosmonautów z Ziemi Międzynarodowej mieszkała poniżej orbity Księżyca. Nie mieli wyboru – musieli wrócić na Ziemię i emigrować do Australii.

Reszta przeniosła się do marsjańskiej bazy, którą Trisolaris wyznaczyła jako drugi ludzki rezerwat.

Po bitwie w dniu Sądu Ostatecznego Flota Słoneczna nigdy nie wróciła do poprzedniej liczebności. Jeszcze pod koniec ery odstraszania dysponowała nieco ponad setką statków wojennych klasy gwiezdnej.

Chociaż technologia stale się rozwijała, maksymalna prędkość statków nigdy się nie zwiększyła, bo napęd jądrowy wykorzystano do granic możliwości. Ogromną przewagę statki trisolariańskie zawdzięczały nie tylko zdolności latania z prędkością światła, ale również, co było bardziej przerażające, zdolności osiągania tej prędkości bez długiego okresu przyspieszania. By osiągnąć piętnaście procent prędkości światła, ludzkie statki musiały przyspieszać przez rok, biorąc pod uwagę duże zużycie paliwa i zachowanie jego dostatecznych rezerw na podróż powrotną. W porównaniu z jednostkami Trisolarian poruszały się wolno jak ślimaki.

Po załamaniu się systemu odstraszania należące do Floty Słonecznej statki klasy gwiezdnej miały szansę ucieczki w głąb przestrzeni kosmicznej. Gdyby ponad sto tych jednostek wyruszyło z maksymalną prędkością w różnych kierunkach, osiem znajdujących się w Układzie Słonecznym kropel nie byłoby w stanie zniszczyć ich wszystkich. Jednak nie zdecydowała się na to załoga żadnej z nich; wszystkie posłuchały Sofony i wróciły na orbitę wokół Marsa. Powód tego był prosty: przesiedlenie na Marsa nie przypominało przesiedlenia mieszkańców Ziemi do Australii. W zamkniętym habitacie bazy marsjańskiej mogło prowadzić wygodne, cywilizowane życie milion osób. Była ona tak zaprojektowana, by pomieścić taką liczbę ludzi przez długi czas. Było to bez wątpienia lepsze niż błądzenie przez resztę życia w kosmosie.

Trisolaris miała się na baczności przed ludźmi na Marsie. Dwie krople odwołane z Pasa Kuipera przez większość czasu patrolowały przestrzeń nad marsjańskim miastem. Chociaż Flota Słoneczna została w zasadzie rozbrojona, w odróżnieniu od przesiedleńców w Australii ludzie na Marsie mieli nadal dostęp do nowoczesnej technologii, koniecznej dla utrzymania warunków niezbędnych do życia. Mimo to nie śmieli angażować się w takie przedsięwzięcia jak budowa nadajnika fal grawitacyjnych. Sofony

z pewnością by to wykryły, a ludzie nie zapomnieli okropieństw bitwy w dniu Sądu Ostatecznego. Baza na Marsie była krucha jak skorupka jajka i dekompresja spowodowana uderzeniem pojedynczej kropli oznaczałaby kompletną katastrofę.

Proces przesiedlania w kosmosie zakończono w ciągu trzech miesięcy. Poza marsjańską bazą w Układzie Słonecznym nie było już ludzi, tylko opuszczone miasta i statki dryfujące na orbitach wokół Ziemi, Marsa, Jowisza i w pasie asteroid. Wyglądały jak ciche, metalowe cmentarzyska, na których pochowano chwałę i marzenia ludzkości.

Podczas pobytu w bezpiecznym domu Fraisse’a Cheng Xin mogła się zorientować w sytuacji tylko dzięki telewizji. Pewnego dnia oglądała przekaz na żywo z centrum dystrybucji żywności. Dzięki holograficznej transmisji czuła się tak, jakby znajdowała się tam osobiście. Technologia ta wymagała superszerokopasmowego połączenia i była zarezerwowana dla informowania o wydarzeniach najwyższej wagi. Większość pozostałych wiadomości przekazywano w technice dwuwymiarowej.

Centrum dystrybucji zlokalizowano w Carnegie, na skraju pustyni. W środku holograficznego obrazu pojawił się gigantyczny namiot, który wyglądał jak pół jaja rozbitego na piasku, z którego niczym białko wylewali się ludzie. Biegli, bo dotarła nowa dostawa żywności. Dwa latające, małe, lecz silne transportowce holowały w podwieszonych pod nimi w sieciach ogromną pakę.

Kiedy umieściły delikatnie ładunek na ziemi, tłum runął niczym wezbrana fala przez przerwaną tamę i szybko pokrył całą stertę. Od razu załamała się utworzona przez kilkudziesięciu żołnierzy linia ochrony, a paru przerażonych pracowników centrum wdrapało się z powrotem do

wiszącego w górze transportowca. Ładunek żywności zniknął w ciżbie jak śnieżka rzucona do mętnej wody.

Kamera zrobiła najazd. Ludzie wyrywali żywność tym, którzy chwycili ją ze sterty. Torby z jedzeniem szybko zostały rozdarte jak ziarna ryżu wrzucone między kłębiące się mrówki, a tłum walczył o to, co się z nich wysypało. Drugi transportowiec złożył ładunek nieco dalej, na pustej przestrzeni. Tym razem nie bronili już do niego dostępu żołnierze, a pracownicy dystrybucji bali się wyjść z transportowca. Tłum pociągnął do nowej sterty niczym opiłki do magnesu i w mgnieniu oka ją przykrył.

Z transportowca wyskoczyła i wylądowała z gracją na stercie żywności kilka metrów niżej szczupła i giętka postać odziana na zielono. Tłum się zatrzymał. Widział, że to Sofona. Nadal była w stroju maskującym, czarna chusta na jej szyi łopotała w powiewach gorącego wiatru, podkreślając biel jej twarzy.

– Utworzyć kolejkę! – krzyknęła Sofona.

Ponowny najazd kamery ukazał ją z bliska. Wpatrzone w tłum piękne oczy Sofony pałały gniewem. Jej głos rozbrzmiewał tak donośnie, że słychać ją było pomimo łoskotu silników transportowca. Ale tłum zastygł tylko na chwilę, po czym ruszył dalej. Ci, którzy byli najbliżej sterty, zaczęli rozcinać sieć, by dostać się do worków z żywnością. Ludzie stawali się coraz bardziej rozgorączkowani, a kilku śmiałków, ignorując Sofonę, wdrapało się na stertę.

– Wy bezużyteczne wałkonie! Dlaczego nie utrzymujecie tutaj porządku? – krzyknęła Sofona w stronę transportowca. W otwartych drzwiach maszyny stało kilku zszokowanych urzędników z Komisji Przesiedleńczej ONZ. – Gdzie wasze wojsko? Gdzie policja? Co z bronią, którą pozwolono wam tu zabrać? Gdzie wasza odpowiedzialność?

W drzwiach transportowca ukazał się przewodniczący Komisji. Jedną ręką przytrzymywał się framugi, drugą machał do Sofony, potrząsając bezradnie głową.

Sofona wyjęła katanę z pochwy. Machnęła trzy razy mieczem, tak szybko, że nie można było nadążyć wzrokiem za jej ruchami, i rozcięła na pół trzech mężczyzn wspinających się na stertę pakunków z żywnością. Trzy zabójcze ciosy były identyczne – ostrze spadało na lewe ramię i wychodziło prawym biodrem ofiary. Sześć części ciał upadło, wnętrzności zawisły w powietrzu, a potem wylądowały wśród tłumu, obryzgując go krwią. Sofona zeskoczyła wśród okrzyków przerażenia ze sterty i nadal wywijając mieczem, zabiła jeszcze dziesięć osób. Uchodźcy pierzchali przed nią i po chwili wokół niej zrobiło się pusto jak na brudnym naczyniu wokół kropli detergentu. Ciała, które zostawiała za sobą, były również rozcięte od lewego ramienia do prawego biodra, w sposób, który powodował maksymalny upływ krwi i zniszczenie narządów wewnętrznych.

Na widok takiej rzezi wiele osób zemdlało. Sofona szła naprzód, a ludzie czmychali. Wydawało się ją otaczać niewidzialne pole siłowe, które odpychało tłum. Po kilku krokach zatrzymała się i tłum zamarł.

– Utworzyć kolejkę – powiedziała Sofona. Teraz jej głos był cichy.

Chaotyczny tłum szybko ustawił się w długą, wijącą się kolejkę, jakby ludzie tworzyli jakiś porządkujący algorytm. Ciągnęła się aż do ogromnego namiotu i zakręcała za nim.

Sofona wskoczyła z powrotem na stertę worków i wskazała kolejkę zakrwawioną kataną.

– Skończyła się era zdegenerowanej ludzkiej wolności. Jeśli chcecie tu przetrwać, musicie się od nowa nauczyć kolektywizmu i odzyskać godność waszego rodzaju!

Tej nocy Cheng Xin nie mogła zasnąć. Wyszła bezszelestnie z pokoju.

Była późna godzina. Na schodach Cheng Xin zobaczyła mrugające światełko – to Fraisse palił fajkę. Na jego kolanach leżał didgeridoo, aborygeński instrument muzyczny zrobiony z grubej, wydrążonej w środku gałęzi o metrowej długości. Fraisse grał na nim co wieczór. Dźwięk, jaki wydawał didgeridoo, był głęboki, huczący, przypominał nie muzykę, lecz chrapanie samej ziemi. AA i Cheng Xin zasypiały co noc przy jego brzmieniu.

Usiadła obok Fraisse'a. Lubiła przebywać ze starcem. Jego spokój w obliczu smutnej rzeczywistości koił ból jej złamanego serca. Fraisse nigdy nie oglądał telewizji i zdawał się nie zwracać uwagi na rozgrywające się wokół wydarzenia. Rzadko wracał na noc do pokoju i zasypiał oparty o ościeże drzwi, a budził się, gdy wschodzące słońce ogrzało jego ciało. Robił tak nawet podczas burzy, twierdząc, że jest mu tak wygodniej niż w łóżku. Kiedyś powiedział, że jeśli łobuzy z rządu zabiorą mu dom, nie przeniesie się do żadnej strefy osiedlenia, lecz odejdzie do lasu i zbuduje sobie szałas z trawy. AA stwierdziła, że w jego podeszłym wieku ten plan nie jest realistyczny, ale odparł, że skoro tak żyli jego przodkowie, to on też może. Ci przodkowie przypłynęli tu łodziami z Azji. Było to w czwartej epoce lodowej, przed czterdziestoma tysiącami lat, kiedy nikomu nie śniło się jeszcze nawet, że powstaną Grecja i Egipt. W dwudziestym pierwszym wieku Fraisse był zamożnym lekarzem i prowadził w Melbourne własną klinikę. Również po wyjściu z hibernacji w erze odstraszania wiódł wygodne życie nowoczesnego człowieka. Gdy jednak zaczęło się Wielkie Przesiedlenie, w jego ciele coś się obudziło. Poczuł się stworzeniem z ziemi i lasu i uświadomił sobie, że do życia potrzeba naprawdę niewielu rzeczy.

Spanie na powietrzu było dobre, prawdę mówiąc, bardzo wygodne. Nie wiedział, czego jest to zwiastunem.

Cheng Xin popatrzyła na strefę osiedlenia w oddali. O tej porze nocy światła były rzadkie i niezliczone rzędy schronisk promieniowały niezmąconym spokojem. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby znalazła się w epoce poprzedniej emigracji, w Australii sprzed pięciuset lat. Ludzie śpiący w tych schroniskach byli nieokrzesanymi pastuchami i rolnikami, czuła nawet zapach siana i smród ekskrementów. Powiedziała Fraisse'owi o tym wrażeniu.

– Wtedy nie było tu takiego przeludnienia – rzekł tamten. – Powiadają, że jeśli biały chciał kupić od innego białego ziemię, musiał zapłacić tylko tyle, ile kosztowała skrzynka whiskey, a potem wyjechać o świcie i wrócić o zachodzie słońca. Obszar, który objechał, należał do niego.

Wyobrażenie Cheng Xin o dawnej Australii pochodziło ze starego filmu pod tym samym tytułem. Bohater i bohaterka tego melodramatu przemierzali spektakularny krajobraz północnej Australii, jadąc na spęd bydła. Jednak akcja tego filmu rozgrywała się nie w epoce zasiedlania tego kontynentu przez białych, lecz podczas II wojny światowej, która w czasach jej młodości była niedawną przeszłością, a teraz zamierzchłą historią. Poczuła ukłucie smutku, gdy zdała sobie sprawę, że Hugh Jackman i Nicole Kidman nie żyją już prawdopodobnie od ponad dwustu lat. Potem pomyślała, jak bardzo bohatera tego filmu przypominał Wade, kiedy pracował przy budowie magazynu.

Na to wspomnienie powtórzyła Fraisse'owi, co Wade jej powiedział. Już od dawna chciała mu to wyznać, ale obawiała się, że zburzy jego spokój umysłu.

– Znam tego człowieka – odparł Fraisse. – Dziecko, powiem ci tylko tyle, że powinnaś go posłuchać. Ale wyjazd z Australii jest niemożliwy. Nie

przejmuj się tym. Nie ma sensu rozmyślać o tym, czego nie da się zrobić.

To była prawda. Bardzo trudno byłoby teraz wyjechać z Australii. Na straży trwały nie tylko krople, ale również flota zwerbowana przez Sofonę spośród ludzi. Każdy pojazd powietrzny czy wodny opuszczający Australię, na którego pokładzie znaleziono przesiedleńców, stawał się natychmiast celem ataku. Poza tym im bardziej zbliżał się podany przez Sofonę ostateczny termin zakończenia akcji przesiedleńczej, tym mniej osób próbowało powrócić w ojczyste strony. Zdarzały się nieliczne przypadki przemytu ludzi, ale Cheng Xin była postacią publiczną, więc ta droga była dla niej zamknięta.

Nie zawracała sobie głowy tymi szczegółami. Bez względu na to, co się stanie, nie zamierzała wyjeżdżać.

Wydawało się, że Fraisse ma ochotę zmienić temat, ale jej milczenie skłoniło go do powiedzenia jeszcze paru słów.

– Jestem ortopedą. Pewnie wiesz, że kiedy złamie się kość, po zrośnięciu staje się silniejsza, bo wokół złamania tworzy się zgrubienie. Jeśli ciało ma możliwość uzupełnienia jakiegoś braku, może zrobić to w nadmiarze, tak że po wyzdrowieniu dana część jest lepsza niż u osoby, która nigdy czegoś takiego nie doznała. – Wskazał na niebo. – W porównaniu z ludźmi Trisolarianom czegoś brakowało. Myślisz, że przesadzili z nadrabianiem tego braku? W jakim stopniu? Nikt tego nie wie.

Ta myśl zaskoczyła Cheng Xin. Ale Fraisse nie był zainteresowany dalszą dyskusją. Spojrzał na usiane gwiazdami niebo i zaczął cicho recytować wiersze. Opowiadały one o dawnych czasach, o nadużyciu zaufania i roztrzaskanej broni, o śmierci i różnych zwyczajach.

Cheng Xin poruszyło to tak samo jak jego gra na didgeridoo.

– To wiersze Jacka Davisa, aborygeńskiego poety z dwudziestego wieku.

Starzec oparł się o framugę drzwi i po kilku minutach zaczął chrapać. Cheng Xin siedziała pod gwiazdami – które, mimo zamętu na świecie pod nimi, nie zboczyły ani odrobinę ze swych zwykłych szlaków – dopóki świt nie zabarwił nieba na wschodzie.

Pół roku po rozpoczęciu Wielkiego Przesiedlenia do Australii przeniosła się połowa ludzkości, czyli 2,1 miliarda osób.

Na plan pierwszy zaczęły się wysuwać ukryte konflikty. Masakra w Canberze, do której doszło miesiąc później, była zaledwie początkiem ciągu koszmarnych wydarzeń.

Sofona żądała, by przesiedleńcy byli „nadzy". W erze odstraszania podobną politykę wobec ewentualnych migrantów z Trisolaris proponowali ziemscy twardogłowi. Przesiedlanej ludności nie pozwalano zabierać ze sobą ciężkiego sprzętu ani do wojskowego, ani do cywilnego użytku, a jedynie materiały budowlane i części dla nowych fabryk żywności oraz wyposażenie medyczne i inne rzeczy niezbędne do życia. Siły wojskowe rozlokowane przez różne państwa w strefach osiedlenia mogły mieć tylko lekką broń dla utrzymywania porządku. Ludzkość została całkowicie rozbrojona.

Ale nie dotyczyło to rządu australijskiego. Trisolarianie pozwolili mu zatrzymać wszystko, włącznie z całym ciężkim sprzętem sił lądowych, morskich i powietrznych. Tak oto państwo, które od początku istnienia znajdowało się na uboczu spraw międzynarodowych, stało się światowym hegemonem.

Na początku tego procesu zachowanie władz australijskich było bez zarzutu. Zarówno one, jak i zwykli obywatele dokładali wszelkich starań, by pomóc imigrantom. Jednak w miarę coraz większego ich napływu

z całego świata postawy w tym kraju – jedynym, który obejmował niegdyś cały kontynent – zaczęły się zmieniać. Rodowici Australijczycy coraz bardziej narzekali i wybrali nowy rząd, który przyjął wobec przybyszów twardą postawę. Nowy rząd szybko odkrył, że ma nad resztą świata przewagę porównywalną z przewagą Trisolaris nad Ziemią. Późnych imigrantów lokowano w pustynnym wnętrzu kraju, a żyzne i bogate tereny, takie jak leżąca na wybrzeżu Nowa Południowa Walia, zostały terytoriami zarezerwowanymi tylko dla Australijczyków. Canberrę i Sydney określono jako „miasta zamknięte”, do których imigranci nie mieli wstępu. Jedynym dużym miastem, w którym pozwalano im się osiedlać, było Melbourne. Władze australijskie zaczęły też przejawiać dyktatorskie zapędy, uznawszy się za wyższe rangą od ONZ i pozostałych rządów państwowych.

Chociaż przybyszom nie pozwalano się osiedlać w Nowej Południowej Walii, nie można było zapobiec temu, by przyjeżdżali tam jako turyści. Do Sydney napływały całe ich rzesze, by zaspokoić pragnienie życia w mieście. Chociaż nie mogli w nim zamieszkać, uważali, że lepiej jest być bezdomnym włóczęgą w Sydney, niż żyć w strefach osiedlenia. Tu przynajmniej czuli, że nadal są członkami cywilizowanego społeczeństwa. Miasto wkrótce stało się przeludnione, więc australijski rząd postanowił usunąć wszystkich imigrantów siłą i zabronić im wstępu nawet w charakterze turystów. Doszło do starć policji i wojska z uchodźcami, którzy koczowali na ulicach, padły ofiary.

Incydent w Sydney wyzwolił w przesiedlonej ludności długo tłumioną wściekłość na australijskie władze, do Nowej Południowej Walii wkroczyło i skierowało się na Sydney ponad sto milionów osób. Znalazłszy się wobec morza wzburzonych ludzi, wojsko australijskie porzuciło pozycje. Do Sydney wtargnęły dziesiątki milionów imigrantów i ogołociły je tak jak armia mrówek ciało ofiary, zostawiając tylko goły szkielet. Miasto stanęło

w płomieniach i zapanowało tam bezprawie. Życie tych, którzy w nim pozostali, stało się gorsze niż w strefach osiedlenia.

Później tłum uchodźców ruszył na odległą o około dwieście kilometrów Canberrę. Ponieważ była ona stolicą Australii, przesiedliła się do niej prawie połowa rządów państw świata. Nawet ONZ przeniosła się tam niedawno z Sydney. Wojsko nie miało wyboru – aby zapewnić tym rządom bezpieczeństwo, musiało otworzyć ogień do motłochu. Zginęło ponad pół miliona osób, z czego większość bynajmniej nie od kul australijskiej armii, lecz z głodu i pragnienia lub stratowana przez ogarnięte paniką sto milionów. W chaosie, który panował przez ponad dziesięć dni, dziesiątki milionów ludzi zostały zupełnie pozbawione dostępu do zdatnej do picia wody i żywności.

Społeczeństwo składające się z przesiedlonych grup uległo głębokim przeobrażeniom. Ludzie zdali sobie sprawę, że na tym przeludnionym, cierpiącym głód kontynencie demokracja jest bardziej przerażająca od despotyzmu. Wszyscy pragnęli porządku i silnego rządu. Załamał się dotychczasowy ład społeczny. Ludzi interesowało tylko to, czy władze zapewnią im jedzenie, picie i miejsce do spania, nic innego nie było ważne. Społeczność przesiedleńców stopniowo, niczym powierzchnia zamarzającego jeziora, poddała się zwodniczemu urokowi totalitaryzmu. Słowa, które wypowiedziała Sofona po zabiciu kilkunastu osób w centrum dystrybucji żywności – „skończyła się era zdegenerowanej ludzkiej wolności” – stały się popularnym sloganem i na powierzchnię wypełzły ze swych grobów pogrzebane pozornie na zawsze idee, włącznie z faszyzmem. Również religie odzyskały moc przyciągania i odrodziły się różne wyznania i kościoły. Tak oto zmartwychwstała teokracja, zombi jeszcze starsze od totalitaryzmu.

Nieuniknionym skutkiem polityki totalitarnej była wojna. Coraz częściej wybuchały konflikty między różnymi narodami. Początkowo toczyły się one o dostęp do wody i żywności, ale wkrótce przerodziły się w planowaną walkę o przestrzeń życiową. Po masakrze w Canberze potężnym czynnikiem odstraszającym stało się wojsko australijskie. Na prośbę ONZ zaczęło ono utrzymywać pokój siłą. Gdyby nie jego działania, wybuchłaby wewnętrzna australijska wersja wojny światowej, w której – jak przewidywał ktoś w dwudziestym wieku – walczono by maczugami i kamieniami. Armie różnych krajów – z wyjątkiem Australii – nie mogłyby się nawet porządnie uzbroić. Najpowszechniej używaną bronią były metalowe pręty budowlane, do łask wróciły nawet starożytne miecze z muzeów.

W tych ponurych czasach niezliczeni ludzie budzili się rano, nie wierząc, że przyszło im żyć w takiej rzeczywistości. W ciągu pół roku ludzkość cofnęła się tak bardzo, że jedną nogą była w średniowieczu.

Przed całkowitym załamaniem powstrzymywała zarówno jednostki, jak i całe społeczeństwo tylko zbliżająca się druga flota trisolariańska. Przeleciała już przez Pas Kuipera. W jasne noce można było czasami dostrzec nawet gołym okiem płomienie hamujących statków. Teraz tych czterysta piętnaście mdłych światełek było jedyną nadzieją ludzkości. Pamiętano, co obiecała Sofona, i oczekiwano, że przybycie floty zapewni wszystkim na kontynencie spokojne, wygodne życie. Demon z przeszłości przeistoczył się w anioła zbawienia i jedyną duchową podporę. Modlono się o to, by ten anioł zjawił się jak najszybciej.

W miarę trwania procesu przesiedlania miasta na innych kontynentach osuwały się w mrok i zamieniały w puste, milczące skorupy. Wyglądało to tak, jakby w luksusowej restauracji gaszono po wyjściu ostatniego gościa jedno światło po drugim.

W dziewiątym miesiącu Wielkiego Przesiedlenia w Australii mieszkało 3,4 miliarda ludzi. Ponieważ stale pogarszały się warunki życiowe, trzeba było tymczasowo wstrzymać akcję. Wtedy krople znowu zaatakowały miasta poza Australią, a Sofona ponowiła groźbę, że zaraz po upływie rocznego terminu zacznie się eksterminacja ludzi żyjących poza rezerwatami. Australia przypominała teraz karetkę więzienną pędzącą do miejsca, skąd nie będzie powrotu, przy czym karetka ta już pękała w szwach od liczby skazanych, a trzeba było w niej umieścić jeszcze siedemset milionów innych.

Sofona przemyślała trudności powodowane przez dalszą migrację i zaproponowała rozwiązanie: można było utworzyć z Nowej Zelandii i innych pobliskich wysp strefę buforową. Postąpiono zgodnie z jej sugestią i w ciągu następnych dwóch i pół miesiąca przemieszczono do Australii przez tę strefę jeszcze sześćset trzydzieści milionów osób.

Trzy dni przed upływem ostatecznego terminu ostatnie trzy miliony przesiedleńców opuściły Nową Zelandię na pokładach łodzi i samolotów i udały się do Australii.

Wielkie Przesiedlenie dobiegło końca.

W tym momencie w Australii znajdowała się większość ludzkiej populacji – 4,16 miliarda osób. Poza tym kontynentem pozostawało około ośmiu milionów ludzi. Dzielili się oni na trzy grupy: milion przebywał w bazie na Marsie, pięć milionów należało do Ziemskich Sił Bezpieczeństwa, a około dwóch milionów do Ziemskiego Ruchu Oporu. Na całym świecie rozproszonych było niewiele osób, których z różnych powodów nie dało się przesiedlić, ale ich dokładna liczba była nieznana.

Ziemskie Siły Bezpieczeństwa utworzyła Sofona dla monitorowania procesu przesiedlania. Tym, którzy do nich wstępowali, obiecała, że nie będą musieli emigrować do Australii, lecz będą mogli swobodnie żyć na terytoriach podbitych przez Trisolarian. Chęć wstąpienia do tych sił zgłosiło wiele osób – według ostatecznego rachunku podania o przyjęcie złożył przez internet ponad miliard. Dwadzieścia milionów spośród nich zaproszono na rozmowy kwalifikacyjne i ostatecznie przyjęto pięć milionów. Szczęśliwi wybrańcy nie zwracali uwagi na to, że inni ludzie ich opluwają i patrzą na nich z pogardą – wiedzieli, że wielu z nich też starało się o przyjęcie do ZSB.

Niektórzy porównywali Ziemskie Siły Bezpieczeństwa z Ruchem na rzecz Ziemskiej Trisolaris sprzed trzystu lat, ale organizacje te fundamentalnie się od siebie różniły. RZT utworzyli natchnieni wiarą bojownicy, natomiast członkowie ZSB zaciągnęli się do tej formacji tylko po to, by uniknąć przesiedlenia i wygodnie żyć.

ZSB dzieliły się na trzy korpusy: Azjatycki, Europejski i Północnoamerykański. Odziedziczyły one sprzęt, który zmuszone były pozostawić armie narodowe. Początkowo ZSB zachowywały się dość powściągliwie i zgodnie z rozkazami Sofony nadzorowały przebieg wysiedlania mieszkańców różnych krajów oraz chroniły podstawową infrastrukturę w miastach i regionach przed sabotażem i grabieżą. Kiedy jednak nasiliły się kłopoty w Australii, proces przesiedlania przestał postępować w zadowalającym ją tempie i zaczęła się domagać od ZSB większej skuteczności. Pod wpływem jej ciągłych żądań i pogróżek siły bezpieczeństwa zaczęły stosować przemoc na wielką skalę i zabiły prawie milion osób. Na koniec, gdy minął wyznaczony okres przesiedlenia, Sofona wydała rozkaz zgładzenia wszystkich, którzy pozostawali poza rezerwatami. Członkowie ZSB zamienili się w demony. Poruszając się

w latających samochodach, uzbrojeni w laserowe karabiny snajperskie, spadali na opuszczone miasta jak sokoły i zabijali każdego, kogo zobaczyli.

Natomiast Ziemski Ruch Oporu reprezentował najlepsze cechy ludzkości, zahartowane w żarze tego paleniska. Składał się z tak wielu luźno powiązanych lokalnych ugrupowań, że nie dało się zweryfikować ich liczby. Szacowano, że w sumie obejmował od półtora do dwóch milionów ludzi. Ukrywając się w niedostępnych górach i głębokich tunelach pod miastami, prowadzili wojnę partyzancką z ZSB i czekali na szansę zmierzenia się z najeźdźcami z Trisolaris, których przybycia spodziewano się za cztery lata. Niewątpliwie ZRO poniósł największe straty ze wszystkich organizacji ruchu oporu w ludzkiej historii. ZSB pomagała Sofona i krople, więc każda akcja ZRO była praktycznie misją samobójczą. Warunki, w jakich walczyli, uniemożliwiały partyzantom połączenie sił, dzięki czemu ZSB mogły eliminować komórkę po komórce.

Do Ziemskiego Ruchu Oporu należały osoby z wszystkich warstw społeczeństwa. Dużą jego część stanowili ludzie z ery powszechnej. Wśród dowódców oddziałów była cała szóstka kontrkandydatów Cheng Xin do stanowiska Dzierżyciela Miecza. Pod koniec okresu przesiedlania trzech z nich zginęło w akcjach zbrojnych. Pozostali tylko projektant zderzacza cząstek Bi Yunfeng, fizyk Cao Bin i były rosyjski wiceadmirał Iwan Antonow.

Wszyscy uczestnicy ruchu oporu zdawali sobie sprawę, że ta walka jest z góry skazana na przegraną i że z chwilą przybycia drugiej floty trisolariańskiej czeka ich całkowita zagłada. Głodni, odziani w łachmany, kryjąc się w górskich jaskiniach i kanałach pod miastami, walczyli jednak o zachowanie resztek godności rodzaju ludzkiego. Byli jedynym jasnym punktem w tym najmroczniejszym okresie dziejów człowieka.

Cheng Xin obudziły o świcie dudniące grzmoty. Źle spała tej nocy, bo przeszkadzały jej dobiegające stale z zewnątrz hałasy powodowane przez świeżo przybyłych przesiedleńców. Wiedziała jednak, że pora burz już minęła, a po tych grzmotach nastąpiła cisza. Zadrżała, wstała z łóżka, narzuciła na siebie ubranie i wyszła z domu. O mało się nie potknęła o śpiącego w drzwiach Fraisse'a. Zerknął na nią zaspanymi oczami, po czym ponownie oparł się plecami o ościeże i zapadł w przerwaną drzemkę.

Dopiero się rozwidniało. W pobliżu stało wiele osób i z niepokojem patrzyło na wschód, wymieniając ściszonymi głosami uwagi. Cheng Xin spojrzała w stronę, w którą mieli skierowany wzrok, i zobaczyła na horyzoncie gruby słup czarnego dymu. Wyglądało to tak, jakby blady świt został rozerwany na dwie części.

W końcu dowiedziała się, że mniej więcej przed godziną ZSB zaczęły serię nalotów na całym kontynencie. Wydawało się, że ich głównymi celami są systemy energetyczne, porty i ciężki sprzęt transportowy. Słup dymu unosił się nad odległą o jakieś pięć kilometrów zniszczoną elektrownią jądrową. Ludzie podnieśli ze strachem głowy i zobaczyli na niebieskoczarnym niebie pięć rzednących smug – śladów zostawionych przez bombowce ZSB.

Cheng Xin wróciła do domu. AA też już była na nogach i włączyła telewizor. Ale Cheng Xin nawet nie spojrzała na ekran – nie potrzebowała więcej informacji. Już prawie od roku modliła się, żeby ta chwila nigdy nie nadeszła. Jej nerwy stały się niezwykle czułe i najdrobniejsza wskazówka doprowadziłaby ją do wyciągnięcia właściwego wniosku. Kiedy obudziły ją te dudniące grzmoty, od razu instynktownie wyczuła, co się stało.

I tym razem Wade miał rację.

Była na to przygotowana. Nie musiała się zastanawiać, co ma zrobić. Powiedziała AA, że musi jechać do miasta, i wsiadła na rower, najdogodniejszy środek transportu w strefach osiedlenia. Zabrała ze sobą trochę jedzenia i wody, bo wiedziała, że najprawdopodobniej nie uda się jej wykonać zadania, które sobie postawiła, i podróż tam i z powrotem zajmie jej dużo czasu.

Przeciskała się zatłoczonymi ulicami, kierując się w stronę urzędu miejskiego. Różne kraje przeniosły do stref osiedlenia własne systemy administracyjne; w jej strefie znalazła się ludność przesiedlona z miasta średniej wielkości w północno-zachodnich Chinach. Władze miejskie umieszczono w odległym o około dwa kilometry wielkim namiocie, którego biały wierzchołek był doskonale widoczny z daleka.

W ubiegłych dwóch tygodniach, ostatniej fazie akcji przesiedleńczej, napłynęła tak duża liczba uchodźców, że nie było czasu na rozmieszczenie ich w strefach odpowiednich do miejsca pochodzenia, więc upchnięto ich, gdzie się dało. Wskutek tego w strefie Cheng Xin znaleźli się ludzie z innych miast, regionów i prowincji, a nawet osoby spoza Chin. Za sprawą siedmiuset milionów przesiedlonych do Australii w ostatnich dwóch miesiącach życie w i tak już zatłoczonych strefach stało się jeszcze bardziej nieznośne.

Po obu stronach drogi piętrzyły się sterty dobytku. Nowo przybyli nie mieli dachu nad głową, więc musieli spać na powietrzu. Obudziły ich wybuchy i teraz patrzyli z niepokojem na słup dymu. Świt rzucał na wszystko przyćmione niebieskawe światło, w którym twarze wydawały się Cheng Xin jeszcze bledsze, niż były w istocie. Ponownie doznała niesamowitego uczucia, że patrzy na mrowisko. Gdy się przeciskała między tymi bladymi ludźmi, jej podświadomość rozpaczała, że nigdy już nie wzejdzie słońce.

Ogarnęła ją fala nudności. Nacisnęła na hamulce, zatrzymała się na poboczu drogi i zwymiotowała. Od tego wysiłku w jej oczach stanęły łzy. Oddychała ciężko, dopóki nie uspokoił się żołądek. Usłyszała w pobliżu płacz dziecka, podniosła głowę i zobaczyła skuloną kobietę w łachmanach, tulącą do piersi niemowlę. Kobieta była wymizerowana, miała rozczochrane włosy. Nie poruszyła się, gdy dziecko kurczowo ją chwyciło, tylko patrzyła nieruchomym wzrokiem na wschód. Świt rozświetlił jej oczy, w których widać było jedynie poczucie straty i odrętwienie.

Cheng Xin przypomniała się inna młoda matka, piękna, zdrowa i pełna życia, która podała jej swoje dziecko przed budynkiem ONZ… Gdzie teraz były ona i jej dziecko?

Kiedy Cheng Xin zbliżyła się do namiotu, w którym mieścił się urząd miasta, musiała zsiąść z roweru i przeciskać się przez gęsty tłum. Tutaj zawsze panował tłok, ale teraz zebrało się jeszcze więcej ludzi, by się dowiedzieć, co się stało. Cheng Xin musiała wyjaśnić rzędowi strażników blokujących wejście, kim jest, zanim ją przepuszczono. Funkcjonariusz nie znał jej, więc musiał sprawdzić dowód osobisty. Gdy jej tożsamość się potwierdziła, jego spojrzenie wryło się Cheng Xin w pamięć.

Mówiło: „Dlaczego wybraliśmy akurat ciebie?”.

Wnętrze namiotu władz miejskich przywoływało wspomnienia epoki hiperinformacyjnej. W ogromnej przestrzeni unosiły się liczne okna holograficzne i przesuwały nad urzędnikami. Widać było, że wielu z nich było przez całą noc na nogach, ale choć byli wyczerpani, nadal wykonywali obowiązki. Wydziały były tak gęsto upchnięte, że walczyły z innymi o miejsce, co przypominało Cheng Xin parkiet giełdy na Wall Street w erze powszechnej. Urzędnicy stukali w wiszące przed nimi okna lub pisali na nich, po czym przesuwały się one automatycznie ku innym stanowiskom.

Te jarzące się okna wyglądały jak duchy epoki, która się właśnie skończyła, gromadzące się tutaj przed ostatecznym udaniem się w niebyt.

Cheng Xin spotkała się z burmistrzem w malutkim gabinecie o ścianach z płyt kompozytowych. Burmistrz był bardzo młody, a na jego szczupłej, sfeminizowanej twarzy malowało się takie samo wyczerpanie jak na obliczach jego podwładnych. Sprawiał też wrażenie nieco oszołomionego i zagubionego, jakby ciężar, który włożono na jego barki, przekraczał siły tego słabego pokolenia. Na jednej ze ścian pojawiło się bardzo duże okno informacyjne z obrazem jakiegoś miasta. Większość budynków była stara i konwencjonalna, między nimi wznosiło się tylko kilka drzew mieszkalnych. Ewidentnie było to miasto średniej wielkości. Cheng Xin zauważyła, że obraz nie jest statyczny – od czasu do czasu powietrze przecinały latające samochody – i że jest tam chyba wczesny ranek. Potem uświadomiła sobie, że ten obraz jest symulacją widoku z okna gabinetu, więc być może przedstawiał miasto, w którym mieszkał i pracował burmistrz przed Wielkim Przesiedleniem.

Spojrzał na Cheng Xin i jego oczy również zdawały się mówić: „Dlaczego wybraliśmy akurat ciebie?”. Mimo to zachowywał się uprzejmie i zapytał ją, w czym może jej pomóc.

– Muszę skontaktować się z Sofoną – odparła.

Burmistrz potrząsnął głową, ale jej niespodziewana prośba dodała mu sił. Miał poważną minę.

– To niemożliwe. Po pierwsze, nasz urząd jest zbyt niskiego szczebla, byśmy mogli się z nią bezpośrednio skontaktować. Takich kompetencji nie mają nawet władze prowincji. Nikt nie wie, gdzie ona jest. Poza tym komunikacja ze światem zewnętrznym jest teraz niezwykle trudna. Niedawno odcięto nam łączność z władzami prowincji, a niedługo pozbawią nas dopływu prądu.

– Może pan wysłać mnie do Canberry?

– Nie mogę zapewnić pani samolotu, ale mogę dać do pani dyspozycji pojazd naziemny. Ostrzegam jednak, że ten środek transportu może okazać się wolniejszy, niż gdyby poszła tam pani pieszo. Wszędzie panuje chaos i robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Miasta są bombardowane. Może mi pani wierzyć albo nie, ale tu jest względnie spokojnie.

Ponieważ w strefie osiedlenia nie było systemu bezprzewodowego dostarczania energii elektrycznej, latające samochody były tam bezużyteczne. Można było korzystać tylko z pojazdów powietrznych i naziemnych z napędem własnym, ale drogi stały się nieprzejezdne.

Zaraz po wyjściu z urzędu miasta Cheng Xin usłyszała kolejny wybuch. Ukazał się nowy słup dymu, tym razem z innej strony, i tłum z zaniepokojonego stał się naprawdę wzburzony. Przepchnęła się przez ciżbę i odnalazła rower. Będzie musiała przejechać ponad pięćdziesiąt kilometrów, by dotrzeć do władz prowincji i spróbować skontaktować się stamtąd z Sofoną. Jeśli się to nie uda, spróbuje się dostać do Canberry.

Bez względu na wszystko nie podda się.

Tłum ucichł, gdy nad siedzibą urzędu miasta pojawiło się wielkie okno informacyjne, niemal tak szerokie jak sam namiot. Korzystano z niego tylko wtedy, kiedy władze musiały przekazać niezwykle ważne wiadomości. Ponieważ napięcie linii energetycznej było zmienne, okno migotało, ale na tle szarego nieba wczesnym świtem obraz był bardzo wyraźny.

W oknie widać było gmach parlamentu w Canberze. Chociaż został oddany do użytku w 1988 roku, nadal nazywano go „nowym” parlamentem. Z daleka wyglądał jak bunkier wtulony we wzgórze, a na

jego szczycie znajdował się największy chyba na świecie maszt. Mierzył ponad osiemdziesiąt metrów, a wznosił się jeszcze wyżej dzięki czterem ogromnym stalowym podporom. Miały symbolizować stabilność, ale teraz przypominały szkielet namiotu. Nad budynkiem powiewała flaga ONZ, bo po zamieszkach w Sydney tutaj była jej główna siedziba.

Cheng Xin poczuła, że jej serce ściska potężna dłoń. Wiedziała, że nadszedł Sąd Ostateczny.

Obraz przeniósł się do wnętrza Izby Reprezentantów, którą wypełniali wszyscy przywódcy Ziemi Międzynarodowej i dowódcy Floty Międzynarodowej. Sofona zwołała nadzwyczajne posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Stanęła na mównicy, nadal w stroju maskującym i czarnej chuście na szyi, ale już bez katany. W wyrazie jej twarzy nie było ani odrobiny okrucieństwa, do którego wszyscy przywykli w ciągu roku; przeciwnie, promieniowała urodą. Ukłoniła się zebranym przywódcom ludzkości i Cheng Xin ponownie zobaczyła w niej praktykującą drogę herbaty łagodną gospodynię, którą poznała dwa lata temu.

– Wielkie Przesiedlenie dobiegło końca! – Sofona znowu się ukłoniła. – Dziękuję wam! Jestem wam wszystkim bardzo wdzięczna. To ogromne osiągnięcie, porównywalne tylko z wyjściem waszych przodków z Afryki tysiące lat temu. Zaczęła się nowa era w dziejach dwóch cywilizacji!

Wszyscy obecni w Izbie Reprezentantów odwrócili z niepokojem głowy, gdy z zewnątrz dobiegł huk wybuchu. Zakołysały się cztery zwisające z sufitu reflektory, a wraz z nimi wszystkie cienie, jakby budynek miał runąć. Ale Sofona mówiła dalej:

– Zanim przybędzie wspaniała flota trisolariańska i zapewni wam szczęśliwe życie, musicie przetrwać trudne trzy miesiące. Mam nadzieję, że ludzkość dobrze się spisze. Ogłaszam całkowite odcięcie australijskiego

rezerwatu od reszty świata. Siedem sond i Ziemskie Siły Bezpieczeństwa utworzą wokół kontynentu blokadę. Każdy, kto spróbuje wydostać się z Australii, zostanie potraktowany jak najeźdźca wkraczający na terytorium Trisolaris i bezlitośnie zabity! Trzeba kontynuować proces pozbawiania Ziemian kłów. W ciągu trzech najbliższych miesięcy rezerwat musi przejść na rolnictwo niskotowarowe. Surowo zabrania się używania jakiejkolwiek nowoczesnej technologii, włącznie z elektrycznością. Jak mogą się przekonać wszyscy obecni, Ziemskie Siły Bezpieczeństwa przystąpiły do systematycznej likwidacji całego sprzętu do produkcji energii elektrycznej w Australii.

Ludzie wokół Cheng Xin spoglądali na siebie z niedowierzaniem, licząc na to, że ktoś wyjaśni im znaczenie tego, co przed chwilą powiedziała Sofona.

– To ludobójstwo! – krzyknął ktoś w Izbie Reprezentantów. Cienie nadal się kołysały jak wisielcy na wietrze.

To rzeczywiście było ludobójstwo.

Trudno byłoby utrzymać przy życiu 4,2 miliarda ludzi w Australii, ale nie było to niewyobrażalne. Nawet po Wielkim Przesiedleniu gęstość zaludnienia wynosiła zaledwie pięćdziesiąt osób na kilometr kwadratowy i była niższa niż w Japonii sprzed tego kryzysu.

Ale plan opierał się na bardzo wydajnych fabrykach żywności. Podczas akcji przesiedleńczej przewieziono do Australii dużą ich liczbę, wiele z nich już ponownie uruchomiono. Uprawiano w nich genetycznie zmodyfikowane rośliny w ilościach i tempie przekraczających o kilka rzędów wielkości zbiory roślin tradycyjnie sadzonych i zbieranych, ale światło naturalne nie wystarczało dla zapewnienia takiej wielkości produkcji, więc stosowano bardzo jasne sztuczne oświetlenie, a to wymagało ogromnych dostaw energii elektrycznej.

Bez elektryczności zależne od światła ultrafioletowego lub promieniowania rentgenowskiego rośliny w ciągu kilku dni zgniłyby w zbiornikach uprawnych. Obecne zapasy żywności wystarczyłyby na utrzymanie 4,2 miliarda ludzi zaledwie przez miesiąc.

– Nie rozumiem pana reakcji – rzekła Sofona do mężczyzny, który wspomniał o ludobójstwie. Wydawała się naprawdę zdezorientowana.

– Co z jedzeniem? Skąd weźmiemy jedzenie? – krzyknął ktoś inny. Ludzie już się jej nie bali.

Sofona potoczyła wzrokiem po sali, patrząc wszystkim zebranym w oczy.

– Jedzenie? – zapytała. – Rozejrzyjcie się. Zewsząd otacza was jedzenie, żywe mięso.

Powiedziała to spokojnym tonem, jakby przypominała ludzkości o zapomnianym przez nią magazynie.

Nikt już się nie odezwał. Od dawna planowany proces zniszczenia wkroczył w ostatnią fazę. Było za późno na słowa.

– Nadchodząca walka o przetrwanie wyeliminuje większość ludzkości. Kiedy za trzy miesiące przybędzie nasza flota, na tym kontynencie pozostanie trzydzieści do pięćdziesięciu milionów ludzi. Ci ostateczni zwycięzcy będą wiedli w rezerwacie wolne, cywilizowane życie. Ogień ziemskiej cywilizacji nie zgaśnie, ale będzie płonął słabiej, jak wieczny znicz na grobie.

Australijska Izba Reprezentantów wzorowana była na brytyjskiej Izbie Gmin. Po bokach znajdowały się wysokie galerie dla publiczności, a ławy dla członków parlamentu – na których siedzieli teraz przywódcy światowi – umieszczone były pośrodku, w dole. Ci, którzy je zajmowali, poczuli się jak w grobie, który zaraz zostanie zamknięty.

– Już samo istnienie jest wynikiem nieprawdopodobnego szczęścia. Na Ziemi było tak w przeszłości, a w okrutnym Wszechświecie jest tak zawsze.

Ale w którymś momencie ludzie nabrali złudnego przekonania, że mają prawo do życia, zaczęli je uważać za rzecz oczywistą. To podstawowa przyczyna waszej klęski. Na tym świecie zostanie znowu wzniesiona flaga ewolucji i będziecie teraz musieli walczyć o przetrwanie. Mam nadzieję, że wśród tych pięćdziesięciu milionów, które przeżyją, znajdą się wszyscy tu obecni. Mam nadzieję, że będziecie jeść, a nie że zostaniecie zjedzeni.

– Aaach! – krzyknęła jakaś kobieta stojąca obok Cheng Xin, przerywając milczenie, jakby rozcięła je ostrym nożem. Ale jej krzyk szybko wchłonęła śmiertelna cisza.

Cheng Xin odniosła wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod stóp. Nie zdawała sobie sprawy, że upadła. Widziała tylko niebo spychające siedzibę urzędu miasta i holograficzne okno, a potem poczuła na plecach dotyk ziemi, jakby ta stanęła za nią. Poranne niebo wyglądało jak mętny ocean, a oświetlone przez wschodzące słońce szkarłatne obłoki przesuwały się niczym krwawe plamy. Później w polu jej widzenia pojawiła się czarna plamka, która szybko się powiększała, jak kartka papieru podpalona przez stojącą pod nią świecę, aż w końcu wszystko przesłoniły cienie.

Szybko odzyskała świadomość. Wymacała dłońmi ziemię – miękki piasek – i odepchnąwszy się od niej, usiadła. Chwyciła lewą ręką prawą, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Ale świat zniknął. Wszystko pogrążone było w mroku. Otworzyła szeroko oczy, ale nadal nic nie widziała. Oślepła.

Ktoś wpadł w biegu na nią i przewrócił ją. Przed oczami miała tylko gęstą jak smoła ciemność. Odwróciła się twarzą na wschód, ale nie ujrzała wschodzącego słońca. Zamiast niego unosiło się tam ogromne ciemne koło, zalewając ziemię czarnym światłem.

Wydawało się jej, że w bezkresnym mroku widzi parę oczu. Były czarne i wtapiały się w ten mrok, ale czuła ich obecność, ich spojrzenie. Czyżby były to oczy Yun Tianminga? Wpadła w otchłań, w której powinna go

spotkać. Usłyszała, jak Tianming wykrzykuje jej imię. Starała się usunąć ten urojony głos z umysłu, ale się nie poddawał. W końcu uzmysłowiła sobie, że dobiega on z realnego świata, ponieważ był męski, lecz sfeminizowany, więc mógł być głosem tylko kogoś z tej epoki.

– Doktor Cheng Xin?

Skinęła głową, a raczej poczuła, że to robi. Jej ciało zdawało się poruszać niezależnie od jej woli.

– Co się stało z pani oczami? Nie widzi pani?

– Kim pan jest?

– Dowódcą jednostki specjalnej Ziemskich Sił Bezpieczeństwa. Przysłała nas Sofona, byśmy wywieźli panią z Australii.

– Dokąd mnie zabierzecie?

– Dokądkolwiek pani zechce. Ona się panią zaopiekuje. Oczywiście powiedziała, że musi pani wyrazić zgodę na opuszczenie Australii.

Cheng Xin usłyszała inny dźwięk. Początkowo myślała, że może to być kolejna halucynacja: dudnienie śmigieł helikoptera. Chociaż ludzkość opanowała technologię antygrawitacji, nie nadawała się ona do praktycznego użytku z powodu zbyt dużego zużycia energii. Lotnictwo nadal opierało się na tradycyjnym napędzie. Czuła na twarzy podmuchy wiatru, dowód na to, że w pobliżu rzeczywiście unosi się helikopter.

– Czy mogę porozmawiać z Sofoną?

Wciśnięto jej w dłoń jakiś przedmiot – telefon komórkowy. Przyłożyła go do ucha i usłyszała głos Sofony:

– Witaj, Dzierżycielko Miecza.

– Szukałam cię.

– Po co? Nadal uważasz, że jesteś zbawicielką świata?

Cheng Xin potrząsnęła wolno głową.

– Nie. Nigdy tak o sobie nie myślałam. Chcę tylko ocalić dwoje ludzi. Dobrze?

– Jakich ludzi?

– Ai AA i Fraisse’a.

– A, tę twoją gadatliwą przyjaciółkę i tego starego Aborygena? Tylko po to chciałaś mnie znaleźć?

Cheng Xin była zaskoczona. Sofona poznała AA, ale skąd wiedziała, kim jest Fraisse?

– Tak. Czy ludzie, których przysłałaś, mogą ich zabrać z Australii, by mogli żyć na swobodzie?

– To łatwe. A co z tobą?

– Nie musisz się o mnie martwić.

– Nie widzisz, co się dzieje?

– Nie. Nic nie widzę.

– Chcesz powiedzieć, że straciłaś wzrok? Nie odżywiałaś się właściwie?

Cheng Xin, AA i Fraisse przez cały ostatni rok dostawali odpowiednie racje żywnościowe, a władze nie odebrały Fraisse’owi domu. Odkąd Cheng Xin i AA wprowadziły się do niego, nikt ich nie nękał. Cheng Xin do tej pory myślała, że jest tak dlatego, że chronią ją lokalne władze, ale teraz zrozumiała, że zawdzięcza to opiece Sofony.

Wiedziała wprawdzie, że Sofoną kierują obcy z odległej o cztery lata świetlne planety, ale zawsze uważała ją za osobę, za kobietę. Ta kobieta, która właśnie przystępowała do eksterminacji 4,2 miliarda ludzi, troszczyła się o nią.

– Jeśli tu zostaniesz, zjedzą cię.

– Wiem – odparła spokojnym głosem Cheng Xin.

„Czyżby było to westchnienie?” – pomyślała.

– Dobrze. Koło ciebie zostanie sofon. Jeśli zmienisz zdanie albo będziesz potrzebowała pomocy, powiedz. Usłyszę cię.

Cheng Xin nic na to nie powiedziała. Nawet „dziękuję”.

Ktoś chwycił ją za ramię – dowódca oddziału Ziemskich Sił Bezpieczeństwa.

– Otrzymałem rozkaz ewakuacji tych dwojga. Lepiej, żeby pani z nami poleciała, doktor Cheng. To miejsce zmieni się niedługo w piekło na ziemi.

Cheng Xin potrząsnęła głową.

– Wie pan, gdzie oni są? Dobrze. Proszę tam polecieć. Dziękuję panu.

Nasłuchiwała odgłosów helikoptera. Wydawało się, że ślepota wyostrzyła jej słuch. Słyszała, jak maszyna wznosi się i ląduje dwa kilometry dalej. Kilka minut później znowu wzbiła się w powietrze i powoli odleciała.

Zadowolona Cheng Xin zamknęła oczy. Bez względu na to, czy miała je otwarte czy zamknięte, nic nie widziała. W końcu jej złamane, pogrążone w morzu krwi serce zaznało nieco spokoju. Nieprzenikniona ciemność stała się teraz dla niej pewnego rodzaju osłoną. Za nią panowała groza. To, co się tam działo, sprawiało, że nawet ziąb miał dreszcze, że potykała się sama ciemność.

Otaczające ją szaleństwo przybrało na sile: tupot nóg, brzęki, wystrzały, przekleństwa, wrzaski, śmiertelne rzężenie, płacz…

„Czyżby już zaczęli zjadać siebie nawzajem? – pomyślała. – Nie powinno do tego dojść tak szybko”.

Wierzyła, że nawet za miesiąc, kiedy nie będzie już w ogóle żywności, większość ludzi nadal nie będzie chciała stać się kanibalami.

„I dlatego większość umrze”.

Nieważne, czy te pięćdziesiąt milionów, które przeżyje, będzie można jeszcze uważać za ludzi czy staną się jakimiś innymi istotami.

„Człowieczeństwo” jako pojęcie zniknie.

Być może całe dzieje ludzkości zamkną się w jednej linii: wyszliśmy z Afryki, wędrowaliśmy przez siedemdziesiąt tysięcy lat i doszliśmy do Australii. Tu ludzie powrócili do swoich początków. Ale nie będzie nowej wędrówki. To koniec.

Gdzieś obok zapłakało dziecko. Cheng Xin chciała wziąć w ramiona to nowe życie. Przypomniała sobie niemowlę, które trzymała na rękach przed gmachem ONZ: miękkie, ciepłe, słodko uśmiechnięte. Odezwał się w niej instynkt macierzyński. Bała się, że dziecko będzie głodne.

Ostatnie 10 minut ery odstraszania

62 rok od jej początku

28 listopada, 16.17.34–16.27.58

Grawitacja i *Błękitna Przestrzeń*, kosmos

Gdy syreny oznajmiły o ataku kropli, tylko jeden człowiek na pokładzie *Grawitacji* poczuł coś w rodzaju ulgi. Był to James Hunter, najstarszy członek załogi. Miał siedemdziesiąt osiem lat i wszyscy nazywali go Starym Hunterem.

Pół wieku wcześniej w dowództwie floty na orbicie Jowisza dwudziestosiedmioletni Hunter otrzymał od szefa sztabu zadanie:

– Będzie pan kontrolerem kulinarnym na *Grawitacji*.

Stanowisko to było po prostu elegancką nazwą kucharza okrętowego. Jednak ponieważ większość czynności związanych z przygotowywaniem posiłków wykonywała sztuczna inteligencja, kontroler kulinarny był odpowiedzialny za funkcjonowanie tego systemu. Oznaczało to głównie wprowadzanie do niego jadłospisu i receptury każdego posiłku oraz wybór produktów. Większość kontrolerów kulinarnych stanowili podoficerowie, natomiast Hunter został właśnie awansowany na komandora, najmłodszego

we flocie. Ale dla niego awans ten nie był zaskoczeniem. Wiedział, czym naprawdę ma się zająć.

– Pana prawdziwym zadaniem jest strzeżenie nadajnika fal grawitacyjnych. Jeśli starsi oficerowie na *Grawitacji* stracą kontrolę nad statkiem, musi pan zniszczyć ten nadajnik. W nieprzewidzianej sytuacji może pan użyć wszelkich środków koniecznych dla wykonania tego zadania.

System przesyłania fal grawitacyjnych na statku składał się z anteny i urządzenia sterującego. Anteną był cały kadłub, którego nie można było zniszczyć, ale dla powstrzymania transmisji wystarczyło uszkodzić urządzenie sterujące. Zbudowanie nowego takiego urządzenia z materiałów dostępnych na *Grawitacji* i *Błękitnej Przestrzeni* byłoby niemożliwe.

Hunter wiedział, że niegdyś tacy ludzie jak on służyli na podwodnych okrętach atomowych wyposażonych w pociski balistyczne. W owych starożytnych czasach we flotach zarówno Związku Radzieckiego, jak i NATO marynarze i niscy rangą oficerowie piastowali podrzędne stanowiska, ale mieli takie samo zadanie. Gdyby ktokolwiek był bliski przejęcia kontroli nad okrętem i znajdującymi się na nim pociskami balistycznymi, taki człowiek nagle podjąłby radykalne działania, by do tego nie dopuścić.

– Musi pan zwracać uwagę na wszystko, co się dzieje na statku. Pana zadanie wymaga, by śledził pan sytuację podczas każdej wachty. Dlatego nie może się pan poddać hibernacji.

– Nie wiem, czy dożyję do setki.

– Wystarczy, by dożył pan do osiemdziesiątki. Wtedy zdegenerowana materia, z której zbudowana jest wibrująca struna, osiągnie połowiczny wiek rozpadu, system nadawania fal grawitacyjnych ulegnie zniszczeniu i pana misja się zakończy. Tak więc podczas podróży w kosmos musi pan

unikać hibernacji, ale w drodze powrotnej może pan spać. Jednak zadanie to w istocie wymaga, by poświęcił pan na jego wykonanie resztę życia. Ma pan prawo odmówić.

– Przyjmuję je.

Wtedy szef sztabu zadał pytanie, które nie przyszłoby do głowy żadnemu z dowódców w minionych erach:

– Dlaczego?

– Podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego byłem analitykiem PAW stacjonującym na Newtonie. Zanim kropla zniszczyła mój statek, uciekłem w kapsule ratunkowej. Chociaż była to najmniejsza z kapsuł, mogło się w niej zmieścić pięć osób. W moją stronę biegła grupa moich kolegów, a w kapsule byłem tylko ja. Ale nie poczekałem na nich…

– Wiem o tym. Wyrok sądu wojennego jest jednoznaczny. Nie zrobił pan nic złego. Dziesięć sekund po wystrzeleniu kapsuły statek eksplodował. Nie miał pan czasu czekać na nikogo.

– Tak. Ale… mimo to uważam, że lepiej byłoby zostać na Newtonie.

– Rozumiem, że ma pan poczucie winy, bo zawiódł pan kolegów i tylko pan ocalał. Ale tym razem ma pan szansę ocalić życie miliardów ludzi.

Obaj przez chwilę milczeli. Przez okno stacji kosmicznej patrzyła na nich niczym ogromne oko Wielka Czerwona Plama na Jowiszu.

– Zanim wyjaśnię panu szczegóły pańskiego zadania, chcę, żeby zrozumiał pan jedno: priorytetem jest zapobieżenie temu, by system dostał się w niepowołane ręce. Jeśli nie będzie pan mógł z całkowitą pewnością ocenić stopnia ryzyka, powinien pan zniszczyć nadajnik, nawet gdyby miało się później okazać, że się pan pomylił. Gdy zdecyduje się pan przystąpić do działania, niech się pan nie przejmuje stratami ubocznymi. Gdyby okazało się to konieczne, może pan zniszczyć cały statek.

Kiedy *Grawitacja* wylatywała z Ziemi, Hunter był na pierwszej zmianie. Przez tych pięć lat regularnie zażywał małe niebieskie tabletki. Pod koniec wachty, kiedy zgodnie z harmonogramem miał zostać poddany hibernacji, lekarz stwierdził u niego zaburzenia mózgowo-naczyniowe, określane również mianem „choroby antyhibernacyjnej”. Pacjenci z tymi rzadkimi zaburzeniami nie odczuwali w życiu codziennym żadnych dolegliwości, ale nie mogli się poddać hibernacji, ponieważ proces wybudzania mógłby spowodować rozległe uszkodzenie mózgu. Było to jedyne rozpoznane dotąd schorzenie, które nie pozwalało na hibernację. Po potwierdzeniu tej diagnozy wszyscy patrzyli na Huntera, jakby byli na jego pogrzebie.

Tak więc przez cały pościg za *Błękitną Przestrzenią* Hunter pozostawał w stanie czuwania. Za każdym razem kiedy ktoś budził się z hibernacji, widział, że Hunter bardziej się postarzał. Opowiadał wszystkim wybudzonym o tym, co interesującego wydarzyło się na statku podczas ich trwającego mniej więcej dziesięć lat snu. Niski rangą kucharz stał się najbardziej lubianą osobą na statku, zarówno wśród oficerów, jak i podoficerów, a stopniowo także symbolem długiej podróży *Grawitacji*. Nikt nie podejrzewał, że ten wyluzowany, jowialny mężczyzna ma taki sam stopień jak dowódca i jest poza nim jedynym człowiekiem, który ma upoważnienie do zniszczenia statku w przypadku kryzysu i wie, jak to zrobić.

Podczas pierwszych trzydziestu lat podróży Hunter miał kilka dziewczyn. W tej sprawie miał przewagę nad innymi, bo mógł się spotykać z kobietami na różnych zmianach. Jednak po kilkudziesięciu latach, kiedy z Huntera stał się Starym Hunterem, kobiety, wciąż młode, zaczęły go traktować tylko jako przyjaciela, który opowiada interesujące historie.

W czasie tego półwiecza jedyną kobietą, którą naprawdę pokochał, była Reiko Akihara. Ale przez większość tego czasu dzieliło ich ponad dziesięć

milionów jednostek astronomicznych, bo podporucznik Reiko Akihara służyła na *Błękitnej Przestrzeni*, gdzie była nawigatorem.

Pościg za *Błękitną Przestrzenią* był jedynym przedsięwzięciem, w którym Ziemia i Trisolaris miały naprawdę wspólny cel, ponieważ ten samotny statek w kosmosie był zagrożeniem dla obu światów. Podczas próby zwabienia na Ziemię dwóch statków, które wyszły cało z bitwy ciemności, *Błękitna Przestrzeń* poznała naturę Wszechświata, naturę ciemnego lasu. Gdyby któregoś dnia zyskała zdolność do wysłania wiadomości we Wszechświat, miałoby to niewyobrażalne skutki. A zatem Trisolaris w pełni współpracowała z Ziemią podczas tego polowania. Przed wejściem w martwy rejon przestrzeni kosmicznej sofony przekazywały *Grawitacji* w czasie rzeczywistym stały widok wnętrza ściganej jednostki.

W ciągu kilkudziesięciu lat służby na *Grawitacji* Hunter został awansowany z bosmana na starszego bosmana, a potem na oficera. Z podporucznika stał się porucznikiem, ale nawet wtedy nie miał oficjalnej zgody na oglądanie dostarczanych przez sofony obrazów z wnętrza *Błękitnej Przestrzeni*. Miał jednak kody do wszystkich systemów statku i często oglądał ten przekaz na żywo na ekranie wielkości dłoni w swojej kabinie.

Przekonał się, że społeczność *Błękitnej Przestrzeni* całkowicie się różniła od społeczności *Grawitacji*. Była militarystyczna, autorytarna i przestrzegała surowego kodeksu dyscyplinarnego. Każdy poświęcał swoją energię duchową kolektywowi. Po raz pierwszy ujrzał Reiko dwa lata po rozpoczęciu pościgu. Azjatycka piękność od razu podbiła jego serce. Mógł ją obserwować godzinami, a czasami nawet myślał, że prowadzi lepsze życie niż on. Niestety, rok później Reiko poddała się hibernacji i obudziła się na zmianę wachty dopiero trzydzieści lat później. Była wciąż młoda, natomiast Hunter był już bliski sześćdziesiątki.

W wigilię Bożego Narodzenia wrócił do kabiny po szalonej imprezie i włączył przekaz na żywo z *Błękitnej Przestrzeni*. Transmisja zaczęła się od wykresu skomplikowanej budowy statku. Wstukał położenie centrum nawigacji, obraz powiększył się i ukazał Reiko na posterunku. Patrzyła na dużą holograficzną mapę gwiezdną, na której jasnoczerwona linia przedstawiała kurs *Błękitnej Przestrzeni*. Biała linia za nią, prawie stykająca się z czerwoną, oznaczała kurs *Grawitacji*. Hunter zauważył, że nieco odbiega od rzeczywistego. W tej chwili statki wciąż znajdowały się o kilka tysięcy jednostek astronomicznych od siebie. Z tej odległości trudno było dokładnie śledzić lot tak małego obiektu jak statek kosmiczny. Biała linia prawdopodobnie odzwierciedlała ich przypuszczenia, chociaż musiał przyznać, że dystans między statkami został oszacowany prawidłowo.

Hunter powiększył obraz. Nagle Reiko odwróciła się do niego i z uśmiechem, na którego widok poczuł skurcz w sercu, powiedziała: „Wesołych Świąt!”. Wiedział, że nie mówi do niego, lecz do całej załogi ścigającego ich statku. Chociaż nie widziała prześladowców, zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana przez sofony. Tak czy owak była to jedna z najszczęśliwszych chwil w życiu Huntera.

Błękitna Przestrzeń miała liczną załogę, więc wachta Reiko nie trwała długo. Rok później znowu poddała się hibernacji. Hunter nie mógł się doczekać dnia, w którym stanie z nią twarzą w twarz, gdy *Grawitacja* w końcu zrówna się z *Błękitną Przestrzenią*. Niestety, będzie miał wtedy prawie osiemdziesiąt lat. Miał nadzieję, że będzie jej mógł powiedzieć, iż ją kocha, a potem patrzeć, jak odprowadzają ją na proces.

Przez pół wieku Hunter wiernie wykonywał swoje zadanie. Czujnie wypatrywał, czy na statku nie dochodzi do jakiejś niezwykłej sytuacji, i przygotowywał w myślach plany działania na wypadek różnych kryzysów. Ale to zadanie nie było dla niego zbytnim ciężarem. Wiedział, że

Grawitacja ma też drugą, całkowicie pewną formę zabezpieczenia. Podobnie jak wielu członków załogi, często przyglądał się kroplom lecącym w pewnej odległości od iluminatorów. Jednak dla niego miały one inne znaczenie. Wiedział, że gdyby na *Grawitacji* zdarzyło się coś niezwykłego, zwłaszcza gdyby pojawiły się jakiekolwiek oznaki buntu albo nielegalnych prób przejęcia kontroli nad nadajnikiem fal grawitacyjnych, krople zniszczyłyby statek. Mogły się poruszać o wiele szybciej niż on – mogły przyspieszyć i z odległości kilku tysięcy metrów dopaść go w ciągu zaledwie pięciu sekund.

Misja Huntera dobiegała końca. Wibrująca struna ze zdegenerowanej materii, znajdująca się w sercu anteny fal grawitacyjnych, mająca mniej niż dziesięć nanometrów średnicy, ale biegnąca przez całą długość mierzącego tysiąc pięćset metrów kadłuba statku, osiągnęła już niemal czas połowicznego rozpadu. Za dwa miesiące jej gęstość spadnie poniżej minimalnego progu transmisji fal grawitacyjnych i system zupełnie przestanie działać. Ze stacji nadawczej, która stanowiła zagrożenie dla dwóch światów, *Grawitacja* stanie się zwykłym statkiem gwiezdnym i Hunter zakończy pracę. Wtedy ujawni prawdziwą tożsamość. Był ciekaw, czy spotka się z podziwem, czy z potępieniem załogi. W każdym razie przestanie brać te niebieskie tabletki i jego zaburzenia mózgowo-naczyniowe znikną. Podda się hibernacji i obudzi się na Ziemi, gdzie spędzi resztę życia w nowej epoce. Ale zapadnie w ten sen dopiero po zobaczeniu Reiko, co powinno nastąpić już wkrótce.

Jednak sofony oślepły. Hunter wyobrażał sobie setki możliwych kryzysów, ale ten był jednym z najgorszych. Strata sofonów oznaczała, że krople i Trisolaris nie miały już pojęcia o tym, co się dzieje na *Grawitacji*. Gdyby zdarzyło się coś niespodziewanego, krople nie zdążyłyby w porę zareagować. W rezultacie sytuacja stała się jeszcze groźniejsza i Hunter

czuł, że obowiązek spoczywający na jego barkach zwiększył się dziesięciokrotnie, jakby dopiero teraz rozpoczynał zadanie.

Zwracał teraz jeszcze większą uwagę na bieg wydarzeń na statku. Całą załogę *Grawitacji* obudzono z hibernacji, co utrudniało jej śledzenie. Na szczęście był jedynym członkiem, którego wszyscy znali, był powszechnie lubiany i z wieloma osobami był na przyjacielskiej stopie. Poza tym jego swobodne zachowanie i podrzędna pozycja oznaczały, że w rozmowach z nim nikt nie miał się na baczności. Zwłaszcza podoficerowie i młodsi oficerowie opowiadali mu o rzeczach, o których nie mieliby śmiałości porozmawiać ze starszymi oficerami czy z pracownikami korpusu psychologicznego. Pozwalało mu to w pełni orientować się w sytuacji.

Po oślepnięciu sofonów na statku zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W znajdującą się pośrodku statku strefę ekologiczną uderzył mikrometeoroid, co najmniej jedna osoba widziała otwory powstające nagle w grodziach, czemu towarzyszyło znikanie pewnych przedmiotów, które później pojawiały się ponownie bez żadnych uszkodzeń…

Ze wszystkich tych osobliwości największe wrażenie na Hunterze zrobiło to, co przydarzyło się komandorowi porucznikowi Devonowi, dowódcy żandarmerii. Devon był jednym ze starszych oficerów na statku. Normalnie Hunter nie utrzymywał z nim zbyt bliskich kontaktów, ale gdy zobaczył, jak wychodzi on od psychiatry, którego większość ludzi na statku unikała, w jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Przy butelce starej whiskey udało mu się w końcu namówić Devona, by opowiedział mu o swej dziwnej przygodzie.

Oczywiście najbardziej racjonalnym wyjaśnieniem wszystkich tych zajść, oprócz uderzenia mikrometeoroidu, było to, że załoga ma halucynacje. Strata sofonów mogła w jakiś nieznany sposób wywołać swoiste masowe zaburzenia psychiczne – przynajmniej tak tłumaczyli to

doktor West i korpus psychologiczny. Obowiązek spoczywający na Hunterze nie pozwalał mu przyjąć tego wyjaśnienia łatwo, ale niesamowitych opowieści załogi nie można było uznać za nic innego niż zbiorowe halucynacje albo zaburzenia psychiczne. Mimo to zadaniem Huntera było reagować na to, co, choć wydawało się niemożliwe, w jakiś sposób stało się możliwe.

Chociaż antena była ogromna, urządzenie sterujące nadajnikiem fal grawitacyjnych zajmowało mało miejsca. Umieszczone w niewielkiej sferycznej kabinie na rufie, było całkowicie niezależne od innych urządzeń i nie miało połączeń z innymi częściami statku. Kabina była jak wzmocniona szafa pancerna. Nikt na pokładzie nie miał kodów wejścia, nawet dowódca. Transmisję na falach grawitacyjnych mógł rozpocząć tylko Dzierżyciel Miecza. W takim wypadku przesłano by z Ziemi na *Grawitację* wiązkę neutrin, która włączyłaby nadajnik.

Gdyby jednak *Grawitację* uprowadzono, zabezpieczenia te nie wytrzymałyby długo.

Hunter miał specjalny guzik. Jego naciśnięcie spowodowałoby wybuch znajdującej się w sferycznej kabinie bomby termicznej, która zniszczyłaby całe wyposażenie. Jego zadanie było bardzo proste: bez względu na to, jakiego rodzaju powstałby kryzys, miał wcisnąć ten guzik i zniszczyć urządzenie sterujące, gdyby w jego ocenie zagrożenie przekroczyło pewien próg. W jakimś sensie był on więc „Antydzierżycielem Miecza”.

Hunter nie do końca wierzył w skuteczność specjalnego przycisku w swoim zegarku i bomby termicznej w kabinie nadajnika, której nigdy nie widział. Byłoby idealnie, gdyby mógł dzień i noc stać na straży przed tą kabiną, ale oczywiście wzbudziłoby to podejrzenia, a ukryta tożsamość była jego największym atutem. Mimo to chciał być jak najbliżej kabiny, starał się więc regularnie odwiedzać obserwatorium astronomiczne, które również

znajdowało się na rufie. Ponieważ cała załoga została wybudzona z hibernacji, przy wykonywaniu obowiązków kontrolera kulinarnego miał do dyspozycji pomocników, a dzięki temu dużo czasu dla siebie. Poza tym doktor Guan Yifan jako jedyny cywilny naukowiec na statku nie podlegał dyscyplinie wojskowej, więc nikt nie uważał, że jest coś dziwnego w tym, iż Hunter często chodzi do Guana i pije z nim mocne trunki, do których miał dostęp dzięki stanowisku. Doktor Guan w podzięce za alkohol robił Hunterowi wykłady o „zespole trzech i trzystu tysięcy". Wkrótce Hunter zaczął spędzać w obserwatorium większość czasu, oddzielony od urządzenia sterującego nadajnikiem fal grawitacyjnych tylko krótkim, około dwudziestometrowym korytarzem.

Hunter był kolejny raz w drodze do obserwatorium, gdy minęli go Guan Yifan i doktor West, którzy zmierzali na dziób. Wobec tego postanowił zerknąć na kabinę urządzenia sterującego nadajnikiem. Kiedy dzieliło go od niej niespełna dziesięć metrów, zaczęły wyć syreny ostrzegające o ataku kropli. Z powodu jego niskiej rangi okno informacyjne, które się przed nim pojawiło, pokazywało niewiele szczegółów, ale wiedział, że w tej chwili krople znajdują się dalej od statku niż wtedy, gdy leciały z nim w jednym szyku. Miał od dziesięciu do dwudziestu sekund, zanim uderzą w statek.

W tych ostatnich chwilach Stary Hunter czuł tylko ulgę i radość. Bez względu na to, co miało się stać później, spełni swoje zadanie. Oczekiwał nie rychłej śmierci, lecz zwycięstwa.

Dlatego pół minuty później, gdy syreny umilkły, był jedyną osobą na statku, której to nie ucieszyło. Sytuacja była bardzo niepewna, a nadajnik fal grawitacyjnych nienaruszony. Hunter bez wahania nacisnął guzik w zegarku.

Nic się nie stało. Chociaż kabina nadajnika była hermetycznie zamknięta, powinien poczuć spowodowany wybuchem wstrząs. Na wyświetlaczu jego

zegarka pojawił się komunikat:

Awaria: moduł samozniszczenia został rozbrojony.

Nawet go to nie zaskoczyło. Intuicyjnie przewidział, że dojdzie do najgorszego. Jeszcze kilka sekund, a byłby spokojny, ale nie dane mu było zaznać spokoju.

Obie krople przeszły obok celu. Obie o włos, zaledwie o kilkadziesiąt metrów, minęły *Grawitację* i *Błękitną Przestrzeń*.

Trzy minuty po odwołaniu alarmu komandorowi Josephowi Morovichowi, dowódcy *Grawitacji*, udało się w końcu zebrać wyższą kadrę w centrum dowodzenia bojowego, pośrodku którego znajdowała się ogromna mapa pokazująca obecną sytuację. Na tle bezkresu kosmosu nie było żadnej gwiazdy, tylko pozycje dwóch statków i trajektorie lotu kropli. Dwie długie białe smugi wydawały się liniami prostymi, ale dane pokazywały, że były to parabole o bardzo małej krzywiźnie. Na symulacji widać było, że gdy krople zbliżyły się do statków, zaczęły zbaczać z celu. Były to niewielkie zmiany, ale w sumie doprowadziły do tego, że obie chybiły. Wielu ze starszych oficerów brało udział w bitwie w dniu Sądu Ostatecznego i samo wspomnienie tego, jak ostre zakręty mogły wykonywać krople przy ogromnej prędkości, przyprawiało ich o drżenie serca. Jednak trajektorie na ekranie były zupełnie inne, jakby krople spychała z kursu jakaś siła prostopadła do kierunku ich ataku.

– Odtworzyć ponownie nagranie – rozkazał komandor. – W zakresie światła widzialnego.

Gwiazdy i Galaktyka zniknęły. To nie była już komputerowa symulacja. Migające w rogu cyfry pokazywały upływ czasu. Wszyscy ponownie przeżywali przerażenie, które ogarnęło ich przed kilkoma minutami, kiedy nie mogli nic zrobić, tylko czekać na śmierć, ponieważ uniki i ostrzał napastników nie miały sensu. Wkrótce cyfry przestały się zmieniać. Krople przeleciały już obok statków, ale ponieważ poruszały się bardzo szybko, nikt ich nie widział.

Ekran przeszedł na zwolnione odtwarzanie nagrania zrobionego z dużą prędkością. Ponieważ obejrzenie całego ponaddziesięciosekundowego nagrania trwałoby za długo, pokazano tylko kilka ostatnich sekund. Zebrani w centrum oficerowie zobaczyli kroplę przelatującą przed kamerą jak słabo świecący meteor na tle morza gwiazd. Odtworzono nagranie jeszcze raz i zatrzymano w chwili, gdy kropla znalazła się pośrodku ekranu. Obraz powiększono tak, że zajęła jego większą część.

Przez pół wieku lotu w jednej formacji z kroplami wszyscy przywykli do ich wyglądu, więc to, co zobaczyli teraz, zaszokowało ich. Kropla nadal miała kształt łzy, ale jej powierzchnia nie była już idealnie gładkim lustrem. Była matowożółta, jakby pokryta rdzą. Wydawało się, że przestał na nią działać magiczny czar wiecznej młodości i pojawiły się wszystkie naraz ślady trwającej trzysta lat podróży kosmicznej. Ze lśniącego ducha kropla przemieniła się w dryfujący w kosmosie stary pocisk artyleryjski. Na podstawie informacji uzyskanych w ostatnich latach dzięki połączeniom z Ziemią oficerowie wyrobili sobie pewne wyobrażenie na temat materiałów z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym. Wiedzieli, że powierzchnię kropli utrzymuje pole siłowe wytwarzane przez znajdujące się w niej mechanizmy. To pole przeciwdziałało oddziaływaniom elektromagnetycznym między cząstkami i nie pozwalało na rozpad jąder

tych cząstek. Bez niego materiał z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym powróciłby do postaci zwykłego metalu.

Krople umarły.

Następnie przejrzeli dane obrazujące sytuację po ataku. Symulacja pokazała, że gdy kropla minęła *Grawitację*, niemal ocierając się o nią, owa tajemnicza siła prostopadła, która wprowadzała małe zmiany do kierunku jej lotu, zniknęła i kropla leciała dalej swym ostatecznym wektorem. Ale trwało to tylko kilka sekund, potem kropla zaczęła hamować. Komputer analizy bojowej obliczył, że siła spowalniająca lot kropli była równa sile, która zmieniła jej kierunek. Wynikał z tego oczywisty wniosek, że źródło tej siły przeszło od spychania kropli w bok do powstrzymywania jej z przodu.

Nagranie zostało zrobione przez teleskop o dużej mocy powiększenia, widać więc było tył kropli. Obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, tak że była teraz ustawiona prostopadle do kierunku lotu. Potem zaczęła hamować. Następna scena wydawała się wzięta z baśni – dobrze, że wśród zebranych był doktor West, bo inaczej znowu by oświadczył, że reszta uległa halucynacjom. Przed kroplą pojawił się trójkątny, dwukrotnie od niej dłuższy obiekt. Kadra natychmiast rozpoznała w nim prom z *Błękitnej Przestrzeni*! W celu zwiększenia siły napędu do jego kadłuba przymocowano małe silniki jądrowe. Chociaż ich dysze skierowane były w stronę przeciwną niż kamera, widać było buchający z nich żar, gdy pracowały pełną mocą. Prom napierał na kroplę, by spowolnić jej ruch. Łatwo było wydedukować, że to on był źródłem siły, która sprawiła, że krople zboczyły z kierunku ataku.

Po drugiej stronie kropli, która znajdowała się najbliżej kamery, pojawiły się dwie ludzkie postaci w skafandrach kosmicznych. Jedna z nich trzymała w rękach jakiś instrument i wydawała się badać kroplę. W przeszłości

krople były w oczach ludzi niemal boskimi istotami, które nie należały do tego świata i do których nie można się było zbliżyć. Jedyni ludzie, którzy ich kiedykolwiek dotknęli, zostali zmienieni w parę podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego. Ale teraz kropla straciła całą tajemniczość. Bez lustrzanej powłoki wyglądała na zwykły pojazd kosmiczny, do tego zepsuty, starszy i mniej zaawansowany technologicznie niż prom i astronauci, którzy nim przybyli, jak jakiś antyk czy śmieć, który chcieli usunąć. Parę sekund później prom i astronauci zniknęli, a martwa kropla ponownie pozostała sama w kosmosie. Nadal jednak zwalniała, co znaczyło, że prom wciąż ją pcha, tyle że teraz był niewidoczny.

– Wiedzą, jak unieruchomić kroplę! – krzyknął ktoś.

Komandor Morovich myślał tylko o jednym. Podobnie jak Hunter przed kilkoma minutami, nacisnął guzik w zegarku. W czerwonym oknie informacyjnym, które pojawiło się w pomieszczeniu, ukazał się komunikat:

Awaria: moduł samozniszczenia został rozbrojony.

Komandor wybiegł z centrum dowodzenia bojowego i skierował się w stronę rufy. Za nim podążyli pozostali oficerowie.

Pierwszą osobą z załogi *Grawitacji*, która dotarła do kabiny urządzenia sterującego nadajnikiem fal grawitacyjnych, był Stary Hunter. Chociaż nie miał upoważnienia do wejścia do kabiny, chciał przeciąć połączenie urządzenia sterującego z anteną. Dopóki nie wymyśliłby, jak zniszczyć samo urządzenie, wyłączyłoby to je przynajmniej tymczasowo.

Ale ktoś już tam był i badał kabinę.

Hunter wyjął pistolet i wycelował w intruza. Miał on mundur oficera *Grawitacji*, a nie – wbrew temu, czego spodziewał się Hunter – floty z czasów bitwy w dniu Sądu Ostatecznego.

– Teraz wiem, że Devon miał rację.

Porucznik Park Ui-gun, dowódca piechoty morskiej z *Błękitnej Przestrzeni*, odwrócił się. Wyglądał, jakby miał nie więcej niż trzydzieści lat, ale po jego twarzy widać było, że miał za sobą przeżycia, jakich nikt na *Grawitacji* nie mógłby sobie wyobrazić. Był nieco zaskoczony. Może nie spodziewał się tam nikogo tak szybko, a może nie spodziewał się ujrzeć Huntera. Mimo to zachował spokój.

– Proszę pozwolić mi wyjaśnić… – powiedział z na pół podniesionymi rękami.

Starego Huntera nie interesowały wyjaśnienia. Nie chciał wiedzieć, jak ten mężczyzna dostał się na *Grawitację*, a nawet czy jest on człowiekiem z krwi i kości czy duchem. Bez względu na fakty sytuacja była zbyt groźna. Hunter chciał tylko zniszczyć urządzenie sterujące nadajnikiem fal grawitacyjnych. Był to jedyny cel w jego życiu, a ten człowiek z *Błękitnej Przestrzeni* stał mu na drodze. Nacisnął spust.

Kula uderzyła Parka w pierś, a jej siła odrzuciła go na drzwi kabiny. Pistolet Huntera załadowany był nabojami ze specjalnymi pociskami do użycia wewnątrz statku. Nie uszkodziłyby grodzi ani żadnego sprzętu, ale były tak samo śmiercionośne jak promień lasera. Z rany wypłynęło trochę krwi, ale Parkowi udało się zachować w nieważkości wyprostowaną pozycję i sięgnąć pod zakrwawiony mundur po własną broń. Hunter strzelił ponownie i w piersi Parka pojawiła się nowa rana. Wypłynęło z niej więcej krwi, która unosiła się w pozbawionym siły ciążenia powietrzu. W końcu Hunter wycelował w głowę Parka, ale nie zdołał oddać trzeciego strzału.

A oto scena, jaką zobaczyli komandor Morovich i pozostali oficerowie, kiedy tam przybyli: pistolet Huntera odlatywał od niego, ciało starego kucharza było sztywne, oczy wywrócone białkami do góry, kończyny drgały. Z jego ust tryskała fontanna krwi i krzepła, tworząc kule różnej wielkości, które otaczały go jak obłoki. Pośrodku tego zbioru krwawych, przezroczystych kul unosił się ciemnoczerwony obiekt wielkości pięści, za którym ciągnęły się niczym ogony dwie rurki. Obiekt ten rytmicznie pulsował, a z każdym jego uderzeniem z cylindrycznych ogonów wydobywała się krew. Poruszał się siłą odrzutu jak pływająca w powietrzu szkarłatna meduza.

Było to serce Huntera.

Parę chwil wcześniej, podczas walki, Hunter walnął prawą ręką w pierś, a potem w geście rozpaczy rozdarł ubranie, obnażając tors, więc teraz wszyscy widzieli, że na jego skórze nie ma nawet draśnięcia.

– Można go uratować, jeśli natychmiast zaniesiemy go do sali operacyjnej – powiedział z pewnym trudem porucznik Park. Miał ochrypły głos, a z dwóch ran w jego piersi wciąż ciekła krew. – Dobrze, że lekarze nie muszą otwierać jego klatki piersiowej, by umieścić w niej z powrotem serce… Nie ruszać się! Mogą wyrwać wam serca lub mózgi równie łatwo, jak zerwać jabłko z drzewa. Przechwyciliśmy *Grawitację*.

Z innego korytarza wbiegli w pełni uzbrojeni żołnierze piechoty morskiej. Większość z nich miała ciemnoniebieskie lekkie skafandry kosmiczne z czasów przed bitwą w dniu Sądu Ostatecznego. Najwyraźniej przybyli z *Błękitnej Przestrzeni*. Wszyscy byli wyposażeni w laserowe karabiny szturmowe.

Komandor Morovich kiwnął głową do podległych mu oficerów. Odrzucili broń bez słowa. *Błękitna Przestrzeń* miała dziesięciokrotnie

liczniejszą załogę i tylko jej oddział piechoty morskiej składał się z ponad stu ludzi. Mogli łatwo opanować *Grawitację*.

Teraz już nic nie było niewiarygodne. *Błękitna Przestrzeń* zmieniła się w posiadający nadprzyrodzoną moc statek wojenny. Załoga *Grawitacji* znowu przeżyła taki sam szok jak podczas bitwy w dniu Sądu Ostatecznego.

Pośrodku wielkiej sferycznej sali na *Błękitnej Przestrzeni* unosiło się w powietrzu ponad tysiąc czterysta osób. Większość z nich, ponad tysiąc dwieście, stanowiła jej załoga. Przed sześćdziesięcioma laty oficerowie i żołnierze z tego statku zebrali się tutaj, by przekazać dowództwo nad nim Zhang Beihaiowi. Większość z nich nadal tutaj służyła. Ponieważ podczas normalnego lotu musiało być na wachcie tylko kilka osób, a reszta mogła znajdować się w stanie hibernacji, wszyscy postarzeli się średnio tylko o trzy do pięciu lat. Palące płomienie ciemnych bitw i zimne pogrzeby w kosmosie pozostawały żywe w ich pamięci. Pozostałych sto kilkadziesiąt osób należało do załogi *Grawitacji*. Dwie załogi, noszące inne mundury i spoglądające na siebie podejrzliwie, utworzyły dwie oddalone od siebie grupy.

Pomiędzy nimi unosiła się wymieszana grupa starszych oficerów z obu jednostek. Największą uwagę przyciągał kapitan *Błękitnej Przestrzeni*, Chu Yan. Miał czterdzieści trzy lata, choć wyglądał młodziej, i był wzorem oficera. Dystyngowany i opanowany w mowie i zachowaniu, okazywał nawet odrobinę nieśmiałości, ale na Ziemi był już postacią legendarną. Podczas bitwy ciemności był jedynym, który wydał rozkaz zamienienia wnętrza statku w próżnię, dzięki czemu załoga *Błękitnej Przestrzeni* uniknęła śmierci wskutek wybuchu infradźwiękowej bomby wodorowej.

Jeszcze teraz opinia publiczna na Ziemi była podzielona w sprawie tego, czy działania *Błękitnej Przestrzeni* podczas tej bitwy powinno się uznać za samoobronę czy za morderstwo. To on również po stworzeniu strategii odstraszania groźbą powiadomienia ciemnego lasu przeciwstawił się zdaniu większości załogi i opóźniał powrót jednostki na Ziemię, co dało jej dość czasu na ucieczkę po otrzymaniu ostrzeżenia z *Epoki Brązu*. Na temat Chu Yana krążyło wiele plotek. Mówiono na przykład, że gdy *Dobór Naturalny* zdecydował się zbiec z pola walki, był on jedynym kapitanem, który rozkazał ruszyć za nim w pościg. Niektórzy twierdzili, że miał inny zamiar – chciał uprowadzić *Błękitną Przestrzeń* i uciec razem z *Doborem Naturalnym*. Oczywiście były to tylko pogłoski.

– Są tutaj prawie wszyscy z naszych dwóch statków – powiedział Chu Yan. – Chociaż wiele nas dzieli, wolimy myśleć, że należymy do tego samego świata, który tworzą *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja*. Zanim razem zaplanujemy naszą przyszłość, musimy się zająć pewną pilną sprawą.

W powietrzu pojawiło się duże okno holograficzne, które pokazywało jakiś rejon kosmosu, gdzie gwiazdy były rzadkie. W środku tego rejonu unosiła się lekka biała mgiełka, w której rysowało się kilkaset prostych równoległych linii przypominających włosy szczotki. Zostały one wyraźnie wzmocnione, wskutek czego wyróżniały się z otoczenia. W minionych dwustu latach „włosy” te stały się dobrze znane na Ziemi, a niektóre firmy umieszczały je nawet w swoich znakach.

– Te ślady zaobserwowano przed ośmioma dniami w obłoku pyłu międzygwiezdnego koło Trisolaris. Proszę uważnie przyjrzeć się temu nagraniu.

Wszyscy wpatrywali się w obraz, a ślady zdawały się rosnąć.

– Ile razy zwiększyliście szybkość odtwarzania? – zapytał oficer z *Grawitacji*.

– W ogóle jej nie zwiększyliśmy.

W tłumie powstało poruszenie jak w lesie, nad który nagle nadciągnęła burza.

– Te statki poruszają się mniej więcej z prędkością światła – powiedział komandor Morovich. Jego głos był bardzo spokojny. W ciągu ostatnich dwóch dni widział zbyt wiele niewiarygodnych rzeczy.

– Zgadza się. Druga flota trisolariańska kieruje się ku Ziemi z prędkością światła i powinna tam przybyć za cztery lata. – Chu Yan popatrzył na załogę *Grawitacji* troskliwym wzrokiem, jakby było mu przykro, że przekazał jej tę smutną wiadomość. – Po waszym odlocie Ziemia pogrążyła się w marzeniach o powszechnym pokoju i pomyślności i źle oceniła sytuację. Trisolaris czekała cierpliwie i w końcu skorzystała z szansy.

– Skąd mamy wiedzieć, że zapis jest autentyczny? – krzyknął ktoś z *Grawitacji*.

– Mogę o tym zaświadczyć! – powiedział Guan Yifan. Był jedyną osobą w małej grupce unoszącej się przed załogami, która nie nosiła wojskowego munduru. – Moje obserwatorium też odkryło te ślady, ale ponieważ koncentrowałem się na obserwowaniu zjawisk kosmologicznych w dużej skali, nie poświęciłem im wiele uwagi. Potem jednak przejrzałem zapisane dane. Linie łączące Układ Słoneczny, układ trisolariański i nasz statek tworzą trójkąt nierównoboczny. Najdłuższy jest bok między Układem Słonecznym i układem trisolariańskim. Najkrótszy między Układem Słonecznym i nami. Linia ciągnąca się od układu trisolariańskiego do nas to średnia obu tych boków. Innymi słowy, znajdujemy się bliżej układu trisolariańskiego niż Układ Słoneczny. Za mniej więcej czterdzieści dni Ziemia też odkryje ślady, które widzimy.

Głos zabrał ponownie Chu Yan:

– Sądzimy, że na Ziemi już się coś dzieje. A konkretnie zaczęło się dziać pięć godzin temu, kiedy krople zaatakowały nasze statki. Z informacji dostarczonych przez *Grawitację* wynika, że był to wcześniej ustalony czas przekazania przez Dzierżyciela Miecza tej funkcji jego następcy. Właśnie to stało się dla Trisolarian okazją, na którą czekali pół wieku. Najwyraźniej krople dostały rozkaz ruszenia do ataku, zanim weszły w martwą strefę. Było to od dawna zaplanowane, skoordynowane działanie. Muszę stwierdzić, że pokój wymuszony przez odstraszanie został zerwany. Są tylko dwie możliwe konsekwencje: albo włączono transmisję fal grawitacyjnych skierowaną do Wszechświata, albo nie.

Chu Yan puknął w powietrze i wywołał na holograficznym wyświetlaczu zdjęcie Cheng Xin. Fotografię przedstawiającą nową Dzierżycielkę Miecza właśnie otrzymano z *Grawitacji*. Cheng Xin stała przed budynkiem sekretariatu ONZ z dzieckiem w ramionach. Obraz powiększono tak, że był wielkości zdjęcia włosów „szczotki”. Trudno byłoby sobie wyobrazić większy kontrast. Podstawowymi kolorami przestrzeni kosmicznej były czerń i srebro – głębia kosmosu i zimne światło gwiazd. Natomiast Cheng Xin wyglądała jak jakaś Madonna ze Wschodu. Ją oraz dziecko otaczał blask, który sprawiał, że wszyscy obecni w sali odnieśli wrażenie, jakby znaleźli się blisko słońca. Było to uczucie, za którym tęsknili od pół wieku.

– Jesteśmy przekonani, że prawdziwy jest ten drugi scenariusz – powiedział Chu Yan.

– Jak mogli wybrać na Dzierżyciela Miecza taką osobę? – zapytał ktoś z załogi *Błękitnej Przestrzeni*.

– Minęło sześćdziesiąt lat, odkąd wylecieliście z Ziemi, a pięćdziesiąt od naszego odlotu – odparł komandor Morovich. – Wszystko się tam zmieniło.

Odstraszanie stało się wygodną kołyską, a ludzkość, drzemiąc w niej, cofnęła się w rozwoju od osoby dorosłej do dziecka.

– Nie wiecie, że na Ziemi nie ma już prawdziwych mężczyzn? – krzyknął ktoś z załogi *Grawitacji*.

– Ludzie na Ziemi utracili zdolność odstraszania groźbą powiadomienia ciemnego lasu – rzekł Chu Yan. – Planowaliśmy przejąć *Grawitację* i odtworzyć tę metodę odstraszania, ale właśnie odkryliśmy, że wskutek rozkładu anteny zdolność do nadawania na falach grawitacyjnych za dwa miesiące zaniknie. Wierzcie mi, był to dla nas niewiarygodny cios. Nie mamy wyboru – musimy natychmiast uruchomić nadajnik.

Tłum zafalował. Ze zdjęcia obok widoku zimnej przestrzeni kosmicznej pokazującego ślady lecącej z szybkością światła floty trisolariańskiej patrzyła na nich z miłością Cheng Xin. Te dwa obrazy przedstawiały alternatywę, przed którą stanęli.

– Naprawdę chcecie popełnić światobójstwo? – zapytał komandor Morovich.

W tym chaosie Chu Yan zachował spokój. Ignorując komandora Morovicha, przemówił do zebranych:

– Rozpoczęcie transmisji nie ma dla nas znaczenia. Nie może nas teraz złapać ani Ziemia, ani Trisolaris.

Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Sofony zostały na zawsze odcięte od domu, a krople zniszczone. Ziemia i Trisolaris nie mogły ich w żaden sposób wyśledzić. Nawet lecące z prędkością światła statki trisolariańskie nigdy nie byłyby w stanie odnaleźć dwóch drobin kurzu w bezmiarze przestrzeni kosmicznej za Obłokiem Oorta.

– Oni chcą się po prostu zemścić! – krzyknął oficer z *Grawitacji*.

– Mamy prawo do zemsty. Trisolarianie muszą zapłacić za popełnione zbrodnie. W tej wojnie zniszczenie wroga jest słuszne i sprawiedliwe. Jeśli

mój wniosek jest prawidłowy, wszystkie nadajniki fal grawitacyjnych, którymi dysponowała ludzkość, zostały zniszczone, a Ziemia jest teraz pod okupacją. Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie trwa ludobójstwo. Uruchomienie nadajnika fal grawitacyjnych da Ziemi jeszcze jedną, ostatnią szansę. Jeśli ujawnimy położenie Układu Słonecznego, przestanie on mieć dla Trisolaris jakąkolwiek wartość, bo w każdej chwili może zostać zniszczony. Zmusi to Trisolarian do opuszczenia go, a ich lecąca z prędkością światła flota będzie musiała zawrócić. Może uda się nam uchronić rodzaj ludzki przed zagładą. By dać mu więcej czasu, nasz przekaz będzie zawierał tylko dane o położeniu Trisolaris.

– To to samo, co ujawnienie położenia Układu Słonecznego! Trisolaris jest zbyt blisko.

– Wszyscy o tym wiemy, ale miejmy nadzieję, że da to Ziemi trochę więcej czasu i pozwoli uciec większej liczbie ludzi. Od nich zależy, czy się na to zdecydują.

– Mówi pan o zniszczeniu dwóch światów! – rzekł komandor Morovich. – A jeden z nich jest naszą ojczyzną. Ta decyzja to wyrok śmierci. Nie można jej podjąć tak łatwo.

– Zgadzam się z panem.

Pomiędzy dwoma oknami informacyjnymi pojawił się czerwony przycisk o długości około metra. Pod nim widniała cyfra 0.

– Jak powiedziałem wcześniej – ciągnął Chu Yan – jesteśmy teraz jednym światem. Każdy na tym świecie jest zwykłą osobą, ale los postawił nas w takiej sytuacji, że musimy wydać ostateczny wyrok w sprawie dwóch światów. Trzeba podjąć tę decyzję, ale nie może tego zrobić jedna ani nawet kilka osób. Będzie to decyzja, którą wszyscy podejmiemy w referendum. Tych, którzy są za ujawnieniem Wszechświatu położenia Trisolaris, proszę o naciśnięcie tego guzika. Tych, którzy są przeciwko albo wstrzymują się

od głosu, proszę, by nic nie robili. W tej chwili ogólna liczba ludzi na *Błękitnej Przestrzeni* i *Grawitacji*, włącznie z tymi, którzy są na wachcie, wynosi tysiąc czterysta piętnaście osób. Jeśli liczba głosujących za wnioskiem będzie równa albo przekroczy dwie trzecie ogółu, czyli dziewięćset czterdzieści cztery, natychmiast rozpoczniemy transmisję. W przeciwnym razie antena się rozpadnie i nigdy tego nie zrobimy. Zaczynamy.

Chu Yan odwrócił się i nacisnął unoszący się w powietrzu czerwony guzik. Guzik się zaświecił, a cyfra pod nim zmieniła się z 0 na 1. Po nim nacisnęli guzik po kolei dwaj zastępcy kapitana *Błękitnej Przestrzeni*. Liczba wzrosła do 3. Następnie przystąpili do głosowania pozostali starsi, a po nich ustawili się w długiej kolejce młodsi oficerowie jednostki. Każdy z nich wcisnął guzik.

Guzik co chwila się rozświetlał, a liczba głosów na ekranie rosła. Były to ostatnie uderzenia serca historii, ostatnie kroki ku punktowi końcowemu.

Gdy wyświetlacz pokazał 795, guzik nacisnął Guan Yifan. Był pierwszą osobą z *Grawitacji*, która poparła propozycję uruchomienia nadajnika. Kilku starszych oficerów i podoficerów z *Grawitacji* też nacisnęło guzik.

W końcu liczba głosów poparcia doszła do 943 i nad guzikiem pojawił się komunikat:

Jeszcze jeden głos poparcia i nadajnik zostanie włączony.

Następny miał głosować podoficer. Za nim ustawiło się wielu innych. Położył dłoń na guziku, ale go nie wcisnął. Poczekał, aż na jego dłoni położy swoją stojący za nim chorąży. Potem dołączyli do niego inni i utworzyli grubą warstwę dłoni.

– Poczekajcie, proszę – powiedział komandor Morovich.

Podpłynął do nich i na oczach wszystkich położył dłoń na wierzchu tej warstwy.

Potem guzik raz jeszcze rozbłysnął.

Od tego ranka w dwudziestym wieku, kiedy Ye Wenjie wcisnęła inny czerwony guzik, minęło trzysta piętnaście lat.

Zaczęła się transmisja na falach grawitacyjnych. Wszyscy poczuli silne drgania. To doznanie zdawało się pochodzić nie z zewnątrz, lecz z wnętrza każdego ciała, jakby każdy z obecnych sam był wibrującą struną. Ten instrument śmierci grał zaledwie dwanaście sekund, a potem wszystko spowiła cisza.

Cienka membrana czasoprzestrzeni zafalowała pod wpływem fal grawitacyjnych jak spokojna tafla jeziora poruszona nocną bryzą. Wyrok śmierci na dwa światy rozchodził się w przestrzeni kosmicznej z prędkością światła.

2 rok ery postodstraszania

Ranek po zakończeniu Wielkiego Przesiedlenia

Australia

Otaczający ją zewsząd rwetes ucichł i Cheng Xin usłyszała głosy dobiegające z okna informacyjnego nad namiotem urzędu miejskiego. Rozpoznała głos Sofony, któremu towarzyszyły dwa inne, ale była za daleko, żeby zrozumieć, o czym mówią. Była gotowa pomyśleć, że rzucają urok, bo zgiełk opadł, a potem zupełnie ustał. Wydawało się, że świat zamarł.

W końcu wokół niej rozpętało się tsunami i Cheng Xin zadrżała. Już od pewnego czasu była niewidoma i złudzenia wypierały po kawałku z jej umysłu obrazy rzeczywistego świata. Po harmidrze, który nagle wybuchł, odniosła wrażenie, że Pacyfik wystąpił z brzegów i pochłonął Australię.

Trwało kilka sekund, zanim zorientowała się, że tłum wiwatuje. „Z czego tu się cieszyć? – pomyślała. – Czy wszyscy oszaleli?” Wrzawa nie uspokajała się, ale w końcu zastąpiły ją mowy. Tyle osób mówiło naraz, że czuła się tak, jakby po zalaniu kontynentu powierzchnię oceanu smagał sztorm. W tym gwarze nie mogła rozróżnić, co kto mówi, ale parę razy wychwyciła słowa *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja*.

Stopniowo wrócił jej słuch i z ogólnego zamieszania wyłowiła słaby odgłos kroków. Poczuła, że ktoś przed nią stanął.

– Doktor Cheng, co się stało z pani oczami? Straciła pani wzrok? – Czuła powiewy powietrza spowodowane ruchami. Być może człowiek, który stał przed nią, machał rękami przed jej twarzą. – Burmistrz wysłał mnie po panią. Wracamy do domu, do Chin.

– Ja nie mam domu – powiedziała. Słowo „dom” wbiło się jak nóż w jej serce, ale było ono tak otępiałe od wielkiego cierpienia, że mimo to nie przestało bić. Wróciła pamięcią do wieczoru sprzed trzystu lat, kiedy wyjeżdżała z domu, do świtu, który powitał ją za progiem… Rodzice zmarli przed Wielkim Jarem. Nie byliby sobie w stanie wyobrazić, gdzie skończyła ich córka, rzucana przez czas i los jak liść miotany przez wiatr.

– Nieprawda. Wszyscy szykują się do powrotu do domu. Opuszczamy Australię i wracamy do miejsc, z których pochodzimy.

Cheng Xin poderwała głowę. Nadal nie mogła przywyknąć do ciemności przed szeroko otwartymi oczami. Starała się choć trochę zrozumieć, co się dzieje.

– Co?

– *Grawitacja* wysłała przekaz we Wszechświat.

„Jak to możliwe?” – pomyślała.

– Położenie Trisolaris zostało ujawnione, co oczywiście oznacza, że zostało też ujawnione położenie Układu Słonecznego. Trisolarianie uciekają. Ich druga flota zmieniła kierunek, by oddalić się od Układu Słonecznego. Krople odleciały. Sofona powiedziała, że nie musimy się już martwić, że dokonają na nas inwazji. Tak jak układ, w którym znajduje się Trisolaris, Układ Słoneczny jest teraz miejscem, w którym każdego czeka śmierć, z którego wszyscy chcą uciec.

„Jak?”

– Wracamy do domu. Sofona wydała Ziemskim Siłom Bezpieczeństwa rozkaz dołożenia wszelkich starań, by pomóc nam ewakuować się z Australii. Z czasem proces ten przyspieszy, ale przewiezienie wszystkich wysiedlonych z Australii potrwa od trzech do sześciu miesięcy. Pani może wyjechać pierwsza. Burmistrz chce, żebym zabrał panią do władz prowincji.

– Czy to była *Błękitna Przestrzeń*?

– Nikt nie zna szczegółów, nawet Sofona. Ale na Trisolaris odebrano wysłaną we Wszechświat wiadomość. Została nadana rok temu, kiedy zawiodła strategia odstraszania.

– Może mnie pan na chwilę zostawić samą?

– Dobrze, doktor Cheng. Ale powinna się pani cieszyć. Zrobili to, co powinna była zrobić pani.

Mężczyzna przestał mówić, ale Cheng Xin nadal czuła jego obecność. Zamieszanie wokół niej powoli ustało i zastąpił je rwący strumień odgłosów szybkich kroków. Potem dźwięki te stały się rzadsze – wszyscy musieli opuszczać namiot urzędu miejskiego, by zająć się własnymi sprawami. Cheng Xin czuła, jak otaczające ją morze się cofa i ukazuje się zalany wcześniej, twardy grunt. Stała pośrodku pustego kontynentu, jedyna ocalała z potopu. Poczuła na twarzy dotyk ciepła. Wschodziło słońce.

1–5 dzień ery postodstraszania

Grawitacja i *Błękitna Przestrzeń*, kosmos za Obłokiem Oorta

– Te punkty zakrzywienia można dostrzec gołym okiem – powiedział Chu Yan. – Ale najlepiej jest śledzić ich promieniowanie elektromagnetyczne. Jest bardzo słabe, ale ma charakterystyczną sygnaturę spektralną. Mogą ją wykryć i umiejscowić normalne czujniki na naszym statku. Na ogół przestrzeń wielkości naszego statku w tym rejonie ma od jednego do dwóch punktów zakrzywienia, ale znaleźliśmy co najmniej dwanaście. Patrzcie, teraz są trzy przed wami.

Chu Yan, Morovich i Guan Yifan płynęli długim korytarzem *Błękitnej Przestrzeni*. Przed nimi unosiło się okno informacyjne z mapą wnętrza statku. Na tej mapie świeciły się trzy czerwone punkty, a oni zbliżali się do jednego z nich.

– Tam! – powiedział Guan, pokazując przed siebie.

W grodzi przed nimi była okrągła dziura około metrowej średnicy. Miała gładkie, lustrzane krawędzie. Widzieli przez nią rury o różnej grubości. W kilku z nich brakowało pośrodku pewnych odcinków. W dwóch grubszych widzieli płynącą ciecz. Wydawała się płynąć z jednego odcinka, znikać i ponownie pojawiać się w takim samym fragmencie rury na jej drugim końcu. Brakujące fragmenty były różnej długości, ale generalnie zdawały się wpisywać w przestrzeń sferyczną. Jak można było sądzić z ich

kształtu, część niewidocznego bąbla wystawała na korytarz. Morovich i Guan trzymali się od niej z daleka. Tymczasem Chu Yan włożył do niej beztrosko rękę. Jej połowa zniknęła. Stojący z boku Guan Yifan widział wyraźny przekrój ramienia, tak jak podporucznik Ike na *Grawitacji* przekrój nóg Wierienskiej. Chu Yan wyciągnął rękę z dziury i pokazał zaskoczonym Morovichowi i Guanowi, że nie była nawet draśnięta. Potem zachęcił ich, żeby sami spróbowali. Ostrożnie sięgnęli do dziury. Patrzyli, jak ich dłonie, a potem przedramiona znikają, ale nic nie czuli.

– Wejdźmy tam – powiedział Chu Yan.

Potem wskoczył do dziury jak do basenu. Morovich i Guan patrzyli z konsternacją, jak znika. Przekrój jego ciała na powierzchni niewidzialnego bąbla szybko zmienił kształt, a w lustrzanym brzegu dziury widać było falujące odbicia otaczających ją grodzi.

Gdy Morovich i Guan patrzyli z niedowierzaniem na siebie, z bąbla wyłoniły się dwie ręce i zawisły w powietrzu. Każda z nich chwyciła ich obu za ręce i wciągnęła w czterowymiarową przestrzeń.

Wszyscy, którzy tego doświadczyli, zgodnie twierdzą, że doznania w tej przestrzeni są nie do opisania. Powiedzieliby nawet, że jest to jedyna rzecz, jaka do tej pory przytrafiła się ludziom, której nie da się wyrazić słowami.

Ludzie zwykle uciekają się do takiej analogii: wyobraźmy sobie istoty żyjące na dwuwymiarowym obrazie. Bez względu na to, jak bogaty i kolorowy jest ten obraz, te płaskie istoty widzą tylko profil otaczającego ich świata. W ich oczach wszystko składa się z linii o różnej długości. Dopiero gdyby ktoś przeniósł taką istotę do przestrzeni trójwymiarowej i spojrzałaby stamtąd na swój świat, zobaczyłaby go w całej okazałości.

Ta analogia wyraża nieco bardziej szczegółowo nieopisywalność przeżycia, jakiego się doświadcza w przestrzeni czterowymiarowej.

Osoba patrząca na trójwymiarowy świat z czterowymiarowej przestrzeni uświadamia sobie od razu, że nigdy nie widziała go takim, jaki jest w istocie. Gdyby ten trójwymiarowy świat porównać do obrazu, wszystko, co wcześniej widziała, byłoby widokiem z boku – linią. Cały obraz mogłaby widzieć tylko z przestrzeni czterowymiarowej. Opisałaby go tak: nic nie przesłania tego, co jest za nim. Widać nawet przestrzenie zamknięte. Mogłoby się wydawać, że to prosta zmiana, ale gdy się patrzyło na świat z tej strony, efekt był oszałamiający. Kiedy wszystkie bariery i ściany zostały usunięte i wszystko podane było na tacy, obnażone, ilość informacji docierających do oka widza była miliony razy większa od tej, którą otrzymywał w świecie trójwymiarowym. Mózg nie był nawet w stanie ich przetworzyć.

W oczach Morovicha i Guana *Błękitna Przestrzeń* była wspaniałym, ogromnym malowidłem, które właśnie przed nimi rozpostarto. Widzieli wszystko aż po dziób statku i wszystko, co ciągnęło się do rufy, wnętrze każdej kabiny i każdego zamkniętego pojemnika, ciecze płynące przez labirynt rur, ognistą kulę reakcji jądrowej na dziobie… Oczywiście nadal obowiązywały reguły perspektywy, więc obiekty, które znajdowały się daleko, były niewyraźne, ale widać było wszystko.

Przeczytawszy ten opis, osoby, którym nigdy nie dane było znaleźć się w czterowymiarowej przestrzeni, mogłyby pomyśleć, że Morovich i Guan widzą wszystko „przez” kadłub statku. Ale nie, nie widziały „przez” nic. Wszystko widniało przed nimi jak narysowany na papierze okrąg. To otwarcie obejmowało różne poziomy, lecz najdziwniejszy był widok przedmiotów materialnych. Można było zobaczyć wnętrze takich rzeczy jak grodzie czy kawałki metalu lub skały – widać było jednocześnie ich przekrój! Morovich i Guan tonęli w morzu informacji – zebrały się wokół

nich wszystkie szczegóły Wszechświata i żywymi kolorami domagały się od nich uwagi.

Musieli się nauczyć radzić sobie z całkowicie nowym zjawiskiem wizualnym: nieskończonością szczegółów. W przestrzeni trójwymiarowej ludzki układ wzrokowy miał do czynienia z ich ograniczoną liczbą. Bez względu na to, jak złożone było otoczenie czy obiekt, elementy widzialne były ograniczone. Jeśli miało się dość czasu, zawsze można było wchłonąć większość szczegółów jeden po drugim. Gdy jednak patrzyło się na trójwymiarowy świat z przestrzeni czterowymiarowej, ukazywały się jednocześnie wszystkie ukryte w nim detale, ponieważ obiekty trójwymiarowe były otwarte na każdym poziomie. Weźmy na przykład zamknięty pojemnik – widać było nie tylko to, co w nim jest, ale także wnętrza znajdujących się w nim przedmiotów. Dzięki temu totalnemu obnażeniu przed oczami patrzącego ukazywało się nieprzebrane bogactwo drobiazgów.

Wszystko na statku leżało otworem przed Morovichem i Guanem, ale nawet kiedy obserwowali pojedynczy obiekt, taki jak pióro czy kubek, widzieli nieskończoną liczbę szczegółów i ich układ wzrokowy odbierał natłok informacji. Nie starczyłoby życia, by przyswoić sobie kształt każdego z tych obiektów w przestrzeni czterowymiarowej, gdyż ukazany na wszystkich poziomach przyprawiał widza o zawrót głowy. Przypominało to matrioszkę, zestaw lalek, w którym jedna kryła się w drugiej, i tak bez końca. Zamknięty w łupinie orzecha, ale uważający się za pana niezmierzonej przestrzeni – to nie było już tylko metaforą.

Morovich i Guan popatrzyli na siebie nawzajem, a potem na stojącego z boku Chu Yana. Widzieli równocześnie wszystkie szczegóły swoich ciał: kości, narządy, szpik w kościach, krew krążącą w komorach i przedsionkach serc, otwierające się i zamykające zastawki mitralne

i trójdzielne. Kiedy spoglądali na siebie, widzieli wewnętrzną budowę soczewek swoich oczu…

Zwrot „równolegle” może doprowadzić do nieporozumienia. Nie zmieniło się fizyczne położenie części ciała – narządy wewnętrzne i kości nadal otaczała skóra, pozostał też znany kształt każdej osoby w przestrzeni trójwymiarowej, ale teraz był tylko jednym ze szczegółów wśród nieskończonego mnóstwa innych, widocznych równolegle.

– Uważajcie, gdzie wkładacie ręce – powiedział Chu Yan. – Możecie niechcący szturchnąć własny albo czyjś narząd wewnętrzny. Ale jeśli nie zrobicie tego zbyt silnie, nawet takie przypadkowe dotknięcie nie wyrządzi szkody. Poczujecie tylko lekki ból albo mdłości, no i oczywiście pojawi się ryzyko infekcji. Nie dotykajcie też ani nie poruszajcie niczego, jeśli nie wiecie dokładnie, co to jest. Teraz wszystko na statku jest nagie – możecie dotknąć przewodu pod napięciem albo czegoś gorącego, a nawet obwodów zintegrowanych i spowodować ich awarię. W trójwymiarowym świecie jesteście jak bogowie, ale musicie przyzwyczaić się do przestrzeni czterowymiarowej, zanim będziecie mogli skutecznie korzystać ze swej mocy.

Morovich i Guan szybko nauczyli się, jak unikać dotykania narządów wewnętrznych. Poruszając się w pewnym kierunku, mogli ująć czyjąś dłoń zamiast kości w tej dłoni. Dotknięcie kości czy organów wewnętrznych wymagało ruchu w inną stronę, która nie istniała w przestrzeni trójwymiarowej.

Następnie odkryli coś, co ich podekscytowało: ze wszystkich stron widzieli gwiazdy. Widzieli lśniącą Drogę Mleczną w wiecznej nocy Wszechświata. Wiedzieli, że są na statku – żaden z nich nie miał skafandra kosmicznego i wszyscy oddychali powietrzem – ale w czwartym wymiarze byli nadzy w kosmosie. Wszyscy trzej odbyli niezliczone spacery

kosmiczne, ale jeszcze nigdy nie czuli tak intymnego związku z kosmosem. Podczas spacerów w niej byli przynajmniej zamknięci w skafandrach, natomiast teraz nic ich od niej nie odgradzało. Statek, który ujawnił nieskończoną liczbę szczegółów, nie oddzielał ich od niej. W czwartym wymiarze był on na tej samej płaszczyźnie z całą przestrzenią.

Mózg, który od czasu narodzin przystosowany był do odczuwania przestrzeni trójwymiarowej, nie mógł przetworzyć informacji o bezliku szczegółów i początkowo istniała groźba, że zostanie przeciążony, ale wkrótce przywykł do czterowymiarowego otoczenia i bez świadomego namysłu nauczył się nie zwracać uwagi na większość detali i postrzegać tylko ogólne zarysy przedmiotów.

Po początkowym zawrocie głowy Morovich i Guan przeżyli kolejny, jeszcze większy szok. Gdy ich uwagę przestało zaprzątać nieskończone bogactwo szczegółów otoczenia, poczuli samą przestrzeń kosmiczną, a raczej czwarty wymiar. Później uczucie to zostanie nazwane „doznaniem przestrzeni wielowymiarowej”. Doznanie to trudno opisać słowami. Często starano się wyjaśniać je w taki sposób: pojęcia „bezmiaru” czy „bezkresu” w przestrzeni trójwymiarowej powtarzały się niezliczoną ilość razy w przestrzeni czterowymiarowej w kierunku, który w tej pierwszej nie istniał. Równie często tłumaczono to przez analogię do dwóch stojących naprzeciwko siebie luster: w każdym z nich widać było niezliczone mnóstwo odbić luster, cały ich ciąg, który ciągnął się w nieskończoność. Każde z nich było przestrzenią trójwymiarową. Innymi słowy, bezmiar, wobec którego stało się w przestrzeni trójwymiarowej, był tylko przekrojem ogromu czterowymiarowej. Trudność opisania przestrzeni wielowymiarowej brała się stąd, że dla obserwatorów z przestrzeni czterowymiarowej ta, którą widzieli, była pusta i jednolita, ale posiadała pewną głębię, której nie da się opisać językiem. Ta głębia nie była kwestią

odległości, zawierała się w każdym punkcie. To, co krzyknął na ten widok Guan Yifan, stało się później klasycznym cytatem:

– W każdym centymetrze jest bezdenna przepaść.

Doznanie, jakiego doświadczała osoba w przestrzeni wielowymiarowej, było dla niej duchowym chrztem. Takie pojęcia jak wolność, otwartość, głębia i nieskończoność zyskiwały całkowicie nowe znaczenie.

– Powinniśmy wracać – powiedział Chu Yan. – Te zakrzywione punkty utrzymują się tylko przez pewien czas, a potem odpływają albo znikają. Żeby znaleźć nowy punkt zakrzywienia, trzeba się poruszać w przestrzeni czterowymiarowej. Dla takich jak wy nowicjuszy jest to niebezpieczne.

– A jak znaleźć zakrzywiony punkt w przestrzeni czterowymiarowej? – zapytał Morovich.

– To proste. Zakrzywiony punkt jest zwykle okrągły. W tej kuli światło się załamuje i obrazy obiektów, które się tam znajdują, ulegają odkształceniu, przez co znikają z pola widzenia. Oczywiście jest to tylko efekt optyczny w czterowymiarowej przestrzeni, nie rzeczywista zmiana ich kształtów. Spójrzcie tam…

Chu Yan wskazał w stronę, z której przybyli. Morovich i Guan znowu zobaczyli te rury, które teraz były otwarte, tak że było wyraźnie widać płynące nimi ciecze. W zaokrąglonym rejonie rury były wykrzywione i zniekształcone, a cały ten obszar wyglądał jak kropla rosy na pajęczynie. Wyglądał zupełnie inaczej niż w przestrzeni trójwymiarowej. W zakrzywionych punktach nie odbijało się światło, więc były niewidoczne. O tym, że tam są, można się było dowiedzieć tylko dzięki znikaniu obiektów, które weszły do czterowymiarowej przestrzeni w bąblu.

– Jeśli znowu tu przyjdziecie, będziecie musieli włożyć skafandry kosmiczne. Nowicjusze nie zawsze są w stanie dokładnie określić swoje położenie, a znalezienie nowego zakrzywionego punktu drogi powrotnej

może się skończyć tak, że znajdziecie się na zewnątrz statku w przestrzeni trójwymiarowej.

Chu Yan skinął na nich, by podążali za nim, i weszli do bąbla przypominającego kroplę rosy. W jednej chwili znaleźli się z powrotem w rzeczywistości trójwymiarowej, na korytarzu statku, w miejscu, skąd przed dziesięcioma minutami wkroczyli w przestrzeń czterowymiarową. W istocie nigdy go nie opuścili, tylko przestrzeń, w której byli, zyskała dodatkowy wymiar. W grodzi nadal widniał okrągły otwór, przez który widzieli „pęknięte” rury w środku.

Ale Morovichowi i Guanowi świat nie wydawał się już taki sam jak przedtem. Trójwymiarowa przestrzeń jawiła im się teraz jako ciasna i przytłaczająca. Guan radził sobie z tym uczuciem trochę lepiej, bo przynajmniej raz już doświadczył przebywania w przestrzeni czterowymiarowej, w stanie półprzytomnym. Natomiast Morovich doznał uczucia klaustrofobii, jakby się dusił.

– To normalne. Po kilku razach się przyzwyczaicie – powiedział ze śmiechem Chu Yan. – Teraz wiecie, co znaczy prawdziwy bezkres. Nawet jeśli włożycie skafandry kosmiczne i wyjdziecie w przestrzeń kosmiczną, będziecie mieć wrażenie, że jesteście w zamknięciu.

– Jak do tego doszło? – Komandor Morovich rozpiął kołnierz i z trudem łapał powietrze.

– Weszliśmy w rejon, gdzie przestrzeń ma cztery wymiary. To wszystko. Nazywamy go fragmentem czterowymiarowym.

– Ale przecież teraz znajdujemy się w przestrzeni trójwymiarowej!

– Przestrzeń czterowymiarowa zawiera w sobie trójwymiarową, tak jak trójwymiarowa dwuwymiarową. Można by przeprowadzić inną analogię: jesteśmy na trójwymiarowej kartce papieru umieszczonej w przestrzeni czterowymiarowej.

– Pozwólcie, że zaproponuję pewien model – rzekł Guan. – Cała nasza trójwymiarowa przestrzeń jest jak duży, cienki arkusz papieru, który ma szesnaście miliardów lat świetlnych średnicy. Gdzieś na tym arkuszu znajduje się mały czterowymiarowy bąbel.

– Doskonale, doktorze Guan! – Chu Yan klepnął go w ramię, aż tamten wywinął koziołka w nieważkości. – Starałem się znaleźć odpowiednią analogię, a panu udało się to za pierwszym razem. Właśnie dlatego potrzebujemy kosmologa! Ma pan całkowitą rację. Przebywamy na tym trójwymiarowym arkuszu i pełzamy po jego powierzchni. Dochodzimy do bąbla. Przez zakrzywiony punkt możemy opuścić powierzchnię i wejść w przestrzeń w tym bąblu.

– Byliśmy w przestrzeni czterowymiarowej, ale nasze ciała pozostały trójwymiarowe – powiedział Morovich.

– Zgadza się. Byliśmy płaskimi, trójwymiarowymi ludźmi dryfującymi w przestrzeni czterowymiarowej. Nie jest jasne, jak nasze ciała mogą w niej przetrwać, skoro obowiązują tam inne prawa fizyki. Takich zagadek jest więcej.

– Czym dokładnie są zakrzywione punkty?

– Trójwymiarowy arkusz papieru nie jest we wszystkich miejscach idealnie płaski. Niektóre miejsca są zakrzywione, sięgają w czwarty wymiar. I tym właśnie jest zakrzywiony punkt: tunelem prowadzącym z niższej liczby wymiarów do wyższej. Możemy się dostać w przestrzeń czterowymiarową, skacząc do tych tuneli.

– Dużo jest tych zakrzywionych punktów?

– O tak. Są wszędzie. *Błękitna Przestrzeń* odkryła ich sekret wcześniej dzięki temu, że mamy więcej ludzi na statku, było więc dużo więcej szans ich napotkania. *Grawitacja*, poza tym, że ma mniejszą załogę, miała dużo

surowszy system monitorowania psychologicznego – nawet te osoby, które natknęły się na zakrzywione punkty, bały się o tym mówić.

– Wszystkie są takie małe?

– Nie. Niektóre są dużo większe. Jest pewna zagadka, której nigdy nie udało się nam rozwiązać: zaobserwowaliśmy kiedyś, że rufowa część *Grawitacji* wypaczyła się w przestrzeni czterowymiarowej i pozostawała w niej przez kilka minut. Jak mogliście nie zauważyć, że dzieje się coś dziwnego?

– Na ostatniej jednej trzeciej statku zwykle nie było załogi. Chwileczkę, pan tam był – Morovich zwrócił się do Guan Yifana. – Musiał pan tego doświadczyć. Zdaje mi się, że słyszałem o tym od doktora Westa.

– Byłem wtedy na wpół rozbudzony. Później ten idiota przekonał mnie, że cierpiałem na halucynacje.

– Z trójwymiarowej przestrzeni nie można zajrzeć do czterowymiarowej. Ale z czterowymiarowej widać wszystko, co się dzieje w trójwymiarowej, i można na to wpływać. Dzięki temu udało się nam zastawić zasadzkę na krople. Bez względu na to, jak mocny był materiał z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym, były obiektami trójwymiarowymi. Trójwymiarowość jest w pewnym sensie tożsama z kruchością. Oglądane z przestrzeni czterowymiarowej, były bezbronnymi, rozwiniętymi płótnami. Podlecieliśmy do nich z czwartego wymiaru i chociaż nie rozumieliśmy ich zasad działania, uszkodziliśmy na chybił trafił ich całkowicie obnażone mechanizmy.

– Czy Trisolaris zdaje sobie sprawę z istnienia tego czterowymiarowego fragmentu?

– Chyba nie.

– Jak duża jest bańka mydlana… eee, ten czterowymiarowy fragment?

– Rozmawianie o wielkości przestrzeni czterowymiarowej z punktu widzenia trójwymiarowej jest pozbawione sensu. Możemy tylko dyskutować, jak duży jest rzut tego fragmentu w trzech wymiarach. Na podstawie wstępnych badań uważamy, że ma on kształt kulisty. Jeśli rzeczywiście tak jest, to z zebranych dotąd danych wynika, że ma on promień długości od czterdziestu do pięćdziesięciu jednostek astronomicznych.

– Czyli mniej więcej wielkość Układu Słonecznego.

Okrągły otwór w grodzi zaczął się wolno poruszać i kurczyć. Gdy był jakieś dziesięć metrów od nich, zniknął. Ale unoszące się obok okna informacyjne pokazywały, że na *Błękitnej Przestrzeni* pojawiły się jeszcze dwa zakrzywione punkty.

– W jaki sposób w przestrzeni trójwymiarowej może się pojawić fragment czterowymiarowy? – mruknął pod nosem Guan.

– Nikt tego nie wie. Doktorze, to zagadka do rozwiązania dla pana.

Po odkryciu czterowymiarowego fragmentu *Błękitna Przestrzeń* zaczęła intensywnie badać jego wnętrze. *Grawitacja* wzbogaciła zasób dostępnych narzędzi o bardziej zaawansowany sprzęt i techniki, więc załogi mogły prowadzić bardziej całościowe i dogłębne badania.

W przestrzeni trójwymiarowej rejon wydawał się bardzo pusty i nie wykazywał żadnych nieregularności. Badania trzeba było prowadzić głównie w przestrzeni czterowymiarowej. Ponieważ umieszczenie sond w tej przestrzeni nie było prostą sprawą, korzystano głównie z teleskopu wprowadzonego tam przez punkt zakrzywienia. Operowanie trójwymiarowym przyrządem w czterech wymiarach wymagało pewnej praktyki i czasu, ale naukowcy pojęli, jak to robić, i od razu dokonali szokujących odkryć.

Zobaczyli przez teleskop obiekt w kształcie pierścienia. Ponieważ nie można było określić jego odległości od statku, nie można też było ocenić jego wielkości. Domyślano się jedynie, że jego trójwymiarowa średnica wynosi od osiemdziesięciu do stu kilometrów, a grubość prawie dwadzieścia kilometrów. Całość przypominała wirującą w przestrzeni kosmicznej obrączkę ślubną. Na jej powierzchni widać było złożone wzory podobne do obwodów. Na tej podstawie zasadny wydawał się wniosek, że ten obiekt został zbudowany przez istoty inteligentne.

Ludzkość po raz pierwszy zaobserwowała inną cywilizację niż ziemska i trisolariańska.

Ale najbardziej szokujące było to, że „Pierścień” był zamknięty. Istniał w przestrzeni czterowymiarowej, ale nie ukazywał wnętrza jak obiekt trójwymiarowy. Jego wnętrze było zamknięte, co oznaczało, że był prawdziwym czterowymiarowym obiektem. Był to pierwszy odkryty przez ludzi po ich wejściu z przestrzeni trójwymiarowej obiekt składający się z czterech wymiarów.

Początkowo obawiano się z jego strony ataku, ale Pierścień nie wykazywał żadnych oznak aktywności. Nie emitował też żadnych sygnałów na falach elektromagnetycznych, neutrinowych ani grawitacyjnych. Obracał się statecznie wokół osi, ani trochę nie przyspieszając. Robocza hipoteza zakładała, że jest ruiną, być może dawno opuszczonym miastem lub statkiem kosmicznym.

Dalsze obserwacje wykazały, że w głębi czterowymiarowej przestrzeni jest więcej nieznanych obiektów. Były zamknięte, różnych wielkości i kształtów, i wiele z nich wyglądało na dzieła istot inteligentnych: piramidy, krzyże, wieloboczne bryły i tak dalej. Inne miały nieregularne formy utworzone z prostszych, ale wyraźnie nie były pochodzenia naturalnego. Zarysy ponad dziesięciu z nich można było dostrzec tylko

przez teleskop, a jeszcze dalej unosiły się inne, widoczne jedynie jako punkty. W sumie znaleziono około stu takich obiektów. Podobnie jak Pierścień, nie przejawiały żadnej aktywności i nie emitowały żadnych wykrywalnych sygnałów.

Guan wystąpił do kapitana Chu z propozycją podlecenia pinasą do Pierścienia w celu dokładniejszego zbadania. Gdyby okazało się to możliwe, chciałby wejść do środka. Dowódca stanowczo odrzucił ten plan. Nawigowanie w czterowymiarowej przestrzeni wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Precyzyjne określenie położenia wymagało zmierzenia czterech współrzędnych, a sprzęt znajdujący się na statku pozwalał na określenie tylko trzech. Oznaczało to, że badacze z przestrzeni trójwymiarowej nie byliby w stanie dokładnie ustalić położenia żadnego obiektu w przestrzeni czterowymiarowej. Ani wizualnie, ani za pomocą dostępnych badaczom instrumentów nie można było stwierdzić, gdzie i w jakiej odległości znajduje się Pierścień, więc w każdej chwili mogło dojść do zderzenia z nim.

Podobnie bardzo trudne byłoby zlokalizowanie zakrzywionych punktów, przez które trzeba by było wrócić do przestrzeni trójwymiarowej. Ponieważ po znalezieniu takiego punktu nie można było określić jednej z jego czterech współrzędnych, wiadomo było, w jakim leży kierunku, ale nie w jakiej odległości od obserwatora. Załoga pinasy mogłaby wprawdzie wrócić przez ten punkt do przestrzeni trójwymiarowej, ale ku swemu zdumieniu znaleźć się daleko od *Błękitnej Przestrzeni*.

Poza tym większość fal radiowych łączących pinasę z jednostką macierzystą rozproszyłaby się w przestrzeni czterowymiarowej, wskutek czego sygnał straciłby wcześniej moc, a to stwarzałoby kłopoty z łącznością.

Potem w *Błękitną Przestrzeń* i *Grawitację* uderzyło jednego dnia sześć mikrometeoroidów. Jeden z nich, o średnicy stu czterdziestu nanometrów, kompletnie zniszczył urządzenie kontrolne magnetycznej lewitacji jądra reaktora *Błękitnej Przestrzeni*, kluczowego układu statku. Temperatura w jądrze reaktora mogła sięgnąć kilku milionów stopni, co doprowadziłoby do wyparowania każdego materiału, który by się z nim zetknął. Pole magnetyczne utrzymywało go w środku komory reakcji. Gdyby urządzenie kontrolne uległo awarii, niesamowicie rozgrzane jądro reaktora wymknęłoby się z pola magnetycznego i w jednej chwili zniszczyło statek. Na szczęście natychmiast włączyło się urządzenie zapasowe, wyłączyło reaktor – który działał z minimalną mocą – i zapobiegło katastrofie.

W miarę zapuszczania się dwóch statków w głąb czterowymiarowego fragmentu gęstość deszczu meteoroidów wzrastała; obok nich przelatywały nawet większe, widzialne gołym okiem. Ich względna prędkość wobec statków była kilkakrotnie większa od trzeciej prędkości kosmicznej. W przestrzeni trójwymiarowej ważne części jednostek były osłonięte wieloma warstwami ochronnymi, natomiast tutaj były odsłonięte, zupełnie bezbronne.

Chu Yan postanowił, że oba statki wycofają się z czterowymiarowego fragmentu. Cały ten fragment odsuwał się od Układu Słonecznego w tym samym kierunku, w którym zmierzały, tak więc mimo że *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* oddalały się od niego z dużą prędkością, ich prędkość względem tego fragmentu była mała i ledwie się z nim zrównały. Nie wleciały w niego głęboko, zatem powinny wyhamować i łatwo go opuścić.

Ta decyzja rozwścieczyła Guan Yifana.

– Mamy przed sobą największą tajemnicę Wszechświata! Mogą się tu znajdować odpowiedzi na wszystkie nasze pytania kosmologiczne. Jak

możemy odlecieć?

– Mówi pan o zespole trzech i trzystu tysięcy? Ten fragment mi o nim przypomina.

– Nawet jeśli skupi się pan tylko na stronie praktycznej, to w tej ruinie w kształcie pierścienia możemy pewnie znaleźć nieprawdopodobną wiedzę i artefakty.

– Takie zdobycze miałyby sens tylko wtedy, gdybyśmy wyszli z tych opałów z życiem. Teraz znajdujemy się w sytuacji, kiedy oba nasze statki mogą zostać w każdej chwili unicestwione.

Guan westchnął i potrząsnął głową.

– Dobrze. Ale zanim opuścimy to miejsce, proszę mi pozwolić podlecieć pinasą do Pierścienia i zbadać go. Proszę mi dać szansę. Mówi pan o wyjściu z opałów z życiem, ale być może nasze przyszłe ocalenie zależy od tego, co tam odkryję!

– Możemy się zastanowić nad wysłaniem drona.

– W czterowymiarowym świecie tylko obserwator oglądający to na żywo jest w stanie zrozumieć, co widzi. Wie pan o tym lepiej niż ja.

Po krótkiej dyskusji propozycję Guana przyjęli wyżsi oficerowie z obu statków. Do zespołu badawczego weszli Guan Yifan, porucznik Zhuo Wen i doktor West. Porucznik Zhuo Wen był oficerem naukowym na *Błękitnej Przestrzeni* i miał w porównaniu z innymi dość duże doświadczenie w nawigowaniu w czterech wymiarach. Natomiast doktor West po prostu zażądał, by go dołączono do zespołu, na co się ostatecznie zgodzono, ponieważ przed podróżą studiował język trisolariański.

Wcześniej najdłuższą wyprawą w przestrzeni czterowymiarowej był atak na krople i *Grawitację*. Pinasa podleciała przez tę przestrzeń do *Grawitacji*

i na jej pokład weszło przez zakrzywiony punkt trzech ludzi, włącznie z porucznikiem Park Ui-gunem. Później wpadło tam w trzech falach sześćdziesięciu członków piechoty morskiej. Krople zaatakowano mniejszymi promami. Wyprawa na Pierścień miała być dużo dłuższa.

Pinasa weszła w przestrzeń czterowymiarową przez zakrzywiony punkt między oboma statkami. Gdy jego moc wzrosła, mały reaktor jądrowy na rufie pinasy zmienił kolor z ciemnoczerwonego na słabo niebieski. Płomień ten, wraz z kulami ognia wydobywającymi się z dysz statków, oświetlał świat nieskończonej nieskończoności. *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* szybko się wycofały i im bardziej pinasa wnikała w głąb czwartego wymiaru, tym intensywniejsze stawało się doznanie przestrzeni wielowymiarowej. Chociaż doktor West był już dwukrotnie w przestrzeni czterowymiarowej, wykrzyknął:

– Jak wspaniały jest duch, który potrafi pojąć taki świat!

Porucznik Zhuo prowadził statek, wydając komendy głosowe albo poruszając kursor wzrokiem – lepiej było nie używać rąk, by uniknąć kontaktu z jakąś wrażliwą częścią sprzętu, który był teraz odkryty w czterech wymiarach. Pierścień był nadal ledwie widoczną gołym okiem plamką, ale Zhuo prowadził pinasę bardzo wolno. Wskutek dodatkowego niemierzalnego wymiaru zupełnie nie można było polegać na wzrokowej ocenie odległości. Pierścień mógł równie dobrze znajdować się jednostkę astronomiczną przed nimi, jak i być tuż przed dziobem pinasy.

Po trzech godzinach pinasa przekroczyła poprzedni rekord odległości od statków w przestrzeni czterowymiarowej. Pierścień pozostawał plamką. Porucznik Zhuo zrobił się jeszcze bardziej ostrożny i był gotowy przejść w każdej chwili do hamowania i zmiany kierunku lotu. Guan Yifan zniecierpliwił się i powiedział mu, by leciał szybciej. Akurat wtedy doktor West wydał okrzyk zaskoczenia.

Pierścień zmienił się w prawdziwy pierścień. To się po prostu stało. W jednej chwili był nadal plamką, w następnej miał wielkość monety. Nie było żadnej stopniowej zmiany.

– Musicie pamiętać, że w czwartym wymiarze jesteśmy praktycznie ślepi – rzekł porucznik Zhuo. Ponownie zmniejszył prędkość.

Minęły jeszcze dwie godziny. Gdyby znajdowali się w przestrzeni trójwymiarowej, przebyliby około dwóch tysięcy kilometrów.

Nagle mający dotąd wielkość monety Pierścień stał się gigantycznym obiektem. Porucznik Zhuo ostro skręcił i ledwie zdołał uniknąć zderzenia. Pinasa przeszła przez Pierścień jak pod łukiem w przestrzeni kosmicznej. Zwolniła, obróciła się i zatrzymała w niewielkiej odległości od niego.

Ludzkość znalazła się po raz pierwszy tak blisko czterowymiarowego obiektu. Podobnie jak z przestrzenią wielowymiarową, doznawała teraz uczucia materialności tej przestrzeni. Pierścień był kompletnie zamknięty, więc nie mogli do niego zajrzeć, ale czuli ogrom jego głębi. Tym, co widzieli, nie był tylko sam Pierścień, ale nieskończona liczba ukrytych jeden w drugim Pierścieni. To doznanie czterowymiarowości odciskało się na duszy i wydawało się im, że są opisaną w przypowieściach buddyjskich górą znajdującą się w ziarnku gorczycy.

Z bliska powierzchnia Pierścienia wyglądała zupełnie inaczej niż przez teleskop. Zamiast złotego światła otaczała ją ciemnomiedziana poświata. Linie, które wydawały się wyżłobionymi w niej obwodami, były śladami po uderzeniach mikrometeroidów. Nadal nie widać było żadnych oznak aktywności, nie emitowała też światła ani innego promieniowania. Cała trójka spoglądająca na starożytną skorupę Pierścienia odnosiła wrażenie, że patrzy na coś znanego. Na wspomnienie zniszczonych kropli starali się wyobrazić sobie ogromny czterowymiarowy Pierścień o lustrzanej powierzchni – byłby to widok zapierający dech w piersi.

Zgodnie z wcześniej ustalonym planem porucznik Zhuo przesłał do Pierścienia wiadomość na falach radiowych średniej częstotliwości. Była to prosta mapa bitowa, układ bitów, który można było interpretować jak sześć linii punktów tworzących ciąg liczb pierwszych: 2, 3, 5, 7, 11, 13.

Nie spodziewali się odpowiedzi, ale nadeszła, i to tak szybko, że nie wierzyli własnym oczom. Okno informacyjne wiszące w środku pinasy wyświetliło mapę bitową podobną do tej, którą wysłali. Ona również składała się z sześciu linii tworzących ciąg następnych liczb pierwszych: 17, 19, 23, 29, 31, 37.

Początkowy plan zakładał tylko eksperymentalne wysłanie powitania, więc nie poczyniono żadnych przygotowań do dalszej komunikacji. Gdy siedząca w pinasie trójka debatowała nad tym, co robić, Pierścień przesłał im drugą mapę bitową: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 1, 4, 2, 1, 5, 9.

Potem trzecią: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 16, 6, 10, 10, 4, 7.

I czwartą: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 19, 5, 1, 15, 4, 8.

I piątą: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 7, 2, 16, 4, 1, 14.

Mapy napływały jedna po drugiej. Pierwszych sześć pozycji na każdej było liczbami pierwszymi wysłanymi przez pinasę jako pozdrowienie. Co do następnych liczb w każdej serii, porucznik Zhuo i doktor West zwrócili się z pytającymi minami do naukowca Guan Yifana. Kosmolog popatrzył na liczby przewijające się w oknie informacyjnym i wzruszył ramionami.

– Nie widzę tu żadnego wzoru.

– No to załóżmy, że to nie jest wzór. – West wskazał na okno. – Pierwszych sześć liczb wysłaliśmy my, możliwe więc, że znaczą „wy”. Następnych sześć liczb w transmisjach nie układa się w żaden rozpoznawalny wzór, więc być może znaczą „wszystko” – „wszystko o was”.

– Oni – czy to – chcą się dowiedzieć o nas wszystkiego?

– Albo dostać przynajmniej jakąś próbkę językową, aby ją odszyfrować i dalej się z nami porozumiewać.

– Wobec tego powinniśmy to przesłać do systemu Rosetta.

– Musimy poprosić o pozwolenie.

System Rosetta był bazą danych stworzoną w celu nauczenia Trisolarian języków ziemskich. Zawierała ona dokumenty o naturalnej historii planety i dziejach ludzkości w liczbie około dwóch milionów znaków oraz liczne nagrania wideo i obrazy. Był do niej dołączony program ustalania związków między znakami i obrazami, umożliwiający obcej cywilizacji rozszyfrowanie i studiowanie tych języków.

Grawitacja udzieliła zgody, ale w pamięci pokładowego komputera pinasy nie było systemu Rosetta, a wskutek bardzo słabego połączenia komunikacyjnego ze statkiem macierzystym przekazanie takiej ogromnej ilości danych było niemożliwe. Jedynym wyjściem było przesłanie ze statku strumienia informacji bezpośrednio do Pierścienia. Nie dało się tego zrobić drogą radiową, ale na szczęście *Grawitacja* była wyposażona w neutrinowy system komunikacji. Nie byli jednak pewni, czy Pierścień może odebrać sygnały neutrinowe.

Trzy minuty po przekazaniu przez *Grawitację* systemu Rosetta wiązką neutrin pinasa otrzymała z Pierścienia nową serię map bitowych. Pierwsza była idealnym kwadratem składającym się z uszeregowanych po osiem sześćdziesięciu czterech punktów, w drugiej brakowało jednego punktu w rogu, co dawało sześćdziesiąt trzy punkty, w trzecim brakowało dwóch punktów, co dawało sześćdziesiąt dwa…

– To odliczanie albo pasek postępu – powiedział West. – Moim zdaniem ma to nam pokazać, że Pierścień otrzymał system Rosetta i jest w trakcie jego rozszyfrowywania. Powinniśmy poczekać.

– Dlaczego akurat sześćdziesiąt cztery punkty?

– To dostatecznie duża liczba, jeśli przyjmie się podstawę dwa. My tak samo używamy liczby sto dla wielu rzeczy, wychodząc od podstawy dziesięć.

Zarówno porucznik Zhuo, jak i Guan cieszyli się, że jest z nimi doktor West. Ten psycholog zdawał się mieć pewne umiejętności potrzebne do ustanowienia komunikacji z nieznanymi inteligencjami.

Gdy odliczanie doszło do pięćdziesięciu siedmiu, wydarzyło się coś ekscytującego. Następna liczba nie pojawiła się w formie kropek na mapie. Pierścień przesłał arabską liczbę 56.

– No, no, szybko się uczy – skomentował to Guan.

Liczba zmniejszała się o jeden mniej więcej co dziesięć sekund. Kilka minut później doszła do zera. Ostatnia wiadomość składała się z czterech chińskich znaków.

Jestem grobem.

System Rosetta złożony był z mieszaniny angielskiego i chińskiego. To, że Pierścień do skomunikowania się z nimi użyłby tego samego języka, w którym otrzymał wiadomość, miałoby sens. Przypadkiem akurat ta wiadomość napisana została w całości po chińsku. Guan wpisał pytanie w unoszące się w powietrzu okno i zaczęła się rozmowa między ludźmi i Pierścieniem.

Czyj jest ten grób?
Tych, którzy go stworzyli.
Czy to statek kosmiczny?
Dawniej był statkiem. Ale teraz jest martwy, więc jest grobem.
Kim jesteś? Kto z nami rozmawia?
Jestem grobem. Rozmawia z wami grób. Jestem martwy.

To znaczy, że jesteś statkiem, którego załoga umarła? Innymi słowy, jesteś częścią układu sterowania statkiem?

(Na to pytanie nie otrzymali odpowiedzi).

Widzimy wiele innych obiektów w tym rejonie przestrzeni. One też są grobami?
Większość z nich. Inne niedługo się nimi staną. Nie znam ich wszystkich.
Jesteś z daleka czy zawsze tu byłeś?
Jestem z bardzo daleka, one też są z bardzo daleka, z różnych odległych miejsc.
Skąd?

(Brak odpowiedzi).

To ty stworzyłeś ten czterowymiarowy fragment?
Powiedzieliście, że przybyliście z morza. To wy stworzyliście to morze?
Mówisz, że dla ciebie, a przynajmniej dla twoich twórców, ta czterowymiarowa przestrzeń jest jak morze dla nas?
Raczej jak kałuża. Morze wyschło.
Dlaczego w tak małej przestrzeni zebrało się tak dużo statków?
Gdy morze wysycha, ryby muszą się zebrać w kałuży. Kałuża też wysycha, więc wszystkie ryby znikną.
Są tu wszystkie?
Nie ma tu ryb odpowiedzialnych za wyschnięcie morza.
Przykro nam. Naprawdę trudno jest zrozumieć to, co powiedziałeś.
Ryby, które osuszyły morze, wyszły przedtem na ląd. Przeniosły się z jednego ciemnego lasu do drugiego.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak grom. Cała trójka w pinasie i wszyscy na dwóch odległych statkach macierzystych zadrżeli.

Ciemny las… co przez to rozumiesz?
To samo co wy.

Zaatakujesz nas?

Jestem grobem, nikogo nie zaatakuję. Między przestrzeniami o różnych wymiarach nie ma ciemnego lasu. Przestrzeń o mniejszej liczbie wymiarów nie może zagrozić przestrzeni o ich większej liczbie, a zasoby naturalne przestrzeni niewielowymiarowej nie przedstawiają dla przestrzeni wielowymiarowej żadnego pożytku. Ale ciemny las istnieje wszędzie między tymi, którzy żyją w tych samych wymiarach.

Możesz udzielić nam jakiejś rady?

Natychmiast opuśćcie tę kałużę. Jesteście cienkimi obrazkami. Jesteście delikatni. Jeśli tu zostaniecie, szybko przemienicie się w groby… Zaraz, wydaje się, że w waszej pinasie jest ryba.

Guan siedział chwilę oszołomiony, zanim zdał sobie sprawę, że rzeczywiście jest tam ryba. Zawsze nosił ze sobą ekologiczną kulę wielkości pięści. Były w niej woda, mała rybka i trochę wodorostów, a wszystko tworzyło starannie zaprojektowany miniaturowy układ zamknięty. Była to ulubiona rzecz osobista Guana, więc wszędzie ją ze sobą zabierał podczas tej wyprawy… Gdyby nie udało mu się wrócić, ten świat towarzyszyłby mu w życiu pośmiertnym.

Lubię ryby. Możesz mi ją dać?

Jak mam to zrobić?

Rzuć ją w moją stronę.

Wszyscy trzej włożyli hełmy swych skafandrów kosmicznych i otworzyli właz pinasy. Guan podniósł ekologiczną kulę do oczu. Ostrożnie, ponieważ był w przestrzeni czterowymiarowej, przytrzymał trójwymiarowy brzeg i po raz ostatni jej się przyjrzał. Z perspektywy czterowymiarowej widać było każdy szczegół w kuli i ten mały, żywy świat wydawał się jeszcze bogatszy, bardziej zróżnicowany i barwny. Guan zamachnął się i rzucił kulę

w stronę Pierścienia. Patrzył, jak mały, przezroczysty przedmiot znika w przestrzeni. Potem zamknął właz i wrócił do rozmowy.

Czy to jedyna kałuża we Wszechświecie?

Nie uzyskał odpowiedzi. Pierścień zamilkł i nie reagował na kolejne próby nawiązania połączenia.

Grawitacja poinformowała ich, że w *Błękitną Przestrzeń* uderzyły kolejne mikrometeoroidy. Oba statki otaczała coraz większa liczba dryfujących obiektów, włącznie z małymi czterowymiarowymi, być może szczątkami statków albo innym kosmicznym gruzem. Kapitan Chu zarządził natychmiastowy odwrót. Trzeba było porzucić plan wejścia na Pierścień.

Ponieważ załoga pinasy znała teraz odległość od statku macierzystego, powrót trwał dwa razy krócej. Po dwóch godzinach znaleźli się w pobliżu *Błękitnej Przestrzeni* i zlokalizowali zakrzywiony punkt.

Badaczy potraktowano jak bohaterów i zgotowano im uroczyste przyjęcie, chociaż ich odkrycia nie miały dla przyszłości obu statków żadnego praktycznego znaczenia.

– Doktorze Guan – odezwał się kapitan Chu – jaka jest pana zdaniem odpowiedź na ostatnie pytanie, które zadał pan Pierścieniowi?

– Wrócę do analogii, którą już wcześniej przedstawiłem. Prawdopodobieństwo, że natknęliśmy się na jedyny bąbel o średnicy od czterdziestu do pięćdziesięciu jednostek astronomicznych na powierzchni papieru o długości szesnastu miliardów lat świetlnych, jest tak małe, że można je uznać za zerowe. Jestem pewien, że są inne bąble, pewnie dużo więcej.

– Uważa pan, że w przyszłości zetkniemy się z nimi?

– Uważam, że bardziej interesujące jest inne pytanie: czy już się z nimi zetknęliśmy? Proszę pomyśleć o Ziemi. Już od wielu miliardów lat pędzi przez kosmos. Czy nie jest możliwe, że w przeszłości przeszła przez czterowymiarowy fragment?

– Byłby to zdumiewający widok. Trudno jest mi sobie wyobrazić, że ludzkość tego doświadczyła… Ale zastanawiam się, czy zakrzywione punkty mogły znaleźć dinozaury…

– Ale skąd w ogóle są tam te bąble? Dlaczego w trójwymiarowej przestrzeni jest tyle czterowymiarowych fragmentów?

– To wielka tajemnica.

– Myślę, że to jest ponura tajemnica, kapitanie.

Błękitna Przestrzeń i *Grawitacja* zaczęły się wycofywać z fragmentu. Gdy statki przyspieszyły, siła ciężkości pociągnęła załogi na dziób. W następnych kilku dniach Guan Yifan i oficerowie naukowi z obu jednostek starali się zdobyć jak najwięcej materiału badawczego i prawie cały czas spędzali w przestrzeni czterowymiarowej. Było to jednak tylko częściowo podyktowane wymogami ich pracy – nie mogli znieść uczucia klaustrofobii i zamknięcia nieodłącznie towarzyszącego im w trzech wymiarach.

Piątego dnia po rozpoczęciu przyspieszania wszyscy, którzy przebywali w tym czasie w przestrzeni czterowymiarowej, znaleźli się w mgnieniu oka z powrotem w trójwymiarowej bez przechodzenia przez zakrzywiony punkt. Elektromagnetyczne czujniki na obu statkach pokazały, że na żadnym z nich nie ma już takich punktów.

Błękitna Przestrzeń i *Grawitacja* wyszły poza fragment.

Zaskoczyło to obie załogi. Z obliczeń wynikało, że powinni tam być jeszcze przez dwadzieścia godzin. Wcześniejsze wyjście wzięło się z jednego z dwóch powodów: albo fragment przyspieszył w kierunku przeciwnym do kursu statków, albo się kurczył. Pamiętali odpowiedź Pierścienia: „Kiedy morze wysycha, ryby muszą się zebrać w kałuży. Kałuża też wysycha, więc wszystkie ryby znikną”.

Statki przestały przyspieszać i zaczęły całą mocą hamować. W końcu zatrzymały się w pobliżu granicy czterowymiarowego fragmentu, gdzie było bezpiecznie.

Skraj fragmentu był niewidzialny. Przestrzeń między nimi była pusta, spokojna jak powierzchnia głębokiego stawu. Morze gwiazd, które tworzyły Drogę Mleczną, świeciło jasno, nie wskazując w żaden sposób, że tuż obok kryje się wielka tajemnica.

Jednak wkrótce zauważyli dziwny i spektakularny widok. Od czasu do czasu w przestrzeni między nimi pojawiały się świetliste linie. Na pierwszy rzut oka były bardzo cienkie i bardzo proste, miały długość od pięciu do trzydziestu tysięcy kilometrów. Ukazywały się nagle. Najpierw jarzyły się niebiesko, potem ich kolor przechodził stopniowo w czerwień, a one zaginały się, rozpadały na wiele odcinków i w końcu znikały. Obserwacje pokazały, że pojawiają się na skraju fragmentu, jakby gigantyczne pióro stale wytyczało jego granicę.

Wysłali sondę bezzałogową w rejon przestrzeni, gdzie rozbłyskiwały te linie, i na szczęście udało się jej zaobserwować jedną z nich, kiedy powstała w bliskiej odległości. Sonda znajdowała się prawie sto kilometrów od niej i leciała z pełną szybkością. Odkryła w pobliżu duże ilości wodoru i helu, a także nieco pyłu pierwiastków ciężkich, głównie żelaza i krzemu.

Po przeanalizowaniu danych Guan i oficerowie naukowi doszli do wniosku, że te linie tworzyła czterowymiarowa materia wchodząca

w przestrzeń trójwymiarową. W miarę kurczenia się fragmentu wpadała w trójwymiarową i momentalnie się rozkładała. Chociaż jej kawałki zajmowały bardzo mało miejsca w przestrzeni czterowymiarowej, ich rozkład w trzech wymiarach spłaszczał czwarty, co powodowało, że tak bardzo się rozciągała, iż tworzyła linie proste. Z obliczeń przeprowadzonych przez naukowców wynikało, że z kilkudziesięciu gramów materii czterowymiarowej mogła powstać w trzech wymiarach linia ciągnąca się przez prawie dziesięć tysięcy kilometrów.

Na podstawie tempa cofania się granicy fragmentu wywnioskowano, że za mniej więcej dwadzieścia dni również Pierścień wejdzie w przestrzeń trójwymiarową. Oba statki postanowiły poczekać, by zobaczyć taki dziw Wszechświata – w końcu miały dużo czasu. Kierując się jarzącymi się liniami rozkładu jako punktami granicznymi, utrzymywały taką samą prędkość jak cofający się skraj fragmentu.

Przez jakieś dziesięć następnych dni Guan Yifan pogrążony był w myślach i obliczeniach, a oficerowie naukowi prowadzili ożywione debaty. W końcu doszli do zgodnego wniosku, że w oparciu o współczesną wiedzę fizyczną nie są w stanie dokonać porządnej analizy teoretycznej tego czterowymiarowego obiektu. Mimo to teorie opracowane w trzech minionych wiekach pozwalały przynajmniej na snucie pewnych prognoz, które zostały potwierdzone przez obserwacje. Wyższy wymiar istniejący w skali makro dążył do niższych wymiarów równie nieuchronnie jak woda spływająca z urwiska. Podstawową przyczyną kurczenia się przestrzeni czterowymiarowej było jej roztapianie się w trzech wymiarach.

Ale wymiar ten tak naprawdę nie znikał, lecz po prostu się zwijał, przechodząc od formy makroskopowej do mikroskopowej, i stawał jednym z siedmiu zwiniętych w sferze kwantowej.

Znowu można było zobaczyć Pierścień gołym okiem. Istnienie tego podającego się za grób obiektu wkrótce zakończy się w przestrzeni trójwymiarowej.

Błękitna Przestrzeń i *Grawitacja* wyhamowały i cofnęły się o trzysta tysięcy kilometrów. Po wejściu w przestrzeń trójwymiarową proces zanikania Pierścienia wyzwoli ogromną ilość energii – to dlatego linie, które się wcześniej pojawiały, dawały tyle światła.

Dwadzieścia dwa dni później brzeg fragmentu znalazł się za Pierścieniem. W chwili gdy Pierścień wszedł w przestrzeń trójwymiarową, wydawało się, że Wszechświat został przecięty na pół. Powierzchnia przecięcia jarzyła się oślepiającym światłem, jakby gwiazda została w mgnieniu oka rozciągnięta w linię. Ze statków nie można było dostrzec jej końcowych punktów, ale sprawiało to wrażenie, jakby Bóg położył na planie Wszechświata przykładnicę i narysował od lewej do prawej linię prostą. Dokładne, przeprowadzone za pomocą instrumentów obserwacje wykazały, że linia ta miała prawie jedną jednostkę astronomiczną, czyli około stu trzydziestu milionów kilometrów długości, niemal tyle, że wystarczyłaby do połączenia Ziemi ze Słońcem. W przeciwieństwie do zaobserwowanych wcześniej linii ta była gruba i widoczna z odległości nawet kilkuset tysięcy kilometrów. Emitowane przez nią światło zmieniło się z rozżarzonej niebieskawej bieli w zaledwie ciepłą czerwień, a potem stopniowo gasło. Sama linia stała się poskręcana i coraz bardziej rzedła, aż rozwiała się w obłok pyłu. Nie świeciła już sama z siebie, lecz zdawało się, że przenika ją spokojne, srebrne światło gwiazd. Obserwatorzy na obu statkach doznali dziwnego wrażenia: ten pas pyłu przypominał widniejącą w tle Drogę Mleczną. To, co się stało, wydawało się błyskiem flesza gigantycznego aparatu fotograficznego, który zrobił zdjęcie Galaktyki. Potem zdjęcie to wywoływało się powoli w przestrzeni kosmicznej.

W obliczu tak majestatycznego widoku Guan poczuł lekki smutek. Myślał o kuli ekologicznej, którą dał Pierścieniowi. Tamten niedługo cieszył się tym darem. Kiedy osunął się w trójwymiarową przestrzeń, momentalnie zostały unicestwione jego wewnętrzne czterowymiarowe struktury. Wcześniej czy później takiego samego losu nie mogły uniknąć inne martwe albo umierające statki w tym fragmencie. W małym czterowymiarowym kącie rozległego Wszechświata mogły trwać tylko przez pewien czas.

Była to mroczna tajemnica.

Błękitna Przestrzeń i *Grawitacja* wysłały w pas pyłu wiele sond. Poza przeprowadzeniem badań naukowych chciano sprawdzić, czy znajdą tam zdatne do wykorzystania materiały. W trójwymiarowej przestrzeni Pierścień rozpadł się na powszechnie spotykane pierwiastki, głównie wodór i hel. Można by je było zebrać jako paliwo dla reaktorów jądrowych. Ponieważ w pasie pyłu istniały one przeważnie w formie gazowej, szybko się rozpraszały i ostatecznie zebrano ich niewiele. Były tam też jednak pewne pierwiastki ciężkie, więc sondy zgromadziły trochę użytecznych metali.

Załogi obu statków musiały się teraz zastanowić nad własną przyszłością. Tymczasowa rada utworzona z ich członków oświadczyła, że każdy może wybrać kontynuację podróży albo powrót do Układu Słonecznego.

Planowano zbudowanie arki hibernacyjnej, zasilanej przez jeden z siedmiu reaktorów jądrowych znajdujących się na obu statkach. Każdy, kto chciałby wrócić do domu, mógł na nią wsiąść i po trwającej trzydzieści pięć lat podróży wrócić do Układu Słonecznego. Dwa statki poinformowałyby Ziemię przekazem neutrinowym o kursie arki, by mogła wysłać jednostki na ich spotkanie. By zapobiec zlokalizowaniu przez

Trisolarian *Błękitnej Przestrzeni* i *Grawitacji*, wiadomość tę nadano by dopiero po pewnym czasie od odlotu arki. Gdyby Ziemia mogła wysłać statki, które pomogłyby jej wyhamować przed dotarciem na planetę, arka mogłaby zużyć więcej paliwa na sam lot i pokonać tę trasę o dziesięć do dwudziestu lat szybciej.

Przy założeniu, że Ziemia i Układ Słoneczny jeszcze by istniały.

Na powrót zdecydowało się tylko około dwustu osób. Reszta nie chciała wracać na świat skazany na zniszczenie; woleli zostać na *Błękitnej Przestrzeni* i *Grawitacji* i kontynuować podróż w nieznaną głąb kosmosu.

Miesiąc później arka hibernacyjna i dwa statki ruszyły w różne strony. Arka zmierzała w stronę Układu Słonecznego, natomiast *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* planowały ominąć czterowymiarowy fragment i skierować się ku innemu układowi gwiezdnemu.

Żar buchający z reaktorów jądrowych rozświetlił rozrzedzony już pas pyłu i rzucił nań złotawoczerwony blask jak ciepły zachód słońca na Ziemi. Wszyscy, zarówno ci, którzy wracali do domu, jak i ci, którzy się od niego coraz bardziej oddalali, poczuli w oczach gorące łzy. Piękny, kosmiczny zachód słońca wkrótce zblakł i zniknął, a wszystko okryła wieczna noc.

Dwa ziarna ludzkiej cywilizacji nadal dryfowały w głębinach gwiezdnego morza. Cokolwiek los miał dla nich w zanadrzu, przynajmniej zaczynały od nowa.

Część III

7 rok ery nadawania

Cheng Xin

艾 AA powiedziała Cheng Xin, że jej oczy są jeszcze piękniejsze i jaśniejsze niż przedtem, i być może nie kłamała. Cheng Xin była wcześniej nieco krótkowzroczna, ale teraz widziała wszystko tak wyraźnie, jakby świat pomalowano świeżą warstwą farby.

Od ich powrotu z Australii minęło sześć lat, ale Wielkie Przesiedlenie i to, co nastąpiło potem, nie zostawiło na AA żadnego śladu. Była jak świeża, odporna roślina, po której gładkich i elastycznych liściach spływały wszystkie trudy przeszłości. Podczas tych sześciu lat firma Cheng Xin bardzo się rozwinęła pod jej kierownictwem i stała jednym z najważniejszych graczy na rynku budownictwa kosmicznego w przestrzeni blisko orbity. Ale AA wcale nie wyglądała na potężną szefową, przeciwnie – zachowała wygląd pełnej życia, radosnej młodej kobiety. Oczywiście w tej epoce nie było to niczym niezwykłym.

Tych sześć lat nie musnęło też Cheng Xin – spędziła je w hibernacji. Po powrocie z Australii zbadano jej wzrok i stwierdzono, że ślepota zaczęła się jako choroba psychosomatyczna, pod wpływem ogromnego stresu, ale później przerodziła się w odklejenie i obumarcie siatkówki. Zalecono sklonowanie i wszczepienie siatkówek z pobranych z jej DNA komórek macierzystych, ale zajęłoby to pięć lat. Skoro już i tak była w głębokiej depresji, pięć lat w całkowitej ciemności doprowadziłoby ją do całkowitego załamania, więc lekarze pozwolili jej poddać się hibernacji.

Świat naprawdę był odnowiony. Po otrzymaniu wiadomości o wysłaniu we Wszechświat transmisji na falach grawitacyjnych cała Ziemia świętowała. *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* stały się niemal mitycznymi statkami ocalenia, a członkowie ich załóg uwielbianymi superbohaterami. Oddalono oskarżenie *Błękitnej Przestrzeni* o popełnienie morderstwa podczas ponurych bitw i zastąpiono je stwierdzeniem, że po jej zaatakowaniu działała w samoobronie. Jednocześnie wychwalano jako bohaterów członków Ziemskiego Ruchu Oporu, który kontynuował beznadziejną walkę podczas Wielkiego Przesiedlenia. Gdy ci odziani w łachmany bojownicy pojawili się publicznie, wszyscy mieli łzy w oczach. *Błękitna Przestrzeń*, *Grawitacja* i Ruch Oporu stały się symbolami niezłomności ludzkiego ducha, a niezliczone rzesze ich wielbicieli wydawały się myśleć, że oni sami też nigdy nie stracili tego ducha.

Potem przystąpiono do działań odwetowych wobec Ziemskich Sił Bezpieczeństwa. Obiektywnie należy powiedzieć, że ZSB wyświadczyły więcej dobra niż Ruch Oporu. Udało się im uchronić wielkie miasta i podstawową infrastrukturę przed zniszczeniem. Chociaż robiły to na rzecz cywilizacji trisolariańskiej, ich wysiłki pozwoliły światu dość szybko podnieść się ekonomicznie po Wielkim Przesiedleniu. Podczas ewakuacji ludności świata Australia wielokrotnie omal nie pogrążyła się w wielkim chaosie z powodu braku żywności i elektryczności i to właśnie ZSB utrzymywały porządek i zapewniały dostawy, dzięki czemu umożliwiły zakończenie ewakuacji w cztery miesiące. Gdyby w tych burzliwych czasach nie było tam tej dobrze uzbrojonej armii, miałoby to niewyobrażalnie tragiczne konsekwencje. Jednak międzynarodowe trybunały powołane dla osądzenia ich zbrodni nie brały tych zasług pod uwagę. Wszystkich członków ZSB postawiono przed sądem, a połowę

z nich skazano za zbrodnie przeciw ludzkości. Podczas Wielkiego Przesiedlenia sporo narodów przywróciło karę śmierci, którą utrzymało nawet po powrocie z Australii. Podczas tych pięciu lat stracono wielu byłych członków ZSB.

W końcu powrócił spokój i ludzie zaczęli odbudowywać swoje życie. Ponieważ wielkie miasta i infrastruktura pozostały nieuszkodzone, nastąpiło szybkie odrodzenie. Po dwóch latach miasta usunęły blizny pozostawione przez czasy chaosu i osiągnęły dawny dobrobyt. Wszyscy zdawali się cieszyć życiem.

Ten spokój opierał się na jednym fakcie: kiedy Luo Ji przeprowadził pierwszy eksperyment z ciemnym lasem, od chwili przesłania w kosmos współrzędnych 187J3X1 do zniszczenia tej gwiazdy minęło sto pięćdziesiąt siedem lat. Odpowiadało to średniej długości ludzkiego życia w obecnych czasach. Oczywiście wskaźnik urodzin spadł do najniższego odnotowanego w dziejach poziomu, ponieważ nikt nie chciał sprowadzać dziecka na świat z góry skazany na zagładę, ale większość uważała, że będzie mogła przeżyć resztę życia w szczęściu i spokoju.

Moc transmisji na falach grawitacyjnych była dużo większa od siły przekazu radiowego wysłanego przez Luo Ji z wykorzystaniem Słońca jako wzmacniacza, ale ludzkość wkrótce znalazła nowe pocieszenie w kwestionowaniu wartości samej teorii ciemnego lasu.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Złudzenia na temat kosmicznego zagrożenia: ostatnia próba unieważnienia teorii ciemnego lasu

Przez sześćdziesiąt kilka lat, czyli przez całą erę odstraszania, teoria ciemnego lasu była tłem historii ludzkości. Ale naukowcy stale ją kwestionowali i aż do początku ery nadawania nie było żadnych naukowych dowodów na jej prawdziwość. Niewielu istniejącym świadectwom, które wydawały się potwierdzać tę tezę, brakowało niezbędnej ścisłej podstawy.

Pierwszym z nich był przeprowadzony przez Luo Ji eksperyment, który doprowadził do zniszczenia 187J3X1 i jej układu planetarnego. Przypuszczenie, że układ ten został unicestwiony przez jakąś pozaziemską inteligencję, zawsze budziło kontrowersje. Najgłośniejszy sprzeciw zgłaszała społeczność astronomów. W jej gronie przeważały dwa poglądy. Zwolennicy pierwszego z nich uważali, że zaobserwowany obiekt, który uderzył w tę gwiazdę z prędkością światła, miał zbyt małą energię, by ją zniszczyć. Śmierć 187J3X1 była zatem prawdopodobnie skutkiem

naturalnego procesu powstania supernowej, ale ponieważ dane sprzed zniszczenia były niekompletne, nie można było stwierdzić z całą pewnością, czy spełniała one niezbędne warunki dla stania się supernową. Ze względu na długi czas, który minął od nadania przez Luo Ji wiadomości o jej położeniu do wybuchu, istniało duże prawdopodobieństwo, że było to istotnie naturalne wydarzenie. Drugi obóz zgadzał się, że gwiazdę naprawdę unicestwił obiekt lecący z prędkością światła, ale ta „fotoida" mogła być naturalnym zjawiskiem w Galaktyce. Chociaż do tej pory nie odkryto drugiej fotoidy, zaobserwowano masywne obiekty rozpędzane do bardzo dużych prędkości przez naturalnie pojawiające się siły. Nadać małemu obiektowi prędkość podświetlną mogła na przykład potężna czarna dziura, która znajdowała się koło środka Galaktyki. Prawdę mówiąc, ten środek mógł wytwarzać dużą liczbę takich pocisków, ale z powodu ich małych rozmiarów rzadko je widywano.

Drugim tego typu świadectwem była groza, jaką napełniało Trisolarian odstraszanie groźbą powiadomienia ciemnego lasu. Był to dotychczas najbardziej przekonujący dowód poprawności teorii ciemnego lasu, ale ludzkość nie wiedziała, w jaki sposób Trisolarianie doszli do tego wniosku i na czym się opierali, więc z naukowego punktu widzenia nie można było tego uznać za bezpośredni dowód. Możliwe, że Trisolaris przyjęła stworzoną przez odstraszanie równowagę między nią i ludzkością z jakiegoś innego powodu i w końcu zrezygnowała z podboju Układu Słonecznego. Zaproponowano wiele hipotez w celu wyjaśnienia tego nieznanego powodu i chociaż żadna nie była bezdyskusyjna, żadnej nie można też było definitywnie odrzucić. Niektórzy naukowcy stworzyli teorię „złudzenia o kosmicznym prześladowaniu", która głosiła, że również Trisolarianie nie dysponowali żadnym dowodem na prawdziwość teorii ciemnego lasu, ale ponieważ ewoluowali w wyjątkowo surowym

środowisku, cierpieli na zbiorową manię prześladowczą. To złudzenie o prześladowaniu przywodziło na myśl średniowieczne religie na Ziemi i było jedynie wierzeniem większości Trisolarian.

Trzecim świadectwem było potwierdzenie teorii ciemnego lasu przez czterowymiarowy Pierścień. Najwyraźniej poznał on słowa „ciemny las” z systemu Rosetta, a konkretnie z działu, w którym omawiano historię ludzkości. Ten zwrot pojawiał się często w zapiskach pochodzących z ery odstraszania, więc nie było nic dziwnego w tym, że Pierścień go użył. Jednak część rozmowy zespołu badawczego z Pierścieniem, w której zostało przywołane to pojęcie, była bardzo krótka, a jej znaczenie niejasne. Nie można było na tej podstawie wnioskować, że Pierścień rzeczywiście rozumiał sens tych słów.

Od ery odstraszania badania teorii ciemnego lasu przekształciły się w samodzielną dyscyplinę. Poza rozważaniami teoretycznymi naukowcy prowadzili intensywne obserwacje astronomiczne i tworzyli liczne modele matematyczne. Jednak dla większości społeczności naukowej teoria ta pozostawała hipotezą, której nie można było ani udowodnić, ani obalić. Naprawdę wierzyli w nią politycy, natomiast zwykli ludzie dawali jej wiarę lub nie w zależności od swojej sytuacji. Z nastaniem ery nadawania coraz więcej osób skłaniało się do traktowania teorii ciemnego lasu jako złudzenia o kosmicznym prześladowaniu.

7 rok ery nadawania

Cheng Xin

Kiedy opadł kurz, ludzkość odwróciła uwagę od wiadomości wysłanej w kosmos i zaczęła się zastanawiać nad końcem ery odstraszania. Pojawił się istny zalew oskarżeń i potępień Dzierżycielki Miecza. Gdyby Cheng Xin uruchomiła nadajnik na początku ataku kropli, uniknięto by co najmniej katastrofy, jaką było Wielkie Przesiedlenie. Jednak większość negatywnych opinii koncentrowała się na procesie wyboru Dzierżyciela Miecza.

Był to skomplikowany proces – opinia publiczna wywarła presję na ONZ i Flotę Międzynarodową. Żywo debatowano nad tym, kto ostatecznie ponosi winę za ten wybór, ale prawie nikt nie twierdził, że był to wynik podyktowany przez stadną mentalność wszystkich, którzy brali w tym udział. Opinia publiczna była względnie pobłażliwa wobec samej Cheng Xin. W pewnym stopniu chronił ją jej pozytywny wizerunek, a cierpienia, których zaznała jako zwykła osoba podczas Wielkiego Przesiedlenia, przysporzyły jej nieco sympatii. Większość ludzi przychylała się do zdania, że ona też była ofiarą.

Ogólnie rzecz biorąc, decyzja Dzierżycielki Miecza o kapitulacji sprawiła, że historia wzięła duży zakręt, ale nie zmieniła kierunku. W końcu wiadomość została wysłana we Wszechświat, więc ostatecznie dyskusje o tym okresie dziejów ludzkości ucichły. Cheng Xin powoli zniknęła z publicznej świadomości. Najważniejsze było cieszyć się życiem.

Ale dla Cheng Xin samo życie stało się niekończącą się męką. Chociaż odzyskała wzrok, jej serce pozostało w ciemności, pogrążone w morzu rozpaczy. Wprawdzie jej wewnętrzny ból nie był już tak palący jak wcześniej, ale nie widać było jego końca. Każda komórka jej ciała wydawała się pogrążona w cierpieniu i przygnębieniu i Cheng Xin nie mogła przypomnieć sobie żadnego słonecznego dnia w swoim życiu. Z nikim nie rozmawiała, nie szukała wiadomości o tym, co się dzieje na świecie, nie zwracała nawet uwagi na swoją rosnącą firmę. AA dbała o nią, ale była stale zajęta, więc mogła z nią spędzać mało czasu. Jedyną osobą zapewniającą jej wsparcie, którego tak bardzo potrzebowała, był Fraisse.

W ponurym okresie pod koniec Wielkiego Przesiedlenia wywieziono go razem z AA z Australii. Przez pewien czas mieszkał w Szanghaju, ale nie zaczekawszy na koniec ewakuacji, wrócił do domu koło Warburton. Kiedy do Australii powróciła normalność, podarował go władzom, by urządziły w nim muzeum kultury Aborygenów. Sam przeniósł się do lasu, zbudował sobie mały szałas i wiódł prymitywne życie jak jego przodkowie. Chociaż żył na powietrzu, jego kondycja fizyczna zdawała się poprawiać. Jedynym współczesnym urządzeniem, jakie posiadał, był telefon komórkowy, z którego kilka razy dziennie dzwonił do Cheng Xin.

Te rozmowy składały się z kilku prostych zdań:

– Dziecko, tutaj wschodzi słońce.

– Dziecko, zachód słońca jest tu wspaniały.

– Dziecko, przez cały dzień sprzątałem gruz po dawnych schroniskach. Chciałbym, żeby pustynia wróciła do dawnego stanu.

– Dziecko, pada deszcz. Pamiętasz zapach wilgotnego powietrza na pustyni?

Między strefą czasową Australii i Chin była dwugodzinna różnica i stopniowo Cheng Xin przywykła do dziennego rytmu życia Fraisse’a. Za

każdym razem gdy słyszała głos starca, wyobrażała sobie, że ona też mieszka w tym dalekim, otoczonym pustynią lesie, chroniona ciszą, która trzyma resztę świata na dystans.

Pewnej nocy Cheng Xin wyrwał ze snu dźwięk telefonu. Zobaczyła, że dzwoni Fraisse. W Chinach była 1.14, w Australii 3.14. Fraisse wiedział, że Cheng Xin cierpi na bezsenność i bez pomocy generatora snu może wypocząć tylko dwie do trzech godzin w ciągu nocy. Nie przeszkadzałby jej, gdyby nie było to nic pilnego.

– Dziecko, wyjdź i spójrz na niebo – powiedział z niepokojem.

Cheng Xin wiedziała już, że dzieje się coś niezwykłego. Miała koszmarny sen. Śnił się jej ogromny grób pośrodku równiny spowitej ciemnością nocy. Z grobu wydobywał się niebieskawy blask i oświetlał ziemię wokół niego…

Taką właśnie niebieskawą poświatę widać było na zewnątrz.

Wyszła na balkon i zobaczyła na niebie niebieską gwiazdę, jaśniejszą od wszystkich pozostałych. Jej stałe położenie odróżniało ją od krążących po orbitach wokół Ziemi obiektów stworzonych przez człowieka. Gwiazda ta znajdowała się poza Układem Słonecznym. Jej jasność stale się zwiększała i nawet przyćmiła światła miasta, a budynki, które zalał jej blask, rzucały na ziemię cienie. Po około dwóch minutach stała się jaśniejsza niż księżyc w pełni. Nie można już było patrzeć wprost na nią, a kolor światła przeszedł w ostrą biel i w mieście zrobiło się widno jak w dzień.

Cheng Xin rozpoznała tę gwiazdę. Przez prawie trzy stulecia ludzie patrzyli na nią częściej niż na jakiekolwiek inne miejsce na niebie.

W liściowym budynku obok ktoś krzyknął i dobiegł stamtąd dźwięk jakiegoś przedmiotu roztrzaskującego się na podłodze.

Potem gwiazda zaczęła ciemnieć. Z bieli przeszła stopniowo w czerwień, a pół godziny później zgasła.

Cheng Xin nie wzięła ze sobą telefonu, ale przypłynęło za nią okno komunikacyjne. Nadal słyszała głos Fraisse’a, który odzyskał zwykły spokój i nutę transcendencji.

– Dziecko, nie bój się. Stanie się, co ma się stać.

Miły sen się skończył: wraz z anihilacją Trisolaris teoria ciemnego lasu uzyskała ostateczne potwierdzenie.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Nowy model ciemnego lasu

Trisolaris została unicestwiona trzy lata i dziesięć miesięcy po rozpoczęciu ery nadawania. Nikt się nie spodziewał, że atak nastąpi tak szybko po transmisji na falach grawitacyjnych.

Trisolaris zawsze była pod obserwacją, więc przechwycono mnóstwo danych dotyczących jej zagłady. Atak na nią był identyczny jak atak na wybraną przez Luo Ji 187J3X1 – mały obiekt lecący z prędkością bliską prędkości światła uderzył w jedną z trzech gwiazd układu i zniszczył ją dzięki względnie zwiększonej masie. W tamtym momencie Trisolaris właśnie zaczęła krążyć wokół tej gwiazdy, więc jej wybuch położył kres istnieniu planety.

Gdy *Grawitacja* nadawała wiadomość na falach grawitacyjnych, znajdowała się około trzech lat świetlnych od Trisolaris. Skoro fale grawitacyjne rozchodziły się z prędkością światła, było pewne, że ta fotoida musiała zostać wystrzelona z punktu, który był jeszcze bliżej od Trisolaris niż *Grawitacja*, i że musiało się to stać niemal natychmiast po otrzymaniu współrzędnych planety. Ślad fotoidy przechodzącej przez obłok pyłu międzygwiezdnego koło Trisolaris został wprawdzie dokładnie zarejestrowany przez ziemskie obserwatoria, ale w tym rejonie przestrzeni

nie było żadnego innego układu gwiezdnego, co prowadziło do wniosku, że został on wystrzelony ze statku kosmicznego.

Stary model teorii ciemnego lasu opierał się na założeniu, że ataki na układy słoneczne, których współrzędne zostały ujawnione, muszą być przeprowadzane z innych układów planetarnych. Ale kiedy okazało się, że w grę wchodzi również napaść ze statku kosmicznego, sytuacja bardzo się skomplikowała. Położenie gwiazd było w miarę dobrze znane, ale ludzkość nie miała żadnych informacji o statkach zbudowanych przez inne inteligencje, poza flotą trisolariańską. Ile pozaziemskich statków krążyło w kosmosie? Jak gęsto były rozmieszczone? Jak szybko latały? Dokąd się kierowały? Na te pytania nie było odpowiedzi.

Nie można już było przewidzieć możliwych źródeł ataku sił grasujących w ciemnym lesie, a do tych ataków mogło dojść dużo wcześniej, niż poprzednio sobie wyobrażano. Oprócz ocalałych gwiazd układu trisolariańskiego najbliższa znajdowała się sześć lat świetlnych od Układu Słonecznego. Ale podobne do duchów statki obcych mogły już przelatywać obok Słońca. Śmierć, niegdyś postać na horyzoncie, teraz wyłaniała się tuż przed naszymi oczami.

7 rok ery nadawania

Sofona

Ludzkość stała się po raz pierwszy świadkiem zagłady cywilizacji i uświadomiła sobie, że taki sam los może w każdej chwili spotkać Ziemię. Zagrożenie ze strony Trisolaris, które utrzymywało się przez prawie trzy stulecia, zniknęło w ciągu jednej nocy, ale zastąpiło je nowe, ze strony jeszcze bardziej okrutnego Wszechświata.

Mimo to, wbrew oczekiwaniom, nie wybuchła masowa histeria. W obliczu katastrofy w miejscu odległym o cztery lata świetlne ludzkie społeczeństwo zachowało dziwny spokój. Wszyscy zdawali się czekać, ale nikt nie wiedział na co.

Chociaż od czasów Wielkiego Jaru historia wykonała wiele dużych zakrętów, ogólnie ludzkość zawsze żyła w bardzo demokratycznym ustroju, zapewniającym wszystkim dobrobyt. Od dwustu lat rodzaj ludzki żywił podświadomie nadzieję, że bez względu na to, jak zły obrót przybiorą sprawy, znajdzie się *ktoś*, kto o niego zadba. Wiara w to niemal się załamała podczas Wielkiego Przesiedlenia, ale w ów najczarniejszy ranek przed sześcioma laty zdarzył się cud.

Teraz wszyscy czekali na drugi.

Trzeciego dnia po zniszczeniu Trisolaris Sofona zaprosiła Cheng Xin i Luo Ji na herbatę. Powiedziała, że nie ma żadnych ukrytych motywów. W końcu byli starymi znajomymi i stęskniła się za nimi.

Spotkaniem tym bardzo zainteresowały się ONZ i Flota Międzynarodowa. Dominujący w społeczeństwie nastrój zagubienia i oczekiwania był potencjalnie bardzo niebezpieczny. Ludzkie społeczeństwo było kruche jak zamek z piasku na plaży, który mogła zburzyć lada wichura. Przywódcy chcieli, by dwoje byłych Dzierżycieli Miecza wydobyło z Sofony jakieś informacje, które pokrzepiłyby ludzi. Na zwołanym w tej sprawie nadzwyczajnym zebraniu ROP ktoś zasugerował Cheng Xin i Luo Ji, że nawet gdyby nie usłyszeli od Sofony żadnych rewelacji, może dobrze by było jakieś sfabrykować.

Po wiadomości wysłanej przed sześcioma laty we Wszechświat Sofona wycofała się z życia publicznego. Wprawdzie pojawiała się od czasu do czasu na forum publicznym, ale tylko jako tuba Trisolaris. Wciąż mieszkała w eleganckim domu wiszącym na gałęzi drzewa, ale prawdopodobnie przez większość czasu pozostawała w trybie czuwania.

Cheng Xin spotkała się z Luo Ji na konarze prowadzącym do lokum Sofony. Podczas Wielkiego Przesiedlenia Luo Ji związał się z Ruchem Oporu. Chociaż nie kierował żadnymi akcjami ani nie brał w nich osobiście udziału, był dla jego członków największym duchowym wsparciem. Ziemskie Siły Bezpieczeństwa i krople robiły wszystko, by go znaleźć i zlikwidować, ale jakoś zawsze udawało mu się wymknąć. Nie mogły go namierzyć nawet sofony.

W oczach Cheng Xin Luo Ji miał tę samą co wcześniej wyniosłą, zimną postawę. Poza tym, że w podmuchach wiatru jego włosy i broda wydawały się jeszcze bielsze, minionych siedem lat nie zostawiło na nim żadnego śladu. Uśmiechnął się do niej bez słowa i od razu zrobiło się jej cieplej na sercu. Luo Ji przypominał jej Fraisse’a. Chociaż całkowicie się od siebie różnili, obaj promieniowali siłą z epoki powszechnej i napełniali Cheng Xin poczuciem, że w tych dziwnych nowych czasach można się było na nich

wesprzeć jak na opoce. Tę siłę miał też Wade, inny mężczyzna z ery powszechnej, na którym, chociaż był zły i groźny jak wilk i o mało jej nie zabił, również mogła polegać. Było to dziwne uczucie.

Sofona powitała ich przed domem. Ponownie miała na sobie wspaniałe kimono, a w upiętych w kok włosach świeże kwiaty. Nie było w niej już nic ze złowrogiego ninja w stroju maskującym – znowu stała przed nimi kobieta podobna do rozwijającego się pąka kwiatu.

– Witam, witam! Chciałam złożyć wizytę w waszej wspaniałej siedzibie, ale wówczas nie mogłabym należycie was podjąć i poprowadzić drogą herbaty. Pokornie proszę o wybaczenie. Jestem szczęśliwa, że mogę się z wami spotkać.

Sofona złożyła im ukłon, a jej słowa były tak samo łagodne i ciche jak za pierwszym razem, gdy Cheng Xin się z nią spotkała. Poprowadziła ich dwoje przez bambusowy gaj na dziedziniec, a potem przez drewniany mostek nad tryskającym ze źródełka strumykiem do salonu, który wyglądał jak pawilon. Usiedli na tatami i Sofona zaczęła wyjmować przyrządy do ceremonii herbaty. Czas płynął niespiesznie, a na błękitnym niebie na zewnątrz rozwijały się obłoki.

Gdy Cheng Xin przyglądała się pełnym gracji ruchom Sofony, ogarniały ją mieszane uczucia.

Owszem, mogła ona (czy też oni?) zetrzeć ich z powierzchni Ziemi i kilka razy niemal się to udało, ale za każdym razem ludzkość dzięki uporowi, przebiegłości i szczęściu wymykała się ze szczęk zagłady i przekuwała na pozór pewną klęskę w zwycięstwo. Po trzystuletnim marszu ku nowemu miejscu osiedlenia Sofona uzyskała tylko tyle, że zobaczyła, jak jej rodzinna planeta ginie w morzu ognia.

Wiedziała, że Trisolaris zostało zniszczone przed czterema laty. Trzy dni wcześniej, kiedy światło wybuchu dotarło na Ziemię, wygłosiła krótkie

publiczne przemówienie. Opowiedziała w prostych słowach o zagładzie swego świata, nie osądzając tego, co stało się jej przyczyną – nadania na falach grawitacyjnych przez dwa należące do ludzkości statki informacji o jego położeniu. Wiele osób przypuszczało, że przed czterema laty, kiedy unicestwiono Trisolaris, ci, którzy kierowali nią z miejsca odległego o cztery lata świetlne, zginęli w płomieniach, i że teraz zapewne wykonuje polecenia floty trisolariańskiej. Podczas całej przemowy zachowywała spokój. Nie była to drętwota, z jaką zachowywała się, kiedy była tylko tubą swych twórców, lecz oświadczenie tych, którzy panowali nad jej duszą i duchem, manifestacja godności i szlachetności w obliczu kataklizmu, jakiej ludzkość nie mogła dorównać. Teraz ludzie czuli podziw dla cywilizacji, która utraciła rodzinną planetę.

Ze skąpych informacji uzyskanych od sofonów i z ziemskich obserwatoriów wyłonił się przybliżony obraz zniszczenia Trisolaris.

Gdy doszło do katastrofy, na Trisolaris panowała era stabilności, planeta krążyła wokół jednej z gwiazd układu, oddalona od niej o około 0,6 jednostki astronomicznej. Fotoida uderzyła w tę gwiazdę i wybiła dziurę w jej fotosferze oraz strefie konwektywnej. Dziura ta miała prawie pięćdziesiąt tysięcy kilometrów średnicy, czyli tyle, że można by w niej umieścić obok siebie cztery Ziemie. Czy to przez przypadek, czy w wyniku celowej decyzji napastnika, fotoida uderzyła akurat w punkt linii, która przecinała płaszczyznę ekliptyki Trisolaris. Oczom obserwatorów oglądających to zdarzenie z powierzchni planety ukazała się niezwykle jasna plama na słońcu. Z jądra gwiazdy buchnęło przez tę dziurę niczym z otwartych drzwi pieca hutniczego silne promieniowanie, które przeszło przez strefę konwektywną, fotosferę i chromosferę i padło wprost na planetę. W ciągu paru sekund wszystkie formy życia wystawione na to promieniowanie zostały usmażone jak frytki.

Potem z jądra słońca wystrzelił materiał, który utworzył ognisty pióropusz o szerokości pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. Miał temperaturę dziesiątków milionów stopni i chociaż jego część spadła pod wpływem siły grawitacji z powrotem na powierzchnię słońca, pozostała osiągnęła prędkość ucieczki i poleciała w kosmos. Z Trisolaris wyglądało to tak, jakby na powierzchni tego słońca wyrosło wielkie drzewo ognia. Mniej więcej cztery godziny później wyrzucona materia słoneczna znalazła się o 0,6 jednostki astronomicznej od słońca i czubek drzewa przeciął orbitę Trisolaris. Po następnych dwóch godzinach krążąca wokół słońca planeta dotarła na wierzchołek tego drzewa ognia i jeszcze przez trzydzieści minut przechodziła przez tę rozżarzoną materię. W tym czasie mogła równie dobrze przechodzić przez środek słońca, bo nawet po przebyciu długiej drogi w zimnie kosmosu wyrzucona materia miała temperaturę setek tysięcy stopni. Gdy Trisolaris wyłoniła się z tego ognistego drzewa, jarzyła się przyćmioną czerwienią. Cała jej powierzchnia była w stanie ciekłym, planetę pokrywał ocean lawy. Ciągnęła się za nią długa smuga – para z wygotowanych oceanów. Wiatr słoneczny rozwiewał tę smugę, wskutek czego planeta wyglądała jak kometa z długim ogonem.

Wszelkie ślady życia na Trisolaris zniknęły, ale była to dopiero pierwsza faza kataklizmu.

Wyrzucona ze słońca materia popchnęła planetę. Po przejściu przez tę materię Trisolaris zwolniła, a jej orbita wokół słońca się obniżyła. Drzewo ognia działało jak wyciągnięte szpony i z każdym okrążeniem ściągało planetę coraz bardziej w dół. Po około dziesięciu kolejnych okrążeniach Trisolaris spadnie na słońce i tym samym zakończy się kosmiczny mecz piłki nożnej rozgrywany przez trzy słońca. Ale i to słońce nie przetrwa wystarczająco długo, by ujrzeć się w roli zwycięzcy.

Wybuch na słońcu obniżył też temperaturę jego wnętrza, spowalniając czasowo przebieg reakcji w jądrze. Słońce szybko pociemniało i widać było tylko jego zamglony zarys. Natomiast potężne ogniste drzewo wyrastające z jego powierzchni wyglądało jeszcze bardziej okazale, niczym ostra rysa na atramentowoczarnym tle Wszechświata. Osłabnięcie reakcji termojądrowej oznaczało, że promieniowanie jądra nie wywierało już dostatecznego nacisku na skorupę, która pod wpływem ciężaru zaczęła się zapadać i spowodowała ostatni wybuch.

To był ów widok, który ludzie na Ziemi zobaczyli przed trzema dniami.

Wybuch słońca zniszczył wszystko, co znajdowało się w układzie planetarnym: ogromna większość próbujących uciec statków i habitatów kosmicznych po prostu wyparowała. Ocalało tylko kilka nielicznych jednostek, które miały szczęście znaleźć się za dwoma pozostałymi słońcami niczym za tarczami.

Potem dwa pozostałe słońca utworzyły podwójny układ gwiazd, ale nie było już nikogo, kto mógłby podziwiać regularne wschody i zachody słońca. Ze zwęglonych szczątków rozerwanej gwiazdy i spalonego Trisolaris powstały wokół dwóch słońc dwa rozległe dyski akrecyjne niczym szare cmentarzyska.

– Ilu uciekło? – zapytała cicho Cheng Xin.

– Wliczając w to oddalone od domu floty, nie więcej niż jedna tysięczna Trisolarian. – Odpowiedź Sofony była jeszcze cichsza niż pytanie Cheng Xin. Skupiona na ceremonii parzenia herbaty, nie podniosła nawet głowy.

Cheng Xin miała dużo więcej do powiedzenia, jak kobieta kobiecie, ale należała do rodzaju ludzkiego i nie mogła przekroczyć przepaści, która teraz dzieliła ją od Sofony. Uciekła się do pytań, o których zadanie poprosili ją światowi przywódcy. Rozmowa, która się wtedy wywiązała,

przeszła do historii pod nazwą Rozmowy Drogi Herbaty i bardzo zmieniła jej bieg.

– A my ile jeszcze mamy czasu? – zapytała Cheng Xin.

– Nie potrafimy powiedzieć. Atak może nastąpić w każdej chwili. Ale z probabilistyki wynika, że powinniście mieć go nieco więcej, może nawet od stu do dwustu lat, jak w pana ostatnim eksperymencie. – Sofona zerknęła na Luo Ji, a potem usiadła prosto, z kamiennym wyrazem twarzy.

– Ale…

– Trisolaris była w innej sytuacji niż Układ Słoneczny. Przede wszystkim przekaz zawierał tylko współrzędne naszej planety. Odkrycie na tej podstawie istnienia Ziemi wymaga zbadania zapisu rozmów pomiędzy tymi dwoma światami z okresu trzystu lat. Tak się na pewno stanie, ale to potrwa. Co więcej, z daleka układ trisolariański wydawał się dużo groźniejszy od Układu Słonecznego.

Zaskoczona Cheng Xin spojrzała na Luo Ji, ale ten w żaden sposób na to nie zareagował.

– Dlaczego? – zapytała.

Sofona potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Tego nigdy nie będziemy wam mogli wyjaśnić.

Cheng Xin powróciła do zaplanowanych pytań.

– W obu atakach, których byliśmy świadkami, użyto fotoid do uderzenia w gwiazdy. Czy to powszechna metoda? Czy przyszły atak na Układ Słoneczny będzie podobny?

– Napaści ze strony ciemnego lasu mają dwie cechy wspólne. Po pierwsze, są nonszalanckie, po drugie, ekonomiczne.

– Proszę to rozwinąć.

– Te ataki nie są działaniami bojowymi w jakiejś wojnie międzygwiezdnej, lecz wygodnym sposobem usuwania możliwych

zagrożeń. Przez „nonszalanckie” rozumiem to, że jedynym powodem do ataku jest ujawnienie położenia celu. Przed jego przypuszczeniem nie prowadzi się żadnego rozpoznania ani badań. Dla supercywilizacji takie działania są kosztowniejsze niż uderzenie na ślepo. Przez „ekonomiczne” rozumiem, że ataku dokonuje się najtańszą metodą, przy użyciu małego pocisku uruchamiającego destrukcyjny potencjał istniejący już w układzie gwiezdnym, który jest celem.

– Energię we wnętrzach gwiazd.

Sofona kiwnęła głową.

– To właśnie widzieliśmy.

– Można się przed tym jakoś obronić?

Sofona uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Cały Wszechświat jest pogrążony w ciemności, ale my pozostajemy oświetleni – powiedziała cierpliwie, jakby tłumaczyła to dziecku. – Jesteśmy małym ptaszkiem przywiązanym do gałęzi w ciemnym lesie, na który skierowany jest reflektor. Atak może nastąpić w każdej chwili, z każdej strony.

– Ale z dwóch ataków, które widzieliśmy, wynika, że można by znaleźć jakiś sposób biernej obrony. Nawet niektórym statkom trisolariańskim udało się przetrwać w waszym macierzystym układzie dzięki temu, że schowały się za inne słońca.

– Uwierzcie mi, proszę, że ludzie nie mają szansy, by przeżyć uderzenie. Nie macie wyboru – musicie stąd uciec.

– I stać się uchodźcami wśród gwiazd? Poza tym nie jesteśmy w stanie zabrać stąd nawet jednej tysięcznej mieszkańców.

– To i tak lepsze niż unicestwienie całego rodzaju.

„Nie w naszym systemie wartości” – pomyślała Cheng Xin, ale nic nie powiedziała.

– Nie mówmy już o tym. Proszę, nie zadawaj więcej pytań. Powiedziałam wam wszystko, co mogłam. Zaprosiłam przyjaciół na herbatę.

Sofona ukłoniła się obojgu, a potem podała im po czarce zielonej herbaty.

Cheng Xin miała na liście dużo więcej pytań. Pragnęła je zadać, ale wiedziała, że nic z tego nie będzie, więc przyjęła czarkę.

Luo Ji, który dotąd nie odezwał się ani słowem, wydawał się całkowicie odprężony. Sprawiał wrażenie, że dobrze zna drogę herbaty. Podniósł czarkę lewą ręką i trzykrotnie obrócił ją prawą dłonią, zanim pociągnął pierwszy łyk. Pił powoli, pozwalając, by czas upływał w milczeniu, i nie skończył, aż zachodzące słońce zabarwiło na żółto obłoki za oknami. Powoli odstawił czarkę i wypowiedział pierwsze słowa:

– Czy ja też mogę o coś zapytać?

To, że Trisolarianie darzyli Luo Ji szacunkiem, widać było po postawie Sofony. Cheng Xin zauważyła już na początku spotkania, że podczas gdy wobec niej Sofona była łagodna i przyjazna, do Luo Ji odnosiła się z nabożnym lękiem. Gdy patrzyła na niego, jej oczy zdradzały to uczucie. Zawsze siadała dalej od niego niż od Cheng Xin i składała mu głębszy ukłon.

W odpowiedzi na jego pytanie znowu się ukłoniła.

– Proszę poczekać – powiedziała.

Spuściła wzrok i siedziała nieruchomo, jakby była głęboko pogrążona w myślach… Cheng Xin wiedziała, że na oddalonych o kilka lat świetlnych statkach floty Trisolarianie kierujący Sofoną prowadzili zażartą dyskusję. Po dwóch minutach Sofona otworzyła oczy.

– Czcigodny Luo Ji, może pan zadać jedno pytanie. Mogę tylko udzielić odpowiedzi twierdzącej, przeczącej albo powiedzieć, że nie wiem.

Luo Ji ponownie odstawił czarkę, ale Sofona podniosła rękę, by zaczekał.

– Nasz świat robi to w geście szacunku dla pana. Powiem prawdę, nawet gdyby moja odpowiedź mogła zaszkodzić Trisolaris. Ale może pan zadać tylko jedno pytanie, a moja odpowiedź będzie zgodna z jedną z tych trzech możliwości. Proszę, by się pan dobrze zastanowił, zanim pan je zada.

Cheng Xin spojrzała z niepokojem na Luo Ji, ale on nie namyślał się ani chwili.

– Zastanowiłem się – powiedział zdecydowanym tonem. – A oto moje pytanie. Skoro obserwowane z daleka Trisolaris w jakiś sposób okazywało, że może być groźne, to czy można jakoś pokazać Wszechświatu, że dana cywilizacja jest nastawiona pokojowo i nie stanowi dla nikogo zagrożenia, i dzięki temu uniknąć ciosu wyprowadzonego z ciemnego lasu? Czy ziemska cywilizacja może wysłać takie zawiadomienie o tym, że nikomu nie zagraża, taką – powiedzmy – „gwarancję bezpieczeństwa”?

Sofona długo nie odpowiadała. Znowu siedziała nieruchomo, ze spuszczonymi oczami. Cheng Xin wydawało się, że czas nigdy jeszcze nie płynął tak wolno. Z każdą sekundą zmniejszała się jej nadzieja i nabierała coraz większej pewności, że odpowiedź Sofony będzie brzmiała: „Nie” albo „Nie wiem”. Nagle jednak tamta podniosła wzrok na Luo Ji – nigdy wcześniej nie ośmieliła się spojrzeć mu prosto w oczy – i odparła bez wahania:

– Tak.

– Jak? – Cheng Xin nie mogła się powstrzymać.

Sofona spojrzała w bok, potrząsnęła głową i ponownie napełniła czarki.

– Nie mogę powiedzieć wam nic więcej. Naprawdę. Już nigdy nie będę mogła wam nic powiedzieć.

Rozmowa Drogi Herbaty dała ludzkości drobny promyk nadziei: by uniknąć ciosów z ciemnego lasu, można było wysłać w kosmos komunikat o tym, że nikomu się nie zagraża.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Kosmiczna gwarancja bezpieczeństwa: samotne dzieło sztuki performatywnej

Po upublicznieniu rozmowy Cheng Xin i Luo Ji z Sofoną wszyscy zaczęli się zastanawiać, jak wysłać gwarancję bezpieczeństwa. Napłynęły niezliczone propozycje ze źródeł tak dostojnych jak Światowa Akademia Nauk i tak skromnych jak szkoły podstawowe. Chyba po raz pierwszy w historii cały rodzaj ludzki skupił energię umysłową na tym samym problemie praktycznym.

Im więcej nad tym myślano, tym głębszą ta gwarancja bezpieczeństwa stawała się zagadką.

Autorów wszystkich propozycji można było podzielić na dwie szerokie kategorie: obóz deklaracji i obóz samouszkodzeń.

Obóz deklaracji, jak można się domyślić z jego nazwy, opowiadał się za wysłaniem we Wszechświat przekazu informującego o nieszkodliwości ziemskiej cywilizacji. Wysiłki kierował głównie na znalezienie właściwego sformułowania tego przekazu. Jednak w oczach większości przyjmował głupie założenie. Bez względu na to, jak zręcznie udałoby się ułożyć taką wiadomość, czy ktoś w bezdusznym Wszechświecie by w nią uwierzył?

Niezbędnym wymogiem skuteczności gwarancji bezpieczeństwa było to, by niezliczone cywilizacje kosmiczne zaufały jej nadawcom.

Obóz samouszkodzeń był wyrazicielem poglądów większości. Należące do niego osoby twierdziły, że gwarancja bezpieczeństwa musi odpowiadać prawdzie, co oznaczało, że trzeba było nie tylko o tym „mówić", ale również „działać", przy czym „działanie" było ważniejsze. Ludzkość musiała zapłacić pewną cenę za życie w ciemnym lesie i przekształcić ziemską cywilizację w naprawdę bezpieczną. Innymi słowy, musiała dokonać samouszkodzeń, by wyeliminować możliwość, że stanie się potencjalnym zagrożeniem dla innych.

Większość planów samouszkodzenia koncentrowała się na technologii, a ich twórcy głosili, że ludzkość musi cofnąć się z epoki kosmicznej i informacyjnej do czasów nisko rozwiniętej technologii, być może oprzeć się na elektryczności i silniku spalinowym, jak było pod koniec dziewiętnastego wieku, albo nawet do społeczeństwa agrarnego. Wskutek szybkiego spadku globalnej liczby ludzi plany takie były możliwe do zrealizowania. W takim przypadku gwarancja bezpieczeństwa nie byłaby niczym więcej niż ogłoszeniem, że ziemska technologia jest na niskim poziomie.

Bardziej ekstremalni członkowie obozu samouszkodzenia proponowali umysłowe ograniczenie. Za pomocą narkotyków czy innych środków neuromanipulacji ludzie mogliby obniżyć inteligencję. Co więcej, drogą manipulacji genetycznych można było sprawić, że ten niski poziom inteligencji utrzymałby się w przyszłych pokoleniach. Skutkiem tego społeczeństwo niezaawansowane technologicznie wyłoniłoby się w sposób naturalny. Według zwolenników tego rozstrzygnięcia gwarancja bezpieczeństwa byłaby równoznaczna z ujawnieniem niskiej inteligencji ludzkości.

Pojawiły się też inne pomysły. Na przykład obóz samoodstraszania nawoływał do zbudowania systemu, który po uruchomieniu nie podlegałby ludzkiej kontroli. Monitorowałby on ludzkość w poszukiwaniu zachowań niezgodnych z jej samozwańczą, niezagrażającą nikomu naturą i po ich wykryciu wszczął procedurę zniszczenia świata.

Był to prawdziwy konkurs wyobraźni. O uwagę słuchaczy rywalizowały niezliczone plany, niektóre subtelne, inne dziwne, jeszcze inne złowrogie i przerażające jak sekty.

Ale żaden z tych planów nie uwzględniał istoty gwarancji bezpieczeństwa.

Jak wskazała Sofona, jedną z najważniejszych charakterystycznych cech ataków wyprowadzanych z głębi ciemnego lasu była nonszalancja. Napastnik nie zadawał sobie trudu, by przyjrzeć się z bliska celowi. Wszystkie te plany przypominały dzieło sztuki performatywnej realizowane bez udziału publiczności. Bez względu na to, jak szczere byłoby to dzieło, nie zobaczyłby go nikt oprócz jego twórcy. Nawet przy najbardziej optymistycznym założeniu, że niektóre cywilizacje chciałyby niczym czuli rodzice obserwować z bliska cywilizację ziemską, a być może umieściłyby w Układzie Słonecznym na długi czas podobny do sofonów sprzęt monitorujący, stanowiłyby one tylko drobny ułamek ogólnej liczby cywilizacji we Wszechświecie. Dla większości cywilizacji Słońce było tylko odległą o wiele lat świetlnych mdłą plamką bez żadnych wyróżniających je szczegółów. Taka była matematyczna rzeczywistość kosmicznego ciemnego lasu.

Niegdyś, gdy ludzie byli dużo bardziej naiwni, niektórzy naukowcy uważali, że można odkryć odległe cywilizacje w drodze obserwacji astronomicznych, na przykład przez absorpcję sygnatur spektralnych tlenu, dwutlenku węgla i pary wodnej w atmosferze egzoplanetarnej czy emisje

fal elektromagnetycznych. Występowali nawet z tak dziwacznymi pomysłami jak szukanie śladów istnienia sfer Dysona. Ale znaleźliśmy się we Wszechświecie, w którym każda cywilizacja stara się ukryć przed innymi. Jeśli w jakimś odległym układzie słonecznym nie odkryto żadnych oznak inteligencji, możliwe jest, że jej tam faktycznie nie ma, ale równie możliwe jest, że naprawdę dojrzała.

Gwarancja bezpieczeństwa była w rzeczywistości transmisją skierowaną do całego Wszechświata i musiała dawać ludziom pewność, że wszyscy słuchacze w nią uwierzą.

Weźmy jakąś odległą gwiazdę, ledwie widoczną plamkę. Każdy, kto by przypadkiem na nią spojrzał, powiedziałby: „O, ta gwiazda nam nie zagraża”. Taki skutek musiałaby odnieść kosmiczna gwarancja bezpieczeństwa.

To było absolutnie niemożliwe.

A oto inna tajemnica, której, jak się wydawało, nikomu nie udało się rozwikłać: dlaczego Sofona nie powiedziała ludzkości, jak nadać taką gwarancję bezpieczeństwa?

Było zrozumiałe, że pozostali przy życiu przedstawiciele cywilizacji trisolariańskiej nie przekażą już ludzkości żadnej technologii. Po nadaniu komunikatu na falach grawitacyjnych oba światy musiały stawić czoło wrogości całej Galaktyki, nawet całego Wszechświata. Żaden z nich nie był już największym zagrożeniem dla drugiego, a Trisolarianie nie mieli czasu dla Ziemi. W miarę oddalania się ich floty związek między tymi dwiema cywilizacjami stał się jeszcze słabszy. Ale o pewnej rzeczy nie mogli zapomnieć ani Trisolarianie, ani Ziemianie – wszystko, co się wydarzyło, zaczęli ci pierwsi. To oni zaczęli inwazję na Układ Słoneczny, to oni próbowali, choć się im nie udało, popełnić ludobójstwo. Gdyby Ziemi udało się dokonać wielkiego skoku technologicznego, zemsta byłaby

nieuchronna. Było prawdopodobne, że ludzie podążą za Trisolarianami, gdziekolwiek ci znajdą sobie nowy dom wśród gwiazd, i dokonają zemsty, zanim Ziemię zniszczy uderzenie wyprowadzone z ciemnego lasu.

Ale gwarancja bezpieczeństwa stworzyłaby zupełnie inną sytuację, bo gdyby przekonała cały Wszechświat, że Ziemia jest niegroźna, to na mocy definicji byłaby niegroźna także dla Trisolarian. Czyż nie tego właśnie chcieli?

7 rok ery nadawania

Sofona

Chociaż nie było żadnych wskazówek, jak wysłać gwarancję bezpieczeństwa, a poważne badania naukowe potwierdzały, że jest to przedsięwzięcie niewykonalne, nie można było ugasić powszechnego pragnienia, by to zrobić. Mimo że większość ludzi zdawała sobie sprawę, że żadna z istniejących propozycji się nie sprawdzi, nie ustawały próby ich wdrożenia.

Jedna z europejskich agencji pozarządowych starała się zbudować potężną antenę, która wykorzystałaby możliwość wzmocnienia sygnału przez Słońce do wysłania sporządzonego przez nią szkicu gwarancji w kosmos. W porę powstrzymała ich policja. Sześć kropli odleciało z Układu Słonecznego przed sześcioma laty, więc nic już nie blokowało wzmacniającej funkcji Słońca, ale taki przekaz byłby niezwykle niebezpieczny i jeszcze wcześniej ujawniłby położenie Ziemi.

Inna organizacja, o nazwie Zieloni Zbawcy, liczyła kilka milionów członków. Propagowali powrót do życia z rolnictwa, argumentując, że nie stwarzałoby ono zagrożenia dla Wszechświata. Około dwudziestu tysięcy z nich przeniosło się do Australii. Na tym rzadko zaludnionym kontynencie, gdzie Wielkie Przesiedlenie było już tylko wspomnieniem, planowali stworzyć społeczeństwo wzorcowe. Sceny z ich wiejskiego stylu życia stale transmitowano do reszty świata. W tej epoce nie można już było znaleźć tradycyjnych narzędzi rolniczych, więc musiano je robić na zamówienie za

pieniądze od sponsorów. W Australii nie było wielu gruntów rolnych i wszystkie przeznaczano pod produkcję luksusowej, drogiej żywności, a zatem osadnicy musieli zakładać pola uprawne na odludnych obszarach wyznaczonych przez władze.

Po zaledwie tygodniu ci pionierzy dali sobie spokój z kolektywnym gospodarzeniem. Nie stało się tak dlatego, że byli leniwi – entuzjazm, który ich przepełniał, pomógłby im znosić przez pewien czas trudy – lecz dlatego, że ciała współczesnych ludzi bardzo się zmieniły. Byli bardziej giętcy i zwinniejsi niż minione pokolenia, ale nie nawykli do nużącej, monotonnej pracy fizycznej. A zakładanie na nieużytkach pól było bardzo wyczerpujące. Po stosownym wyrażeniu przez przywódców zielonych zbawców głębokiego szacunku dla ich wiejskich poprzedników ruch ten się przerzedził i porzucono pomysł stworzenia społeczeństwa agrarnego.

Wypaczone poglądy na temat gwarancji bezpieczeństwa doprowadziły też do aktów terroryzmu. Powstało kilka organizacji „antyintelektualnych”, które chciały wprowadzić w czyn propozycję obniżenia ludzkiej inteligencji. Jedna z nich planowała dodawanie do ujęć wody w Nowym Jorku dużych ilości „środków neurosupresyjnych”, które powodowałyby trwałe uszkodzenia mózgu. Na szczęście spisek został w porę wykryty i uniknięto nieszczęścia, ale przez kilka godzin mieszkańcy miasta byli bez wody. Oczywiście te „antyintelektualne” organizacje chciały bez wyjątku utrzymać sprawność umysłową swoich członków, argumentując, że mają taki obowiązek, by jako ostatni inteligentni ludzie dokończyć dzieło stworzenia mało inteligentnego społeczeństwa i pokierowania nim.

W obliczu wszechobecnej groźby śmierci i pokusy przestawienia się na inny tryb egzystencji raz jeszcze centralne miejsce w życiu społecznym zajęła religia.

Historycznie rzecz biorąc, odkrycie, że Wszechświat jest ciemnym lasem, w którym na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo, było ogromnym ciosem dla wielu głównych religii, zwłaszcza dla chrześcijaństwa. Tak naprawdę szkody, jakie wyrządziło to religii, były widoczne już na początku ery kryzysu. Gdy odkryto cywilizację trisolariańską, chrześcijanie musieli zmierzyć się z faktem, że w raju nie było obcych, a Bóg nawet nie wspomniał o nich w Księdze Rodzaju. Przez ponad sto lat kościoły i teolodzy starali się stworzyć nową interpretację Biblii i przyjętych doktryn, a gdy już prawie udało im się posklejać wiarę na nowo, pojawił się potwór, który zwał się ciemny las. Ludzie musieli pogodzić się z wiedzą, że we Wszechświecie istnieje wiele cywilizacji i że gdyby każda z nich miała swojego Adama i Ewę, ludność raju byłaby niemal tak liczna jak obecna ludność Ziemi.

Ale podczas katastrofalnego Wielkiego Przesiedlenia religie się odrodziły. Powszechne stało się nowe przekonanie: w ciągu minionych siedemdziesięciu lat ludzkość dwukrotnie znalazła się na skraju zagłady, ale za każdym razem w cudowny sposób jej uniknęła. Te dwa cuda, stworzenie metody odstraszania groźbą powiadomienia ciemnego lasu i wysłanie we Wszechświat wiadomości na falach grawitacyjnych, miały wiele cech wspólnych: oba dokonały się pod przewodem małej garstki osób, to, że do nich doszło, zależało od serii nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności (takich jak to, że *Grawitacja*, *Błękitna Przestrzeń* i krople weszły jednocześnie w czterowymiarowy fragment kosmosu)… Były to najwyraźniej znaki od jakiegoś bóstwa. Podczas obu kryzysów wierni odprawiali masowe modły publiczne. To właśnie owe demonstracje gorącej wiary doprowadziły do boskiej interwencji, aczkolwiek to, który bóg ocalił ludzkość, było przedmiotem niekończących się sporów.

Tak oto Ziemia stała się ogromnym kościołem, planetą modlitw. Wszyscy modlili się z niespotykaną wcześniej wiarą o kolejne ocalenie. Watykan organizował globalne msze, ludzie modlili się wszędzie, w małych grupach albo indywidualnie. Przed posiłkami i przed pójściem spać wszyscy modlili się o to samo: „Panie, błagamy Cię, daj nam jakąś wskazówkę, przekaż nam, jak mamy wyrazić gwiazdom naszą dobrą wolę, spraw, by kosmos dowiedział się, że jesteśmy niegroźni”.

Na orbicie blisko Ziemi zbudowano kosmopolityczny kościół kosmiczny. Chociaż nazywano go kościołem, nie było tam żadnej materialnej budowli, a tylko gigantyczny krzyż. Tworzące go dwa strumienie światła miały, odpowiednio, dwadzieścia i czterdzieści kilometrów długości i były tak jasne, że nocą krzyż był widoczny z Ziemi. Wierni dryfowali pod nim w skafandrach kosmicznych i czasami udział w tych nabożeństwach brały dziesiątki tysięcy osób. Pomiędzy nimi unosiły się niezliczone ogromne świece, które mogły się palić w próżni i przyćmiewały blaskiem gwiazdy. Z powierzchni planety te świece i rozmodlona kongregacja wyglądały jak jarzący się obłok pyłu kosmicznego. I co noc do tego krzyża między gwiazdami zanosiły modły niezliczone tłumy na Ziemi.

Obiektem kultu stała się nawet cywilizacja trisolariańska. Jej obraz w oczach ludzkości stale się zmieniał. Na początku ery kryzysu była potężnym i złym najeźdźcą z kosmosu, choć ubóstwiał ją RZT. Później Trisolarianie stopniowo przemienili się z diabłów i bogów w ludzi. Wraz ze stworzeniem systemu odstraszania pozycja Trisolaris osiągnęła nadir, a jej mieszkańcy stali się niecywilizowanymi dzikusami żyjącymi z łaski ludzkości. Po załamaniu się systemu odstraszania Trisolarianie okazali się zdobywcami o ludobójczych skłonnościach. Kiedy jednak wysłano w kosmos dane o ich położeniu, a zwłaszcza po zniszczeniu ich planety,

znowu stali się ofiarami, które zasługiwały na współczucie, rozbitkami płynącymi z ludźmi w tej samej łodzi.

Gdy ludzie się dowiedzieli, że istnieje możliwość przedstawienia Wszechświatu gwarancji bezpieczeństwa, początkowo zareagowali na tę wiadomość jednomyślnie – krzykliwie domagali się, by Sofona ujawniła metodę wysłania tej gwarancji, ostrzegając, by nie dopuszczała się światobójstwa poprzez ukrywanie tych informacji. Wkrótce jednak zdali sobie sprawę, że wściekłość i oskarżenia pod adresem cywilizacji, która opanowała przechodzące ludzkie pojęcie technologie i coraz bardziej się oddala w przestrzeń międzygwiezdną, na nic się nie zdadzą. Dużo lepiej byłoby uprzejmie ją o to poprosić. Prośby te przeszły potem w błagania. Stopniowo, w miarę jak ludzie błagali i błagali, a religijność słabła, obraz Trisolarian uległ kolejnemu przekształceniu. Skoro posiadali sekret przekazania gwarancji bezpieczeństwa, byli zesłanymi przez Boga aniołami zbawienia. Jedynym powodem tego, że ludzkość nie doczekała się jeszcze takiego zbawienia, było niedostateczne dawanie wyrazu tej wierze. A zatem błagania kierowane do Sofony zmieniły się w modły, a Trisolarianie ponownie w bogów. Dom Sofony stał się świętym miejscem i codziennie pod wielkim drzewem zbierali się wyznawcy. W szczytowym momencie tłum kilkakrotnie przekraczał liczbę pielgrzymów w Mekce i wyglądał jak bezkresne morze. Dom Sofony wisiał w powietrzu około czterystu metrów nad jego głowami. Z dołu wydawał się niewielki, a od czasu do czasu skrywał się za wytwarzaną przez siebie chmurą. Niekiedy pojawiała się Sofona; zgromadzeni nie mogli dostrzec szczegółów, ale widzieli jej kimono jak kolorowy kwiatek w chmurze. Zdarzało się to rzadko, ale wprawiało tłum w uniesienie. Wierni różnych wyznań wyrażali pobożność na rozmaite sposoby – niektórzy modlili się jeszcze bardziej żarliwie, niektórzy wydawali radosne okrzyki, niektórzy płakali i otwierali serca,

niektórzy klękali, a jeszcze inni bili czołami o ziemię. W takich chwilach Sofona składała lekki ukłon masie ludzi w dole, po czym spokojnie wracała do domu.

– Nawet gdyby miało nadejść ocalenie, nie miałoby to znaczenia – powiedział Bi Yunfeng. – Nie został nam nawet strzęp godności.

Bi Yunfeng był niegdyś jednym z kandydatów do stanowiska Dzierżyciela Miecza, a potem dowódcą azjatyckiej odnogi Ziemskiego Ruchu Oporu.

Wciąż było wielu takich jak on, rozsądnych ludzi, którzy prowadzili we wszystkich dyscyplinach wiedzy dogłębne badania nad gwarancją bezpieczeństwa. Pracowali bez wytchnienia, starając się znaleźć metodę opartą na solidnych podstawach naukowych. Ale wszystkie ścieżki prowadziły do nieuniknionego wniosku: jeśli rzeczywiście istniał jakiś sposób przekazania tej gwarancji Wszechświatu, to wymagał zastosowania całkowicie nowej technologii, która musiała znacznie przekraczać obecny poziom ziemskiej nauki i była nieznana ludzkości.

Ludzkie społeczeństwo zmieniło też niczym kapryśne dziecko swój stosunek do *Błękitnej Przestrzeni*, która zniknęła w głębi kosmosu. Z anioła zbawienia stała się ona znowu statkiem ciemności. Uprowadziła przecież *Grawitację* i rzuciła na dwa światy klątwę, która groziła im zagładą. Popełnione przez nią zbrodnie były niewybaczalne. Była wcielonym diabłem. Czciciele Sofony prosili flotę trisolariańską, by odnalazła i zniszczyła oba statki, wymierzając w ten sposób sprawiedliwość i przywracając godność Panu. Podobnie jak na inne błagania i modlitwy, Sofona na to nie odpowiedziała.

Jednocześnie zmieniał się powoli obraz Cheng Xin w świadomości społecznej. Nie była już Dzierżycielką Miecza nienadającą się do sprawowania tej funkcji, lecz znowu wielką kobietą. By ją opisać,

odkopano starożytny utwór Iwana Turgieniewa *Na progu*. Podobnie jak jego bohaterka, młoda rosyjska dziewczyna, Cheng Xin przekroczyła próg, którego nikt inny nie śmiał przekroczyć. Potem w kluczowym momencie wzięła na swoje barki niewyobrażalny ciężar i pogodziła się z bezkresnym upokorzeniem, odmawiając wysłania w kosmos sygnału śmierci. Nie rozprawiano już o konsekwencjach tego, że zawiodła jako ta, która miała odstraszać Trisolarian, lecz rozpływano się nad jej umiłowaniem ludzi, umiłowaniem, które przysporzyło jej tyle cierpień, że oślepła.

Na głębszym poziomie uczucia, jakie budziła, były reakcją na jej nieświadomą miłość macierzyńską. W tej epoce, w której nie było rodzin, matczyna miłość była rzadkim zjawiskiem. Państwo dobrobytu, w którym żyło się jak w niebie, zaspokajało dziecięcą potrzebę tej miłości. Ale teraz ludzkość była obnażona przed okrutnym, zimnym Wszechświatem i w każdej chwili mogła ją dosięgnąć kosa śmierci. Niemowlę, jakim była ludzka cywilizacja, zostało porzucone w złowrogim, przerażającym ciemnym lesie i płakało, spragnione dotyku matki. Cheng Xin idealnie nadawała się do tej roli, była wcieleniem matczynej miłości. Gdy uczucie, jakim darzył ją ogół, połączyło się z gęstniejącą atmosferą religijności, zaczęła się ludziom jawić jako Maryja Panna nowej ery.

Odebrało jej to chęć życia. Od dawna już było ono dla niej ciężarem i udręką, ale nie położyła mu kresu, bo nie chciała uniknąć tego, co musiała znosić – dalsze istnienie było dla niej najsprawiedliwszą karą za wielki błąd, więc ją z pokorą przyjęła. Teraz jednak stała się niebezpiecznym symbolem. Szerzący się kult jej osoby jeszcze bardziej zagęszczał mgłę, w której zagubiła się ludzkość. Zniknięcie na zawsze byłoby jej ostatnim gestem odpowiedzialności.

Podjęcie tej decyzji okazało się łatwe – naprawdę przyszło jej to bez trudu. Czuła się jak ktoś, kto od dawna planował udać się w długą podróż,

ale dopiero teraz uwolnił się od codziennego kieratu zajęć i gotów był wreszcie się spakować i wyruszyć w drogę.

Wyjęła małą buteleczkę, środek na krótkotrwałą hibernację. Została w niej tylko jedna kapsułka. Był to ten sam lek, który zażyła przed sześcioma laty, ale bez podtrzymującego procesy życiowe zewnętrznego układu sercowo-płucnego był on śmiertelny dla pacjenta.

Umysł Cheng Xin był przejrzysty i pusty jak przestrzeń kosmiczna – nie było w nim żadnych wspomnień ani doznań. W gładkiej jak lustro powierzchni jej świadomości odbijało się zachodzące słońce jej życia tak naturalnie jak każdy zmierzch… Było to słuszne i właściwe. Skoro świat mógł się w mgnieniu oka obrócić w pył, koniec życia każdej osoby powinien być spokojny i obojętny jak kropla rosy staczającej się ze źdźbła trawy.

Akurat kiedy wzięła kapsułkę do ręki, zadzwonił telefon. Był to Fraisse.

– Dziecko, jest dzisiaj śliczny księżyc. Przed chwilą widziałem kangura. Okazuje się, że uchodźcy nie zjedli ich wszystkich.

Fraisse nigdy nie korzystał z funkcji wideo w swoim telefonie, jakby uważał, że jego słowa są barwniejsze niż jakikolwiek obraz. Chociaż Cheng Xin wiedziała, że jej nie widzi, uśmiechnęła się.

– To wspaniale, Fraisse. Dziękuję ci.

– Dziecko, wszystko będzie dobrze – powiedział tamten i zakończył połączenie.

Nie powinien się zorientować, że coś się zmieniło. Wszystkie ich rozmowy były takie krótkie.

Tego ranka przyszła też 艾 AA i podekscytowana powiedziała Cheng Xin, że jej firma wygrała przetarg na nowy projekt – budowę jeszcze większego krzyża na orbicie geosynchronicznej.

Cheng Xin uświadomiła sobie, że nadal ma dwoje przyjaciół. W tym krótkim, koszmarnym okresie historii miała tylko tych dwoje prawdziwych przyjaciół. Jakby się czuli, gdyby teraz odebrała sobie życie? Jej puste serce ścisnęło się, jakby chwyciło je wiele rąk. Spokojna powierzchnia jeziora w jej umyśle wzburzyła się, a odbijający się w niej blask słońca ją poraził. Siedem lat temu nie zdołała nacisnąć na oczach ludzkości tamtego czerwonego guzika, a teraz nie mogła połknąć tej kapsułki, która przyniosłaby jej ulgę. Raz jeszcze przekonała się, jaka jest słaba. Była nikim.

Przed chwilą rzeka przed nią była skuta lodem, więc łatwo przeszłaby na drugi brzeg. Teraz lód się stopił i musiałaby brnąć przez czarną, zimną wodę. Będzie to długa męka, ale wierzyła, że dotrze na tamten brzeg. Może zaczeka do jutra, ale w końcu połknie tę kapsułkę. Nie miała wyboru.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to Sofona. Ponownie zapraszała ją i Luo Ji na herbatę. Chciała się z nimi pożegnać po raz ostatni.

Cheng Xin włożyła powoli kapsułkę z powrotem do butelki. Pójdzie na to spotkanie. Oznaczało to, że miała dość czasu, by przebrnąć przez rzekę bólu.

Następnego ranka Cheng Xin i Luo Ji ponownie zjawili się w napowietrznym mieszkaniu Sofony. Zobaczyli ogromny tłum, który zebrał się kilkaset metrów pod nim. Ubiegłego wieczoru Sofona oznajmiła światu, że odlatuje, więc zgromadzenie czcicieli było kilkakrotnie większe niż normalnie. Zamiast jak zwykle modlić się i błagać, milczeli, jakby na coś czekali.

Sofona powitała ich, jak poprzednio, w drzwiach domu.

Tym razem droga herbaty przebiegała w ciszy. Cała trójka wiedziała, że powiedziane zostało już wszystko, co było do powiedzenia między dwoma światami.

Zarówno Cheng Xin, jak i Luo Ji czuli obecność ludzi w dole. Pełen oczekiwania tłum był jak ogromny, dźwiękoszczelny dywan, który pogłębiał ciszę panującą w salonie. Było to przytłaczające, jakby chmury za oknem nabrały wagi. Ale ruchy Sofony pozostały delikatne i pełne wdzięku – wszystko robiła bezszelestnie, nawet gdy przyborami do parzenia herbaty dotykała porcelanowych czarek. Minęła ponad godzina, ale ani Cheng Xin, ani Luo Ji nie czuli upływu czasu.

Sofona podała obiema dłońmi czarkę Luo Ji.

– Odlatuję. Mam nadzieję, że wam obojgu będzie się dobrze wiodło. – Potem wręczyła czarkę Cheng Xin. – Wszechświat jest wielki, ale życie jest większe. Może los sprawi, że jeszcze się spotkamy.

Cheng Xin sączyła herbatę w milczeniu. Zamknęła oczy, by się skupić na jej smaku. Przejrzysta gorycz zdawała się przenikać jej ciało, jakby Cheng przełykała zimne światło gwiazd. Piła powoli, ale wreszcie skończyła.

Oboje wstali, by się pożegnać. Sofona odprowadziła ich aż na konar. Zobaczyli, że po raz pierwszy zniknęły chmury wytwarzane przez jej dom. Pod nimi nadal czekało w milczeniu morze ludzi.

– Zanim się rozstaniemy, wykonam moje ostatnie zadanie. Mam do przekazania wiadomość. – Sofona złożyła im głęboki ukłon. Potem wyprostowała się i spojrzała na Cheng Xin. – Chciałby się z tobą zobaczyć Yun Tianming.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Długa Klatka Schodowa

Tuż po nastaniu ery kryzysu, zanim Wielki Jar zgasił zapał ludzi, narody Ziemi wspólnie podjęły szereg wielkich przedsięwzięć w celu obrony Układu Słonecznego. Te gigantyczne projekty inżynieryjne wykorzystywały najbardziej zaawansowaną technologię owych czasów, a nawet wykraczały poza jej możliwości. Niektóre z nich, takie jak winda kosmiczna, próby z gwiezdnymi bombami wodorowymi na Merkurym, przełom w kontrolowanej fuzji jądrowej i tak dalej, zapisały się w historii ludzkości. Stworzyły one solidne podstawy do skoku technologicznego po Wielkim Jarze.

Ale program Klatka Schodowa nie był jednym z tych osiągnięć; zapomniano o nim jeszcze przed Wielkim Jarem. W oczach historyków był typowym przykładem impulsywności charakterystycznej dla początku ery kryzysu, nieprzemyślanym, pospiesznie i źle zaplanowanym przedsięwzięciem. Nie tylko nie udało się zrealizować żadnego z jego celów, ale nie pozostało po nim nic, co miałoby jakąkolwiek wartość użytkową. Technologia kosmiczna, która się w końcu rozwinęła, obrała zupełnie inny kierunek.

Nikt się nie spodziewał, że prawie trzy wieki później program Klatka Schodowa stanie się promykiem nadziei dla pogrążonej w rozpaczy Ziemi.

Pewnie na zawsze pozostanie tajemnicą, jak Trisolarianom udało się przechwycić sondę z mózgiem Yun Tianminga.

W pobliżu orbity Jowisza pękła jedna z lin łączących żagiel z kapsułą. Cały zestaw zboczył z zaplanowanego kursu i Ziemia, pozbawiona wpływu na parametry jego lotu, straciła z nim kontakt. Sonda przepadła w bezdennej głębi kosmosu. Jeśli później Trisolarianie zdołali ją przejąć, musieli znać parametry lotu po przerwaniu się liny; w przeciwnym razie nawet przy swej zaawansowanej technologii nie zlokalizowaliby tak małego obiektu w bezmiarze przestrzeni kosmicznej za Układem Słonecznym. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było to, że za sondą poleciały sofony, przynajmniej przez tę część drogi, kiedy nabierała przyspieszenia, i zmierzyły ostateczne parametry jej lotu. Jednak wydawało się nieprawdopodobne, by sofony podążały za nią przez resztę długiej podróży. Sonda przeszła przez Pas Kuipera i Obłok Oorta, gdzie mogła zostać spowolniona albo zepchnięta z kursu przez pył międzygwiezdny. Chyba jednak nie doszło do żadnego z tych zdarzeń, gdyż wtedy Trisolarianom nie udałoby się uzyskać uaktualnionych parametrów. Tak więc wszystko wskazuje na to, że musiało im po prostu dopisać szczęście.

Było prawie pewne, że za przechwycenie sondy odpowiedzialny był jakiś statek pierwszej floty trisolariańskiej, najprawdopodobniej ten, który nigdy nie wyhamował. Został wysłany przed resztą floty, by przybyć do Układu Słonecznego półtora wieku wcześniej niż pozostałe jednostki, ale wskutek ogromnej prędkości nie mógł w porę wyhamować i musiał przelecieć przez ten układ. Cel misji tego statku pozostawał tajemnicą. Po stworzeniu metody odstraszania groźbą powiadomienia ciemnego lasu oddalił się razem z resztą pierwszej floty trisolariańskiej od Układu Słonecznego. Ziemi nigdy nie udało się precyzyjnie ustalić parametrów jego lotu, ale jeśli zawrócił w tę samą stronę co reszta floty, być może natknął się na sondę

wysłaną w ramach programu Klatka Schodowa. Oczywiście nawet w takim przypadku obie jednostki dzieliła duża odległość i bez znajomości dokładnych parametrów lotu sondy ów statek nie mógłby jej zlokalizować.

Z przybliżonych obliczeń – jedynych możliwych z powodu braku większej ilości informacji – wynikało, że do przechwycenia doszło trzydzieści do pięćdziesięciu lat temu, ale nie przed erą odstraszania.

Było zrozumiałe, że flota trisolariańska będzie się starała przejąć sondę. Do samego końca bezpośrednie kontakty między Trisolarianami i ludźmi ograniczały się do kropli. Byli zainteresowani pozyskaniem żywego przedstawiciela rodzaju ludzkiego.

Yun Tianming był teraz w rękach pierwszej floty trisolariańskiej. Większość jej statków kierowała się w stronę Syriusza. Nie wiadomo było, w jakim jest stanie – może utrzymywano przy życiu tylko jego mózg, a może wszczepiono go w sklonowane ciało. Ale ludzi bardziej ciekawiło inne pytanie: czy Yun Tianming nadal działał w interesie ludzkości?

Z pewnych powodów należało się tym przejmować. To, że prośba Tianminga o spotkanie z Cheng Xin została przyjęta, oznaczało, że zintegrował się on już ze społeczeństwem trisolariańskim, a może nawet miał w nim określoną pozycję.

Następne pytanie było jeszcze bardziej niepokojące: Czy brał udział w wydarzeniach ostatniego stulecia? Czy miał coś wspólnego z tym, co w tym okresie historii działo się w stosunkach między tymi dwoma światami?

Mimo to Yun Tianming pojawił się dokładnie w chwili, gdy ziemska cywilizacja zdawała się stracić nadzieję. Kiedy upubliczniono tę wiadomość, pierwszą reakcją ludzi była radość, że ich modlitwy zostały wysłuchane i w końcu przybył anioł zbawienia.

7 rok ery nadawania

Yun Tianming

Oglądany przez iluminatory windy cały świat Cheng Xin składał się z prowadnicy szynowej o grubości osiemdziesięciu centymetrów. Biegła w górę i w dół i po obu stronach ginęła w nicości. Cheng Xin jechała nią już od godziny i teraz znajdowała się ponad tysiąc kilometrów nad poziomem morza, poza atmosferą. Ziemia pod nią pogrążona była w mroku nocy, a kontynenty były mglistymi zarysami, wewnątrz których nie widziała żadnej materialnej substancji. Przestrzeń kosmiczna nad nią była atramentowoczarna, a odległa o trzydzieści tysięcy kilometrów stacja końcowa niewidoczna. Można było odnieść wrażenie, że ta szyna wskazuje drogę, z której nie ma powrotu.

Chociaż Cheng Xin skończyła w epoce powszechnej inżynierię kosmonautyczną, dopiero teraz, po trzystu latach od jej ukończenia, znalazła się po raz pierwszy w kosmosie. Podróżowanie jakimkolwiek pojazdem kosmicznym nie wymagało już przejścia specjalnego przeszkolenia, ale z uwagi na jej brak doświadczenia personel wsparcia technicznego zaproponował, by skorzystała z windy kosmicznej. Ponieważ cała jazda miała się odbywać ze stałą prędkością, Cheng Xin nie odczuwałaby żadnego przeciążenia. A siła ciążenia w kabinie nie była też zauważalnie niższa – grawitacja będzie malała stopniowo, aż w końcu, na stacji końcowej, która znajdowała się na orbicie geostacjonarnej, Cheng Xin wejdzie w stan nieważkości. Na tej wysokości można było się znaleźć

w tym stanie tylko wtedy, gdy krążyło się wokół Ziemi, ale nie we wznoszącej się windzie. Od czasu do czasu Cheng Xin widziała w oddali małe przesuwające się plamki, prawdopodobnie satelity lecące z pierwszą prędkością kosmiczną.

Powierzchnia prowadnicy była tak gładka, że prawie nie widać było ruchu. Kabina zdawała się tkwić nieruchomo na szynie. W rzeczywistości jej prędkość wynosiła tysiąc pięćset kilometrów na godzinę, tyle, ile prędkość naddźwiękowego samolotu. Dotarcie na orbitę geosynchroniczną zajmie około dwudziestu godzin, czyli w warunkach przestrzeni kosmicznej była to bardzo długa podróż. Cheng Xin przypomniała sobie rozmowę, w której Tianming dowodził, że w zasadzie można wylecieć w kosmos przy niskiej prędkości. Dopóki utrzymywałoby się stale wzrastającą prędkość, można by było dostać się tam samochodem, a nawet pieszo. Ba, można by było nawet wejść na orbitę Księżyca, tylko że nie można by było postawić na nim stopy, bo jego prędkość względem wspinacza wynosiłaby trzy tysiące kilometrów na godzinę i gdyby ktoś spróbował pozostawać względem niego w spoczynku, skończyłoby się to dla niego nabraniem dużej prędkości. Cheng Xin pamiętała wyraźnie, że na koniec powiedział, iż byłoby zachwycające znaleźć się w pobliżu orbity Księżyca i patrzeć, jak ów ogromny satelita przesuwa się nad głową. Teraz odbywała lot kosmiczny, jaki sobie wyobraził – wznosiła się z małą prędkością.

Kabina windy miała kształt kapsuły, ale podzielona była na cztery pokłady. Cheng Xin umieszczono na najwyższym, osoby jej towarzyszące na trzech niższych. Nikt jej nie przeszkadzał. Była w luksusowej kabinie pierwszej klasy, odpowiedniku pokoju w czterogwiazdkowym hotelu. Miała do dyspozycji wygodne łóżko i prysznic, ale pomieszczenie było małe, wielkości pokoju w akademiku.

Ostatnio często wspominała czasy studenckie i myślała o Tianmingu.

Na tej wysokości podstawa stożka cienia rzucanego przez Ziemię była węższa, dzięki czemu pokazało się Słońce. Na zewnątrz wszystko skąpane było w silnym jaskrawym świetle i iluminatory automatycznie dostosowały do tego swą przezroczystość. Cheng Xin leżała na kanapie i przez iluminator w suficie patrzyła na prowadnicę. Nieskończona prosta linia zdawała się wychodzić z Drogi Mlecznej. Cheng Xin chciała zobaczyć albo przynajmniej wyobrazić sobie ruch kabiny wznoszącej się po tej szynie. Widok był tak hipnotyzujący, że wkrótce zapadła w sen.

Ktoś zawołał ją cicho. Zobaczyła, że śpi na dolnej części piętrowego łóżka w pokoju w akademiku. Po ścianie przesuwał się strumień światła jak światło lampy ulicznej we wnętrzu jadącego samochodu. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że po niebie za dobrze jej znanym chińskim drzewem parasolowym szybko przemieszcza się Słońce, wschodząc i zachodząc co kilka sekund. Nawet jednak kiedy było w zenicie, niebo za nim pozostawało atramentowoczarne i równolegle z nim świeciły gwiazdy. Ten ktoś nadal ją wołał. Chciała wstać i rozejrzeć się, ale pofrunęła nad łóżko. Obok niej unosiły się książki, kubki, laptop i inne przedmioty…

Nagle się przebudziła i przekonała, że naprawdę unosi się w powietrzu, tuż nad kanapą. Wyciągnęła rękę, by się do niej przyciągnąć, ale zamiast tego niechcący się odepchnęła. Uniosła się aż do iluminatora w suficie, gdzie się obróciła i odepchnęła od szyby, tak że tym razem skutecznie wylądowała na kanapie. Wszystko w kabinie wyglądało tak jak przedtem, tyle że za sprawą nieważkości z podłogi uniosło się parę drobin kurzu, które skrzyły się w słońcu.

Zobaczyła, że z dolnej kabiny wszedł do niej przedstawiciel ROP. Prawdopodobnie to on wcześniej ją wołał. Gapił się na nią ze zdumieniem.

– Doktor Cheng, jak mi się wydaje, jest to pani pierwszy pobyt w kosmosie? – zapytał. Gdy skinęła potakująco, uśmiechnął się i potrząsnął

głową. – Ale zachowuje się pani jak stary kosmiczny wyga.

Sama była zdumiona. Pierwsze doznanie nieważkości nie wprawiło jej w niepokój. Czuła się odprężona, nie miała zawrotów głowy ani mdłości. Jakby kosmos był jej naturalnym środowiskiem.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedział przedstawiciel ROP.

Cheng Xin spojrzała w górę. Znowu zobaczyła prowadnicę, ale teraz widziała, że się po niej poruszają – znak, że zwalniali. W polu widzenia pojawiła się geosynchroniczna stacja końcowa. Składała się z wielu koncentrycznych kręgów połączonych pięcioma promienistymi szprychami. Pierwotna stacja była mała i znajdowała się w środku. Kręgi były późniejszymi dodatkami, im bardziej zewnętrznymi, tym nowszymi. Całość powoli obracała się w miejscu.

Cheng Xin zobaczyła, że wokół pojawiają się też inne budynki kosmiczne. Ich zagęszczenie w tym rejonie wynikało stąd, że inżynierowie wykorzystywali bliskość windy kosmicznej dla transportu materiałów budowlanych. Konstrukcje te miały różne kształty i z daleka wydawały się kupą skomplikowanych zabawek; dopiero z bliskiej odległości widać było ich wielkość. Cheng Xin wiedziała, że w jednej z nich mieści się główna siedziby jej firmy. AA była teraz w pracy, ale Cheng Xin nie miała pojęcia, który to budynek.

Kabina windy przesunęła się przez masywną ramę. Przez gęste rozpory w tej ramie migotało światło słoneczne. Gdy kabina wyłoniła się po drugiej stronie, większość pola widzenia zajęła stacja, a Droga Mleczna prześwitywała tylko przez puste miejsca między pierścieniami. Cała ta struktura przytłaczała ogromem. Gdy kabina wtoczyła się na stację, wszystko pociemniało, jakby wjeżdżali do tunelu. Kilka minut później na zewnątrz rozbłysły jaskrawe lampy – kabina znalazła się w hali dworcowej. Hala okręciła się wokół nich i Cheng Xin po raz pierwszy doznała zawrotu

głowy. Ale gdy kabina oddzieliła się od szyny, zacisnęły się na niej szczęki peronu. Po lekkim wstrząsie zaczęła się obracać razem ze stacją i wszystko wokół znowu znieruchomiało.

Cheng Xin w towarzystwie pozostałej czwórki wyszła z kabiny w okrągłej hali. Ponieważ ich kabina była jedyną na peronie, dworzec był pusty. Całe otoczenie od razu wydało się jej znajome. Chociaż wszędzie unosiły się okna informacyjne, główna część hali zbudowana była z rzadkich w tej epoce metali, z przewagą stali nierdzewnej i stopów ołowiu. Wszędzie widziała ślady upływu czasu i czuła się tak, jakby przebywała na starej stacji kolejowej, nie w kosmosie. Windę, którą wjechała, zbudowano pierwszą i ta stacja końcowa, oddana do użytku w 15 roku ery kryzysu, działała nieprzerwanie od ponad dwóch stuleci, nawet w okresie Wielkiego Jaru. Chen Xin zauważyła krzyżujące się poręcze, które miały ułatwiać ludziom poruszanie się w stanie nieważkości. Większość z nich wykonana była ze stali nierdzewnej, a część była z miedzi. Ślady na ich powierzchniach, które pozostawiły na nich przez ponad dwa wieki niezliczone ręce, przypominały Cheng Xin głębokie koleiny wyżłobione przed bramami starożytnych miast.

Poręcze były pozostałościami z dawnych czasów, bo teraz wszyscy używali indywidualnych silników sterujących, które można było nosić na pasach albo na plecach. Miały wystarczający ciąg, by popychać ludzi w stanie nieważkości, a kierowano nimi za pomocą ręcznych pilotów. Towarzysze Cheng Xin chcieli udzielić jej pierwszej lekcji zachowania się w kosmosie i pokazać, jak się posługiwać takim silnikiem, ale wolała korzystać z poręczy. Gdy dotarli do wyjścia z głównej hali, zatrzymała się i podziwiała plakaty propagandowe na ścianach. Były stare, a większość z nich zachęcała do stworzenia systemu obronnego Układu Słonecznego. Jeden z nich prawie w całości wypełniała postać żołnierza. Był

w nieznanym Cheng Xin mundurze i wpatrywał się płonącym wzrokiem w widza. Pod nim biegł duży napis: „Ziemia cię potrzebuje!”. Obok niego wisiał jeszcze większy plakat, na którym spleceni rękami ludzie wszystkich ras i narodowości tworzyli żywy łańcuch. Za nimi widniała niebieska flaga ONZ, która zajmowała prawie całe tło obrazu. Napis na nim głosił: „Zbudujmy z naszych ciał nowy Wielki Mur wokół Układu Słonecznego!”. Plakaty te zainteresowały Cheng Xin, bo dotąd ich nie znała. Zdawały się nawiązywać do starszego stylu i odwoływać do czasów przed jej urodzeniem.

– Plakaty pochodzą z początku Wielkiego Jaru – powiedział jeden z podróżujących z nią wyższych urzędników ROP.

Była to krótka, chaotyczna epoka, w której zmilitaryzowano cały świat, a potem wszystko, od wiary po życie, się zawaliło… Ale dlaczego trzymano tu wciąż te plakaty? Żeby pamiętać czy żeby zapomnieć?

Cheng Xin i pozostali wyszli z hali długim korytarzem o okrągłym przekroju. Korytarz ciągnął się tak daleko, że nie było widać jego końca. Wiedziała, że jest to jedna z promienistych szprych stacji. Początkowo poruszali się w całkowitej nieważkości, ale wkrótce pojawiła się „grawitacja” w postaci siły odśrodkowej. Najpierw siła ta była słaba, ale wystarczająca, by wzbudzić poczucie góry i dołu – korytarz przemienił się nagle w głęboką studnię i zamiast unosić się, jak do tej pory, zaczęli spadać. Cheng miała zawroty głowy, ale ze ściany „studni” wystawało wiele poręczy. Gdyby poczuła, że spada zbyt szybko, mogła wyhamować, chwytając się jednej z nich.

Przelecieli przez skrzyżowanie szprychy z pierwszym pierścieniem. Cheng Xin spojrzała w prawo i w lewo i zobaczyła, że posadzka po obu stronach podnosi się, jakby znajdowali się na dnie doliny. Nad wejściami do pierścienia mrugały czerwono świetlne napisy: „Pierwszy pierścień,

grawitacja 0,15 g”. W ścianie zakrzywionego korytarza biegnącego wewnątrz pierścienia było wiele drzwi, które od czasu do czasu otwierały się i zamykały. Cheng Xin widziała wielu przechodniów. Dzięki mikrograwitacji trzymali stopy na podłodze, ale nadal poruszali się skokami za pomocą silników kierunkowych.

Po przejściu przez pierwszy pierścień ciężar wciąż się zwiększał i swobodne spadanie nie było już tak bezpieczne. Na ścianie „studni” pojawiły się ruchome schody, jedne prowadzące do góry, drugie w dół. Cheng Xin przyjrzała się pasażerom jadącym do góry i zauważyła, że byli w strojach nieróżniących się od ubrań mieszkańców Ziemi. Na ścianie „studni” było wiele okien informacyjnych i więcej niż kilka z nich pokazywało obraz Cheng Xin wsiadającej ponad dwadzieścia godzin temu do windy kosmicznej. Ale w tej chwili otaczały ją ciasno osoby towarzyszące, a na oczach miała duże okulary słoneczne. Nikt jej nie rozpoznał.

Spadając, przelecieli kolejnych siedem koncentrycznych pierścieni. Ponieważ każdy miał większą średnicę niż poprzedni, krzywizna korytarzy po bokach nie rzucała się już tak w oczy. Cheng Xin miała wrażenie, jakby przelatywała przez warstwy historii. Każdy pierścień zbudowany był z innego materiału niż te, które mijali wcześniej, i wyglądał na nowszy. Metoda konstrukcji i styl zdobienia każdego pierścienia były kapsułą epoki: przygnębiająca wojskowa jednolitość Wielkiego Jaru, optymizm i romantyzm drugiej połowy ery kryzysu, hedonistyczna wolność i indolencja ery odstraszania. Przed czwartym pierścieniem kabiny były zintegrowane z ich strukturą, ale poczynając od piątego, pierścienie zapewniały tylko miejsce pod zabudowę, a budynki zostały zaprojektowane i wzniesione później w różnych stylach. W miarę lotu stopniowo zanikały znaki świadczące o tym, że jest to stacja kosmiczna, a otoczenie coraz

bardziej przywodziło na myśl codzienne życie na powierzchni Ziemi. Gdy dotarli do ósmego pierścienia, sceneria była jakby wzięta żywcem z małego miasta. Korytarz wyglądał jak ruchliwa promenada. Jeśli dodać do tego grawitację 1 g, Cheng Xin mogłaby zapomnieć, że jest w kosmosie, trzydzieści cztery tysiące kilometrów nad Ziemią.

Ale miasto zniknęło, kiedy mały motorowy pojazd zawiózł ich w miejsce, skąd ponownie widać było przestrzeń kosmiczną. Nad wejściem do płaskiej hali widniał napis „Port A225”, a na gładkiej, podobnej do placu nawierzchni stało kilkadziesiąt małych pojazdów kosmicznych o różnych kształtach. Jeden bok hali był całkowicie otwarty na kosmos i gwiazdy obracające się wokół stacji. Niedaleko od nich zapaliła się lampa, jasno oświetlając cały port. Jej światło zmieniło się stopniowo z pomarańczowego na jasnoniebieskie, po czym statek kosmiczny, który właśnie włączył silniki, wzniósł się nad powierzchnię, przyspieszył i przez otwarty bok hali wystrzelił w kosmos. Cheng Xin była świadkiem cudu, który dla innych był chlebem powszednim – jak można było utrzymać ciśnienie i atmosferę w miejscu, które nie było ze wszystkich stron zamknięte.

Minęli rzędy statków kosmicznych i dotarli do kawałka otwartej przestrzeni, gdzie stał samotnie mały statek, a właściwie łódź. Grupa ludzi najwyraźniej czekała tam na nią. Za otwartym bokiem portu przesuwała się powoli Droga Mleczna i w jej świetle łódź i ci, którzy stali obok niej, rzucali długie cienie, zamieniając przestrzeń w ogromny zegar, którego wskazówkami były te wędrujące cienie.

Grupa ta była specjalnym zespołem utworzonym przez ROP i Flotę na potrzeby tego spotkania. Cheng Xin znała większość członków – uczestniczyli przed siedmioma latami w ceremonii przekazania jej funkcji Dzierżyciela Miecza. Dowodzili nim przewodniczący ROP i szef sztabu

Floty. Przewodniczący był nowy, ale szef sztabu ten sam co przedtem. Tych siedem lat, najdłuższych w historii ludzkości, zostawiło na ich twarzach niezatarte ślady. Uścisnęli sobie w milczeniu dłonie i w milczeniu wspominali tamte czasy.

Cheng Xin przyjrzała się łodzi. Pojazdy kosmiczne na krótkie trasy produkowano obecnie w przeróżnych kształtach, wśród których nie było opływowych jednostek typowych dla wyobrażeń dawnych ludzi. Ta łódź miała najczęściej spotykany kształt kuli, tak regularny, że Cheng Xin nie mogła dostrzec wejścia. Była wielkości średniego autobusu z dawnych czasów. Nie miała nazwy, tylko numer seryjny. Ten zwykły pojazd miał ją zawieźć na spotkanie z Yun Tianmingiem.

Spotkanie wyznaczono w miejscu, gdzie równoważyły się siły grawitacji Ziemi i Słońca, w odległym o półtora miliona kilometrów punkcie libracyjnym, na dostarczonym przez sofony łączu z pierwszą flotą trisolariańską, przesyłającym w czasie rzeczywistym obraz i dźwięk.

Dlaczego zorganizowano je w przestrzeni kosmicznej? W wieku komunikacji neutrinowej osoba przebywająca na powierzchni Ziemi nie była dużo bardziej odizolowana od rozmówcy niż w kosmosie. Sofona wyjaśniła, że ma to znaczenie symboliczne – do spotkania powinno dojść w pustce, by pokazać, że odbywa się niezależnie od obu światów. Wybrano punkt libracyjny, żeby Cheng Xin znajdowała się we względnie stabilnym położeniu. Poza tym Trisolarianie mieli uświęcony tradycją zwyczaj organizowania spotkań w punktach równowagi między ciałami niebieskimi.

Tyle Cheng Xin już wiedziała, ale teraz powiedziano jej o czymś dużo ważniejszym.

Szef sztabu wprowadził ją do łodzi. Wewnątrz nie było dużo miejsca, w sam raz dla czterech osób. Gdy tylko usiedli, połowa sferycznego kadłuba, ta przed nimi, stała się przezroczysta, tak że odnosili wrażenie, że

są w kopule ogromnego statku kosmicznego. Właśnie ze względu na duże pole widzenia wybrano łódź tego typu.

We współczesnych statkach kosmicznych nie było już materialnych sterów – wszystkie urządzenia sterujące były zdjęciami holograficznymi – wskutek czego w środku było zupełnie pusto. Gdyby weszła tu osoba z ery powszechnej, pomyślałaby, że znajduje się w pustej skorupie kadłuba. Ale Cheng Xin od razu zauważyła trzy niezwykłe obiekty, które wyraźnie były nowymi dodatkami. Były to trzy koła w kolorach zielonym, żółtym i czerwonym, które przypominały jej dawne sygnały świetlne dla kierowców i pieszych.

– Tymi światłami steruje Sofona – wyjaśnił szef sztabu. – Trisolarianie będą śledzili cały przebieg waszego spotkania. Dopóki będą uważali, że treść waszej rozmowy jest możliwa do przyjęcia, będzie się paliło zielone. Jeśli będą chcieli was ostrzec, że zbliżacie się do tematów, których nie możecie poruszać, zapali się żółte.

Szef sztabu przerwał i dopiero po długiej chwili, jakby musiał się do tego przygotować, wyjaśnił rolę czerwonego światła.

– Jeśli uznają, że dostaje pani informacje, których nie może pani otrzymać, zapali się czerwone.

Obrócił się i wskazał nieprzezroczystą część kadłuba. Cheng Xin zobaczyła przymocowane tam małe metaliczne urządzenie przypominające odważnik używany w starych wagach.

– Kontrolę nad tą bombą sprawuje Sofona. Zdetonuje ją trzy sekundy po zapaleniu się czerwonego światła.

– Co zostanie zniszczone? – zapytała Cheng Xin. Nie myślała o sobie.

– Tylko nasza strona biorąca udział w spotkaniu. Nie musi się pani martwić o bezpieczeństwo Tianminga. Sofona postawiła sprawę jasno: jeśli zapali się czerwone światło, bomba rozerwie tylko tę łódź. Tianmingowi nie

stanie się żadna krzywda. To światło może się zapalić podczas waszej rozmowy, ale nawet jeśli przebiegnie ona pomyślnie, Trisolarianie mogą po przejrzeniu i wysłuchaniu nagrań dojść do wniosku, że muszą je zapalić… – Szef sztabu znowu przerwał. Spojrzenie Cheng Xin pozostało spokojne. Kiwnęła do niego głową, zachęcając, by mówił dalej. – Musi pani pamiętać, że te światła nie działają jak sygnalizacja świetlna ruchu ulicznego. Trisolarianie mogą pani nie ostrzec, że przekroczyła pani granicę. Zielone światło może się od razu zmienić na czerwone, bez pośredniego żółtego.

– Dobrze. Rozumiem. – Głos Cheng Xin był łagodny jak lekki powiew wiatru.

– Sofona może też zapalić czerwone światło, jeśli odkryje na łodzi sprzęt nagrywający albo jakieś środki przekazywania waszej rozmowy na zewnątrz. O to może być pani spokojna. Kilka razy sprawdziliśmy łódź pod kątem urządzeń nagrywających i usunęliśmy cały sprzęt łączności. System nawigacyjny nie może nawet prowadzić dziennika pokładowego. Przez całą drogę jednostką będzie kierował pokładowy system sztucznej inteligencji, który przed pani powrotem nie nawiąże żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Doktor Cheng, proszę, żeby pani przemyślała wszystko, co powiedziałem, by się upewnić, że zdaje sobie pani sprawę z konsekwencji.

– Jeśli nie wrócę, nic nie dostaniecie.

– Cieszę się, że pani to rozumie. Chcę podkreślić, żeby robiła pani to, co mówią, i rozmawiała tylko o sprawach prywatnych was dwojga. Niech pani nie porusza żadnych innych tematów, nawet metaforycznie czy w drodze aluzji. Proszę cały czas pamiętać, że jeśli pani nie wróci, Ziemia nie dostanie absolutnie nic.

Szef sztabu spojrzał na nią, ale nie bezpośrednio, tylko na jej odbicie w przezroczystej części kadłuba. Jej obraz nakładał się na obraz Wszechświata, a w jej ślicznych oczach odbijało się spokojne światło

gwiazd. Zdawał się postrzegać ją jako centrum Wszechświata, wokół którego krążyły gwiazdy. Jeszcze raz zmusił się do tego, by nie odwieść jej od podjęcia ryzyka. Zamiast tego wskazał za siebie.

– To miniaturowa bomba wodorowa. Według starego systemu mierzenia, który jest pani znany, ma ona siłę około pięciu kiloton. Jeśli… jeśli naprawdę do tego dojdzie, wszystko skończy się w mgnieniu oka. Nic pani nie poczuje.

Cheng Xin uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. Rozumiem.

Pięć godzin później łódź rozpoczęła podróż. Przeciążenie 3 g wcisnęło Cheng Xin w fotel – było to maksymalne przyspieszenie, jakie mógł znieść człowiek bez specjalnego przeszkolenia. W oknie, które pokazywało widok za nią, widziała ogromny kadłub stacji końcowej windy, w którym odbijał się ogień buchający z silnika łodzi. Sama łódź wyglądała jak iskra tryskająca z paleniska, natomiast stacja szybko zmalała i wkrótce przemieniła się w małą plamkę. Tylko Ziemia, nadal imponująco ogromna, zajmowała połowę nieba.

Członkowie zespołu specjalnego powtarzali Cheng Xin, że lot będzie rutynowy i nie będzie się niczym różnił od lotów samolotami, które często odbywała. Odległość między stacją końcową i punktem libracyjnym wynosiła około półtora miliona kilometrów, czyli około jednej setnej jednostki astronomicznej. Taką podróż kosmiczną uważano za bardzo krótką, a jednostka, w której Cheng Xin ją odbywała, była dobrze przystosowana do takich krótkich lotów. Cheng Xin przypomniała sobie, że przed trzema wiekami do zajęcia się inżynierią kosmonautyczną skłoniło ją wielkie osiągnięcie ludzkości w dwudziestym wieku – piętnaście osób

postawiło stopę na Księżycu. Ich podróż była pięć razy krótsza od tej, w którą wyruszała.

Po dziesięciu minutach Cheng Xin zobaczyła wschód słońca w kosmosie. Słońce powoli wyłaniało się zza zakrzywionej krawędzi Ziemi. Z tej odległości fale na Pacyfiku były niewidoczne, a ocean był jak lustro odbijające światło słoneczne. Chmury sprawiały, że wydawało się zaparowane. Z tej odległości wyglądało na dużo mniejsze od Ziemi, niczym złote jajko zniesione przez ten ciemnoniebieski świat. Gdy się wzniosło nad zakrzywiony horyzont, zwrócona ku niemu strona Ziemi przemieniła się w ogromny półksiężyc, tak jasny, że jej reszta wtopiła się w mrok, i razem ze Słońcem zdawały się tworzyć wiszący w przestrzeni kosmicznej wielki symbol. Cheng Xin pomyślała, że jest to symbol odrodzenia.

Wiedziała, że być może ogląda wschód słońca po raz ostatni. Nawet gdyby oboje z Tianmingiem starali się stosować podczas rozmowy do ustalonych reguł, istniała możliwość, że odlegli Trisolarianie położą kres jej życiu, a poza tym w ogóle nie chciała przestrzegać tych reguł. Ale uważała, że wszystko jest dobrze, i do nikogo nie miała żalu.

W miarę posuwania się łodzi powiększała się oświetlona część Ziemi. Cheng Xin widziała zarysy kontynentów i z łatwością wyłuskała spomiędzy nich Australię. Ląd ten wyglądał jak suchy liść unoszący się na Pacyfiku. Wyłaniał się z cienia, a linia oddzielająca oświetloną część od zacienionej przebiegała jego środkiem. W Warburton był ranek i Cheng Xin pomyślała o wschodzie słońca nad pustynią, oglądanym przez Fraisse’a ze skraju lasu.

Łódź przesunęła się nad Ziemią. Gdy zakrzywiony horyzont wreszcie zniknął za ramą iluminatora, przestała przyspieszać. Ustąpiło przeciążenie i Cheng Xin poczuła się, jakby obejmujące ją ramiona poluźniły uścisk. Łódź leciała w stronę Słońca, którego światło przyćmiło wszystkie gwiazdy. Przezroczysta część kadłuba dostosowała się do zmiany natężenia

światła i pociemniała tak, że Słońce przestało oślepiać. Cheng Xin zwiększyła zaciemnienie jeszcze bardziej i Słońce przypominało teraz Księżyc w pełni. Miała przed sobą jeszcze sześć godzin lotu. Unosiła się w stanie nieważkości, w księżycowym blasku słońca.

Pięć godzin później łódź obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie włączył się silnik. Podczas obracania się pojazdu Cheng Xin widziała, jak Słońce stopniowo się oddala, a Droga Mleczna przesuwa się przed jej oczami jak długi zwój. Gdy się zatrzymali, w środku jej polu widzenia była znowu Ziemia. Była teraz wielkości Księżyca oglądanego z powierzchni Ziemi, więc zniknęło wrażenie jej ogromu, jakim napełniała Cheng Xin kilka godzin wcześniej. Wydawała się krucha jak płód unoszący się w płynie owodniowym, który ma za chwilę wydobyć się z ciepłego łona i wystawić na zimno i ciemność kosmosu.

Po włączeniu się silnika Cheng Xin znowu znalazła się w uścisku grawitacji. Przyspieszenie trwało jakieś pół godziny, po czym układ napędowy zaczął pulsować, by precyzyjnie ustawić łódź na wyznaczonej pozycji.

Był to punkt libracyjny. Tutaj łódź stała się satelitą Słońca i krążyła wokół niego synchronicznie z Ziemią.

Cheng Xin zerknęła na zegarek. Podróż została dobrze zaplanowana. Do spotkania było jeszcze dziesięć minut. Przestrzeń wokół niej była pusta i Cheng Xin starała się oczyścić również swój umysł. Przygotowywała się do zapamiętywania – jedyną rzeczą, która mogła przechować coś z czekającej ją rozmowy, był jej mózg. Musiała się zamienić w pozbawioną emocji nagrywarkę dźwięku i obrazu, by jak najwięcej zapamiętać z tego, co usłyszy i zobaczy w ciągu następnych dwóch godzin.

Pomyślała o zakątku kosmosu, w którym dane jej było się teraz znajdować. Siła grawitacji Słońca przewyższała tu siłę przyciągania Ziemi, więc w porównaniu z innymi miejscami w przestrzeni kosmicznej panowała tu większa pustka. Wyobraziła sobie, że jest w tej zerowej próżni sama i od nikogo niezależna, bez żadnej więzi z innymi częściami kosmosu… W ten sposób udało się jej wyprzeć ze świadomości skomplikowane emocje i osiągnąć stan czystości umysłu.

Niedaleko przed łodzią zaczął się rozwijać sofon w przestrzeni o niewielu wymiarach. Cheng Xin zobaczyła kilka metrów przed sobą kulę o średnicy trzech czy czterech metrów. Przesłaniała ona Ziemię i zajmowała większą część jej pola widzenia. Powierzchnia kuli idealnie odbijała światło i Cheng Xin zobaczyła w niej wyraźny obraz siebie i łodzi. Nie była pewna, czy sofon czaił się we wnętrzu ich jednostki, czy dopiero przybył.

Odbicia na powierzchni kuli zniknęły, gdy stała się ona przezroczysta jak bryła lodu. Chwilami Cheng Xin miała wrażenie, że przypomina dziurę wykopaną w przestrzeni kosmicznej. Potem z głębi kuli zaczęły wypływać podobne do płatków śniegu jasne plamki, które utworzyły na jej powierzchni migoczący wzór. Cheng Xin rozpoznała w tym biały szum, jak śnieżenie ekranu telewizora, który nie odbiera wizji.

Biały szum utrzymywał się przez mniej więcej trzy minuty, a potem jego miejsce zajęła scena transmitowana z odległości kilku lat świetlnych. Obraz był krystalicznie czysty, bez żadnych zniekształceń i zakłóceń.

Wcześniej Cheng Xin zachodziła w głowę, co zobaczy. Może będzie to tylko głos i tekst, może mózg pływający w płynie odżywczym, a może cały Yun Tianming. Chociaż uważała, że to ostatnie jest praktycznie niemożliwe, starała się wyobrazić sobie otoczenie, w którym teraz żył. Wymyślała niezliczone scenariusze, ale to, co zobaczyła, nie przypominało żadnego z nich.

Skąpane w blasku słońca złote pole pszenicy.

Miało około czterystu metrów kwadratowych. Zboże wyglądało na dorodne, dojrzałe do zebrania. Gleba wydawała się trochę niesamowita – była zupełnie czarna, a jej cząstki skrzyły się w słońcu jak gwiazdy. Obok pola stała wbita w ziemię łopata. Wyglądała zupełnie zwyczajnie, nawet stylisko wydawało się zrobione z drewna. Wisiał na nim słomiany kapelusz, stary i znoszony, a z jego ronda wystawały luźne łodygi pszenicy. Za pszenicą ciągnęło się drugie pole, na którym rosło coś zielonego, prawdopodobnie warzywa. Łan zafalował w powiewie wiatru.

Nad tymi polami o czarnej glebie było obce niebo – kopuła, którą tworzyła plątanina rur. Niektóre były grube, inne cienkie, ale wszystkie w kolorze ołowiu. Dwie czy trzy spośród tych tysięcy rur jarzyły się czerwono. Ich światło było tak jasne, że wyglądały jak żarzące się włókna. Obnażone części tych rur oświetlały pole i najwyraźniej były źródłem energii dla upraw. Każda świeciła się bardzo krótko, po czym gasła, a wtedy zastępowała ją inna, która zapalała się gdzie indziej. W każdej chwili włączone były dwie czy trzy. Przy przemieszczających się światłach zmieniały się też cienie na polu, jakby słońce co chwila przesłaniały chmury.

Cheng Xin była zaskoczona chaotycznym rozmieszczeniem rur. Nie wynikało to z niedbałości, przeciwnie – stworzenie takiego chaosu wymagało starannego planu i wielkiego wysiłku. Cały ten układ sprawiał wrażenie, jakby jego projektanci uważali, że nawet ślad istnienia jakiegoś wzoru jest tabu. Świadczyło to o estetyce zupełnie odmiennej od ludzkiej, zgodnie z którą wzory były brzydkie, za to brak porządku był piękny. Jarzące się rury ożywiały tę plątaninę jak słońce przezierające zza chmur. Cheng Xin zastanawiała się nawet, czy nie miało to być artystyczne przedstawienie słońca i chmur, ale po chwili ujrzała w nim ogromny model

ludzkiego mózgu, a w migoczących i jarzących się rurach zwoje nerwowe…

Racjonalnie rzecz biorąc, musiała odrzucić te fantazje. Nasuwało się dużo bardziej prawdopodobne wyjaśnienie, że cały ten system jest po prostu urządzeniem do rozpraszania ciepła, a na polach uprawnych w dole wykorzystywano tylko światło, które było skutkiem ubocznym zachodzącego w nim procesu. Opierając się tylko na jego wyglądzie i nic nie wiedząc o jego działaniu, Cheng Xin doszła do wniosku, że układ ten jest swego rodzaju ideałem inżynierii, którego ludzkość nie potrafi pojąć. Była oszołomiona, ale jednocześnie czuła się zahipnotyzowana.

Z głębi pola pszenicy szedł w jej stronę mężczyzna. Tianming.

Był w srebrnej kurtce, uszytej z jakiejś folii. Wyglądała na tak samo znoszoną jak słomiany kapelusz, ale poza tym niczym się nie wyróżniała. Nie widziała jego spodni, ponieważ zasłaniała je pszenica, ale prawdopodobnie były zrobione z tego samego materiału. Gdy podszedł bliżej, mogła się lepiej przyjrzeć jego twarzy. Wyglądał młodo, jakby był mniej więcej w tym samym wieku, kiedy przed trzystu laty się rozstali. Ale miał wyraźnie sprawniejsze ciało i opaloną twarz. Nie patrzył w jej stronę; zerwał kłos pszenicy, roztarł go w palcach, odrzucił łuszczki, a ziarna włożył do ust. Wyszedł z łanu, nadal je żując. Akurat w chwili, kiedy Cheng Xin zaczęła się zastanawiać, czy Tianming wie, że ona tam jest, uśmiechnął się i pomachał do niej.

– Hej, Cheng Xin! – powiedział.

W jego oczach widać było czystą radość, jakby był wiejskim chłopakiem witającym dziewczynę z tej samej wioski, która właśnie wróciła z miasta. Wydawało się, że to, iż minęły trzy wieki, nie ma żadnego znaczenia, tak samo jak kilka dzielących ich lat świetlnych. Zawsze byli razem. Cheng

Xin nigdy sobie tego nie wyobrażała. Wzrok Tianminga pieścił ją jak para delikatnych rąk i pod jego wpływem trochę zelżało jej nerwowe napięcie.

Nad iluminatorem zapaliło się zielone światło.

– Hej! – odparła Cheng Xin. W głębi jej świadomości wezbrała niczym bliski wybuchu wulkan fala emocji, która opadła trzysta lat temu, ale zdecydowanie je odparła, powtarzając sobie w głowie: „Zapamiętuj, tylko zapamiętuj, wszystko zapamiętuj”. Zapytała: – Widzisz mnie?

– Tak. – Tianming uśmiechnął się, kiwnął głową i włożył następne ziarno do ust.

– Co robisz?

Tianming wydawał się zaskoczony tym pytaniem. Machnięciem ręki wskazał pole.

– Uprawiam rolę.

– Dla siebie?

– Oczywiście. Inaczej skąd bym wziął jedzenie?

Obraz Tianminga, który Cheng Xin przechowała w pamięci, był inny. Podczas realizacji programu Klatka Schodowa był on wyniszczonym, słabym, śmiertelnie chorym człowiekiem, a wcześniej samotnym, wyobcowanym studentem. Ale chociaż ten Tianming z przeszłości zamknął się na świat, otworzył też przed nim swoje wnętrze – od pierwszego spojrzenia można było poznać, jakie prowadzi życie. Obecny Tianming wykazywał się tylko dojrzałością. Nie można było wyczytać z twarzy jego dziejów, chociaż prawdopodobnie było w nich więcej zakrętów, dziwnych wydarzeń i spektakularnych scen niż w dziesięciu *Odysejach*. Trzysta lat samotnego dryfowania w kosmosie, niewyobrażalne życie wśród obcych, niezliczone udręki i cierpienia, zarówno fizyczne, jak i duchowe, nie zostawiły na jego ciele żadnych śladów. Była tylko dojrzałość, opromieniona blaskiem słońca jak łan pszenicy za nim.

Tianming był zwycięzcą.

– Dziękuję ci za nasiona, które ze mną wysłałaś – powiedział. Brzmiało to szczerze. – Wszystkie zasiałem. Przyjęły się dobrze, i to już kolejne pokolenie. Ale nie udało mi się wyhodować ogórków – są zbyt twarde.

Cheng Xin zastanawiała się nad słowami Tianminga.

„Skąd wie, że to ja wysłałam te nasiona? Powiedzieli mu? A może…”

– Myślałam, że będziesz musiał siać je na plantacjach aeroponicznych albo hydroponicznych. Nie przyszło mi do głowy, że na statku kosmicznym może być gleba.

Tianming schylił się i zaczerpnął garść czarnej ziemi, pozwalając, by jej cząsteczki przesypywały się między jego palcami. Skrzyły się, kiedy spadały.

– To z meteoroidów. Taka gleba…

Zielone światło zgasło i zapaliło się żółte.

Najwyraźniej Tianming też zobaczył ostrzeżenie. Przerwał, uśmiechnął się i podniósł rękę. Ten uśmiech i gest były skierowane w stronę tych, którzy się im przysłuchiwali. Żółte światło zgasło i znowu zapaliło się zielone.

– Ile to już czasu? – zapytała Cheng Xin. Celowo zadała pytanie, które można było interpretować różnorako: od jak dawna uprawiał te rośliny, ile czasu minęło od transplantacji jego mózgu w sklonowane ciało, ile od czasu przechwycenia sondy wysłanej w ramach programu Klatka Schodowa albo jeszcze inaczej. Chciała dać mu możliwość przekazania informacji.

– Dużo.

Odpowiedź Tianminga była jeszcze bardziej wieloznaczna. Miał tak samo spokojną minę jak wcześniej, ale żółte światło musiało go przestraszyć. Nie chciał, by Cheng Xin stała się jakakolwiek krzywda.

– Na początku nie miałem żadnego pojęcia o uprawie roli – powiedział. – Chciałem się tego nauczyć, przyglądając się innym. Ale, jak wiesz, nie ma już prawdziwych rolników, zatem musiałem sam do tego dojść. Nauka szła mi wolno, dobrze więc, że nie jadam dużo.

Potwierdziło się przypuszczenie Cheng Xin. Znaczenie tego, co mówił Tianming, było jasne: gdyby na Ziemi żyli jeszcze prawdziwi rolnicy, mógłby ich obserwować. Innymi słowy, mógł oglądać informacje zbierane na Ziemi przez sofony! To przynajmniej pokazywało, że Tianminga łączy z trisolariańskim społeczeństwem ścisła więź.

– Ta pszenica wygląda znakomicie. Nie nadszedł czas żniw?

– Tak. To był dobry rok.

– Dobry rok?

– No, jeśli silniki działają pełną mocą, to mam dobry rok, a jeśli…

Zapaliło się żółte światło.

Potwierdziło się kolejne przypuszczenie Cheng Xin. Plątanina rur pod sufitem była faktycznie systemem chłodzenia silników. Światło, które się z nich wydobywało, było produktem spalania antymaterii w silnikach statku.

– Dobrze, porozmawiajmy o czymś innym – rzekła z uśmiechem Cheng Xin. – Chcesz wiedzieć, co się ze mną działo? Po twoim odlocie…

– Wszystko wiem. Cały czas byłem z tobą.

Głos Tianminga był równy i spokojny, ale Cheng Xin drżało serce. Tak, zawsze był z nią, obserwował jej życie przez sofony. Musiał widzieć, jak została Dzierżycielką Miecza, jak w ostatnich chwilach ery odstraszania odrzuciła od siebie ten czerwony przycisk, jak wegetowała w Australii, jak pod wpływem ogromnego cierpienia straciła wzrok i w końcu jak wyjęła tę niebieską kapsułkę… Przeszedł te wszystkie próby razem z nią. Mogła sobie łatwo wyobrazić, że kiedy z odległości kilku lat świetlnych widział tę

jej drogę przez piekło, musiał jeszcze bardziej cierpieć. Gdyby wcześniej wiedziała, że ten mężczyzna, który ją kochał, przebył lata świetlne, by trzymać nad nią straż, podniosłoby to ją na duchu. Niestety, myślała, że na zawsze zaginął w bezmiarze kosmosu i że już nie żyje.

– Gdybym wiedziała… – mruknęła Cheng Xin, jakby do siebie.

– Nie mogłaś o tym wiedzieć. – Tianming potrząsnął głową.

Znowu wypłynęły emocje, a Cheng Xin je odepchnęła. Siłą woli powstrzymała się od płaczu.

– A co ty przeżyłeś? Możesz mi coś opowiedzieć? – zapytała Cheng Xin. Była to niezawoalowana próba uzyskania informacji wywiadowczych, ale musiała ją podjąć.

– Hmm, niech pomyślę… – zastanawiał się Tianming.

Zapaliło się żółte światło. Tianming nie zdążył nawet nic powiedzieć. Ostrzeżenie było poważne. Potrząsnął głową.

– Nie mogę ci nic powiedzieć. Absolutnie nic.

Cheng Xin nic na to nie rzekła. Zrobiła wszystko, co mogła, by wykonać zadanie. Teraz mogła tylko czekać na to, co zrobi Tianming.

– Nie możemy tak rozmawiać – powiedział Tianming i westchnął. „Dla twojego dobra” – dodał spojrzeniem.

Tak, to było zbyt niebezpieczne. Już trzykrotnie zapaliło się żółte światło.

Cheng Xin westchnęła w sercu. Tianming się poddał. Nie będzie mogła wykonać zadania. Ale nie miała wyboru.

Kiedy zrezygnowali z jej zadania, przestrzeń kosmiczna, w której się znajdowali, szeroka na kilka lat świetlnych, stała się ich sekretnym światem. Nie potrzebowali słów, by się rozumieć – ich oczy przekazywały wszystko, czego chcieli. Teraz, gdy nie skupiała się już na zadaniu, Cheng Xin uznała spojrzenie Tianminga za jeszcze bardziej wymowne. Wróciła wspomnieniami do lat studenckich, kiedy często patrzył na nią w ten

sposób. Był dyskretny, ale wyczuła go swym dziewczęcym instynktem. Teraz jego spojrzenie było pełne dojrzałości, a jego słoneczna promienność przebyła lata świetlne, by napełnić ją ciepłem i poczuciem szczęścia.

Pragnęła, by to milczenie trwało wiecznie, ale Tianming znowu przemówił:

– Cheng Xin, pamiętasz, jak spędzaliśmy czas, kiedy byliśmy mali?

Cheng Xin potrząsnęła głową. To pytanie było niespodziewane i niezrozumiałe. „Kiedy byliśmy mali?” Ale udało się jej ukryć zaskoczenie.

– Przed pójściem spać dzwoniliśmy do siebie i gadaliśmy. Wymyślaliśmy różne historie i opowiadaliśmy je sobie. Zawsze byłaś w tym lepsza. Ile ich opowiedzieliśmy? Co najmniej ze sto.

– Tak, chyba tak. Dużo.

Cheng Xin nigdy nie umiała kłamać, ale odkryła ze zdziwieniem, że idzie jej to całkiem dobrze.

– Pamiętasz jakieś?

– Niewiele. Czasy dzieciństwa są takie odległe.

– Ale nie dla mnie. Podczas tych lat bez końca powtarzałem sobie te historie – twoje i moje.

– Sam sobie?

– Nie. Kiedy tu przybyłem, bardzo chciałem podarować coś temu światu. Ale co to mogłoby być? Po długim namyśle postanowiłem, że mogę dać mu dzieciństwo, więc zacząłem opowiadać wymyślone przez nas historie. Tutejsze dzieci je pokochały. Wydałem nawet zbiór pod tytułem *Baśnie z Ziemi*, który był bardzo popularny. Ta książka należy do nas obojga – nie popełniłem plagiatu, wszystkie historie, które mi opowiedziałaś, opatrzone są twoim nazwiskiem. Tak więc jesteś tu znaną autorką.

Z wciąż bardzo skąpej wiedzy ludzi o Trisolarianach wynikało, że seks między nimi polegał na stopieniu się ciał dwojga partnerów w jedno. Potem to połączone ciało rozdzielało się na trzy do pięciu nowych istot. Byli to ich potomkowie, „dzieci”, o których mówił Tianming. Ale te jednostki dziedziczyły część pamięci rodziców, więc w momencie urodzin były już względnie dojrzałe, co odróżniało je od ludzkich dzieci. Tak naprawdę Trisolarianie nie mieli dzieciństwa. Zarówno trisolariańscy, jak i ziemscy uczeni uważali, że ta biologiczna różnica była jedną z głównych przyczyn wielkich różnic między ich kulturami i społeczeństwami.

Cheng Xin znowu się zaniepokoiła. Wbrew jej wcześniejszemu podejrzeniu Tianming się nie poddał i teraz był kluczowy moment. Musiała coś zrobić, ale powinna być bardzo, bardzo ostrożna.

– Chociaż nie możemy rozmawiać o niczym innym, na pewno możemy porozmawiać o tych historiach – powiedziała z uśmiechem. – Są wyłącznie nasze.

– O wymyślonych przeze mnie czy o tych, które ty wymyśliłaś?

Cheng Xin nie zawahała się ani chwili. Sama była zdumiona, jak szybko zrozumiała plan Tianminga.

– Opowiedz te, które ja wymyśliłam. Przeniosą mnie w czasy dzieciństwa.

– Dobrze. No to nie rozmawiajmy o niczym innym. Tylko o tych opowieściach. – Tianming rozłożył ręce i spojrzał w górę, wyraźnie zwracając się do tych, którzy przysłuchiwali się ich rozmowie. Znaczenie tego gestu było oczywiste: „Chyba się temu nie sprzeciwicie, prawda? Wszystko jest bezpieczne”. Potem obrócił się do Cheng Xin. – Mamy około godziny. Która historia? Hmm… co powiesz na „Nowego malarza króla”?

I tak Tianming zaczął snuć opowieść. Mówił głębokim, kojącym głosem, jakby śpiewał starodawną pieśń. Cheng Xin starała się ją dokładnie

zapamiętać, ale stopniowo dała się porwać. Minęło dużo czasu. Tianming opowiedział trzy powiązane ze sobą historie: „Nowy malarz króla”, „Morze Żarłoków” i „Książę Głęboka Woda”. Kiedy skończył ostatnią, sofon zaczął odliczanie i dał im znać, że została tylko minuta.

Za moment mieli się rozstać.

Cheng Xin ocknęła się z baśniowych marzeń. Poczuła w sercu ukłucie, które było niemal nie do zniesienia.

– Wszechświat jest wielki, ale życie jest większe – powiedziała. – Na pewno jeszcze się spotkamy.

Dopiero gdy wyrzekła te słowa, zdała sobie sprawę, że powtórzyła to, co na pożegnanie powiedziała Sofona.

– Wobec tego wybierzmy jakieś miejsce na spotkanie, gdzieś poza Ziemią, w Drodze Mlecznej.

– Może na gwieździe, którą mi dałeś? Naszej gwieździe. – Cheng Xin nawet nie musiała się nad tym zastanawiać.

– Dobrze. Na naszej gwieździe!

Kiedy patrzyli na siebie z odległości wielu lat świetlnych, odliczanie doszło do zera i obraz zniknął, a powrócił biały szron. Potem rozwinięty sofon znowu stał się doskonałym zwierciadłem.

Zielone światło zgasło. Teraz nie paliło się żadne. Cheng Xin zdawała sobie sprawę, że jest o włos od śmierci. Na odległym o kilka lat świetlnych statku pierwszej floty trisolariańskiej odtwarzano teraz i badano jej rozmowę z Tianmingiem. W każdej chwili mogło się zapalić czerwone światło zagłady bez wcześniejszego żółtego światła ostrzegawczego.

Cheng Xin widziała na rozwiniętej, kulistej powierzchni sofonu odbicie swoje i łodzi. Zwrócona w stronę sofonu połowa pojazdu była przezroczysta jak medalion zawieszony na łańcuszku na szyi, a ona sama była zdjęciem umieszczonym w tym medalionie. Miała na sobie

śnieżnobiały lekki skafander kosmiczny i wyglądała czysto, młodzieńczo, ślicznie. Zaskoczył ją wyraz jej oczu – jasny, spokojny, nieujawniający niczego z szalejącej w jej wnętrzu burzy emocji. Poczuła się podniesiona na duchu, gdy wyobraziła sobie ten śliczny medalion na szyi Tianminga.

Po nieokreślonym czasie sofon zniknął. Nie zapaliło się czerwone światło. Przestrzeń kosmiczna na zewnątrz wyglądała tak jak przedtem: w oddali znowu pojawiła się niebieska Ziemia, a za nią Słońce. Były świadkami wszystkiego.

Cheng Xin znowu poczuła przeciążenie. Łódź przyspieszała, wracała do domu.

Podczas trwającej kilka godzin podróży powrotnej Cheng Xin nastawiła kadłub łodzi na całkowitą nieprzezroczystość. Zamknęła się i przeistoczyła w maszynę do zapamiętywania. Wciąż na nowo powtarzała słowa Tianminga i jego opowieści. Przyspieszenie ustało, łódź przybijała do portu, silnik odwrócił się, łódź hamowała – Cheng Xin nawet tego nie zauważyła. W końcu po serii wstrząsów otworzyły się drzwi i do środka wpadło światło lamp portowych.

Czekało na nią dwóch oficjeli, którzy towarzyszyli jej w drodze na stację. Mieli beznamiętne twarze. Po prostym powitaniu poprowadzili ją przez port pod zamknięte drzwi.

– Doktor Cheng, musi pani odpocząć. Proszę nie rozmyślać o przeszłości. Nie mieliśmy wielkich nadziei, że zdobędzie pani cokolwiek użytecznego – powiedział przedstawiciel ROP. A potem gestem ręki zaprosił Cheng Xin do wejścia przez drzwi, które akurat się otworzyły.

Cheng Xin myślała, że wkroczy do hali portu, ale znalazła się w niezwykle małym pomieszczeniu. Wszystkie ściany były z jakiegoś ciemnego metalu. Kiedy drzwi się zamknęły, nie widziała nawet ich zarysów. Nie było to miejsce odpoczynku. Pokój był skromnie umeblowany

– znajdowały się tam tylko małe biurko i krzesło. Na biurku stał mikrofon. W tej epoce rzadko można zobaczyć mikrofony, korzystano z nich tylko dla robienia bardzo wiernych nagrań. W pokoju unosił się drażniący zapach, jakby siarki, i Cheng Xin zaczęła swędzieć skóra – powietrze było ciężkie od elektryczności statycznej.

Byli tam wszyscy członkowie zespołu specjalnego. Gdy tylko dwaj wysocy oficjele, którzy odebrali ją na lądowisku, tam weszli, zmieniły się ich miny. Były tak samo zatroskane i niespokojne jak miny całej reszty obecnych.

– Dla sofonów jest to martwa strefa – poinformował któryś z nich Cheng Xin.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ludziom udało się w końcu stworzyć technologię umożliwiającą ukrycie się przed wszędobylskimi podsłuchiwaczami, chociaż tylko w bardzo ograniczonej przestrzeni, takiej jak ta.

– Proszę, by przytoczyła pani całą waszą rozmowę – powiedział szef sztabu Floty. – Niech nie pomija pani żadnych zapamiętanych szczegółów. Ważne może być każde słowo.

Potem członkowie zespołu wyszli jeden po drugim z pokoju. Jako ostatni opuścił go inżynier, który wyjaśnił jej, że ściany zabezpieczonego przed podsłuchem pomieszczenia są naelektryzowane, więc powinna uważać, by ich nie dotykać.

Została sama. Usiadła przy biurku i zaczęła nagrywać wszystko, co zapamiętała. Skończyła po godzinie i dziesięciu minutach. Wypiła odrobinę mleka z wodą, zrobiła sobie krótką przerwę i nagrała to drugi, a potem trzeci raz. Kiedy była gotowa do czwartego nagrania, poproszono ją, by opowiedziała wszystko od końca. Piąte nagranie zrobiła pod kierunkiem zespołu psychologów. Dali jej jakiś środek, pod wpływem którego znalazła

się w stanie półhipnozy, i nawet nie wiedziała, co mówi. Nie zauważyła, kiedy minęło sześć godzin.

Po zakończeniu nagrywania pokój znowu wypełnili członkowie zespołu specjalnego. Obejmowali ją i ściskali jej dłoń. Z ich oczu płynęły gorące łzy i wszyscy mówili, że dokonała bohaterskiego czynu. Ale Cheng Xin była odrętwiała jak jakaś maszyna do zapamiętywania.

Maszyna do zapamiętywania w jej mózgu wyłączyła się dopiero wtedy, gdy Cheng Xin wróciła do wygodnej kabiny w windzie kosmicznej. Znowu stała się osobą. Przytłoczyło ją ogromne wyczerpanie i fale emocji i kiedy spojrzała na zbliżającą się niebieską kulę Ziemi, zaczęła płakać. W jej głowie rozbrzmiewał jak echo tylko jeden głos:

„Nasza gwiazda. Nasza gwiazda…”.

W owej chwili ponad trzydzieści tysięcy kilometrów niżej, na powierzchni Ziemi, dom Sofony stanął w płomieniach. Spłonął także robot, który był awatarem Sofony. Wcześniej ogłosił całemu światu, że wszystkie sofony zostaną wycofane z Układu Słonecznego.

Ludzie nie do końca wierzyli Sofonie. Było zupełnie możliwe, że parę sofonów zostało na Ziemi i w Układzie Słonecznym. Ale mogła również powiedzieć prawdę. Sofony były cennymi zasobami. To, co pozostało z cywilizacji trisolariańskiej, znajdowało się w pierwszej flocie jej statków, a one jeszcze długo, długo nie będą w stanie skonstruować nowych sofonów. Poza tym śledzenie tego, co się dzieje w Układzie Słonecznym i na Ziemi, nie miało już specjalnego sensu. Gdyby flota weszła w rejon martwy dla sofonów, mogłaby je utracić na zawsze.

Gdyby do tego doszło, Trisolarianie i ludzie straciliby kontakt i znowu staliby się dla siebie nawzajem kosmicznymi nieznajomymi. Trzystuletnia

historia walk i niechęci stałaby się efemerydą, których tak wiele było w kosmosie. Nawet gdyby mieli się jeszcze – jak przewidywała Sofona – spotkać w przyszłości, byłaby ona bardzo odległa. Ale żadna z tych cywilizacji nie wiedziała, czy ma jeszcze przyszłość.

7 rok ery nadawania

Baśnie Yun Tianminga

Również pierwsze spotkanie Komisji Odszyfrowywania Informacji Wywiadowczych (KOIW) odbyło się w pomieszczeniu zabezpieczonym przed podglądem i podsłuchem sofonów. Mimo że większość ludzi przychylała się teraz do zdania, że sofony odleciały i Układ Słoneczny oraz Ziemia są „czyste”, woleli podjąć te środki ostrożności. Chodziło im głównie o to, że jeśli sofony nadal tam były, mogłoby to zagrozić Yun Tianmingowi.

Upubliczniono część rozmowy, którą odbyła z nim Cheng Xin, ale treść trzech baśni utrzymywano w absolutnej tajemnicy. We współczesnym transparentnym społeczeństwie zachowanie tak ważnych informacji w sekrecie było nie lada wyzwaniem zarówno dla ONZ, jak i Floty Międzynarodowej. Ale państwa świata szybko doszły do porozumienia w tej sprawie: gdyby ujawniono treść baśni, wszyscy rzuciliby się do ich odszyfrowywania, odkrywając tym samym zamiary Tianminga. Zapewnienie mu bezpieczeństwa było ważne nie tyle dla niego, ile dla przetrwania ludzkości, ponieważ na razie był jedynym człowiekiem osadzonym w społeczeństwie obcych, osobą nie do zastąpienia.

To, że rozszyfrowanie przesłania Tianminga odbywa się w tajemnicy, było kolejnym świadectwem potęgi i zdolności operacyjnych ONZ, kolejnym krokiem na drodze do ustanowienia rządu światowego.

Zabezpieczone przed dociekliwością sofonów pomieszczenie było większe od tego, w którym Cheng Xin znalazła się po powrocie na stację końcową, ale i tak za małe na salę konferencyjną. Siła potrzebna do utrzymywania sofonów z dala wystarczała do zamknięcia przed nimi tylko ograniczonej przestrzeni.

Obecnych było około trzydziestu ludzi. Poza Cheng Xin były tam dwie osoby z ery powszechnej: projektant zderzacza cząstek, inżynier Bi Yunfeng, oraz fizyk Cao Bin, dawni konkurenci Cheng Xin do funkcji Dzierżyciela Miecza.

Wszyscy mieli na sobie stroje chroniące przed wysokim napięciem elektrycznym, ponieważ metalowe ściany pokoju zabezpieczonego przed podglądem i podsłuchem sofonów były podłączone do prądu. W szczególności każdy z obecnych musiał nosić rękawice ochronne, na wypadek gdyby z przyzwyczajenia chciał wywołać okno informacyjne. W tym polu siłowym nie działały żadne urządzenia elektroniczne, więc nie było tu takich okien. Żeby pole siłowe było równomiernie rozłożone, wyposażenie tego pomieszczenia zredukowano do minimum. Stały tam tylko krzesła, nie było stołu. Ponieważ stroje ochronne wzięto od inżynierów elektryków, zebranie przypominało starożytną odprawę przed zmianą w fabryce.

Nikt nie narzekał na złe warunki w pomieszczeniu – na tłok, drażniący zapach ani swędzenie skóry wywołane naelektryzowanym powietrzem. Po trzystu latach znajdowania się pod stałą obserwacją sofonów uwolnienie się od podglądaczy natychmiast sprawiło wszystkim ulgę. Umiejętność zasłaniania przed nimi ograniczonej przestrzeni rozwinięto wkrótce po Wielkim Przesiedleniu. Plotkowano, że ci, którzy pierwsi weszli do pomieszczenia ukrytego przed sofonami, zapadli na tak zwany „zespół zasłony” – bez przerwy mówili, jakby byli pijani, i ujawniali towarzyszom

wszystkie swoje sekrety. Pewien reporter opisał to tak: „W tym wąskim kawałku nieba ludzie otworzyli przed sobą serca. Nie zasłanialiśmy już oczu”.

KOIW powstała ze wspólnej inicjatywy Floty Międzynarodowej i Rady Ochrony Planety przy ONZ w celu odszyfrowania wiadomości przekazanej przez Yun Tianminga. Nadzorowała pracę dwudziestu pięciu zespołów roboczych skupiających się na różnych tematach z wielu dyscyplin. Obecni na zebraniu nie byli ekspertami ani naukowcami, lecz członkami KOIW, a jednocześnie szefami poszczególnych zespołów.

Najpierw przewodniczący KOIW podziękował w imieniu Floty Międzynarodowej i ONZ Yun Tianmingowi i Cheng Xin. Nazwał Tianminga najdzielniejszym wojownikiem w historii rodzaju ludzkiego. Był on pierwszym człowiekiem, który przetrwał w obcym świecie. Znalazłszy się sam wśród wrogów, w trudnym do wyobrażenia otoczeniu, nie zaprzestał walki i dał nadzieję pogrążonej w kryzysie Ziemi. Natomiast Cheng Xin dzięki inteligencji i odwadze uzyskała od niego informacje wywiadowcze, które udało się jej dostarczyć na Ziemię.

Cheng Xin poprosiła cicho o głos. Wstała i obrzuciwszy spojrzeniem wszystkich obecnych, powiedziała:

– To wszystko jest rezultatem programu Klatka Schodowa. Tego przedsięwzięcia nie da się oddzielić od pewnego konkretnego człowieka. Trzysta lat temu jego niezłomność, zdecydowane przywództwo i niezrównana kreatywność pozwoliły zespołowi pracującemu nad tym programem pokonać wszystkie przeszkody i go urzeczywistnić. Człowiekiem, o którym mówię, jest Thomas Wade, szef Agencji Wywiadu Strategicznego ROP. Uważam, że powinniśmy podziękować również jemu.

W salce konferencyjnej zapadło milczenie. Nikt nie poparł sugestii Cheng Xin. Dla większości Wade był ucieleśnieniem najbardziej

mrocznych cech natury ludzi ery powszechnej, antytezą tej ślicznej kobiety, która stała przed nimi. O mało jej nie zabił. Na samą myśl o nim przebiegł ich dreszcz.

Przewodniczący, który akurat był obecnym szefem PAW, następcą Wade'a, mimo że dzieliły ich trzy wieki, w ogóle nie zareagował na propozycję Cheng Xin. Po prostu przeszedł do następnego punktu zebrania.

– Komisja ustaliła główną zasadę procesu rozszyfrowywania i przyjęła założenie, czego możemy się spodziewać po jego wynikach. Uważamy, że ten materiał najprawdopodobniej nie zawiera jakichś konkretnych informacji technicznych, ale może nam wskazać właściwy kierunek badań. Możliwe, że zawiera pewne wskazówki co do właściwych ram teoretycznych prac nad nieznanymi nam technologiami, takimi jak podróżowanie z prędkością światła czy gwarancja bezpieczeństwa. Jeśli je uzyskamy, da to ludzkości wielką nadzieję. Mamy w sumie dwa zbiory informacji: rozmowę między doktor Cheng i Yun Tianmingiem oraz trzy historie, które opowiedział. Wstępna analiza wskazuje, że ważne informacje są w całości ukryte w tych opowieściach. W przyszłości nie będziemy poświęcali wiele uwagi rozmowie, ale teraz streszczę to, co udało się nam z niej wydobyć. Po pierwsze, wiemy, że Yun Tianming musiał włożyć wiele pracy w przygotowanie się do przekazania tej wiadomości. Stworzył prawie sto bajek, w które włączył trzy z informacjami wywiadowczymi. Przez długi czas opowiadał je i wydawał, by zaznajomić z nimi Trisolarian, co nie było łatwym zadaniem. Jeśli nie wpadli na trop ukrytych w nich sekretów, to prawdopodobnie również w przyszłości będą traktować je jako nieszkodliwe. Ale mimo to starał się otoczyć je dodatkową warstwą ochronną.

Przewodniczący zwrócił się do Cheng Xin.

– Chcę panią o coś zapytać. Naprawdę znaliście się w dzieciństwie?

Cheng Xin potrząsnęła głową.

– Nie. Poznaliśmy się dopiero na studiach. Oboje pochodzimy z tego samego miasta, ale nie chodziliśmy razem ani do szkoły podstawowej, ani do średniej.

– A to łajdak! Jego kłamstwo mogło doprowadzić do śmierci Cheng Xin! – krzyknęła AA, która siedziała obok niej.

Pozostali popatrzyli na nią ze złością. Nie była członkinią KOIW i pozwolono jej wziąć udział w zebraniu tylko na prośbę Cheng Xin, jako jej asystentce. AA była kiedyś utalentowanym astronomem, ale ponieważ jej życiorys był niezbyt długi, pozostali patrzyli na nią z góry. Wszyscy uważali, że Cheng Xin powinna wybrać na asystentkę do spraw technicznych osobę bardziej wykwalifikowaną, i nawet ona sama zapominała czasami, że AA była wcześniej naukowcem.

– Niewiele ryzykował tym kłamstwem – powiedział oficer PAW. – Ich dzieciństwo przypadło na okres sprzed kryzysu, zanim jeszcze nad Ziemią pojawiły się sofony. A wtedy żadne z nich nie mogło być przedmiotem inwigilacji z ich strony.

– Ale sofony mogły sprawdzić zapiski z ery powszechnej.

– Uzyskanie zapisków dotyczących dwojga dzieci sprzed kryzysu nie jest takie łatwe. Nawet gdyby sofonom udało się w jakiś sposób dotrzeć do danych meldunkowych albo dzienników szkolnych i odkryć, że te dzieci nie chodziły do tej samej szkoły podstawowej czy średniej, nie mogłyby wykluczyć możliwości, że się znały. I jest jeszcze coś, o czym pani nie pomyślała. – Oficer nie krył pogardy dla braku doświadczenia zawodowego AA. – Tianming mógł kierować sofonami. Musiał już sam sprawdzić zapiski.

– Trzeba było podjąć to ryzyko – kontynuował przewodniczący. – Przypisując Cheng Xin autorstwo tych trzech baśni, jeszcze bardziej

przekonał wroga, że są one niewinne. Podczas godziny, którą zajęło ich opowiedzenie, ani raz nie zapaliło się żółte światło. Odkryliśmy też, że gdy Tianming kończył opowiadać ostatnią z nich, minął termin ustalony przez Sofonę. Trisolarianie przedłużyli w geście współczucia spotkanie o sześć minut, żeby mógł dokończyć. Potwierdza to, że uważają oni te opowieści za nieszkodliwe. Tianming przypisał jej te baśnie ze szczególnego powodu – żeby pokazać nam, że zawierają istotne informacje. Z tej rozmowy nie udało się nam uzyskać wiele więcej. Wszyscy jesteśmy zgodni, że jego ostatnie słowa są bardzo ważne.

Przewodniczący z przyzwyczajenia machnął ręką w powietrzu, by przywołać okno informacyjne. Zauważywszy, że nic się nie pojawiło, mówił dalej z zakłopotaniem:

– „Wobec tego wybierzmy jakieś miejsce na spotkanie, gdzieś poza Ziemią, w Drodze Mlecznej”. Mógł mieć na myśli dwie rzeczy: po pierwsze, chciał dać do zrozumienia, że nigdy nie będzie mógł powrócić do Układu Słonecznego, po drugie… – Przewodniczący przerwał i znowu machnął ręką, jakby coś od siebie odpędzał. – Nieważne. Idźmy dalej.

Atmosfera w pokoju zgęstniała. Wszyscy wiedzieli, co chciał powiedzieć: „Yun Tianming nie bardzo wierzył, że Ziemia przetrwa”.

Zebranym rozdano kopie dokumentu w niebieskich oprawach. W tej epoce rzadko można było zobaczyć papierowe dokumenty. Ten był bez nazwy, miał jedynie numer seryjny.

– Ten dokument można przeczytać tylko tutaj. Proszę nie wynosić go poza ten pokój i w żaden sposób nie zapisywać jego treści. Większość państwa zapozna się z nim po raz pierwszy. Zaczynajmy.

W pokoju zaległa cisza. Wszyscy zaczęli czytać trzy baśnie, które mogły uratować ludzką cywilizację.

Pierwsza opowieść Yun Tianminga

„Nowy malarz króla”

Dawno temu istniało Królestwo bez Opowieści.

Nazywało się tak, ponieważ nie istniały w nim żadne opowieści. Było to dobre, bo ludzie żyjący w takim królestwie byli najszczęśliwsi na świecie. Opowieści oznaczały momenty zwrotne i katastrofy.

Królestwo miało mądrego władcę, dobrą królową, sprawiedliwych, kompetentnych ministrów i ciężko pracujących, uczciwych zwykłych ludzi. Życie w nim było spokojne jak lustro – dzień wczorajszy był taki jak dzisiejszy, a dzisiejszy taki jak jutrzejszy, ubiegły rok taki sam jak bieżący, a bieżący taki sam jak przyszły. Nikt nigdy nie snuł żadnych opowieści.

Było tak, dopóki nie dorośli królewicze i królewna.

Król miał dwóch synów: księcia Głęboką Wodę i księcia Lodowaty Piasek. Miał również córkę: księżniczkę Kroplę Rosy.

Książę Głęboka Woda popłynął w dzieciństwie na Wyspę Grobów znajdującą się pośrodku Morza Żarłoków i już nie wrócił. Dlaczego tak się stało, opowiemy później.

Książę Lodowaty Piasek dorastał pod okiem króla i królowej, którzy bardzo się o niego martwili. Chłopiec był bystry, ale od małego przejawiał skłonność do okrucieństwa. Kazał służącym zbierać małe zwierzęta koło pałacu i udawał, że jest ich cesarzem. Ci jego „poddani” byli niewolnikami i za najdrobniejsze nieposłuszeństwo karał ich śmiercią. Często pod koniec

tej zabawy wszystkie zwierzęta były martwe, a on stał w kałuży krwi i śmiał się histerycznie…

Gdy podrósł, stał się bardziej powściągliwy. Mało mówił i miał ponure spojrzenie, ale król wiedział, że wilk schował tylko zęby, a serce księcia Lodowatego Piasku jest uśpionym jadowitym wężem, który czeka na właściwą chwilę, by wypełznąć z legowiska. W końcu król postanowił, że nie przejmie on tronu, i mianował swoją następczynią księżniczkę Kroplę Rosy. W Królestwie bez Opowieści miała więc wkrótce objąć władzę królowa regentka.

Jeśli dobry charakter, który król i królowa przekazywali dzieciom, był stałą cechą, to księżniczka Kropla Rosy musiała odziedziczyć tę jej część, której brakowało księciu Lodowatemu Piaskowi. Była niezwykle bystra, dobra i piękna. Kiedy spacerowała w dzień, słońce ciemniało ze wstydu, gdy udała się na przechadzkę nocą, księżyc szeroko otwierał oczy, by się jej lepiej przyjrzeć, gdy mówiła, ptaki przestawały śpiewać, by jej posłuchać, a gdy stąpnęła na jałową ziemię, wyrastały tam kwiaty. Ludzie cieszyli się, że będą mieli taką królową, a ministrowie chętnie by jej pomagali. Nawet książę Lodowaty Piasek nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, chociaż jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej ponure i zimniejsze.

I tak oto do Królestwa bez Opowieści zawitała opowieść.

Król obwieścił nowy plan sukcesji w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin. Tego wieczoru królestwo świętowało – ognie sztuczne zamieniły niebo we wspaniały ogród, a w jasnych światłach pałac wydawał się magicznym miejscem. Wszędzie było słychać śmiech i wesołe rozmowy, a wino lało się strumieniami…

Wszyscy się radowali, wydawało się nawet, że stopniało serce księcia Lodowatego Piasku. Wbrew swemu typowemu ponuremu milczeniu pokornie życzył królowi wszystkiego najlepszego i wyraził pragnienie, by

żył on, dopóki będzie świecić słońce, i opromieniał królestwo swym blaskiem. Zadeklarował też poparcie dla decyzji króla, bo – jak powiedział – Kropla Rosy nadawała się na monarchinię bardziej niż on. Pogratulował młodszej siostrze i rzekł, że ma nadzieję, iż nauczy się od ojca, jak rządzić, by dobrze sprawować przyszłe obowiązki. Jego szczerość i wielkoduszność poruszyły wszystkich obecnych.

– Synu, bardzo się cieszę, że taki jesteś – powiedział król i pogładził go po głowie. – Chciałbym, żeby zawsze tak było jak w tej chwili.

Jeden z ministrów zaproponował, by uwieczniono tę scenę na dużym obrazie, który zawisłby w pałacu, by stale przypominać o tym wieczorze.

Król potrząsnął głową.

– Malarz królewski jest stary. Świat przesłania mu mgła w oczach, a ręce tak mu się trzęsą, że nie potrafiłby już oddać radości na naszych twarzach.

– Właśnie miałem przejść do tego. – Książę Lodowaty Piasek ukłonił się nisko. – Ojcze, pozwól, że przedstawię ci nowego malarza.

Książę odwrócił się i skinął głową, a wtedy wszedł nowy malarz. Był to chłopiec w wieku czternastu czy piętnastu lat. Owinięty szarą mnisią opończą wyglądał wśród przystrojonych w klejnoty gości zgromadzonych we wspaniałym pałacu jak przestraszona mysz. Gdy podszedł, skulił się i skurczył i tak już chude ciało, jakby starał się uniknąć zadrapania przez otaczające go niewidzialne jeżyny.

Król był nieco rozczarowany jego widokiem.

– Jest taki młody! Ma wystarczające umiejętności?

Książę znowu się skłonił.

– Ojcze, to Bystre Oko z He’ershingenmosiken. Jest najlepszym uczniem mistrza Eteryka. Zaczął się u niego kształcić w wieku pięciu lat, a po ukończeniu dziesięciu posiadł wszystkie umiejętności, których mógł go nauczyć ten wielki malarz. Jest tak wrażliwy na kolory i kształty świata jak

my na rozpalone do czerwoności żelazo do wypalania piętna. Tę wrażliwość oddaje swoim pędzlem. Poza samym mistrzem Eterykiem nie dorównuje mu nikt na świecie. – Książę odwrócił się do Bystrego Oka. – Jako malarz króla możesz patrzeć wprost na niego bez naruszania etykiety.

Bystre Oko spojrzał na króla, po czym znowu spuścił wzrok.

Król był zaskoczony.

– Dziecko, masz tak przeszywający wzrok jak obnażony miecz w blasku ognia. Nie pasuje do twojego wieku.

Bystre Oko po raz pierwszy przemówił:

– Wasza wysokość, budzący postrach panie, wybacz, proszę, skromnemu malarzowi, jeśli cię uraził. Moje oczy są oczami malarza. Malarz musi najpierw namalować obraz w swoim sercu. Namalowałem już w sercu twój obraz, obraz dostojeństwa i mądrości. Przeniosę go na płótno.

– Możesz też spojrzeć na królową – rzekł książę.

Bystre Oko popatrzył na królową, po czym spuścił wzrok.

– Wasza wysokość, czcigodna królowo, wybacz, proszę, skromnemu malarzowi brak manier. Namalowałem już w sercu twój obraz, obraz szlachetności i elegancji. Przeniosę go na płótno.

– Spójrz na księżniczkę, przyszłą królową regentkę. Ją też musisz namalować.

Przyjrzenie się księżniczce zajęło Bystremu Oku jeszcze mniej czasu. Zaledwie rzucił na nią okiem, spuścił wzrok i powiedział:

– Wasza królewska mość, księżniczko ukochana przez lud, wybacz mi, proszę, że uchybiłem dworskim manierom. Twoja uroda olśniła mnie jak słońce i pierwszy raz czuję, że mój pędzel może nie podołać temu zadaniu. Ale namalowałem już twój obraz w moim sercu, starając się wiernie oddać twój niezrównany urok. Przeniosę go na płótno.

Potem książę poprosił Bystre Oko, by popatrzył na ministrów. Tamten zatrzymał na krótko spojrzenie na twarzy każdego z nich, spuścił wzrok i powiedział:

– Dostojni panowie, wybaczcie, proszę, nisko urodzonemu malarzowi, jeśli was uraził. Namalowałem już w sercu wasz obraz, starając się oddać wasze talenty i mądrość. Przeniosę go na płótno.

Uroczystość trwała, a książę Lodowaty Piasek zaciągnął Bystre Oko w kąt sali.

– Zapamiętałeś wszystkich? – zapytał szeptem.

Bystre Oko miał nisko pochyloną głowę, twarz całkowicie ukrytą pod kapturem. Opończa zwisała luźno, jakby nie było pod nią ciała, tylko cień.

– Tak, królu.

– Wszystko?

– Wszystko, królu. Mogę teraz namalować każdy włosek na ciele i głowie każdej z tych osób i będzie to dokładna kopia oryginału.

Uroczystość zakończyła się po północy. Po kolei zgasły światła w pałacu. Była najciemniejsza godzina przed świtem – księżyc już zaszedł, a ciemne chmury zasłoniły niebo od wschodu do zachodu jak kurtyna. Ziemię spowijała atramentowa czerń. Wiał zimny wiatr i ptaki kuliły się w gniazdach, a przerażone kwiaty stuliły płatki.

Z bramy pałacu wyłoniły się jak duchy dwa konie i popędziły na zachód. Siedzieli na nich Bystre Oko i książę Lodowaty Piasek. Dotarli do lochu o kilka mil od pałacu. Wydawał się zatopiony w najgłębszym morzu nocy – wilgotny, ponury, jak brzuch zimnokrwistej bestii pogrążonej w głębokim śnie. Cienie księcia i malarza chwiały się i drgały w blasku pochodni, a ich ciała były tylko dwiema plamkami na końcach tych cieni. Bystre Oko wyjął

z płóciennego worka zwój i rozwinął go. Był to obraz prawie takiej długości jak wzrost mężczyzny, portret starego człowieka. Jego twarz otaczały niczym srebrne płomienie siwe włosy i broda, a przeszywający wzrok był bardzo podobny do wzroku Bystrego Oko, chociaż kryła się w nim większa głębia. Portret świadczył o talencie malarza – starzec wyglądał jak żywy, ukazany był każdy szczegół jego twarzy i postaci.

– Królu, to jest – był – mój nauczyciel, mistrz Eteryk.

Książę kiwnął głową.

– Świetnie. Mądrze postąpiłeś, malując najpierw jego.

– Musiałem tak zrobić, żeby on nie namalował mnie pierwszy. – Bystre Oko powiesił z wielką starannością portret na wilgotnej ścianie. – Dobrze, teraz mogę się zabrać do pracy nad obrazami dla ciebie, panie.

Bystre Oko przyniósł z kąta lochu coś śnieżnobiałego.

– Królu, to część pnia drzewa śnieżnej fali z He’ershingenmosiken. Gdy to drzewo ma sto lat, jego pień można rozwinąć jak rolkę papieru. To idealny materiał do malowania. Moja magia działa tylko wtedy, kiedy maluję na papierze śnieżnej fali.

Położył rolkę na kamiennym stole, odwinął jej część i przycisnął obsydianową płytką. Potem wyjął ostry nóż i uciął ją wzdłuż krawędzi płytki. Gdy podniósł płytkę, odcięty arkusz papieru przylegał płasko do stołu. Czysta biała powierzchnia zdawała się lśnić.

Malarz wyjął z worka przybory i rozłożył na stole.

– Królu, spójrz na te pędzle. Zrobione z kępek włosów rosnących na uszach wilków w He’ershingenmosiken. Stamtąd pochodzą też farby. Czerwień sporządzona jest z krwi olbrzymich nietoperzy, czerń z atramentowej wydzieliny mątwy wyłowionej z głębiny oceanu, błękit i żółcień są wyciągami z meteorytów… Wszystkie trzeba mieszać ze łzami pewnego ogromnego ptaka zwanego księżycowym kocem…

– Po prostu bierz się do roboty – przerwał mu książę.

– Oczywiście, oczywiście. Od kogo mam zacząć?

– Od króla.

Bystre Oko podniósł pędzel. Malował niedbale – tu plamka, tam pasemko. Stopniowo na papierze pojawiały się różne kolory, ale nie układały się w żaden kształt. Wyglądało to tak, jakby papier rozłożono na wielobarwnym deszczu i stale spadały nań krople różnych kolorów. Po pewnym czasie malowidło przypominało chaotyczny wir, niczym ogród stratowany przez rozszalałe konie. Pędzel nadal sunął przez ten labirynt kolorów, jakby nie prowadziła go już ręka malarza, lecz on ją. Książę przyglądał się temu z boku ze zdziwieniem. Cisnęły mu się na usta pytania, ale ruch pojawiających się i zbierających kolorów miał na niego hipnotyzujący wpływ, więc tylko patrzył jak urzeczony.

Potem w jednej chwili wszystkie rozmieszczone na chybił trafił punkty połączyły się, jakby falująca powierzchnia obrazu nagle zamarzła, i kolory nabrały znaczenia. Wyłoniły się kształty i szybko stały się krystalicznie czyste.

Książę zobaczył portret ojca. Król był w tym samym stroju, który miał na sobie wcześniej w pałacu – w złotej koronie na głowie i wspaniałej odświętnej szacie. Ale wyraz jego twarzy był inny. Jego oczy nie lśniły już dostojeństwem i mądrością. Widać w nich było mieszaninę emocji: przebudzenie się ze snu, dezorientację, szok, smutek… a za nimi przerażenie, którego nie dało się w pełni wyrazić, jakby najbliższy przyjaciel rzucił się na niego z mieczem.

– Portret króla jest ukończony – powiedział Bystre Oko.

– Dobrze. – Książę kiwnął głową. W jego tęczówkach odbijało się światło pochodni, jakby jego dusza płonęła w głębokich studniach.

W odległym o kilka mil pałacu król zniknął ze swojej sypialni. Kołdra w łóżku z baldachimem wspartym na czterech kolumnach w kształcie bogów zachowała jeszcze ciepło jego ciała, a materac odciśnięty na nim jego kształt. Ale samego ciała nie było.

Książę podniósł ukończony obraz i cisnął go na podłogę.

– Każę go oprawić i powiesić tu na ścianie. Będę od czasu do czasu przychodził, żeby na niego popatrzeć. Teraz namaluj królową.

Bystre Oko rozprasował obsydianową płytą drugi arkusz papieru z drewna śnieżnej fali i zaczął malować portret królowej. Tym razem książę nie stał z boku i nie przypatrywał się jego pracy, lecz chodził po lochu. Jego kroki niosły się echem po pustym wnętrzu. Wykonanie tego dzieła zajęło Bystremu Oku o połowę mniej czasu niż poprzedniego.

– Królu, portret królowej jest gotowy.

– Dobrze.

W odległym o kilka mil pałacu królowa zniknęła ze swojej sypialni. Kołdra w łóżku z baldachimem wspartym na czterech kolumnach w kształcie aniołów zachowała jeszcze ciepło jej ciała, a materac odciśnięty na nim jego kształt. Ale samego ciała nie było.

Pies w pałacowym ogrodzie chyba coś wyczuł, bo zaszczekał głośno kilka razy, ale jego szczekanie natychmiast wchłonęła bezbrzeżna ciemność, a on sam ucichł ze strachu. Drżąc na całym ciele, wtopił się w noc.

– Następna ma być księżniczka? – zapytał Bystre Oko.

– Nie, najpierw namaluj ministrów. Są groźniejsi. Oczywiście maluj tylko tych, którzy są wierni mojemu ojcu. Pamiętasz ich?

– Oczywiście. Pamiętam wszystko. Mogę namalować każdy włosek na ich ciele i głowie…

– Po prostu bierz się do roboty. Pospiesz się. Musisz skończyć przed wschodem słońca.

– To żaden kłopot, królu. Zdążę namalować przed świtem portrety wszystkich ministrów wiernych królowi i portret księżniczki.

Bystre Oko rozpostarł kilka arkuszy papieru z drewna śnieżnej fali i zaczął malować jak szalony. Za każdym razem gdy namalował czyjś portret, osoba ta znikała z łóżka. Noc mijała, a wrogowie księcia Lodowatego Piasku zamieniali się jeden po drugim w obrazy na ścianie lochu.

Księżniczkę Kroplę Rosy obudziło głośne, natarczywe pukanie. Nigdy wcześniej nikt nie śmiał tak się do niej dobijać. Wstała i podeszła do drzwi, które właśnie otworzyła ciocia Dorodna.

Ciocia Dorodna była mamką Kropli Rosy, zajmowała się też nią później, kiedy dziewczynka dorastała. Księżniczka była do niej bardziej przywiązana niż do matki. Ciocia Dorodna spojrzała groźnie na kapitana, dowódcę straży pałacowej, stojącego przed drzwiami w zbroi, od której ciągnęło chłodem nocy.

– Oszalałeś? Jak śmiesz budzić księżniczkę? Nie wyspała się dobrze już od kilku nocy.

Dowódca straży ją zignorował. Złożył lekki ukłon Kropli Rosy.

– Księżniczko, ktoś chce się z tobą widzieć.

Potem odsunął się na bok, ukazując stojącego za nim starca.

Jego twarz otaczały niczym srebrne płomienie siwe włosy i broda. Miał przenikliwe i głębokie spojrzenie. Był to mężczyzna z pierwszego portretu, który Bystre Oko pokazał księciu Lodowatemu Piaskowi. Jego twarz i płaszcz były brudne, buty zabłocone, a na plecach dźwigał duży płócienny worek – widać było, że przebył długą drogę.

O dziwo, w ręku trzymał parasol. Jeszcze dziwniejszy był sposób, w jaki go trzymał – parasol cały czas się kręcił. Po bliższym przyjrzeniu się stawało się jasne, z jakiego dzieje się to powodu. Materiał i pręt z uchwytem były czarne jak smoła, nasadki drutów stanowiły małe kulki zrobione z jakiegoś półprzezroczystego, ciężkiego kamienia, a ich rozporniki były połamane i nie mogły utrzymać rozpiętego materiału. Tylko dzięki ciągłemu obracaniu kamyki unosiły się do góry i parasol pozostawał otwarty.

– Jak mogłeś pozwolić wejść tu obcemu? I do tego jakiemuś dziwakowi – powiedziała ciocia Dorodna.

– Oczywiście strażnicy go zatrzymali, ale – dowódca straży spojrzał z niepokojem na księżniczkę – powiedział, że król już nie żyje.

– Co ty wygadujesz? Naprawdę oszalałeś! – krzyknęła ciocia Dorodna.

Ale księżniczka się nie odezwała. Zacisnęła dłonie na koszuli nocnej pod szyją.

– Król jednak zniknął, tak samo królowa. Moi ludzie powiedzieli, że obie sypialnie są puste.

Księżniczka krzyknęła i wsparła się na cioci Dorodnej.

Wtedy starzec przemówił:

– Wasza wysokość, pozwól mi to wyjaśnić.

– Wejdź, proszę – odparła księżniczka. Potem zwróciła się do dowódcy straży: – Pilnuj tych drzwi.

Nadal kręcąc parasolem, starzec złożył księżniczce ukłon, jakby podziwiał ją za spokój w obliczu tragedii.

– Dlaczego kręcisz tym parasolem jak jakiś klaun? – zapytała ciocia Dorodna.

– Musi być otwarty, żebym nie zniknął tak jak król i królowa.

– Wobec tego wejdź z parasolem – powiedziała księżniczka, a ciocia Dorodna otworzyła szerzej drzwi.

Wszedłszy do środka, starzec zrzucił z pleców worek i westchnął. Ale parasol w jego ręku ani na chwilę nie przestał się obracać, a kamienne nasadki drutów migotały w blasku świecy i rzucały na ściany jasne plamki, które wyglądały jak pędzące gwiazdy.

– Jestem Eteryk, malarz z He’ershingenmosiken. Nowy malarz króla, Bystre Oko, jest, a raczej był, moim uczniem.

– Poznałam go – rzekła księżniczka.

– Spojrzał na ciebie? – zapytał z niepokojem Eteryk.

– Tak, oczywiście.

– To straszna wiadomość, księżniczko. Straszna! – Eteryk znowu westchnął. – To wcielony diabeł. Dzięki swej diabelskiej sztuce wmalowuje ludzi w obrazy.

– Głupie gadanie – powiedziała ciocia Dorodna. – Czyż malowanie ludzi nie jest zadaniem malarza?

– Nie rozumiesz mnie – odparł Eteryk. – Po zrobieniu przez niego portretu namalowana osoba znika. Żywy człowiek zmienia się w martwy obraz.

– Wobec tego musimy wysłać ludzi, by go zaraz zabili.

Do pokoju wsunął głowę dowódca straży.

– Wysłałem wszystkich strażników. Nie możemy go znaleźć. Chciałem odszukać ministra wojny i poprosić go, by postawił na nogi stołeczny garnizon, ale mistrz Eteryk powiedział, że minister wojny też już prawdopodobnie nie żyje.

Eteryk potrząsnął głową.

– Wezwanie wojska nic nie da. Książę Lodowaty Piasek i Bystre Oko na pewno nie przebywają nigdzie w pobliżu. Bystre Oko może malować w dowolnym miejscu na świecie i zabić każdego, kto jest tutaj.

– Powiedziałeś: Lodowaty Piasek? – zapytała ciocia Dorodna.

– Tak. Książę chce użyć Bystrego Oka jako broni i usunąć króla oraz wszystkich, którzy dochowują mu wierności, żeby sam mógł zostać królem.

Eteryk zauważył, że to, co powiedział, nie zaskoczyło ani księżniczki, ani cioci Dorodnej, ani dowódcy straży.

– To straszne! Bystre Oko może w każdej chwili zacząć malować księżniczkę – może już to robi! – Ciocia Dorodna objęła księżniczkę, jakby chciała zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Tylko ja mogę go powstrzymać – rzekł Eteryk. – Już mnie namalował, ale ten parasol chroni mnie przed zniknięciem. Jeśli ja go namaluję, będzie po nim.

– Więc bierz się do tego! – powiedziała ciocia Dorodna. – Ja potrzymam nad tobą parasol.

Eteryk znowu potrząsnął głową.

– Nie. Ta magia działa tylko wtedy, jeśli maluje się na papierze z drewna śnieżnej fali. Ale ten, który mam przy sobie, nie jest rozprostowany, więc nie można na nim malować.

Ciocia Dorodna otworzyła worek mistrza i wyjęła kawałek drewna śnieżnej fali. Był już okorowany i widać było rolkę papieru. Ciocia Dorodna i księżniczka rozwinęły ją i wydawało się, że w pokoju pojaśniało.

Starały się rozprostować ją na podłodze, ale bez względu na to, jak mocno naciskały, gdy tylko ją puściły, ponownie się zwijała.

– To nic nie da – powiedział malarz. – Papier z drewna śnieżnej fali można wygładzić tylko płytką obsydianu z He’ershingenmosiken. Ten rodzaj obsydianu jest bardzo rzadki i miałem tylko jedną tabliczkę, ale Bystre Oko ją ukradł.

– Naprawdę nie można go wygładzić niczym innym?

– Tak. Można to zrobić tylko obsydianem z He’ershingenmosiken. Miałem nadzieję, że odbiorę go Bystremu Oku.

– He’ershingenmosiken? Obsydian? – Ciocia Dorodna puknęła się w czoło. – Mam żelazko, którym prasuję najlepsze galowe suknie księżniczki. Zrobiono je w He’ershingenmosiken z obsydianu!

– Może podziałać!

Ciocia Dorodna wybiegła z pokoju i wkrótce wróciła ze lśniącym czarnym żelazkiem. Jeszcze raz rozwinęły z księżniczką zwój papieru i na kilka sekund przycisnęła jego róg żelazkiem. Kiedy je podniosła, róg pozostał płaski.

– Potrzymaj parasol, a ja rozprasuję papier – powiedział do niej Eteryk. Podając jej parasol, rzekł: – Kręć nim bez przerwy! Jeśli się zamknie, zniknę.

Przyglądał się, czy ciocia Dorodna kręci nim, jak trzeba, po czym kucnął i zaczął po kawałku rozprostowywać papier.

– Nie możesz wstawić rozporników drutów? – zapytała księżniczka, patrząc na wirujący parasol.

– Ten parasol miał rozporniki – odparł malarz, kontynuując rozprasowywanie papieru. – Jego historia jest niezwykła. W przeszłości również inni malarze w He’ershingenmosiken mieli takie same umiejętności jak ja i Bystre Oko. Potrafili wiernie odtworzyć nie tylko

twarze i postaci ludzi, ale także zwierzęta i rośliny. Pewnego dnia przyleciał do naszego kraju smok z otchłani. Był cały czarny i umiał nie tylko latać, ale i pływać. Namalowało go trzech artystów, ale on nadal latał i pływał. Wtedy malarze złożyli się i wynajęli obdarzonego magiczną mocą wojownika, który w końcu zabił go ognistym mieczem. Walka była tak zacięta, że zagotowało się morze koło He’ershingenmosiken. Większa część ciała smoka została zwęglona, ale mnie udało się zebrać kilka jego szczątków, z których zrobiłem ten parasol. Czasza zrobiona jest z błony z jego skrzydeł, a pręt, uchwyt i druty wykonałem z jego kości. Kamienie, które widzicie na końcach drutów, wyciągnąłem z prochów jego nerek. Ten parasol ma moc chronienia tego, kto go używa, przed wmalowaniem w obraz. Później rozporniki się połamały, więc założyłem bambusowe, ale parasol stracił moc. Usunąłem nowe rozporniki i odzyskał ją. Potem próbowałem trzymać czaszę ręką, ale to się też nie sprawdziło. Widocznie nie może w nim być żadnego obcego materiału. Ale nie mam już kości smoka, więc mogę go rozpościerać tylko w taki sposób…

Zegar stojący w rogu pokoju wybił godzinę. Eteryk podniósł głowę i zobaczył, że za chwilę wzejdzie słońce. Tymczasem na podłodze leżała rozwinięta tylko część rolki papieru z drewna śnieżnej fali szerokości dłoni, za mało na obraz. Odstawił żelazko i westchnął.

– Nie ma czasu. Namalowanie portretu Bystrego Oka długo potrwa, za to on może w każdej chwili skończyć portret księżniczki. Słuchajcie – zwrócił się do cioci Dorodnej i dowódcy straży pałacowej. – Czy Bystre Oko was widział?

– Mnie na pewno nie – odparła ciocia Dorodna.

– Widziałem go z daleka, gdy wchodził do pałacu – powiedział dowódca straży. – Ale jestem pewien, że on mnie nie.

– To dobrze. – Eteryk się podniósł. – Jedźcie z księżniczką nad Morze Żarłoków i odnajdźcie księcia Głęboką Wodę na Wyspie Grobów.

– Ale… nawet jeśli dotrzemy nad Morze Żarłoków, nie będziemy się mogli dostać na Wyspę Grobów. Wiesz, że to morze…

– Pokonajcie most, gdy tam dojedziecie. To jedyna droga. Do świtu wszyscy ministrowie wierni królowi znajdą się na portretach i książę Lodowaty Piasek przejmie władzę nad garnizonem stołecznym i strażą pałacową. Zasiądzie na tronie i tylko książę Głęboka Woda będzie w stanie go powstrzymać.

– Czy Bystre Oko nie wmaluje go w obraz, jeśli książę Głęboka Woda wróci do pałacu? – zapytała ciocia Dorodna.

– Nie martwcie się. Bystre Oko nie zdoła go namalować. Książę jest jedyną osobą w królestwie, której Bystre Oko nie może zrobić portretu. Na szczęście nauczyłem Bystre Oko tylko malowania w stylu zachodnim, o stylu wschodnim nawet mu nie wspomniałem.

Księżniczka i pozostałe dwie osoby nie wiedziały, o czym mówi mistrz Eteryk, a on nie tracił czasu na wyjaśnienia. Zamiast tego powiedział:

– Musicie sprowadzić księcia Głęboką Wodę z powrotem do pałacu i zabić Bystre Oko. Potem musicie znaleźć portret księżniczki i go spalić. To jedyny sposób, żeby ją ocalić.

– A jeśli znajdziemy portrety króla i królowej…

– Na to jest już za późno, wasza wysokość. Odeszli. Teraz są tylko obrazami. Jeśli je znajdziecie, nie palcie ich. Zachowajcie je na pamiątkę.

Żal tak przytłoczył księżniczkę Kroplę Rosy, że padła ze szlochem na podłogę.

– Księżniczko, nie pora teraz na smutek. Jeśli chcesz pomścić ojca i matkę, lepiej ruszaj w drogę. – Stary mistrz zwrócił się do cioci Dorodnej i dowódcy straży: – Pamiętajcie, że dopóki nie znajdziecie i nie zniszczycie

portretu księżniczki, musicie cały czas trzymać nad nią otwarty parasol. Nie może nawet na sekundę pozostać poza jego ochroną. – Wziął parasol od cioci Dorodnej i dalej nim kręcił. – Nie obracajcie go zbyt wolno, ale też nie za szybko, ponieważ jest stary i może się rozpaść. W pewnym sensie jest żywy. Jeśli będziecie obracać go za wolno, będzie śpiewał jak ptak. Posłuchajcie… – Zwolnił obroty, aż kamienie na nasadkach drutów zaczęły opadać, i parasol wydał dźwięk podobny do głosu słowika. Im wolniej nim kręcił, tym dźwięk ten był głośniejszy. Stary mistrz zwiększył obroty. – Jeśli będziecie kręcić za szybko, zadzwoni jak dzwonek. Tak… – Zakręcił jeszcze szybciej i z parasola wydobył się dźwięk jakby dzwoneczka wietrznego, ale szybszy i donośniejszy. – Dobrze. Teraz chrońcie księżniczkę.

Wręczył parasol cioci Dorodnej.

– Mistrzu Eteryku, jedź z nami – powiedziała księżniczka Kropla Rosy, patrząc na niego oczami pełnymi łez.

– Nie. Parasol ze szczątków smoka może chronić tylko jedną osobę. Jeśli spróbują go użyć razem dwie osoby namalowane przez Bystre Oko, obie umrą straszną śmiercią – połowa każdej z nich znajdzie się na obrazie, a druga zostanie pod parasolem… Trzymajcie teraz parasol nad księżniczką i jedźcie! Niebezpieczeństwo zwiększa się z każdą chwilą. Bystre Oko może skończyć portret lada moment!

Ciocia Dorodna trzymała parasol nad starym mistrzem. Spoglądała z wahaniem to na niego, to na księżniczkę.

– To ja nauczyłem tego wyrodka malować! Zasługuję na śmierć. Na co czekacie? Chcecie, żeby księżniczka zniknęła na waszych oczach?

Ciocia Dorodna zadrżała. Przesunęła parasol nad księżniczkę.

Stary malarz pogładził się po brodzie i uśmiechnął.

– Nie jest tak źle. Malowałem przez całe życie. Zostać zamienionym w obraz to niezłe zakończenie. Wierzę w technikę mojego ucznia. Portret będzie wspaniały…

Kiedy to mówił, stał się przezroczysty, a potem rozpłynął się jak pasmo mgły.

Księżniczka Kropla Rosy gapiła się w miejsce, gdzie przed momentem stał malarz.

– Jedźmy – szepnęła. – Nad Morze Żarłoków.

Ciocia Dorodna zwróciła się do dowódcy straży:

– Możesz na chwilę potrzymać parasol? Muszę spakować rzeczy.

Dowódca straży przejął parasol.

– Pospiesz się! Wszędzie są ludzie księcia Lodowatego Piasku. Trudno nam będzie uciec, gdy nastanie dzień.

– Ale muszę spakować rzeczy księżniczki. Nigdy stąd nie wyjeżdżała. Muszę zabrać jej płaszcz podróżny i buty, mnóstwo ubrań, wodę i… i mydło kąpielowe z He’ershingenmosiken – nie może zasnąć, jeśli się nim nie umyje… – mruczała ciocia Dorodna, wychodząc.

Pół godziny później, bladym świtem, z bocznej bramy pałacu wyjechał lekki pojazd. Powoził dowódca straży. W powozie siedziały księżniczka i ciocia Dorodna, która trzymała nad nią wirujący parasol. Wszyscy ubrani byli jak ludzie z gminu. Powóz wkrótce zniknął we mgle.

W odległym lochu Bystre Oko właśnie skończył portret księżniczki.

– To najpiękniejszy obraz, jaki kiedykolwiek namalowałem – powiedział do księcia Lodowatego Piasku.

Druga opowieść Yun Tianminga

„Morze Żarłoków”

Gdy znaleźli się za pałacem, dowódca straży poganiał konie, by pędziły co sił w kopytach. Cała trójka była niespokojna. Wydawało się im, że w każdym widzianym w przerzedzających się ciemnościach zagajniku i na każdym polu czai się zagrożenie. Kiedy niebo jeszcze bardziej pojaśniało, powóz wjechał na szczyt wzgórza. Dowódca straży zatrzymał go, by mogli spojrzeć na drogę za nimi. Pod wzgórzem rozpościerało się Królestwo, a droga była jak prosta linia dzieląca świat na pół. Na końcu tej linii znajdował się pałac, który wyglądał jak stos zapomnianych zabawek na horyzoncie. Nikt ich nie ścigał, widocznie książę Lodowaty Piasek uznał, że księżniczki już nie ma, bo została uwięziona przez Bystre Oko w obrazie.

Dalej pojechali już wolniej, bardziej rozluźnieni. W miarę jak niebo stawało się jaśniejsze, świat coraz bardziej przypominał wyłaniające się spod pędzla malowidło. Najpierw pojawiły się niewyraźne zarysy i rozmyte kolory, później kontury stały się wyraźniejsze, a kolory żywsze i bardziej nasycone. Na chwilę przed wschodem słońca obraz został ukończony.

Księżniczka, która całe życie spędziła w pałacu, nigdy nie widziała tak bogatej palety barw: zieleni lasów, pól i łąk, jaskrawej czerwieni i świetlistej żółcieni kwiatów polnych, srebra nieba odbijającego się w jeziorach i stawach, śnieżnej bieli stad owiec… Gdy wzeszło słońce,

wydawało się, jakby twórca tego obrazu świata rozsypał na jego powierzchni garść złotego pyłu.

– Na zewnątrz jest tak ślicznie – powiedziała księżniczka. – Zupełnie jakbyśmy już znaleźli się na obrazie.

– To prawda – potwierdziła ciocia Dorodna, kręcąc parasolem. – Ale na tym obrazie jesteś żywa. Na innym jesteś już martwa.

Przypomniało to księżniczce jej zmarłych rodziców. Siłą woli powstrzymała się od płaczu. Rozumiała, że nie jest już młodą dziewczyną, ale królową, która ma obowiązki.

Zaczęli rozmawiać o księciu Głębokiej Wodzie.

– Dlaczego zesłano go na Wyspę Grobów? – spytała księżniczka.

– Mówią, że jest potworem – odparł dowódca straży.

– Książę Głęboka Woda nie jest żadnym potworem! – powiedziała z oburzeniem ciocia Dorodna.

– Mówią, że jest olbrzymem.

– Nie jest olbrzymem. Trzymałam go na rękach, kiedy był mały, więc wiem.

– Sama się przekonasz, kiedy dojedziemy nad morze. Widziało go wielu innych. Naprawdę jest olbrzymem.

– Nawet jeśli to prawda, to jest też księciem – powiedziała księżniczka. – Dlaczego zesłano go na tę wyspę?

– Nie zesłano go. Kiedy był mały, popłynął łódką na Wyspę Grobów, żeby powędkować. Ale wtedy pojawiły się w morzu żarłoczne ryby. Nie mógł wrócić, musiał więc na niej dorastać.

Z nastaniem dnia droga stopniowo zaczęła się zapełniać pieszymi i pojazdami. Księżniczka rzadko opuszczała pałac, więc nikt jej nie

rozpoznał. Poza tym miała na twarzy woalkę, która ukazywała tylko jej oczy, ale i tak wszyscy, którzy ją zobaczyli, głośno wychwalali jej urodę. Podziwiali też przystojnego młodego woźnicę i chichotali na widok głupiej starej matki, która trzymała nad córką parasolkę, i to w jaki dziwny sposób! Był piękny, słoneczny dzień, więc wszyscy myśleli, że to parasolka słoneczna.

Nadeszło południe i dowódca straży ustrzelił z łuku dwa zające. Zjedli je na poboczu drogi, na otwartej przestrzeni między drzewami. Księżniczka Kropla Rosy gładziła miękką trawę, wdychała woń ziół i kwiatów, patrzyła na światło słoneczne przesiewające się między gałęziami na ziemię i słuchała śpiewu ptaków i pastuszka grającego gdzieś w oddali na fujarce – była zachwycona tym nowym światem i ciekawa go.

Ale ciocia Dorodna westchnęła.

– Och, księżniczko, tak mi przykro, że musisz być poza pałacem i cierpieć.

– Uważam, że lepiej być na zewnątrz niż w pałacu.

– Niemądra dziewczyno, jak tutaj może być lepiej niż w pałacu? Nie masz pojęcia, jak tu jest. Teraz jest wiosna, ale zimą jest zimno, a latem gorąco. Zdarzają się zawieruchy i ulewy, a poza tym są tu różne typy…

– Nic nie wiedziałam o świecie zewnętrznym. W pałacu uczyłam się muzyki, malowania, poezji, matematyki i dwóch języków, którymi nikt już nie mówi, ale nikt nie opowiadał mi o tym, co jest na zewnątrz. Jak mam rządzić tym królestwem?

– Pomogą ci ministrowie, księżniczko.

– Ci, którzy by mi pomogli, zostali wmalowani w obrazy… Nadal uważam, że na zewnątrz jest lepiej.

Brzeg morza był o dzień drogi od pałacu, ale unikali głównych dróg i miast, więc gdy przybyli na miejsce, była już północ.

Kropla Rosy nigdy wcześniej nie widziała tak szerokiego, rozgwieżdżonego nieba i po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak ciemno i cicho może być nocą. Pochodnia w powozie oświetlała tylko mały kawałek wokół niej, a odgłosy końskich kopyt brzmiały tak głośno, jakby mogły postrącać gwiazdy z nieba. Księżniczka pociągnęła dowódcę straży za ramię i poprosiła go, by się zatrzymał.

– Posłuchaj! Co to jest? Brzmi jak głośny oddech.

– To odgłos morza, księżniczko.

Pojechali trochę dalej i księżniczka ujrzała po obu stronach niewyraźne kształty – gigantyczne banany?

– A to co?

Dowódca straży zatrzymał powóz, zeskoczył na ziemię i podszedł do jednego z tych obiektów.

– Powinnaś to rozpoznać, księżniczko.

– Łodzie?

– Tak, łodzie.

– Dlaczego te łodzie… są na lądzie?

– Ponieważ w morzu żyją żarłoczne ryby.

W świetle pochodni dowódcy straży ukazała się porzucona dawno temu łódź. Przysypał ją do połowy piasek i wystająca z niego część wyglądała jak szkielet jakiegoś potwora.

– Spójrz tam! – Księżniczka wskazała przed siebie. – Ogromny biały wąż!

– Nie bój się, księżniczko. To nie wąż, lecz piana morska. Dotarliśmy do morza.

Księżniczka i ciocia Dorodna, która trzymała nad nią parasol, wysiadły z powozu. Wcześniej Kropla Rosy oglądała morze tylko na obrazach i te malowane morza zawsze toczyły niebieskie fale pod niebieskim niebem. Natomiast morze, które widziała teraz, było ciemnym oceanem, tak przesyconym wspaniałością i tajemniczością światła gwiazd, że wyglądało jak drugie, płynne niebo. Księżniczka ruszyła w jego stronę, jakby przyciągała ją do niego jakaś siła. Dowódca straży i ciocia Dorodna ją powstrzymali.

– Niebezpiecznie jest podchodzić zbyt blisko wody.

– Nie sądzę, że jest tam głęboko. Utonę?

– Rozszarpią cię i zjedzą żarłoczne ryby! – powiedziała ciocia Dorodna.

Dowódca straży podniósł leżącą w pobliżu deskę, podszedł do morza i rzucił ją w fale. Deska podskoczyła parę razy na wodzie, po czym na powierzchnię wynurzył się czarny kształt i rzucił się na nią. Większa część tego stworzenia była pod wodą, trudno więc było ocenić jego wielkość. W świetle pochodni zamigotały łuski na jego ciele. Potem wynurzyły się jeszcze trzy czy cztery i również podpłynęły do deski. Walczyły o nią i przez plusk wody słychać było, jak ją piłowały i kruszyły zębami. Po paru chwilach zniknęły i one, i deska.

– Mogłyby szybko się uporać nawet z dużym statkiem – powiedział dowódca straży.

– Gdzie jest Wyspa Grobów? – zapytała ciocia Dorodna.

– W tamtym kierunku. – Dowódca straży wskazał horyzont. – Ale teraz jej nie dojrzymy. Musimy poczekać do rana.

Rozłożyli się biwakiem na plaży. Ciocia Dorodna wręczyła wirujący parasol dowódcy straży i wyjęła z powozu małą drewnianą miskę.

– Obawiam się, księżniczko, że dzisiejszego wieczoru nie będziesz mogła się wykąpać. Ale możesz przynajmniej umyć twarz.

Dowódca straży oddał cioci Dorodnej parasol, wziął miskę i poszedł poszukać wody. Jego postać zniknęła w ciemności.

– Co za dobry młodzieniec – powiedziała ciocia Dorodna i ziewnęła.

Dowódca straży wrócił z miską pełną świeżej wody. Ciocia Dorodna wyjęła mydło kąpielowe księżniczki i dotknęła nim wody, a jej powierzchnia wypełniła się tak obfitą pianą, że trochę wyciekło na piasek.

Dowódca straży gapił się na pianę. Potem odwrócił się do cioci Dorodnej.

– Mogę obejrzeć to mydło?

Ciocia Dorodna ostrożnie podała mu białą kostkę.

– Mocno je trzymaj! Jest lżejsze niż piórko. Jeśli je puścisz, odleci.

Dowódca straży zważył je w ręku. Wydawało się nie mieć żadnego ciężaru, jakby trzymał cień.

– Naprawdę jest z He’ershingenmosiken! Jestem zdumiony, że jeszcze je mamy.

– Myślę, że w całym pałacu – nie, w całym królestwie – zostały już tylko dwie kostki. Jedną schowałam przed laty dla księżniczki. Wszystko z He’ershingenmosiken jest lepsze, ale mamy coraz mniej tych rzeczy.

Ciocia Dorodna wzięła z powrotem mydło i starannie je zapakowała.

Przyglądając się białej pianie, księżniczka po raz pierwszy od początku podróży zaczęła wspominać swoje życie w pałacu. Każdego wieczoru wodę w wannie w jej wytwornym i bogato zdobionym pokoju kąpielowym pokrywała taka piana jak ta. W świetle lamp bąbelki czasami były białe jak ściągnięte z nieba obłoki, a czasami opalizujące jak stos klejnotów. Gdy się w nich moczyła, czuła, że jej ciało staje się miękkie jak makaron, że stapia się z tymi bąbelkami. Czuła się tak dobrze, że nie chciało się jej ruszyć, więc służące musiały ją wyjmować z wanny, wycierać i nieść do łóżka. To cudowne uczucie utrzymywało się aż do rana.

Po umyciu mydłem kąpielowym z He’ershingenmosiken mięśnie jej twarzy były rozluźnione i miękkie, ale ciało pozostało zmęczone i sztywne. Po szybkiej kolacji położyła się na plaży – najpierw próbowała na kocu, ale wygodniej było spać wprost na piasku. Piasek zachował trochę dziennego ciepła, dzięki czemu czuła się tak, jakby trzymała ją olbrzymia, ciepła dłoń. Rytmicznie pluskające fale były niczym kołysanka, więc wkrótce zasnęła.

Po pewnym czasie obudził ją dźwięk dzwonka. Wydobywał się on z wirującego nad nią czarnego parasola. Ciocia Dorodna spała obok niej, a parasolem kręcił dowódca straży. Pochodnie zostały już zgaszone i wszystko pokrywała niczym czarny aksamit noc. Dowódca straży wyglądał na tle rozgwieżdżonego nieba jak wycinanka, w jego zbroi odbijało się światło gwiazd, a włosy powiewały na wietrze. Parasol, mała kopuła, która zasłaniała pół nieba, obracał się jednostajnie w jego ręku. Nie widziała jego oczu, ale czuła, że na nią patrzy.

– Przepraszam, księżniczko. Kręciłem nim trochę za szybko – szepnął.

– Która godzina?

– Jest po północy.

– Wydaje się, że jesteśmy dalej od morza niż przed moim zaśnięciem.

– Jest odpływ. Rano woda wróci.

– Zmienialiście się przy kręceniu parasolem?

– Tak. Ciocia Dorodna robiła to przez cały dzień. Dam jej odpocząć, kręcąc nieco dłużej w nocy.

– Ale przez cały dzień powoziłeś. Daj go teraz mnie i sam trochę odpocznij.

Samą księżniczkę zdumiały jej słowa. Jak daleko sięgała pamięcią, nigdy dotąd nie pomyślała o potrzebach innych.

– Nie, księżniczko. Masz gładkie i delikatne dłonie, a od kręcenia parasolem dostaniesz pęcherzy. Pozwól, że będę to robił dalej.

– Jak się nazywasz?

Chociaż jechali razem przez cały dzień, aż do tej pory nie przyszło jej do głowy, by go o to spytać. Przedtem uważałaby, że to całkowicie normalne, ale teraz czuła się trochę winna.

– Długi Żagiel.

– Żagiel? – Księżniczka rozejrzała się wokół. Obozowali obok dużej łodzi na plaży, która osłaniała ich przed wiatrem. W odróżnieniu od innych łodzi stojących na piasku ta wciąż miała maszt, który sterczał niczym miecz wskazujący gwiazdy. – Czy żagiel to nie tkanina wisząca na długim słupie?

– Tak. Ten słup nazywa się maszt. Wiesza się na nim żagiel, żeby wiatr pchał łódź.

– Żagle na morzu są takie białe. Bardzo ładne.

– Tylko na obrazach. W rzeczywistości wcale nie są takie białe.

– Przypuszczam, że pochodzisz z He’ershingenmosiken.

– Tak. Mój ojciec był tam architektem. Przypłynął tu z całą rodziną, kiedy byłem mały.

– Czy myślisz o powrocie do domu, to znaczy do He’ershingenmosiken?

– Właściwie nie. Byłem taki mały, gdy stamtąd odpływaliśmy, że niedużo pamiętam. A nawet gdybym pamiętał, to i tak nic z tego. Nigdy nie będę mógł opuścić Królestwa bez Opowieści.

W pewnej odległości od nich fale biły o brzeg, jakby powtarzały słowa Długiego Żagla: „nigdy nie będę mógł opuścić, nigdy nie będę mógł opuścić…”.

– Opowiedz mi coś o świecie. Nie znam żadnych opowieści – powiedziała księżniczka.

– Nie musisz znać. Jesteś księżniczką Królestwa bez Opowieści, więc to naturalne, że nie ma w nim żadnych opowieści dla ciebie. Tak naprawdę nikt poza pałacem nie opowiada już dzieciom żadnych historii ani bajek.

Ale moi rodzice byli inni. Pochodzili z He’ershingenmosiken, więc trochę mi opowiadali.

– Dawno temu ojciec powiedział mi, że w Królestwie bez Opowieści kiedyś też snuto opowieści.

– To prawda… Wiesz, księżniczko, że to królestwo jest otoczone morzem? Pałac znajduje się w środku królestwa. Bez względu na to, jaki obierzesz kierunek, w końcu dotrzesz na brzeg. Królestwo bez Opowieści jest dużą wyspą.

– Oczywiście. Wiem.

– Dawniej morze wokół królestwa nie nazywało się Morzem Żarłoków. Nie było wtedy żarłocznych ryb i statki swobodnie pruły wodę. Codziennie między Królestwem bez Opowieści i He’ershingenmosiken pływały niezliczone jednostki… a ten kraj nazywał się Królestwem Pełnym Opowieści i życie toczyło się inaczej.

– Czyżby?

– Było pełno opowieści i niespodzianek, zmian. W królestwie było kilka dużych, tętniących życiem miast, a pałacu nie otaczały lasy i pola, lecz kwitnąca stolica. W miastach można było kupić cenne dobra oraz wyjątkowe narzędzia i przyrządy z He’ershingenmosiken, a towary z Królestwa bez Opowieści, och, to znaczy z Królestwa Pełnego Opowieści, bez ustanku płynęły przez morze do He’ershingenmosiken. Życie ludzi było nieprzewidywalne, zupełnie jakby pędziło się konno przez góry – w jednej chwili było się na szczycie, w drugiej wpadało się w wąwóz. Pojawiały się szanse i zagrożenia – biedak mógł z dnia na dzień zostać bogaczem, a bogacz w mgnieniu oka stracić wszystko. Po przebudzeniu nikt nie wiedział, co mu się przydarzy tego dnia ani kogo spotka. Życie było porywające i zaskakujące. Ale pewnego dnia statek handlowy z He’ershingenmosiken przywiózł w beczkach z kutego żelaza rzadkie małe

rybki. Były długości palca, czarne, i wyglądały zupełnie normalnie. Ich sprzedawca urządzał na rynkach miast pokazy dla publiczności – wsuwał do beczki miecz i po chwili, podczas której dobiegały z niej przeraźliwe zgrzyty, wyjmował go i okazywało się, że ten został tak ogryziony, iż przypominał piłę. Te ryby, zwane żarłocznymi, żyły w ciemnych słodkowodnych jeziorkach w głębi jaskiń He'ershingenmosiken. Dobrze się sprzedawały w tym królestwie. Chociaż miały drobne zęby, były one twarde jak diamenty i można ich było używać jako głowic świdrów. Ich płetwy były tak ostre, że można z nich było robić groty strzał albo małe nożyki. A zatem sprowadzano ich coraz więcej. Pewnego razu, tuż przy wybrzeżu, tajfun wywrócił jeden ze statków transportowych do góry dnem i ponad dwadzieścia beczek z tymi rybkami wpadło do morza. Okazało się, że żarłoczne rybki znalazły w oceanie idealne warunki do rozwoju – dorastały do rozmiarów człowieka, a ponieważ szybko się mnożyły, nastąpiła eksplozja ich populacji. Zaczęły zjadać wszystko, co pływało na powierzchni. Cięły na drobne kawałki statki i łodzie, których w porę nie wyciągnięto na brzeg. Gdy otoczyły statek, wyżerały ogromne dziury w jego kadłubie. Ale nim statek zdążył zatonąć, zostawał przez nie dosłownie zmielony, jakby się roztopił. Wokół królestwa pływały ich całe ławice i szybko stworzyły w morzu barierę nie do pokonania. Tak więc królestwo znalazło się w oblężeniu żarłocznych ryb, a wybrzeże stało się wymarłą krainą. Na morzu nie pojawiały się już żadne statki ani żagle, królestwo było odcięte od He'ershigenmosiken i reszty świata. Powróciło do samowystarczalnej gospodarki rolnej. Zniknęły tętniące życiem miasta, a ich miejsce zajęły wioski i pojedyncze gospodarstwa. Życie stało się spokojne i szare, nie było już zmian, niespodzianek i motywacji do działania. Dzień wczorajszy był taki sam jak dzisiejszy, a dzisiejszy taki jak jutrzejszy. Ludzie stopniowo do tego przywykli i przestali tęsknić za innym

życiem. Z każdym mijającym dniem było coraz mniej wspomnień z dawnych lat i egzotycznych towarów z He’ershingenmosiken. Starano się zapomnieć o przeszłości i o teraźniejszości. Ludzie nie chcieli już opowieści, więc ułożyli sobie życie tak, by było bezbarwne. I tak Królestwo Pełne Opowieści stało się Królestwem bez Opowieści.

Ta historia urzekła księżniczkę Kroplę Rosy. Dopiero po długiej chwili zapytała:

– Czy te żarłoczne ryby są nadal w całym morzu?

– Nie. Żyją tylko przy brzegach Królestwa bez Opowieści. Ludzie o dobrym wzroku widują czasami daleko na oceanie mewy szukające pożywienia. Tam nie ma tych ryb. Ocean jest bezkresny.

– A więc poza Królestwem bez Opowieści i He’ershingenmosiken są też inne kraje?

– Księżniczko, naprawdę myślisz, że świat składa się tylko z tych dwóch miejsc?

– Tego uczył mnie guwerner, kiedy byłam mała.

– On sam w to nie wierzy. Świat jest bardzo, bardzo duży. Ocean jest bezbrzeżny i są na nim niezliczone wyspy. Niektóre mniejsze od tego królestwa, inne większe. Są nawet kontynenty.

– A co to jest kontynent?

– Ląd wielki jak morze. Nawet gdybyś jechała na szybkim koniu, nie dotarłabyś przez wiele miesięcy z jego jednego końca na drugi.

– Aż tak duży? – Księżniczka westchnęła. Potem spytała nagle: – Widzisz mnie?

– Tylko twoje oczy. Odbijają się w nich gwiazdy.

– Wobec tego musisz dostrzegać w nich tęsknotę. Chcę przepłynąć przez morze łodzią żaglową i zobaczyć odległe miejsca.

– To niemożliwe. Nigdy, przenigdy nie będziemy mogli opuścić Królestwa bez Opowieści… Jeśli boisz się ciemności, zapalmy pochodnie.

– Dobrze.

Zapalił pochodnie. Księżniczka Kropla Rosy spojrzała na kapitana Długi Żagiel, ale zobaczyła, że kieruje wzrok gdzie indziej.

– Na co patrzysz? – zapytała cicho.

– Tam, księżniczko, spójrz tam. – Długi Żagiel wskazywał małą kępkę zieleni wśród piasku. Na źdźbłach trawy lśniło w blasku pochodni kilka małych kropel. – Nazywają się krople rosy – powiedział Długi Żagiel.

– Ach, tak jak ja. Są do mnie podobne?

– Tak. Są piękne jak kryształy.

– Kiedy wstanie dzień, w świetle słońca będą jeszcze piękniejsze.

Dowódca straży głęboko westchnął. Zrobił to bezgłośnie, ale księżniczka to wyczuła.

– Co się stało?

– W słońcu krople rosy wyparują.

Księżniczka skinęła głową. Jej oczy się zaszkliły.

– A więc są jeszcze bardziej podobne do mnie. Jeśli ten parasol się zamknie, ja też zniknę. Będę kroplą rosy w słońcu.

– Nie pozwolę, byś zniknęła.

– Oboje wiemy, że nie będziemy mogli dostać się na Wyspę Grobów i sprowadzić z powrotem księcia Głęboką Wodę.

– Jeśli tak, wiecznie będę trzymał nad tobą parasol.

Trzecia opowieść Yun Tianminga

„Książę Głęboka Woda”

Gdy Kropla Rosy obudziła się po raz drugi, zaczynało świtać. Kolor morza zmienił się z czarnego na niebieski, ale księżniczka nadal uważała, że wygląda ono zupełnie inaczej niż na obrazach. Ukazał się w pełni jego ogrom, który wcześniej skrywała noc. W porannym słońcu jego powierzchnia była zupełnie pusta. W wyobraźni księżniczki przyczyną tego nie były żarłoczne ryby; było raczej tak, że morze było puste, bo czekało na nią, tak jak jej komnaty w pałacu. Tęsknota, o której powiedziała nocą Długiemu Żaglowi, stała się jeszcze bardziej dojmująca. Wyobraziła sobie, że na morzu pojawia się należący do niej biały żagiel i odpływa z wiatrem, aż w końcu niknie z oczu.

Teraz parasol trzymała nad nią ciocia Dorodna. Zawołał je dowódca straży, który stał na plaży przed nimi. Kiedy podeszły do niego, wskazał jakieś miejsce na oceanie.

– To Wyspa Grobów – powiedział.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła księżniczka, nie była wyspa, lecz stojący na niej olbrzym. Najwyraźniej był to książę Głęboka Woda. Stał na tej wyspie jak samotna góra. Miał opaloną na brąz skórę, jego mięśnie były niczym wypiętrzone skalne bryły, włosy falowały na wietrze jak sosny pod szczytem. Był podobny do Lodowatego Piasku, ale nie wyglądał ponuro ani posępnie, jego spojrzenie i wyraz twarzy przypominały raczej otwarte morze. Słońce nie wynurzyło się jeszcze w całości zza horyzontu, ale głowa

olbrzyma skąpana już była w złotym świetle, co sprawiało wrażenie, że się pali. Osłonił oczy ogromną dłonią i przez chwilę księżniczce wydawało się, że ich spojrzenia się spotkały.

– Bracie! – krzyknęła. – To ja, Kropla Rosy, twoja mała siostrzyczka. Jesteśmy tu!

Olbrzym w żaden sposób nie okazał, że ją usłyszał. Przesunął wzrok po miejscu, gdzie stali, i popatrzył gdzie indziej. Potem odjął dłoń od oczu, potrząsnął w zadumie głową i odwrócił się tyłem.

– Dlaczego nie zwraca na nas uwagi? – zapytała zaniepokojona księżniczka.

– A kto by zobaczył trzy mrówki w oddali? – Dowódca straży obrócił się do cioci Dorodnej. – Mówiłem wam, że książę Głęboka Woda jest olbrzymem.

– Kiedy trzymałam go na rękach, był naprawdę małym dzieckiem! Jak to się stało, że tak urósł? Ale to dobrze, że jest olbrzymem. Nikt go nie powstrzyma. Ukarze tych złoczyńców i zabierze portret księżniczki.

– Najpierw jednak musimy mu powiedzieć, co się stało – rzekł dowódca straży.

– Musimy się tam dostać! Płyńmy na Wyspę Grobów! – Księżniczka złapała kurczowo dowódcę straży za ramię.

– Nie możemy. Od lat nikomu nie udało się tam dostać. I nikt stamtąd nie może przypłynąć tutaj.

– Naprawdę nie ma żadnego sposobu? – Z oczu księżniczki popłynęły łzy. – Przybyliśmy tu po to, by go odszukać! Musisz coś wymyślić.

Długi Żagiel popatrzył bezradnie na zapłakaną księżniczkę.

– Naprawdę nie znam żadnego sposobu. Przyjazd tutaj był słuszną decyzją, bo musiałaś uciekać z pałacu, pani. Gdybyś tego nie zrobiła, czekałabyś tylko na śmierć. Ale od początku wiedziałem, że nie będziemy

w stanie dostać się na tę wyspę. Może… może uda się nam przekazać mu wiadomość przez gołębia pocztowego.

– Świetny pomysł! Natychmiast poszukajmy takiego gołębia.

– Ale co by nam to dało? Nawet gdyby dostał tę wiadomość, nie mógłby tu przypłynąć. Może być olbrzymem, ale żarłoczne ryby rozszarpałyby nawet jego… Zjedzmy śniadanie, a potem zdecydujemy, co mamy robić. Zaraz je przygotuję.

– Och, nie! Moja miska! – krzyknęła ciocia Dorodna.

Był przypływ i rosnące fale dosięgły drewnianej miski, w której poprzedniego wieczoru księżniczka myła twarz. Miska odpłynęła już kawałek od brzegu. Była wywrócona do góry dnem i mydliny, które w niej zostały, utworzyły na morzu białą pianę. Widzieli, że podpływa do niej kilka żarłocznych ryb. Ich ostre płetwy cięły powierzchnię morza jak noże. Za sekundę miska zamieni się w ich szczękach w kupę wiórów.

Ale zdarzyło się coś niewiarygodnego. Ryby nie dotarły do miski. Gdy tylko zetknęły się z pianą, zatrzymały się i wypłynęły na powierzchnię. Wydawało się, że straciły zapał i stały się ospałe. Kilka z nich poruszało leniwie ogonami, ale nie po to, by płynąć dalej – okazywały w ten sposób odprężenie. Inne przekręciły się nawet do góry białymi brzuchami.

Cała trójka patrzyła na to z osłupieniem. Po chwili księżniczka powiedziała:

– Chyba wiem, jak się czują. W tej pianie jest ci tak dobrze, jakbyś był bez kości. Nie chce im się ruszać.

– Mydło kąpielowe z He’ershingenmosiken jest naprawdę cudowne – stwierdziła ciocia Dorodna. – Szkoda, że zostały tylko dwie kostki.

– Ten gatunek mydła jest bardzo cenny także w He’ershingenmosiken – rzekł Długi Żagiel. – Wiecie, jak się je robi? Jest tam zaczarowany las tysiącletnich, wysokich drzew bąbelkowych. Normalnie nie wyróżniają się

niczym szczególnym, ale kiedy wieje silny wiatr, z ich pni wydobywają się mydlane bańki. Im silniejszy jest wiatr, tym więcej wyłania się tych bąbelków. Właśnie z nich wyrabia się to słynne mydło kąpielowe, ale nie jest łatwo je zebrać. Unoszą się bardzo szybko w powietrze, a ponieważ są przezroczyste, bardzo trudno jest je dojrzeć. Może je zobaczyć tylko ktoś, kto porusza się tak szybko jak one i znajduje się względem nich w spoczynku. Trzeba jechać na najszybszych koniach, których w całym He’ershingenmosiken jest nie więcej niż dziesięć. Gdy drzewa bąbelkowe zaczynają wypuszczać bańki, mydlarze dosiadają koni, pędzą w zawody z wiatrem i starają się je chwytać siatkami z cienkiej gazy. Bańki mają różną wielkość, ale nawet największe rozpryskują się w siatce i stają się tak małe, że nie można ich ujrzeć gołym okiem. Żeby zrobić jedną kostkę mydła, trzeba zebrać setki tysięcy, a czasami miliony tych baniek. Ale kiedy mydło znajdzie się w wodzie, z każdej bańki z drzewa bąbelkowego powstają miliony nowych baniek. Właśnie dlatego to mydło daje tak obfitą pianę. Bańki nie mają żadnego ciężaru, więc autentyczne czyste mydło z He’ershingenmosiken nic nie waży. To najlżejsza substancja na świecie, ale bardzo droga. Kostki, które ma ciocia Dorodna, są prawdopodobnie darem ambasadora He’ershingenmosiken dla króla z okazji jego koronacji. Potem…

Długi Żagiel raptownie przerwał i w głębokim zamyśleniu zapatrzył się na morze. Parę żarłocznych ryb nadal pluskało się leniwie w białej pianie. Przed nim unosiła się na powierzchni nienaruszona drewniana miska.

– Myślę, że można by się dostać na Wyspę Grobów! – Długi Żagiel wskazał na miskę. – A gdyby to była mała łódka?

– Mowy nie ma! – powiedziała ciocia Dorodna. – Księżniczka nie może podjąć takiego ryzyka.

– Nie mówiłem o księżniczce.

Kropla Rosy widziała po jego stanowczym spojrzeniu, że dowódca straży już podjął decyzję.

– Jeśli popłyniesz sam, to jak przekonasz księcia Głęboką Wodę, by ci uwierzył? – Twarz księżniczki zarumieniła się z podniecenia. – Ja też popłynę. Muszę!

– Nawet jeśli dostaniesz się na wyspę, to jak udowodnisz, że jesteś tą, za którą się podajesz? – Dowódca straży spojrzał znacząco na jej plebejskie ubranie.

Ciocia Dorodna nie odzywała się. Wiedziała, że jest na to sposób.

– Można dowieść mojego pokrewieństwa z bratem, porównując próbki naszej krwi – odparła księżniczka.

– Księżniczka i tak nie może tam popłynąć. To zbyt niebezpieczne! – Ale ton cioci Dorodnej nie był już tak kategoryczny.

– Uważasz, że tutaj będę bardziej bezpieczna? – Księżniczka wskazała parasol obracający się w ręku cioci Dorodnej. – Zwrócimy na siebie uwagę i Lodowaty Piasek nas dopadnie. Jeśli zostanę tutaj, to nawet gdybym nie skończyła na obrazie, schwyta mnie jego wojsko. Będę bezpieczniejsza na Wyspie Grobów.

Tak więc postanowili, że popłyną tam we troje.

Dowódca straży wyszukał najmniejszą łódkę spośród leżących na plaży i zaciągnął ją końmi w miejsce, gdzie lizała ją woda. Nie udało mu się znaleźć nieuszkodzonego żagla, ale z innych łodzi wziął parę wioseł. Najpierw pomógł wsiąść do łódki księżniczce i cioci Dorodnej, która cały czas trzymała otwarty parasol. Potem nadział na miecz kostkę mydła kąpielowego z He’ershingenmosiken i wręczył go księżniczce.

– Jak tylko łódka znajdzie się w wodzie, zanurz w niej mydło.

Księżniczka kiwnęła głową.

Dowódca straży zepchnął łódkę do morza i brodził w nim, aż woda sięgnęła mu do pasa. Wtedy wskoczył do środka i zaczął wiosłować z całych sił, kierując się w stronę wyspy.

Wokół nich zaczęły się pojawiać i przybliżać czarne płetwy żarłocznych ryb. Księżniczka siedziała na rufie i zanurzyła nadziane na miecz mydło w wodzie. Z morza natychmiast uniosły się na wysokość człowieka bańki, a potem rozproszyły się w fali, którą zostawiała za sobą łódka. Po wpłynięciu w nie żarłoczne ryby zaczynały dryfować, jakby rozkoszowały się niezrównanym doznaniem wylegiwania się na miękkim, białym, pluszowym kocu. Księżniczka mogła po raz pierwszy przyjrzeć się im z bliska. Oprócz białych brzuchów były całkowicie czarne, jak maszyny zrobione z żelaza i stali, ale teraz były rozleniwione i łagodne jak baranki.

Łódka pruła spokojne morze, ciągnąc za sobą długą, spienioną falę jak obłok, który spadł do wody. Z obu stron podpływały do niej żarłoczne ryby i pławiły się w pianie niczym pielgrzymi w rzece chmur. Od czasu do czasu kilka z nich pojawiało się przed łodzią i kąsało jej dno, jednej udało się nawet odgryźć kawałek wiosła. Ale wkrótce i je przywabiła piana za łódką, więc nie wyrządziły większych szkód. Gdy Kropla Rosy spojrzała na śnieżnobiałą wstęgę bąbelków za łodzią i ławicę odurzonych ryb, przypomniały się jej przedstawiane przez kapłanów opisy nieba.

Brzeg się oddalał, a łódź zbliżała się do Wyspy Grobów.

– Patrzcie! – krzyknęła ciocia Dorodna. – Książę Głęboka Woda wydaje się kurczyć.

Księżniczka spojrzała. Ciocia Dorodna miała rację. Książę pozostał olbrzymem, ale był wyraźnie mniejszy, niż kiedy patrzyli na niego z brzegu. Wciąż był odwrócony do nich tyłem i patrzył w inną stronę.

Księżniczka z powrotem skierowała wzrok na kapitana Długi Żagiel. Jeszcze bardziej niż przedtem wyglądał jak ucieleśnienie siły – jego

mięśnie napinały się niczym powrozy, wiosła w jego rękach machały rytmicznie jak para skrzydeł, pchając równo łódkę do przodu. Wydawał się stworzony do pracy na morzu; jego ruchy były bardziej swobodne i pewniejsze niż na lądzie.

– Książę nas widzi! – zawołała ciocia Dorodna.

Rzeczywiście był teraz zwrócony w ich stronę. Jedną ręką wskazywał na nich, a w jego oczach malowało się zdumienie. Jego usta poruszały się, jakby coś krzyczał. Nic dziwnego, że był zdumiony. Ich łódka była jedyną rzeczą na tym morzu śmierci, a im dalej zostawała za nimi spieniona fala, tym była szersza. Z punktu, w którym stał, wydawało się, że w morzu pojawiła się nagle kometa z długim warkoczem.

Wkrótce zorientowali się, że książę nie krzyczy do nich. U jego stóp pojawiło się kilka osób o normalnym wzroście. Z tej odległości osoby te wydawały się małe, a ich twarzy nie było widać wyraźnie, ale wszystkie patrzyły na łódkę, a parę pomachało do nich.

Wyspa Grobów była kiedyś bezludna. Dwadzieścia lat temu, gdy książę wybrał się tam na ryby, wziął ze sobą opiekuna, guwernera oraz kilku strażników i służących. Tuż po ich przybyciu na wyspę na płyciznach koło niej pojawiły się ławice żarłocznych ryb i i odcięły im drogę powrotu.

Księżniczka i jej towarzysze zauważyli, że książę wydaje się jeszcze niższy. Im bardziej się zbliżali, tym bardziej malał.

Łódka już prawie przybiła do brzegu wyspy. Zobaczyli ośmiu ludzi o normalnym wzroście, z których większość odziana była w zgrzebne ubrania z płótna żaglowego. Dwóch było w ceremonialnych pałacowych szatach, chociaż starych i znoszonych. Większość miała miecze. Wbiegli na plażę, zostawiając księcia z tyłu. Teraz wyglądał już na tylko dwa razy wyższego od nich, nie na olbrzyma.

Dowódca straży naparł mocniej na wiosła i łódka śmignęła do przodu. Fale popchnęły ją jak olbrzymie ręce, a gdy jej dno osiadło na piasku, kadłubem wstrząsnęło szarpnięcie, które omal nie przewróciło księżniczki. Ludzie na brzegu się zawahali, widocznie bojąc się żarłocznych ryb, ale czterech z nich weszło mimo to do wody, by przytrzymać łódź i pomóc księżniczce wysiąść.

– Ostrożnie! Księżniczka musi cały czas być pod parasolem! – krzyknęła ciocia Dorodna. Nabrała teraz wprawy w obchodzeniu się z parasolem i wprawiała go w ruch wirowy jedną ręką.

Witająca ich grupa nawet nie starała się ukryć zdumienia. Przenieśli wzrok z parasola na ślad, który łódka pozostawiła na wodzie – biała piana z mydła kąpielowego z He’ershingenmosiken i niezliczone żarłoczne ryby unoszące się na powierzchni utworzyły na morzu nakrapianą plamami bieli i czerni ścieżkę, która łączyła wyspę z królestwem.

Książę Głęboka Woda wysunął się naprzód. Z bliska nie wyglądał na wyższego niż zwykły człowiek; w istocie był niższy od dwóch ze swoich towarzyszy. Uśmiechnął się do przybyszy jak życzliwy rybak, ale w jego ruchach księżniczka dostrzegła podobieństwo do ojca. Krzyknęła z oczami pełnymi gorących łez:

– Bracie! Jestem twoją siostrą, Kroplą Rosy.

– Wyglądasz jak moja siostra.

Książę ponownie się uśmiechnął i wyciągnął do niej ręce, ale strażnicy powstrzymali go i odgrodzili od przybyszy. Część z nich wyjęła miecze i podejrzliwie patrzyła na dowódcę straży. Długi Żagiel zignorował ich, ale podniósł miecz, który upuściła księżniczka, i zbadał go. By uspokoić roztrzęsionych strażników, trzymał go za sztych. Zobaczył, że podczas wyprawy na Wyspę Grobów rozpuściła się tylko jedna trzecia kostki mydła kąpielowego z He’ershingenmosiken.

– Musicie udowodnić, że to naprawdę księżniczka – powiedział starzec z otoczenia księcia. Jego mundur, choć znoszony i połatany, był wciąż schludny. Na twarzy widać było ślady wielu przejść, ale brodę miał porządnie przystrzyżoną. Wyraźnie starał się zachować powagę stanowiska nawet na tej odludnej wyspie.

– Nie poznajesz mnie? – zapytała ciocia Dorodna. – Jesteś opiekunem Cienistym Lasem, a tam stoi guwerner Szczere Pole.

Obaj kiwnęli głowami.

– Ciociu Dorodna, mimo upływu lat wyglądasz krzepko i zdrowo.

– Wy dwaj też nie odmłodnieliście. – Ciocia Dorodna otarła oczy wolną ręką.

Opiekun Cienisty Las nadal miał ponurą minę.

– Minęło dwadzieścia lat i nie mamy pojęcia, co się dzieje w domu – powiedział. – Musimy poprosić księżniczkę, by dowiodła, że jest osobą, za którą się podaje. – Obrócił się do Kropli Rosy. – Zgadzasz się poddać badaniu krwi?

Księżniczka skinęła głową.

– Sądzę, że nie jest to konieczne – powiedział książę. – Wiem, że jest moją siostrą.

– Trzeba to zrobić, wasza królewska mość – odparł opiekun.

Ktoś przyniósł dwa sztylety i wręczył po jednym opiekunowi Cienistemu Lasowi i guwernerowi Szczeremu Polu. W odróżnieniu od zardzewiałych mieczy noszonych przez ludzi księcia lśniły jak nowe. Księżniczka wyciągnęła dłoń, Cienisty Las nakłuł lekko sztychem sztyletu jej palec wskazujący i utoczył kroplę krwi. To samo zrobił Szczere Pole księciu. Potem Cienisty Las wziął oba sztylety i ostrożnie zetknął krople krwi. Natychmiast zmieniły kolor z czerwonego na niebieski.

– To faktycznie księżniczka Kropla Rosy – oznajmił uroczystym głosem opiekun.

Potem wraz ze Szczerym Polem złożył jej ukłon. Pozostali towarzysze księcia przyklęknęli na jedno kolano. Później wstali i cofnęli się, by królewskie rodzeństwo mogło się uściskać.

– Trzymałem cię na rękach, kiedy byłaś dzieckiem – rzekł książę. – Ale wtedy byłaś taka mała.

Zapłakana księżniczka opowiedziała bratu o wszystkim, co się stało w Królestwie bez Opowieści. Głęboka Woda trzymał ją za rękę i wysłuchał bez przerywania. Jego twarz, naznaczona udrękami dwudziestu lat, ale wciąż młodzieńcza, pozostawała cały czas spokojna.

Wszyscy zebrali się wokół księcia i księżniczki, by wysłuchać jej historii, ale kapitan Długi Żagiel oddał się jakimś dziwnym figlom. Odbiegł na pewną odległość, popatrzył na księcia, wrócił i ponownie odbiegł. W końcu ciocia Dorodna odciągnęła go na bok.

– Powiedziałam ci, że książę Głęboka Woda nie jest olbrzymem – szepnęła.

– I jest, i nie jest – odparł dowódca straży. – Gdy się patrzy na normalną osobę, to im dalej jest od nas, tym mniejsza się nam wydaje, prawda? A z księciem jest zupełnie inaczej. Bez względu na to, jak daleko od nas się znajduje, w naszych oczach ma stale ten sam wzrost. Dlatego z oddali wygląda jak olbrzym.

Ciocia Dorodna kiwnęła głową.

– Ja też to zauważyłam.

Kiedy księżniczka skończyła swą opowieść, książę Głęboka Woda powiedział po prostu:

– Wracajmy.

Wzięli dwie łodzie. Książę dołączył do księżniczki i jej towarzyszy w małej łódce, pozostała ósemka wsiadła do większej łodzi, tej samej, którą przypłynęli na wyspę przed dwudziestu laty. Przeciekała, ale można nią było bezpiecznie przepłynąć niedużą odległość. Dokładali starań, by trzymać się na śladzie, który pozostał po łódce księżniczki. Chociaż piana się nieco rozrzedziła, żarłoczne ryby trwały w odrętwieniu. Od czasu do czasu jedna z łodzi czy jedno z wioseł trącały dryfującą rybę, ale każda usuwała się tylko ospale z drogi, bez żadnej gwałtownej reakcji. Żagiel większej łodzi był w marnym stanie, ale nadawał się jeszcze do użytku, więc płynęła pierwsza, otwierając mniejszej drogę przez ławice żarłocznych ryb.

– Myślę, że na wszelki wypadek powinnaś znowu zanurzyć mydło w morzu. A jeśli one się obudzą? – Ciocia Dorodna spoglądała nerwowo na dryfującą masę żarłocznych ryb.

– One nie śpią, ale niewiele się ruszają, bo jest im zbyt dobrze. Nie zostało nam wiele tego mydła i nie chcę go marnować. W przyszłości też nie będę go używała do kąpieli.

– Wojsko! – krzyknął ktoś w dużej łodzi na przedzie.

Na brzegu królestwa pokazał się oddział jazdy. Wpadł na plażę jak ciemna fala przyboju. Zbroje i broń wojowników lśniły w słońcu.

– Płyńcie dalej – powiedział książę Głęboka Woda.

– Przyjechali tu, by nas zabić! – Z twarzy księżniczki odpłynęła cała krew.

– Nie bój się – rzekł książę i lekko poklepał ją po dłoni.

Kropla Rosy spojrzała na starszego brata. Teraz wiedziała, że on lepiej nadaje się na króla niż ona.

Ponieważ mieli wiatr z tyłu, podróż powrotna zajęła im mniej czasu, i to mimo że przez całą drogę z łodziami zderzały się żarłoczne ryby. Gdy

w końcu obie łodzie znalazły się na plaży, jazda otoczyła je zwartym murem. Księżniczka i ciocia Dorodna były przerażone, ale Długi Żagiel, który miał więcej doświadczenia w takich sprawach, nieco się odprężył. Zauważył, że żołnierze nie dobyli mieczy z pochew i trzymali lance pionowo. Co ważniejsze, dostrzegł wyraz ich oczu. Byli zakuci w zbroje od stóp do głów, tak że widać było tylko ich oczy, ale ich wzrok skupiony był nie na uciekinierach, lecz na pienistej drodze za nimi, wiodącej przez morze pełne żarłocznych ryb. Długi Żagiel widział w nich tylko podziw zmieszany ze strachem.

Oficer zsiadł z konia i podbiegł do łodzi. Ludzie, którzy w nich przypłynęli, wysiedli, a towarzysze księcia wydobyli miecze i stanęli między oficerem a księciem i księżniczką.

– Oto książę Głęboka Woda i księżniczka Kropla Rosy. Zważajcie na swoje słowa i czyny! – krzyknął opiekun Cienisty Las do oficera.

Oficer przykląkł na jedno kolano i skłonił głowę.

– Wiemy. Ale mamy rozkaz zabić księżniczkę.

– Księżniczka Kropla Rosy jest prawomocnie ustanowioną następczynią tronu! Natomiast Lodowaty Piasek jest zdrajcą, królobójcą i ojcobójcą! Jak możecie wykonywać jego rozkazy?

– To też wiemy i dlatego nie wykonamy jego rozkazu. Ale dziś po południu książę Lodowaty Piasek zasiadł na tronie. Nie… nie jesteśmy pewni, kogo mamy słuchać.

Cienisty Las miał już coś powiedzieć, ale książę Głęboka Woda wystąpił naprzód i powstrzymał go.

– A może księżniczka i ja wrócimy z wami do pałacu? – rzekł do oficera. – Staniemy twarzą w twarz z Lodowatym Piaskiem i rozstrzygniemy to raz na zawsze.

Świeżo koronowany król Lodowaty Piasek ucztował z ministrami, którzy złożyli mu przysięgę wierności, w najbardziej okazałej sali w pałacu, kiedy przybył posłaniec z wiadomością, że zmierzają tam na czele wojska książę Głęboka Woda i księżniczka Kropla Rosy. Dotrą za godzinę. W sali natychmiast zapanowała cisza.

– Głęboka Woda? Jak przedostał się przez morze? Wyrosły mu skrzydła? – mruknął sam do siebie Lodowaty Piasek, ale na jego twarzy nie widać było przerażenia i zaskoczenia, jakie malowało się na twarzach innych. – Nie martwcie się. Wojsko nie posłucha tych dwojga, chyba że umrę… Bystre Oko!

Bystre Oko wyłonił się z cienia. Nadal był w szarej opończy i wydawał się jeszcze wątlejszy niż przedtem.

– Bierz papier z drewna śnieżnej fali oraz pędzle i jedź ku Głębokiej Wodzie. Gdy zobaczysz księcia, namaluj go. To będzie łatwe. Nie musisz się zanadto do niego zbliżać. Przyjrzyj mu się dobrze, jak tylko ukaże się na horyzoncie.

– Tak jest, królu.

Bystre Oko oddalił się bezszelestnie jak szczur.

– A jeśli chodzi o księżniczkę Kroplę Rosy, to co może zrobić dziewczyna? Wyrwę jej ten parasol.

Lodowaty Piasek opróżnił puchar do dna.

Uczta skończyła się w napiętej atmosferze. Ministrowie wyszli ze zmartwionymi minami i w pustej sali pozostał tylko Lodowaty Piasek.

Po pewnym czasie zobaczył, że Bystre Oko wraca. Rytm jego serca przyspieszył, nie dlatego, że Bystre Oko miał puste ręce, ani nie z powodu jego wyglądu, bo Bystre Oko wydawał się tak samo wrażliwy i dbały jak zawsze, ale za sprawą odgłosu jego kroków. Przedtem malarz zawsze

poruszał się cicho jak wiewiórka przemykająca po podłodze, ale teraz w sali jego kroki niosły się głośnym echem, jak uderzenia serca, których nie można było stłumić.

– Widziałem księcia Głęboką Wodę – powiedział Bystre Oko ze spuszczoną głową. – Ale nie mogłem go namalować.

– Miał skrzydła? – zapytał zgryźliwie Lodowaty Piasek.

– Zdołałbym go uchwycić, nawet gdyby je miał. Mógłbym namalować każde pióro w jego skrzydłach, i to tak, że wyglądałoby jak żywe. Ale, królu, prawda jest bardziej przerażająca – on nie stosuje się do reguł perspektywy.

– A co to jest perspektywa?

– Zgodnie z zasadami perspektywy przedmioty, które są dalej, wydają się mniejsze, niż są w istocie. Jestem malarzem ukształtowanym w tradycji zachodniej, a w niej przestrzega się reguł perspektywy. Nie potrafię go namalować.

– Czyli są szkoły malarstwa, które nie stosują się do reguł perspektywy?

– Tak. Królu, spójrz na te wschodnie malowidła. – Bystre Oko wskazał na malowany pędzelkiem rozwinięty zwój na jednej ze ścian sali. Był to elegancko przedstawiony nieziemski krajobraz, gdzie pustka podobna była do wody i mgły. Styl, w którym go namalowano, ostro kontrastował z wiszącymi obok solidnymi obrazami olejnymi. – Sam widzisz, że ten zwój nie stosuje się do zasad perspektywy. Ale ja nigdy nie uczyłem się tego stylu. Mistrz Eteryk nie chciał mnie tego nauczyć – może przewidział to, co się stało dzisiaj.

– Możesz odejść.

Twarz Lodowatego Piasku była pozbawiona wyrazu.

– Dobrze. Głęboka Woda może w każdej chwili przybyć do pałacu. Zabije mnie i oczywiście ciebie. Ale ja nie będę czekał bezradnie na śmierć.

Sam odbiorę sobie życie i tym aktem stworzę arcydzieło.

Bystre Oko odszedł, znowu poruszając się bezgłośnie.

Lodowaty Piasek wezwał straże.

– Przynieście mój miecz.

Z zewnątrz dobiegł do sali odgłos wielu kopyt. Początkowo ledwie słyszalny, z każdą chwilą narastał, aż stał się głośny jak burza z piorunami. Dźwięki te raptownie ucichły tuż przed pałacem.

Lodowaty Piasek wstał z tronu i wyszedł z sali z dobytym mieczem. Widział, jak po schodach wchodzi Głęboka Woda, za nim Kropla Rosy, a obok niej ciocia Dorodna z rozpostartym parasolem. Na placu przed schodami stało w zwartym szyku wojsko. Żołnierze czekali spokojnie, nie okazując poparcia żadnej stronie. Kiedy Lodowaty Piasek zobaczył Głęboką Wodę, wydawał mu się on dwa razy wyższy od zwykłego człowieka, ale gdy podszedł bliżej, sprawiał wrażenie mężczyzny o normalnym wzroście.

Lodowaty Piasek wrócił w mgnieniu oka myślami do odległych o ponad dwadzieścia lat czasów dzieciństwa. Wiedział wtedy, że wokół Wyspy Grobów gromadzą się żarłoczne ryby, ale mimo to namówił Głęboką Wodę, by popłynął tam wędkować. Ich ojciec był wtedy w szponach jakiejś choroby, więc Lodowaty Piasek powiedział Głębokiej Wodzie, że na tej wyspie żyje szczególny gatunek ryb, z których wątroby uzyskuje się tran będący lekarstwem na tę chorobę. Głęboka Woda, normalnie ostrożny, uwierzył mu i – jak chciał Lodowaty Piasek – popłynął na wyspę, z której nie było powrotu. Była to jedna z intryg, z których był najbardziej dumny. Poza nim nikt w królestwie nie znał prawdy o tej wyprawie.

Otrząsnął się z tych wspomnień. Teraz Głęboka Woda stał na podeście u szczytu schodów, przed drzwiami pałacu. Wydawał się człowiekiem normalnego wzrostu.

– Witaj, bracie – powiedział Lodowaty Piasek. – Miło mi widzieć ciebie i Kroplę Rosy. Ale musicie zrozumieć, że teraz jest to moje królestwo, a ja jestem królem. Musicie natychmiast złożyć mi przysięgę wierności.

Prawa ręka Głębokiej Wody spoczywała na rękojeści zardzewiałego miecza, lewą wskazał Lodowaty Piasek.

– Popełniłeś niewybaczalne zbrodnie – powiedział.

Lodowaty Piasek zachichotał.

– Wprawdzie Bystre Oko nie potrafi cię namalować, ale ja mogę ci przeszyć serce.

Wyciągnął miecz.

Obaj byli równie sprawnymi szermierzami, ale ponieważ Głęboka Woda nie stosował się do zasad perspektywy, Lodowatemu Piaskowi trudno było dokładnie ocenić, jak daleko znajduje się przeciwnik. Walka szybko się zakończyła, gdy Głęboka Woda dźgnął uzurpatora w pierś. Lodowaty Piasek stoczył się ze schodów, zostawiając na kamiennych stopniach długą smugę krwi.

Wojsko zaczęło wiwatować i przysięgło wierność księciu Głębokiej Wodzie i księżniczce Kropli Rosy.

Podczas gdy Głęboka Woda i Lodowaty Piasek toczyli pojedynek, kapitan Długi Żagiel szukał w pałacu Bystrego Oka. Ktoś powiedział mu, że malarz poszedł do pracowni, która znajdowała się w odległym zakątku pałacu. Kapitan zobaczył, że przed wejściem do niej stoi tylko jeden strażnik. Wcześniej służył on pod jego dowództwem.

– Przyszedł tu przed godziną – rzekł strażnik. – Od tamtej pory nie wychodził.

Kapitan wyważył drzwi i wdarł się do środka.

Pracownia nie miała okien. Stojące w srebrnych kandelabrach świece w większości się wypaliły i było tam ciemno jak w lochu. Pomieszczenie

było puste, ale Długi Żagiel dostrzegł obraz na sztaludze. Musiał zostać niedawno ukończony, bo nie wyschła jeszcze na nim farba. Był to autoportret Bystrego Oka. Malowidło było naprawdę arcydziełem. Było niczym okno innego świata, przez które Bystre Oko patrzył na ten świat. Chociaż zagięty róg papieru z drewna śnieżnej fali świadczył o tym, że to tylko obraz, dowódca straży starał się unikać przeszywającego wzroku namalowanej na nim postaci.

Długi Żagiel rozejrzał się i zobaczył na ścianach inne portrety: króla, królowej i wiernych im ministrów. Wisiał tam też portret księżniczki Kropli Rosy, a jej uroda zdawała się zalewać mroczną pracownię niebiańskim blaskiem. Jej oczy urzekły go tak, że poczuł się odurzony. W końcu jednak odzyskał zmysły. Zdjął obraz ze ściany, wyrwał go z ramy, zwinął i podpalił jedną ze świec.

Akurat w chwili gdy obraz trawiły płomienie, do pracowni weszła prawdziwa księżniczka. Nadal była w pospolitym ubraniu i sama trzymała wirujący czarny parasol.

– Gdzie jest ciocia Dorodna? – zapytał kapitan.

– Kazałam jej zostać na zewnątrz. Chcę powiedzieć parę rzeczy… tylko tobie.

– Nie ma już twojego portretu. – Długi Żagiel wskazał na żarzący się jeszcze popiół na podłodze. – Nie potrzebujesz już tego parasola.

Księżniczka zwolniła obroty i parasol zaczął śpiewać jak słowik. W miarę opadania czaszy ten śpiew stawał się coraz głośniejszy i szybszy, aż upodobnił się do krzyku kawki – ostatniego ostrzeżenia przed nadejściem śmierci. Potem parasol się zamknął, a kamienne kulki na końcach drutów zderzyły się z ostrym trzaskiem.

Księżniczka była cała i zdrowa.

Dowódca straży spojrzał na nią i wydał długie westchnienie ulgi. Obrócił się w stronę popiołu.

– Niedobrze. Ten portret był piękny i chciałbym, żebyś go zobaczyła, ale nie mogłem dłużej zwlekać. Był naprawdę bardzo piękny.

– Ładniejszy ode mnie?

– To byłaś ty.

Księżniczka wyjęła dwie kostki mydła z He’ershingenmosiken. Puściła je i nieważkie białe kostki uniosły się w powietrzu jak piórka.

– Mam zamiar opuścić królestwo i żeglować po morzach. Popłyniesz ze mną? – zapytała księżniczka.

– Co? Przecież książę Głęboka Woda oznajmił, że jutro odbędzie się twoja koronacja. Przysiągł, że pomoże ci z całego serca.

Księżniczka potrząsnęła głową.

– Mój brat nadaje się na króla bardziej niż ja. I gdyby nie został uwięziony na Wyspie Grobów, odziedziczyłby tron. Gdy zostanie królem, będzie mógł stanąć w jakimś wysokim miejscu w pałacu i zobaczy go całe królestwo. A ja nie chcę być królową. Na zewnątrz podoba mi się bardziej niż w pałacu. Nie chcę spędzić reszty życia w Królestwie bez Opowieści. Chcę się udać tam, gdzie są opowieści.

– Takie życie jest pełne niebezpieczeństw i trudów.

– Nie boję się tego.

W świetle świecy w oczach księżniczki pojawiła się iskra ożywienia. Długi Żagiel odniósł wrażenie, że wszystko wokół pojaśniało.

– Ja też się tego nie boję, księżniczko. Popłynę z tobą na koniec morza, na koniec świata.

– Wobec tego oboje będziemy ostatnimi ludźmi, którzy opuszczą to królestwo.

Księżniczka wyciągnęła rękę i chwyciła dwie kostki mydła unoszące się w powietrzu.

– Weźmiemy łódź żaglową.

– Tak, ze śnieżnobiałymi żaglami.

Następnego ranka ludzie gdzieś na plaży w królestwie zobaczyli, że na morzu pojawił się biały żagiel. Za żaglem ciągnął się długi pas podobnej do obłoku piany. W świetle wschodzącego słońca oddalał się od brzegu.

Nikt w królestwie nie wiedział, co się potem działo z księżniczką Kroplą Rosy i Długim Żaglem. Prawdę mówiąc, do królestwa nigdy nie dotarły żadne informacje o świecie za morzem. Księżniczka zabrała ostatnie kostki mydła z He’ershingenmosiken, więc nikt nie mógł się przedostać przez zapory utworzone przez żarłoczne ryby. Ale nikt nie narzekał. Ludzie przywykli do swego spokojnego życia. Po tej opowieści nie było już innych w Królestwie bez Opowieści.

Ale czasami późnym wieczorem niektórzy opowiadali historie, które nie były historiami, o tym, jak wyobrażali sobie dalsze życie księżniczki Kropli Rosy i Długiego Żagla. Każdy wyobrażał je sobie inaczej, ale wszyscy zgadzali się, że popłynęli do wielu egzotycznych, tajemniczych królestw, w tym na kontynenty rozległe jak morze. Stale podróżowali, ale bez względu na to, dokąd się udali, byli razem szczęśliwi.

7 rok ery nadawania

Baśnie Yun Tianminga

W pomieszczeniu zabezpieczonym przed inwigilacją ze strony sofonów ci, którzy skończyli czytać, zaczęli rozmawiać między sobą, chociaż większość nadal pochłonięta była światem Królestwa bez Opowieści, morzem, księżniczką i książętami. Niektórzy pogrążeni byli w głębokim zamyśleniu, inni gapili się na dokument, jakby mieli nadzieję, że doznają olśnienia, patrząc na jego okładkę.

– Ta księżniczka jest bardzo podobna do ciebie – powiedziała AA do Cheng Xin.

– Postaraj się skupić na poważnym zadaniu, które mamy przed sobą… a poza tym czy ja naprawdę jestem taka delikatna? Sama trzymałabym ten parasol nad sobą.

Cheng Xin była jedyną osobą w pokoju, która nie zadała sobie trudu przeczytania tego dokumentu. Opowieści Yun Tianminga wryły się jej w pamięć. Oczywiście wiele razy zastanawiała się, czy postać księżniczki była w jakiejś mierze wzorowana na niej, ale dowódca straży w niczym nie przypominał Yun Tianminga.

„Czyżby myślał, że chcę dokądś pożeglować? Z innym mężczyzną?”

Gdy przewodniczący zobaczył, że wszyscy skończyli czytać, poprosił zebranych o opinie, przede wszystkim o tym, jakie następne kroki powinny podjąć różne zespoły robocze pracujące pod kierunkiem KOIW.

Pierwszy poprosił o głos przedstawiciel grupy analizy literackiej. Zespół ten, składający się głównie z pisarzy i naukowców zajmujących się badaniem literatury z ery powszechnej, powołano w ostatniej chwili, uważając, że – choć było to mało prawdopodobne – jest minimalna szansa, że na coś się przyda.

Mówca był autorem książek dla dzieci.

– Wiem, że od tej chwili mój zespół raczej nie wniesie żadnego znaczącego wkładu do prac Komisji, ale najpierw chciałbym powiedzieć parę słów. – Podniósł dokument w niebieskich okładkach. – Przykro mi, ale nie wierzę, by kiedykolwiek udało się odszyfrować tę wiadomość.

– A to dlaczego? – zapytał przewodniczący.

– To oczywiste, że staramy się ustalić kierunki przyszłych strategicznych posunięć ludzkości. Jeśli ta wiadomość rzeczywiście istnieje, to bez względu na to, czego dotyczy, musi mieć konkretne znaczenie. Nie możemy wytyczyć tych kierunków na podstawie niejasnych, wieloznacznych informacji. Ale wieloznaczność i niejasność to istota literatury. Przestrzegam przed pochopnym wyciąganiem wniosków. Jestem pewien, że prawdziwe znaczenie tych opowieści jest ukryte bardzo głęboko, co sprawia, że ich interpretacja może być jeszcze bardziej niejasna i wieloznaczna. Trudność, przed którą stoimy, polega nie na tym, że nie możemy wydobyć z tych trzech baśni niczego użytecznego, lecz na tym, że możliwych jest zbyt wiele przekonujących interpretacji i że żadnej z nich nie możemy wiarygodnie uzasadnić. Pozwolą państwo, że powiem coś, co nie dotyczy bezpośrednio tematu naszego spotkania. Jako pisarz chcę wyrazić mój szacunek dla autora. To bardzo dobre baśnie.

Następnego dnia rozszyfrowywanie wiadomości od Yun Tianminga zaczęło się na dobre. Wkrótce wszyscy docenili ostrzeżenie autora książek dla dzieci.

Trzy opowieści Yun Tianminga były pełne metafor i symboli; każdy szczegół można było wielorako interpretować i dla każdej interpretacji znaleźć pewne uzasadnienie, ale nie sposób było stwierdzić, która z nich odpowiadała intencjom autora, a zatem żadnej nie można było uznać za informację o znaczeniu strategicznym.

Na przykład pomysł wmalowywania ludzi w obraz był w zgodnej opinii dość oczywistą metaforą. Jednak eksperci z różnych dziedzin nie byli już tak zgodni co do wyboru jednej, właściwej interpretacji. Niektórzy uważali, że obrazy odnosiły się do cyfryzacji we współczesnym świecie, a zatem ich zdaniem ten szczegół opowieści sugerował, że również ludziom powinno się nadać postać cyfrową, co uchroniłoby ich od ataków przypuszczanych z ciemnego lasu. Naukowcy, którzy głosili taki pogląd, zauważali też, że osoby przeniesione na obrazy nie stanowią żadnego zagrożenia dla świata rzeczywistego, więc przetworzenie ludzkości na sygnały cyfrowe byłoby może sposobem przekazania kosmicznej gwarancji bezpieczeństwa.

Natomiast inny obóz utrzymywał, że obrazy odnoszą się do szczególnych wymiarów. Świat realny i świat malowideł znajdowały się w innych wymiarach, a więc kiedy kogoś namalowano, osoba ta znikała z przestrzeni trójwymiarowej. Przywodziło to na myśl doświadczenia *Błękitnej Przestrzeni* i *Grawitacji* w czterowymiarowym fragmencie przestrzeni kosmicznej, więc prawdopodobnie Yun Tianming podpowiadał ludzkości, by skorzystała z niego jako schronienia albo przesłała w jakiś sposób przez ten czterowymiarowy fragment gwarancję bezpieczeństwa. Niektórzy ze zwolenników tej interpretacji wskazywali, że pogwałcenie reguł

perspektywy przez księcia Głęboką Wodę jest kolejnym dowodem na to, iż autor miał na myśli przestrzeń czterowymiarową.

A oto inny przykład: jakie jest ukryte znaczenie żarłocznych ryb? Niektórzy, skupiając się na ich ogromnej liczbie, zwyczaju pozostawania w ukryciu i skłonności do niepohamowanej agresji, dochodzili do wniosku, że są one symbolem całej cywilizacji kosmicznej w stadium ciemnego lasu. Mydło, dzięki któremu te ryby czuły się tak dobrze, że nie chciało się im atakować niczego, co pojawiało się na morzu, było przenośnym przedstawieniem jakichś nieznanych zasad kosmicznej gwarancji bezpieczeństwa. Inni jednak dochodzili do przeciwnego wniosku – uważali, że żarłoczne ryby odnoszą się do inteligentnych maszyn, które ludzkość musi zbudować. Maszyny te miałyby niewielkie rozmiary i byłyby zdolne do samoodtwarzania. Wyniesione w kosmos, wykorzystywałyby materię znalezioną w Pasie Kuipera czy w Obłoku Oorta do samoreplikacji i mnożyłyby się, aż utworzyłyby inteligentną barierę wokół Układu Słonecznego. Pełniłyby wiele zadań, między innymi przechwytywałyby fotoidy nakierowane na Słońce albo zmieniałyby wygląd Układu Słonecznego w sposób, który spełniałby cel kosmicznej gwarancji bezpieczeństwa.

Temu wyjaśnieniu, ochrzczonemu mianem interpretacji ławicowej, poświęcono więcej uwagi niż innym. W porównaniu z pozostałymi hipotezami interpretacja ławicowa przedstawiała względnie jasno ramy techniczne prac i stała się jedną z pierwszych, które Światowa Akademia Nauk traktowała jako temat do dogłębnych badań. Ale KOIW nigdy nie pokładał w niej wielkich nadziei, bo chociaż wydawała się technicznie wykonalna, dalsze studia pokazały, że utworzenie przez samoreplikujące się „ławice ryb” bariery wokół Układu Słonecznego zajęłoby dziesiątki tysięcy lat. Poza tym wskutek ograniczonej funkcjonalności tej bariery jej działanie

jako zasłony obronnej i kosmicznej gwarancji bezpieczeństwa było w najlepszym razie nierealnymi wizjami. Ostatecznie trzeba było odrzucić tę interpretację.

Przedstawiono także niezliczone, wykluczające się wzajemnie interpretacje wirującego parasola, tajemniczego papieru z drewna śnieżnej fali i obsydianowej płytki, mydła kąpielowego z He’ershingenmosiken…

Dokładnie tak, jak powiedział autor książek dla dzieci, wszystkie te interpretacje były uzasadnione, ale nie sposób było stwierdzić, która jest właściwa.

Nie znaczy to jednak, że treść tych trzech opowieści była tak samo niejasna i wieloznaczna. Eksperci z KOIW byli pewni, że co najmniej jeden szczegół w tych baśniach zawierał konkretną informację i mógł być kluczem do tajemnic zawartych w przesłaniu Yun Tianminga.

Chodziło im o dziwną nazwę miejscową – He’ershingenmosiken.

Tianming opowiedział Cheng Xin te historie po chińsku. Zauważono, że większość nazw miejscowych i osobowych ma dokładne odpowiedniki w chińskim: Królestwo bez Opowieści, Morze Żarłoków, Wyspa Grobów, księżniczka Kropla Rosy, książę Lodowaty Piasek, książę Głęboka Woda, Bystre Oko, mistrz Eteryk, kapitan Długi Żagiel, ciocia Dorodna i tak dalej… Była jednak w nie wmieszana ta inna nazwa, która wydawała się fonetyczną transkrypcją obcego miejsca. W języku chińskim nie tylko brzmiała dziwnie, ale była też bardzo długa. Nazwa ta pojawiała się w opowieści tak wiele razy, że zdawało się to świadczyć o czymś wyjątkowym – z He’ershingenmosiken pochodzili mistrz Eteryk i Bystre Oko, używany przez nich papier z drewna śnieżnej fali, obsydianowa płytka do rozprostowywania tego papieru, mydło kąpielowe księżniczki, żarłoczne ryby, tam też urodził się kapitan Długi Żagiel… Autor zdawał się wielokrotnie podkreślać wagę tej nazwy, ale nie podawał szczegółowego

opisu He’ershingenmosiken. Czy była to duża wyspa, taka jak Królestwo bez Opowieści? Kontynent? Archipelag?

Eksperci nie byli nawet pewni, z jakiego języka pochodzi ta nazwa. Gdy Yun Tianming wylatywał sondą w ramach programu Klatka Schodowa, nie posługiwał się za dobrze angielskim i nie znał innego języka obcego, ale mógł nauczyć się go później. Nazwa nie przypominała angielskiej i nie było nawet jasne, czy należy do zasobu jakiegoś języka romańskiego. Oczywiście nie mogła być trisolariańska, ponieważ trisolariański nie był językiem mówionym i w ogóle nie używano w nim dźwięków.

Naukowcy próbowali literować tę nazwę we wszystkich znanych językach, szukali pomocy w sieci i we wszelkiego rodzaju bazach danych, ale ich wysiłki na nic się nie zdały. Kapitulowały przed nią najbystrzejsze umysły z różnych dziedzin wiedzy.

Kierownicy różnych zespołów pytali Cheng Xin, czy jest pewna, że właściwie zapamiętała jej wymowę, ale odpowiadała zdecydowanie, że od razu zauważyła, jak dziwnie brzmi ta nazwa, i dołożyła szczególnych starań, by ją poprawnie zapamiętać. Poza tym pojawiała się ona w tej opowieści wielokrotnie, więc było niemożliwe, by przytaczała ją błędnie.

KOIW nie poczyniła żadnych postępów w analizowaniu tekstu. Nie było to całkowicie nieoczekiwane, bo gdyby ludzie mogli z łatwością rozszyfrować strategiczne wiadomości ukryte w opowieściach Yun Tianminga, mogliby to zrobić również Trisolarianie. Specjaliści z różnych zespołów byli wyczerpani i zaczynała ich irytować elektryczność statyczna i drażniący zapach w pomieszczeniu zabezpieczonym przed wścibstwem sofonów. Każdy zespół podzielił się na wiele frakcji, które broniły różnych, przeciwstawnych interpretacji, nie osiągając porozumienia.

Gdy badania znalazły się w impasie, do umysłów członków KOIW zaczęły się wkradać wątpliwości. Czy te opowieści rzeczywiście zawierały tajne wiadomości o istotnym znaczeniu strategicznym? Podejrzenia kierowano głównie pod adresem samego Yun Tianminga. W końcu miał on tylko licencjat uzyskany w erze powszechnej, co oznaczało, że posiadał mniejszą wiedzę niż współczesny uczeń szkoły średniej. Przed wysłaniem go z misją wykonywał głównie rutynowe zadania przygotowawcze i nie miał żadnego doświadczenia w prowadzeniu ważnych badań naukowych ani roztrząsaniu nowych fundamentalnych teorii. Oczywiście po pochwyceniu przez Trisolarian i sklonowaniu miał mnóstwo możliwości poszerzenia wiedzy, ale eksperci wątpili, by mógł zrozumieć ich supertechnologie, zwłaszcza podstawy teoretyczne, na których się one opierały.

Co gorsza, z czasem zaczęło dochodzić w KOIW do pewnych nieuniknionych rozdźwięków. Na początku wszyscy starali się rozwiązać zagadkę z myślą o przyszłości całej ludzkości, ale później zaczęły dawać o sobie znać różne siły polityczne i grupy interesu: Flota Międzynarodowa, ONZ, państwa narodowe, międzynarodowe korporacje, religie i tak dalej. Każda z tych grup starała się interpretować opowieści Yun Tianminga zgodnie ze swoimi celami oraz własnym interesem i traktować prace nad nimi jako kolejną okazję do propagowania swojej polityki. Opowieści te stały się wygodnymi koszykami, w których można było pomieścić dowolne towary. Praca KOIW się zmieniła, a spory między różnymi frakcjami nabrały charakteru politycznego i utylitarnego, co obniżało morale.

Ale brak postępu miał również skutek pozytywny, bo zmusił ludzi do wyzbycia się złudzeń, że zdarzy się cud. W istocie społeczeństwo już dawno temu przestało wierzyć w jakikolwiek cud, bo nawet nie wiedziało o istnieniu wiadomości od Yun Tianminga. Presja, którą wywierało na Flotę

Międzynarodową i ONZ, zmusiła obie te organizacje do przeniesienia uwagi z wiadomości przekazanej przez Yun Tianminga na poszukiwanie sposobów ochrony ludzkiej cywilizacji w oparciu o znane technologie.

Jeśli to mierzyć w skali kosmosu, do zniszczenia Trisolaris doszło w bliskim sąsiedztwie, co dało ludziom możliwość szczegółowej obserwacji całego procesu zagłady gwiazdy i zebrania mnóstwa danych. Jako że gwiazda ta była pod względem masy i miejsca w ciągu głównym bardzo podobna do Słońca, ludzkość mogła potencjalnie stworzyć precyzyjny model matematyczny jego zagłady w przypadku uderzenia wyprowadzonego z ciemnego lasu. Faktycznie badania te zaczęto na dobre prowadzić zaraz potem, gdy Ziemia stała się świadkiem końca Trisolaris. Bezpośrednim ich rezultatem był program Schron, który zajął miejsce przesłania Yun Tianminga jako centrum zainteresowania międzynarodowej społeczności.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Program Schron: arka dla ziemskiej cywilizacji

I. Przewidywany czas od ujawnienia współrzędnych Ziemi do ataku przypuszczonego z ciemnego lasu na planetę: w scenariuszu optymistycznym od stu do stu pięćdziesięciu lat, w pośrednim – pięćdziesiąt do osiemdziesięciu, w pesymistycznym – dziesięć do trzydziestu lat. W planach przetrwania rodzaju ludzkiego przyjęto za punkt odniesienia siedemdziesiąt lat.

II. Całkowita liczba osób, które trzeba by było uratować. W oparciu o stałe zmniejszanie się światowej populacji powinna ona wynosić za siedemdziesiąt lat od sześciuset do ośmiuset milionów.

III. Przewidywany przebieg uderzenia ze strony ciemnego lasu. Na podstawie danych ze zniszczenia Trisolaris stworzono model matematyczny tego, co stałoby się ze Słońcem, gdyby zostało trafione w taki sam sposób. Symulacje pokazały, że gdyby w Słońce uderzyła fotoida, zostałyby zniszczone wszystkie planety typu ziemskiego do granic orbity Marsa. Merkury i Wenus wyparowałyby natychmiast po uderzeniu. Ziemia zachowałaby część masy i kulisty kształt, ale zostałaby z niej zerwana warstwa powierzchni o grubości pięciuset kilometrów, obejmująca całą

skorupę i część płaszcza. Mars straciłby warstwę o grubości około stu kilometrów. Później wszystkie pozostałe planety typu ziemskiego wytraciłyby prędkość wskutek tarcia materii wyrzuconej przez wybuch na Słońcu i wpadłyby do jego ocalałego jądra.

Model pokazywał, że niszczycielska siła wybuchu na Słońcu, włącznie z promieniowaniem i siłą uderzenia materii słonecznej, byłaby odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości od Słońca, to znaczy, że szybko zmniejszałaby się w odniesieniu do obiektów położonych dostatecznie daleko od Słońca. Pozwoliłoby to planetom typu jowiszowego przetrwać wybuch.

W początkowej fazie uderzenia powierzchnia Jowisza zostałaby poważnie naruszona, ale jego ogólna budowa i satelity pozostałyby nieuszkodzone. Naruszona zostałaby też powierzchnia Saturna, Uranu i Neptuna, ale głębsze ich warstwy nie doznałyby uszkodzeń. Rozpraszająca się materia słoneczna spowolniłaby w pewnym stopniu ich ruch po orbitach, ale gdy utworzyłaby spiralną mgławicę, prędkość kątowa jej wirowania dorównałaby prędkości planet typu jowiszowego i nie miałaby już negatywnego wpływu na ich orbity.

Cztery gazowe olbrzymy, Jowisz, Saturn, Uran i Neptun, wyszłyby z ataku przypuszczonego z ciemnego lasu bez szwanku. Ta prognoza stała się podstawowym założeniem programu Schron.

IV. Zaniechane plany zapewnienia przetrwania rodzajowi ludzkiemu.

1. Plan gwiezdnej ucieczki: niewykonalny z przyczyn technicznych. Ludzkość nie byłaby w stanie posiąść w potrzebnych ramach czasowych umiejętności nawigacji w megaskali kosmicznej. W arkach pomieściłaby się nie więcej niż jedna tysięczna całej ludzkości. Poza tym było bardzo mało prawdopodobne, że takie arki zdołają zlokalizować możliwe do

zasiedlenia egzoplanety i dotrzeć do nich przed wyczerpaniem się paliwa oraz nieodwracalnym uszkodzeniem układów długotrwałego podtrzymywania życia i ekologicznego recyklingu.

Ponieważ każdy tego rodzaju plan mógłby zapewnić przetrwanie tylko niezwykle małej części całej ludzkości, był zaprzeczeniem podstawowych wartości i pogwałceniem zasad moralnych. Był również niedogodny z przyczyn politycznych, gdyż mógł doprowadzić do wielkich zamieszek i całkowitego upadku społeczeństwa.

2. Plan wycofania się na bezpieczną odległość. Niezwykle małe prawdopodobieństwo powodzenia. Plan ten wymagałby zbudowania ludzkiego habitatu w na tyle dużej odległości od Słońca, by można było uniknąć niszczycielskiej siły jego wybuchu. Na podstawie modelu i prognozy rozwoju w przewidywalnej przyszłości technik inżynieryjnych potrzebnych do wzmocnienia miast kosmicznych ustalono, że minimalna bezpieczna odległość od Słońca wynosiłaby około sześćdziesięciu jednostek astronomicznych, czyli byłoby to poza Pasem Kuipera. W tamtym regionie kosmosu było dostępnych niewiele zasobów naturalnych potrzebnych do budowy miasta kosmicznego. Brak zasobów oznaczał też, że nawet gdyby udało się zbudować takie miasto, utrzymanie go byłoby niemal niemożliwe.

V. Program Schron. Można było wykorzystać cztery olbrzymy gazowe jako osłonę przed wybuchem Słońca w wyniku uderzenia przypuszczonego z ciemnego lasu. W cieniu tych czterech planet stworzono by kosmiczne habitaty, w których zmieściłaby się cała ludzkość. Te miasta kosmiczne położone by były obok planet, ale nie byłyby ich satelitami. Krążyłyby wokół Słońca synchronicznie z planetami, pozostając w ich cieniu. Plan przewidywał budowę pięćdziesięciu miast kosmicznych, z których każde mogłoby pomieścić około piętnastu milionów osób. Konkretnie

dwadzieścia z nich byłoby chronionych przez Jowisza, dwadzieścia przez Saturna, sześć przez Urana i cztery przez Neptuna.

VI. Wyzwania techniczne stojące przed programem Schron. Ludzkość opanowała wszystkie technologie potrzebne dla realizacji tego planu. Flota Międzynarodowa miała duże doświadczenie w budowie miast kosmicznych, a na orbicie wokół Jowisza istniała już spora baza. Były pewne trudności techniczne, ale możliwe do pokonania w wymaganym czasie, takie jak sposób regulacji położenia miast kosmicznych. Ponieważ miasta te nie byłyby satelitami olbrzymów gazowych, ale musiałyby pozostawać blisko planet, spadłyby na nie, chyba że zainstalowano by w nich układy napędu, które przeciwdziałałyby sile grawitacji tych planet i utrzymywałyby odpowiednią odległość od nich. Początkowo przewidywano zbudowanie miast kosmicznych w punktach libracyjnych L_2, w których ich okresy orbitalne zgadzałyby się z okresami olbrzymów, koło których by się znajdowały, dzięki czemu nie trzeba by było zużywać zbyt wiele energii. Później jednak odkryto, że punkty libracyjne L_2 byłyby zbyt oddalone od olbrzymów gazowych, by te zapewniały im dostateczną osłonę.

VII. Przetrwanie rodzaju ludzkiego w Układzie Słonecznym po uderzeniu z ciemnego lasu. Po zniszczeniu Słońca miasta kosmiczne wykorzystywałyby jako źródło energii tylko reakcję termojądrową. Układ Słoneczny wyglądałby wtedy jak mgławica spiralna, a rozproszona materia słoneczna byłaby niewyczerpanym zasobem materiału do tej reakcji. Powinno być również możliwe pozyskanie więcej paliwa do reaktorów z zachowanego jądra Słońca, co zaspokoiłoby na długi czas zapotrzebowanie na energię. Każde miasto kosmiczne miałoby swoje sztuczne słońce, które wytwarzałoby energię równą ilości docierającej na powierzchnię Ziemi przed atakiem. Z punktu widzenia efektywności

energetycznej jej dostępna dla ludzi ilość byłaby w rzeczywistości o kilka rzędów wielkości większa niż w okresie przed atakiem, ponieważ miasta kosmiczne zużywałyby paliwo jądrowe tylko w tempie jednej trylionowej działalności Słońca. W tym sensie wygaszenie Słońca byłoby korzystne, bo położyłoby kres marnotrawieniu w Układzie Słonecznym materiału dla syntezy jądrowej.

Po częściowym ustabilizowaniu się mgławicy powstałej w wyniku ataku wszystkie miasta kosmiczne mogłyby wyjść spoza chroniących je planet i znaleźć w Układzie Słonecznym lepsze miejsca. Dobrze by było, gdyby opuściły płaszczyznę ekliptyczną, bo uniknęłyby wtedy powodowanych przez tę mgławice zakłóceń, ale nadal mogłyby czerpać z jej zasobów naturalnych. Skoro słoneczna eksplozja zniszczyłaby planety typu ziemskiego, zasoby mineralne Układu Słonecznego zostałyby rozproszone w mgławicy, dzięki czemu można by było mieć do nich łatwiejszy dostęp. Umożliwiłoby to budowę następnych miast kosmicznych. Jedynym prognozowanym czynnikiem ograniczającym liczbę tych miast była woda, ale na Europie był głęboki na sto sześćdziesiąt kilometrów ocean, który mógłby dostarczyć więcej wody niż wszystkie oceany Ziemi razem wzięte i zapewnić jej dostawy do tysiąca miast liczących od dziesięciu do dwudziestu milionów mieszkańców. Więcej wody można by też uzyskać z samej mgławicy.

Tak więc w mgławicy powstałej z Układu Słonecznego po ataku można było wygodnie utrzymać ponad dziesięć miliardów ludzi, co dawało ludzkiej cywilizacji wielkie możliwości rozwoju.

VIII. Wpływ programu Schron na stosunki międzynarodowe. Stworzenie nowego świata było planem, który nie miał precedensu w dziejach ludzkości. Największa przeszkoda była natury nie technicznej, lecz politycznej, a dokładniej była sprawą polityki międzynarodowej.

Społeczeństwo martwiło się, że program Schron doprowadzi do wyczerpania zasobów naturalnych Ziemi i odwrotu globalnej polityki od pomocy społecznej i gospodarki, a może nawet do drugiego Wielkiego Jaru. Ale Flota Międzynarodowa i ONZ były zgodne co do tego, że można uniknąć takiego niebezpieczeństwa. Program Schron zamierzano realizować wyłącznie z wykorzystaniem pozaziemskich zasobów naturalnych w Układzie Słonecznym, głównie satelitów czterech planet typu jowiszowego oraz pierścieni Saturna, Urana i Neptuna. Nie czerpano by z zasobów Ziemi ani z jej gospodarki. W istocie po osiągnięciu pewnego poziomu pozyskiwania surowców z przestrzeni kosmicznej projekt ten mógł nawet wzmocnić ziemską gospodarkę.

IX. Ramy czasowe programu Schron. Stworzenie infrastruktury przemysłowej dla wydobywania i wykorzystywania surowców z czterech olbrzymów gazowych miało zająć dwadzieścia lat, a budowa miast kosmicznych sześćdziesiąt. Przez dziesięć lat te dwa etapy częściowo by się pokrywały.

X. Możliwość drugiego uderzenia wymierzonego z ciemnego lasu. Skutki pierwszego uderzenia powinny przekonać większość odległych obserwatorów, że w Układzie Słonecznym nie ma życia. Jednocześnie w wyniku zniszczenia Słońca w układzie tym nie byłoby już źródła energii pozwalającego na przeprowadzenie ekonomicznego ataku z dużej odległości. Tak więc prawdopodobieństwo drugiego uderzenia wydawało się znikome. Na poparcie tego poglądu można też wskazać warunki, jakie zapanowały w układzie 187J3X1 po jego zniszczeniu.

7 rok ery nadawania

Baśnie Yun Tianminga

Przygotowania do realizacji programu Schron usunęły Yun Tianminga z publicznej świadomości. Wprawdzie KOIW nadal prowadziła prace nad rozszyfrowaniem przekazanej przez niego wiadomości, ale traktowano je tylko jako jedno z wielu zadań. Z dnia na dzień zmniejszała się nadzieja na wydobycie z niej ważnych informacji o znaczeniu strategicznym. Niektórzy członkowie Komisji połączyli nawet program Schron z baśniami Yun Tianminga i wystąpili z kilkoma interpretacjami, które wskazywały, że ten plan jest właściwy. Na przykład parasol był naturalnie odczytywany jako wskazówka odnosząca się do jakiejś konstrukcji obronnej. Ktoś zauważył, że kamienie na końcach drutów mogą symbolizować planety typu jowiszowego, tyle że w Układzie Słonecznym były zaledwie cztery planety, które można by wykorzystać jako bariery ochronne. W opowieściach Yun Tianminga nie było żadnej wzmianki o liczbie drutów w parasolu, ale z racjonalnego punktu widzenia cztery wydawało się zbyt małą liczbą. Oczywiście niewiele osób dawało wiarę tej interpretacji, ale opowieści Yun Tianminga zyskały w pewnym sensie pozycję podobną do Biblii. Nie zdając sobie z tego sprawy, ludzie nie szukali już w nich prawdziwych informacji wywiadowczych, lecz potwierdzenia, że obrali właściwą drogę.

Potem nastąpił niespodziewany przełom w ich interpretacji.

Pewnego dnia 艾 AA przyszła zobaczyć się z Cheng Xin. Już dawno przestała jej towarzyszyć w spotkaniach KOIW, bo całą energię poświęcała włączeniu Halo Group w realizację programu Schron. Stworzenie nowego świata poza orbitą Jowisza otwierało przed firmą budowlaną nieograniczone możliwości. I czyż nie składało się szczęśliwie, że firma ta nazywała się Halo Group, a „halo” planet typu jowiszowego dostarczyłyby wiele materiałów potrzebnych do budowy miast kosmicznych?

– Chcę kostkę mydła kąpielowego – oświadczyła AA.

Cheng Xin to zignorowała. Nie odrywała oczu od e-booka i zadała AA pytanie dotyczące fizyki jądrowej. Po przebudzeniu z hibernacji poświęciła się studiowaniu współczesnej nauki. Zniknęły wszystkie technologie lotów kosmicznych wykorzystywane w erze powszechnej i obecnie nawet mały prom miał napęd jądrowy. Cheng Xin musiała zacząć od podstaw, ale robiła szybkie postępy. Tak naprawdę upływ lat nie postawił jej zbyt wysokiej bariery, ponieważ najwięcej zmian w teoriach podstawowych nastąpiło zaraz na początku ery odstraszania. Przy pewnym nakładzie pracy większość naukowców i inżynierów z ery powszechnej mogła dalej wykonywać wybrane przez siebie zawody.

AA wyłączyła Cheng Xin książkę.

– Daj mi kostkę mydła kąpielowego!

– Nie mam ani jednej. Chyba rozumiesz, że rzeczywiste mydło kąpielowe nie ma magicznych właściwości mydła z baśni, co?

Cheng Xin chciała w ten sposób powiedzieć AA, żeby przestała się zachowywać tak infantylnie.

– Wiem, ale lubię bańki mydlane. Chcę wziąć kąpiel w pianie jak ta księżniczka!

Współczesne kąpiele nie miały nic wspólnego z pianą. Mydło i inne podobne artykuły toaletowe zniknęły ponad sto lat temu. Obecnie używano

do kąpieli jednej z dwóch metod: fal naddźwiękowych i środków czyszczących. Te środki były niewidzialnymi gołym okiem nanorobotami. Można ich było używać z wodą lub bez wody. Błyskawicznie czyściły skórę i inne powierzchnie.

Cheng Xin musiała wybrać się z AA na zakup mydła. W przeszłości, ilekroć Cheng Xin była przygnębiona, AA wyciągała ją tak jak teraz, by poprawić jej nastrój.

Mając przed sobą ogromny las, czyli miasto, zastanawiały się, dokąd się udać, i w końcu doszły do wniosku, że najbardziej prawdopodobnym miejscem, w którym można znaleźć mydło kąpielowe, jest muzeum. Poszukiwania zakończyły się sukcesem w sali wystawowej miejskiego muzeum historii poświęconej życiu codziennemu w erze powszechnej. Znajdował się tam sprzęt gospodarstwa domowego, ubrania, meble i tak dalej. Przedmioty były dobrze zachowane, niektóre wyglądały na fabrycznie nowe. Cheng Xin nie mogła się pogodzić z myślą, że są to artefakty z przeszłości; dla niej pochodziły z dnia wczorajszego. Chociaż tak wiele się wydarzyło od chwili, gdy obudzono ją po raz pierwszy, ta nowa epoka wydawała jej się snem. Jej duch uparcie tkwił w dawnych czasach.

Mydło kąpielowe było w gablocie razem z innymi środkami do czyszczenia, takimi jak detergenty do pralek. Cheng Xin przyjrzała się półprzezroczystej kostce i zauważyła wytłoczony na niej znajomy znak firmowy Nice Group. Było nienagannie białe, jak to z opowieści Yun Tianminga.

Dyrektor muzeum początkowo twierdził, że nie jest ono na sprzedaż, bo jest cennym eksponatem, ale potem podał niebotyczną cenę.

– Za taką sumę można zbudować małą fabrykę środków czyszczących – powiedziała Cheng Xin do AA.

– No to co? Od lat pracuję u ciebie jako dyrektor generalny. Powinnaś dać mi jakiś prezent. Kto wie, może w przyszłości to mydło zyska na wartości.

A więc je kupiły. Cheng Xin zasugerowała, że jeśli AA naprawdę chce się wykąpać w pianie, powinna kupić butelkę obficie się pieniącego płynu do kąpieli. Jednak AA upierała się przy mydle, ponieważ używała go księżniczka. Kiedy ostrożnie wyjęto mydło z gablotki wystawowej, Chen Xin wzięła je do ręki i stwierdziła, że nadal wydziela lekki zapach.

Po powrocie do domu AA zdjęła z mydła opakowanie i weszła z nim do łazienki. Potem rozległ się szum wody lejącej się do wanny.

Cheng Xin zapukała w drzwi.

– Radzę, żebyś z niego zrezygnowała. To mydło jest alkaliczne. Nigdy go nie używałaś, więc może ci uszkodzić skórę.

AA nie odpowiedziała. Długo potem, kiedy woda przestała lecieć, drzwi łazienki się otworzyły. Cheng Xin zobaczyła, że AA jest wciąż w ubraniu. AA machnęła kartką papieru i zapytała:

– Wiesz, jak zrobić z tego łódkę?

– Przypuszczam, że ta sztuka też zaginęła? – powiedziała Cheng Xin, biorąc od niej kartkę.

– Oczywiście. Teraz rzadko widujemy papier.

Cheng Xin usiadła i zaczęła zginać kartkę. Jej myśli powróciły do owego deszczowego dnia na studiach. Siedziała z Tianmingiem nad zbiornikiem i razem patrzyli, jak zrobiona przez niego papierowa łódeczka odpływa w mgłę i deszcz. Potem pomyślała o białym żaglu na końcu jego opowieści…

AA wzięła papierową łódeczkę i ją podziwiała. Potem dała Cheng Xin znak, by weszła z nią do łazienki. Odkroiła scyzorykiem kawałek rogu kostki mydła, zrobiła dziurkę w rufie łódeczki i wetknęła w nią ten

kawałek. Obdarzywszy Cheng Xin tajemniczym uśmiechem, położyła łódkę na spokojnej wodzie w wannie.

Łódka zaczęła się sama poruszać, płynąc od jednego brzegu wanny do drugiego.

Cheng Xin zrozumiała to w jednej chwili. Rozpuszczając się w wodzie, mydło obniżało jej napięcie powierzchniowe za łódką. A ponieważ napięcie przed łodzią nie zmieniało się, popychało to ją do przodu.

Cheng Xin doznała nagle olśnienia. Spokojna powierzchnia wody w wannie przemieniła się w jej oczach w ciemność kosmosu, a papierowa łódka pędziła po tym bezkresnym morzu z prędkością światła…

Potem Cheng Xin o czymś sobie przypomniała – o bezpieczeństwie Tianminga.

Natychmiast przestał płynąć strumień jej myśli, jakby ktoś postawił na nim tamę. Zmusiła się do oderwania wzroku od łódki, starając się przybrać minę wyrażającą znudzenie i brak zainteresowania. Łódka dopłynęła do drugiego brzegu wanny i zatrzymała się. Cheng Xin wyjęła ją, otrzepała z wody i postawiła na stoliku obok wanny. Niewiele brakowało, by wrzuciła ją do muszli klozetowej i spuściła wodę, ale powstrzymała się, bo pomyślała, że mogłoby to wydać się przesadne. Zdecydowała jednak, że nie włoży jej z powrotem do wody.

„Niebezpieczeństwo” – pomyślała, bo chociaż ona też skłaniała się do opinii, że w Układzie Słonecznym nie ma już sofonów, wolała nie ryzykować.

Wymieniły z AA spojrzenia. Każda dostrzegła w oczach drugiej to samo – ekscytację z odkrycia. Cheng Xin odwróciła głowę.

– Nie mam czasu na głupie zabawy. Jeśli chcesz się wykąpać w pianie, proszę bardzo – powiedziała i wyszła z łazienki.

AA podążyła za nią. Nalały sobie po kieliszku wina i zaczęły rozmawiać o przypadkowych sprawach. Najpierw omówiły przyszłą rolę Halo Group w programie Schron. Potem wspominały życie studenckie w różnych wiekach. Następnie przeszły do czasów obecnych. AA zapytała Cheng Xin, dlaczego żyjąc już tak długo w nowej epoce, nie znalazła sobie mężczyzny, na co tamta odparła, że nie mogłaby jeszcze prowadzić uregulowanego życia. Potem zauważyła, że problem AA polega na tym, że spotyka się ze zbyt wieloma mężczyznami – oczywiście może z nimi odwiedzać Cheng Xin, ale lepiej by było, żeby przyprowadzała w danym czasie tylko jednego. Dyskutowały też o modach i gustach kobiet z epok, z których pochodziły, o podobieństwach i różnicach między nimi…

Język był tylko środkiem, za którego pomocą wyrażały swoje podniecenie. Nie śmiały przerwać, by milczenie nie pozbawiło ich skrywanej radości. W końcu, w przerwie kręcącej się wokół wielu tematów konwersacji, której nie zauważyłby sofon, Cheng Xin powiedziała:

– Krzywiznowy…

Dokończyła spojrzeniem: „napęd”?

AA kiwnęła głową. Jej oczy mówiły: „Tak, napęd krzywiznowy!”.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Podróżowanie poprzez zgięcie przestrzeni kosmicznej

Przestrzeń nie była prosta, lecz zakrzywiona. Gdyby wyobrazić sobie Wszechświat jako dużą, cienką błonę, jej powierzchnia miałaby kształt miski. Cała błona mogła być nawet zamkniętym pęcherzem. Chociaż w skali lokalnej błona ta wydawała się płaska, zakrzywienie przestrzeni było wszechobecne.

W erze powszechnej przedstawiono wiele ambitnych pomysłów na sposób podróżowania w kosmosie. Jednym z nich było zginanie przestrzeni. Wyobraźmy sobie wzrost zakrzywienia przestrzeni kosmicznej i złóżmy ją jak kartkę papieru, tak by zetknęły się dwa punkty odległe od siebie o miliony lat świetlnych. Ściśle rzecz biorąc, nie był to plan lotu kosmicznego, lecz „naciągania przestrzeni kosmicznej”. Nie polegało to na podróży do miejsca przeznaczenia, ale na przyciąganiu tego miejsca do siebie przez zginanie przestrzeni.

Taki plan mógł zrealizować tylko Bóg, a jeśli wziąć pod uwagę ograniczenia nakładane przez podstawową teorię, być może nawet i On nie mógłby tego zrobić.

Później pojawiła się skromniejsza propozycja wykorzystania zakrzywienia przestrzeni dla lokalnych lotów kosmicznych. Gdyby statek kosmiczny mógł jakoś rozprasować przestrzeń za sobą i zmniejszyć jej zakrzywienie, bardziej zakrzywiona przestrzeń przed nim pociągnęłaby go do przodu. Taka była idea napędu krzywiznowego.

W odróżnieniu od zginania przestrzeni napęd krzywiznowy nie zaniósłby statku natychmiast do celu podróży, ale mógłby on się poruszać z szybkością dochodzącą do prędkości światła.

Dopóki nie zinterpretowano poprawnie wiadomości od Yun Tianminga, napęd krzywiznowy pozostawał marzeniem, podobnie jak setki innych pomysłów na nadanie statkom kosmicznym prędkości światła. Nikt nie wiedział, czy jest to możliwe nie tylko w praktyce, ale nawet w teorii.

7 rok ery nadawania

Baśnie Yun Tianminga

– Przed erą odstraszania popularne były ubrania z ożywionymi obrazami – powiedziała wesołym tonem AA. – W tamtych czasach każdy wyglądał jak choinka obwieszona lampkami, ale teraz ubierają się tak tylko dzieci. Stroje klasyczne znowu są modne.

Oczy AA mówiły jednak coś zupełnie innego. Jej wzrok przygasł.

„Ta interpretacja wygląda bardzo dobrze, ale nadal nie możemy mieć pewności, że jest poprawna. Nigdy nie uzyskamy potwierdzenia".

– Nie mogę się nadziwić, że nie ma już cennych kruszców ani szlachetnych kamieni! – oznajmiła Cheng Xin. – Złoto jest teraz pospolitym metalem, a kieliszki, z których pijemy, są wykonane z diamentu… Wiesz, że w miejscu, skąd… eee… w czasach, z których pochodzę, posiadanie maleńkiego diamentu było dla większości dziewcząt nieosiągalnym marzeniem?

Jej oczy mówiły: „Nie, AA, tym razem jest inaczej. Możemy być pewne".

– No, ale przynajmniej aluminium było tanie. Przed wynalezieniem elektrolizy ono też było cennym kruszcem. Słyszałam, że nawet niektórzy królowie mieli aluminiowe korony.

„Skąd mamy brać tę pewność?"

Cheng Xin nie mogła wyrazić spojrzeniem wszystkiego, co chciała. KOIW zaproponowała kiedyś, że zbuduje w jej mieszkaniu pomieszczenie

zabezpieczone przed inwigilacją sofonów. Wymagałoby to zainstalowania mnóstwa hałaśliwego sprzętu, więc odrzuciła propozycję. Teraz żałowała tej decyzji.

– Papier z drewna śnieżnej fali – powiedziała szeptem.

Oczy AA znowu rozbłysły. Płomień podniecenia był jeszcze jaśniejszy niż przedtem.

„– Naprawdę nie można go wygładzić niczym innym?

– Tak. Można to zrobić tylko obsydianem z He’ershingenmosiken. Miałem nadzieję, że odbiorę ją Bystremu Oku.

– He’ershingenmosiken? Obsydian? – Ciocia Dorodna puknęła się w czoło. – Mam żelazko, którym prasuję najlepsze galowe suknie księżniczki. Zrobiono je w He’ershingenmosiken z obsydianu!”

„Zegar stojący w rogu pokoju wybił godzinę. Eteryk podniósł głowę i zobaczył, że za chwilę wzejdzie słońce. Tymczasem na podłodze leżała rozwinięta tylko część rolki papieru z drewna śnieżnej fali szerokości dłoni, za mało na obraz. Odstawił żelazko i westchnął”.

Zwój był zakrzywionym arkuszem papieru; rozwijano kawałek zwoju i prasowano, zmniejszając zakrzywienie.

Była to wyraźna wskazówka, że przestrzeń przed statkiem o napędzie krzywiznowym jest inna niż przestrzeń za nim. Nie mogło to znaczyć nic innego.

– Chodźmy – powiedziała Cheng Xin i wstała.

– Tak – odparła AA.

Musiały pójść do najbliższego pomieszczenia zabezpieczonego przed inwigilacją sofonów.

Dwa dni później przewodniczący KOIW oznajmił na zebraniu, że interpretację, wedle której w baśniach mowa jest o ruchu krzywiznowym, jednomyślnie poparli szefowie grup roboczych. Yun Tianming powiadamiał Ziemię, że takiego napędu używają statki trisolariańskie.

Była to niezwykle ważna informacja. Ze wszystkich możliwych dróg prowadzących do zbudowania statków kosmicznych zdolnych do lotu z prędkością światła najbardziej osiągalny okazał się napęd krzywiznowy. Wskazywało to niczym latarnia morska ciemną nocą właściwy kierunek badań nad dalszym rozwojem ludzkiej technologii podróży kosmicznych.

Równie ważny okazał się fakt, że interpretacja ta ukazywała, w jaki sposób Yun Tianming ukrył wiadomość w swoich opowieściach. Otóż zastosował on dwie podstawowe metody: metafory dwuwarstwowe i metafory dwuwymiarowe.

Metafory dwuwarstwowe nie wskazywały wprost na prawdziwe znaczenie, ale na coś dużo prostszego. Sens pierwszej warstwy takiej metafory stawał się nośnikiem drugiej, która zawierała prawdziwą informację wywiadowczą. W obecnym przykładzie łódź księżniczki, mydło z He’ershingenmosiken i Morze Żarłoków układały się w pierwszej warstwie w metaforę papierowej łódeczki napędzanej mydłem. Z kolei papierowa łódeczka wskazywała na napęd krzywiznowy. Wcześniejsze próby rozszyfrowania nie powiodły się przede wszystkim dlatego, że ludzie byli przekonani, iż prawdziwe przesłanie kryje się w jednej warstwie znaczeniowej metafor.

Metafory dwuwymiarowe były techniką zastosowaną przez Yun Tianminga dla wyjaśnienia niejednoznaczności pojęć wynikającej z użycia figur retorycznych dla przekazania informacji wywiadowczych o znaczeniu strategicznym. Po metaforze dwuwarstwowej następowała jednowarstwowa, dodana w celu potwierdzenia znaczenia tej pierwszej.

W obecnym przykładzie zwinięty papier z drewna śnieżnej fali i rozprasowywanie go były metaforą zakrzywionej przestrzeni, potwierdzającą, że interpretacja pierwszej metafory jako przenośnego opisu papierowej łódeczki napędzanej mydłem jest poprawna. Jeśli potraktować te opowieści jako płaszczyznę dwuwymiarową, to metafora dwuwarstwowa podawała tylko jedną współrzędną, a jednowarstwowa drugą, która umiejscawiała interpretację w konkretnym miejscu na tej płaszczyźnie. Dlatego taką metaforę jednowarstwową zwano również współrzędną naprowadzającą. Sama w sobie współrzędna naprowadzająca wydawała się niezrozumiała, ale w zestawieniu z metaforą dwuwarstwową rozwiewała nieodłączne niejasności języka literackiego.

– Misterny i wyrafinowany system – stwierdził z uznaniem specjalista z PAW.

Cała komisja pogratulowała Cheng Xin i AA. AA, na którą zawsze patrzono z góry, zobaczyła, że w oczach KOIW znacznie wzrósł jej prestiż. Cheng Xin zaszkliły się oczy. Myślała o Yun Tianmingu, który samotnie musiał stawić czoło długiej nocy przestrzeni kosmicznej i tajemniczemu, złemu społeczeństwu obcych. By przekazać rodzajowi ludzkiemu ważną wiadomość, musiał wysilać umysł, aż opracował taką metaforykę, a potem poświęcić wieki na stworzenie ponad setki baśni i staranne przemycenie w trzech z nich owej wiadomości. Przed trzystu laty podarował Cheng Xin gwiazdę, teraz dał ludzkości nadzieję.

Od tej pory robiono stałe postępy w rozszyfrowywaniu wiadomości. Poza odkryciem metaforycznego systemu kierowano się innym domysłem, który choć nie znalazł potwierdzenia, powszechnie zaakceptowano. Otóż zakładano, że podczas gdy pierwsza część wiadomości, która miała zostać wkrótce całkowicie rozszyfrowana, dotyczyła ucieczki z Układu

Słonecznego, jej reszta prawdopodobnie odnosiła się do gwarancji bezpieczeństwa.

Egzegeci wkrótce uświadomili sobie, że w porównaniu z pierwszą częścią pozostałe informacje ukryte w trzech opowieściach są znacznie bardziej złożone.

Na następnym zebraniu KOIW przewodniczący zaprezentował zrobiony na zamówienie parasol, który wyglądał jak ten z baśni. Miał osiem drutów, a na końcu każdego z nich znajdowała się mała kamienna kulka. W tej erze parasole nie były już w powszechnym użytku. Współcześni chronili się przed deszczem dzięki tarczy przeciwdeszczowej, przyrządowi wielkości latarki, który wydmuchiwał powietrze w górę, tworząc niewidzialny baldachim. Ludzie na pewno znali parasole i widzieli je w filmach, ale niewielu trzymało je kiedykolwiek w ręku. Zaintrygowani członkowie komisji bawili się parasolem przewodniczącego i zauważyli, że – tak jak w opowieściach Yun Tianminga – pozostawał rozpostarty, gdy się nim kręciło. Szybsze czy wolniejsze kręcenie wywoływało odpowiednie dźwięki ostrzegawcze.

– To naprawdę męczące – powiedział ktoś, wirując parasolem.

Wszyscy nabrali nowego szacunku dla mamki księżniczki, której udawało się kręcić nim przez cały dzień.

Przejęła go AA. Nie miała tak silnych rąk i czasza parasola zaczęła opadać. Wszyscy usłyszeli ostrzegawczy ptasi śpiew. Cheng Xin nie spuszczała wzroku z parasola, odkąd przewodniczący go otworzył. Krzyknęła do AA:

– Nie przestawaj!

AA zakręciła nim szybciej i pieśń ustała.

– Szybciej – powiedziała Cheng Xin.

AA włożyła całą siłę w kręcenie i rozległ się dźwięk dzwoneczków wietrznych. Wtedy Cheng Xin poprosiła ją, by obracała go coraz wolniej, aż znowu pojawi się śpiew ptaka. Powtórzyło się to cztery razy.

– To wcale nie jest parasol! – oznajmiła Cheng Xin. – Już wiem, co to jest.

Bi Yunfeng, który stał obok, kiwnął głową.

– Ja też. – Potem obrócił się do Cao Bina. – Chyba tylko troje z nas potrafi rozpoznać ten obiekt.

– Tak – odparł podekscytowany Cao. – Ale nawet w naszych czasach była to już rzadkość.

Niektórzy z uczestników zebrania spoglądali na trzy osoby z przeszłości, inni patrzyli na parasol. Wszyscy byli zdziwieni, ale też pełni oczekiwania.

– To odśrodkowy regulator obrotów – wyjaśniła Cheng Xin. – Silników parowych.

– Co to jest? Jakiś obwód sterujący?

Bi Yunfeng potrząsnął głową.

– Kiedy to wynaleziono, świat nie był zelektryfikowany.

– To urządzenie z końca osiemnastego wieku – wyjaśnił Cao Bin. – Służyło do regulacji obrotów koła maszyny parowej. Składa się z dwóch lub czterech prętów zakończonych okrągłymi ciężarkami i centralnego trzpienia z tuleją połączoną z dźwignią zaworu przepustnicy. Wygląda jak ten parasol, tyle że ma mniej prętów. Pracujące koło maszyny parowej wprowadza ten trzpień w ruch obrotowy. Gdy trzpień obraca się zbyt szybko, metalowe ciężarki podnoszą się wskutek działania siły odśrodkowej, opadają tuleja i połączone z nią ramię dźwigni, a drugie ramię idzie do góry i zamyka otwór przepustnicy, zmniejszając tym samym dopływ pary do silnika i jego prędkość obrotową. I odwrotnie, gdy obraca się zbyt wolno, dźwignie opadają pod wpływem wagi ciężarków jak

zamykający się parasol i unoszą tuleję, co otwiera przepustnicę i zwiększa dopływ pary… To jeden z pierwszych przemysłowych automatycznych systemów regulacji.

Tak więc odszyfrowano pierwsze znaczenie dwuwarstwowej metafory, którą był parasol. Jednak w odróżnieniu od łódki napędzanej mydłem odśrodkowy regulator obrotów wydawał się na nic nie wskazywać. Drugą warstwę znaczeniową tej metafory można było interpretować wielorako, przy czym za najbardziej prawdopodobne uznawano dwie możliwości: automatyczną regulację i stałą prędkość.

Interpretatorzy zaczęli szukać współrzędnej naprowadzającej dla tej metafory dwuwarstwowej. Wkrótce skoncentrowali się na księciu Głębokiej Wodzie. Bez względu na odległość w oczach obserwatorów jego wzrost pozostawał niezmienny. Również i to można było interpretować na wiele sposobów, przy czym jako najbardziej oczywiste nasuwały się dwa wyjaśnienia: metoda przesyłu informacji bez zmniejszania się siły sygnału albo wielkość fizyczna, która pozostawała stała bez względu na układ odniesienia.

Gdy zestawiono to z metaforycznymi znaczeniami parasola, natychmiast wyłoniło się prawdziwe znaczenie tej przenośni – stała prędkość, która nie zmieniała się wraz z układem odniesienia.

Odnosiło się to wyraźnie do prędkości światła.

Niespodziewanie znaleziono jeszcze jedną współrzędną naprowadzającą na metaforyczne znaczenie parasola.

> „Właśnie z tych bąbelków wyrabia się to słynne mydło kąpielowe, ale nie jest łatwo je zebrać. Unoszą się bardzo szybko w powietrze (…). Może je zobaczyć tylko ktoś, kto porusza się tak szybko jak one i względem nich znajduje się w spoczynku. Trzeba jechać na najszybszych koniach (…). Gdy drzewa bąbelkowe zaczynają wypuszczać te bańki, mydlarze dosiadają koni, pędzą w zawody z wiatrem i starają

się je chwytać siatkami z cienkiej gazy. (…) Bańki nie mają żadnego ciężaru, więc autentyczne, czyste mydło z He’ershingenmosiken nic nie waży. To najlżejsza substancja na świecie (…)”.

Najszybsze, bez ciężaru, czyli pozbawione masy – była to oczywista jednowarstwowa metafora światła.

Wszystko wskazywało na to, że parasol oznacza światło, ale chwytanie bąbelków z drzewa można było interpretować dwojako: albo jako zbieranie siły światła, albo jako zmniejszanie jego prędkości.

Większość interpretatorów uważała, że pierwsze wyjaśnienie nie ma wiele wspólnego ze strategicznymi celami ludzkości, więc skupili się głównie na drugim.

Mimo że wciąż nie wiedzieli, jakie jest dokładne znaczenie tej wiadomości, rozważali związek między zmniejszeniem prędkości światła i kosmiczną gwarancją bezpieczeństwa.

– Przypuśćmy, że moglibyśmy zmniejszyć prędkość światła w Układzie Słonecznym. To by znaczyło, że w obrębie Pasa Kuipera albo orbity Neptuna moglibyśmy wywołać efekt widzialny z daleka w skali kosmicznej.

Ta myśl wszystkich podekscytowała.

– Załóżmy dalej, że moglibyśmy zmniejszyć prędkość światła w Układzie Słonecznym o dziesięć procent. Czy skłoniłoby to obserwatora z kosmosu do wniosku, że mu nie zagrażamy?

– Bez wątpienia. Gdyby ludzie posiadali statki zdolne osiągnąć prędkość światła, lot poza Układ Słoneczny zająłby im więcej czasu. Ale niewiele by to znaczyło.

– Żeby rzeczywiście dowieść Wszechświatu, że nie jesteśmy groźni, nie wystarczy zmniejszyć prędkości światła o dziesięć procent. Być może będziemy musieli zmniejszyć ją do dziesięciu procent prędkości pierwotnej,

a może nawet do jednego procenta. Obserwatorzy zauważyliby, że otoczyliśmy się strefą buforową, która dawałaby pewność, że wylot z Układu Słonecznego zabrałby nam dużo czasu. Zwiększyłoby to ich poczucie bezpieczeństwa.

– Zgodnie z tym rozumowaniem nie wystarczyłoby zmniejszenie prędkości światła nawet do jednej dziesiątej procenta obecnej. Pomyślcie, nawet przy prędkości trzystu kilometrów na sekundę opuszczenie Układu Słonecznego nie zajęłoby wcale tak dużo czasu. Poza tym gdyby ludzie byli w stanie zmienić stałą fizyczną w rejonie kosmosu o promieniu pięćdziesięciu jednostek astronomicznych, byłoby to równoznaczne z oświadczeniem, że posiadają bardzo zaawansowaną technologię. Zamiast gwarancji bezpieczeństwa byłoby to ostrzeżenie przed kosmicznym zagrożeniem!

Na podstawie podwójnego znaczenia parasola i współrzędnych naprowadzających w postaci księcia Głębokiej Wody i drzewa bąbelkowego interpretatorom udało się ustalić ich ogólną wymowę, ale nie konkretną informację o znaczeniu strategicznym. Metafora ta nie była już dwu-, ale trójwymiarowa. Niektórzy zaczęli się domyślać, że istnieje jeszcze jedna współrzędna naprowadzająca, ale drobiazgowe przeszukiwanie tekstów opowieści nic nie dało.

Akurat wtedy udało się w końcu rozszyfrować tajemniczą nazwę He’ershingenmosiken.

Zespół językoznawców dołączono do KOIW tylko po to, by zajęli się rozwikłaniem nazwy He’ershingenmosiken. Palermo, specjalista z zakresu językoznawstwa historycznego i filolog, znalazł się w tym zespole dlatego, że jego wiedza specjalistyczna różniła się od wiedzy innych. Zamiast

skupiać się na jednej rodzinie języków, znał starożytne języki należące do różnych rodzin. Ale nawet on nie miał pojęcia, skąd pochodzi ta dziwna nazwa. To, że w końcu udało mu się ją rozszyfrować, zawdzięczał niespodziewanemu uśmiechowi losu, a nie swojej specjalistycznej wiedzy.

Kiedy pewnego ranka się obudził, jego dziewczyna, jasnowłosa Skandynawka, zapytała, czy kiedykolwiek był w jej ojczyźnie.

– W Norwegii? Nie, nigdy.

– No to dlaczego mamroczesz przez sen te dwie nazwy?

– Jakie nazwy?

– Helseggen i Mosken.

Wydały mu się one dziwnie znajome. Ponieważ jego dziewczyna nie miała nic wspólnego z KOIW, te słowa dochodzące z jej ust brzmiały trochę niesamowicie.

– Chodzi ci o He’ershingenmosiken?

– Tak, chociaż wymawiasz je łącznie i niezbyt poprawnie.

– Wymawiam nazwę jednego miejsca. To transkrypcja z chińskiego, więc oddaje ich brzmienie tylko w przybliżeniu. Jeśli arbitralnie rozdzielisz sylaby na grupy, to prawdopodobnie będą brzmiały jak nazwy miejscowe w wielu językach.

– Ale oba te miejsca znajdują się w Norwegii.

– To tylko przypadkowa zbieżność.

– No to ci powiem, że przeciętny Norweg też raczej nie będzie ich znał. To starodawne nazwy, już od dawna nieużywane. Znam je tylko dlatego, że specjalizuję się w historii Norwegii. Oba te miejsca znajdują się w okręgu Nordland.

– Kochana, powtarzam, to przypadkowa zbieżność. Możesz podzielić tę nazwę na sylaby w dowolnych miejscach.

– Och, przestań się ze mną droczyć! Musiałeś wiedzieć, że Helseggen to nazwa góry, a Mosken jest malutką wysepką w archipelagu Lofotów.

– Naprawdę nie wiedziałem. Językoznawcom znane jest zjawisko, kiedy słuchacz, który nie zna danego języka, arbitralnie, niemal podświadomie, dzieli wielosylabowy wyraz na grupy sylab. I z tym mamy teraz do czynienia.

Palermo wielokrotnie spotykał się w swojej pracy dla KOIW z takim arbitralnym dzieleniem słów na sylaby, nie potraktował więc poważnie „odkrycia" swojej dziewczyny. Ale to, co powiedziała potem, wszystko zmieniło.

– No dobrze, wobec tego powiem ci jeszcze coś: Helseggen znajduje się obok morza. Z jej szczytu możesz zobaczyć Mosken – to wyspa położona najbliżej niej!

Dwa dni później Cheng Xin stała na Mosken i patrzyła na urwiste zbocze Helseggen za morzem. Urwisko było czarne, ponieważ niebo było zaciągnięte chmurami, morze też wydawało się czarne. U podnóża skał pojawiała się tylko biała linia przyboju. Przed przybyciem tutaj Cheng Xin słyszała, że chociaż miejsce to leży poza kręgiem arktycznym, dzięki ciepłym prądom morskim klimat jest tu łagodny. Mimo to wiatr wiejący od morza był zimny.

Strome, skaliste Lofoty były pokryte lodowcami i tworzyły stuseśćdziesięciokilometrową barierę między Morzem Północnym i zatoką Vestfjorden, niczym mur oddzielający Ocean Arktyczny od Półwyspu Skandynawskiego. Między wyspami były silne i szybkie prądy. W dawnych czasach wyspy zamieszkiwało niewielu ludzi, z których większość była sezonowymi rybakami. Teraz, gdy ryby i owoce morza pochodziły głównie

z hodowli, połowy na otwartym morzu praktycznie ustały. Wyspy znowu stały się bezludne i prawdopodobnie wyglądały tak jak w czasach wikingów.

Mosken była małą wysepką, a Helseggen anonimową górą. Nazwy zostały zmienione pod koniec ery kryzysu.

Stojąc naprzeciw zapomnianego pustkowia na końcu świata, Cheng Xin czuła mimo to spokój w sercu. Jeszcze niedawno myślała, że jej życie dobiegło końca, ale teraz miała wiele powodów, by żyć dalej. Zobaczyła, że na skraju ołowianego nieba pojawia się pasek błękitu, przez który na kilka minut zaświeciło słońce, w jednej chwili zmieniając ten zimny świat. Przypomniało jej to porównanie z opowieści Tianminga: „jakby twórca tego obrazu świata rozsypał na jego powierzchni garść złotego pyłu”. Takie było teraz jej życie – nadzieja ukryta w rozpaczy, ciepło odczuwane mimo mrozu.

Przyjechali z nią AA i kilku ekspertów z KOIW, w tym Bi Yunfeng, Cao Bin i Palermo.

Jedynym mieszkańcem Mosken był stary mężczyzna imieniem Jazon. Miał ponad osiemdziesiąt lat i pochodził z ery powszechnej. Na jego kwadratowej twarzy widać było ślady pozostawione przez lata, przez co przypominał Cheng Xin Fraisse’a. Zapytany, czy w pobliżu Helseggen jest coś szczególnego, wskazał zachodni skraj wyspy.

– Oczywiście. Spójrzcie tam.

Zobaczyli białą latarnię morską. Chociaż dopiero zapadał zmierzch, już się paliła i pulsowała rytmicznie światłem.

– Do czego to służy? – zapytała Cheng Xin.

– Ha! W tych czasach dzieci… – Jazon potrząsnął głową. – To starożytna pomoc w nawigacji. W erze powszechnej byłem inżynierem, projektantem latarni morskich i boi świetlnych. Prawdę mówiąc, wiele latarni

pozostawało w użytku aż do ery kryzysu, ale potem wszystkie zniknęły. Tę tutaj zbudowałem, żeby dzieci wiedziały, że kiedyś istniało coś takiego.

Latarnia morska zainteresowała wszystkich członków KOIW. Przypominała im odśrodkowy regulator obrotów maszyn parowych, inny wyrób starożytnej technologii, który też zniknął. Jednak po jej krótkim zbadaniu doszli do wniosku, że nie jest ona tym, czego szukają. Została zbudowana niedawno, z nowoczesnych, lekkich materiałów, w ciągu pół miesiąca. Jazon był też pewien, że na Mosken nigdy wcześniej nie było latarni morskiej. Tak więc na podstawie samych obliczeń czasowych łatwo było dojść do wniosku, że latarnia morska nie miała nic wspólnego z ukrytym przesłaniem Tianminga.

– Jest tu jeszcze coś interesującego albo szczególnego? – zapytał ktoś.

Jason wskazał na zimne niebo pełne chmur i wzruszył ramionami.

– A co tu mogłoby być? Ja sam nie lubię tego ponurego miejsca, ale nie pozwolono by mi zbudować latarni nigdzie indziej.

Wszyscy postanowili więc wrócić do Helseggen i tam się rozejrzeć. Już mieli wsiadać do helikoptera, gdy Cheng Xin wpadła nagle na pomysł, żeby popłynąć tam łódką Jazona.

– Nie ma sprawy, ale dzisiaj są naprawdę potężne fale. Dostaniesz choroby morskiej, dziecko – odparł Jazon.

AA wskazała górę po drugiej stronie przesmyku.

– To krótka podróż.

Jazon potrząsnął głową.

– Nie mogę popłynąć prosto. Nie dzisiaj. Musimy płynąć długą, okrężną drogą.

– Dlaczego?

– Oczywiście z powodu malstromu. Pochłonąłby każdą łódź.

Towarzysze Cheng Xin popatrzyli po sobie i jak jeden mąż odwrócili się do Jazona.

– Zdaje się, że pan mówił, że nie ma tu nic szczególnego.

– Dla nas, miejscowych, Moskstraumen nie jest niczym szczególnym. To tylko część morza. Można go często zobaczyć.

– Gdzie?

– Tam. Może go nie widzicie, ale na pewno słyszycie.

Ucichli i usłyszeli dobiegające z morza dudnienie, jakby w oddali galopowały tysiące koni.

Mogli się przyjrzeć temu z helikoptera, ale Cheng Xin chciała popłynąć łódką i pozostali się zgodzili. W łódce Jazona, jedynej na wyspie, mogło się bezpiecznie pomieścić pięć czy sześć osób. Wsiedli do niej Cheng Xin, AA, Bi Yunfeng, Cao Bin i Palermo, reszta do helikoptera.

Łódka odbiła od brzegu, podskakując na falach. Na morzu wiatr był silniejszy i zimniejszy, ich twarze nieustannie zraszała słona woda. Powierzchnia morza była ciemnoszara i w przygasającym świetle wyglądała niesamowicie. Dudnienie narastało, ale wciąż nie widzieli wielkiego wiru.

– Och, teraz sobie przypomniałem! – zawołał Cao Bin.

Cheng Xin też. Wcześniej myślała, że być może Tianming odkrył w tym miejscu coś nowego za pośrednictwem sofonów, ale odpowiedź była dużo prostsza.

– Edgar Allan Poe – powiedziała.

– Co? Kto? – zapytała AA.

– Dziewiętnastowieczny pisarz.

– Zgadza się – rzekł Jazon. – Poe napisał opowiadanie o Mosken, *W bezdni Maelströmu*. Czytałem je w młodości. Bardzo przesadzony opis.

Pamiętam, że pisał, jakoby brzeg wiru nachylony był pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To bzdura.

Beletrystyka pisana zniknęła ponad wiek temu. Wprawdzie nadal istniała „literatura” i „autorzy”, ale opowieści konstruowano z obrazów cyfrowych. Klasyczne pisane powieści i opowiadania traktowano jako starożytne artefakty. Podczas Wielkiego Jaru przepadły dzieła wielu dawnych pisarzy, w tym Poego.

Dudnienie stało się jeszcze głośniejsze.

– Gdzie jest ten wir? – zapytał ktoś.

Jazon wskazał na powierzchnię morza.

– Malstrom jest niżej niż ona. Patrzcie na tę linię – żeby zobaczyć Moskstraumen, trzeba ją przekroczyć.

Pasażerowie zobaczyli pas fal, których spienione grzywy tworzyły długi biały łuk niknący w dali.

– No to ją przekroczmy! – powiedział Bi Yunfeng.

Jazon spiorunował go wzrokiem.

– To granica między życiem i śmiercią. Łódź, która ją przekroczy, już nie wróci.

– Jak długo mogłaby krążyć w wirze, zanim by ją wciągnął?

– Od czterdziestu minut do godziny.

– No to nie powinno się nam nic stać. Helikopter w porę nas uratuje.

– Ale moja łódka…

– Wyrównamy panu stratę.

– To tańsze niż kostka mydła – dorzuciła Cheng Xin.

Jazon nie miał pojęcia, o czym mówiła. Ostrożnie skierował łódkę na pasmo fal i przepłynął przez nie. Łódka zakołysała się gwałtownie z boku na bok, po czym się ustabilizowała. Wydawało się, że chwyciła ją jakaś

niewidzialna siła, i łódka zaczęła sunąć w tę samą stronę co fale, jakby na nich jechała.

– Złapał nas malstrom! – krzyknął Jazon. – Boże, pierwszy raz jestem tak blisko!

Moskstraumen pojawił się przed nimi, jakby oglądali go ze szczytu góry. Monstrualna depresja w kształcie leja miała około kilometra średnicy. Jego ściany co prawda nie odchylały się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, jak pisał Poe, ale na pewno co najmniej trzydziestu. Powierzchnia wnętrza wiru była gładka, jakby uformowana z ciała stałego. Łódka znajdowała się na jego brzegu, więc nie kręciła się zbyt szybko. Jednak im bardziej zbliżali się do jego środka, tym szybciej wirowali. Prędkość skłębionej wody była największa w małej dziurze na dnie leja, stamtąd też dochodziło ogłuszające dudnienie. Wyrażało szaloną moc, zdolną zmiażdżyć i wessać wszystko, co znalazło się w jej zasięgu.

– Nie sądzę, byśmy nie mogli się stąd wydostać – powiedziała AA. – Płyń prosto z maksymalną prędkością! – krzyknęła do Jazona.

Zrobił, co mówiła. Łódka miała napęd elektryczny i odgłosy pracy jej cichego silnika brzmiały na tle dudnienia wiru jak brzęczenie komara. Dotarła do pasa fal na brzegu malstromu i wydawało się, że uda się im stamtąd wydostać, ale potem straciła impet i odwróciła się od piany jak rzucony kamyk, który przeleciał przez najwyższy punkt swojej trajektorii. Próbowali jeszcze parę razy, ale łódka ześlizgiwała się z powrotem w wir, i to coraz głębiej.

– Sami teraz widzicie: to wrota piekła. Nie wróci stąd żadna normalna łódź – rzekł Jazon.

Znajdowali się teraz tak głęboko w wirze, że nie było już widać spienionych fal na jego brzegu. Za nimi wznosiła się góra wody, a przed sobą widzieli tylko powoli przesuwający się szczyt góry po drugiej stronie

leja. Wszystkich ogarnęło przerażenie – byli zdani na łaskę siły, której nie można się było oprzeć. Pewną pociechą był tylko wiszący nad ich głowami helikopter.

– Zjedzmy kolację – powiedział Jazon.

Słońce nie zaszło jeszcze za chmurami, ponieważ było to arktyczne lato, ale była już dziewiąta wieczorem. Jazon wyjął z pojemnika dużego, niedawno złowionego dorsza. Potem wyciągnął trzy butelki wina, położył rybę na żelaznym półmisku i wylał na nią jedną z nich. Podpalił wino zapalniczką i wyjaśnił, że jest to miejscowy sposób przyrządzania dorsza. Po pięciu minutach zaczął odkrawać i jeść kawałki wciąż płonącej ryby. Pasażerowie poszli za jego przykładem i rozkoszowali się potrawą, winem i wspaniałym widokiem malstromu.

– Poznaję cię, dziecko – powiedział Jazon do Cheng Xin. – Byłaś Dzierżycielką Miecza. Jestem pewien, że przybyłaś tu z tymi ludźmi w jakiejś specjalnej misji, ale musisz zachować spokój. Nie unikniemy apokalipsy, więc cieszmy się chwilą obecną.

– Wątpię, czy zachowałby pan spokój, gdyby nie było nad nami tego helikoptera – powiedziała AA.

– Ha, dziecko, zachowałbym. Na pewno. Jeszcze w erze powszechnej, kiedy miałem zaledwie czterdzieści lat, zdiagnozowano u mnie śmiertelną chorobę. Ale się nie przestraszyłem i nawet nie planowałem poddać się hibernacji. Lekarze hibernowali mnie dopiero wtedy, kiedy doznałem wstrząsu. Gdy się obudziłem, była już era odstraszania. Myślałem, że dano mi nowe życie, ale okazało się to złudzeniem. Śmierć się tylko trochę cofnęła, by poczekać na mnie na nowej drodze… W dniu, w którym skończyłem budować latarnię morską, wypłynąłem łódką w morze, by się jej przyjrzeć z oddali. I nagle przyszło mi do głowy, że jedyną latarnią morską, która się zawsze pali, jest śmierć. Bez względu na to, dokąd

popłyniesz, musisz się skierować w jej stronę. Na tym świecie wszystko przemija, ale śmierć trwa.

Od chwili, gdy wpłynęli w wir, minęło dwadzieścia minut, a łódka ześlizgnęła się o jedną trzecią odległości od jego dna. Była przechylona w jego stronę, ale dzięki sile odśrodkowej pasażerowie nie ześlizgiwali się na lewą burtę. Całe ich pole widzenia zajmowała ściana wody i nie widzieli już szczytu, nawet po drugiej stronie wiru. Wszyscy starali się nie patrzeć w niebo, ponieważ łódka poruszała się razem z tą wirującą ścianą i prawie tego nie odczuwali – była jak przyklejona do wody. Ale gdy tylko ktoś spojrzał w górę, dostawał zawrotu głowy od wirujących coraz szybciej chmur. Ponieważ siła odśrodkowa była tym wyższa, im niżej opadali, ściana wody pod nią stawała się coraz gładsza i wydawała się twarda jak lód. Dudnienie dobiegające z dna wiru zagłuszało wszystkie inne dźwięki i rozmowa stała się niemożliwa. Przez szpary w powłoce chmur na zachodzie zaczęło przezierać słońce i jego złoty promień padł w wir. Nie dosięgnął jednak jego dna, tylko oświetlił małą część ściany wody, przez co wydawało się ono jeszcze ciemniejsze i groźniejsze. Wznosiła się stamtąd mgła i w blasku słońca tworzyła wspaniałą tęczę nad wirującą otchłanią.

– Pamiętam, że Poe opisywał też tęczę w malstromie. Chyba w świetle księżyca. Nazwał ją mostem między czasem i wiecznością – krzyknął Jazon, ale nikt go nie usłyszał.

Przyleciał im na ratunek helikopter. Wisząc dwa metry nad łódką, spuścił drabinę sznurową, po której wszyscy się do niego wspięli. Potem pusta łódka dalej kręciła się w monstrualnym wirze. Nadal żarzyły się na niej resztki dorsza, spowite niebieskim płomieniem.

Gdy helikopter unosił się nad paszczą malstromu, wszyscy spojrzeli na wirujący lej i doznali zawrotów głowy i nudności. Ktoś wprowadził do systemu nawigacyjnego polecenie, by śmigłowiec zaczął się kręcić w takim

samym tempie jak wir w dole. Dzięki temu wir zdawał się nieruchomy, za to zaczął wirować świat wokół nich – niebo, morze i góry. AA zwymiotowała całą rybę, którą zjadła.

Gdy Cheng Xin patrzyła na wir, w jej głowie pojawił się inny. Tworzyło go sto miliardów gwiazd obracających się w morzu, które było Wszechświatem – Drogą Mleczną. Jeden pełny obrót trwał dwieście pięćdziesiąt milionów lat. Ziemia nie była nawet wielkości drobiny kurzu w tym wirze, a Moskstraumen był drobiną kurzu na tej drobinie.

Pół godziny później łódka znalazła się na dnie wiru i raptownie zniknęła. Zdawało im się, że wśród nieustannego dudnienia słyszą trzask jej miażdżonego kadłuba.

Wysadzili Jazona na Mosken i Cheng Xin obiecała, że postara się jak najszybciej dostarczyć mu nową łódkę. Pożegnali się, po czym helikopter skierował się do Oslo, najbliższego miasta z pomieszczeniem zabezpieczonym przed inwigilacją sofonów.

Przez całą drogę wszyscy pogrążeni byli w głębokim zamyśleniu, nie porozumiewali się nawet wzrokiem.

Znaczenie Moskstraumen było tak oczywiste, że nie trzeba było wymieniać opinii.

Pozostawało jednak pytanie: co wspólnego z czarnymi dziurami miało zmniejszenie prędkości światła i co one miały wspólnego z kosmiczną gwarancją bezpieczeństwa?

Czarna dziura nie mogła zmienić prędkości światła, a jedynie długość fali.

Zmniejszenie prędkości światła w próżni do jednej dziesiątej, jednej setnej czy nawet jednej tysięcznej prędkości pierwotnej oznaczałoby, odpowiednio, trzydzieści tysięcy, trzy tysiące i trzysta kilometrów na

sekundę. Trudno było powiedzieć, jaką rolę miałyby w tym odegrać czarne dziury.

Trzeba było pokonać pewną barierę, trudną do przekroczenia dla normalnie myślącej osoby, ale nie dla tej grupy, w której skład wchodziły najświatlejsze umysły epoki. Niekonwencjonalne pomysły przychodziły do głowy zwłaszcza Cao Binowi. Jako fizyk, który przeskoczył trzy stulecia, wiedział coś jeszcze – w erze powszechnej zespołowi naukowców udało się zmniejszyć, co prawda w warunkach laboratoryjnych, przepuszczając światło przez pewne medium, jego prędkość do siedemnastu metrów na sekundę, czyli poruszało się ono wolniej niż rowerzysta. Oczywiście nie było to tym samym co zmniejszenie prędkości światła w próżni, ale przynajmniej sprawiało, że to, co sobie wyobraził, nie wydawało się tak szalone.

A gdyby zmniejszyć prędkość światła jeszcze bardziej, do trzydziestu kilometrów na sekundę? Czy wymagałoby to skorzystania z czarnej dziury? Wydawało się, że mimo to byłby to zasadniczo taki sam proces jak poprzednie… Zaraz!

– Szesnaście, przecinek, siedem! – krzyknął. Ogień w jego oczach szybko rozpalił płomienie w oczach pozostałych.

Trzecia prędkość kosmiczna Układu Słonecznego wynosiła 16,7 kilometra na sekundę. Statek z Ziemi nie mógł opuścić Układu Słonecznego, jeśli nie przekroczył tej granicy.

Tak samo było ze światłem.

Gdyby prędkość światła w próżni zmniejszyć w Układzie Słonecznym do poziomu poniżej 16,7 kilometra na sekundę, nie mogłoby ono uciec przed siłą grawitacji Słońca i układ ten stałby się czarną dziurą. Była to nieunikniona konsekwencja promienia Schwarzschilda obiektu, nawet jeśli ten obiekt był Układem Słonecznym. Mówiąc dokładniej, konieczna

granica prędkości byłaby nawet niższa, gdyby promień Schwarzschilda był większy.

Ponieważ nic nie mogło przekroczyć prędkości światła, to gdyby światło nie mogło opuścić horyzontu zdarzeń Układu Słonecznego, nie mogłoby też opuścić go nic innego. Układ Słoneczny byłby hermetycznie zamknięty i odcięty od reszty Wszechświata. A zatem zupełnie dla niej niegroźny.

Jak odległy obserwator widziałby czarną dziurę stworzoną przez zmniejszenie prędkości światła w Układzie Słonecznym? Były dwie możliwości: jeśli obserwatorzy posiadaliby niezbyt rozwiniętą technologię, Układ Słoneczny po prostu zniknąłby im z oczu, a gdyby dysponowali technologią zaawansowaną, powinni być w stanie odkryć tę czarną dziurę, ale od razu by zrozumieli, że ten układ nie jest dla nich groźny.

„Weźmy odległą gwiazdę, ledwie widoczny punkt. Każdy, kto by na nią zerknął, powiedziałby: O, ta gwiazda nam nie zagraża”.

To była kosmiczna gwarancja bezpieczeństwa. W końcu niemożliwe okazało się możliwe. Interpretatorzy pomyśleli o Morzu Żarłoków i o Królestwie bez Opowieści odciętym przez nie od reszty Wszechświata. Ta dodatkowa współrzędna naprowadzająca nie była potrzebna – już rozumieli.

Później ludzie nazwą czarną dziurę utworzoną przez obniżenie prędkości światła „czarną domeną”. Czarna dziura powstała wskutek zmniejszenia prędkości światła miałaby dużo większy promień Schwarzschilda niż czarne dziury, w których prędkość ta była niezmieniona. Jej wnętrze nie byłoby czasoprzestrzenną osobliwością, lecz rejonem dość otwartym.

Helikopter leciał dalej nad chmurami. Było już po jedenastej i słońce powoli zachodziło, przez co widoczny był tylko kawałek ziemi. W złotym świetle słońca o północy wszyscy starali się wyobrazić sobie życie na świecie, na którym światło porusza się z prędkością zaledwie 16,7

kilometra na sekundę, wyobrazić sobie pełznące światło takiego zachodu słońca.

Teraz prawie wszystkie kawałki układanki Yun Tianminga znalazły się na swoich miejscach. Pozostał tylko jeden – obrazy Bystrego Oka. Interpretatorzy nie potrafili odkryć znaczenia tej podwójnej metafory ani znaleźć żadnych współrzędnych naprowadzających. Niektórzy myśleli, że te obrazy mogą być jeszcze jedną współrzędną naprowadzającą na Moskstraumen, symbolizującą horyzont zdarzeń w czarnej domenie. Wedle ich rozumowania z punktu widzenia obserwatora wszystko, co wpada w czarną dziurę, pozostaje wiecznie na horyzoncie zdarzeń, co przypomina wmalowanie w obraz. Jednak większość interpretatorów nie zgadzała się z tym. Znaczenie Moskstraumen było bardzo jasne, a Morza Żarłoków Tianming użył jako współrzędnej naprowadzającej. Nie było potrzeby wprowadzania innej.

Koniec końców nie udało się odszyfrować tego ostatniego elementu układanki. Portrety namalowane przez Bystre Oko pozostały równie tajemnicze jak ręce Wenus z Milo. Jednak ponieważ ten szczegół tworzył podstawy wszystkich trzech opowiadań i opisywał absolutną bezwzględność, niezwykłe okrucieństwo i piękną śmierć, musiał być wskazówką naprowadzającą na tajemnicę życia i śmierci.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Trzy sposoby przetrwania ziemskiej cywilizacji

I. Program Schron. Ten plan był najbardziej obiecujący, ponieważ w całości opierał się na znanych ludziom technologiach i nie zawierał żadnych teoretycznych niewiadomych. Program ten można było w pewnym sensie uważać za kontynuację rozwoju ludzkości. Nawet gdyby nie było zagrożenia atakiem z ciemnego lasu, nadszedł czas, by ludzie zaczęli kolonizować Układ Słoneczny. Dzięki programowi Schron te starania bardziej się skupiły na wyraźniejszych celach.

Poza tym był to plan w całości opracowany przez Ziemię, nie opisany w wiadomości przekazanej przez Yun Tianminga.

II. Plan Czarna Domena. Polegał na przekształceniu Układu Słonecznego poprzez zmniejszenie prędkości światła w czarną dziurę i przesłanie tym samym Wszechświatu kosmicznej gwarancji bezpieczeństwa. Było to największe wyzwanie technologiczne spośród wszystkich możliwych. Trzeba bowiem było zmienić stałą fizyczną w rejonie o promieniu pięćdziesięciu jednostek astronomicznych (czyli siedmiu i pół miliarda kilometrów). Nazwano to „projektem inżynieryjnym Boga”.

Ale gdyby ten plan się powiódł, zapewniłby ziemskiej cywilizacji maksymalną ochronę. Niezależnie od jego roli jako kosmicznej gwarancji bezpieczeństwa, dawałby taką korzyść, że czarna domena byłaby sama w sobie bardzo skuteczną barierą ochronną. Każdy wystrzelony z zewnątrz pocisk, taki jak fotoida, leciałby z bardzo dużą prędkością, dającą mu ogromną niszczycielską moc, a zatem wpadłby w czarną domenę z prędkością znacznie wyższą od zmienionej prędkości światła w tej domenie. Zgodnie z teorią grawitacji taki obiekt musiałby po przekroczeniu tej bariery poruszać się z (obniżoną teraz) prędkością światła, a jego nadmierna energia kinetyczna przekształciłaby się w masę. Jego pierwsza wchodząca w czarną domenę część nagle by zwolniła i uzyskała dużą większą masę, natomiast reszta, nadal poruszająca się z niezmienioną prędkością światła, wpadłaby na nią i zniszczyłaby cały ten obiekt. Z obliczeń wynikało, że nawet obiekty zbudowane z materiałów z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym, takich, z jakich stworzone zostały krople, roztrzaskałyby się w proch na granicy czarnej domeny. Dlatego nazwano ją też „kosmicznym zabezpieczeniem”.

Z planu Czarna Domena wynikała też inna korzyść – jako jedyny z trzech pozwalał ludzkości przetrwać na znajomej powierzchni Ziemi i uniknąć ucieczki w kosmos.

Ale ziemska cywilizacja musiałaby zapłacić za to wysoką cenę. Układ Słoneczny zostałby zupełnie oddzielony od reszty Wszechświata, co byłoby równoznaczne ze skurczeniem się wszechświata ludzkości z szesnastu miliardów lat świetlnych do stu jednostek astronomicznych. Poza tym nie wiadomo było, jak wyglądałoby życie w takim świecie. Pewne było tylko to, że komputery elektroniczne i kwantowe musiałyby działać z krańcowo niższą prędkością, skutkiem czego ludzkość cofnęłaby się do stanu społeczeństwa o bardzo niskim poziomie technologii. Byłoby to jeszcze

gorsze niż zablokowanie rozwoju technologii przez sofony. Plan Czarna Domena był nie tylko kosmiczną gwarancją bezpieczeństwa, ale też pewną formą samookaleczenia – ludzie nie mogliby nigdy uciec z pułapki zmniejszonej prędkości światła słonecznego.

III. Plan ucieczki w kosmos z prędkością światła. Chociaż nie znano podstaw teoretycznych napędu krzywiznowego, z oczywistych względów był to plan łatwiejszy do zrealizowania.

Jednak opracowanie technologii lotu z prędkością światła nie poprawiało w najmniejszej mierze bezpieczeństwa Ziemi. Ze wszystkich planów ten zawierał najwięcej niewiadomych. Nawet gdyby udało się go wprowadzić w życie, ci członkowie rodzaju ludzkiego, którzy uciekliby w przepastną otchłań, musieliby stawić czoło nieprzewidywalnym zagrożeniom. Poza tym jako forma eskapizmu natrafiałby na przeróżne bariery i pułapki polityczne.

Mimo to było pewne, że jakaś część ludzkości będzie się opowiadała za lotami z prędkością światła z powodów innych niż przetrwanie.

Dla ludzi z ery nadawania jedynym rozsądnym wyborem było przystąpienie do jednoczesnej realizacji trzech planów.

8 rok ery nadawania

Wybór losu

Cheng Xin pojechała do centrali Halo Group. Była tam po raz pierwszy. Nigdy nie brała udziału w żadnych działaniach firmy, bo podświadomie nigdy nie uważała tego ogromnego majątku za swój ani Yun Tianminga. Owszem, posiadali tę gwiazdę, ale zgromadzone dzięki niej bogactwo należało do społeczeństwa.

Teraz jednak Halo Group być może zdoła pomóc jej zrealizować marzenie.

Główna siedziba korporacji zajmowała całe ogromne drzewo. Co ciekawe, wszystkie domy na tym drzewie były przezroczyste. Na dodatek, ponieważ współczynnik załamania światła materiałów, z których zostały zbudowane, był zbliżony do współczynnika załamania światła powietrza, widoczne były wszystkie pomieszczenia wewnętrzne. Widać było poruszających się w nich pracowników oraz niezliczone okna informacyjne. Te wiszące budynki przypominały mrowiska za szkłem z krzątającymi się w nich mrówkami.

Cheng Xin spotkała się w dużej sali konferencyjnej z liczną grupą wyższych urzędników Halo Group. Wszyscy byli młodzi, inteligentni i pełni energii. Większość z nich nigdy wcześniej nie widziała Cheng Xin na własne oczy i nie ukrywała podziwu.

Po spotkaniu w dużym pustym pomieszczeniu zostały tylko Cheng Xin i AA. Zaczęły rozmawiać o przyszłości firmy. Wiadomość od Yun

Tianminga i postępy w jej rozszyfrowywaniu utrzymywano w tajemnicy przed społeczeństwem. W celu ochrony Tianminga Flota Międzynarodowa i ONZ planowały upubliczniać rezultaty stopniowo, by wydawały się owocami badań prowadzonych przez ziemskich naukowców. Dodawano by też do nich pewne fałszywe wyniki, by jeszcze bardziej ukryć ich prawdziwe źródło.

Cheng Xin przyzwyczaiła się do przezroczystej podłogi i nie odczuwała już lęku wysokości. W sali unosiło się kilka dużych okien informacyjnych pokazujących na żywo prace Halo Group przy budowie obiektów wokół Ziemi, z których jednym był gigantyczny krzyż na orbicie geosynchronicznej. Po ponownym pojawieniu się Tianminga nadzieje społeczeństwa na cud stopniowo gasły, a wraz z ogłoszeniem programu Schron zapał religijny zmalał. Kościół przestał inwestować w krzyż, więc budowę przerwano, a teraz go rozmontowywano, tak że pozostało tylko ogromne „I”, dość wymowny widok.

– Nie podoba mi się pomysł „czarnej domeny” – powiedziała AA. – Stosowniej byłoby nazwać to „czarnym grobem”, grobem, który sami sobie kopiemy.

Cheng Xin spojrzała na miasto widoczne przez przezroczystą podłogę.

– Ja tak o tym nie myślę. W epoce, z której pochodzę, Ziemia była zupełnie odizolowana od reszty Wszechświata. Wszyscy mieszkali na powierzchni i bardzo rzadko patrzyli na gwiazdy. Ludzie żyli tak od pięciu tysięcy lat i nie można powiedzieć, że nie było to dobre życie. Jeszcze teraz Układ Słoneczny jest w zasadzie odizolowany od reszty Wszechświata. W głębi kosmosu znajduje się tylko parę tysięcy ludzi na tych dwóch statkach.

– Ale boję się, że jeśli się odizolujemy od gwiazd, umrą nasze marzenia.

– Nic podobnego. Starożytni też bywali szczęśliwi, radowali się i nie mieli mniej marzeń niż my. Poza tym nawet z czarnej domeny będziemy widzieli gwiazdy, tylko że… kto wie, jak będą wyglądały… Szczerze mówiąc, mnie też nie podoba się pomysł „czarnej domeny”.

– Wiem, że nie.

– Za to podoba mi się myśl o statkach kosmicznych latających z prędkością światła.

– Nam wszystkim się podoba. Halo Group powinna zacząć je budować!

– Myślałam, że się na to nie zgodzisz – powiedziała Cheng Xin. – To wymaga ogromnych inwestycji w badania podstawowe.

– Uważasz, że jestem zwykłą kapitalistką? No cóż, nie mylisz się. Jestem, tak samo jak członkowie zarządu. Chcemy maksymalizować zyski. Ale nie stoi to w sprzeczności ze statkami latającymi z prędkością światła. Władze przeznaczą większość środków na realizację programów Schron i Czarna Domena, a statki o prędkości światła zostawią dla przedsiębiorców… Powinniśmy się skoncentrować na realizacji programu Schron, a potem przeznaczyć część zysków na badania możliwości skonstruowania statków kosmicznych poruszających się z prędkością światła.

– Powiem ci, AA, co ja o tym myślę: napęd krzywiznowy i czarna domena opierają się prawdopodobnie na tych samych podstawach teoretycznych. Możemy poczekać, aż rząd i Światowa Akademia Nauk zakończą tę część badań, a potem wykorzystamy je w pracach nad stworzeniem statków o napędzie krzywiznowym.

– Dobrze, ale powinniśmy utworzyć Akademię Nauk Halo Group i zwerbować naukowców. Wielu z nich marzy o skonstruowaniu statków o takim napędzie, ale ani programy krajowe, ani międzynarodowe nie stwarzają im możliwości zajęcia się tym…

Wypowiedź AA przerwało nagłe pojawienie się okien informacyjnych różnej wielkości. Otworzyły się wszędzie jak kolorowa lawina i wkrótce usunęły w cień kilka firmowych, przekazujących informacje o projektach realizowanych przez Halo Group. Taka „lawina okien” zwykle świadczyła, że zdarzyło się coś ważnego, ale w tym zalewie informacji często ludzie nie mogli się dowiedzieć, co się rzeczywiście stało. Tak działo się i teraz z Cheng Xin i AA. Widziały, że w większości okien jest zawiły tekst i animowane postacie, i można było po jednym rzucie oka zauważyć tylko te, które pokazywały same obrazy. W jednym z takich okien Cheng Xin zobaczyła twarze kilku ludzi spoglądających w górę. Potem nastąpił najazd kamery i ekran wypełniła para przestraszonych oczu, czemu towarzyszyła kakofonia krzyków…

Na pierwszy plan wysunęło się nowe okno, w którym widać było sekretarkę AA. Patrzyła na AA i Cheng Xin z przerażoną miną.

– Ostrzeżenie! – krzyknęła. – Przed atakiem!

– Znasz jakieś szczegóły? – zapytała AA.

– Włączyli pierwszą jednostkę obserwacyjną w systemie wczesnego ostrzegania w Układzie Słonecznym i od razu odkryli fotoidę!

– Gdzie? Jak daleko?

– Nie wiem. Nic nie wiem. Tylko tyle…

– To oficjalne ostrzeżenie? – zapytała spokojnie Cheng Xin.

– Chyba nie. Ale jest we wszystkich mediach. Jestem pewna, że to prawda! Lećmy do portu kosmicznego i uciekajmy, żeby ocalić życie!

Sekretarka zniknęła z okna.

Cheng Xin i AA przedarły się przez gęste skupisko okien informacyjnych i dotarły do przezroczystej ściany sali konferencyjnej. Zobaczyły, że miasto ogarnęła już panika. W powietrzu zapanował chaos, bo wzbiła się w górę ogromna liczba latających samochodów i każdy pojazd starał się przelecieć

z dużą prędkością przez ten tłok. Jeden uderzył w wielkie drzewo mieszkaniowe i stanął w ogniu. Zaraz potem w dwóch innych punktach miasta pojawiły się płomienie i słupy dymu…

AA wybrała dwa okna informacyjne i uważnie przeglądała wiadomości. Natomiast Cheng Xin starała się skontaktować z członkami KOIW. Większość telefonów była zajęta i udało się jej porozmawiać tylko z dwoma. Jeden z nich powiedział, że może potwierdzić, iż pierwsza jednostka obserwacyjna systemu wczesnego ostrzegania w Układzie Słonecznym zauważyła jakąś znaczącą anomalię, ale nie zna szczegółów. Potwierdził też, że Flota Międzynarodowa i ONZ nie wydały oficjalnego komunikatu o uderzeniu z ciemnego lasu, ale był daleki od optymizmu.

– Możliwe są dwa wyjaśnienia tego, że nie ogłoszono alarmu. Jedno, że nic się nie stało. Drugie, że fotoida jest za blisko i alarm na nic by się zdał.

AA udało się wydobyć z tego wszystkiego, co przeczytała, tylko jedną konkretną informację, a mianowicie że fotoida zbliża się po płaszczyźnie ekliptycznej. Doniesienia o kierunku, w którym leci, i o jej odległości od Słońca były sprzeczne, a szacunkowe obliczenia, kiedy mogłaby uderzyć w Słońce, bardzo się różniły. Niektórzy twierdzili, że świat ma jeszcze miesiąc, inni, że zaledwie parę godzin.

– Powinnyśmy polecieć na *Halo* – powiedziała AA.

– Starczy nam czasu?

Halo było statkiem kosmicznym należącym do ich korporacji. W tej chwili cumowało w geosynchronicznej bazie firmy. Jeśli naprawdę wszczęto alarm, ich jedyną nadzieją był lot tym statkiem na Jowisza i ukrycie się w cieniu gazowego olbrzyma. Jowisz znajdował się w opozycji do Ziemi, a zatem najbliżej niej, podróż tam trwałaby od dwudziestu pięciu do trzydziestu dni, co mieściło się pod górną granicą szacunkowego czasu uderzenia fotoidy. Niestety, obliczenia te były bardzo niewiarygodne, bo

system wczesnego ostrzegania był jeszcze w budowie i nie byłby zdolny do wysłania tak wczesnego ostrzeżenia.

– Musimy coś zrobić, zamiast siedzieć tu i bezczynnie czekać na śmierć! – krzyknęła AA.

Wyciągnęła Cheng Xin z sali konferencyjnej na parking na szczycie drzewa. Wskoczyły do latającego samochodu, ale AA wysiadła, jakby sobie coś przypomniała. Po kilku minutach wróciła z przedmiotem podobnym do futerału na skrzypce. Otworzyła go, wyjęła coś ze środka i wniosła do samochodu, pozostawiwszy futerał na zewnątrz.

Cheng Xin spojrzała na przedmiot, który przyniosła, i rozpoznała w nim karabin, chociaż przystosowany do wypuszczania raczej promieni laserowych niż pocisków.

– Po co to bierzesz? – zapytała Cheng Xin.

– W porcie kosmicznym jest pełno ludzi… kto wie, co się może zdarzyć? – AA rzuciła broń na tylne siedzenie i uruchomiła samochód.

Każde miasto posiadało port kosmiczny do obsługi różnych małych pojazdów kosmicznych, tak jak dawne aglomeracje miały lotniska.

Ich latający samochód włączył się do stale wzrastającego powietrznego ruchu. Wszystkie pojazdy kierowały się jak szarańcza w jedną stronę – w stronę portu kosmicznego. Rzucały na ziemię przesuwające się cienie, jakby z miasta wypływała krew.

Z przodu wzniosło się w błękitne niebo około dziesięciu linii – były to smugi pozostawione przez statki kosmiczne. W górze skierowały się na wschód i zniknęły z firmamentu. Po nich stale wzbijały się nowe, a na początku każdej linii znajdowała się ognista kula jaśniejsza od Słońca. Były to płomienie wydobywające się z silników jądrowych.

W samochodowym oknie informacyjnym Cheng Xin zobaczyła transmisję na żywo z okołoziemskiej orbity. Na jasnobrązowym tle

kontynentów pojawiały się niezliczone biegnące w górę białe linie. Były coraz gęstsze, jakby Ziemi wyrastały siwe włosy. Kule ognia na ich końcach wyglądały jak ulatujące w kosmos świetliki. Była to największa masowa ucieczka w dziejach ludzkości.

Ich samochód przyleciał nad port kosmiczny. W dole było zgromadzonych ze sto statków, a z hangarów w oddali kołowały kolejne. Samoloty kosmiczne wyszły z użytku już dawno temu; współczesne promy startowały pionowo. W przeciwieństwie do osobliwie ukształtowanych statków kosmicznych, które Cheng Xin widziała na stacji końcowej windy, te promy miały opływowe kształty i trzy do czterech stateczników. Stały teraz bezładnie na płycie portu jak las ze stali.

AA zadzwoniła wcześniej do hangaru, by wyprowadzono jeden z promów Halo Group. Teraz szybko ściągnęła go z powietrza i posadziła samochód obok niego.

Cheng Xin przyjrzała się stojącym wokół promom. Miały różną wielkość – mniejsze były wysokości zaledwie kilku metrów i wyglądały jak ogromne pociski artyleryjskie. Trudno było sobie wyobrazić, że takie małe pojazdy mogą wyrwać się z obszaru oddziaływania siły ziemskiej grawitacji. Niektóre z większych dorównywały rozmiarami starożytnym liniowcom. Prom Halo Group był średniej wielkości, miał około dziesięciu metrów wysokości i metaliczną odblaskową powłokę podobną do powłok trisolariańskich kropli. Stanął na kołowej wyrzutni, dzięki czemu można go było w każdej chwili odholować do miejsca startu. Miały polecieć nim do *Halo* na orbicie.

Ze stanowiska startowego dobiegło głośne dudnienie, dziwnie podobne do dźwięków wydawanych przez Moskstraumen. Ziemia pod jej nogami zadrżała. Na wyrzutni pojawił się oślepiający błysk i w powietrze wzbił się na ognistej kuli prom, zostawiając za sobą słup dymu. Podpłynął do nich

obłok białej mgły, przynosząc ze sobą zapach spalenizny. Ta mgła nie wydobyła się z silnika promu, ale z gotującej się wody w basenie płynu chłodzącego pod wyrzutnią. Gdy wyrzutnia i statki kosmiczne zniknęły w kłębach pary, ludzie stali się jeszcze bardziej podenerwowani.

AA i Cheng Xin weszły po wąskich schodach na pokład promu. Gdy mgła się rozproszyła, Cheng Xin zobaczyła stojącą niedaleko od nich gromadkę dzieci. Wyglądały na najwyżej dziesięcioletnich uczniów szkoły podstawowej i były w mundurkach. Obok nich stała nauczycielka. Rozglądała się bezradnie, a jej długie włosy rozwiewał wiatr.

– Możemy zaczekać chwilę? – zapytała Cheng Xin.

AA spojrzała na dzieci i zrozumiała, o co jej chodzi.

– W porządku. Idź. I tak musimy poczekać na naszą kolej. Trochę potrwa, zanim wystartujemy.

W zasadzie promy kosmiczne mogły startować z dowolnego płaskiego kawałka ziemi, ale w celu zapobieżenia zniszczeniu gruntu przez wydobywającą się z silników plazmę o bardzo wysokiej temperaturze wylatywały z wyrzutni. Był pod nią zbiornik z płynem chłodzącym i kanałami odprowadzającymi bezpiecznie plazmę we właściwe miejsce.

Nauczycielka zobaczyła podchodzącą Cheng Xin, podbiegła do niej i chwyciła ją za ręce.

– To pani prom, prawda? Proszę ratować te dzieci! – Twarz miała mokrą od mgły i łez. Wpatrywała się w Cheng Xin tak intensywnie, jakby chciała ją przyszpilić spojrzeniem. Dzieci też patrzyły na nią z nadzieją. – Przyjechały tu na obóz kosmiczny i zgodnie z harmonogramem miały polecieć na orbitę, ale po ogłoszeniu alarmu zamiast nich zabrano innych.

– Gdzie jest wasz statek? – zapytała AA, która podeszła do nich podczas rozmowy.

– Odleciał. Proszę, pomóżcie nam.

– Zabierzmy je – powiedziała Cheng Xin do AA.

AA przez kilka sekund patrzyła na nią. „Na Ziemi są miliardy ludzi. Myślisz, że możesz ich wszystkich ocalić?”

Cheng Xin nie odwróciła wzroku.

AA potrząsnęła głową.

– Możemy zabrać tylko troje.

– Przecież w naszym promie może się zmieścić osiemnaście osób!

– *Halo* może przy maksymalnej prędkości pomieścić tylko pięć, bo jest tam tylko pięć kapsuł umożliwiających wejście w stan głębinowy. Z każdego, kto nie wejdzie w ten stan, zrobi się miazga.

Ta odpowiedź zaskoczyła Cheng Xin. Płyn umożliwiający wejście w stan głębinowy był niezbędnym elementem wyposażenia tylko statków gwiezdnych. Zawsze myślała, że *Halo* jest statkiem planetarnym, nienadającym się do wypraw poza Układ Słoneczny.

– Dobrze. To zabierzcie troje! – Nauczycielka puściła ręce Cheng Xin i złapała AA, bojąc się, że straci jedyną szansę.

– Niech je pani sama wybierze – odparła AA.

Nauczycielka odskoczyła od niej i patrzyła na nią jeszcze bardziej przerażonym wzrokiem.

– Jak mam je wybrać? Jak… – Rozejrzała się, nie mając śmiałości spojrzeć dzieciom w oczy. Najwyraźniej cierpiała męki, jakby spojrzenia dzieci ją paliły.

– Dobrze, ja wybiorę – powiedziała AA. Odwróciła się do dzieci i uśmiechnęła. – Posłuchajcie, zadam wam trzy pytania. Kto pierwszy na nie dobrze odpowie, poleci z nami. – Nie zważając na osłupiałe miny nauczycielki i Cheng Xin, podniosła palec. – Pierwsze pytanie: powiedzmy, że mamy zgaszone światło. Po minucie błyska. Pół minuty później znowu błyska. Piętnaście sekund potem błyska trzeci raz. I tak dalej, z przerwami,

z których każda jest o połowę krótsza od poprzedniej. Ile razy błyśnie w ciągu dwóch minut?

– Sto! – krzyknęło jedno z dzieci.

AA pokręciła głową.

– Źle.

– Tysiąc!

– Nie. Pomyślcie dobrze.

Po długiej chwili odezwał się nieśmiały głos. Należał do skromnej, cichej dziewczynki i ledwie go było słychać w zgiełku powodowanym przez dzieci.

– Nieskończoną liczbę razy.

– Podejdź tu – powiedziała AA, wskazując ją. Kazała jej stanąć za sobą. – Drugie pytanie: mamy linę o nierównej grubości. Kiedy ją podpalimy na jednym końcu, spali się w ciągu godziny. Jak można ją spalić w czasie piętnastu minut? Pamiętajcie, że ma nierówną grubość!

Tym razem nikt nie spieszył się z odpowiedzią. Wszyscy głęboko się zamyślili. Po chwili jeden z chłopców podniósł rękę.

– Trzeba ją złożyć na pół i jednocześnie podpalić z obu końców.

AA kiwnęła głową.

– Podejdź tu. – Postawiła go za plecami, obok dziewczynki. – Trzecie pytanie: osiemdziesiąt dwa, pięćdziesiąt, dwadzieścia sześć. Jaka jest następna liczba?

– Dziesięć! – krzyknęła jakaś dziewczynka.

AA uniosła kciuk.

– Dobrze. Chodź.

Potem skinęła na Cheng Xin, wzięła dzieci i ruszyła do promu.

Cheng Xin weszła za nimi na schody. Obejrzała się. Pozostałe dzieci i nauczycielka patrzyły na nią jak na słońce, które już nigdy nie wzejdzie.

Łzy przesłoniły jej wzrok. Wsiadając do promu, nadal czuła na karku przygnębione spojrzenia, które wbijały się jej w serce jak tysiące strzał. Już dwa razy się tak czuła: w ostatnich momentach swej krótkiej roli Dzierżycielki Miecza i w Australii, kiedy Sofona przedstawiła plan zagłady rodzaju ludzkiego. Był to ból gorszy od śmierci.

Kabina promu była przestronna – osiemnaście foteli ustawiono w dwóch rzędach. Ponieważ była pionowa, każdy pasażer musiał się wspiąć na swoje miejsce po drabinie. Cheng Xin doświadczyła tego samego uczucia w kulistym statku, którym udała się na spotkanie z Tianmingiem – zdawał się pustą skorupą bez silnika i przyrządów sterowniczych. Wróciła myślami do rakiet ery powszechnej, o napędzie chemicznym. Każda była wysoka jak drapacz chmur, ale kabina była mała i umieszczona na czubku.

Nie widziała w promie sterów, tylko kilka szybujących okien informacyjnych. Wydawało się, że sztuczna inteligencja pokładowa rozpoznała AA, bo gdy tylko weszła, okna skupiły się wokół niej. Podążały z nią, gdy zapinała pasy bezpieczeństwa dzieci i Cheng Xin.

– Nie patrz tak na mnie – rzekła szeptem do Cheng Xin. – Dałam im szansę. Żeby przetrwać, trzeba rywalizować.

– Ciociu, czy oni umrą? – zapytał chłopiec.

– Każdy umrze. Zależy tylko kiedy. – AA usiadła obok Cheng Xin. Nie zapięła pasa, patrzyła w okna informacyjne. – Cholera, przed nami startuje jeszcze dwadzieścia dziewięć.

W porcie było dziesięć wyrzutni. Po każdym starcie musiały się chłodzić przez dziesięć minut, ponieważ płyn w zbiornikach chłodzących trzeba było uzupełniać świeżą wodą.

Czekanie nie miało wielkiego wpływu na to, czy przeżyją. Lot na Jowisza trwał miesiąc. Gdyby uderzenie z ciemnego lasu nastąpiło przed ich przybyciem na miejsce, to, czy znalazłyby się na ziemi, czy

w kosmosie, nie miałoby znaczenia. Ale teraz prawdziwym problemem było to, że każda chwila zwłoki mogła oznaczać, że w ogóle nie wylecą.

W mieście rozpoczęło się już pandemonium. Kierując się instynktem przetrwania, ponad dziesięć milionów mieszkańców ruszyło do portu kosmicznego. Promy, tak jak samoloty pasażerskie w starożytnych czasach, mogły zabrać w krótkim czasie bardzo małą liczbę ludzi. Posiadanie prywatnego pojazdu kosmicznego, jak niegdyś prywatnego samolotu, było dla większości ludzi marzeniem ściętej głowy. Nawet windą kosmiczną na orbitę blisko Ziemi mógł się dostać w ciągu tygodnia nie więcej niż jeden procent mieszkańców, a na Jowisza mogła się udać tylko jedna dziesiąta tego procenta.

Prom nie miał iluminatorów, ale kilka okien informacyjnych pokazywało, co się dzieje na zewnątrz. Na miejsca parkingowe napływały ciemne masy ludzi. Każdy statek otaczały tłumy, krzycząc i wygrażając pięściami z nadzieją, że się do niego wcisną. Jednocześnie część latających samochodów, które wylądowały poza portem, ponownie wzbiła się w górę. Wszystkie były puste, bo ich właściciele uruchomili je zdalnie, starając się przeszkodzić startującym statkom. Było ich coraz więcej; tworzyły nad wyrzutniami ciemną barierę. Wkrótce nikt nie będzie mógł odlecieć.

Cheng Xin zmniejszyła okno informacyjne i odwróciła się, żeby pocieszyć trójkę siedzących za nią dzieci. AA krzyknęła. Cheng Xin obróciła się i zobaczyła tak duże okno, że zajmowało całą kabinę. Pokazywało ono oślepiającą kulę ognia, która pojawiła się w gąszczu promów.

Ktoś zaczął startować na pełnym ludzi parkingu!

Plazma, która wydzielała się podczas fuzji z silników jądrowych, była dziesiątki razy gorętsza od emisji spalin starożytnych rakiet o napędzie chemicznym. Podczas startu z płaskiej powierzchni momentalnie topiła

skorupę i rozlewała się na wszystkie strony. Żaden człowiek, który się znalazł w promieniu trzydziestu metrów, nie mógł przeżyć. Transmisja w oknie pokazywała wiele czarnych punktów pryskających od ognistej kuli. Jedna z tych plam uderzyła w prom obok i zostawiła czarny ślad – spalone ciało. Kilka statków wokół startującego przewróciło się, pewnie stopiły się ich platformy startowe.

Tłum ucichł. Ludzie patrzyli w górę, jak prom, który prawdopodobnie zabił kilkadziesiąt osób, wzbija się z dudnieniem z parkingu, ciągnąc za sobą białą smugę, i wysoko w powietrzu skręca na wschód. Najwyraźniej nie wierzyli własnym oczom. Kilka sekund później od płyty oderwał się drugi, jeszcze bliżej nich. Dudnienie silników, płomienie i fale silnie rozgrzanego powietrza wywołały w oszołomionym tłumie panikę. Potem wystartował trzeci, czwarty… wzbijały się jeden po drugim. Pomiędzy ognistymi kulami fruwały w powietrzu spalone szczątki ciał, zmieniając parking w krematorium.

AA patrzyła na przerażającą scenę z zagryzioną wargą. Potem odepchnęła okno i zaczęła stukać w inne, mniejsze.

– Co robisz? – zapytała Cheng Xin.

– Startujemy.

– Nie.

– Popatrz.

AA rzuciła jej małe okno, które pokazywało kilka promów koło nich. Tuż nad dyszą każdego umieszczona była w ogonie pętla chłodząca. Miały one za zadanie rozpraszać żar z reaktorów. Cheng Xin zobaczyła, że pętle chłodzące wszystkich otaczających je promów zaczęły wydzielać przyćmione czerwone światło, co wskazywało, że ich reaktory zostały włączone i pojazdy przygotowywały się do startu.

– Lepiej zróbmy to przed nimi – powiedziała AA.

Gdyby część tych promów wzniosła się w powietrze, plazma prawdopodobnie stopiłaby stanowiska pozostałych, które przewróciłyby się na roztopione płyty.

– Nie. Przestań. – Głos Cheng Xin był niewzruszony. Przeżyła już gorsze katastrofy, więc i tej stawi czoło ze spokojem.

– Dlaczego? – zapytała AA równie spokojnie.

– Bo wokół są ludzie.

AA przestała stukać i obróciła się do Cheng Xin.

– Niedługo z ciebie, mnie, tego tłumu i całej Ziemi zostaną drobne szczątki. Możesz mi powiedzieć, którzy ludzie z tej masy są prawi, a którzy podli?

– Nadal trzymamy się pewnych wartości, przynajmniej na razie. Jestem prezesem Halo Group. Ten prom należy do mojej firmy, a ty jesteś jej pracowniczką. Mam prawo podjąć taką decyzję.

AA patrzyła przez parę chwil na Cheng Xin, a potem skinęła głową i zamknęła okno z przyrządami startowymi. Zamknęła też wszystkie pozostałe okna, odcinając kabinę od szalonego, hałaśliwego świata na zewnątrz.

– Dziękuję – powiedziała Cheng Xin.

AA nic na to nie odparła, ale potem podskoczyła, jakby coś sobie przypomniała. Wzięła z jednego z pustych siedzeń karabin laserowy i zeszła po drabinie.

– Nie odpinajcie pasów bezpieczeństwa. Prom może się w każdej chwili przewrócić.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Cheng Xin.

– Skoro my nie możemy odlecieć, oni też nie odlecą. Pieprzyć ich.

AA otworzyła drzwi promu i zaraz je za sobą zamknęła, żeby nikt nie próbował się wedrzeć siłą do środka. Potem zeszła po schodach i zaczęła

strzelać w statecznik najbliższej jednostki. Ze statecznika uniósł się dym, zostawiając w nim małą dziurę wielkości palca. To wystarczyło. System samokontroli w promie wykryje uszkodzenie statecznika i sztuczna inteligencja statku odmówi rozpoczęcia procedury startowej. Był to środek bezpieczeństwa, którego znajdujące się wewnątrz osoby nie mogły obejść. Pierścień chłodzący wokół promu zaczął znikać, co świadczyło o wyłączeniu reaktora. AA okręciła się i przestrzeliła dziury w statecznikach każdego z ośmiu stojących obok jednostek. Ponieważ tłum był ogarnięty paniką i wszędzie unosiły się fale gorąca, dymu i kurzu, nikt nie zauważył, co robiła.

Otworzyły się drzwi jednego z promów i na dół zeszła elegancko ubrana kobieta. Obeszła ogon jednostki i szybko odkryła dziurę. Zaczęła histerycznie płakać, a potem rzuciła się na ziemię. Próbowała uderzyć głową w stanowisko startowe, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Tłum obchodziły teraz tylko drzwi promu, które zostawiła otwarte. Wspinali się po schodach i starali się wcisnąć do statku, który nie mógł już odlecieć.

AA wdrapała się z powrotem do promu i wepchnęła do środka Cheng Xin, która wysunęła głowę na zewnątrz. Potem sama weszła i zamknęła drzwi. Zaczęła wymiotować.

– Pachnie tam… jak mięso smażone na ruszcie – powiedziała, kiedy przeszły jej torsje.

– Zginiemy? – zapytała jedna z dziewczynek, wsuwając z górnego siedzenia głowę do szybu schodów.

– Będziemy świadkami wspaniałego kosmicznego widoku – odparła AA z tajemniczą miną.

– Jakiego widoku?

– Wyjątkowo spektakularnego. Słońce zmieni się w gigantyczny fajerwerk.

– A potem?

– Potem… już nic. Co może być tam, gdzie nie ma nic?

AA weszła na górę i po kolei poklepała dzieci po główkach. Nie chciała ich okłamywać. Skoro odpowiedziały na jej pytania, były na tyle mądre, by zrozumieć sytuację.

AA i Cheng Xin znowu usiadły obok siebie. Cheng Xin położyła dłoń na ręce AA.

– Przepraszam.

AA odpowiedziała jej dobrze znanym uśmiechem. W oczach Cheng Xin AA zawsze była młoda, mniej znużona posępnością świata, której ona sama doświadczyła niejeden raz na własnej skórze. Czuła się od niej bardziej dojrzała, ale też bardziej bezbronna.

– Nie przejmuj się. To nie ma sensu. W końcu rezultat i tak będzie taki sam. Teraz możemy się przynajmniej odprężyć – powiedziała AA i głęboko odetchnęła.

Gdyby *Halo* było naprawdę statkiem klasy gwiezdnej, udałoby się im dotrzeć do Jowisza szybciej, niż się spodziewała. Chociaż odległość do gazowego olbrzyma nie była na tyle duża, by można było osiągnąć maksymalną prędkość, podróż powinna potrwać tylko około dwóch tygodni.

AA wydawała się wyczuwać, co myśli Cheng Xin.

– Nawet gdyby system wczesnego ostrzegania działał w pełni, otrzymalibyśmy ostrzeżenie najwyżej z jednodniowym wyprzedzeniem… Ale kiedy tak się teraz nad tym zastanawiam, to może być fałszywy alarm.

Cheng Xin nie była pewna, czy to dlatego AA uznała wcześniej tak łatwo jej zwierzchność.

Teoria AA szybko się potwierdziła. Przedstawiciel ROP, który był też członkiem KOIW, zadzwonił do Cheng Xin i powiadomił ją, że Flota

Międzynarodowa i ONZ wydały wspólne oświadczenie, że alarm był fałszywy. Nie odkryto żadnych oznak ataku z ciemnego lasu. AA otworzyła kilka okien informacyjnych – większość z nich przekazywała to oświadczenie. Na zewnątrz przestały odlatywać promy, które nie dostały pozwolenia na start. Nadal panował chaos, ale sytuacja się przynajmniej nie pogarszała.

Kiedy na kosmodromie nieco się uspokoiło, Cheng Xin i AA wyszły z promu. To, co zobaczyły, przypominało pobojowisko. Wszędzie leżały zwęglone ciała, niektóre jeszcze się tliły. Wiele promów leżało na ziemi, inne opierały się o siebie. Ogółem z parkingu wyleciało dziewięć jednostek, a na niebie nadal było wyraźnie widać, niczym świeże rany, smugi zostawione przez dysze ich silników. Tłum już nie szalał. Niektórzy siedzieli na jeszcze gorącej ziemi, niektórzy stali oszołomieni, inni włóczyli się bez celu, a wszyscy chyba nie mieli pewności, czy to, co się stało, było rzeczywistością czy koszmarnym snem. Pojawiła się policja, by przywrócić porządek, prowadzono akcję ratunkową.

– Następne ostrzeżenie może być prawdziwe – rzekła AA do Cheng Xin. – Powinnaś polecieć ze mną na drugą stronę Jowisza. Halo Group zbuduje tam miasto kosmiczne w ramach programu Schron.

Zamiast jej odpowiedzieć, Cheng Xin zapytała:

– Co się dzieje z *Halo*?

– Nie mówimy o statku, który tak się pierwotnie nazywał, ale o nowym miniaturowym statku klasy gwiezdnej. Będzie mógł zabrać dwadzieścia osób w podróż międzyplanetarną i pięć w lot międzygwiezdny. Zarząd zgodził się zbudować go dla ciebie – będziesz mogła używać go jako mobilnego biura na orbicie Jowisza.

Różnica między statkiem międzyplanetarnym i międzygwiezdnym była taka jak między jednowiosłowym promem łączącym dwa brzegi rzeki

i oceanicznym kontenerowcem o wyporności dziesiątek tysięcy ton. Oczywiście w wypadku statków kosmicznych nie chodziło tylko o wyporność, bo były też mniejsze jednostki. W porównaniu ze statkami międzyplanetarnymi międzygwiezdne miały nowocześniejszy napęd i systemy recyklingu ekologicznego, a także trzy lub cztery systemy zapasowe. Gdyby Cheng Xin poleciała nową wersją *Halo*, by się schronić za Jowiszem, bez względu na to, co by się stało, zapewniłoby to jej dobre warunki do końca życia.

Cheng Xin potrząsnęła głową.

– To ty powinnaś lecieć. Weź *Halo*. Nie zajmuję się codzienną działalnością firmy i mogę pozostać na Ziemi.

– Po prostu nie chcesz zostać jedną z nielicznych osób, które przeżyją.

– Jestem jednym z miliardów ludzi. Bez względu na to, co się stanie, nie będzie to tak przerażające, jeśli dopadnie jednocześnie całe masy.

– Martwię się o ciebie – powiedziała AA i chwyciła Cheng Xin za ramiona. – Nie o to, że zginiesz z kilkoma miliardami innych, ale że spotka cię coś gorszego niż śmierć.

– Już przez to przeszłam.

– Jeśli nadal chcesz zrealizować marzenie o podróżach kosmicznych z prędkością światła, jeszcze nieraz przez to przejdziesz. Naprawdę sądzisz, że to przetrwasz?

Ten fałszywy alarm doprowadził do największych niepokojów społecznych od Wielkiego Przesiedlenia. Chociaż wkrótce go odwołano i nie wyrządził wielkich szkód, pozostawił trwałą rysę na psychice świata.

Z większości portów kosmicznych na świecie poderwały się promy, wokół których zgromadziły się tłumy, wskutek czego w płomieniach

silników jądrowych zginęło ponad dziesięć tysięcy ludzi. Na stacjach początkowych wind kosmicznych doszło do konfliktów zbrojnych. W odróżnieniu od portów kosmicznych walki na tych stacjach miały charakter międzynarodowy. Niektóre państwa starały się przejąć stacje początkowe wind kosmicznych na wodach tropikalnych i tylko złożone w porę potwierdzenie, że alarm był fałszywy, zapobiegło wojnie światowej. Na orbitach wokół Ziemi i Marsa grupy ludzi walczyły o statki kosmiczne.

Do opinii publicznej przedostały się wkrótce inne bulwersujące wiadomości – że poza degeneratami, którzy gotowi byli zabijać innych, byle ocalić siebie, startując z Ziemi, na orbicie geosynchronicznej i po ciemnej stronie Księżyca dziesiątki innych budowały potajemnie małe statki kosmiczne i jednostki klasy prawie międzygwiezdnej. Statki klasy prawie międzygwiezdnej miały takie same systemy recyklingu ekologicznego jak jednostki klasy międzygwiezdnej, ale wyposażone były tylko w układy napędowe służące do komunikacji międzyplanetarnej. Niektóre z tych luksusowych jachtów były własnością firm, ale inne należały do bardzo zamożnych osób. Wszystkie były małe, a ich układy recyklingowe mogły zapewnić przeżycie zaledwie kilku osobom. Służyły tylko jednemu celowi – długotrwałemu przetrwaniu za olbrzymami gazowymi.

System wczesnego ostrzegania, który był jeszcze w budowie, mógł powiadomić o zagrożeniu najwyżej na dwadzieścia cztery godziny przed uderzeniem. Gdyby naprawdę doszło do ataku, żaden ze statków nie zdążyłby dotrzeć z Ziemi do Jowisza, najbliższej planety zapewniającej ochronę. W istocie Ziemia dyndała nad morzem śmierci. Wszyscy o tym wiedzieli, więc walki, które wybuchły po fałszywym alarmie, spowodowane zostały zbiorowym szaleństwem, w którym instynkt przetrwania brał górę nad racjonalnym myśleniem. Obecnie na Jowiszu

rezydowało około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, z których większość stanowiła personel bazy sił kosmicznych, a część wykonywała prace przygotowawcze do programu Schron. Ich obecność na Jowiszu była usprawiedliwiona i społeczeństwo nie zazdrościło im, że się tam znajdują. Ale kiedy zostaną ukończone te budowane w sekrecie statki gwiezdne, ich bogaci właściciele będą mogli bez końca ukrywać się w cieniu Jowisza.

W sensie prawnym nie było żadnego międzynarodowego ani krajowego zakazu budowy statków gwiezdnych dla organizacji i osób prywatnych, a ukrywanie się za gazowymi olbrzymami nie było tym samym co eskapizm, ale wszystkich kłuła w oczy ta nierówność – nierówność w obliczu śmierci.

Ujmując rzecz historycznie, nierówność objawiała się w takich dziedzinach jak gospodarka czy pozycja społeczna, ale śmierć traktowała wszystkich zasadniczo tak samo. Oczywiście ta równość nie była absolutna, bo na przykład nie wszyscy mieli jednakowy dostęp do opieki zdrowotnej, bogaci lepiej sobie radzili podczas klęsk żywiołowych, różny był stopień przetrwania żołnierzy i ludności cywilnej podczas wojny i tak dalej, ale nigdy wcześniej nie zdarzyła się sytuacja, że niecała jedna dziesięciotysięczna ludności mogła znaleźć bezpieczne schronienie, pozostawiając na Ziemi na pewną śmierć miliardy innych.

Taka jaskrawa nierówność nie byłaby tolerowana nawet w czasach starożytnych, a co dopiero obecnie. Bezpośrednim tego skutkiem był międzynarodowy sceptycyzm wobec planu budowy statków o prędkości światła.

Chociaż statki trwale ukryte za Jowiszem czy Saturnem mogły przetrwać uderzenie z ciemnego lasu, życie na nich byłoby nie do pozazdroszczenia. Bez względu na to, jak wygodne byłoby otoczenie na statku dzięki działaniu systemów ekologicznego recyklingu, ich załogi spędziłyby całe

życie w izolacji w zimnych, pustych rejonach obrzeży Układu Słonecznego. Ale jak wykazały obserwacje drugiej floty trisolariańskiej, jednostki o napędzie krzywiznowym mogły niemal natychmiast osiągnąć prędkość światła, a więc dotrzeć z Ziemi na Jowisza w niespełna godzinę, a nowoczesny system wczesnego ostrzegania dałby im aż nadto czasu na ewakuację. Potężni i bogaci, którzy mieliby takie statki, mogliby żyć na Ziemi w luksusie i uciec w ostatniej chwili, nie troszcząc się o miliardy, które by tam zostały. Społeczeństwo nie mogło się po prostu pogodzić z taką perspektywą. Przerażające sceny, które się rozegrały po fałszywym alarmie, nadal pozostawały żywe w pamięci społecznej, a większość ludzi uważała, że pojawienie się jednostek o prędkości światła doprowadziłoby do chaosu na całym świecie. A zatem plan ich stworzenia spotkał się z bezprecedensowym oporem.

Fałszywy alarm był wynikiem błyskawicznego i potęgującego się przecieku poufnej wiadomości w społeczeństwie hiperinformacyjnym. Jego źródłem stała się anomalia odkryta przez pierwszą jednostkę obserwacyjną systemu wczesnego ostrzegania. Anomalia była prawdziwa, ale nie miała nic wspólnego z fotoidami.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Kosmiczne posterunki: system wczesnego ostrzegania w Układzie Słonecznym

W przeszłości tylko dwukrotnie zaobserwowano na Ziemi fotoidy – podczas zniszczenia 187J3X1 i układu trisolariańskiego – a zatem wiedza o tym zjawisku była ograniczona. Wiadomo było tylko tyle, że fotoida porusza się z prędkością bliską prędkości światła, ale nie dysponowano żadnymi danymi na temat jej wielkości, masy spoczynkowej ani masy względnej przy zbliżaniu się do prędkości światła. Fotoida była z pewnością najbardziej prymitywną bronią zdolną do ataku na gwiazdę, ponieważ mogła ją zniszczyć tylko dzięki ogromnej energii kinetycznej wytworzonej przez swoją dużą masę względną. Gdy jakaś cywilizacja posiadała technologię niezbędną do przyspieszenia obiektu do prędkości bliskiej prędkości światła, „pocisk” o bardzo małej masie miał ogromną moc niszczącą. To była naprawdę „ekonomiczna” broń.

Najbardziej wartościowe dane o fotoidach uzyskano tuż przed unicestwieniem Trisolaris. Naukowcom udało się dokonać ważnego odkrycia: wskutek ogromnej prędkości fotoidy, zderzając się z atomami rozproszonymi w kosmosie i pyłem międzygwiezdnym, emitowały silne

promieniowanie w zakresie od światła widzialnego do promieni gamma. Promieniowanie to miało pewne cechy charakterystyczne. Ponieważ fotoidy były niezwykle małe, ich bezpośrednia obserwacja była niemożliwa, ale można było odkryć owo charakterystyczne promieniowanie.

Skoro fotoidy poruszały się z tak ogromną prędkością, wysłanie wczesnego ostrzeżenia przed ich atakiem wydawało się na pierwszy rzut oka niemożliwe, bo oznaczało to, że leciały niemal z taką prędkością jak promieniowanie, które wytwarzały, i niemal równocześnie z nim uderzały w cel. Innymi słowy, obserwator znajdował się w stożku ich światła.

W rzeczywistości było to trochę bardziej złożone. Żaden obiekt o masie spoczynkowej nie mógł osiągnąć prędkości światła. Chociaż prędkość fotoidy zbliżała się do prędkości światła, była od niej nieco mniejsza. Oznaczało to, że jej promieniowanie poruszało się odrobinę szybciej niż ona. Gdyby musiała pokonać dużą odległość, ta różnica by się zwiększyła. Poza tym trajektoria jej lotu do celu nie była linią absolutnie prostą. Ponieważ nie była pozbawiona masy, nie mogła uniknąć siły przyciągania mijanych ciał niebieskich, więc jej droga była trochę zakrzywiona. Ta krzywizna była nieco większa od zakrzywienia światła w tym samym polu grawitacji. By uderzyła w cel, ten efekt trzeba było wziąć pod uwagę przy obliczaniu jej trajektorii, a to oznaczało, że musiała przebyć dłuższą drogę niż jej promieniowanie.

Z tych dwóch powodów emitowane przez nią promieniowanie dotarłoby do Układu Słonecznego przed nią. Ten szacunkowy dwudziestoczterogodzinny okres od wysłania ostrzeżenia do uderzenia fotoidy oparto na obliczeniach maksymalnej odległości, z jakiej można by było zaobserwować jej promieniowanie. Gdy dotarłoby na Ziemię, ona

sama byłaby jeszcze około stu osiemdziesięciu jednostek astronomicznych dalej.

Ale był to scenariusz optymistyczny, bo gdyby fotoidę wystrzelono ze znajdującego się w pobliżu statku kosmicznego, nie byłoby prawie czasu na wysłanie ostrzeżenia, jak zdarzyło się na Trisolaris.

Zgodnie z planem system wczesnego ostrzegania Układu Słonecznego miał się składać z trzydziestu pięciu jednostek obserwacyjnych. Miały one przeczesywać wszystkie strony kosmosu w poszukiwaniu promieniowania emitowanego przez fotoidy.

8 rok ery nadawania

Wybór losu

Dwa dni przed fałszywym alarmem. Jednostka obserwacyjna nr 1

Jednostka obserwacyjna nr 1 była w istocie Stacją Ringiera–Fitzroya z końca ery kryzysu. Przed ponad siedemdziesięcioma laty jako pierwsza odkryła sondy zbudowane z cząstek połączonych oddziaływaniem silnym – krople. Stacja nadal znajdowała się po zewnętrznej granicy pasa asteroid, ale zmodernizowano całe jej wyposażenie. Weźmy na przykład teleskop pracujący w zakresie światła widzialnego – jego soczewki były większe, a średnica pierwszej z nich została zwiększona z tysiąca dwustu do dwóch tysięcy metrów, tak że mogło się na niej znaleźć małe miasteczko. Te ogromne soczewki wykonano z materiałów czerpanych z pasa asteroid. Po ukończeniu wykorzystywano je do skupiania światła słonecznego na asteroidach, dzięki czemu ze stopionych skał można było uzyskiwać czyste szkło i formować z niego dodatkowe soczewki. W sumie w przestrzeni kosmicznej unosiło się w długiej na dziesięć kilometrów kolumnie sześć dość oddalonych od siebie nawzajem soczewek. Sama stacja obserwacyjna znajdowała się na końcu tej kolumny i mogła pomieścić tylko dwie osoby.

Załoga nadal składała się z naukowca i oficera wojska. Oficer odpowiadał za śledzenie emisji fotoid, natomiast naukowiec prowadził badania astronomiczne i kosmologiczne. Tak więc utrzymywała się

zapoczątkowana trzy wieki wcześniej przez generała Fitzroya i doktora Ringiera tradycja sporów o czas przeznaczany przez każdego z nich na obserwacje.

Po pomyślnie zakończonym rozruchu próbnym i zrobieniu pierwszego zdjęcia – gwiazdy oddalonej o czterdzieści siedem lat świetlnych – astronom Widnall był tak podekscytowany, jakby właśnie doczekał się syna. Laicy nie zdawali sobie sprawy, że poprzednie teleskopy mogły tylko powiększać jasność gwiazd leżących poza Układem Słonecznym, ale nie pokazywały ich kształtów. Bez względu na to, jak potężny był teleskop, gwiazdy zawsze były źródłami punktowymi, jedynie przyrostowo jaśniejszymi od wizerunków w mniejszych teleskopach. Ale teraz w polu widzenia tego arcypotężnego teleskopu po raz pierwszy pojawiła się gwiazda jako tarcza. Chociaż była mała jak widziana z kilkudziesięciu metrów piłeczka pingpongowa i nie można było dostrzec żadnych szczegółów tarczy, był to przełomowy moment w historii starożytnej nauki astronomii w świetle widzialnym.

– Z oczu astronomii usunięto zaćmę! – powiedział dramatycznym tonem Widnall, ocierając własne oczy.

Ale na podporuczniku Wasilience nie zrobiło to wrażenia.

– Moim zdaniem musi pan pamiętać, w jakiej roli tutaj występujemy – jesteśmy wartownikami. W dawnych czasach siedzielibyśmy na drewnianej wieżyczce na froncie, a wokół siebie mielibyśmy piaszczystą pustynię albo śnieżne pole. Stercząc tam na mroźnym wietrze, patrzylibyśmy w stronę pozycji wroga. Jak tylko byśmy zobaczyli, że na horyzoncie pojawiają się czołgi, konie czy ludzie, zadzwonilibyśmy albo wysłalibyśmy sygnały dymne, żeby ostrzec ojczyznę, że zaczęła się inwazja… Musi pan się w to wczuć, wejść w tę przestrzeń mentalną. Niech pan nie myśli, że jest pan w obserwatorium.

Widnall oderwał na chwilę wzrok od terminalu pokazującego obraz z teleskopu i wyjrzał przez iluminator. Zobaczył kilka skał o nieregularnych kształtach, fragmentów asteroid pozostałych po wyrabianiu szkła. Kręciły się powoli w zimnym świetle Słońca i wydawały się podkreślać pustkę kosmosu. Ta scena wywoływała poczucie „przestrzeni mentalnej”, o której mówił podporucznik.

– Jeśli rzeczywiście odkryjemy fotoidę, lepiej będzie w ogóle nie wysyłać ostrzeżenia – powiedział. – To i tak nie ma sensu. Móc nagle zginąć, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co cię uderzyło, to uśmiech losu. Ale pan wolałby torturować przez dwadzieścia cztery godziny kilka miliardów osób. Myślę, że jest to swoista zbrodnia przeciwko ludzkości.

– Zgodnie z tą logiką pan i ja bylibyśmy najbardziej nieszczęśliwymi ludźmi na świecie, bo najdłużej wiedzielibyśmy o tym, jaki los nas czeka.

Stacja obserwacyjna otrzymała z dowództwa floty rozkaz skierowania teleskopu na szczątki układu trisolariańskiego. Tym razem Widnall nie dyskutował z Wasilienką, bo jego też bardzo interesował ten zniszczony świat.

Zawieszone w przestrzeni kosmicznej soczewki zaczęły się obracać, z plazmowych silników kierunkowych na ich brzegach wydobywały się niebieskie płomienie. Dopiero teraz ukazały się znajdujące się dalej elementy teleskopu, a niebieskie płomienie wyznaczały jego obrys. Dziesięciokilometrowy zespół szkieł powoli się przemieszczał. Zatrzymał się, gdy teleskop skierował się na Trisolaris. Potem soczewki przesuwały się jeszcze przez chwilę po osi, by wyregulować ostrość. W końcu większość płomieni zgasła, tylko tu i ówdzie migało kilka świetlików podczas precyzyjnego dostrajania obrazu.

Na nieprzetworzonym widoku z teleskopu układ trisolariański wyglądał bardzo zwyczajnie – ot, mały niczym piórko skrawek bieli na tle kosmosu.

Jednak po obróbce i powiększeniu obrazu stał się wspaniałą mgławicą i wypełnił cały ekran. Od eksplozji gwiazdy minęło siedem lat, więc to, co teraz widzieli, było stanem sprzed lat trzech. Pod wpływem grawitacji i momentu pędu roztrzaskanej gwiazdy mgławica przemieniła się z ostrych promieni w rozmazaną plamę chmur, następnie spiralnie spłaszczoną przez siłę odśrodkową powstałą wskutek jej ruchu wirowego. Nad nią widać było dwie gwiazdy, które ocalały. Jedna z nich miała kształt dysku, druga, bardziej odległa, pozostała świetlnym punktem, który od gwiazd w tle odróżniał tylko ruch.

Te dwie gwiazdy, które przetrwały katastrofę, były urzeczywistnionym marzeniem niezliczonych pokoleń Trisolarian i utworzyły układ podwójny, tyle że ich światłem nie mogły się już nacieszyć żadne żywe istoty, gdyż cały układ nie nadawał się do zamieszkania. Stało się teraz oczywiste, że ktokolwiek wyprowadził to uderzenie z ciemnego lasu, zniszczył zaledwie jedną z trzech gwiazd nie tylko ze względów oszczędnościowych, ale także po to, by osiągnąć bardziej złowrogi cel – dopóki w układzie będą pozostawały jedna lub dwie gwiazdy, będą stale wchłaniać materię z mgławicy, wytwarzając bardzo silne promieniowanie. Układ trisolariański był teraz promieniotwórczym paleniskiem, strefą śmierci dla wszystkich istot i cywilizacji. To właśnie wskutek tego silnego promieniowania żarzyła się sama mgławica i była w teleskopie tak jasna i wyraźna.

– To mi przypomina widok chmur ze szczytu Emei Shan – stwierdził Wasilienko. – To góra w Chinach. Patrzeć z niej na księżyc to prawdziwa uczta dla oczu. Byłem tam w nocy i szczyt, oświetlony przez księżyc, wyglądał, jakby był ze szczerego srebra, i zdawał się unosić na bezkresnym morzu chmur.

Spoglądając na ten srebrny cmentarz oddalony o czterdzieści bilionów kilometrów, Widnall wpadł w filozoficzny nastrój.

– Z naukowego punktu widzenia „zniszczenie” nie jest właściwym terminem. Nic nie zniknęło. Cała materia, która tam była, jest tam nadal, tak samo moment pędu. Zmieniło się tylko rozmieszczenie tej materii, jak talia tasowanych kart. Ale życie jest jak kolor w pokerze – kiedy ponownie potasujesz karty, jest już po nim – powiedział. Przyjrzał się obrazowi dokładniej i dokonał ważnego odkrycia. – A to co? – Pokazał plamkę w pewnej odległości od mgławicy. Zgodnie ze skalą obrazu znajdowała się ona około trzydziestu jednostek astronomicznych od jej środka.

Wasilienko wpatrywał się w plamkę. Nie miał wyćwiczonego oka astronoma, więc początkowo nie zauważył niczego niezwykłego, ale potem dostrzegł na czarnym jak smoła tle niewyraźny okrągły kontur, który wyglądał jak bańka mydlana zawieszona w przestrzeni kosmicznej.

– To jest bardzo duże. Ma średnicę około… dziesięciu jednostek astronomicznych. To pył?

– Absolutnie nie. To w niczym nie przypomina pyłu.

– Nigdy wcześniej pan tego nie widział?

– Nikt nie mógłby tego zobaczyć. Cokolwiek to jest, jest przezroczyste, z bardzo słabo zarysowaną granicą. W przeszłości nie odkryłyby tego nawet największe teleskopy.

Widnall zmniejszył trochę obraz, by lepiej ustalić położenie tego dziwnego obiektu względem gwiazdy podwójnej, starając się jednocześnie obserwować wirowanie mgławicy, która ponownie stała się skrawkiem bieli na tle czarnej otchłani kosmosu.

Około sześciu tysięcy jednostek astronomicznych od układu trisolariańskiego odkrył drugą „bańkę mydlaną”. Była dużo większa od pierwszej, miała średnicę około pięćdziesięciu jednostek astronomicznych, a więc mogłaby swobodnie pomieścić cały tamten układ albo Układ Słoneczny.

– Boże! – krzyknął Wasilienko. – Wie pan, gdzie to jest?

Widnall patrzył przez chwilę na ekran, po czym powiedział niepewnie:

– Tam, gdzie druga flota trisolariańska osiągnęła prędkość światła, prawda?

– Właśnie.

– Jest pan pewien?

– Moim dawnym zadaniem było obserwowanie tej części przestrzeni. Znam ją jak własną kieszeń.

Nasuwał się nieuchronny wniosek, że statki o napędzie krzywiznowym zostawiały smugi, gdy przyspieszały do prędkości światła. Najwyraźniej smugi te nie znikały z czasem, ale się poszerzały i zmieniały charakter przestrzeni kosmicznej wokół siebie.

Pierwsza, mniejsza bańka znajdowała się w układzie trisolariańskim. Było kilka możliwych wyjaśnień jej istnienia. Być może Trisolarianie początkowo nie wiedzieli, że napęd krzywiznowy zostawia takie ślady, i bańka powstała wskutek wypadku podczas prób silników czy lotów próbnych, a może wiedzieli, ale zostawili je przez pomyłkę. Tak czy inaczej na pewno nie zrobili tego celowo. Przed jedenastu laty druga flota trisolariańska leciała przez okrągły rok z użyciem napędu konwencjonalnego i dopiero gdy oddaliła się sześć tysięcy jednostek astronomicznych od ojczystej planety, włączyła silniki krzywiznowe. Zrobiła tak po to, by jej ślady zaczynały się jak najdalej od domu, chociaż wtedy było już na to za późno.

W owym czasie jej zachowanie stanowiło dla ludzi zagadkę. Wtedy najbardziej przekonujące wydawało się wyjaśnienie, że Trisolarianie starali się uniknąć negatywnych skutków, jakie miałoby dla ich planety osiągnięcie przez czterysta piętnaście statków prędkości światła. Teraz było oczywiste, że nie chcieli zostawiać śladów, które ujawniałyby położenie

Trisolaris. Z tego samego powodu wyłączyli napęd krzywiznowy już na sześć tysięcy jednostek astronomicznych od Układu Słonecznego.

Widnall i Wasilienko z przerażeniem popatrzyli na siebie nawzajem. Obaj doszli do tego samego wniosku.

– Musimy natychmiast o tym zameldować – powiedział Widnall.

– Ale nie nadeszła jeszcze ustalona godzina. Złożony teraz meldunek zostanie potraktowany jako alarm.

– Bo to jest alarm! Musimy powiedzieć ludziom, żeby nie ujawniali położenia Ziemi.

– To lekka przesada. Dopiero zaczęliśmy badania nad statkami zdolnymi osiągnąć prędkość światła. Gdyby za pół wieku udało się nam zbudować choć jeden, byłoby to imponujące osiągnięcie.

– A jeśli taka smuga powstanie w wyniku wstępnej próby? Może gdzieś w Układzie Słonecznym już się odbywają takie próby?

Tak więc informację tę przekazano na alarmowym paśmie neutrin dowództwu floty, które przekazało ją ROP. Wyciekła stamtąd i została mylnie uznana za ostrzeżenie o ataku fotoidy, co dwa dni później wywołało panikę na całym świecie.

Statki zostawiały smugi krzywiznowe, gdy przyspieszały do prędkości światła, podobnie jak wystrzelona z ziemi rakieta zostawia ślady płomieni na wyrzutni. Po osiągnięciu tej prędkości statek leciał siłą rozpędu i nie zostawiał już smug. Można było zasadnie przypuszczać, że podobne smugi tworzą się podczas zmniejszania prędkości. Nadal nie było wiadomo, jak długo będą się utrzymywać, ale pojawiła się hipoteza, że stanowią jakieś zniekształcenie przestrzeni kosmicznej i jako takie będą długo widoczne, może nawet wiecznie.

Nasuwał się wniosek, że, jak twierdziła Sofona, obserwowana z daleka Trisolaris wydawała się bardziej niebezpieczna niż Układ Słoneczny

z powodu szerokich na dziesięć jednostek astronomicznych smug krzywiznowych zostawionych w jej układzie i że właśnie to spowodowało, iż atak z ciemnego lasu nastąpił tak szybko. Ślady te i wysłana w kosmos wiadomość o położeniu Trisolaris wzajemnie się potwierdziły i sprawiły, że ocena stopnia zagrożenia z jej strony niebotycznie wzrosła.

W następnych miesiącach jednostka obserwacyjna nr 1 dostrzegła w różnych częściach przestrzeni kosmicznej jeszcze sześć smug krzywiznowych. Wszystkie miały w przybliżeniu kształt kulisty, ale różniły się wielkością, która wynosiła od piętnastu do dwustu jednostek astronomicznych. Jedna z tych baniek znajdowała się zaledwie sześć tysięcy jednostek astronomicznych od Układu Słonecznego i była najwyraźniej śladem zostawionym przez drugą flotę trisolariańską podczas wytracania prędkości. Jednak kierunki i odległości pozostałych smug zdawały się świadczyć, że nie miały one nic wspólnego z tą flotą. Wyglądało na to, że napęd krzywiznowy jest powszechny we Wszechświecie.

Po odkryciu, którego dokonały w czterowymiarowym fragmencie przestrzeni *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja*, było to kolejnym, bardziej bezpośrednim dowodem na to, że w kosmosie istniała duża liczba bardzo wysoko rozwiniętych cywilizacji.

Jedna ze smug znajdowała się zaledwie 1,4 roku świetlnego od Słońca, w pobliżu Obłoku Oorta. Najwidoczniej wlókł się tam w żółwim w skali kosmicznej tempie jakiś statek, a potem przyspieszył do prędkości światła i odleciał. Nikt nie wiedział, kiedy się to stało.

Odkrycie smug krzywiznowych ostatecznie położyło kres rozważaniom nad budową statków zdolnych do rozwijania prędkości światła, które już wcześniej traktowano z rosnącym sceptycyzmem. Flota Międzynarodowa i ONZ szybko wydały akty prawne zabraniające dalszych prac nad tym

projektem, a za ich przykładem poszły państwa narodowe. Było to najsurowsze ograniczenie prawne rozwoju technologii od czasu traktatów o nierozprzestrzenianiu broni jądrowych zawartych przed trzystu laty.

Ludzkości pozostały do wyboru tylko program Schron i plan Czarna Domena.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Strach przed nieskończoną nocą

Pozornie badania nad stworzeniem technologii umożliwiającej loty w przestrzeni kosmicznej z prędkością światła zamarły z oczywistych powodów: żeby uniknąć przedwczesnego ujawnienia położenia Ziemi, do czego mogły doprowadzić smugi zostawiane przez statki o napędzie krzywiznowym, oraz żeby zapobiec wzrostowi zagrożenia ze strony Układu Słonecznego w oczach obserwatorów z jakiegoś innego miejsca w kosmosie, bo w obu przypadkach mogło się to skończyć atakiem przypuszczonym z ciemnego lasu. Ale były też głębsze przyczyny.

Od ery powszechnej do końca ery kryzysu ludzkość spoglądała na gwiazdy z nadzieją, ale już po kilku pierwszych krokach, które zrobiła na drodze ku nim, poniosła bolesną porażkę. Tragiczna bitwa w dniu Sądu Ostatecznego ukazała, jak krucha jest ludzkość, a bratobójcze bitwy ciemności złamały ludzkiego ducha. Późniejsze wydarzenia, takie jak sąd nad załogą *Epoki Brązu* i uprowadzenie *Grawitacji* przez *Błękitną Przestrzeń*, które doprowadziły do wysłania we Wszechświat wiadomości o położeniu Trisolaris, jeszcze bardziej pogłębiły te rany i wzniosły ból na wyżyny filozofii.

W istocie większość społeczeństwa nie bardzo się interesowała poszukiwaniem technologii budowy statków kosmicznych zdolnych do

latania z prędkością światła. Przeciętni ludzie uważali, że nawet gdyby zdołano skonstruować takie statki za ich życia, i tak nie mieliby szansy z nich skorzystać.

Dużo bardziej obchodził ich program Schron, który wydawał się najbardziej praktycznym sposobem na przetrwanie. Oczywiście zależało im też na realizacji planu Czarna Domena, ponieważ trzysta lat życia w ustawicznym strachu wzbudziło w nich silne pragnienie spokojnej egzystencji, a to właśnie obiecywał ten plan. Chociaż perspektywa odcięcia od reszty Wszechświata nie była kusząca, to przecież sam Układ Słoneczny był wystarczająco duży, by ostatecznie można było się z tym pogodzić. To, że bardziej interesował ich program Schron, wynikało z prostego powodu: otóż nawet laik zdawał sobie sprawę, że spowolnienie prędkości światła jest ogromnym wyzwaniem technicznym, i panowała ogólna zgoda co do tego, że jest mało prawdopodobne, by człowiek mógł dokończyć projekt inżynieryjny Boga.

Z drugiej strony, zarówno zażarci przeciwnicy, jak i zagorzali zwolennicy statków, które mogłyby osiągać prędkość światła, należeli do społecznych elit.

Frakcja popierająca prowadzenie badań nad lotami kosmicznymi z prędkością światła była przekonana, że zapewnienie bezpieczeństwa rodzajowi ludzkiemu wymaga ekspansji na Drogę Mleczną i kolonizowania innych planet. W nieczułym kosmosie szansę na przetrwanie miały tylko cywilizacje otwarte na zewnątrz, a izolacjonizm prowadził ostatecznie do zagłady. Osoby o takich poglądach na ogół nie sprzeciwiały się programowi Schron, ale gardziły planem Czarna Domena, widząc w nim próbę wykopania sobie przez ludzkość grobu. Nawet jeśli przyznawali, że czarna domena zagwarantowałaby rodzajowi ludzkiemu długie przetrwanie, postrzegali takie życie jako śmierć cywilizacji.

Ci, którzy przeciwstawiali się prowadzeniu badań nad technologią budowy statków latających z prędkością światła, robili to z powodów politycznych. Uważali, że ludzka cywilizacja przeszła wiele ciężkich prób, zanim wytworzyła prawie idealne społeczeństwo demokratyczne, a gdyby ludzie ruszyli w przestrzeń kosmiczną, nastąpiłby jego nieuchronny regres. Kosmos był jak krzywe lustro, które maksymalnie powiększało ciemną stronę ludzkości. Ich hasłem stała się opinia jednego z oskarżonych członków załogi *Epoki Brązu*, Sebastiana Schneidera: „Kiedy ludzie zagubią się w kosmosie, stworzenie totalitarnego ustroju zajmie im tylko pięć minut”.

Rozsianie niezliczonych ziaren totalitaryzmu w Drodze Mlecznej było dla nich perspektywą nie do przyjęcia.

Dziecko, jakim była ludzka cywilizacja, otworzyło drzwi swego domu i wyjrzało na zewnątrz. Głęboka ciemność nieskończonej nocy tak je przeraziła, że zadrżało i z powrotem zatrzasnęło drzwi.

8 rok ery nadawania

Punkt libracyjny między Słońcem a Ziemią

Cheng Xin wróciła do punktu w przestrzeni kosmicznej, gdzie równoważyły się siły grawitacji Słońca i Ziemi. Od spotkania z Yun Tianmingiem minął rok. Teraz była bardziej odprężona niż wtedy, a udała się w tę podróż na własne życzenie, by jako ochotniczka wziąć udział w symulacji programu Schron.

Próbę tę przeprowadzały wspólnie Flota Międzynarodowa i ONZ. Jej celem było sprawdzenie, czy olbrzymie planety mogą być skutecznymi barierami ochronnymi w wypadku wybuchu Słońca.

Rolę eksplodującego Słońca miała odegrać bomba wodorowa. Siły bomb jądrowych nie mierzono już w równoważnikach trotylowych, ale ładunek tej wynosiłby w przybliżeniu trzysta megaton. By bardziej realistycznie oddać warunki fizyczne wybuchu Słońca, bombę zamknięto w grubym płaszczu imitującym materię słoneczną, która zostałaby wyrzucona w wyniku eksplozji. Modele ośmiu planet zrobiono z fragmentów asteroid. Cztery z nich, typu ziemskiego, miały po dziesięć metrów średnicy; te, które wzorowano na olbrzymach gazowych, były dużo większe, miały średnicę stu metrów. Wszystkie umieszczono wokół bomby w odległościach odpowiadających względnym odległościom ich pierwowzorów, więc cały ten układ był miniaturą Układu Słonecznego.

„Merkury”, który znajdował się najbliżej „Słońca”, był oddalony o mniej więcej cztery kilometry, a najdalej położony „Neptun” około trzystu kilometrów od bomby. Próbę przeprowadzano w punkcie libracyjnym, by zmniejszyć do minimum wpływ grawitacji Słońca i planet, dzięki czemu układ ten przez pewien czas byłby stabilny.

Z naukowego punktu widzenia wcale nie było to konieczne. Za pomocą komputerowego modelowania opartego na istniejących danych uzyskano by wiarygodne wyniki. Zresztą nawet gdyby trzeba było przeprowadzić próby fizyczne, można byłoby to zrobić w laboratorium. Chociaż ich skala musiałaby być mniejsza, ich staranne zaplanowanie i wykonanie dawałoby gwarancję, że będą bardzo precyzyjne. Jako eksperyment naukowy ta symulacja w przestrzeni kosmicznej była nieudolna, wręcz idiotyczna.

Ale eksperymentatorzy, którzy ją zaprojektowali i stworzyli, doskonale wiedzieli, że nie robią tego dla potrzeb nauki. Było to w rzeczywistości kosztowne działanie propagandowe w celu umocnienia wiary społeczności międzynarodowej w program Schron. Próba musiała być przeprowadzona w warunkach rzeczywistych i wizualnie efektowna, by jej przebieg można było transmitować na cały świat.

Po całkowitym zaprzestaniu dalszych badań nad lotami z prędkością światła warunki na Ziemi przypominały te z początku ery kryzysu. Ogólnoświatowe przygotowania do odparcia inwazji Trisolarian koncentrowały się na dwóch dziedzinach: głównym planie budowy powszechnej obrony Układu Słonecznego i na programie Wpatrujących się w Ścianę. Teraz głównym planem przetrwania ludzkości był program Schron, a plan Czarna Domena, podobnie jak wcześniej program Wpatrujących się w Ścianę, ryzykowną grą z wieloma niewiadomymi. Prace nad oboma projektami prowadzono równolegle, ale ponieważ badania czarnych dziur miały na razie czysto teoretyczny charakter, przeznaczono

na nie ograniczone środki. Natomiast program Schron poważnie obciążał finansowo całe społeczeństwo, więc dokładano wszelkich starań, by zapewnić mu jak najszersze poparcie.

Żeby sprawdzić działanie ochronne „olbrzymów gazowych”, wystarczyłoby umieścić za fragmentami asteroid sprzęt monitorujący przebieg eksperymentu, może nawet zwierzęta, ale w celu wywołania sensacji jego organizatorzy zdecydowali, że muszą w tym uczestniczyć ludzie, więc zaczęto poszukiwać na całym świecie ochotników.

To 艾 AA namówiła Cheng Xin, by zgłosiła chęć wzięcia udziału w eksperymencie. AA uważała, że była to świetna okazja do rozreklamowania za darmo Halo Group i utrwalenia jej publicznego wizerunku przed podjęciem starań o uzyskanie kontraktu na prace w ramach programu Schron. Obie wiedziały, że tę próbę przygotowano starannie. Mogła wyglądać niepokojąco, ale jej uczestnikom w zasadzie nic nie groziło.

Statek kosmiczny Cheng Xin zatrzymał się w cieniu fragmentu imitującego Jowisza. Ta nieregularna asteroida miała kształt ziemniaka, długość około stu dziesięciu i przeciętną szerokość siedemdziesięciu metrów. Przez dwa tygodnie przepychano ją w to miejsce z pasa asteroid. Podczas tej podróży jakiś inżynier o zamiłowaniach artystycznych, który miał za dużo wolnego czasu, pomalował ją w kolorowe pasy podobne do tych, jakie znajdowały się na prawdziwym Jowiszu, włącznie z Wielką Czerwoną Plamą. Mimo to barwna asteroida nie wyglądała jak Jowisz, ale jak jakiś kosmiczny potwór z jednym, cyklopim, czerwonym okiem.

Podobnie jak podczas poprzedniej podróży do punktu libracyjnego, statek Cheng Xin leciał pod Słońce, ale gdy wszedł w cień asteroidy, wszystko momentalnie pociemniało, ponieważ w kosmosie nie było powietrza, w którym rozpraszałoby się światło. Słońce po drugiej stronie

asteroidy mogłoby równie dobrze nie istnieć. Cheng Xin czuła się tak, jakby stała o północy u stóp urwiska.

Nawet bez zapory, jaką stanowiła asteroida, nie mogłaby widzieć odległej o pięćdziesiąt kilometrów bomby wodorowej imitującej Słońce. Ale po przeciwnej stronie widziała imitację Saturna. Znajdowała się ona około stu kilometrów od „Słońca” i pięćdziesiąt kilometrów od „Jowisza”. Była mniej więcej takiej samej wielkości jak ten fragment asteroidy i oświetlona przez prawdziwe Słońce rysowała się tak wyraźnie na tle przestrzeni, że Cheng Xin mogła dojrzeć jej kształt. Widziała też „Urana” dwieście kilometrów dalej, chociaż był tylko świecącą plamką, trudną do odróżnienia od gwiazd. Reszta „planet” była niewidoczna.

Oprócz łodzi Cheng Xin za „Jowiszem” stanęło dziewiętnaście innych statków kosmicznych. Razem były symulacją dwudziestu planowanych jowiszowych miast. Ustawiły się w trzech rzędach; jednostka Cheng Xin znajdowała się w pierwszym rzędzie, dziesięć metrów za asteroidą. Na statkach przebywała ponad setka ochotników. Pierwotnie AA zamierzała towarzyszyć Cheng Xin, ale zatrzymały ją sprawy firmy. A zatem łódź Cheng Xin była może jedyną, w której znajdował się tylko jeden pasażer.

Widzieli odległą o półtora miliona kilometrów jasnoniebieską Ziemię, na której trzy miliardy ludzi oglądały transmisję próby na żywo.

Licznik pokazywał, że do wybuchu pozostało około dziesięciu minut. Na kanałach komunikacyjnych zapanowała cisza. Nagle odezwał się męski głos:

– Cześć. Jestem obok ciebie.

Cheng Xin rozpoznała ten głos i zadrżała. Jej łódź była ostatnią z pięciu w rzędzie. Spojrzawszy w prawo, Cheng Xin zobaczyła kulistą jednostkę, bardzo podobną do tej, która przywiozła ją tu przed rokiem, unoszącą się tuż obok niej. Prawie połowa kadłuba była przezroczysta i widać przez nią

było pięcioro pasażerów. Na skraju siedział Thomas Wade i machał do niej. Cheng Xin od razu go poznała, ponieważ w odróżnieniu od pozostałej czwórki nie miał na sobie lekkiego skafandra kosmicznego, ale czarną skórzaną kurtkę, jakby okazywał w ten sposób przestrzeni kosmicznej pogardę. Jeden rękaw był pusty, co świadczyło o tym, że nadal nie zrobił sobie protezy.

– Połączmy statki, żebym mógł przejść do ciebie – powiedział.

Nie czekając na jej zgodę, zaczął manewr przybijania. Łódź, w której siedział, uruchomiła silniki sterujące i powoli zbliżyła się do łodzi Cheng Xin. Ona też, choć niechętnie, uruchomiła swoje. Po lekkim wstrząsie oba statki się połączyły i bezszelestnie otworzyły się drzwi ich kabin. Gdy wyrównywało się ciśnienie w obu jednostkach, uszy Cheng Xin na moment się zatkały.

Do jej łodzi wsunął się Wade. Nie mógł mieć dużego doświadczenia w przebywaniu w kosmosie, ale podobnie jak Cheng Xin, poruszał się tak, jakby się w niej urodził. Mimo że miał tylko jedną rękę, jego ruchy były stanowcze i zgrabne, niczym w stanie grawitacji. W kabinie panował półmrok. Odbijające się od Ziemi światło słoneczne odbijało się ponownie od asteroidy i wpadało do łodzi. Cheng Xin przyjrzała się w tym przyćmionym świetle Wade’owi i stwierdziła, że przez osiem lat niewiele się zmienił. Wyglądał prawie tak samo jak w Australii.

– Co tu robisz? – zapytała, starając się, by jej głos brzmiał chłodno. Jednak zawsze kiedy stała przed tym człowiekiem, trudno jej było się opanować. Po tym, co przeszła w ostatnich latach, starły się wszystkie zadry w jej sercu, ale Wade nadal tkwił tam jak samotny cierń.

– Miesiąc temu skończyłem odsiadkę. – Wade wyjął z kieszeni połówkę cygara, mimo że nie mógł go tam zapalić. – Skrócono mi karę. Morderca

wychodzi na wolność po jedenastu latach… Wiem, że to niesprawiedliwe… dla ciebie.

– Wszyscy musimy przestrzegać prawa. Nie ma w tym żadnej niesprawiedliwości.

– Przestrzegać prawa w całej rozciągłości? Włącznie z zakazem badań nad napędem umożliwiającym osiągnięcie prędkości światła?

Jak zawsze Wade przeszedł od razu, bez straty czasu, do sedna. Cheng Xin nie odpowiedziała mu.

– Dlaczego chcesz stworzyć statki z takim napędem? – zapytał. Odwrócił się i patrzył na nią bezczelnie.

– Ponieważ to jedyny sposób, żeby uczynić ludzkość wielką – odparła Cheng Xin. Spojrzała mu prosto w oczy.

Wade kiwnął głową i wyjął cygaro z ust.

– Znakomicie. Jesteś wielka.

Cheng Xin nadal patrzyła na niego, ale tym razem pytającym wzrokiem.

– Wiesz, co jest słuszne, a przy tym masz dość odwagi i poczucia obowiązku, by zrobić, co trzeba. Dlatego jesteś wyjątkową osobą.

– Ale?

– Ale brak ci albo umiejętności, albo siły woli, by wykonać to zadanie. Mamy wspólny cel. Ja też chcę, żeby zbudowano takie statki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Daj mi to.

– Co mam ci dać?

– Wszystko, co posiadasz. Swoją firmę, majątek, pozycję, a także, jeśli to możliwe, reputację i chwałę. Wszystko to wykorzystam dla zbudowania statków rozwijających prędkość światła, dla zrealizowania twoich celów i dla wielkości ludzkiego ducha.

Znowu włączyły się silniki sterujące łodzi. Chociaż asteroida wytwarzała niewielką tylko grawitację, była ona wystarczająco silna, by łódź zaczęła powoli opadać w jej stronę. Silniki odepchnęły łódź od skały na wyznaczoną pozycję. Plazma wydobywająca się z dyszy oświetliła fragment asteroidy i w tym blasku namalowana na nim czerwona plama zalśniła jak nagle otwarte oko. Czy to pod wpływem tego oka, czy też słów Wade'a w sercu Cheng Xin ścięła się krew. Wade spojrzał ostro i zimno, z lekką drwiną, na ogromne oko.

Cheng Xin nic nie powiedziała, bo nic nie przychodziło jej do głowy.

– Nie popełnij po raz drugi tego samego błędu – dodał Wade.

Każde jego słowo uderzało ją jak ciężki młot.

Nadeszła pora i bomba wodorowa wybuchła. Z powodu braku atmosfery prawie cała energia została wyzwolona w postaci promieniowania. Na przekazywanym na żywo z odległości czterystu kilometrów obrazie obok Słońca pojawiła się kula ognia. Jasnością i wielkością przewyższyła wkrótce samo Słońce, więc filtry kamery szybko przyciemniły obraz. Gdyby ktoś spojrzał z tej odległości prosto na tę kulę, straciłby na zawsze wzrok. Gdy rozbłysk wybuchu osiągnął maksymalną jasność, w oku kamery była czysta biel. Wydawało się, że płomień lada chwila pochłonie cały Wszechświat.

Schowani w cieniu ogromnej skały Cheng Xin i Wade nie byli świadkami tego widoku. Do kabiny nie docierała transmisja na żywo, ale zobaczyli, że nagle wzrosła jasność „Saturna" za nimi. Potem przeleciała obok nich roztopiona lawa ze strony „Jowisza" skierowanej ku „Słońcu". Lawa żarzyła się czerwono, ściekając z brzegu asteroidy, ale kiedy odleciała na pewną odległość, odbite światło wybuchu termojądrowego rozpaliło jej krople tak, że wyglądały jak ognie sztuczne. Widok z łodzi przywodził na myśl srebrzysty wodospad na Ziemi. Cztery mniejsze fragmenty asteroid

odpowiadające planetom typu ziemskiego zostały spalone, a cztery większe, imitujące olbrzymy gazowe, wyglądały jak gałki lodów podgrzewane z jednej strony lampą lutowniczą. Bok, którym każda z nich była zwrócona w stronę wybuchu, stopił się i przemienił w gładką półkulę, a każda z tych „planet” ciągnęła za sobą srebrny ogon lawy. Ponad dziesięć sekund po tym, jak promieniowanie dotarło na „Jowisza”, uderzyła w niego imitacja materii słonecznej, składająca się z okruchów rozerwanego płaszcza bomby. „Planeta” zatrzęsła się i powoli odpłynęła od „Słońca”. Włączyły się silniki sterujące łodzi i utrzymywały ją w odpowiedniej odległości od fragmentu asteroidy.

Kula ognia świeciła przez trzydzieści sekund, po czym zgasła. Przestrzeń kosmiczna wydawała się salą, w której nagle wyłączono światło. Prawdziwe Słońce, w odległości około jednej jednostki astronomicznej, wyglądało, jakby było przyćmione. Gdy zniknęła ognista kula, światło emitowane przez rozżarzoną do czerwoności połowę fragmentu asteroidy stało się widzialne. Początkowo było bardzo jasne, jakby skała płonęła, ale ziąb kosmosu szybko tak ją schłodził, że tylko lekko się jarzyło. Zestalona lawa na brzegu fragmentu asteroidy utworzyła krąg długich stalaktytów.

Pięćdziesiąt statków kosmicznych za czterema olbrzymami gazowymi nie doznało najmniejszych uszkodzeń.

Przekaz na żywo dotarł na Ziemię pięć sekund później i świat zatrząsł się od wiwatów. Wszędzie wybuchła niczym bomba termojądrowa nadzieja na przyszłość. Cel symulacji programu Schron został osiągnięty.

– Nie popełnij po raz drugi tego samego błędu – powtórzył Wade, jakby to wszystko, co się przed chwilą stało, było zaledwie hałasem, który przerwał ich rozmowę.

Cheng Xin spojrzała na łódź, którą przyleciał. Czterech mężczyzn w skafandrach kosmicznych cały czas patrzyło w ich stronę, nie zważając

na wspaniały widok, który przed chwilą się przed nimi pojawił. Cheng Xin wiedziała, że do udziału w próbie zgłosiły się dziesiątki tysięcy ochotników i że wybrano tylko słynne lub ważne osoby. Chociaż Wade dopiero co wyszedł z więzienia, miał już potężnych popleczników – w każdym razie na pewno tych czterech – i łódź prawdopodobnie należała do niego. Miał ich wielu już jedenaście lat temu, kiedy ubiegał się o stanowisko Dzierżyciela Miecza, a jeszcze więcej zwolenników. Krążyły plotki, że założył tajną organizację, która być może przetrwała. Był jak paliwo jądrowe. Nawet gdy było zamknięte w ołowianym pojemniku, czuło się jego groźną moc.

– Pozwól mi to przemyśleć – powiedziała Cheng Xin.

– Oczywiście, że musisz to przemyśleć.

Wade skinął głową, po czym bezszelestnie wrócił do łodzi. Drzwi kabiny się zamknęły i statki się rozłączyły.

Schłodzone kawałki lawy sunęły leniwie na gwiaździstym tle w kierunku Ziemi niczym chmura pyłu. Cheng Xin poczuła, że w jej sercu znowu zaczyna krążyć krew. Odniosła wrażenie, że sama jest pyłkiem dryfującym w kosmosie.

W drodze powrotnej, kiedy łódź znajdowała się trzysta tysięcy kilometrów od Ziemi, więc nie było praktycznie żadnych opóźnień w łączności, Cheng Xin zadzwoniła do AA i opowiedziała jej o spotkaniu z Wade’em.

– Zrób, jak powiedział – odparła bez wahania AA. – Daj mu wszystko, o co prosił.

– Ty… – Cheng Xin gapiła się ze zdumieniem na AA w oknie informacyjnym. Wyobrażała sobie, że to ona będzie największą przeszkodą.

– On ma rację. Ty się do tego nie nadajesz. To zadanie by cię wykończyło. Ale on może to zrobić. Ten sukinsyn, diabeł, morderca, karierowicz, polityczny chuligan, technofil i szaleniec może to zrobić. Ma siłę woli i potrzebne do tego umiejętności, więc pozwól mu na to! To piekło, więc usuń się na bok, niech on w nie wskoczy.

– A co będzie z tobą?

AA uśmiechnęła się.

– Oczywiście za nic w świecie nie pracowałabym pod jego kierownictwem. Odkąd zakazano prac nad budową statków rozwijających prędkość światła, też zaczęłam się bać. Wezmę, co mi się należy, i będę robić to, co lubię. Mam nadzieję, że ty też.

Dwa dni później Cheng Xin spotkała się z Wade’em w przezroczystej sali konferencyjnej na najwyższym piętrze głównej siedziby Halo Group.

– Mogę dać ci wszystko, czego chcesz – oznajmiła.

– Wobec tego poddaj się hibernacji – powiedział Wade. – Bo twoja obecność może zaszkodzić naszemu zadaniu.

Cheng Xin kiwnęła głową.

– Właśnie taki mam plan.

– Obudzimy cię w dniu, kiedy osiągniemy sukces, który będzie też twoim sukcesem. Jeśli tego dnia statki kosmiczne rozwijające prędkość światła będą nadal niezgodne z prawem, poniesiemy pełną odpowiedzialność. Jeśli natomiast świat powita je z radością, cały zaszczyt przypadnie tobie… Stanie się to co najmniej za pół wieku, może nawet później. Będziemy starzy, ale ty wciąż będziesz młoda.

– Mam jeden warunek.

– Mów.

– Jeśli okaże się, że ten projekt może być potencjalnie szkodliwy dla rodzaju ludzkiego, musisz mnie obudzić. Ostateczna decyzja należy do mnie i mam prawo odebrać całą władzę, którą ci przekazuję.

– Nie mogę przyjąć tego warunku.

– Wobec tego nie mamy o czym mówić. Nic ci nie dam.

– Cheng Xin, musisz wiedzieć, jaką drogę obierzemy. Czasami trzeba…

– Nie ma mowy. Każde z nas pójdzie swoją drogą.

Wade gapił się na nią. W jego oczach kłębiły się uczucia, które rzadko było u niego widać: niepewność, nawet bezradność. Pojawienie się takich emocji u niego było równie niespodziewane jak powstanie wody w ogniu.

– Pozwól mi to przemyśleć – powiedział.

Odwrócił się, podszedł do przezroczystej ściany i wpatrzył się w metropolitalny las budynków. Tamtego wieczoru przed trzystu laty na placu przed siedzibą ONZ Cheng Xin również widziała tę samą czarną sylwetkę na tle świateł Nowego Jorku.

Po dwóch minutach Wade się odwrócił.

Nadal stojąc przy przezroczystej ścianie, spojrzał na Cheng Xin na drugim końcu sali.

– Dobrze. Zgadzam się.

Cheng Xin pamiętała, że przed trzystu laty, odwróciwszy się, powiedział: „Wyślemy tylko mózg”. Te słowa zmieniły bieg historii.

– Raczej nie będę w stanie egzekwować naszej umowy. Mogę tylko zaufać twojemu przyrzeczeniu.

Na twarzy Wade’a pojawił się ten uśmiech przypominający szczelinę w lodzie.

– Doskonale wiesz, że jeśli nie dotrzymam przyrzeczenia, będzie to w istocie błogosławieństwo dla ciebie. Ale, niestety, dotrzymam go.

Wrócił i wygładził skórzaną kurtkę, przez co jeszcze bardziej się pofałdowała. Stanął przed Cheng Xin i uroczyście powiedział:

– Przyrzekam, że jeśli podczas badań nad lotami kosmicznymi z prędkością światła odkryjemy coś, co może zaszkodzić rodzajowi ludzkiemu, bez względu na formę tego zagrożenia, obudzimy cię. Do ciebie będzie należało ostatnie słowo i będziesz mogła odebrać całą władzę, którą mi przekażesz.

Wysłuchawszy relacji Cheng Xin o przebiegu spotkania z Wade'em, AA powiedziała:

– Wobec tego ja też muszę się poddać hibernacji. Musimy być przygotowane na ponowne przejęcie Halo Group w każdej chwili.

– Wierzysz, że on dotrzyma przyrzeczenia? – zapytała Cheng Xin.

AA spojrzała wprost przed siebie, jakby patrzyła na ducha Wade'a.

– Tak. Myślę, że ten diabeł zrobi to, co mówi. Ale, jak powiedział, to niekoniecznie musi się okazać dobre dla ciebie. Mogłaś się uratować, Cheng Xin, ale w końcu nie zrobiłaś tego.

Dziesięć dni później Thomas Wade został prezesem Halo Group i przejął kontrolę nad jej wszystkimi działaniami.

Cheng Xin i AA poddały się hibernacji. Świadomość każdej z nich stopniowo blakła w zimnie. Było to takie uczucie, jakby się długo dryfowało z prądem rzeki. Wyczerpane wdrapały się na brzeg i przyglądały się, jak rzeka nadal przepływa przed ich oczami, jak dobrze im znana woda odpływa w dal.

Zatrzymały się na krótko poza rzeką czasu, a historia ludzkości podążała dalej.

Część IV

11 rok ery schronu

Świat Schronu

> Numer 37813, twoja hibernacja dobiegła końca. Spałaś przez 62 lata, 8 miesięcy, 21 dni i 13 godzin. Z przydziału czasu na hibernację pozostało ci do wykorzystania 238 lat, 3 miesiące i 9 dni. Znajdujesz się w Azjatyckim Centrum Hibernacji nr 1. Jest 14.17, 9 maja 11 roku ery schronu.

Małe okienko informacyjne unosiło się przed dopiero co przebudzoną Cheng Xin najwyżej przez minutę, po czym zniknęło. Patrzyła w gładki metalowy sufit. Z przyzwyczajenia wybrała na nim konkretne miejsce. W epoce, w której ostatnio poddała się hibernacji, sufit rozpoznawał jej spojrzenie i włączał okno informacyjne. Ale tym razem nie zareagował. Chociaż nie miała jeszcze siły, by obrócić głowę, widziała część pokoju. Wszystkie ściany zrobione były z metalu i nie było na nich żadnych okien informacyjnych. W powietrzu też nic nie było, żadnych obrazów holograficznych. Metal, z którego wykonano ściany, wyglądał znajomo – stal nierdzewna albo stop aluminium. Nie było żadnych ozdób.

W jej polu widzenia pojawiła się pielęgniarka. Była bardzo młoda i nawet nie zerknęła na Cheng Xin. Krzątała się koło jej łóżka, prawdopodobnie odłączając od niej sprzęt medyczny. Cheng Xin nie odzyskała jeszcze czucia, więc nie wiedziała, co robi ta dziewczyna, ale coś w niej wydawało się znajome – jej uniform. W ostatniej epoce, w której przebudzono Cheng Xin, ludzie nosili samoczyszczące się ubrania, które zawsze wyglądały jak spod igły, natomiast biały strój tej pielęgniarki nosił

ślady zużycia. Mimo że też był czysty, widać było, że jest stary, upływ czasu pozostawił na nim ślady.

Sufit zaczął się przesuwać. Łóżko, na którym leżała, wytaczano z pokoju. Cheng Xin ze zdumieniem zobaczyła, że robi to pielęgniarka. Łóżko nie było samojezdne – ktoś musiał je pchać.

Również korytarz miał puste metalowe ściany. Poza kilkoma lampami sufitowymi nie było tam żadnych ozdób. Lampy wyglądały zupełnie zwyczajnie. Cheng Xin zauważyła, że oprawka wokół jednej z nich się poluzowała i lampa zwisała. Pomiędzy nią i sufitem Cheng Xin ujrzała… kable.

Starała się przypomnieć sobie okno informacyjne, które zobaczyła zaraz po przebudzeniu, ale nie była już pewna, czy rzeczywiście się pokazało. Teraz wydawało się, że miała halucynacje.

Na korytarzu mijało je wielu przechodniów. Skoncentrowała się na ich ubraniach. Kilka osób miało na sobie kitle lekarskie lub fartuchy pielęgniarskie, reszta była w prostych ubraniach, które przypominały kombinezony robocze. Cheng Xin odniosła wrażenie, że wielu spośród tych ludzi pochodzi z ery powszechnej, ale szybko uświadomiła sobie, że się myli. Era powszechna minęła dawno temu, a po niej nastąpiły cztery kolejne. Nie mogło wokół się znaleźć aż tyle osób z tamtej epoki.

To wrażenie brało się stąd, że niektórzy mężczyźni wyglądali jak ci z jej czasów. Powrócili mężczyźni w dawnym stylu, którzy zniknęli w erze odstraszania.

Wszyscy wydawali się dokądś śpieszyć. Było to chyba wychylenie wahadła w drugą stronę – zniknęły rozleniwienie i wygodnictwo poprzedniej ery, społeczeństwo znowu było zapracowane. Widać było, że większość ludzi nie należy do klasy próżniaczej, lecz musi zarabiać na życie.

Jej łóżko wepchnięto do małej salki.

– Numer 37813 obudził się bez nieprawidłowości – krzyknęła pielęgniarka. – Jest w pokoju wybudzeń numer dwadzieścia osiem.

Pielęgniarka wyszła i zamknęła drzwi za sobą. Cheng Xin zauważyła, że musiała do tego użyć siły fizycznej.

Została sama. Długo nikt nie przychodził, by ją zbadać, co ostro kontrastowało z jej poprzednimi dwoma wybudzeniami, kiedy od razu zajęto się nią troskliwie. Była pewna dwóch rzeczy: po pierwsze, w tej epoce hibernacja i wybudzenie z niej były na porządku dziennym, po drugie, o tym, że się przebudziła, wiedziało niewiele osób.

Kiedy Cheng Xin odzyskała nieco kontroli nad swoimi ruchami, podniosła głowę i zobaczyła okno. Pamiętała, jak wyglądał świat, gdy poddała się hibernacji. Centrum hibernacji było gigantycznym drzewem na skraju miasta, a ona znajdowała się w jednym z liści blisko wierzchołka, skąd widać było wielki metropolitalny las. Teraz jednak widziała za oknem tylko kilka zwykłych budynków wzniesionych na ziemi. Wszystkie miały taki sam kształt. Jak można było wnioskować z odbijającego się od nich światła słonecznego, też były z metalu. Również one wywołały u niej wrażenie, że wróciła do ery powszechnej.

Zaczęła się nagle zastanawiać, czy nie obudziła się właśnie z długiego snu. Era odstraszania, era nadawania – to wszystko tylko jej się śniło. Chociaż wspomnienia były żywe, wydawały się zbyt nierealne, zbyt fantastyczne. A może w ogóle nie przeskoczyła trzy razy przez czas, ale ciągle przebywała w erze powszechnej?

Jej wątpliwości rozwiał holograficzny obraz, który pojawił się koło łóżka. W oknie było tylko kilka prostych przycisków, za których pomocą można było wezwać lekarza i pielęgniarkę. Miejsce, w którym się znalazła, zdawało się doskonale obeznane z procesem wybudzania z hibernacji –

okno pojawiło się akurat w chwili, gdy Cheng Xin odzyskała zdolność poruszania ręką. Ale okno było małe; społeczeństwo z natłokiem informacji, w którym każdy centymetr powierzchni zajmowały okna, przestało istnieć.

W przeciwieństwie do dwóch poprzednich przebudzeń Cheng Xin szybko doszła do siebie. Zanim na zewnątrz zapadł zmrok, mogła już wstać z łóżka i zrobić kilka kroków. Odkryła, że centrum świadczy tylko najprostsze usługi. Raz wszedł lekarz, pobieżnie ją zbadał i wyszedł, resztę musiała zrobić samodzielnie. Mimo że nadal była słaba, musiała się sama wykąpać. Co do posiłków, to gdyby nie poprosiła o nie przez ten mały holograficzny obrazek, być może nie dostałaby nic do jedzenia. Nie irytował jej ten brak troski, ponieważ nigdy nie przystosowała się do tej ery nadmiernej hojności, w której zaspokajano potrzeby każdego bez żadnego wysiłku z jego strony. W głębi duszy wciąż była kobietą z ery powszechnej, więc poczuła się tu jak w domu.

Następnego ranka przyszedł do niej gość. Od razu poznała Cao Bina. Ten fizyk był niegdyś najmłodszym kandydatem do objęcia funkcji Dzierżyciela Miecza, ale teraz był dużo starszy i w jego włosach pojawiło się kilka siwych pasemek. Mimo to Cheng Xin była pewna, że ma nie więcej niż sześćdziesiąt dwa lata.

– Pan Wade poprosił mnie, żebym panią do niego zawiózł.

– Co się stało? – Kiedy Cheng Xin przypomniała sobie warunek, pod jakim miała zostać przebudzona, jej serce zamarło.

– Porozmawiamy o tym, kiedy się tam znajdziemy. – Po chwili Cao Bin dodał: – Wcześniej oprowadzę panią po tym nowym świecie, żeby podejmując decyzję, mogła się pani opierać na faktach.

Cheng Xin spojrzała na niepozorne budynki za oknem; nie miała wrażenia, że jest to nowy świat.

– A co się działo z panem przez ostatnich sześćdziesiąt lat? – zapytała. – Też pan spał?

– Poddałem się hibernacji mniej więcej w tym samym czasie co pani. Siedemnaście lat później uruchomiono okołosłoneczny akcelerator cząstek, więc wybudzono mnie, bym się zajął podstawami teoretycznymi. Trwało to piętnaście lat. Później prace badawcze przeszły w stadium zastosowań technicznych i nie byłem już potrzebny, znowu poddałem się hibernacji i obudzono mnie dwa lata temu.

– A jak postępują prace nad napędem krzywiznowym?

– Jest pewien postęp… Porozmawiamy o tym później.

Cao Bin wyraźnie nie miał ochoty poruszać tego tematu.

Cheng Xin ponownie spojrzała przez okno. W lekkim powiewie wiatru poruszyły się liście na rosnącym za nim małym drzewie. Wydawało się, że niebo zakryła chmura, bo światło odbijające się od metalowych budynków pociemniało. Co wspólnego mógł mieć taki świat ze statkami zdolnymi do rozwijania prędkości równej prędkości światła?

Cao Bin podążył wzrokiem za spojrzeniem Cheng Xin i się roześmiał.

– Musi pani czuć się tak samo jak ja, kiedy się przebudziłem… Ta era nie bardzo się pani podoba, prawda? Kiedy poczuje się pani gotowa, wyjdziemy na zewnątrz i rozejrzy się pani trochę.

Pół godziny później Cheng Xin, w odpowiednim dla tej ery białym stroju, wyszła z Cao Binem na balkon centrum hibernacji. Rozpościerało się przed nią miasto i znowu ogarnęło ją uczucie, że cofnęła się w czasie. Gdy się obudziła po raz pierwszy, w epoce odstraszania, widok ogromnego miasta-lasu wywarł na niej wrażenie, którego nie sposób opisać. Potem nigdy już się nie spodziewała, że zobaczy miejski krajobraz, do którego przywykła. Plan miasta był tak uporządkowany, jakby wszystkie budynki wzniesiono równocześnie. Były tak podobne do siebie, jakby przy ich

budowie kierowano się jedynie myślą o ich funkcjach użytkowych, nie dbając o estetykę. Wszystkie były prostokątne, bez żadnych ornamentów, z tego samego szarego metalu, co dziwnie przypominało jej aluminiowe pudełka na drugie śniadanie z czasów jej młodości. Jak daleko sięgnęła okiem, przylegały zgrabnie jeden do drugiego, tworząc gęstą zabudowę. Na horyzoncie teren wznosił się jak zbocze góry, a miasto na nie wkraczało.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Cheng Xin.

– Hmm, dlaczego znowu się zachmurzyło? Nie możemy zobaczyć drugiej strony – mruknął Cao Bin i zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, potrząsnął z niezadowoleniem głową, jakby pogoda miała coś wspólnego z jej zrozumieniem tego nowego świata.

Ale zaraz potem sama zobaczyła, jak dziwne jest niebo.

Słońce znajdowało się poniżej chmur. Zaczęły się rozpraszać i ukazał się pomiędzy nimi duży kawałek odkrytej przestrzeni. Ale zamiast błękitnego nieba Cheng Xin ujrzała… drugą ziemię.

Ta ziemia na niebie była bardzo podobna do miasta, które otaczało Cheng Xin, z tym tylko, że teraz patrzyła na nie „z dołu” – albo „z góry”. To musiała być ta „druga strona”, o której mówił Cao Bin. Cheng Xin zdała sobie sprawę, że „zbocze góry” w oddali wcale nie było zboczem, lecz wznosiło się do punktu, w którym łączyło się z „niebem”. Świat był wielkim cylindrem, a ona stała wewnątrz niego.

– To miasto kosmiczne Azja I, w cieniu Jowisza – powiedział Cao Bin.

Świat, który jeszcze moment temu zdawał się tak normalny, stanął na głowie. Cheng Xin poczuła, że w końcu naprawdę się przebudziła.

Po południu Cao Bin zabrał Cheng Xin do stacji wylotowej na północnym skraju miasta.

Zgodnie ze zwyczajem centralna oś miasta była skierowana na północ. Wsiedli do autobusu. Był to prawdziwy autobus poruszający się po ziemi, prawdopodobnie o napędzie elektrycznym, ale niczym się nie różnił od autobusów starożytnych. Cheng Xin i Cao Bin zajęli dwa ostatnie miejsca siedzące, tak że pasażerowie, którzy wsiadali później, musieli stać. Cheng Xin wróciła myślami do ostatniego razu, kiedy korzystała z takiego środka transportu – nawet w erze powszechnej unikała jeżdżenia zatłoczonymi środkami komunikacji publicznej.

Autobus jechał wolno, więc mogła spokojnie oglądać widoki. Teraz wszystko miało dla niej nowe znaczenie. Za oknami przesuwały się pasy budynków, przetykane zielonymi parkami i stawami; widziała dwie szkoły z pomalowanymi na niebiesko boiskami, brązową glebę po obu stronach drogi, która niczym się nie różniła od ziemskiej. Na poboczach rosły szerokolistne drzewa przypominające chińskie drzewa parasolowe, a od czasu do czasu pojawiała się tablica reklamowa. Nie znała większości produktów ani firm, ale styl reklam był znajomy.

Od miasta z ery powszechnej to za oknami różniło się przede wszystkim tym, że cały ten świat zdawał się wzniesiony z metalu. Metalowe były wszystkie budynki, również wnętrze autobusu wyglądało na wykonane w większości z metalu. Nie widziała żadnych elementów z tworzyw sztucznych ani z kompozytów.

Najwięcej uwagi poświęcała pozostałym pasażerom. Po drugiej stronie przejścia siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden, z czarną teczką na kolanach, drzemał, a drugi ubrany był w żółty kombinezon roboczy z czarnymi plamami po oleju. Przy jego nogach leżała torba z narzędziami. Wystawał z niej jakiś przyrząd, którego nie potrafiła rozpoznać. Był podobny do starożytnej wiertarki, ale zrobiony z półprzezroczystego materiału. Na twarzy tego człowieka malowało się wyczerpanie

i odrętwienie typowe dla osób wykonujących ciężkie prace fizyczne. Ostatnio widziała taki wyraz na twarzach emigrantów, robotników zatrudnionych w miastach w erze powszechnej. Przed nią siedziała młoda para. Mężczyzna szeptał do ucha kobiecie, która od czasu do czasu chichotała, jedząc łyżeczką coś z papierowego kubeczka – lody, bo Cheng Xin poczuła ich słodki zapach, nieróżniące się od tych sprzed trzystu lat. W przejściu stały dwie kobiety w średnim wieku w dobrze znanym jej typie. Codzienna harówka pozbawiła je atrakcyjności, widać było, że nie przykładają żadnej wagi do wyglądu. Zniknęły zadbane kobiety z er odstraszania i nadawania. Wtedy wszystkie miały gładką, delikatną cerę, bez względu na wiek wyglądały ładnie i ubierały się z gustem. Cheng Xin przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Źle to zrozumiałaś. Na rynku są takie same ceny rano i wieczorem. Nie bądź leniwa. Jedź do supermarketu na zachodniej stronie.

– Nie wszystko tam mają, a poza tym i tak nie sprzedają po cenach hurtowych.

Docierały do niej także fragmenty innych rozmów.

– Urząd miejski różni się od tych, które były w atmosferze. Wszystko jest bardziej skomplikowane. Jeśli się tam dostaniesz, zwracaj uwagę na politykę biurową. Najpierw nie zbliżaj się za bardzo do nikogo, ale też nie trzymaj się na uboczu… To niesprawiedliwe płacić osobno za ogrzewanie, powinni to włączyć do rachunku za prąd… Gdyby wcześniej wzięli kogoś innego na miejsce tego durnia, to nie przegraliby tak sromotnie… Nie bądź taki zawiedziony. Jestem tu, odkąd zbudowano to miasto, i wiesz, ile rocznie wyciągam?… Ta ryba jest nieświeża. Niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby ją ugotować… Parę dni temu, kiedy poprawiano orbitę, woda znowu wylała … Skoro ona go nie lubi, to powinien to sobie odpuścić. Tylko niepotrzebnie traci czas… To nie może być autentyk. Moim zdaniem

nie jest to nawet dobra podróbka. Żarty sobie ze mnie stroisz? Za taką cenę?

Cheng Xin zrobiło się cieplej na sercu. Szukała tego uczucia, odkąd przebudziła się po raz pierwszy, jeszcze w erze odstraszania. Myślała, że już nigdy go nie znajdzie. Chłonęła toczące się obok niej rozmowy, jakby zaspokajała pragnienie, i niezbyt uważnie przysłuchiwała się opowieści Cao Bina o mieście.

Miasto kosmiczne Azja I było jednym z najwcześniej zbudowanych w ramach programu Schron. Miało kształt regularnego cylindra, który dzięki obracaniu się wytwarzał siłę odśrodkową, namiastkę ziemskiej grawitacji. Przy trzydziestu kilometrach długości i średnicy siedmiu kilometrów miało powierzchnię użytkową sześciuset pięćdziesięciu dziewięciu kilometrów kwadratowych, czyli taką jak połowa starożytnego Pekinu. Kiedyś mieszkało tu ponad dwadzieścia milionów ludzi, ale po ukończeniu budowy nowszych miast kosmicznych liczba ludności spadła poniżej dziewięciu milionów i miasto nie było już tak zatłoczone…

Cheng Xin zobaczyła, że na niebie pojawia się drugie słońce. Cao Bin wyjaśnił, że w sumie są tam trzy sztuczne słońca przesuwające się wzdłuż osi środkowej, oddalone jedno od drugiego o blisko dziesięć kilometrów. Produkowały one energię z fuzji termojądrowej, rozjaśniały się i ciemniały w dwudziestoczterogodzinnym cyklu.

Cheng Xin poczuła serię wstrząsów. Autobus stał akurat na przystanku, więc wstrząsy pochodziły z zewnątrz. Zdawały się dobiegać z głębi ziemi. Poczuła, że od tyłu napiera na nią jakaś siła, ale autobus nadal stał nieruchomo. Za oknami cienie rzucane przez drzewa i budynki nagle się przesunęły i ustawiły pod innym kątem, gdyż sztuczne słońca zmieniły położenie. Wkrótce jednak wróciły na poprzednie pozycje. Najwyraźniej nie zdziwiło to żadnego z pasażerów.

– Miasto dostosowuje położenie – powiedział Cao Bin.

Po trzydziestu minutach autobus dotarł do przystanku końcowego. Kiedy wysiedli, zniknęły obrazki z życia codziennego, które tak uderzyły Cheng Xin do głowy. Wyrosła przed nią tak ogromna ściana, że z wrażenia aż zaparło jej dech. Czuła się tak, jakby znalazła się na końcu świata, i faktycznie tak było. Był to najbardziej „wysunięty na północ" punkt miasta – okrągły dysk o średnicy ośmiu kilometrów. Z miejsca, gdzie stała, nie widziała go całego, ale zobaczyła, że po obu stronach ziemia wznosi się do góry. Dysk był niemal tak wysoki jak Mount Everest, a na jego szczycie leżało drugie miasto. Z obrzeża dysku wychodziło wiele szprych zbiegających się w centrum, cztery kilometry ponad jej głową. Każda z nich była szybem windy, a w środku znajdowała się brama miejska.

Przed wejściem do windy Cheng Xin rzuciła jeszcze raz okiem na miasto, które wydawało się jej tak dobrze znane. Widziała stąd na drugim jego końcu trzy ustawione w rzędzie słońca. Był zmierzch, więc wszystkie pociemniały, zmieniając kolor z oślepiająco białopomarańczowego na łagodną czerwień i opromieniając miasto ciepłym złotym blaskiem. Tuż obok zobaczyła kilka dziewczynek w białych szkolnych mundurkach, które wylegiwały się na trawniku, śmiały się i szczebiotały. Ich włosy, pozłocone przez wieczorne słońce, powiewały w lekkich podmuchach wiatru.

Kabina windy była wielka jak sala. Bok, którym zwrócona była w stronę miasta, był przezroczysty, wskutek czego kabina wydawała się pokładem widokowym. Przy każdym siedzeniu znajdowały się pasy bezpieczeństwa, bo przy wznoszeniu się windy szybko zmniejszała się grawitacja. Gdy wyjrzeli na zewnątrz, ziemia osuwała się w dół, natomiast niebo, czyli druga ziemia, stawało się coraz wyraźniejsze. Gdy winda dotarła do środka koła, grawitacja zupełnie zniknęła, podobnie jak doznanie „góry" i dołu" przy spojrzeniu na otoczenie zewnętrzne. Była to oś, wokół której kręciło

się miasto, więc ze wszystkich stron otaczała ich ziemia. Z tego miejsca widok miasta był najwspanialszy.

Trzy słońca pociemniały tak, że ich światło upodobniło się do księżycowego. Oglądane z miejsca, gdzie stała Cheng Xin, wydawały się spoczywać jedno na drugim. Wszystkie chmury skupiły się w strefie wolnej od grawitacji, tworząc mgłę sięgającą od końca do końca miasta. Wyraźnie było widać odległą o czterdzieści pięć kilometrów „południową" granicę. Cao Bin powiedział Cheng Xin, gdzie znajdują się silniki sterujące całym obiektem. W mieście właśnie zapalały się światła. Cheng Xin miała wrażenie, że patrzy w głąb studni, której ściany pokrywa lśniący dywan.

Przyjrzała się uważnie i stwierdziła, że układ budynków jest bardzo podobny do osiedla, w którym mieszkała w erze powszechnej. Wyobraziła sobie zwykły blok mieszkalny i zwykłe mieszkanie na pierwszym piętrze. Przez niebieskie zasłonki przesączało się światło, a za tymi zasłonkami czekali na nią mama i tata…

Do oczu napłynęły jej łzy.

Od pierwszego przebudzenia w erze powszechnej nie potrafiła się przystosować do nowych czasów, zawsze czuła się jak intruz z innej epoki. Nigdy jednak nie wyobrażała sobie, że pół wieku później znowu poczuje się jak w domu za Jowiszem, ponad osiemset milionów kilometrów od Ziemi, jakby jakieś niewidzialne ręce zwinęły niczym wielkie malowidło to, do czego przywykła przed trzystu laty, i ponownie rozwinęły je przed nią w postaci nowego, obracającego się powoli wokół niej świata.

Weszła z Cao Binem do korytarza, gdzie nie było siły ciążenia. Ludzie poruszali się tam, podciągając się dzięki zamocowanym na kablach uchwytom. Zbierali się tu wszyscy pasażerowie wysiadający z wind na brzegu cylindra, więc na korytarzu panował tłok. Na jego okrągłej ścianie pojawił się rząd okien informacyjnych. Pokazywały one głównie

wiadomości i reklamy. Ale były nieliczne i uporządkowane, nie tworzyły takiego chaosu jak w erze poprzedniej.

Cheng Xin zauważyła już wcześniej, że skończyła się epoka zalewu informacji. Na tym świecie były one skondensowane i usystematyzowane. Czyżby wynikało to z politycznych i gospodarczych zmian, które się tutaj dokonały?

Wyszedłszy z korytarza, Cheng Xin po raz pierwszy zauważyła wirujące w górze gwiazdy. Obracały się tak szybko, że dostała zawrotu głowy. Stali na placu o średnicy ośmiu kilometrów, „nad" miastem. Był to kosmodrom, na którym stało wiele statków kosmicznych. Większość z nich miała kształty niewiele różniące się od tych, które pamiętała sprzed sześćdziesięciu kilku lat, ale na ogół były mniejsze, wielkości starożytnych samochodów. Cheng Xin zauważyła, że gdy się wznosiły, płomienie wydobywające się z ich dysz były znacznie ciemniejsze niż przed półwieczem, ciemnoniebieskie i nie tak oślepiające jak wtedy. Prawdopodobnie oznaczało to, że zminiaturyzowane silniki jądrowe były bardziej wydajne.

Wyjście z miasta otaczał przyciągający wzrok, jarzący się czerwono pierścień o promieniu około stu metrów. Cheng Xin szybko zrozumiała, co to jest. Poza tą ostrzegawczą strefą radykalnie rosła siła odśrodkowa, więc stojące tam statki musiały być dobrze umocowane, a piesi chodzili w butach magnetycznych, by nie zostali wyrzuceni w przestrzeń kosmiczną.

Było tam bardzo zimno. Na krótko zrobiło się cieplej dopiero wtedy, kiedy uruchomiły się silniki startującej obok jednostki. Cheng Xin zadrżała, nie tylko z zimna, ale również dlatego, że zdała sobie sprawę, iż są całkowicie odkryci przed kosmosem! Mimo to powietrze i ciśnienie wokół

niej były normalne, czuła nawet lekkie podmuchy wiatru. Wyglądało na to, że technologia utrzymywania atmosfery na obszarze niezamkniętym jeszcze bardziej się rozwinęła i można teraz było ją zachować w zupełnie otwartej przestrzeni kosmicznej.

Cao Bin zauważył, że był to dla niej wstrząs, i powiedział:

– O, na razie możemy utrzymywać atmosferę zaledwie do wysokości dziesięciu metrów nad „ziemią”.

On też przebywał tam od niedawna, ale oswoił się już z technologią, która Cheng Xin wydawała się magią. Chciał jej pokazać jeszcze bardziej imponujące widoki.

Cheng Xin zobaczyła na tle obracających się gwiazd Świat Schronu.

Z miejsca, w którym teraz się znajdowali, widać było miasta kosmiczne za Jowiszem. Widziała dwadzieścia dwa (włącznie z tym, w którym była), a cztery inne zasłaniało właśnie to miasto, z którego patrzyła. Wszystkich dwadzieścia sześć (o sześć więcej niż planowano) kryło się w cieniu gazowego olbrzyma. Były luźno ustawione w czterech rzędach, co przypominało Cheng Xin statki schowane za skałą w kosmosie ponad sześćdziesiąt lat wcześniej. Po jednej stronie Azji I znajdowała się Ameryka Północna I i Oceania I, po drugiej Azja III. Od sąsiadów z obu stron dzieliło ją tylko pięćdziesiąt kilometrów. Cheng Xin miała wrażenie, że są wielkie jak planety. Następny rząd czterech miast był oddalony o sto pięćdziesiąt kilometrów, więc trudno było ocenić wzrokiem ich wielkość. Położone najdalej znajdowały się tysiąc kilometrów stamtąd i wyglądały jak delikatne zabawki.

Miała wrażenie, że są to ławice małych ryb, które unoszą się za ogromną skałą, by nie porwał ich silny prąd rzeki.

Położona najbliżej cylindrycznej Azji I Ameryka Północna I była idealną kulą. To były krańcowe przykłady planów przestrzennych kosmicznych

miast. Większość pozostałych miała kształt piłki do rugby, chociaż proporcje długości do szerokości były w każdym przypadku inne. Kilka miast przybrało niezwykłe formy: koła ze szprychami, wrzeciona i tak dalej.

Za pozostałymi trzema gazowymi olbrzymami znajdowały się trzy inne zbiorowiska miast, w sumie trzydzieści osiem. Dwadzieścia sześć kryło się za Saturnem, cztery za Uranem i osiem za Neptunem. Znajdowały się w bezpieczniejszych miejscach, ale za to w większej pustce.

Jedno z kosmicznych miast wyemitowało nagle niebieskie światło. Wyglądało to tak, jakby w kosmosie pojawiło się małe słońce. W jego blasku ludzie i statki na placu rzucali długie cienie. Cao Bin wyjaśnił Cheng Xin, że jest to skutkiem uruchomienia silników sterujących, dostosowujących położenie miasta. Miasta kosmiczne krążyły wokół Słońca razem z Jowiszem, tylko nieco poza jego orbitą, i podlegały jego sile ciążenia, która przyciągała je do niego, więc musiały stale korygować położenie za pomocą tych silników. Pochłaniało to wiele energii. Wprawdzie kiedyś pojawiła się propozycja, by przekształcić je w jego satelity, które zmieniłyby orbity dopiero po ostrzeżeniu przed atakiem ze strony ciemnego lasu, ale dopóki system wczesnego ostrzegania nie zostanie udoskonalony i nie dowiedzie się, że można na nim spokojnie polegać, żadne z tych miast nie chciało podjąć ryzyka.

– Ale z pani szczęściara! Zobaczy pani widok, który pojawia się tylko co trzy dni.

Cao Bin wskazał kosmos. Cheng Xin zobaczyła białą, szybko powiększającą się plamkę. Wkrótce osiągnęła wielkość piłeczki do ping-ponga.

– To Europa?

– Tak. Jesteśmy teraz bardzo blisko jej orbity. Tylko niech się pani nie przestraszy, bo może pani stracić równowagę.

Cheng Xin starała się odgadnąć, o co chodzi Cao Binowi. Kiedy myślała o ciałach niebieskich, zawsze wyobrażała sobie, że się poruszają bardzo wolno, prawie niedostrzegalnie – tak widać je było z większości obserwatoriów astronomicznych na Ziemi. Ale przypomniała sobie, że miasto kosmiczne nie jest satelitą Jowisza, lecz pozostaje względem niego w bezruchu. Natomiast Europa, jako satelita, poruszała się bardzo szybko. Jej prędkość wynosiła prawie czternaście kilometrów na sekundę. Skoro miasto znajdowało się bardzo blisko jej orbity, to…

Biała kula szybko rosła, tak szybko, że wydawało się to nierealne. Niebawem zajęła większą część nieba i z piłeczki ping-pongowej stała się ogromną planetą. W jednej chwili zmieniły się doznania „góry” i „dołu”. Cheng Xin miała wrażenie, że Azja I spada na ten biały świat. Potem księżyc o średnicy trzech tysięcy metrów przesunął się nad ich głowami i na chwilę zakrył całe niebo. Jej skute lodem oceany niemal musnęły kosmiczne miasto. Cheng Xin wyraźnie widziała w tym zamarzniętym krajobrazie linie przecinające się jak linie dłoni. Owiało ją poruszone przez przejście Europy powietrze i poczuła niewidzialną siłę ciągnącą ją w prawo. Gdyby nie miała magnetycznych butów, siła ta na pewno oderwałaby ją od ziemi. Wszystko w pobliżu, co nie było solidnie przymocowane, pofrunęło do góry, również luźne liny zwisające z kilku statków. Z dołu dobiegło przeraźliwe dudnienie – to metalowy szkielet miasta reagował na szybko przesuwające się pole grawitacji Europy. Przelot nad Azją I zajął księżycowi Jowisza tylko trzy minuty – zaraz potem znalazł się po jej drugiej stronie i zaczął się szybko kurczyć. Osiem miast kosmicznych w dwóch najbardziej wysuniętych do przodu rzędach włączyło silniki

sterujące, by ustabilizować pozycje po spowodowanych przez Europę zakłóceniach. Niebo rozświetliło osiem ognistych kul.

– Jak… jak blisko przeszedł? – zapytała Cheng Xin niepewnym głosem.

– Podczas najniższego przelotu, takiego, jakiego była pani teraz świadkiem, Europa zbliża się do nas na sto pięćdziesiąt kilometrów, więc prawie się o nas ociera. Nie mamy wyboru. Jowisz ma trzynaście księżyców i miasta kosmiczne nie mogą ich wszystkich unikać. Orbita Europy tylko lekko odchyla się od równika, więc przebiega bardzo blisko tutejszych miast. Ten księżyc jest głównym źródłem wody dla jowiszowych miast i zbudowaliśmy na nim mnóstwo zakładów przemysłowych. Ale kiedy nadejdzie uderzenie ze strony ciemnego lasu, to wszystko trzeba będzie poświęcić. Po eksplozji Słońca radykalnie zmienią się orbity wszystkich księżyców Jowisza. Manewrowanie miastami kosmicznymi w celu uniknięcia zderzeń z nimi będzie bardzo skomplikowaną operacją.

Cao Bin odnalazł łódź, którą tutaj przybył. Była mała, wielkości i kształtu starożytnego auta, i mogła pomieścić tylko dwie osoby. Cheng Xin instynktownie bała się wyruszyć w kosmos takim małym pojazdem, mimo że wiedziała, iż jej lęk jest bezpodstawny. Cao Bin powiedział sztucznej inteligencji, że lecą do Ameryki Północnej I, i łódź się wzniosła.

Cheng Xin widziała szybko umykającą ziemię; łódź leciała po stycznej z miastem. Wkrótce w polu widzenia pokazał się plac o ośmiokilometrowej średnicy, a po nim cała Azja I. Za cylindrem znajdowała się wielka połać ciemnej żółcieni. Dopiero gdy pojawił się jej brzeg, Cheng Xin zdała sobie sprawę, że patrzy na Jowisza. W cieniu gazowego olbrzyma było tak zimno i ciemno, jakby Słońce w ogóle nie istniało. W gęstej atmosferze rozpraszała się tylko fosforescencja ciekłego helu i wodoru planety, tworząc zamglone plamy, poruszające się jak gałki oczne za zamkniętymi powiekami osoby pogrążonej we śnie. Ogrom Jowisza zdumiał Cheng Xin.

Ze swojego miejsca widziała tylko kawałek jego skraju, o bardzo małej krzywiźnie. Planeta była ciemną barierą, która przesłaniała wszystko. Cheng Xin jeszcze raz doznała uczucia, jakby stała przed ogromnym murem na końcu świata.

W ciągu następnych trzech dni Cao Bin zabrał Cheng Xin do czterech innych miast kosmicznych.

Pierwszym była Ameryka Północna I. Najważniejszą korzyścią z tego, że skonstruowano ją w kształcie kuli, było to, że do zapewnienia światła całemu miastu wystarczało jedno sztuczne słońce, ale od razu rzucała się w oczy ujemna konsekwencja takiego rozplanowania – na każdej szerokości geograficznej panowało inne ciążenie. Największe było na równiku, a im dalej od niego, tym bardziej malało, tak że na biegunach całkowicie znikało i był tam stan nieważkości. Mieszkańcy różnych rejonów musieli przystosowywać się do życia w różnych polach grawitacji.

Inaczej niż na Azji I, mały statek kosmiczny mógł wlecieć wprost do miasta przez bramę na biegunie północnym. Gdy łódka znalazła się wewnątrz, obrócił się wokół niej cały świat i przed lądowaniem musiała dostosować obroty do obrotów miasta. Cheng Xin i Cao Bin pojechali szybką koleją do centrum. Budynki były wyższe i stały gęściej, jak w metropolii. Ich wysokość, zwłaszcza w rejonach o niskiej grawitacji, położonych na wyższej szerokości geograficznej, ograniczała tylko pokrywa kuli. Niektóre, w pobliżu rejonów polarnych, wznosiły się na dziesięć kilometrów i wyglądały jak sterczące z ziemi ku słońcu długie kolce.

Amerykę Północną I zbudowano wcześnie. Miała promień dwudziestu kilometrów i przy dwudziestu milionach mieszkańców była najludniejszym

z miast kosmicznych. Tu znajdowało się dobrze prosperujące centrum handlowe wszystkich jowiszowych miast.

Cheng Xin ujrzała widok niespotykany w Azji I – ocean obejmujący pierścieniem równik. W istocie takie „pierścieniowate” oceany znajdowały się w większości miast kosmicznych i Azja I była w tej mierze wyjątkiem. W miastach o kształcie kuli albo piłki do rugby równik był najniższym punktem sztucznej grawitacji, więc zbierała się tam naturalnie cała woda, tworząc skrzący się, falujący pas. Stojąc na brzegu, widziało się wznoszący się po obu stronach ocean, który dzielił niebo za „słońcem”. Cheng Xin i Cao Bin wzięli szybką łódź i opłynęli go – cała droga miała jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Woda w oceanie pochodziła z Europy. Była czysta, zimna i odbijały się w niej światła drapaczy chmur z obu stron. Wały ochronne były najwyższe od strony Jowisza, by zapobiec występowaniu wody z brzegów podczas dostosowywania pozycji miasta do planety, ale i tak od czasu do czasu, gdy trzeba było wykonać jakiś nieoczekiwany manewr, dochodziło do małych powodzi.

Następnie Cao Bin zabrał Cheng Xin do Europy IV, która miała typowy kształt piłki do rugby. Jej charakterystyczną cechą był brak wspólnego sztucznego słońca. Każdy rejon miał własne miniaturowe termojądrowe słońce. Obiekty te krążyły na wysokości od dwustu do trzystu metrów. Plusem tego podejścia było to, że można było efektywniej wykorzystać oś nieważkości. Znajdował się tam najdłuższy – albo najwyższy – budynek ze wszystkich miast kosmicznych. Mierzył czterdzieści kilometrów i łączył biegun północny z południowym. Ponieważ w jego wnętrzu panowała nieważkość, wykorzystywany był głównie jako port kosmiczny i centrum rozrywki.

Europa IV miała najmniej mieszkańców ze wszystkich miast, ale była też najbogatsza w Świecie Schronu. Piękne domy, oświetlone miniaturowymi słońcami, wzbudziły zachwyt Cheng Xin. Przy każdym był basen, a przed niektórymi szerokie trawniki. Na spokojnym morzu równikowym widać było białe plamki żagli, a na jego brzegach siedzieli ludzie, oddając się wędkowaniu. Przepłynął powoli jacht, który wyglądał na tak samo luksusowy jak jachty na starożytnej Ziemi. Na pokładzie odbywało się przyjęcie z udziałem występujących na żywo muzyków… Cheng Xin była zdumiona, że taki styl życia można było przenieść w cień Jowisza, osiemset milionów kilometrów od Ziemi.

Natomiast Pacyfik I był przeciwieństwem Europy IV. Był pierwszym miastem zbudowanym w ramach programu Schron i podobnie jak Ameryka Północna I, miał kształt kuli. W przeciwieństwie do pozostałych miast jowiszowych krążył wokół planety jako jej satelita.

We wczesnych latach realizacji programu Schron w Pacyfiku I mieszkały miliony ludzi zatrudnionych przy budowie miast kosmicznych. W miarę postępu prac robotnicy się przenosili i Pacyfik I zaczął służyć za magazyn materiałów budowlanych. Później, gdy uwidoczniły się różne wady tego eksperymentalnego miasta, opuszczono je. Ale gdy zakończono przesiedlanie do Świata Schronu, znowu pojawili się tu ludzie i w końcu utworzyli miasto z własnymi władzami i policją. Władze utrzymywały jednak tylko podstawową infrastrukturę, a społeczność pozostawiono samą sobie. Pacyfik I był jedynym miastem, do którego mógł się przenieść każdy. Większość ludności stanowili bezrobotni i bezdomni włóczędzy, biedacy, którzy z różnych powodów utracili ubezpieczenie społeczne, oraz cyganeria. Potem stał się podglebiem organizacji ekstremistycznych.

Miasto nie miało silników sterujących ani sztucznego słońca. Nie obracało się też, więc panowała w nim nieważkość.

Gdy Cheng Xin tam wleciała, znalazła się w baśniowym świecie. Wyglądało to tak, jakby świetnie prosperujące niegdyś miasto zostało nagle pozbawione grawitacji, wskutek czego wszystko unosiło się w powietrzu. Pogrążone było w wiecznej nocy, każdy budynek czerpał energię z własnego akumulatora jądrowego, a więc ich wnętrza wypełniały dryfujące lampy. Zresztą większość zabudowań była byle jak sklecona z resztek materiałów budowlanych. Skoro nie było tu ani „góry", ani „dołu", te budy miały kształt sześcianów z oknami (które służyły też jako drzwi) ze wszystkich stron. Były tam też nieliczne konstrukcje o kulistym kształcie, które miały tę przewagę nad resztą, że były bardziej wytrzymałe, bo wszystkie te budy co rusz zderzały się ze sobą.

Na Pacyfiku I nie istniało pojęcie własności gruntu, bo budynki cały czas dryfowały, żaden nie był nigdzie zakotwiczony na stałe. W zasadzie każdy mieszkaniec miał prawo korzystać z dowolnej przestrzeni w mieście. Żyło tam wielu bezdomnych, którzy nie mieli nawet szałasu. Wszystkie rzeczy trzymali w siatkach, które powstrzymywały je przed rozproszeniem. Transport w mieście był bardzo prosty – nikt nie miał samochodu ani osobistego silnika sterującego. Nie było też wind. Miejscowi po prostu odpychali się od budynków. Ponieważ zabudowa była gęsta, można było dostać się w taki sposób w każde miejsce, tyle że wymagało to wielkiej zręczności. Śmigający wśród budynków mieszkańcy przypominali Cheng Xin skaczące z gałęzi na gałąź gibbony.

Podleciała z Cao Binem do grupy bezdomnych zebranych wokół ogniska. W każdym innym mieście rozpalenie ogniska na otwartym powietrzu byłoby zabronione. Paliwem zdawał się jakiś łatwopalny materiał budowlany. Wskutek nieważkości płomienie nie wznosiły się do góry, lecz

tworzyły unoszącą się w przestrzeni kulę ognia. Bezdomni mieli też specyficzny sposób picia. Wytrząsali z butelek alkohol, który tworzył w powietrzu kule cieczy, a potem dryfujący obok nich mężczyźni w łachmanach, o zarośniętych twarzach, chwytali je ustami i połykali. Jeden z nich zwymiotował, a strumień wymiocin podziałał na niego jak siła odrzutowa, pod wpływem której pokoziołkował w powietrzu…

Weszli na rynek. Wszystkie towary unosiły się w powietrzu, tworząc różnorodną masę, oświetlaną przez kilka dryfujących lamp. Pomiędzy nimi uwijali się klienci i sprzedawcy. Wydawało się, że w tym chaosie trudno jest się zorientować, co do kogo należy, ale jeśli klient zbyt dokładnie się czemuś przyglądał, zaraz podpływał do niego sprzedawca. Wśród wystawionych na sprzedaż towarów znajdowały się ubrania, elektronika, jadło i napoje, różnej wielkości baterie jądrowe, broń krótka i tym podobne rzeczy. A także egzotyczne antyki. W jednym miejscu unosiło się kilka metalowych fragmentów. Sprzedawca utrzymywał, że to szczątki statków wojennych zebrane na polu bitwy w dniu Sądu Ostatecznego, ale nie sposób było stwierdzić, czy mówi prawdę.

Cheng Xin zobaczyła ze zdumieniem, że jeden z handlarzy sprzedawał starożytne książki. Przekartkowała kilka z nich – dla niej nie były antykami. Wszystkie unosiły się w chmurze, a wiele było otwartych i w świetle ich strony wyglądały jak stado białoskrzydłych ptaków… Zobaczyła przed sobą drewniane pudełko z napisem „Cygara”. Złapała je i natychmiast znalazł się przy niej młody chłopak, który zaklinał się, że to autentyczne starożytne cygara hawańskie, które przetrwały prawie dwieście lat. Trochę wyschły, więc gotów był sprzedać je za tak niską cenę, za jaką nie można by ich było kupić w żadnym innym miejscu Układu Słonecznego. Otworzył pudełko i pokazał Cheng Xin, co zawiera. Zgodziła się i je kupiła.

Cao Bin zabrał ją na skraj miasta, czyli wewnętrzną część kulistej skorupy. Nie był do niej przymocowany żaden budynek, nie było tam też ziemi – wszędzie widać było tylko nagi metal z czasów budowy. Na małym obszarze zakrzywienie było niewidoczne, więc mieli wrażenie, że stoją na dużym płaskim placu. Nad nimi unosiła się gęsta miejska zabudowa, skąd padały na ten „plac” mrugające światła. Obrazy były żywe, barwne, nieokiełznane, pulsujące, pełne energii. W przemieszczających się niepewnych światłach zdawały się ożywać, jakby były marzeniami i snami mieszkańców leżącego w dole miasta.

Cao Bin nie zapuścił się z nią do śródmieścia. Według niego panowały tam chaos i przemoc. Trwała ustawiczna wojna gangów, a kilka lat wcześniej jeden z nich uszkodził powłokę, powodując wielką dekompresję. Potem gangi zawarły niepisane porozumienie i rozstrzygały spory w samym centrum miasta, z dala od powłoki.

Cao Bin powiedział też Cheng Xin, że rząd Federacji przeznaczył ogromne środki na stworzenie tutaj systemu opieki społecznej. Większość około sześciu milionów mieszkańców stanowili bezrobotni, ale mieli przynajmniej zaspokojone podstawowe potrzeby życiowe.

– A co się stanie z tym miastem, gdy dojdzie do ataku ze strony ciemnego lasu?

– Zostanie unicestwione. Nie ma silników sterujących, więc nie będzie mogło przesunąć się w cień Jowisza. Proszę spojrzeć… – Wskazał dryfujące budynki. – Gdyby miasto przyspieszyło, to wszystko roztrzaskałoby jego skorupę. Byłoby jak worek z dziurą w dnie. Jeśli dojdzie do uderzenia ze strony ciemnego lasu, jedynym sposobem będzie ewakuacja mieszkańców do innych miast.

Gdy opuścili pogrążone w wiecznych ciemnościach miasto, Cheng Xin spojrzała na nie przez iluminator łodzi. Była to przystań biednych

i bezdomnych, ale tętniła życiem jak słynny obraz z czasów dynastii Song *Widok wzdłuż rzeki podczas święta Qingming*.

Zrozumiała, że w porównaniu z ostatnią erą Świat Schronu nie był idealnym społeczeństwem. Migracja na obrzeża Układu Słonecznego sprawiła, że znowu pojawiły się wyeliminowane dawno temu przez postęp toksyczne warunki społeczne. Nie było to dokładne uwstecznienie, ale coś w rodzaju wznoszenia się po spirali, niezbędny warunek eksploracji i ustalania nowych granic.

Po odlocie z Pacyfiku I Cao Bin pokazał Cheng Xin jeszcze kilka miast kosmicznych o niezwykłym kształcie. Jedno z nich, położone dość blisko Pacyfiku I, było kołem ze szprychami, całkiem podobnym do stacji końcowej windy kosmicznej, którą Cheng Xin odwiedziła ponad sześćdziesiąt lat wcześniej.

Trochę dziwiły ją projekty tych miast. Z inżynierskiego punktu widzenia koło zdawało się idealnym rozwiązaniem. Było je dużo łatwiej zbudować niż ogromne, puste skorupy, w których umieszczono inne miasta, a po ukończeniu było mocniejsze i miało większe szanse na przetrwanie różnych katastrof i na dalszą rozbudowę.

Odpowiedź Cao Bina na jej wątpliwości była lakoniczna: „poczucie świata”.

– Co?

– Poczucie, że jest się na świecie. Miasto kosmiczne musi mieć dużą przestrzeń wewnętrzną i zapewniać rozległe widoki, żeby mieszkańcy czuli, że żyją na świecie. Chociaż powierzchnia użytkowa wewnątrz koła nie jest mniejsza niż w skorupie, ludzie cały czas zdają sobie sprawę, że mieszkają w wąskiej rurze czy zbiorze takich rur.

Niektóre miasta wyglądały jeszcze dziwniej. Większość z nich była ośrodkami rolniczymi czy przemysłowymi bez stałych mieszkańców. Było wśród nich na przykład jedno o nazwie Zasób I. Miało długość stu dwudziestu kilometrów, ale średnicę tylko trzech, przypominało więc cienki patyk. Nie obracało się wokół dłuższej osi, ale bez końca koziołkowało, przy czym jego środek pozostawał w jednym miejscu. Wewnątrz było podzielone na poziomy, a grawitacja na każdym z nich diametralnie się różniła. Tylko kilka z nich nadawało się do zamieszkania, a cała reszta przeznaczona została na różne zakłady produkcyjne przystosowane do odmiennych grawitacji. Według Cao Bina koło Saturna i Neptuna znajdowały się miasta z dwóch lub więcej takich „patyków” złożonych w kształcie krzyży albo gwiazd.

Najstarsze skupiska miast zbudowanych w ramach programu Schron zlokalizowano koło Jowisza i Saturna. Później, podczas budowy miast koło Urana i Neptuna, powstały nowe projekty urbanistyczne. Najważniejszym pomysłem było ich łączenie. Każde miasto w tych dwóch skupiskach wyposażone było w jeden lub dwa doki umożliwiające zespolenie. Dzięki łączeniu mieszkańcy mieli więcej przestrzeni i większe poczucie świata, co stymulowało rozwój gospodarczy. Poza tym po połączeniu mieszały się ze sobą systemy ekologiczne różnych miast, co pomagało ustabilizować ich działanie i ułatwiało utrzymanie.

Obecnie większość miast łączyło się wzdłuż osi obrotów, dzięki czemu nie musiały zmieniać rozłożenia siły grawitacji. Pojawiały się też propozycje łączenia równoległego i prostopadłego, co pozwalałoby na ich rozszerzanie się w wielu kierunkach, nie tylko wzdłuż osi obrotów, ale takie zestawienia radykalnie zmieniałyby wewnętrzny rozkład sił grawitacji, więc na razie jeszcze tego nie wypróbowano.

Największe połączone miasto znajdowało się na Neptunie. Utworzone z czterech z ośmiu położonych koło tej planety, miało długość dwustu kilometrów. W razie potrzeby – na przykład po alarmie o uderzeniu z ciemnego lasu – mogły się szybko rozdzielić. Wierzono, że pewnego dnia będzie można połączyć wszystkie miasta w każdym skupisku i ludzkość będzie żyła na czterech kompletnych światach.

W sumie za Jowiszem, Saturnem, Uranem i Neptunem były sześćdziesiąt cztery duże miasta i blisko setka średnich i małych oraz liczne stacje kosmiczne. W Świecie Schronu żyło dziewięćset milionów osób.

Była to prawie cała ludzkość. Jeszcze przed uderzeniem z ciemnego lasu rodzaj ludzki zamknął za sobą włazy.

Każde miasto kosmiczne miało polityczny status państwa. Cztery skupiska tworzyły Federację Układu Słonecznego, a dawna ONZ przekształciła się w rząd Federacji. Przez stadium miast-państw przeszła większość starożytnych ziemskich cywilizacji, a teraz powstały one ponownie na obrzeżach Układu Słonecznego.

Ziemia była prawie bezludna. Pozostało na niej zaledwie pięć milionów mieszkańców. Były to osoby, które nie chciały opuścić domów i nie bały się, że w każdej chwili mogą zginąć. Na Ziemię latało również w charakterze turystów wielu śmiałków ze Świata Schronu, chociaż każda taka podróż oznaczała igranie ze śmiercią. Z upływem czasu przewidywany atak z ciemnego lasu stawał się coraz groźniejszym widmem, a ludzie stopniowo przyzwyczajali się do życia w Świecie Schronu. Gdy krzątali się wokół swoich codziennych zajęć, zmniejszała się tęsknota za ojczyzną i coraz rzadziej odwiedzali Ziemię. Społeczność coraz mniej interesowała się rodzinnym domem i nie bardzo zdawała sobie sprawę, że przyroda bierze tam odwet. Każdy kontynent pokrywały lasy i obszary trawiaste, a ci, którzy tam zostali, nie ruszali się nigdzie bez strzelb dla obrony przed

dzikimi zwierzętami, ale krążyły plotki, że żyli za to jak królowie, bo każdy miał rozległą prywatną posiadłość, obejmującą również lasy i jeziora. Cała Ziemia była teraz tylko jednym z miast Federacji Układu Słonecznego.

Łódka z Cao Binem i Cheng Xin znalazła się na zewnętrznym skraju jowiszowych miast. Na tle ciemnego olbrzyma wyglądały na tak małe i samotne jak kilka szałasów u stóp wysokiego urwiska. Z daleka ich światła przypominały słabe światło świec. Chociaż niewielkie, w tej bezkresnej, zimnej pustce przywoływały na myśl cel wszystkich strudzonych wędrowców. Cheng Xin wydobyła z jakiegoś zakamarka pamięci krótki wiersz dawno zapomnianego chińskiego poety z czasów Republiki:

Słońce zaszło.
Góra, drzewo, kamień, rzeka –
Wszystkie wielkie budynki są pogrążone w cieniu.
Ludzie zapalają z wielkim zainteresowaniem swoje lampy,
Ciesząc się wszystkim, co widzą,
Mając nadzieję, że znajdą to, czego pragną*.

* Wiersz autorstwa Xu Yunuo (1894–1958), poety chińskiego związanego z Ruchem 4 Maja.

11 rok ery schronu

Prędkość Światła II

Ostatecznym celem podróży Cheng Xin i Cao Bina było Halo City, miasto kosmiczne średniej wielkości. Do takich miast zaliczano te, których powierzchnia wewnętrzna miała mniej niż dwieście kilometrów kwadratowych, ale więcej niż pięćdziesiąt. Na ogół były one przemieszane z większymi miastami, ale dwa z nich, Halo City i Prędkość Światła II, znajdowały się prawie za osłoną Jowisza.

Przed przybyciem do Halo City łódź przeleciała obok Prędkości Światła II. Cao Bin wyjaśnił Cheng Xin, że było to miasto naukowców, jeden z dwóch ośrodków prowadzących badania nad zmniejszeniem prędkości światła na tyle, by osiągnąć stan czarnej domeny, ale teraz jest opuszczone. Cheng Xin bardzo to zaciekawiło i chciała je zwiedzić. Cao Bin niechętnie skierował łódkę w jego stronę.

– Może po prostu obejrzy je pani z zewnątrz? – zaproponował. – Lepiej tam nie wchodzić.

– To niebezpieczne?

– Tak.

– Ale przecież wlecieliśmy do Pacyfiku I, gdzie też jest niebezpiecznie.

– To nie to samo. W Prędkości Światła II nikogo nie ma. To jest… miasto duchów. Przynajmniej tak wszyscy mówią.

Gdy łódka zbliżyła się do miasta, Cheng Xin zobaczyła, że rzeczywiście leży w gruzach. Nie obracało się, a jego powłoka zewnętrzna wyglądała na

poobijaną i poszczerbioną. W niektórych miejscach były w niej wyrwy, przez które widać było ramę konstrukcyjną. Przyglądając się oświetlonym przez szperacze łódki ogromnemu gruzowisku, Cheng Xin czuła podziw zmieszany ze strachem. Te ruiny przywodziły jej na myśl zwłoki wyrzuconego na plażę wieloryba. Leżał tam od eonów, więc zostały z niego tylko skóra i kości. Zdawało się jej, że patrzy na coś starszego niż ateński Akropol, na coś, co skrywa jeszcze więcej tajemnic niż tamta starożytna budowla.

Powoli dotarli do dużej wyrwy, kilkakrotnie większej od ich statku. Belki ramy konstrukcyjnej były tak powyginane i poskręcane, że mogli swobodnie wlecieć do środka. W świetle szperacza Cheng Xin widziała odległą „ziemię", która była zupełnie goła. Po opuszczeniu się nieco w głąb miasta łódka się zatrzymała i oświetliła szperaczem przestrzeń wokół. Nie było widać żadnych budowli i nawet nic nie wskazywało na to, że mieszkali tu kiedyś ludzie.

– To tylko pusta skorupa? – zapytała Cheng Xin.

– Nie.

Cao Bin patrzył na nią przez kilka sekund, jakby oceniał jej odwagę. Potem wyłączył szperacz.

Najpierw Cheng Xin widziała tylko ciemność. Przez wyrwę z przodu docierało światło gwiazd i miała wrażenie, że patrzy na niebo przez dziurę w dachu. W końcu jej wzrok przystosował się do ciemności i zauważyła, że wnętrze nie jest spowite w całkowitym mroku, bo rozprasza go słabe, mrugające, niebieskie światło. Zadrżała. Siłą woli zmusiła się do spokoju i zaczęła szukać źródła tego światła. Dochodziło ze środka opuszczonego miasta.

Rozbłyskiwało nieregularnie jak oko patrzące spod drgającej powieki. Na pustą ziemię padały dziwne cienie – wyglądała jak pustynia nocą,

rozjaśniana światłem błyskawic na horyzoncie.

– To światło wytwarza pył kosmiczny wpadający do czarnej dziury – powiedział Cao Bin, wskazując na źródło światła. Starał się nieco uspokoić przestraszoną Cheng Xin.

– Tam jest czarna dziura? – zapytała.

– Tak. Niespełna pięć kilometrów stąd. Mikroskopijna czarna dziura o promieniu Schwarzschilda wielkości dwudziestu nanometrów i masie równej masie Ledy, księżyca Jowisza.

W fosforyzującym niebieskim blasku Cao Bin opowiedział Cheng Xin historię Prędkości Światła II i 高 Waya*.

Badania nad zmniejszeniem prędkości światła w próżni zaczęły się mniej więcej w tym samym czasie co prace nad programem Schron. Ponieważ plan Czarna Domena był drugim sposobem na przetrwanie ludzkości, społeczność międzynarodowa przeznaczała na to ogromne środki, a w ramach programu Schron wybudowano nawet duże miasto kosmiczne jako centrum tych badań – właśnie Prędkość Światła II – zlokalizowane w skupisku koło Saturna. Jednak sześćdziesiąt lat zakrojonych na dużą skalę badań nie przyniosło żadnego przełomu ani nawet znaczących postępów w podstawach teoretycznych.

Zmniejszenie prędkości światła w ośrodkach materialnych nie było szczególnie trudne. Już w 2008 roku ery powszechnej naukowcom udało się ją zmniejszyć w warunkach laboratoryjnych do niewiarygodnych siedemnastu metrów na sekundę, ale różniło się to zasadniczo od jej zmniejszenia w próżni. W laboratorium należało doprowadzić do tego, by atomy materiału wchłaniały i ponownie emitowały fotony, a światło

pomiędzy nimi podróżowało z normalną prędkością. Nie nadawało się to do potrzeb planu Czarna Domena.

Prędkość światła w próżni była jedną z podstawowych stałych we Wszechświecie. Jej zmiana oznaczałaby zmianę praw fizyki. A zatem zmniejszenie prędkości światła wymagało przełomów w podstawach fizyki i szczęśliwego zbiegu okoliczności. Po sześćdziesięciu latach jedynym konkretnym osiągnięciem w badaniach podstawowych było stworzenie okołosłonecznego akceleratora cząstek. To z kolei doprowadziło do udanego zakończenia największego projektu badawczego w ramach planu Czarna Domena – projektu Czarna Dziura.

Naukowcy próbowali przeróżnych technik, by zmienić prędkość światła. Raz użyto nawet najsilniejszego sztucznego pola magnetycznego. Jednak najlepszym sposobem wpłynięcia na światło w próżni było stworzenie w laboratorium lokalnego pola grawitacji, jedynej drogi, która zdawała się prowadzić do uzyskania czarnej dziury. Mikroskopijne czarne dziury mógł wytwarzać okołosłoneczny przyspieszacz cząstek.

Szefem zespołu zajmującego się realizacją projektu Czarna Dziura był 高 Way. Cao Bin pracował z nim przez kilka lat. Gdy opowiadał o nim Cheng Xin, nie potrafił ukryć mieszanych uczuć, jakie do niego żywił.

– Ten człowiek miał ostrą postać autyzmu… i nie mówię o jakimś samotnym geniuszu, który izoluje się od społeczeństwa, ale o prawdziwej chorobie psychicznej. Był zamknięty w sobie, miał trudności z porozumiewaniem się z kimkolwiek i nigdy nawet nie dotknął kobiety. Jego niezwykłe sukcesy zawodowe były możliwe tylko w tej epoce, ale pomimo tych osiągnięć większość jego przełożonych i kolegów uważała go tylko za inteligentny akumulator o dużej mocy. Z powodu choroby cierpiał katusze i starał się zmienić, ale i w tym względzie odróżniał się od innych geniuszy. Od… hmm, chyba 8 roku ery nadawania poświęcił się badaniom

teoretycznym nad zmniejszeniem prędkości światła. Wydaje mi się, że z czasem zaczął utożsamiać swoją osobowość z tą prędkością, jakby uznał, że gdyby udało mu się ją zmienić, to tym samym zmieniłby siebie. Niestety, prędkość światła to najbardziej stabilna rzecz w kosmosie. Badania nad jej zmniejszeniem przypominały torturowanie światła bez względu na konsekwencje. Starano się robić z nim wszystko: chłostać, skręcać, rozrywać, rozciągać, ścieśniać, a nawet je niszczyć, ale udawało się co najwyżej zmienić jego częstotliwość w próżni. Jego prędkość pozostawała niezmienna, jak ściana skalna nie do zdobycia. Po trzydziestu latach wszyscy, teoretycy i eksperymentatorzy, wpadli w rozpacz. Narodziło się powiedzenie: jeśli naprawdę istnieje Stwórca, to jedyną rzeczą w całym dziele stworzenia, którą hermetycznie zamknął, jest prędkość światła. Dla 高 Waya ta rozpacz miała dodatkowy wymiar. Kiedy poddawałem się hibernacji, on był blisko pięćdziesiątki. Nadal nie związał się z żadną kobietą i uważał, że jego los jest równie oporny jak prędkość światła; jeszcze bardziej zamknął się w sobie i stronił od ludzi. Projekt Czarna Dziura rozpoczęto w 1 roku ery schronu i realizowano przez jedenaście lat. Jego autorzy nie wiązali z nim wielkich nadziei. Zarówno obliczenia teoretyczne, jak i obserwacje astronomiczne wykazywały, że prędkości światła nie może zmniejszyć nawet czarna dziura. Te demony Wszechświata mogły jedynie zmienić w swych polach grawitacji jego drogę i częstotliwość, ale ani na jotę prędkości. Żeby jednak kontynuować badania nad czarną domeną, trzeba było stworzyć warunki eksperymentalne – niezwykle potężne pola grawitacji, które wymagały czarnych dziur. Poza tym skoro czarna domena jest w zasadzie dużą czarną dziurą, w której światło porusza się wolniej, pomyślano, że być może jakieś niespodziewane pomysły nasunie obserwacja z bliska mikroskopijnej czarnej dziury, gdzie światło rozchodzi się z normalną prędkością. Okołosłoneczny

przyspieszacz cząstek mógł szybko wytwarzać takie mikroskopijne czarne dziury, ale znikały one równie szybko, jak się pojawiały. Aby uzyskać stabilną czarną dziurę, wyprowadzono ją z przyspieszacza, gdy tylko powstała, i wszczepiono ją w Ledę. Leda była najmniejszym księżycem Jowisza, o średnim promieniu zaledwie ośmiu kilometrów. Praktycznie duża skała. Przed przeniesieniem tam czarnej dziury obniżono jej orbitę i przekształcono ją w ciało krążące równolegle z Jowiszem wokół Słońca jak skupisko miast. Jednak w odróżnieniu od takiego skupiska umieszczono ją w punkcie libracyjnym L_2, gdzie znajduje się do tej pory. Pozwoliło to na utrzymywanie jej w stałej odległości od Jowisza bez potrzeby ciągłego dostosowywania jej orbity. Od tamtej pory do dzisiaj jest to największe ciało niebieskie, które ludziom udało się przesunąć w kosmosie. Po wszczepieniu tej mikroskopijnej czarnej dziury w Ledę zaczęła ona wchłaniać materię i szybko rosnąć. Jednocześnie intensywne promieniowanie emitowane przez wpadającą do niej materię topiło otaczającą ją skałę. Wkrótce stopiła się cała Leda i ta skała w kształcie kartofla przeistoczyła się w rozżarzoną do czerwoności kulę lawy. Kula powoli się kurczyła, ale żarzyła się coraz jaśniej, aż w końcu zniknęła w oślepiającym błysku. Obserwacje pokazały, że cała masa Ledy, poza niewielką ilością materii wyrzuconej przez promieniowanie, została wchłonięta przez czarną dziurę. Dziura pozostawała stabilna, a jej promień Schwarzschilda czy horyzont zdarzeń zwiększył się z pojedynczej cząstki do dwudziestu jeden nanometrów. Wokół tej czarnej dziury zbudowano miasto, właśnie Prędkość Światła II. Sama dziura była zawieszona w jego środku, który nie obracał się, a jego wnętrze było próżnią połączoną z przestrzenią kosmiczną. W zasadzie było ono pojemnikiem, w którym znajdowała się ta czarna dziura. Można tam było sprowadzić personel i sprzęt do jej badań. Trwało to wiele lat. Ludzie mogli po raz pierwszy

badać czarną dziurę w warunkach laboratoryjnych. Dokonano wielu odkryć, które pomogły się rozwinąć fizyce teoretycznej i kosmologii. Jednak żadne z nich nie przybliżyły nas ani trochę do celu, który sobie postawiliśmy – zmniejszenia prędkości światła w próżni. Sześć lat po rozpoczęciu badań czarnej dziury zginął 高 Way. Według oficjalnego oświadczenia Światowej Akademii Nauk podczas przeprowadzania eksperymentu został przypadkowo „wessany przez czarną dziurę". Każdy, kto ma podstawową wiedzę naukową, wie, że prawdopodobieństwo „wessania" 高 Waya przez czarną dziurę było praktyczne zerowe. To, że czarne dziury stają się pułapkami, z których nie może uciec nawet światło, nie wynika stąd, że siła ich pól grawitacyjnych jest przemożna – chociaż duża czarna dziura powstała w wyniku kolapsu gwiazdy rzeczywiście wytwarza niezwykle silne pole grawitacji – lecz bierze się z wielkiej gęstości tych pól. Gdyby Słońce się zapadło w czarną dziurę, Ziemia i pozostałe planety nadal by wokół niego krążyły. Dopiero kiedy znajdziesz się bardzo blisko takiej dziury, jej grawitacja wywiera dziwny wpływ. Na Prędkości Światła II czarna dziura otoczona była w promieniu pięciu tysięcy metrów siatką ochronną. Wstęp na teren poza nią był zabroniony. Ponieważ promień Ledy wynosił pierwotnie tylko osiem tysięcy metrów, w tej odległości siła grawitacji czarnej dziury nie była większa niż na powierzchni tego satelity przed umieszczeniem tam dziury. Ta siła przyciągania nie jest duża – osoba stojąca tam zasadniczo była nieważka i mogła łatwo uciec, używając silników sterujących w osobistych skafandrach kosmicznych. Tak więc 高 Way nie mógł zostać „wessany". Odkąd stworzono tę czarną dziurę, 高 Way dostał bzika na jej punkcie. Po tylu latach zmagania się z prędkością światła, w czasie których nie udało mu się zmienić ani jednej cyfry w tej bliskiej trzystu tysięcy stałej, stał się rozdrażniony i miał poczucie przegranej. Ponieważ stałość prędkości była

jednym z podstawowych praw natury, zaczął pogardzać tymi prawami, a jednocześnie się ich bać. Ale teraz miał przed oczami coś, co ścisnęło Ledę do wielkości dwudziestu jeden nanometrów. W horyzoncie zdarzeń tej czasoprzestrzennej osobliwości nie działały znane prawa natury. 高 Way często wisiał na siatce ochronnej i godzinami wpatrywał się w odległą o pięć kilometrów czarną dziurę. Obserwował, jak my teraz, jej luminescencję i czasami twierdził, że czarna dziura z nim rozmawia, że potrafi on rozszyfrować znaczenie mrugającego światła. Nikt nie był świadkiem jego zniknięcia, a jeżeli były jakieś tego nagrania, nie zostały ujawnione. 高 Way był jednym z głównych fizyków zajmujących się projektem Czarna Dziura, więc znał hasło otwierające siatkę. Jestem pewien, że tam wszedł i podleciał do niej za blisko… Pewnie chciał zobaczyć z bliska przedmiot swojej fascynacji, a może dostać się do wnętrza tej osobliwości, gdzie nie obowiązywały prawa natury, żeby przed tym wszystkim uciec. To, co się działo po jego wessaniu, jest trudne do opisania. Naukowcy obserwowali czarną dziurę przez kierowane z daleka mikroskopy i odkryli, że na jej horyzoncie zdarzeń – to powierzchnia tej kuli o średnicy dwudziestu jeden nanometrów – znajduje się jakaś postać. To był 高 Way przechodzący przez horyzont zdarzeń. Według ogólnej teorii względności odległy obserwator widziałby, jak zwalnia zegar obok horyzontu zdarzeń, a proces spadania ku niemu 高 Waya też zwolniłby i rozciągnął się w nieskończoność. Ale we własnym układzie odniesienia 高 Way przeszedł już przez horyzont zdarzeń. Co dziwniejsze, jego postać miała normalne proporcje. Może dlatego, że czarna dziura była tak mała, ale zdaje się, że nie działały siły pływowe. Został sprasowany do nanometrowej wielkości, ale przestrzeń tam była też zakrzywiona. Paru fizyków uważa, że budowa ciała 高 Waya nie została uszkodzona na horyzoncie zdarzeń. Innymi słowy, prawdopodobnie nadal żyje. I dlatego

firma, w której ubezpieczony był na wypadek śmierci, odmówiła wypłaty odszkodowania, mimo że przeszedł przez horyzont zdarzeń i powinien być już martwy. Ale umowa została zawarta w naszym układzie odniesienia i z tego punktu widzenia nie sposób udowodnić, że 高 Way nie żyje. Nie można nawet zawrzeć polubownej ugody, bo jest to możliwe dopiero po wypadku, a skoro 高 Way nadal spada w dziurę, wypadek jeszcze się nie skończył i nigdy się nie skończy. Wtedy pewna kobieta pozwała Światową Akademię Nauk i zażądała, by przerwano dalsze badania tego okazu czarnej dziury. W tamtym czasie badania z dużej odległości nie mogły przynieść żadnych ważnych rezultatów. Żeby uzyskać jakieś użyteczne dane, trzeba by było jakoś manipulować tą czarną dziurą, na przykład wysłać w nią eksperymentalne obiekty, które wytworzyłyby wielkie ilości promieniowania i mogły doprowadzić do zakłóceń w sąsiedztwie horyzontu wydarzeń. Gdyby 高 Way jeszcze żył, mogłoby to zagrozić jego życiu. Ta kobieta wprawdzie nie wygrała sprawy, ale z różnych powodów przerwano badania tej czarnej dziury i opuszczono Prędkość Światła II. Teraz możemy tylko czekać, aż dziura zniknie, a ocenia się, że nie nastąpi to wcześniej niż za pół wieku. Jednak teraz wiemy, że 高 Waya kochała co najmniej jedna kobieta, chociaż on nigdy się o tym nie dowiedział. Później regularnie tu przylatywała i starała się wysłać do czarnej dziury wiadomości radiowe albo neutrinowe. Napisała nawet wielkimi literami, że go kocha, i umieściła ten napis na siatce ochronnej, licząc na to, że spadający 高 Way go dojrzy, ale w swoim układzie odniesienia przeleciał już przez ten horyzont zdarzeń ku osobliwości… To skomplikowana sprawa.

Cheng Xin patrzyła na fosforescencję w ciemności. Teraz wiedziała, że jest tam człowiek, który będzie spadał wiecznie na horyzoncie wydarzeń, gdzie czas się zatrzymał. Widziany z tego świata nadal żył, ale we własnym

świecie już umarł… Tak wiele dziwnych losów, tak wiele żyć, których nie sposób było sobie wyobrazić…

Teraz wydawało się jej, że czarna dziura rzeczywiście wysyła jakąś wiadomość, a nawet że jest mrugającym porozumiewawczo okiem. Odwróciła od niej wzrok, czując w sercu taką samą pustkę, jaka panowała w tych ruinach. Powiedziała cicho do Cao Bina:

– Lećmy do Halo City.

* Podobnie jak 艾 AA, 高 Way jest mieszanym chińsko-angielskim nazwiskiem i imieniem – 高 jest nazwiskiem i wymawia się „Gao”.

11 rok ery schronu

Halo City

Gdy łódka z Cheng Xin i Cao Binem zbliżyła się do Halo City, natrafiła na blokadę ustawioną przez Flotę Federacji. Utrzymywano ją już od dwóch tygodni, a miasto otaczało ponad dwadzieścia statków klasy gwiezdnej.

Te statki były ogromne, ale przy mieście wyglądały jak jednoosobowe łódki przy gigantycznym transatlantyku. Federacja wysłała do ustawienia tej blokady większość swoich jednostek.

Po zniknięciu w głębi kosmosu pierwszej i drugiej floty trisolariańskiej i zerwaniu przez Trisolarian wszelkich kontaktów z ludzkością pozaziemskie zagrożenia dla rodzaju ludzkiego przyjęły całkowicie nową formę. Flota Międzynarodowa, utworzona do walki z inwazją z Trisolaris, straciła rację bytu i stopniowo jej znaczenie malało, aż w końcu została rozwiązana. Flota Słoneczna, która do niej należała, stała się własnością rządu Federacji Układu Słonecznego. Po raz pierwszy w historii ludzkości zjednoczony rząd światowy panował nad większością sił zbrojnych. Skoro nie było już potrzeby utrzymywania dużych sił kosmicznych, wielkość Floty radykalnie zmniejszono. Po rozpoczęciu programu Schron większość zachowanych jeszcze ponad stu statków wojennych klasy gwiezdnej przeznaczono do użytku cywilnego. Po ich rozbrojeniu i usunięciu z nich układów recyklingu ekologicznego stały się międzyplanetarnymi środkami transportu materiałów budowlanych dla programu Schron. W służbie pozostało tylko około trzydziestu jednostek. W ostatnich sześćdziesięciu

kilku latach nie zbudowano żadnych nowych statków klasy gwiezdnej, bo skonstruowanie dwóch czy trzech takich jednostek kosztowało tyle, co budowa dużego miasta kosmicznego. Poza tym nie były potrzebne. Większość starań Flota Federacji poświęcała na stworzenie systemu wczesnego ostrzegania.

Łódź zatrzymała się na rozkaz dowódcy blokady. Podleciała do niej wojskowa łódź patrolowa. Była bardzo mała – z daleka Cheng Xin widziała tylko żar wydobywający się z jej silników sterujących, a kadłub zobaczyli, dopiero kiedy się zbliżyła. Po podpłynięciu łodzi patrolowej do ich łódki Cheng Xin mogła przyjrzeć się umundurowanym ludziom w środku. Ich mundury zupełnie się różniły od tych z poprzedniej ery i wydawały się nawiązywać do stylu z dawnych czasów. Miały mniej cech strojów sił kosmicznych i bardziej przypominały mundury wojsk działających na Ziemi.

Mężczyzna, który wsunął się do nich po połączeniu się łodzi, był w średnim wieku i w cywilnym ubraniu. Nawet w stanie nieważkości poruszał się ze spokojem i gracją i nie sprawiał wrażenia, że źle się czuje w ciasnej, przeznaczonej tylko dla dwóch osób przestrzeni.

– Dzień dobry. Jestem Blair, specjalny wysłannik prezydenta Federacji. Chcę spróbować po raz ostatni negocjacji z władzami Halo City. Mógłbym rozmawiać z wami z mojego statku, ale z szacunku dla zwyczajów ery powszechnej postanowiłem przybyć tu osobiście.

Cheng Xin zauważyła, że w tej epoce nawet politycy byli inni. Asertywność i elokwencja poprzedniej epoki ustąpiły miejsca skromności, powściągliwości i uprzejmości.

– Rząd Federacji zarządził całkowitą blokadę Halo City. Nikt nie może się tam dostać ani stamtąd wydostać. Wiemy jednak, że pasażerką tego statku jest Cheng Xin. – Wysłannik skinął do niej głową. – Zezwalamy pani

na przejście przez blokadę i damy pani asystę. Mamy nadzieję, że użyje pani swego wpływu, żeby skłonić władze miasta do zaprzestania szalonego oporu, i zapobiegnie dalszemu pogorszeniu sytuacji. Wyrażam życzenie prezydenta Federacji.

Wysłannik machnął ręką i otworzył okno informacyjne. Pokazał się w nim prezydent. W gabinecie za jego plecami stały flagi różnych miast Świata Schronu, z których żadna nie była Cheng Xin znana. Państwa narodowe zniknęły wraz ze swoimi flagami. Prezydent wyglądał jak zwyczajny mężczyzna azjatyckiego pochodzenia. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Skinąwszy Cheng Xin głową na powitanie, powiedział:

– Mój wysłannik ma rację. Taka jest wola rządu Federacji. Pan Wade twierdzi, że ostateczna decyzja należy do pani, w co nie w pełni wierzymy. Ale życzymy pani powodzenia. Miło mi, że nadal wygląda pani tak młodo. Chociaż dla rozstrzygnięcia tej sprawy jest pani być może za młoda.

Gdy prezydent zniknął z okna, Blair powiedział:

– Wiem, że orientuje się już pani z grubsza w sytuacji, ale mimo to chciałbym przedstawić jej ogólny zarys. Postaram się być obiektywny i sprawiedliwy.

Cheng Xin zauważyła, że zarówno prezydent, jak i jego wysłannik zwracali się tylko do niej, ignorując obecność Cao Bina, co pokazywało, że są do niego wrogo nastawieni. W istocie Cao Bin wyjaśnił już jej szczegółowo sytuację, a opis przedstawiony przez wysłannika prezydenta niewiele się różnił.

Po przejęciu przez Thomasa Wade’a Halo Group stała się ona kluczowym wykonawcą programu Schron. W ciągu ośmiu lat powiększyła się dziesięciokrotnie i była jednym z najpotężniejszych podmiotów

gospodarczych na świecie. Sam Wade nie był wybitnym przedsiębiorcą, nie miał nawet takich umiejętności kierowania pracami firmy jak 艾 AA. Rozwój kompanii był wynikiem działań powołanego przez niego nowego zespołu kierowniczego. Nie zajmował się prowadzeniem firmy osobiście i mało się nią interesował, ale zgarniał dużą część jej zysków, które inwestował w badania nad napędem umożliwiającym rozwijanie prędkości światła.

Tuż po rozpoczęciu programu Schron kompania zbudowała Halo City jako ośrodek badawczy. Wybrano jako idealne miejsce jego lokalizacji punkt libracyjny L_2 między Słońcem i Jowiszem, ponieważ eliminowało to potrzebę stosowania silników sterujących i zużycie surowców dla utrzymania pozycji miasta. Halo City było jedynym naukowym miastem kosmicznym poza jurysdykcją rządu Federacji. Jednocześnie z budową miasta Wade zaczął konstruować okołosłoneczny akcelerator cząstek. Projekt określano mianem „Wielkiego Muru Układu Słonecznego”, bo zamykał Słońce w pierścieniu.

Przez ponad pół wieku Halo Group zajmowała się podstawowymi badaniami nad lotami z prędkością światła. Duże firmy angażowały się w badania podstawowe już od ery odstraszania, bo w nowym ładzie gospodarczym mogło to przynieść ogromne zyski. A zatem zachowanie Halo Group nie było niezwykłe. To, że jej ostatecznym celem jest zbudowanie statków zdolnych do latania z prędkością światła, było tajemnicą poliszynela, ale dopóki zajmowała się badaniami podstawowymi, rząd Federacji nie mógł jej oskarżyć o łamanie prawa. Pozostawał wprawdzie podejrzliwy i wielokrotnie prowadził wobec niej dochodzenie, ale przez pół wieku stosunki między nimi były w zasadzie poprawne. Ponieważ zbudowanie statków o prędkości światła i stworzenie czarnej domeny wymagały w dużej części takich samych badań podstawowych,

Halo Group współpracowała też ze Światową Akademią Nauk. Na przykład podczas realizacji projektu czarnej dziury akademia korzystała z należącego do grupy okołosłonecznego akceleratora cząstek.

Jednak przed sześcioma laty Halo Group obwieściła nagle plan budowy statków z napędem krzywiznowym. Takie otwarte naruszenie prawa oburzyło społeczność międzynarodową. Od tamtej pory konflikt między grupą i rządem Federacji stale się tlił. Po wielu rundach negocjacji grupa przyrzekła, że aby uniknąć ujawnienia położenia Ziemi przez smugi zostawione przez statki, miejsce do prób nowego napędu wybierze co najmniej pięćset jednostek astronomicznych od Słońca, ale rząd uznał, że sama budowa takich statków jest poważnym pogwałceniem prawa i naruszeniem konstytucji Federacji. Niebezpieczeństwo związane ze statkami o prędkości światła polegało nie na tym, że zostawiały one widoczne z daleka smugi, ale że burzyły nową stabilność społeczną w Świecie Schronu, a tego nie można było tolerować. Przegłosowano rezolucję, która upoważniała rząd do przejęcia Halo Group i okołosłonecznego akceleratora cząstek oraz położenia kresu badaniom teoretycznym i pracom konstrukcyjnym nad napędem krzywiznowym. Zachowanie grupy miało być odtąd dokładnie monitorowane.

W reakcji na to Halo Group ogłosiła niezależność od Federacji Układu Słonecznego i konflikt między nimi jeszcze bardziej się zaostrzył.

Społeczność międzynarodowa nie brała zbyt poważnie deklaracji Halo Group o niepodległości. Tak naprawdę po rozpoczęciu realizacji programu Schron często dochodziło do konfliktów między poszczególnymi miastami i rządem Federacji. Na przykład w przeszłości dwa miasta w skupiskach koło Urana i Neptuna – Afryka II i Ocean Indyjski I – ogłosiły niepodległość, ale ostatecznie nic z ich starań nie wyszło. Chociaż Flota Federacji nie miała nawet w przybliżeniu takiej wielkości jak dawniej, była

nadal przytłaczającą siłą, gdyby została użyta wobec pojedynczych miast kosmicznych. Zgodnie z prawem miasta kosmiczne nie mogły posiadać własnych, niezależnych sił zbrojnych, a tylko ograniczoną liczbę narodowych sił porządkowych, które nie miały środków do walki w kosmosie. Poza tym gospodarka Świata Schronu była tak ściśle zintegrowana, że żadne miasto nie mogłoby wytrzymać blokady dłużej niż przez dwa miesiące.

– Ja też nie rozumiem stanowiska Wade'a w tej sprawie – rzekł Cao Bin. – Ten człowiek patrzy na wszystko perspektywicznie i nigdy nie podejmie żadnego kroku bez przemyślenia konsekwencji. Dlaczego więc ogłosił niepodległość? Dostarczenie rządowi Federacji pretekstu do przejęcia Halo City siłą to głupota.

Wysłannik prezydenta już ich opuścił i łódź, teraz już tylko z Cao Binem i Cheng Xin, kontynuowała lot. W przestrzeni kosmicznej przed nimi pojawiła się struktura w kształcie pierścienia i Cao Bin polecił sztucznej inteligencji, by skierowała tam łódź i wyhamowała. Gładka metalowa powierzchnia obiektu odbijała światło gwiazd w postaci długich pasemek, co przywodziło na myśl Pierścień, który *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* napotkały w przestrzeni czterowymiarowej. Łódź zatrzymała się i unosiła obok pierścienia. Cheng Xin oceniła jego średnicę na jakieś dwieście, a grubość na pięćdziesiąt metrów.

– Patrzysz na okołosłoneczny akcelerator cząstek – wyjaśnił z szacunkiem Cao Bin.

– Jest… raczej mały.

– Och, przepraszam, nie wyraziłem się jasno. To jest tylko jeden zwój akceleratora. Jest ich ogółem trzy tysiące dwieście, w odległości półtora miliona kilometrów od siebie nawzajem. Tworzą duży krąg wokół Słońca w sąsiedztwie orbity Jowisza. Cząstki przelatują przez ich środek, gdzie są

przyspieszane przez siłę wytwarzaną w pierścieniu w kierunku następnego pierścienia, gdzie znowu zyskują przyspieszenie… podczas tego procesu cząstka może wielokrotnie okrążyć Słońce.

Gdy Cao Bin wcześniej opowiadał jej o okołosłonecznym akceleratorze cząstek, zawsze wyobrażała go sobie jako wiszący w kosmosie obwarzanek. Jednak w rzeczywistości zbudowanie solidnego „Wielkiego Muru" wokół Słońca byłoby niemożliwym wyczynem, zbliżającym się poziomem do projektu inżynieryjnego Boga. Cheng zrozumiała w końcu, że podczas gdy ziemskie przyspieszacze cząstek potrzebowały zamkniętych rurowatych pierścieni dla utrzymania w ich środku próżni, w kosmosie nie było to konieczne. Cząstki mogły po prostu lecieć przez kosmiczną próżnię, coraz bardziej przyspieszane przez kolejne zwoje.

– Następny zwój znajduje się półtora miliona kilometrów stąd, cztery czy pięć razy dalej niż Księżyc od Ziemi. Nie możesz go zobaczyć. To superzderzacz zdolny do rozpędzenia cząstki do energii Wielkiego Wybuchu. Statkom nie wolno się w żadnym miejscu zbliżyć do jego orbity. Kilka lat temu zagubiony frachtowiec wleciał przez pomyłkę na tę orbitę i uderzyła w niego wiązka przyspieszonych cząstek. Naładowane superwysoką energią cząstki wytworzyły grad cząstek wtórnych, który w mgnieniu oka przemienił statek i jego ładunek milionów ton rudy w parę.

Cao Bin powiedział też Cheng Xin, że głównym projektantem okołosłonecznego akceleratora cząstek był Bi Yunfeng. Z ponad sześćdziesięciu kilku lat trzydzieści pięć spędził nad tym projektem, a resztę przespał w hibernacji. Obudzono go w zeszłym roku, ale był teraz dużo starszy od Cao Bina.

– Ale ma staruszek szczęście. W erze powszechnej pracował nad ziemskimi akceleratorami cząstek, a teraz, trzy wieki później, zbudował okołosłoneczny. Ja nazwałbym to udaną karierą, a pani? Ale ma nieco

ekstremistyczne poglądy i jest fanatycznym zwolennikiem niepodległości Halo City.

Podczas gdy ogół społeczeństwa i politycy byli przeciwni budowaniu statków mogących osiągać prędkość światła, wielu naukowców popierało ten pomysł. Halo City stało się świętym miastem dla tych, którzy tęsknili do statków zdolnych do podróżowania z prędkością światła, i przyciągnęło wielu znakomitych badaczy. Z Halo City współpracował często – otwarcie lub w sekrecie – nawet establishment naukowy Federacji. Dzięki temu przodowało ono w wielu dziedzinach badań podstawowych.

Łódka odleciała od zwoju i kontynuowała podróż. Halo City było tuż przed nią. Zbudowano je na rzadko widywanym planie koła ze szprychami. Taka struktura była mocna, ale miała małą przestrzeń wewnętrzną, nie zapewniała „poczucia świata". Mówiono, że mieszkańcy nie potrzebują tego poczucia, bo dla nich światem jest cały Wszechświat.

Łódka wpłynęła do osi gigantycznego koła. Cheng Xin i Cao Bin musieli się dostać do centrum przez ośmiokilometrową szprychę. Był to jeden z najbardziej niedogodnych aspektów miasta na planie koła. Cheng Xin przypomniała się wizyta na stacji końcowej windy kosmicznej i wielka hala podobna do starożytnego dworca kolejowego. Ale tu odniosła inne wrażenie. Halo City było ponad dziesięć razy większe od tamtej stacji końcowej, więc jego wnętrze było dość przestronne i nie wyglądało na zaniedbane.

W znajdującej się w szprysze windzie stopniowo zaczęła się pojawiać grawitacja. Gdy jej siła doszła do 1 g, znaleźli się we właściwym mieście. Składało się z trzech części: Akademii Nauk Halo, Akademii Inżynierii Halo i Centrum Kontroli okołosłonecznego akceleratora cząstek. Było ono w istocie długim na jakieś trzydzieści kilometrów tunelem w kształcie pierścienia. Chociaż nie było nawet w przybliżeniu tak otwarte

i przestronne jak duże powłoki innych miast, nie przyprawiało też człowieka o klaustrofobię.

Cheng Xin nie zauważyła w tej części żadnych pojazdów motorowych. Większość mieszkańców poruszała się rowerami, z których wiele stało zaparkowanych na poboczu do użytku każdego chętnego. Ale po nią i Cao Bina przyjechał mały motorowy kabriolet.

Ponieważ sztuczna grawitacja w pierścieniu ciągnęła w stronę zewnętrznego obrzeża, miasto zbudowano na powierzchni wzdłuż niego. Na stronie wewnętrznej wyświetlano holograficzny obraz błękitnego nieba, który nieco nadrabiał brak poczucia świata. Nad ich głowami przeleciało stado szczebiocących ptaków i Cheng Xin zauważyła, że nie były to hologramy, lecz prawdziwe ptaki. Dobrze się tu czuła, nie tak jak w innych kosmicznych miastach. Wszędzie było dużo drzew i trawników. Żaden z budynków nie był zbyt wysoki. Te, które należały do Akademii Nauk, były pomalowane na biało, a należące do Akademii Inżynierii na niebiesko, ale każdy był wyjątkowy. Delikatne budowle były do połowy ukryte za zielonymi roślinami, przez co miała wrażenie, że znajduje się na kampusie uniwersyteckim.

Po drodze widziała ciekawy widok – coś, co przypominało ruiny greckiej świątyni. Na kamiennej platformie stało kilka połamanych kolumn porośniętych pnącym się w górę bluszczem. Pośrodku, między kolumnami, znajdowała się fontanna, z której strzelał wesoło w przesycone blaskiem słońca powietrze strumień czystej wody. Kilkoro zwyczajnie ubranych mężczyzn i kobiet opierało się o kolumny albo leżało na trawie obok fontanny, oddając się leniuchowaniu. Wydawali się nie przejmować tym, że miasto jest oblężone przez Flotę Federacji.

Koło ruin stało parę posągów. Jeden z nich przyciągnął uwagę Cheng Xin. Ręka w żelaznej rękawicy wydobywała mieczem z basenu utkane

z gwiazd wieńce, z których stale ściekała woda. Widok ten poruszył coś głęboko ukrytego w jej pamięci, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie to wcześniej widziała. Patrzyła z pojazdu na rzeźbę, aż ta zniknęła.

Samochód zatrzymał się przed niebieskim budynkiem. Było to laboratorium oznaczone tablicą z napisem „Akademia Inżynierii, technologia podstawowa 021”. Na trawniku przed laboratorium Cheng Xin zobaczyła Wade’a i Bi Yunfenga.

Od czasu przejęcia Halo Group Wade ani razu nie poddał się hibernacji i miał teraz sto dziesięć lat. Nosił krótko przystrzyżone włosy i brodę, białe teraz jak śnieg. Nie używał laski i miał pewny krok, ale był trochę przygarbiony, a jeden z rękawów jego marynarki nadal zwisał pusty. Gdy spotkały się ich spojrzenia, Cheng Xin zrozumiała, że czas nie pokonał tego człowieka. Mijające lata nie starły tego, co miał w środku, przeciwnie – stało się to jeszcze bardziej widoczne, jak skała, kiedy stopnieje śnieg i lód.

Bi Yunfeng powinien być dużo młodszy od Wade’a, ale wyglądał starzej. Był bardzo podekscytowany widokiem Cheng Xin i miał taką minę, jakby nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł jej coś pokazać.

– Cześć, mała – powiedział Wade. – Teraz mam trzy razy tyle lat co ty.

Jego uśmiech nadal nie był ciepły, ale już nie tak zimny jak lodowata woda.

Cheng Xin patrzyła na nich z mieszanymi uczuciami. Przez ponad sześćdziesiąt lat walczyli o swoje ideały i teraz ich drogi życiowe zbliżały się do końca. Natomiast ona przeszła wiele prób, odkąd obudziła się po raz pierwszy w erze odstraszania, ale w rzeczywistości spędziła nie więcej niż cztery lata poza stanem hibernacji. Miała więc praktycznie dopiero trzydzieści trzy lata, a średnia długość życia w tej erze wynosiła sto pięćdziesiąt lat.

Cheng Xin przywitała się, a potem nikt nie tracił czasu na dalszą rozmowę. Wade poprowadził ją do laboratorium, Bi Yunfeng i Cao Bin poszli za nimi. Weszli do przestronnej sali bez okien. Znany drażniący zapach elektryczności statycznej świadczył o tym, że znajdują się w pomieszczeniu zabezpieczonym przed inwigilacją sofonów. Chociaż minęło już ponad sześćdziesiąt lat, ludzie nadal nie byli pewni, czy sofony opuściły Układ Słoneczny, i być może nigdy nie będą mieli takiej pewności. Jeszcze niedawno w sali musiało być pełno sprzętu i instrumentów, ale teraz złożono to wszystko w niełądzie pod ścianami, jakby chciano w pośpiechu oczyścić jej środek. Stała tam tylko jedna maszyna. Otaczający ich zewsząd chaos i pustka w środku świadczyły o ogromnym podnieceniu, jakby zespół poszukiwaczy skarbów znalazł właśnie bezcenny przedmiot, odrzucił narzędzia na bok i ostrożnie przeniósł zdobycz na środek otwartej przestrzeni.

Skomplikowana budowa maszyny przypominała Cheng Xin tokamak z ery powszechnej, ale zminiaturyzowany. Główna bryła składała się z kuli przeciętej poziomo płaską, czarną, metalową płytą, która wystawała kilka metrów za jej skraj. Płyta, obejmująca kulę na wysokości pasa, służyła też za stół laboratoryjny o mocnych nogach. Poza kilkoma narzędziami i manipulatorami przymocowanymi do teleskopowych ramion powierzchnia tego stołu była pusta.

W półkuli pod stołem tkwiły rury różnej grubości biegnące do niewidocznego środka maszyny, co sprawiało, że wyglądała ona jak mina morska z czopami. Najwyraźniej cały ten układ miał koncentrować w środku jakąś energię.

Natomiast druga półkula, nad stołem, zrobiona była z przezroczystego szkła. Obie tworzyły całość podzieloną metalową płytą, w której zwykła przejrzystość kontrastowała z całkowitą nieprzejrzystością.

Cheng Xin zobaczyła przez szklaną kopułę małą, prostokątną, metalową platformę, której boki mierzyły zaledwie kilka centymetrów. Była wielkości paczki papierosów i miała gładką, lustrzaną powierzchnię. Wyglądała jak mikroskopijna, delikatna scena, a skomplikowany mechanizm pod nią jak kanał dla orkiestry, która będzie akompaniować przy spektaklu, chociaż trudno było sobie wyobrazić, jakie będzie to przedstawienie.

– Pozwólmy fizycznej części ciebie przeżyć tę wielką chwilę – powiedział Wade.

Bi Yunfeng podniósł kopułę, a Wade podszedł do Cheng Xin z nożyczkami. Cheng Xin stężała, ale się nie cofnęła. Ostrożnie, za pomocą narzędzia leżącego na platformie, Wade uniósł kosmyk jej włosów i odciął ich końce. Przytrzymał je narzędziem jak szczypcami, uważnie im się przyjrzał i doszedł do wniosku, że są jeszcze za długie. Przeciął je na pół, tak że pozostałe miały tylko dwa czy trzy milimetry długości i były prawie niewidoczne. Podszedł do otwartej kopuły i starannie umieścił ścinki na gładkiej metalowej platformie. Chociaż miał ponad sto lat i tylko jedną rękę, jego ruchy były precyzyjne i opanowane. Nawet nie zadrżała mu dłoń.

– Podejdź i uważnie obserwuj – powiedział.

Cheng Xin pochyliła się nad kopułą. Widziała swoje włosy leżące na lustrzanej scenie. Przez środek sceny biegła czerwona linia, a włosy znajdowały się po jej jednej stronie.

Wade skinął na Bi Yunfenga, który otworzył w powietrzu okno sterujące i włączył maszynę. Cheng Xin spojrzała w dół i zobaczyła, że kilka rur podłączonych do maszyny zaczęło się czerwono jarzyć jak te, które widziała przez mgnienie oka w statku trisolariańskim. Usłyszała dudnienie, ale nie czuła gorąca. Przeniosła wzrok na małą platformę i poczuła dobiegające z niej jakieś niewidzialne zakłócenie, które omiotło jej twarz jak lekki powiew wiatru. Nie była pewna, czy nie uległa złudzeniu.

Włoski na platformie znalazły się po drugiej stronie czerwonej linii, ale nie dostrzegła żadnego ruchu.

– Co widziałaś? – zapytał Wade.

– Poświęciłeś pół wieku na to, żeby przesunąć o dwa centymetry trzymilimetrowe ścinki włosów – odparła.

– To napęd krzywiznowy – rzekł Wade.

– Gdybyśmy dalej przyspieszali te włosy za pomocą tej samej techniki, przesunęłyby się z prędkością światła o dziesięć metrów – dodał Bi Yunfeng. – Oczywiście teraz nie możemy tego osiągnąć i nie ośmielilibyśmy się zrobić tego tutaj. Gdybyśmy to zrobili, te kawałki włosów zniszczyłyby Halo City.

Cheng Xin zastanowiła się nad przesunięciem dzięki zakrzywieniu kosmyka włosów o dwa centymetry.

– Mówicie, że wynaleźliście proch i udało się wam zrobić rację, ale ostatecznym celem jest zbudowanie rakiety kosmicznej. Te dwa osiągnięcia może dzielić tysiąc lat.

– Pani analogia jest błędna – powiedział Bi Yunfeng. – Odkryliśmy równoważność energii i masy oraz zasadę promieniowania radioaktywnego. Ostatecznym celem jest zbudowanie bomby atomowej. Te dwa osiągnięcia dzieli tylko kilkadziesiąt lat. Za pięćdziesiąt lat powinniśmy być w stanie konstruować statki kosmiczne o napędzie krzywiznowym, które będą mogły latać z prędkością światła. Będzie to wymagało masy prób technicznych i wiele pracy. Musimy teraz wyłożyć karty na stół, żeby rząd się wycofał i dał nam środowisko niezbędne do przeprowadzenia tych prób.

– Ale wasze obecne podejście doprowadzi do tego, że stracicie wszystko.

– Wszystko zależy od twojej decyzji – rzekł Wade. – Pewnie myślisz, że jesteśmy bezbronni wobec tej floty. Otóż nie. – Machnął w stronę drzwi. – Wejdźcie.

Wkrótce salę wypełniła grupa czterdziestu czy pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn. Wszyscy byli młodzi, ubrani w czarne kosmiczne stroje maskujące, i wydawało się, że po ich wejściu w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej. Te stroje maskujące były lekkimi skafandrami kosmicznymi, które na pierwszy rzut oka nie różniły się od zwykłych skafandrów wojskowych, ale gdy tylko włożyli hełmy i plecaki ze sprzętem podtrzymującym życie, mogli wylecieć w kosmos. Jednak tym, co zdumiało Cheng Xin, była ich broń – karabiny z ery powszechnej. Może zostały wyprodukowane niedawno, lecz były starożytnego wzoru i w całości mechaniczne, z ręcznie ryglowanymi zamkami i ręcznymi spustami. Potwierdzała to amunicja – każdy miał dwa skrzyżowane na piersiach pasy ze lśniącymi żółtymi nabojami.

Widok tych ludzi w tej epoce był równie szokujący, jak byłby widok grupy ludzi uzbrojonych w łuki i miecze w erze powszechnej. Nie znaczy to, że nie wyglądali groźnie. Cheng Xin poczuła powiew przeszłości nie tylko z powodu ich starożytnej broni, ale także marsowych min. Nie tylko byli jednolicie umundurowani, ale też przenikał ich ten sam bojowy duch. Wydawali się twardzi i silni, pod cienkimi skafandrami kosmicznymi prężyły się mięśnie. Wszyscy mieli takie same spojrzenia i wyraz śmiałych, kanciastych twarzy: obojętność i pogardę dla życia.

– To nasze siły samoobrony. – Wade zatoczył ręką półkole. – Mają bronić Halo City i ideału statku zdolnego rozwinąć prędkość światła. Widzisz tu prawie wszystkich – część została na zewnątrz, ale jest ich nie więcej niż stu. Co do ich wyposażenia… – Wade wziął od jednego z żołnierzy karabin i odciągnął zamek. – Możesz zaufać swoim oczom – to starożytna broń zrobiona z nowoczesnych materiałów. Materiałem miotającym nie jest tu proch, a zasięg i precyzja strzału są dużo większe niż w autentycznych antykach. W kosmosie z takiego karabinu można trafić w statek odległy

o dwa tysiące kilometrów, ale to w zasadzie prymitywna broń. Pewnie myślisz, że to absurdalne. Ja też bym tak pomyślał, gdyby nie jedna rzecz. – Zwrócił karabin żołnierzowi i wyjął z jego pasa nabój. – Jak powiedziałem, naboje są starożytnego typu, ale pociski nowe. Prawdę mówiąc, tak nowe, że równie dobrze mogłyby pochodzić z przyszłości. Nabój jest nadprzewodzącym pojemnikiem, w którego środku znajduje się całkowita próżnia. Pole magnetyczne powstrzymuje tam małą kulkę od kontaktu z korpusem naboju. Ta kulka zrobiona jest z antymaterii.

– Okołosłonecznego akceleratora cząstek używaliśmy nie tylko do eksperymentów badawczych, ale także do produkcji antymaterii – powiedział Bi Yunfeng z dumą w głosie. – W ostatnich czterech latach praktycznie przez cały czas tylko do tego. Mamy teraz piętnaście tysięcy takich pocisków.

Prymitywnie wyglądający nabój w dłoni Wade’a przyprawił teraz Cheng Xin o dreszcze. Martwiła się, czy pole magnetyczne w tym nadprzewodzącym płaszczu nie zawiedzie – wystarczyłaby jedna awaria, a Halo City zostałoby unicestwione w oślepiającym błysku. Popatrzyła na pasy z nabojami na piersiach żołnierzy – były to łańcuchy boga śmierci. Jeden taki pas miał dość mocy, by zniszczyć cały Świat Schronu.

– Nie musimy nawet wychodzić w kosmos, by przypuścić atak – ciągnął Wade. – Poczekamy tylko, aż flota zbliży się do miasta. Do każdej z tych dwudziestu paru jednostek możemy wystrzelić dziesiątki, a nawet setki pocisków, a do zniszczenia statku wystarczy jeden. Chociaż ta taktyka jest prymitywna, to skuteczna: jeden żołnierz z karabinem ma siłę ogniową oddziału bojowego, zdolną do zagrożenia całemu statkowi wojennemu. Mamy też agentów z bronią krótką w innych miastach kosmicznych. – Włożył z powrotem nabój do pasa. – Nie chcemy wojny. Podczas ostatnich negocjacji pokażemy wysłannikowi Federacji naszą broń i wyjaśnimy naszą

taktykę. Mamy nadzieję, że rząd Federacji zważy koszta wojny i wycofa pogróżki pod adresem Halo City. Nie prosimy o wiele, tylko o zbudowanie ośrodka badawczego kilkaset jednostek astronomicznych od Słońca, gdzie oddalibyśmy się testowaniu napędu krzywiznowego.

– Ale czy możesz zagwarantować, że odniesiemy zwycięstwo, jeśli dojdzie do wojny? – zapytał Cao Bin. W odróżnieniu od Bi Yunfenga, który wyraźnie opowiadał się za wojną, dotąd się nie odzywał.

– Nie – odparł spokojnie Wade. – Ale oni też nie mogą. Możemy tylko starać się wygrać.

Cheng Xin wiedziała, co musi zrobić, gdy tylko zobaczyła pocisk z antymaterią w ręku Wade'a. Nie martwiła się o Flotę Federacji – wierzyła, że wymyśliliby jakiś sposób, by sobie poradzić z tą taktyką. Zwróciła uwagę na jedno zdanie: „Mamy też agentów z bronią krótką w innych miastach kosmicznych".

Gdyby wybuchła wojna, każdy z tych bojowników ukrytych w innych miastach kosmicznych mógłby niechcący wystrzelić pocisk z antymaterią w grunt, a wzajemna anihilacja materii i antymaterii w jednej chwili rozerwałaby cienką powłokę miasta i spopieliła wszystko wewnątrz. Potem wirujące miasto kosmiczne rozpadłoby się na fragmenty i zginęłyby miliony ludzi.

Miasta kosmiczne były kruche jak jajka.

Wprawdzie Wade nie powiedział wyraźnie, że zaatakowałby te miasta, ale nie powiedział też, że by tego nie zrobił. Przypomniała sobie, jak przed stu trzydziestu trzema laty celował do niej z pistoletu – ten obraz wrył się jej w serce. Nie wiedziała, jak zimnym trzeba być człowiekiem, by podjąć taką decyzję, ale istotą tego mężczyzny było szaleństwo zrodzone z bezwzględnej racjonalności. Wydało się jej, że widzi młodego

Wade’a sprzed trzech wieków, warczącego jak wściekła bestia: „Muszę iść naprzód bez względu na konsekwencje”.

Jakby na potwierdzenie obaw Cheng Xin przemówił do niej jeden z żołnierzy:

– Doktor Cheng, może być pani pewna, że będziemy walczyć do końca.

– Nie walczymy za panią, za pana Wade’a ani za to miasto – powiedział drugi. Wskazał w górę, a jego oczy zapłonęły. – Wie pani, co oni starają się nam zabrać? Nie to miasto ani nie statki latające z prędkością światła, ale cały Wszechświat poza Układem Słonecznym! Są tam miliardy nowych światów, ale oni nie pozwolą nam tam polecieć. Chcą zamknąć nas i naszych potomków w tym więzieniu, w więzieniu o promieniu pięćdziesięciu jednostek astronomicznych, zwanym Układem Słonecznym. Walczymy o wolność, o możliwość bycia wolnymi ludźmi we Wszechświecie. Walczymy o to samo, o co stale walczono w starożytności – o wolność. Będziemy walczyć do ostatka. Mówię w imieniu wszystkich z sił samoobrony.

Pozostali żołnierze kiwnęli głowami, patrząc na Cheng Xin ponurym i zimnym wzrokiem.

W następnych latach Cheng Xin miała sobie przypominać słowa tego żołnierza niezliczoną liczbę razy, ale teraz jej nie poruszyły. Miała wrażenie, że świat pogrąża się w mroku, i była zdjęta przerażeniem. Czuła się tak, jakby znowu stała przed siedzibą główną ONZ, trzymając w ramionach to dziecko sprzed stu trzydziestu kilku lat, jakby zagrażała mu wataha głodnych wilków, a ona musiała je za wszelka cenę obronić.

– Dotrzymasz przyrzeczenia? – zapytała Wade’a.

Wade kiwnął głową.

– Oczywiście. Inaczej po co bym prosił, żebyś tu przyleciała?

– Wobec tego przerwij wszystkie przygotowania do wojny i przestań stawiać opór. Oddaj wszystkie pociski z antymaterią rządowi Federacji. Każ tym wszystkim agentom, których wysłałeś do innych miast, zrobić natychmiast to samo!

Żołnierze patrzyli na nią tak, jakby chcieli ją spalić wzrokiem. Różnica sił między nimi i nią była przytłaczająca. Stała naprzeciw zimnej machiny wojennej. Każdy z tych mężczyzn miał ponad setkę bomb wodorowych, więc pod rozkazami silnego, szalonego wodza byli potężnym czarnym walcem, który mógł skruszyć wszelki opór, a ona źdźbłem trawy, które nie było w stanie nawet spowolnić jego ruchu. Ale musiała zrobić wszystko, co było w jej mocy.

Jednak wydarzenia nie potoczyły się tak, jak się spodziewała. Żołnierze po kolei odwracali od niej spojrzenia i kierowali je na Wade’a. Duszna atmosfera powoli się ulatniała, ale Cheng Xin nadal oddychała z trudem. Wade wciąż patrzył na platformę napędu krzywiznowego pod szklaną kopułą, na której, niczym na ołtarzu, leżały ścinki jej włosów. Cheng Xin wyobrażała sobie, że zebrał kiedyś wokół tego ołtarza wojowników, by obwieścić wojnę.

– Może się jeszcze trochę nad tym zastanowisz? – powiedział.

– Nie ma takiej potrzeby. – Głos Cheng Xin był twardy jak stal. – Podjęłam ostateczną decyzję. Przestańcie stawiać opór i oddajcie całą antymaterię, która jest w Halo City.

Wade podniósł wzrok i spojrzał na Cheng Xin błagalnie, z rzadką u niego bezradnością.

– Jeśli wyzbędziemy się naszej ludzkiej natury, dużo stracimy, ale jeśli wyzbędziemy się jej zwierzęcej części, stracimy wszystko – powiedział wolno.

– Ja wybieram ludzką naturę – odparła Cheng Xin, wiodąc po wszystkich spojrzeniem. – Wierzę, że wy wszyscy też.

Bi Yunfeng miał już coś powiedzieć, ale Wade go powstrzymał. Jego oczy przygasły. Coś się w nich wypaliło i zginęło na zawsze. Nagle przytłoczył go ciężar lat. Wyglądał na wyczerpanego. Wsparł się jedyną ręką na metalowej platformie i powoli usiadł na krześle, które ktoś mu podsunął. Potem podniósł rękę i patrząc w ziemię, wskazał na platformę przed sobą.

– Rozbrójcie się. Połóżcie całą amunicję tutaj.

Najpierw nikt się nie ruszył, ale Cheng Xin czuła, że coś się zmieniło. Mroczna siła się rozpraszała. Żołnierze odwrócili wzrok od Wade’a i nie skupiali go już w jednym punkcie. W końcu ktoś podszedł do platformy i położył na niej dwa pasy z nabojami. Chociaż jego ruchy były łagodne, na metaliczny dźwięk nabojów szorujących o platformę Cheng Xin zadrżała. Pasy leżały na płycie jak dwa złote węże. Podszedł drugi żołnierz i złożył swoje pasy, potem kolejni. Wkrótce całą płytę pokrył stos pasów. Po złożeniu wszystkich ustał brzęk i znowu zrobiło się cicho.

– Każcie wszystkim naszym agentom w Świecie Schronu złożyć broń i poddać się rządowi Federacji – powiedział Wade. – Władze Halo City będą współpracować z flotą i przekażą jej miasto. Nie podejmujcie żadnych drastycznych działań.

– W porządku – odparł ktoś.

Kiedy ci mężczyźni w czarnych skafandrach zdjęli pasy z błyszczącą amunicją, w pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciemniej.

Wade gestem nakazał członkom sił samoobrony opuścić salę. Wyszli bezszelestnie i w sali od razu pojaśniało, jakby rozproszyły się ciemne chmury. Wade wstał z trudem, obszedł stos nabojów z antymaterią i powoli otworzył szklaną kopułę. Dmuchnął na platformę napędu krzywiznowego

i włosy Cheng Xin zniknęły. Zamknął kopułę, odwrócił się do Cheng Xin i uśmiechnął.

– Widzisz, mała, dotrzymałem przyrzeczenia.

Po incydencie w Halo City rząd Federacji nie od razu ujawnił istnienie broni strzelającej antymaterią. Społeczność międzynarodowa myślała, że wszystko zakończyło się zgodnie z przewidywaniami i nie było żadnych gwałtownych reakcji. Jako twórca okołosłonecznego akceleratora cząstek Halo Group cieszyła się dużym międzynarodowym prestiżem, więc opinia publiczna potraktowała ją pobłażliwie, uznając, że nie ma powodu, by pociągnąć kogokolwiek do odpowiedzialności sądowej i że powinno się pozwolić jej jak najszybciej rządzić się znowu po swojemu. Jeśli firma obieca, że już nigdy nie będzie prowadziła badań nad napędem krzywiznowym i podda się kontroli ze strony Federacji, powinno się jej pozwolić nadal zajmować się swoimi interesami.

Jednak tydzień później dowództwo Floty Federacji pokazało światu przejęte pociski z antymaterią. Widok stosu złotej amunicji śmierci wszystkich oszołomił.

Halo Group została uznana za organizację nielegalną, a rząd Federacji skonfiskował cały jej majątek i przejął okołosłoneczny akcelerator cząstek. Flota Federacji ogłosiła długotrwałą okupację Halo City, rozwiązano obie Akademie. Aresztowano ponad trzysta osób, włącznie z Wade’em i pozostałymi przywódcami miejskich sił samoobrony.

Na rozprawie, która odbyła się przed sądem Federacji, uznano Thomasa Wade’a za winnego zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni wojennych i złamania zakazu badań nad napędem krzywiznowym. Został skazany na karę śmierci.

Cheng Xin udała się do więzienia znajdującego się obok Sądu Najwyższego w Ziemi I, stolicy Federacji Układu Słonecznego, by po raz ostatni zobaczyć się z Wade'em. Popatrzyli na siebie nawzajem przez przezroczystą ścianę i nic nie powiedzieli. Cheng Xin widziała, że ten studziesięcioletni starzec jest spokojny jak kałuża wody na dnie studni, która niedługo wyschnie. Nie pojawią się już na niej żadne zmarszczki.

Podała mu przez otwór w ścianie pudełko cygar, które kupiła w Pacyfiku I. Wade otworzył je, wyjął trzy z dziesięciu cygar i przesunął z powrotem pudełko w jej stronę.

– Nie będę mógł skorzystać z reszty – powiedział.

– Opowiedz mi coś więcej o sobie. O swojej pracy, o swoim życiu. Chcę to przekazać tym, którzy przyjdą po tobie.

Wade potrząsnął głową.

– Jestem tylko jednym z tych, którzy umarli i którzy umrą. O czym tu gadać?

Cheng Xin wiedziała, że dzieli ich nie tylko ta przezroczysta ściana, ale najgłębsza przepaść na świecie, przepaść, której nie da się przekroczyć.

– Masz mi coś do powiedzenia? – zapytała. Sama była zaskoczona, że chce usłyszeć jego odpowiedź.

– Dziękuję za cygara.

Minęła długa chwila, zanim Cheng Xin zrozumiała, że było to wszystko, co Wade chciał jej powiedzieć. Jego ostatnie słowa.

Siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie. Czas stał się stojącą wodą, która ich pochłaniała. Potem dźwięki miasta dostosowującego położenie przywróciły ją do rzeczywistości. Powoli wstała i powiedziała cicho:

– Żegnaj.

Po wyjściu z więzienia wyjęła cygaro i poprosiła jednego ze strażników o ogień. Po raz pierwszy w życiu pyknęła cygaro. O dziwo, nie zakasłała. Patrzyła załzawionymi oczami na biały dym unoszący się w blasku słońca stolicy, patrzyła, jak rozwiewa się niczym te trzysta lat, które przeżyli ona i Wade.

Trzy dni później potężny laser w jednej dziesięciotysięcznej sekundy zamienił Thomasa Wade'a w parę.

Cheng Xin wróciła do centrum hibernacji w Azji I i obudziła 艾 AA. Wróciły na Ziemię.

Poleciały tam *Halo*. Po rozwiązaniu Halo Group rząd Federacji zwrócił Cheng Xin małą część jej ogromnego majątku. Było to prawie tyle, ile wynosiła wartość firmy, gdy przejął ją Wade, ogromna suma, choć w porównaniu z całym bogactwem zlikwidowanej korporacji znikoma. W skład majątku zwróconego Cheng Xin wchodził też *Halo*, już trzecia jednostka nosząca tę nazwę, mały jacht gwiezdny, który mógł pomieścić trzy osoby. System ekologicznego recyklingu na statku był udoskonalony i wygodny, można się tam było czuć jak w małym, ślicznym ogródku.

Cheng Xin i AA wędrowały po prawie bezludnych kontynentach. Latały nad bezkresnymi lasami, jeździły konno po stepach i preriach, wylegiwały się na pustych plażach. Większość miast pokryły zarośla, dla pozostałych na Ziemi mieszkańców zostały tylko małe skrawki cywilizacji. Ludzi na całej planecie było mniej więcej tylu, co pod koniec neolitu.

Im dłużej tam przebywały, tym bardziej cała historia cywilizacji wydawała się snem.

Wróciły do Australii. Zamieszkana pozostawała tylko Canberra, a władze tego małego miasta nazwały się Australijskim Rządem Federalnym. Nadal

stał gmach parlamentu, w którym Sofona ogłosiła plan eksterminacji rodzaju ludzkiego, ale wejścia tarasowały grube warstwy roślinności, a po osiemdziesięciometrowym maszcie pięły się winorośle. W archiwach rządowych odnalazły kartotekę Fraisse'a. Dożył stu pięćdziesięciu lat, ale w końcu czas go pokonał. Umarł ponad dziesięć lat przed ich przybyciem.

Poleciały na wyspę Mosken. Zbudowana przez Jazona latarnia morska też jeszcze stała, ale już się nie paliła. Cały rejon był niezamieszkany. Znowu usłyszały dudnienie Moskstraumen, ale widziały tylko puste morze w blasku zachodzącego słońca.

Równie pusto rysowała się ich przyszłość.

– A może wrócimy na świat po uderzeniu, kiedy nie będzie już Słońca? – zapytała AA. – Dopiero wtedy będziemy mogły wieść spokojne życie.

Cheng Xin też chciała udać się w tamte czasy, ale nie tylko po to, by wieść spokojne życie. Zapobiegła wojnie, która byłaby katastrofą dla całej ludzkości, i stała się obiektem kultu milionów. Nie mogła już żyć w tej epoce. Chciała zobaczyć, że ziemska cywilizacja przetrwała atak z ciemnego lasu i rozkwita – była to jej jedyna nadzieja. Wyobrażała sobie życie w mgławicy powstałej po uderzeniu. Tam znalazłaby wreszcie prawdziwe ukojenie, może nawet szczęście. Byłby to ostatni port, do którego zawinęłaby podczas tego rejsu, jakim było jej życie.

Miała dopiero trzydzieści trzy lata.

Wróciła z AA do jowiszowego skupiska miast i jeszcze raz poddała się hibernacji w Azji I. Zawarły umowę na dwieście lat, ale zamieściły w niej klauzulę, żeby je obudzić, gdyby w tym czasie nastąpił atak z ciemnego lasu.

A potem zapadły w sen. W sen bez snów.

Część V

67 rok ery schronu

Ramię Oriona w Drodze Mlecznej

Badanie danych było pracą Śpiewaka, ocenianie szczerości współrzędnych rozkoszną rozrywką.

Śpiewak rozumiał, że to, co robi, nie jest ważne – było to po prostu uzupełnianie układanki. Ale trzeba było to robić i było to przyjemne zadanie.

A skoro mowa o przyjemności, to gdy to ziarno oddzieliło się od rodzimego świata, był on wciąż miejscem pełnym radości. Jednak później, gdy rodzimy świat wszczął wojnę ze skrajnym światem, radość zmalała. Od tamtej pory minęło ponad dziesięć tysięcy drobin czasu. I w świecie rodzimym, i w tym ziarnie było już tak niewiele radości, że szkoda mówić. Wspomnienie dawnych szczęśliwych czasów przetrwało tylko w klasycznych pieśniach, których śpiewanie było jedną z nielicznych dostępnych jeszcze przyjemności.

Przeglądając dane, nucił jedną z nich.

Widzę moją ukochaną;
Lecę obok niej;
Ofiarowuję jej dar,
Mały kawałek zestalonego czasu.
W czasie wykute są śliczne znaki,
Tak miękkie w dotyku jak szlam w płytkim morzu.

Śpiewak za bardzo nie narzekał. Przetrwanie wymagało sporo myślenia i mnóstwa energii umysłowej.

We Wszechświecie zwiększała się entropia, a porządek się zmniejszał. Ten proces był jak skrzydła ogromnego ptaka równowagi naciskające na całe istnienie. Ale byty o niskiej entropii były inne. Zmniejszały entropię, a zwiększały porządek jak słupy fluorescencji wznoszące się nad atramentowoczarnym morzem. To miało znaczenie, największe znaczenie, większe niż radość. Żeby je utrzymać, musiały nadal istnieć byty o niskiej entropii.

Jeśli chodzi o jeszcze większe znaczenie, myślenie o tym było bezcelowe. Prowadziło donikąd i było groźne. Jeszcze bardziej bezcelowe było myślenie o szczycie wieży znaczenia – może w ogóle nie było takiego szczytu.

Wróćmy do współrzędnych. Przez przestrzeń kosmiczną przelatywało wiele zbiorów współrzędnych, jak insekty matrycowe po niebie rodzimego świata. Gromadził je główny rdzeń, który połykał wszystkie wiadomości przechodzące przez przestrzeń: średnią membranę, długą membranę, świetlną membranę, a pewnego dnia może nawet krótką membranę. Główny rdzeń zapamiętywał pozycje wszystkich gwiazd. Zestawiając otrzymane dane z różnymi projekcjami map i schematami pozycji, mógł znaleźć współrzędne miejsca, z którego pochodziła wiadomość. Mówiono, że potrafi ustalić schematy pozycji sprzed pięciuset milionów drobin czasu. Śpiewak nigdy tego nie próbował – byłoby to bezsensowne. W tamtej dawnej epoce skupiska o małej entropii w przestrzeni kosmicznej były rzadkie i odległe i nie prowadziły do powstania genu ukrywania się i genu czyszczenia. Ale teraz…

„Dobrze się kryj, dobrze czyść”.

Tylko niektóre współrzędne były szczere. Dawanie wiary nieszczerym współrzędnym oznaczało czyszczenie pustych światów. To było marnotrawstwo. A poza tym powodowało inne szkody. Te puste światy mogły się w przyszłości przydać. Trudno było pojąć, dlaczego ktoś wysyłał nieszczere współrzędne – i tak pewnego dnia dostanie to, na co zasługuje.

Szczere współrzędne powielały pewne schematy. Na przykład wielka liczba współrzędnych była zwykle nieszczera. Ale te schematy były tylko heurystyczne. Skuteczne ocenianie szczerości współrzędnych wymagało intuicji. Główny rdzeń w tym ziarnie nie był w stanie wykonać tego zadania, zresztą nie mógł tego robić nawet superrdzeń na rodzimym świecie. To była jedna z przyczyn, dla których bytów o niskiej entropii nie można było niczym zastąpić.

Śpiewak posiadał tę umiejętność, tę intuicję, ale nie był to żaden dar ani instynkt, a raczej coś, co wyostrzyły skumulowane doświadczenia zdobyte podczas dziesiątków tysięcy drobin czasu. W oczach laików zbiór współrzędnych nie był niczym więcej niż prostą macierzą, ale dla Śpiewaka była to żywa istota. Każdy szczegół o czymś mówił. Na przykład ile przyjęto punktów odniesienia? Jakiej metody użyto dla oznaczenia gwiazdy docelowej? I jeszcze wiele innych drobnych szczegółów. Główny rdzeń mógł dostarczyć pewnych informacji, takich jak zapiski historyczne związane z danym zbiorem współrzędnych, kierunek, w którym znajdowało się źródło nadawania współrzędnych, czas transmisji i tak dalej. Razem tworzyły organiczną całość i wtedy w świadomości Śpiewaka pojawiał się obraz samego nadawcy. Duch Śpiewaka przekraczał przepaść czasoprzestrzeni i dostrajał się do ducha nadawcy, czuł jego niepokój i strach, razem z innymi emocjami nieznanymi na świecie rodzimym, takimi jak nienawiść, zawiść, chciwość i tak dalej. Ale przeważnie było to przerażenie. To ono przydawało współrzędnym szczerości. W przypadku

wszystkich bytów o niskiej entropii przerażenie było bezspornym dowodem ich istnienia.

Akurat gdy o tym rozmyślał, dostrzegł zbiór szczerych współrzędnych niedaleko od kursu ziarna. Nadawano je na długiej membranie i Śpiewak sam nie wiedział, co powiedziało mu, że te współrzędne są szczere – nie zawsze da się wyjaśnić intuicję. Postanowił oczyścić to miejsce. Nie był niczym zajęty i nie musiał przerwać śpiewu, żeby wykonać to zadanie. Nawet gdyby zrobił to źle, nie stałoby się nic wielkiego. Czyszczenie nie wymagało wielkiej precyzji, poza tym nie było pilne. Po prostu i tak musiał to w końcu zrobić. Dlatego też jego stanowisko nie było prestiżowe.

Śpiewak wziął z magazynu w ziarnie punkt masy i obrócił się, by spojrzeć na gwiazdę, której położenie wyznaczał ten zbiór współrzędnych. Rdzeń główny pokierował jego wzrok jak oszczep przelatujący po rozgwieżdżonym niebie. Śpiewak chwycił punkt masy czułką pola siłowego i przygotował się do wyrzucenia go. Ale wtedy zobaczył miejsce wskazane przez zbiór współrzędnych i czujnik zwiotczał.

Brakowało jednej z trzech gwiazd. Jej miejsce zajmowała biała chmura pyłu, która wyglądała jak odchody gigantycznego wieloryba z otchłani.

„Już wyczyszczone – pomyślał. – Nie ma tu nic więcej do zrobienia”.

Odłożył punkt masy do magazynu.

„To było szybkie”.

Włączył rdzeń główny, by prześledzić drogę punktu masy, który zabił tę gwiazdę. Było to beznadziejne zadanie, z zerową szansą na sukces, ale wymagały tego ustalone procedury. Proces wyszukiwania wkrótce się zakończył i jak zawsze nie przyniósł żadnych rezultatów.

Śpiewak szybko zrozumiał, dlaczego czyszczenia dokonano tak szybko. W sąsiedztwie tego zniszczonego świata ujrzał powoli rozpraszającą się mgłę. Znajdowała się ona około połowy struktury od tego świata. Jeśli

patrzyło się tylko na nią, nie było wiadomo, skąd się wzięła, ale kiedy się ją zestawiło z tymi przesłanymi współrzędnymi, stawało się oczywiste, że należała do tego świata. Pokazywała, że ten świat był niebezpieczny i dlatego tak szybko go wyczyszczono. Wyglądało na to, że są inne byty o niskiej entropii, które mają jeszcze lepszą intuicję niż on, ale nie było w tym nic dziwnego. Jak mawiał Starszy: „W kosmosie, bez względu na to, jak jesteś szybki, ktoś będzie szybszy; bez względu na to, jak jesteś wolny, ktoś będzie wolniejszy”.

W końcu każdy zbiór nadawanych współrzędnych zostanie wyczyszczony, była to tylko kwestia tego, czy dojdzie do tego wcześniej czy później. Jeden byt o niskiej entropii mógł uznać ten zbiór współrzędnych za nieszczery, ale na milionach milionów światów o niskiej entropii czyszczeniem zajmowały się miliardy miliardów, więc ktoś z nich pomyśli, że jest szczery. Wszystkie byty o niskiej entropii posiadały gen czyszczenia, więc czyszczenie było u nich zachowaniem instynktownym. Poza tym było bardzo proste. Kosmos pełen był źródeł potencjalnej mocy, trzeba było tylko do nich sięgnąć, by wykonać zadanie. Nie wymagało to wielkiego zachodu i nawet nie przeszkadzało w śpiewaniu.

Gdyby Śpiewak był cierpliwy, wszystkie szczere współrzędne zostałyby w końcu wyczyszczone przez inne, nieznane byty o niskiej entropii. Ale nie byłoby to dobre ani dla rodzimego świata, ani dla tego ziarna. Skoro otrzymał ten zbiór współrzędnych, a nawet zerknął na świat, który wskazywały, nawiązał z nim połączenie. Tylko ktoś naiwny mógłby sądzić, że jest to połączenie jednokierunkowe. Prawo odwracalnego odkrycia mówiło, że jeśli możesz dojrzeć świat o niskiej entropii, to ten świat może też dojrzeć ciebie – to tylko kwestia czasu. A zatem czekanie na to, aż ten świat wyczyszczą inni, było niebezpieczne.

Następnym zadaniem było umieszczenie tego nieużytecznego już zbioru współrzędnych w bazie danych zwanej grobem. Tego też wymagała ustalona procedura. Oczywiście musiały tam powędrować wszystkie pozostałe informacje, które miały cokolwiek wspólnego z położeniem miejsca wyznaczanego przez te współrzędne, tak jak zgodnie ze zwyczajem na rodzimym świecie wszystkie efekty personalne grzebano razem z ciałem.

Coś wśród tych „personalnych efektów” wzbudziło zainteresowanie Śpiewaka. Był to zapis trzech połączeń na średniej membranie martwego świata z innym. To była najmniej skuteczna membrana komunikacji, zwana również prymitywną. Większa część połączeń odbywała się na długiej membranie, chociaż mówiono, że do przekazywania wiadomości można również użyć krótkiej. Jeśli była to prawda, to ci, którzy z niej korzystali, byliby równi bogom. Ale Śpiewak lubił membranę prymitywną. Uważał, że odznacza się ona prostą urodą i symbolizuje wiek radości. Często przemieniał nadawane na niej wiadomości w pieśni. Nawet jeśli ich nie rozumiał, uważał, że brzmią pięknie. Jednak nie trzeba było ich rozumieć, bo poza współrzędnymi wiadomości wysyłane na prymitywnej membranie nie zawierały zbyt wiele użytecznych informacji. Wystarczyło cieszyć się melodią.

Ale tym razem zrozumiał część wiadomości, bo w jej niektórych częściach był system autodekodujący! Chociaż udało mu się odczytać niewiele, pojąć tylko ogólny zarys, zorientował się, że jest to zupełnie niewiarygodna historia.

Po pierwsze, to drugie miejsce wysłało wiadomość przez membranę prymitywną. Niskoentropijne byty tamtego świata szarpnęły niezdarnie swoją gwiazdę – Śpiewak postanowił nazwać ich Szarpigwiazdami – zupełnie jak brzdąkający na strunach cytry starożytni bardowie na

rodzimym świecie, by przesłać tę wiadomość. To właśnie ona zawierała system autodekodujący.

Chociaż system ten był prymitywny i toporny, pozwolił Śpiewakowi dostrzec, że następna wiadomość, wysłana przez martwy świat trzech gwiazd, stosowała się do niego, a więc najwyraźniej była odpowiedzią na pierwszą, wysłaną przez Szarpigwiazdy! To już było prawie niepojęte, ale jakby tego było mało, Szarpigwiazdy znowu odpowiedziały!

Interesujące. Bardzo interesujące!

Owszem, Śpiewak słyszał, że są światy o niskiej entropii, które nie posiadają ani genu, ani instynktu ukrywania się, ale widział taki po raz pierwszy. Oczywiście te trzy połączenia pomiędzy dwoma światami nie ujawniały ich bezwzględnych współrzędnych, ale pokazywały odległość między nimi. Gdyby była ona dość duża, to też nie byłby wielki problem, ale okazało się, że jest bardzo mała, tylko czterysta szesnaście struktur, więc te światy praktycznie znajdowały się jeden na drugim. Oznaczało to, że jeśli zostały odkryte współrzędne jednego, to zostaną też odkryte współrzędne drugiego. To była tylko kwestia czasu.

Tak oto zostały ujawnione współrzędne Szarpigwiazd.

Dziesięć drobin czasu po trzech pierwszych wiadomościach pojawił się jeszcze jeden zapis: Szarpigwiazdy znowu szarpnęły swoją gwiazdę, by wysłać kolejną wiadomość… zbiór współrzędnych! Rdzeń główny był pewien, że jest to zbiór współrzędnych. Śpiewak poszukał gwiazdy wskazanej przez te współrzędne i zobaczył, że też została wyczyszczona, około trzydziestu pięciu drobin czasu wcześniej.

Pomyślał, że być może się pomylił. Szarpigwiazdy musiały posiadać gen ukrywania się. Było oczywiste, że posiadały gen czyszczenia, więc nie mogłyby nie mieć również tego drugiego genu. Ale, jak większość nadawców współrzędnych, nie potrafiły czyścić.

Interesujące. Bardzo interesujące!

Dlaczego ten, kto wyczyścił martwy świat trzech gwiazd, nie wyczyścił też świata Szarpigwiazd? Było wiele możliwości. Może nie zobaczył tych trzech wiadomości – wiadomości nadawane na prymitywnej membranie często umykały uwagi. Ale skoro były miliony milionów światów, ktoś by to w końcu zauważył, tak jak on teraz. Nawet bez Śpiewaka zauważyłby je jakiś inny byt o niskiej entropii. To była tylko kwestia czasu. A może zauważono je, ale zdecydowano, że grupa o niskiej entropii, która nie posiada genu ukrywania się, nie stanowi wielkiego zagrożenia, więc wyczyszczenie jej nie jest warte zachodu.

Ale byłby to błąd, straszny błąd! Ogólnie rzecz biorąc, jeśli byty o niskiej entropii, takie jak te Szarpigwiazdy, rzeczywiście nie miały genu ukrywania się, to nie bałyby się ujawnić swojego położenia, powiększałyby się i atakowały bez strachu.

Przynajmniej aż by je zabito.

Jednak w tym konkretnym przypadku sytuacja była bardziej skomplikowana. Dziewięć drobin czasu po tych trzech wiadomościach nadano współrzędne. Sześćdziesiąt drobin czasu później nadano z jakiegoś innego miejsca na długiej membranie przekaz współrzędnych wskazujących martwy świat trzech gwiazd. Łańcuch wydarzeń przedstawiał niełatwy obraz, obraz, który zwiastował zagrożenie. Do oczyszczenia martwego świata trzech gwiazd doszło dwanaście drobin czasu temu, więc Szarpigwiazdy musiały zdawać sobie sprawę, że zostało ujawnione ich własne położenie. Jedynym wyjściem było spowicie się powolną mgłą, żeby wydawały się całkowicie niegroźne, w wyniku czego nikt by ich nie niepokoił.

Ale nie zrobiły tego. Może nie miały takich możliwości? Ale minęło aż nadto czasu od chwili, kiedy mogły szarpnąć swoją gwiazdę, by wysłać na

prymitywnej membranie wiadomość, że ją posiadają.

Być może nie chciały się zasłonić. Jeśli tak, to były bardzo groźne, dużo groźniejsze niż ten martwy świat.

„Dobrze się kryj; dobrze czyść”.

Śpiewak przyjrzał się światu Szarpigwiazd. Była to zwykła gwiazda, której pozostało jeszcze co najmniej milion drobin czasu życia. Miała osiem planet: cztery olbrzymie ciekłe planety i cztery stałe. Doświadczenie mówiło Śpiewakowi, że byty o niskiej entropii, które wysłały ten przekaz na prymitywnej membranie, żyły na jednej ze stałych planet.

Uruchomił proces wielkiego oka. Rzadko to robił – przekraczał swoje uprawnienia.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Starszy ziarna. – Wielkie oko jest zajęte.

– Chciałbym się lepiej przyjrzeć jednemu ze światów o niskiej entropii.

– Twoja praca nie wymaga przeprowadzania dokładnych badań.

– Jestem po prostu ciekaw.

– Wielkie oko musi obserwować ważniejsze cele. Nie ma czasu, żeby zaspokoić twoją ciekawość. Wracaj do swoich zadań.

Śpiewak nie upierał się przy swojej prośbie. Czyściciel miał najniższą pozycję w ziarnie. Wszyscy myśleli o nim z pogardą, uważali jego pracę za łatwą i banalną. Ale zapominali, że współrzędne, które zostały wysłane, wskazywały często na większe zagrożenie, niż stanowiła ogromna większość tych, którzy się dobrze kryli.

Pozostało mu tylko zabrać się do czyszczenia. Wziął punkt masy z magazynu, ale potem uświadomił sobie, że nie może go użyć do wyczyszczenia Szarpigwiazd. Ich układ planetarny miał inną strukturę niż układ martwego świata – były tam zakręty z ograniczoną widocznością. Musiał użyć folii dwuwektorowej, ale nie miał uprawnień do wzięcia jej z magazynu. Wymagało to zgody Starszego.

– Potrzebna mi folia dwuwektorowa.

– Udzielam pozwolenia – odparł Starszy.

Dwuwektorowa folia uniosła się przed Śpiewakiem. Była zapakowana, kryształowo czysta. Chociaż był to zwyczajny przedmiot, bardzo mu się podobał. Śpiewak niezbyt lubił drogie narzędzia – były zbyt agresywne. Lubił nieustępliwą delikatność folii, estetykę, która mogła zamienić śmierć w pieśń.

Mimo to czuł się trochę nieswojo.

– Dlaczego dałeś mi ją, nawet nie zapytawszy, po co mi ona?

– Nie jest zbyt droga.

– Ale jeśli zużyjemy za dużo…

– Używa się jej wszędzie w kosmosie.

– Tak, to prawda. Ale dawniej zawsze ograniczałeś jej zużycie. A teraz…

– Słyszałeś coś?

Starszy zaczął przeglądać myśli Śpiewaka i Śpiewak zadrżał. Bardzo szybko Starszy znalazł w jego umyśle pogłoskę. Nie był to wielki grzech – ta pogłoska była w ziarnie tajemnicą poliszynela.

Dotyczyła wojny między światem rodzimym i światem skrajnym. Wcześniej często napływały wiadomości o tej wojnie, ale potem doniesienia się skończyły, co świadczyło o tym, że sprawy nie mają się dobrze, może nawet zbliża się kryzys. Ale rodzimy świat nie mógł współistnieć ze skrajnym. Skrajny świat trzeba było zniszczyć, żeby on nie zniszczył rodzimego. Jeśli wojny nie da się wygrać, to…

– Czy rodzimy świat postanowił przejść w dwa wymiary? – zapytał Śpiewak.

Oczywiście Starszy już znał to pytanie. Nie odpowiedział, co też było odpowiedzią.

Jeśli ta pogłoska była prawdziwa, to wielka szkoda. Śpiewak nie wyobrażał sobie takiego życia. Na wieży wartości najwyżej znajdowało się przetrwanie. Gdy coś mu zagrażało, wszystkie niskoentropijne byty mogły wybrać tylko mniejsze zło z dwojga.

Śpiewak usunął te myśli ze swego narządu kogitacji. Nie powinien ich mieć, bo tylko niepotrzebnie by go martwiły. Starał się sobie przypomnieć, w którym miejscu przerwał pieśń. Po chwili je odnalazł. Nucił dalej:

W czasie wykute są śliczne znaki,
Tak miękkie w dotyku jak szlam w płytkim morzu.
Ona okrywa swe ciało czasem
I ciągnie mnie ze sobą na skraj istnienia.
To duchowy lot –
W naszych oczach gwiazdy jawią się jak duchy,
W oczach gwiazd my jawimy się jak duchy.

Nie przerywając pieśni, Śpiewak ujął dwuwektorową folię czułką pola siłowego i beztrosko cisnął nią w Szarpigwiazdy.

67 rok ery schronu

Halo

Cheng Xin obudziła się w stanie nieważkości.

Hibernacja różniła się od normalnego snu. Hibernat nie czuł upływu czasu. Podczas całego procesu czuło się go tylko przez godzinę podczas wchodzenia w hibernację i przez godzinę podczas wychodzenia z niej. Bez względu na to, jak długo przebywało się w tym stanie, hibernowany subiektywnie odnosił wrażenie, jakby spał najwyżej dwie godziny. A zatem po przebudzeniu doznawało się zawsze uczucia, jakby przeszło się przez drzwi w czasie i wyłoniło się w nowym świecie.

Cheng Xin znajdowała się w białej kulistej przestrzeni. Obok niej unosiła się 艾 AA, w takim samym, przylegającym ściśle do skóry stroju hibernacyjnym. Miała mokre włosy i bezradnie rozłożone kończyny, co świadczyło, że ona też została przed chwilą wybudzona. Gdy spotkały się ich spojrzenia, Cheng Xin chciała do niej przemówić, ale nie ustąpiło jeszcze odrętwienie wywołane niską temperaturą, więc nie mogła wydać żadnego dźwięku. AA potrząsnęła głową, dając w ten sposób znać, że ona też jest w takim samym stanie i nic nie wie.

Cheng Xin zauważyła, że przestrzeń wypełniało złote światło podobne do blasku zachodzącego słońca. Wpadało przez okrągłe okno – iluminator. Za nim widziała tylko zamazane pasy i splątane linie. Linie te układały się w równoległe pasy błękitu i żółcieni, ukazujące świat, gdzie szalały burze

i przebiegały gwałtowne prądy, najwyraźniej powierzchnię Jowisza. Wyglądała ona na dużo jaśniejszą niż ta, którą pamiętała.

O dziwo, szeroki pas kłębiących się chmur pośrodku przypominał jej Żółtą Rzekę. Oczywiście wiedziała, że jeden wir w tej „Żółtej Rzece” jest tak duży, że mogłaby się w nim zmieścić cała Ziemia. Na tym tle zobaczyła jakiś obiekt. Jego główną część stanowiła długa kolumna, podzielona na odcinki o różnej średnicy. Do tej kolumny były prostopadle przymocowane trzy krótkie cylindry. Cały ten zespół powoli obracał się wokół osi kolumny. Cheng Xin doszła do wniosku, że patrzy na miasto kosmiczne składające się z ośmiu połączonych mniejszych.

Odkryła też inny zdumiewający fakt: miejsce, w którym się znajdowały, pozostawało w spoczynku względem tego zespołu połączonych miast, ale w tle powoli przesuwał się Jowisz. Jak można było sądzić na podstawie jego jasności, były teraz po stronie zwróconej ku Słońcu i Cheng Xin widziała cień zespolonych miast kosmicznych na gazowej powierzchni Jowisza. Po chwili pojawiła się linia dzieląca oświetloną część planety od pogrążonej w cieniu i w pole widzenia wpłynęło monstrualne oko, którym była Wielka Czerwona Plama. To wszystko potwierdzało, że zarówno miejsce, gdzie się znajdowały, jak i połączone miasta kosmiczne nie leżały w cieniu Jowisza, lecz były jego satelitami i krążyły wokół gazowego olbrzyma.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Cheng Xin. W końcu udało się jej ochryple przemówić, ale wciąż nie mogła poruszyć ciałem.

AA ponownie potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia. Myślę, że jesteśmy na statku kosmicznym.

Nadal unosiły się w złotym blasku Jowisza jak w krajobrazie ze snu.

– Jesteście na *Halo*.

Ten głos dobiegł z okna informacyjnego, które pojawiło się tuż obok nich. Widać było w nim starca z siwą głową. Cheng Xin rozpoznała Cao Bina. Uświadomiła sobie, że skoro osiągnął taki wiek, musiała przeskoczyć wiele lat. Wkrótce Cao Bin potwierdził to przypuszczenie, mówiąc, że jest 18 maja 67 roku ery schronu. A więc od jej ostatniego, krótkiego, przebudzenia minęło pięćdziesiąt sześć lat.

Unikała życia, przebywając poza czasem, i mogła obserwować, jak inni się starzeją, pozornie w jednej chwili. Jej serce wypełniły żal i poczucie winy. Postanowiła, że bez względu na to, co się wydarzy, od tej pory nie podda się już hibernacji.

Cao Bin wyjaśnił, że znajdują się na ostatnim statku noszącym nazwę *Halo*. Zbudowano go zaledwie przed trzema laty. Po incydencie, do którego doszło przed ponad półwieczem w Halo City, skazano zarówno Cao Bina, jak i Bi Yunfenga na więzienie, ale odsiedzieli tylko krótkie wyroki. Bi Yunfeng zmarł kilkanaście lat temu, poprosiwszy Cao Bina, żeby przekazał im życzenia wszystkiego najlepszego. Oczy Cheng Xin zwilgotniały.

Cao Bin powiedział też, że obecnie w skupisku koło Jowisza są pięćdziesiąt dwa duże miasta, z których większość połączyła się w duże aglomeracje. Tą, którą teraz widzieli, był Zespół Jowisz II. System wczesnego ostrzegania udoskonalono przed dwudziestoma laty, więc wszystkie miasta postanowiły stać się satelitami Jowisza. Zmieniłyby orbity i ukryły się dopiero po alarmie.

– W tych miastach znowu żyje się jak w raju. Szkoda, że nie możecie zobaczyć tego na własne oczy, ale nie mamy czasu. – Cao Bin przerwał.

Cheng Xin i AA wymieniły niespokojne spojrzenia. Uświadomiły sobie, że był taki elokwentny, bo starał się odwlec ten moment.

– Było ostrzeżenie o ataku?

Cao Bin kiwnął głową.

– Tak. W ostatnim półwieczu zdarzyły się dwa fałszywe alarmy i za każdym razem byliśmy o krok od tego, żeby was obudzić. Ale tym razem ostrzeżenie jest prawdziwe. Dzieci – mam sto dwanaście lat, więc myślę, że mogę się tak do was zwracać – w końcu staliśmy się celem uderzenia z ciemnego lasu.

Cheng Xin poczuła skurcz w sercu. Nie dlatego, że doszło do ataku, bo ludzkość przygotowywała się do tego od ponad wieku, ale dlatego, że czuła, iż coś jest nie tak. Obudzono ją i AA zgodnie z umową. Potrzebowały co najmniej czterech do pięciu godzin, by się ocknąć do tego stopnia, co znaczyło, że alarm ogłoszono już jakiś czas temu. Ale mimo to widoczny za oknami Zespół Jowisz II się nie rozdzielił ani nie zmienił orbity, lecz nadal krążył wokół Jowisza jako jego satelita, jakby nic się nie stało. Obróciły się do Cao Bina. Wyraz twarzy stulatka był zbyt spokojny, jakby skrywał on pod nim największą rozpacz.

– Gdzie pan teraz jest? – zapytała AA.

– W centrum systemu wczesnego ostrzegania – odparł Cao Bin i wskazał za siebie.

Cheng Xin zobaczyła za nim salę, która wyglądała jak centrum kontroli. Każdy kawałek przestrzeni zajmowały okna informacyjne. Przepływały przez salę, ale przed nimi wyskakiwały nowe, na które po chwili nakładały się następne, zupełnie jakby rzeka przerwała tamę. Ludzie w sali jednak zdawali się nic nie robić. Połowa z nich była w wojskowych mundurach, ale wszyscy albo opierali się na biurkach, albo stali nieruchomo. Wszyscy mieli zasępiony wzrok i taki sam spokojny, ale złowieszczy wyraz twarzy jak Cao Bin.

„Nie powinno tak być”.

Nie wyglądało to na świat, który udał się do bezpiecznego schronu i był pewien, że przetrwa atak. Bardziej przypominało to obrazy sprzed trzystu…

nie, teraz już czterystu lat, kiedy wybuchł kryzys trisolariański. Cheng Xin widziała wtedy w biurach ROP i PAW taką samą atmosferę i takie same miny – bezradność wobec jakiejś superpotężnej siły we Wszechświecie, odrętwienie i zobojętnienie, które mówiły: „Poddajemy się”.

Większość osób w centrum kontroli milczała, ale niektóre wymieniały szeptem, z ponurymi minami, jakieś uwagi. Cheng Xin zobaczyła człowieka, który siedział nieruchomo jak posąg. Przed nim leżał na stole przewrócony kubek, z którego ciekł na jego spodnie niebieski płyn, ale on nie zwracał na to uwagi. Z drugiej strony, przed wielkim oknem informacyjnym, które zdawało się pokazywać jakąś skomplikowaną, rozwijającą się sytuację, mężczyzna w wojskowym mundurze obejmował kobietę w cywilnym stroju. Jej twarz wydawała się mokra…

– Dlaczego nie wchodzimy w cień Jowisza? – zapytała AA, wskazując połączone miasto za iluminatorem.

– Bo to nic nie da. Schron jest bezużyteczny – odparł Cao Bin, spuszczając oczy.

– Jak daleko jest ta fotoida od Słońca? – zapytała Cheng Xin.

– Nie ma żadnej fotoidy.

– No to co znaleźliście?

Cao Bin parsknął śmiechem.

– Kawałek papieru.

66 rok ery schronu

Poza Układem Słonecznym

Rok przed wybudzeniem Cheng Xin system wczesnego ostrzegania wykrył za skrajem Obłoku Oorta obiekt przemieszczający się niemal z prędkością światła. Obiekt ten zbliżył się w pewnym momencie na zaledwie 1,3 roku świetlnego do Słońca. Był ogromny, a promieniowanie, które wytwarzał, zderzając się przy swojej prędkości z rozproszonymi drobinami pyłu i atomami w kosmosie, intensywne. System wczesnego ostrzegania zaobserwował też, że podczas lotu obiekt ten wykonał małą zmianę kursu, by uniknąć pasma pyłu międzygwiezdnego, a potem powrócił na poprzedni tor. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że był to inteligentny statek kosmiczny.

Tak oto ludzie z Układu Słonecznego – w odróżnieniu od ludzi galaktycznych – zobaczyli inną poza Trisolarianami cywilizację pozaziemską.

Po nauczce z poprzednimi trzema fałszywymi alarmami rząd Federacji nie poinformował publicznie o tym odkryciu. Wiedziało o nim nie więcej niż tysiąc osób w całym Świecie Schronu. W ciągu tych trzech dni, gdy statek kosmiczny znajdował się najbliżej Układu Słonecznego, osoby te żyły w wielkim strachu. Ludzie pracujący w kilkudziesięciu jednostkach obserwacyjnych składających się na system wczesnego ostrzegania, w centrali tego systemu (mieście kosmicznym w skupisku koło Jowisza), w centrum bojowym dowództwa Floty Federacji i w biurze prezydenta

Federacji Układu Słonecznego wstrzymywali oddechy i obserwowali kurs obcej jednostki jak ławica drżących ryb kryjących się na dnie stawu i czekających, aż oddali się trawler płynący nad ich głowami. Ich przerażenie przybrało potem absurdalne wymiary: nie chcieli się z nikim komunikować przez radio, starali się stąpać bezgłośnie i mówili szeptem… W rzeczywistości wszyscy zdawali sobie sprawę, że to wszystko nie ma znaczenia, bo to, co zaobserwował system wczesnego ostrzegania, zdarzyło się rok i cztery miesiące temu. Pozaziemski statek kosmiczny już odleciał, ale ci ludzie się nie odprężyli, bo system wczesnego ostrzegania odkrył jeszcze coś innego, co też było niepokojące. Wprawdzie ów statek nie wystrzelił w kierunku Słońca fotoidy, ale jednak coś wypuścił. Ten obiekt został wystrzelony w Słońce z prędkością światła, ale nie emitował niczego związanego z fotoidami i był zupełnie niewidzialny na widmie fal elektromagnetycznych. System wczesnego ostrzegania odkrył to na falach grawitacyjnych. Obiekt wysyłał takie słabe fale, o stałej, niewielkiej sile i częstotliwości. Nie niosły one żadnych wiadomości i prawdopodobnie wynikały z jakichś jego cech fizycznych. Początkowo myślano, że źródłem tych fal jest ów pozaziemski statek, ale wkrótce odkryto, że znajdowało się ono poza nim i zbliżało się do Układu Słonecznego z prędkością światła.

Dalsze analizy wykazały, że pocisk nie był wymierzony dokładnie w Słońce. Z jego dotychczasowej trajektorii wynikało, że powinien przelecieć obok Słońca poza orbitą Marsa. Gdyby celem miało być Słońce, byłby to dość poważny błąd. Także w tym względzie różnił się od fotoidy. Dane zebrane podczas dwóch poprzednich uderzeń fotoid pokazywały, że po wystrzeleniu każda leciała do celu po precyzyjnej, prostej trajektorii (biorąc pod uwagę ruch gwiazdy) i nie trzeba było wprowadzać żadnych poprawek do jej kursu. Można było przypuszczać, że fotoida była w istocie skałą lecącą siłą inercji z prędkością światła. Śledzenie źródła fal

grawitacyjnych potwierdziło, że ten pocisk nie zmieniał toru lotu, czyli że jego celem nie było Słońce. Dawało to odrobinę pociechy wszystkim, którzy się tym zajmowali.

Gdy pocisk znalazł się około stu pięćdziesięciu jednostek astronomicznych od Słońca, częstotliwość wysyłanych przez niego fal grawitacyjnych zaczęła się szybko zmniejszać. System wczesnego ostrzegania odkrył, że działo się tak wskutek hamowania. W ciągu kilku dni jego szybkość spadła z prędkości światła do jednej tysięcznej tej prędkości i dalej malała. Oznaczało to, że nie zagrozi on Słońcu, co dodało obserwatorom jeszcze większej otuchy. Poza tym przy tej prędkości mógł się z nim zrównać ziemski statek. Innymi słowy, można było wysłać jednostkę, która by go przechwyciła.

W celu zbadania nieznanego pocisku ze skupiska miejskiego koło Neptuna wyleciały *Odkrycie* i *Alaska*. Obie jednostki były wyposażone w układy odbioru fal grawitacyjnych, więc mogły precyzyjnie określić z bliskiej odległości źródło ich transmisji. Od ery nadawania zbudowano trochę więcej statków zdolnych do wysyłania i odbierania tych fal, ale według zupełnie innych projektów niż dawniej, gdy anteną była cała jednostka. Jednym z najważniejszych usprawnień było oddzielenie anteny fal grawitacyjnych od statku, dzięki czemu były to dwie niezależne od siebie jednostki. Antenę można było łączyć z różnymi statkami i zastąpić nową po jej rozpadzie. *Odkrycie* i *Alaska* były statkami średniej wielkości, ale miały prawie taką samą wyporność jak duże, ponieważ znaczną część ich struktury tworzyły anteny. Przypominały wypełnione helem statki powietrzne z ery powszechnej, które były ogromne, ale których rzeczywista

pojemność ładunkowa ograniczała się do małej gondoli pod balonem wypełnionym gazem.

Dwa dni po opuszczeniu portu generał Wasilienko i 白 Ice*, ubrani w lekkie skafandry kosmiczne i buty magnetyczne, odbyli spacer po antenie fal grawitacyjnych *Odkrycia*. Cieszyli się z tego, bo w porównaniu z wnętrzem statku mieli tam dużo przestrzeni i czuli się tak, jakby chodzili po twardej ziemi. Byli dowódcami pierwszego zespołu badawczego – Wasilienko kapitanem statku, a 白 Ice szefem zespołu do spraw technicznych.

Aleksiej Wasilienko był obserwatorem systemu wczesnego ostrzegania w erze nadawania. Razem z Widnallem odkrył smugi statków trisolariańskich lecących z prędkością światła, co doprowadziło do pierwszego fałszywego alarmu. Po tym incydencie zrobiono z niego kozła ofiarnego i zwolniono go dyscyplinarnie ze służby. Uważał jednak, że ukarano go niesprawiedliwie, i miał nadzieję, że historia ostatecznie oczyści go z zarzutów, więc poddał się hibernacji. Z upływem czasu odkrycie tych smug nabrało dużego znaczenia i stopniowo zapomniano o szkodach, które wyrządził pierwszy fałszywy alarm. Wasilienkę obudzono w 9 roku ery schronu, przywrócono mu poprzedni stopień, a potem awansowano na wiceadmirała Sił Kosmicznych Federacji Układu Słonecznego. Miał już jednak prawie osiemdziesiąt lat. Patrząc na idącego obok niego 白 Ice’a, myślał, jak niesprawiedliwe jest życie. Ten człowiek urodził się osiemdziesiąt lat wcześniej, w erze powszechnej, a był dopiero po czterdziestce.

白 Ice naprawdę nazywał się Bai Aisi. Po obudzeniu nie chciał odstawać od nowych czasów, więc przybrał bardziej powszechne współczesne nazwisko, które łączyło elementy angielskie i chińskie. Zrobił doktorat pod kierunkiem Ding Yi i pod koniec ery kryzysu poddał się hibernacji.

Wyszedł z niej dopiero dwadzieścia dwa lata temu. Taki przeskok w czasie oznaczał zwykle, że hibernatowi będzie trudno przystosować się do nowej epoki, ale fizyka teoretyczna była szczególnym przypadkiem. Z powodu blokady założonej przez sofony fizyków z ery powszechnej można było w erze odstraszania uważać za kompetentnych, a stworzenie okołosłonecznego akceleratora cząstek wywróciło do góry nogami wszystkie założenia, na których opierała się fizyka teoretyczna. Jej podstawy rozsypały się jak domek z kart.

W erze powszechnej za najbardziej zaawansowaną uważano teorię superstrun, którą określano mianem fizyki dwudziestego drugiego wieku. Stworzenie okołosłonecznego akceleratora cząstek pozwoliło na jej eksperymentalne potwierdzenie, ale wynik tego był katastrofalny. Koncepcji, które trzeba było odrzucić, było dużo więcej niż tych, które zostały potwierdzone. Okazało się też, że wiele informacji przekazanych przez Trisolarian było fałszywych. Skoro później Trisolarianom udało się uzyskać tak wysoki poziom technologiczny, nie mogli popełnić tyle błędów w teorii podstawowej. Nasuwał się nieodparty wniosek, że najzwyczajniej okłamali w tych sprawach ludzi.

Jeszcze przed hibernacją 白 Ice przedstawił kilka modeli teoretycznych, które znalazły się wśród nielicznych potwierdzonych eksperymentalnie przez okołosłoneczny akcelerator cząstek. Kiedy się obudził, fizyka zasadniczo wróciła do punktu wyjścia. Szybko się wyróżnił, uzyskał wielkie zaszczyty i po jakichś dziesięciu latach znowu znalazł się w czołówce badaczy z tej dziedziny.

– Wygląda znajomo? – Wasilienko gestem ręki pokazał wszystko, co ich otaczało.

– Rzeczywiście. Ale wiara w siebie i arogancja ludzkości gdzieś się ulotniły.

Zgadzało się to z tym, co myślał Wasilienko. Spojrzał na drogę, którą przebył ich statek. Neptun był malutką niebieską plamką, a Słońce słabym światełkiem, w którym ich postacie nie rzucały nawet cieni na powierzchnię anteny. Gdzie się podziały te dwa tysiące statków klasy gwiezdnej, które lata temu tworzyły wspaniałą falangę? Teraz były tam tylko te dwie samotne jednostki z niespełna stuosobową załogą. *Alaska* znajdowała się o ponad sto tysięcy kilometrów od nich, ale była dla nich niewidoczna. Nie tworzyła tylko drugiego końca sieci, która miała ustalić położenie pocisku i jeśli będzie to możliwe, przechwycić go, ale miała na pokładzie inny zespół badawczy, zorganizowany tak samo jak zespół na *Odkryciu*. Dowództwo floty nazwało zespół na *Alasce* drużyną wsparcia, co wskazywało na to, że poczyniło staranne przygotowania, by stawić czoło ryzyku i niebezpieczeństwu związanym z tą wyprawą. Tutaj, na zimnym, pustym krańcu Układu Słonecznego, antena pod ich stopami wydawała się samotną wyspą we Wszechświecie. Wasilienko chciał westchnąć, ale się rozmyślił. Wyjął coś z kieszeni swojego skafandra i puścił w stronę towarzysza. Przeleciało między nimi, wolno się obracając.

– Niech pan to sprawdzi.

Obiekt ten wyglądał jak kość jakiegoś zwierzęcia. W rzeczywistości był metalowym fragmentem maszyny; od jego gładkiej powierzchni odbijało się zimne światło gwiazd.

Wasilienko wskazał na przedmiot.

– Około stu lat temu odkryliśmy obok kursu naszego statku kupę dryfujących metalowych szczątków. Parę złapał dron. To jeden z nich, kawałek systemu chłodzącego reaktora termojądrowego statku wojennego klasy gwiezdnej z końca ery kryzysu.

– To pozostałość po bitwie w dniu Sądu Ostatecznego? – zapytał 白 Ice z nabożną czcią.

– Tak. Znaleźliśmy też poręcz fotela i fragment grodzi.

Przelatywali obok pola bitwy sprzed blisko dwustu lat. Po rozpoczęciu realizacji programu Schron ludzie często odkrywali szczątki starożytnych statków wojennych. Niektóre oddawano do muzeów, innymi handlowano na czarnym rynku. 白 Ice chwycił tę pozostałość i mimo rękawicy skafandra kosmicznego poczuł chłód, który przeniknął go do szpiku kości. Puścił ją, a ona nadal wolno się obracała, jakby poruszała ją znajdująca się w niej dusza. 白 Ice odwrócił od niej wzrok i spojrzał w dal. Widział tylko bezdenną, pustą otchłań. Od blisko dwustu lat w tym zakątku kosmosu dryfowały dwa tysiące statków wojennych i miliony zwłok. Ofiarna krew zabitych już dawno temu przeszła z lodu w gaz i się ulotniła.

– Cel naszej wyprawy może być jeszcze groźniejszy niż krople – powiedział 白 Ice.

– To prawda. Wtedy przynajmniej wiedzieliśmy coś o Trisolarianach. A o świecie, który to stworzył i wysłał, nie wiemy nic… Doktorze Bai, ma pan jakieś domysły na temat tego, z czym się spotkamy?

– Fale grawitacyjne może wysyłać tylko obiekt o dużej masie, więc myślę, że ten musi mieć dużą masę i objętość. Może być to nawet statek kosmiczny… Cóż, w tej robocie trzeba się spodziewać niespodziewanego.

Składająca się z dwóch statków ekspedycja leciała swoim kursem jeszcze przez tydzień, aż odległość między nią i źródłem fal grawitacyjnych zmniejszyła się do niespełna miliona kilometrów. Wtedy zaczęła hamować do zera, a następnie znowu przyspieszyła, obierając kierunek na Słońce. Dzięki temu gdy pocisk zrówna się z nimi, będą lecieli równolegle. Większość obserwacji z bliska miało wykonać *Odkrycie*; *Alaska* miała przyglądać się temu z odległości około stu tysięcy kilometrów.

Dystans stale się zmniejszał; pocisk znajdował się teraz tylko dziesięć tysięcy kilometrów od *Odkrycia*. Emisje fal grawitacyjnych były tak wyraźne, że można było precyzyjnie namierzyć ich źródło. Ale nawet z tej odległości nie wracało odbicie fal radaru i nie można było nic zobaczyć w zakresie światła widzialnego. Nie widzieli nic w miejscu, gdzie znajdowało się źródło fal grawitacyjnych, nawet gdy dzieliło ich od niego już tylko tysiąc kilometrów.

Załoga *Odkrycia* była bliska paniki. Przed wylotem na tę wyprawę wyobrażali sobie różne scenariusze, ale nikomu z nich nie przyszło do głowy, że nie zobaczą celu nawet wtedy, kiedy praktycznie znajdą się tuż nad nim. Wasilienko zapytał Neptun przez radio o instrukcje i czterdzieści minut potem otrzymał rozkaz zbliżenia się na sto pięćdziesiąt kilometrów do obiektu.

W końcu systemy detekcji w świetle widzialnym coś zauważyły – małą białą plamkę w miejscu, gdzie znajdowało się źródło fal grawitacyjnych, widoczną ze statku nawet przez teleskop. *Odkrycie* wysłało drona, by to zbadał. Jego odległość do celu szybko się zmniejszała: pięćset kilometrów, pięćdziesiąt kilometrów, pięćset metrów… Dron zatrzymał się o pięć metrów od celu. Wyraźny przekaz holograficzny, który przesłał, ukazał załogom obu statków obiekt wystrzelony w Słońce.

Była to kartka papieru.

Nie można było tego opisać lepiej. Oficjalnie nazwano to prostokątnym, podobnym do błony obiektem o długości 8,5 i szerokości 5,2 centymetra, nieco większym od karty kredytowej. Był tak cienki, że nie sposób było zmierzyć jego grubości. Miał czysto białą powierzchnię i wyglądał dokładnie jak kartka papieru.

Członkowie zespołu badawczego należeli do najlepszych oficerów i specjalistów na świecie, wszyscy mieli chłodne, racjonalne umysły, ale

instynkt był silniejszy. Przygotowani byli na spotkanie z ogromnym obiektem. Niektórzy spodziewali się znaleźć statek kosmiczny wielkości Europy, co przy sile transmisji fal grawitacyjnych nie było nieprawdopodobne.

Na widok tej kartki papieru – jednomyślnie tak ją nazwali – z piersi wszystkich wydobył się oddech ulgi. Wprawdzie cały czas mieli się na baczności, bo ten obiekt mógł posiadać moc wystarczającą do zniszczenia obu statków, ale trudno było uwierzyć, że mógłby unicestwić cały Układ Słoneczny. Wydawał się delikatny i niegroźny jak piórko unoszące się nocą w powietrzu. Ludzie już dawno przestali pisać listy na papierze, ale znali go z filmów o starożytnym świecie, więc w ich oczach wydawał się czymś wręcz romantycznym.

Następne badania wykazały, że ta kartka nie odbija fal elektromagnetycznych o żadnej długości. Jej biały kolor nie był światłem odbitym, lecz dobywającym się z niej. Przenikało przez nią całe promieniowanie, włącznie ze światłem widzialnym, co świadczyło o tym, że jest całkowicie przezroczysta. Obrazy robione z bliskiej odległości pokazywały światło gwiazd za nią, ale wskutek interferencji powodowanej przez wydobywające się z niej białe światło i ciemnego tła przestrzeni kosmicznej z daleka wyglądała na matowobiałą. Przynajmniej pozornie obiekt wydawał się niegroźny.

A może naprawdę był to list?

Ponieważ dron nie miał narzędzi do zbierania materiału, trzeba było wysłać drugi, z mechanicznym ramieniem i odpowiednio dużą łyżką, by złapać kartkę. Gdy łyżka wysunęła się w stronę kartki, wszystkim na dwóch statkach zamarły serca. Była to jeszcze jedna scena, która wydawała się znana. Łyżka zamknęła się wokół kartki i ramię się cofnęło. Ale kartka pozostała tam, gdzie była.

Próbę powtórzono kilkakrotnie, z takim samym rezultatem. Operatorzy drona na *Odkryciu* manewrowali mechanicznym ramieniem, starając się choćby dotknąć nim kartkę. Przechodziło przez nią jak przez powietrze i ani ramię, ani kartka nie zostały uszkodzone. Ramię nie natrafiało na opór, a kartka nie zmieniała położenia. W końcu operator polecił dronowi powoli się do niej zbliżyć i ją popchnąć. Gdy kadłub drona zetknął się z nią, kartka zniknęła w jego wnętrzu, a kiedy dalej posuwał się naprzód, wyłoniła się niezmieniona z jego rufy. Przez cały czas jego systemy wewnętrzne nie wykryły żadnych anomalii.

Członkowie ekspedycji zdążyli już pojąć, że ten kawałek papieru nie jest zwykłym obiektem. Był jak złudzenie, które nie wchodziło w kontakt z niczym w świecie materialnym. Tworzył coś w rodzaju małej kosmicznej płaszczyzny odniesienia, która utrzymywała położenie i trwała nieporuszona. Nic nie mogło jej przesunąć, a mówiąc precyzyjniej: zmienić jej ustalonej trajektorii.

白 Ice postanowił zbadać to osobiście. Wasilienko uparł się, by mu towarzyszyć. Wspólne wyjście obu szefów zespołu badawczego było kontrowersyjną propozycją, musieli więc czekać czterdzieści minut na zgodę bazy na Neptunie. Wprawdzie niechętnie, ale udzielono jej, bo Wasilienko nie chciał ustąpić, a poza tym mieli zespół wsparcia.

Skierowali się pinasą ku kartce papieru. Gdy *Odkrycie* i jego ogromna antena fal grawitacyjnych skurczyły się w oddali, 白 Ice pomyślał, że traci jedyny punkt oparcia we Wszechświecie, i jego serce ścisnął strach.

– Przed wieloma laty tak samo musiał się czuć pański promotor, doktor Ding – powiedział Wasilienko. Wydawał się zupełnie spokojny.

白 Ice zgodził się z nim w milczeniu. Czuł duchowy związek z Ding Yi sprzed dwustu lat. Obaj kierowali się ku wielkiej niewiadomej, ku tak samo nieznanemu losowi.

– Bez obaw. Tym razem możemy zaufać naszej intuicji. – Wasilienko poklepał 白 Ice’a po ramieniu, ale nie dodało to tamtemu dużo otuchy.

Pinasa znalazła się już obok kartki papieru. Po sprawdzeniu skafandrów otworzyli właz, tak że byli teraz odkryci w kosmosie. Manewrowali pinasą, aż kartka znalazła się pół metra nad ich głowami. Niewielka biała płaszczyzna była idealnie gładka i widzieli przez nią gwiazdy, co potwierdzało, że w istocie jest świecącym, przezroczystym obiektem. Ponieważ emitowała białe światło, gwiazdy za nią wydawały się nieco zamazane.

Podnieśli się, by ich oczy znalazły się na poziomie brzegu kartki. Tak jak pokazała kamera, papier nie miał żadnej grubości. Oglądany z boku, zupełnie znikał. Wasilienko wyciągnął ku niemu rękę, ale 白 Ice go powstrzymał.

– Co pan robi? – zapytał ostrym tonem. Resztę powiedziały jego oczy: „Proszę pomyśleć, co się stało z moim nauczycielem”.

– Jeśli to naprawdę jest list, to być może jego treść nie pokaże się, dopóki nie wejdzie z nim w kontakt inteligentna istota.

Wasilienko odsunął rękę towarzysza i dotknął kartki. Jego dłoń przeszła przez papier bez żadnego uszczerbku, ale też nic się nie pojawiło w jego umyśle. Wsunął ponownie dłoń w papier i zatrzymał, pozwalając, by mała biała płaszczyzna podzieliła ją na dwie części. Nadal nic nie czuł. Papier pokazywał przekrój poprzeczny dłoni w miejscu, gdzie weń wniknęła – najwyraźniej nie został przedarty, lecz przeszedł przez nią. Wasilienko cofnął rękę i kartka wciąż wisiała nieruchomo tak jak przedtem, a raczej kontynuowała ruch w stronę Słońca z prędkością dwustu kilometrów na sekundę.

白 Ice również spróbował jej dotknąć, ale zaraz cofnął dłoń.

– To jest jak projekcja z innego wszechświata, który nie ma nic wspólnego z naszym.

Wasilienko wskazał na bardziej praktyczny problem:

– Jeśli nic na nią nie działa, to nie ma sposobu, żeby przewieźć ją na statek i poddać dalszym badaniom.

白 Ice się roześmiał.

– Rozwiązanie tego problemu jest proste. Zapomniał pan o opowieści Francisa Bacona? „Nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry”.

Tak więc *Odkrycie* podpłynęło powoli do kartki, zetknęło się z nią i pozwoliło jej wlecieć do statku. Potem jeszcze wolniej zmieniło pozycję, by kartka zawisła pośrodku kabiny laboratoryjnej. Jedynym sposobem przesunięcia kartki podczas badań było przesunięcie samego statku. Ten dziwny sposób manipulowania przedmiotem początkowo sprawiał pewne trudności, ale na szczęście *Odkrycie* zaprojektowano w celu badania małych obiektów w Pasie Kuipera, dzięki czemu miało wspaniałą zdolność manewrowania. Antena fal grawitacyjnych wyposażona była w dwanaście precyzyjnych silników sterujących. Gdy sztuczna inteligencja statku przywykła do wprowadzania koniecznych poprawek, manipulacje nabrały tempa. Jeśli świat nie mógł w żaden sposób wpłynąć na kartkę, jedynym rozwiązaniem było pozwolić na to, by ją otoczył i poruszał się razem z nią.

Był to dziwny widok: kartka znajdowała się w środku *Odkrycia*, ale statek nie miał z nią żadnego dynamicznego związku. Obu obiektom po prostu zdarzyło się zajmować to samo miejsce w kosmosie i lecieć z taką samą prędkością w stronę Układu Słonecznego.

Dzięki silniejszemu światłu w tle jeszcze wyraźniejsza stała się przezroczystość kartki. Nie przypominała już papieru, lecz jakąś przezroczystą błonę, o której obecności świadczył tylko emitowany przez

nią słaby blask. Jednak ludzie nadal nazywali ją kartką papieru. Kiedy światło otoczenia było bardzo silne, badacze czasami tracili ją z oczu, więc musieli przyciemnić lampy w laboratorium.

Najpierw zabrano się do ustalenia masy kartki. Jedyną metodą, jaką mogli zastosować, było zmierzenie siły wytwarzanej przez nią grawitacji. Jednak nawet na najwyższym poziomie precyzji licznik grawitacji pokazywał zero, co świadczyło, że jej masa jest niezwykle mała, może nawet zerowa. Przyjmując tę drugą możliwość, niektórzy zgadywali, że obiekt może być fotonem albo neutrino w postaci makro, ale jego geometryczny kształt wskazywał na to, że jest sztucznym wytworem.

Nie poczyniono żadnych postępów w badaniach, ponieważ przez kartkę przenikały bez dyfrakcji fale elektromagnetyczne o wszystkich długościach. Pola magnetyczne, nawet najsilniejsze, zdawały się na nią nie oddziaływać. Wyglądało na to, że obiekt nie ma żadnej struktury wewnętrznej.

Po dwudziestu godzinach badacze nadal prawie nic nie wiedzieli o kartce. Zaobserwowali jednak, że zmniejszają się emitowane przez nią światło i fale grawitacyjne. Nasuwało to przypuszczenie, że i światło, i te fale są formą ewaporacji. Ponieważ były to jedyne rzeczy, które świadczyły o jej istnieniu, ich zniknięcie byłoby równoznaczne ze zniknięciem samej kartki.

Baza poinformowała zespół badawczy, że ze skupiska przy Neptunie wyleciał *Dzień Jutrzejszy*, duży statek naukowy, i za siedem dni dołączy do nich. Jednostka ta posiadała więcej nowoczesnych instrumentów badawczych i mogła przeprowadzić bardziej dogłębną analizę kartki.

Gdy załoga *Odkrycia* oswoiła się z kartką, stała się mniej ostrożna i nie trzymała się już od niej na pełen szacunku dystans. Wszyscy wiedzieli, że obiekt ten nie kontaktuje się z realnym światem i nie wytwarza groźnego promieniowania. Dotykali jej beztrosko, pozwalali, by przenikała przez ich

ciała. Ktoś nawet pozwolił jej przejść przez swoje oczy i mózg i poprosił przyjaciela, by sfotografował ten widok.

白 Ice wściekł się, kiedy to zobaczył.

– Dość tego! – krzyknął. – To nie jest zabawka.

Po przepracowaniu bez przerwy dwudziestu godzin w laboratorium wrócił do swojej kabiny. Zgasił światło i starał się zasnąć, ale w ciemności czuł niepokój. Wyobrażał sobie, że w każdej chwili może tam wpłynąć lśniąca bielą kartka. Włączył więc z powrotem światło i pogrążył się we wspomnieniach.

Odkąd po raz ostatni pożegnał się ze swoim nauczycielem, minęły sto dziewięćdziesiąt dwa lata.

Był zmierzch. Wyjechał z Ding Yi z podziemnego miasta na powierzchnię i pojechał samochodem na pustynię. Ding Yi lubił się tam przechadzać i rozmyślać, a czasami prowadził tam nawet wykłady. Studenci nie cierpieli tego, ale on wyjaśniał ten ekscentryczny zwyczaj w taki sposób:

– Lubię ustronne miejsca. Życie rozprasza fizyka.

Tamtego dnia była dobra pogoda. Nie było wiatru ani burzy piaskowej, a wczesnowiosenne powietrze miało świeży zapach. Obaj, student i profesor, położyli się na wydmie. Pustynia w północnych Chinach skąpana była w blasku zachodzącego słońca. Normalnie te falujące wydmy przywodziły Bai Aisiemu na myśl kobiece kształty – być może autorem tego porównania był sam Ding Yi – ale teraz przypominały obnażony mózg. W złotym świetle kończącego się dnia widać było bruzdy i zwoje. Bai Aisi spojrzał na niebo. Przez wiszący w powietrzu kurz przedostał się skrawek

dawno niewidzianego błękitu, zupełnie jakby ten umysł miał za chwilę dostąpić oświecenia.

– Aisi – rzekł Ding Yi – chcę ci powiedzieć parę rzeczy, których nie powinieneś powtórzyć innym. Nie mów, nawet jeśli nie wrócę. Nie chcę, żeby się ze mnie śmiano.

– Panie profesorze, dlaczego nie wstrzyma się pan z powiedzeniem mi tego do swego powrotu?

Bai Aisi nie chciał pocieszyć Ding Yi. Mówił szczerze. Wciąż upajał się wizją nieuchronnego wielkiego zwycięstwa ludzkości nad flotą trisolariańską i nawet przez myśl mu nie przeszło, że podróż Ding Yi do kropli może się łączyć z dużym niebezpieczeństwem.

– Najpierw odpowiedz mi na pewne pytanie. – Ding Yi zignorował propozycję Bai Aisiego i wskazał pustynię oświetloną przez zachodzące słońce. – Zapomnij na chwilę o zasadzie nieoznaczoności i przyjmij, że wszystko da się określić. Jeśli znasz warunki początkowe, możesz obliczyć, jakie będą warunki w dowolnej chwili w przyszłości. Załóżmy, że kilka miliardów lat temu jakiś pozaziemski naukowiec otrzymałby wszystkie dane dotyczące Ziemi. Czy myślisz, że wyłącznie drogą obliczeń mógłby przewidzieć istnienie tej pustyni?

Bai Aisi zastanowił się.

– Nie. Ta pustynia nie jest wynikiem naturalnej ewolucji, lecz działania sił uruchomionych przez człowieka. Zachowań cywilizacji nie da się wytłumaczyć prawami fizyki.

– Dobrze. Dlaczego zatem my i wszyscy nasi koledzy próbujemy wyjaśniać warunki panujące dzisiaj w kosmosie i przewidywać jego przyszłość wyłącznie drogą dedukcji opartej na prawach fizyki?

Słowa Ding Yi zdumiały Bai Aisiego. Ten człowiek nigdy wcześniej nie ujawniał takich poglądów.

– Myślę, że to nie należy do sfery fizyki. Jej celem jest odkrywanie fundamentalnych praw natury. Chociaż spowodowanego przez człowieka pustynnienia Ziemi nie można wyprowadzić wprost z fizyki, to podlega ono pewnym prawom. Uniwersalne prawa są stałe.

– He, he, he. – Śmiech Ding Yi nie był radosny. Jakiś czas później Bai Aisi pomyślał, że był to najbardziej złowrogi śmiech, jaki kiedykolwiek słyszał. Była w nim jakaś masochistyczna przyjemność, podniecenie na widok tego, jak wszystko wpada w otchłań, próba zamaskowania żartem przerażenia. – Twoje ostatnie zdanie! Sam często się pocieszałem w taki sposób. Zmuszałem się, by uwierzyć, że na tej uczcie jest przynajmniej jeden stół zastawiony nietkniętymi daniami… Stale to sobie powtarzam. I powiem jeszcze raz, zanim umrę.

Bai Aisi sądził, że Ding Yi buja gdzieś myślami i mówi jak we śnie. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Na początku tego kryzysu – ciągnął Ding Yi – kiedy sofony zaczęły wpływać na akceleratory cząstek, parę osób popełniło samobójstwo. Wtedy myślałem, że taki czyn nie miał sensu. Teoretycy powinni się ekscytować podobnymi danymi eksperymentalnymi! Ale teraz rozumiem. Ci ludzie wiedzieli więcej niż ja. Weźmy choćby Yang Dong. Wiedziała więcej ode mnie i dalej sięgała myślą. Prawdopodobnie wiedziała o rzeczach, o których my nie wiemy nawet teraz. Myślisz, że tylko sofony mogą tworzyć iluzje? Myślisz, że iluzje istnieją tylko w akceleratorach cząstek? Myślisz, że reszta Wszechświata jest czysta jak dziewica i tylko czeka, aż zaczniemy ją eksplorować? Niedobrze, że odeszła z całą swoją wiedzą.

– Może gdyby więcej rozmawiała wtedy z panem, nie dokonałaby takiego wyboru.

– Może ja powinienem był z nią odejść.

Ding Yi wykopał dołek i patrzył, jak z jego brzegu osypuje się z powrotem piasek niczym wodospad.

– Jeśli nie wrócę, wszystko w moim pokoju jest twoje. Wiem, że zawsze podobały ci się te rzeczy z ery powszechnej.

– To prawda, zwłaszcza te fajki… Ale nie sądzę, że będą moje.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Mam też trochę pieniędzy…

– Panie profesorze, proszę!

– Chcę, żebyś poddał się za nie hibernacji. Im dłuższej, tym lepiej – oczywiście jeśli zechcesz. Mam na myśli dwa cele. Po pierwsze, chcę, żebyś obejrzał za mnie końcówkę – końcówkę fizyki. Po drugie… jakby to powiedzieć? Nie chcę, żebyś zmarnował życie. Jeśli inni dojdą do wniosku, że fizyka rzeczywiście istnieje, będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się nią zająć.

– To… wydaje się, że coś takiego mogłaby powiedzieć Yang Dong.

– Może to nie jest głupie.

Bai Aisi zauważył, że dołek, który wykopał Ding Yi, szybko się poszerza. Wstali i cofnęli się, a dołek stawał się coraz szerszy i głębszy. Jego dno wkrótce zniknęło w cieniu. Piasek sypał się strumieniami i niebawem średnica dołu miała około stu metrów; pochłonął pobliską wydmę. Bai Aisi ruszył biegiem do samochodu i wskoczył na siedzenie kierowcy, Ding Yi na miejsce dla pasażera. Bai Aisi zauważył, że samochód powoli przesuwa się w stronę dołu, wciągany przez piasek. Włączył silnik i koła zaczęły się obracać, ale samochód nadal się zsuwał.

Ding Yi ponownie wybuchnął tym złowrogim śmiechem:

– He, he, he…

Bai Aisi wrzucił elektryczny silnik na najwyższe ustawienie. Koła kręciły się jak wściekłe, rozpryskując na wszystkie strony piasek, ale auto wciąż zjeżdżało w stronę dołu jak talerz ciągnięty na obrusie.

– Wodospad Niagara! He, he, he…

Bai Aisi obejrzał się za siebie i zobaczył widok, który ściął mu krew w żyłach – dół wypełniał teraz całe jego pole widzenia. Pochłonął pustynię, świat wyglądał jak gigantyczny lej, którego dno stanowiła otchłań. Osypujący się piasek tworzył widowiskowy żółty wodospad. Opis Ding Yi nie był dokładny – Niagara była miniaturą w porównaniu z tą straszliwą, ciągnącą się po horyzont lawiną piachu. Potoki piachu dudniły, jakby rozpadał się świat. Samochód coraz szybciej zsuwał się w stronę tej przepaści. Bai Aisi wcisnął pedał gazu do podłogi, ale nic to nie dało.

– Głupcze, naprawdę myślisz, że uda się nam uciec? – rzekł Ding Yi, cały czas zanosząc się tym złowrogim śmiechem. – Prędkość ucieczki! Dlaczego nie obliczysz prędkości ucieczki? Myślisz tyłkiem? He, he, he…

Samochód stoczył się z krawędzi i zapadł w piaszczysty wodospad. Wydawało się, że piasek wokół nich przestał się poruszać, kiedy wszystko runęło w przepaść. Bai Aisi wrzasnął z przerażenia, ale nie usłyszał swego głosu. Słyszał tylko niepohamowany śmiech Ding Yi.

– Ha, ha, ha… Na tym przyjęciu nie ma ani jednego stołu z nietkniętymi daniami, tak jak we Wszechświecie nie ma ani jednej nietkniętej dziewicy… ha, ha, ha… ha, ha, ha…

白 Ice obudził się z koszmarnego snu i poczuł, że jest zlany zimnym potem. W powietrzu wokół niego też wisiały krople potu. Unosił się przez pewien czas, zesztywniały, po czym wyfrunął z kabiny i skierował się do Wasilienki. Trochę trwało, zanim otworzyły się drzwi, bo Wasilienko też spał.

– Generale! Niech pan nie trzyma tej rzeczy, którą nazywają kartką papieru, na statku! To znaczy niech pan nie pozwoli, żeby *Odkrycie* unosiło

się wokół niej. Powinniśmy natychmiast odlecieć jak najdalej!

– Co pan odkrył?

– Nic. To tylko moja intuicja.

– Nie wygląda pan zbyt dobrze. Wyczerpanie? Myślę, że za bardzo się pan martwi. To coś… to nic. W środku nic nie ma. Powinno być niegroźne.

白 Ice chwycił Wasilienkę za ramiona i spojrzał mu w oczy.

– Niech pan nie będzie arogancki!

– Co?

– Niech pan nie będzie arogancki. Słabość i niewiedza nie przeszkadzają w przetrwaniu, ale arogancja tak. Niech pan przypomni sobie kroplę!

Ostatnie zdanie 白 Ice'a podziałało. Wasilienko patrzył na niego przez kilka sekund w milczeniu, potem powoli skinął głową.

– Dobrze, doktorze Bai. Posłucham pana. *Odkrycie* odsunie się od kartki i odleci na tysiąc kilometrów. Zostawimy tylko pinasę, żeby ją śledziła… A może na dwa tysiące kilometrów?

白 Ice puścił Wasilienkę i otarł czoło.

– Decyzja należy do pana. Sugeruję, że im dalej, tym lepiej. Jak najszybciej napiszę oficjalny raport i zapoznam dowództwo z moją teorią.

Potykając się, odleciał.

Odkrycie opuściło kartkę. Przeniknęła przez kadłub i z powrotem znalazła się w przestrzeni kosmicznej. Tło było ciemne, więc znowu wyglądała jak nieprzezroczysty, biały kawałek papieru. *Odkrycie* oddaliło się od niej o dwa tysiące kilometrów, po czym leciało równolegle z nią, czekając na przybycie *Dnia Jutrzejszego*. Około dziesięciu metrów od kartki pozostawała pinasa, by ją stale monitorować.

Emitowane przez kartkę fale grawitacyjne nadal słabły i stopniowo ciemniał jej blask.

白 Ice zamknął się w laboratorium. Otworzył wokół siebie kilkanaście okien informacyjnych połączonych z kwantowym komputerem statku, który wykonywał skomplikowane obliczenia. Okna były zapchane równaniami, krzywymi i macierzami. Otoczony nimi naukowiec był niespokojny i poirytowany jak zwierzę w klatce.

Pięćdziesiąt godzin po oddzieleniu się kartki od *Odkrycia* emitowane dotąd przez nią fale grawitacyjne zupełnie zanikły. Wysyłane przez nią światło mrugnęło dwa razy i też zgasło. Kartka zniknęła.

– Wyparowała? – zapytał Wasilienko.

– Nie sądzę. Ale już jej nie zobaczymy. – 白 Ice potrząsnął ze znużeniem głową i jedno po drugim pozamykał okna informacyjne.

Po kolejnej godzinie, podczas której nie wykryto żadnych śladów kartki, Wasilienko nakazał pinasie powrót. Ale dwaj członkowie załogi, którzy pełnili na niej wachtę, nie potwierdzili przyjęcia rozkazu, radio transmitowało tylko ich pospieszną rozmowę.

– Spójrz tam! Co się dzieje?

– To rośnie!

– Nie dotykaj! Uciekajmy!

– Moja noga! Aaach…

Po tym krzyku terminal monitorujący na *Odkryciu* pokazał, że jeden z członków załogi opuszcza pinasę i uruchamia silniki sterujące skafandra kosmicznego, starając się stamtąd uciec. Pojawiło się jaskrawe światło; jego źródłem była pinasa, która się topiła! Wyglądała jak kulka lodów upuszczona na rozgrzane szkło – dno łodzi rozpływało się we wszystkie strony. „Szkła” nie było widać, o istnieniu tej płaszczyzny świadczyła tylko kałuża topniejącego materiału. Kałuża stała się niezwykle cienką warstwą

i emitowała urzekające kolorowe światła, które przypominały fajerwerki rozproszone za szybą.

Uciekinier z pinasy przeleciał kawałek, ale wydawało się, że siła grawitacji przyciąga go do płaszczyzny wyznaczonej przez stopioną jednostkę. Jego stopy dotknęły jej i natychmiast się z nią stopiły. Również reszta jego ciała zaczęła się po niej rozpływać i zdołał tylko wydać krzyk, który nagle ucichł jak nożem uciął.

– Wszyscy na fotele hipergrawitacyjne! Cała naprzód! – rozkazał Wasilienko, gdy tylko zobaczył, jak stopy nieszczęśnika stykają się z niewidzialną płaszczyzną.

Odkrycie nie było statkiem klasy gwiezdnej, dlatego załoga nie musiała przed osiągnięciem najwyższego przyspieszenia wchodzić w stan głębinowy. Mimo to przeciążenie było tak duże, że wcisnęło wszystkich w fotele. Ponieważ rozkaz został wydany w wielkim pośpiechu, kilka osób nie zdążyło dotrzeć w porę do swoich miejsc i spadło na rufę, doznając przy tym obrażeń. Z rur wydechowych statku wydobył się długi na wiele kilometrów strumień plazmy, który przeszył ciemną noc przestrzeni kosmicznej. W oddali, gdzie nadal topiła się pinasa, widać było fosforyzujące lśnienie podobne do błędnych ogników na pustkowiu.

Na zbliżeniu na terminalu widzieli, że z pinasy pozostał już tylko sam wierzch, który wkrótce także zniknął w jaskrawej płaszczyźnie. Wtopiło się w nią również ciało członka załogi, któremu nie udało się uciec, i wyglądało jak ogromna świetlista plama w kształcie człowieka. Chociaż zajmowało dużą przestrzeń, nie miało żadnej grubości.

– Nie poruszamy się – powiedział, z trudem wydobywając głos z powodu przeciążenia, pilot *Odkrycia*. – Statek nie przyspiesza.

– Co ty pleciesz – chciał krzyknąć Wasilienko, ale z jego ust wydobył się tylko szept.

Rzeczywiście wydawało się, że pilot jest w błędzie. Wszyscy na pokładzie byli wciśnięci w fotele, co świadczyło, że statek leci z ogromnym przyspieszeniem. Wprawdzie pasażerowie nie mogli stwierdzić naocznie, czy jednostka się porusza, bo wszystkie ciała niebieskie, które mogły posłużyć jako punkty odniesienia, były zbyt daleko, by w tak krótkim czasie dostrzegli paralaksę, ale system nawigacji wykrywał nawet niewielki ruch i przyspieszenie, więc nie mógł się mylić.

Na *Odkryciu* panowało przeciążenie, ale statek nie przyspieszał. Jakaś siła przygwoździła go do tego miejsca w przestrzeni kosmicznej.

– Mamy przyspieszenie – powiedział słabym głosem 白 Ice. – Ale przestrzeń w tym rejonie płynie w przeciwnym kierunku, niwelując nasz ruch.

– Przestrzeń płynie? Dokąd?

白 Ice nie mógł podnieść ręki, bo była za ciężka, ale wszyscy wiedzieli, o czym mówi. Na statku zapadła śmiertelna cisza. Normalnie przeciążenie zwiększało poczucie bezpieczeństwa, bo ludzie mieli wrażenie, że uciekają przed niebezpieczeństwem w objęciach jakiejś opiekuńczej siły, ale teraz wydawało się im, że duszą się jak w grobie.

– Otworzyć kanał łączności z dowództwem – powiedział 白 Ice. – Nie mamy czasu, więc potraktujemy to jako oficjalny raport.

– Kanał otwarty.

– Generale, niedawno powiedział pan: „To coś to nic. W środku nie ma nic”. To tylko przestrzeń, tak jak przestrzeń wokół nas, która jest niczym i nic nie zawiera. Ale jest pewna różnica: to przestrzeń dwuwymiarowa. Nie blok, lecz plasterek. Plasterek o zerowej grubości.

– Nie wyparowała?

– Wyparowało pole ochronne wokół niej. To pole siłowe działało jak opakowanie, które oddzielało przestrzeń dwuwymiarową od

trójwymiarowej. Ale teraz obie stykają się ze sobą. Pamiętacie, co zobaczyły *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja*?

Nikt nie odpowiedział, ale wszyscy pamiętali: czterowymiarową przestrzeń wpadającą do trójwymiarowej jak wodospad z urwiska.

– Tak jak przestrzeń czterowymiarowa zapada się w trójwymiarowej, trójwymiarowa może zapaść się w dwa wymiary, przy czym jeden wymiar składa się i zwija w sferze kwantowej. Powierzchnia tego plasterka przestrzeni dwuwymiarowej – ma on tylko powierzchnię – raptownie rośnie, powodując zapadanie się pozostałej przestrzeni trójwymiarowej… Znajdujemy się teraz w przestrzeni, która spada w dwa wymiary, i w końcu podąży za nami cały Układ Słoneczny. Innymi słowy, Układ Słoneczny zamieni się w obraz o zerowej grubości.

– Możemy przed tym uciec?

– To jest jak ucieczka łódką wiosłową przed porwaniem przez wodospad. Jeśli nie osiągniemy pewnej prędkości ucieczki, przekoziołkujemy przez urwisko. To tak, jakbyś rzucał w górę kamień – bez względu na to, jak wysoko go ciśniesz, i tak spadnie na ziemię. W strefie zapadania się jest cały Układ Słoneczny i każdy, kto chce uciec, musi osiągnąć prędkość ucieczki.

– A jaka jest ta prędkość?

– Obliczyłem ją cztery razy. Jestem prawie pewien, że uzyskałem prawidłowy wynik.

– No to jaka to prędkość?

Wszyscy na pokładzie *Odkrycia* i *Alaski* wstrzymali oddech i jako przedstawiciele ludzkości zamienili się w słuch.

– Prędkość światła – oznajmił spokojnie 白 Ice.

System nawigacji pokazywał, że *Odkrycie* porusza się teraz w kierunku przeciwnym do obranego. Zaczęło powoli przesuwać się ku przestrzeni

dwuwymiarowej, ale stopniowo przyspieszało. Silniki statku były cały czas ustawione na całą naprzód. Spowolni to przynajmniej tempo spadania i odwlecze to, co nieuchronne.

Światło emitowane dwa tysiące kilometrów dalej przez dwuwymiarową pinasę i jej załogę już zgasło. Spadek z trzech do dwóch wymiarów wyzwalał dużo mniej energii niż z czterech do trzech. Światło gwiazd wyraźnie ukazywało dwie dwuwymiarowe struktury. Na dwuwymiarowej pinasie widać było szczegóły rozwiniętych w dwóch wymiarach struktur trójwymiarowych – kabinę załogi, reaktor termojądrowy i tak dalej – oraz zwiniętą postać członka załogi, który został w kabinie. W postaci drugiego można było dostrzec kości i naczynia krwionośne, a także wszystkie części jego ciała. W procesie spadania w dwa wymiary każdy punkt obiektu trójwymiarowego był rzutowany na płaszczyznę zgodnie z precyzyjnymi zasadami geometrii, a więc te dwie figury były najdokładniejszymi i najpełniejszymi odzwierciedleniami pierwotnej trójwymiarowej pinasy i ludzi. Wszystkie struktury wewnętrzne leżały teraz obok siebie, nic nie pozostawało ukryte. Jednak ten proces rzutowania był zupełnie inny niż na rysunkach technicznych, a zatem trudno było wyobrazić sobie wzrokowo kształty pierwotnych struktur trójwymiarowych. Najbardziej różniło się to od rysunków technicznych faktem, że dwuwymiarowe zwinięcie odbyło się w każdej skali – w dwóch wymiarach wszystkie trójwymiarowe struktury i ich detale zostały równolegle rozłożone, co w pewnym stopniu było kopią oglądania trójwymiarowego świata z przestrzeni czterowymiarowej. Przypominało to rysunki fraktali – bez względu na to, jak bardzo powiększało się część obrazu, nie stawał się mniej złożony. Fraktale jednak były koncepcjami teoretycznymi – ich rzeczywiste przedstawienia były nieuchronnie ograniczone rozdzielczością i po wielokrotnym powiększeniu obrazy te traciły swój fraktalny charakter. Natomiast złożoność

sprowadzonych do dwóch wymiarów obiektów trójwymiarowych była rzeczywista – rozdzielczość była na poziomie cząstek podstawowych. Na monitorze *Odkrycia* oko mogło dostrzec tylko ograniczoną rozdzielczość, ale mimo to widzom kręciło się w głowach od złożoności i mnogości szczegółów. Był to najbardziej złożony obraz we Wszechświecie; zbyt długie wpatrywanie się w niego mogło doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Oczywiście pinasa i członkowie jej załogi mieli zerową grubość.

Nie było wiadomo, jak daleko rozpościerała się teraz płaszczyzna, bo o jej obecności świadczyły tylko te dwa obrazy.

Odkrycie ześlizgiwało się teraz szybciej ku otchłani, która miała zero głębokości.

– Hej, nie bądźcie tacy smutni. Nikt nie zdoła uciec z Układu Słonecznego, nawet bakteria ani wirus. Wszyscy staniemy się częścią tego wspaniałego obrazu – rzekł ze stoickim spokojem 白 Ice.

– Przerwać przyspieszanie – powiedział Wasilienko. – Jaką różnicę robi kilka minut? Przynajmniej pooddychajmy łatwiej na koniec.

Silnik *Odkrycia* zamilkł. Słup plazmy u wylotu dyszy zniknął i statek dryfował bezradnie w kosmosie. W rzeczywistości nadal leciał coraz szybciej ku dwuwymiarowemu rejonowi, ale ponieważ poruszał się razem z przestrzenią, ci, którzy w nim byli, nie czuli żadnej spowodowanej przyspieszaniem grawitacji. Cieszyli się nieważkością i brali głębokie oddechy.

– Wiecie, o czym myślę? O obrazach Bystrego Oka z opowieści Yun Tianminga – powiedział 白 Ice.

Tylko parę osób na *Odkryciu* wiedziało o sekretnej wiadomości od Yun Tianminga. Teraz wszyscy błyskawicznie zrozumieli, jakie znaczenie miał ten szczegół jego baśni. Była to zwykła metafora, całkiem czytelna bez

żadnych współrzędnych naprowadzających. Yun Tianming musiał myśleć, że podejmuje wielkie ryzyko, używając tak oczywistej metafory, ale musiał to zrobić, bo ta wiadomość była bardzo ważna.

Prawdopodobnie sądził, że ludzkość zaznajomiona z odkryciami, których dokonały *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja*, zrozumie tę metaforę. Niestety, był w błędzie. Niezdolność do rozszyfrowania tej informacji doprowadziła do tego, że ludzie pokładali wszystkie swoje nadzieje w programie Schron.

To prawda, że w obydwu uderzeniach z ciemnego lasu, których świadkami byli ludzie, wykorzystano fotoidy, ale ludzkość zignorowała najistotniejszy fakt: te dwa układy planetarne miały inną konfigurację niż Układ Słoneczny. Wokół 187J3X1 krążyły trzy ogromne planety typu jowiszowego, ale ich orbity znajdowały się niezwykle blisko tej gwiazdy. Ich średnia odległość od niej wynosiła zaledwie trzy procent odległości Jowisza od Słońca, czyli jeszcze mniej niż odległość Merkurego. Ponieważ niemal ocierały się o swoje słońce, jego wybuch prawie całkowicie je zniszczył i nie mogły zostać wykorzystane jako osłony ochronne. Natomiast w układzie trisolariańskim była tylko jedna planeta, Trisolaris.

Konfiguracja układu planet wokół gwiazdy jest cechą, którą można dostrzec z daleka. Wystarczająco rozwiniętej cywilizacji wystarczył jeden rzut oka.

Skoro ludzie mogli wymyślić plan wykorzystania gazowych olbrzymów jako osłon, to czy nie mógł on też przyjść do głowy przedstawicielom takiej wysoko rozwiniętej cywilizacji?

„Słabość i niewiedza nie przeszkadzają w przetrwaniu, ale arogancja tak”.

Odkrycie znajdowało się teraz nie dalej niż tysiąc kilometrów od płaszczyzny; opadało coraz szybciej.

– Dziękuję wam wszystkim za sumienne wykonywanie obowiązków – powiedział Wasilienko. – Wprawdzie nie pracowaliśmy razem długo, ale za to dobrze.

– Ja też dziękuję wszystkim członkom rodzaju ludzkiego – rzekł 白 Ice. – Kiedyś żyliśmy wspólnie w Układzie Słonecznym.

Odkrycie spadło na dwuwymiarową płaszczyznę. Po kilku sekundach statek został rozpłaszczony. W ciemności kosmosu raz jeszcze rozbłysło światło podobne do ogni sztucznych. Ten ogromny dwuwymiarowy obraz było wyraźnie widać z oddalonej o sto tysięcy kilometrów *Alaski*. Można było rozróżnić wszystkie osoby z *Odkrycia* – leżały bok przy boku, trzymając się za ręce, a każda komórka w ciele każdej z nich była wystawiona w dwóch wymiarach na przestrzeń.

Byli pierwszymi, którzy zostali wmalowani w ten wspaniały obraz unicestwienia.

* Nazwisko 白 wymawia się „Bai”.

68 rok ery schronu

Pluton

– Wracajmy na Ziemię – powiedziała cicho Cheng Xin. Była to pierwsza jasna myśl, która wyłoniła się z chaosu panującego w jej głowie.

– Ziemia to niezłe miejsce, żeby czekać na koniec. Spadający liść wraca do korzeni. Ale mamy nadzieję, że *Halo* poleci na Plutona – rzekł Cao Bin.

– Na Plutona?

– Pluton jest w apogeum, dość daleko od dwuwymiarowej przestrzeni. Rząd Federacji ma zamiar wydać oficjalne ostrzeżenie przed uderzeniem z ciemnego lasu i wtedy skieruje się tam wiele statków. Chociaż nie zmieni to ostatecznego rezultatu, przynajmniej da ludziom więcej czasu.

– Ile?

– Za osiem do dziesięciu dni cały Układ Słoneczny w granicach Pasa Kuipera zapadnie się w dwa wymiary.

– To nie jest wystarczająco długo, żeby się tym przejmować. Wracajmy na Ziemię – powiedziała AA.

– Rząd Federacji chciałby was o coś poprosić.

– A co teraz możemy zrobić?

– To nic ważnego. Teraz nic już nie jest ważne. Ale ktoś wysunął pomysł, że teoretycznie może istnieć program przetwarzania obrazów, który mógłby na podstawie dwuwymiarowego obrazu trójwymiarowego obiektu odtworzyć ten obiekt. Mamy nadzieję, że w odległej przyszłości jakaś inteligentna cywilizacja mogłaby stworzyć trójwymiarowe przedstawienie

naszego świata na podstawie jego dwuwymiarowego obrazu. Chociaż byłoby to tylko coś w rodzaju martwej natury, przynajmniej ludzka cywilizacja nie zostałaby zapomniana. Na Plutonie znajduje się Muzeum Cywilizacji Ziemskiej. Zgromadzono w nim dużo cennych artefaktów. Jednak muzeum zbudowano pod powierzchnią planety i martwimy się, że podczas procesu zapadania się w płaszczyznę przedmioty te zostaną przemieszane z częściami jej skorupy i ich struktura ulegnie uszkodzeniu. Chcielibyśmy poprosić was, byście zabrały te artefakty na *Halo* i rozrzuciły je w kosmosie, dzięki czemu każdy z nich zapadłby się w dwa wymiary oddzielnie. W ten sposób ich struktura zostałaby zachowana… Przyznaję, że ten pomysł to niemal fantastyka naukowa, ale lepiej jest zrobić coś niż nic. Poza tym na Plutonie jest Luo Ji. Chce się z wami zobaczyć.

– Luo Ji? To on jeszcze żyje? – krzyknęła AA.

– Tak. Ma prawie dwieście lat.

– Dobrze. Lećmy na Plutona – zdecydowała Cheng Xin. Dawniej byłaby to niezwykła podróż, ale teraz nic nie było ważne.

– Życzycie sobie lecieć na Plutona? – rozległ się miły męski głos.

– A to kto? – zapytała AA.

– Jestem *Halo*, a raczej sztuczna inteligencja *Halo*. Życzycie sobie lecieć na Plutona?

– Tak. Co mamy robić?

– Tylko potwierdzić swoje życzenie. Poza tym nie musicie nic robić. Ja zrobię za was całą resztę.

– Tak, chcemy lecieć na Plutona.

– Autoryzacja potwierdzona. Przystępuję do przetwarzania informacji. Za trzy minuty *Halo* przyspieszy i grawitacja wzrośnie do 1 g. Proszę zwracać uwagę na jej kierunek.

– Dobrze – powiedział Cao Bin. – Im wcześniej, tym lepiej. Po oficjalnym ostrzeżeniu przed atakiem może się tu rozpętać piekło. Miejmy nadzieję, że będziemy jeszcze mogli porozmawiać.

Zamknął okno komunikacyjne, zanim AA i Cheng Xin zdążyły się z nim pożegnać. W tej chwili AA, Cheng Xin i *Halo* nie były jego priorytetami.

Przez iluminator widziały niebieskie refleksy pojawiające się na skorupie połączonego miasta – były to odbicia płomieni wydobywających się z rur wydechowych *Halo*. Cheng Xin i AA upadły na podłogę i potoczyły się w stronę sferycznej kabiny. Czuły, że ich ciała stają się cięższe. Przyspieszenie osiągnęło wkrótce 1 g. Kiedy obie – nadal słabe po hibernacji – pozbierały się z trudem z podłogi i znowu wyjrzały przez iluminator, zobaczyły Jowisza w całej okazałości. Był wciąż ogromny i kurczył się w zbyt wolnym tempie, by można to było zauważyć.

Sztuczna inteligencja oprowadziła AA i Cheng Xin po statku. Podobnie jak jego poprzednik, nowe *Halo* było małym jachtem klasy gwiezdnej i mogło pomieścić najwyżej cztery osoby. Większość miejsca zajmował układ ekologicznego recyklingu. Według konwencjonalnych kryteriów układ ten był nadmiernie rozbudowany i zajmował zbyt dużo miejsca, wskutek czego przestrzeń dla pasażerów, w której na statku tej wielkości powinno się swobodnie zmieścić czterdzieści osób, wystarczyła zaledwie dla czterech. System ten składał się z czterech identycznych podsystemów, które były ze sobą połączone i wzajemnie się wspomagały. Gdyby jeden z nich uległ przypadkiem awarii, pozostałe trzy mogły przywrócić mu sprawność. Inną cechą wyróżniającą *Halo* była zdolność do lądowania bezpośrednio na średniej wielkości planetach w stanie stałym. Była to konstrukcja rzadko stosowana w statkach klasy gwiezdnej; na ogół do przewożenia pasażerów na powierzchnię planet używano w nich promów. Bezpośrednie zejście statku w głąb studni grawitacyjnej planety wymagało

bardzo mocnego kadłuba, co znacznie zwiększało koszty budowy. Poza tym jednostka latająca w atmosferze musiała mieć opływowy kształt, co również rzadko można było spotkać wśród statków tej klasy. Te wszystkie cechy konstrukcyjne oznaczały, że gdyby *Halo* znalazło w głębi przestrzeni kosmicznej inną planetę typu ziemskiego, mogłoby przez długi czas służyć na powierzchni tej planety za bazę mieszkalną dla załogi. Może to właśnie dzięki tym cechom wybrano jacht do zadania ocalenia artefaktów z Plutona.

Miał on zresztą wiele innych niezwykłych cech. Znajdowało się w nim na przykład sześć małych ogródków o powierzchni od dwudziestu do trzydziestu metrów kwadratowych. Każdy z nich przystosowywał się automatycznie do kierunku grawitacji podczas przyspieszania, a przy lądowaniu obracał się niezależnie od innych w celu wytworzenia sztucznej grawitacji. Każdy pokazywał inny fragment natury: zieloną łąkę z przepływającym przez nią szemrzącym strumykiem, mały zagajnik ze źródełkiem pośrodku, plażę z bijącymi o nią falami… Chociaż były niewielkie, to kunsztownie wykonane, jak naszyjnik z pereł przedstawiających najpiękniejsze miejsca na Ziemi. Na małym statku klasy gwiezdnej było to niezwykłym luksusem.

Cheng Xin było żal *Halo*. Ten doskonały mały świat miał wkrótce zostać przemieniony w plasterek o zerowej grubości. Starała się nie myśleć o większych i wspanialszych rzeczach, którym też groziło nieuniknione zniszczenie – nadciągająca zagłada zakrywała niebo nad jej głową niczym para czarnych skrzydeł, więc nie śmiała spojrzeć w górę.

Dwie godziny po odlocie *Halo* odebrało oficjalne ostrzeżenie przed atakiem, wydane przez rząd Federacji Układu Słonecznego. Wygłosiła je prezydent, piękna kobieta, która wyglądała bardzo młodo. Stała na tle błękitnej flagi Federacji i mówiła z twarzą pozbawioną wyrazu. Cheng Xin zauważyła, że błękitna flaga przypomina starożytną flagę ONZ, z tą

różnicą, że w miejscu diagramu Ziemi był teraz diagram Słońca. Najważniejszy dokument, który oznaczał koniec ludzkiej historii, był bardzo krótki:

> Pięć godzin temu system wczesnego ostrzegania potwierdził, że z ciemnego lasu wyprowadzono uderzenie wymierzone w nasz świat.
>
> To uderzenie ma postać ataku wymiarowego, który sprawi, że trójwymiarowa przestrzeń wokół Układu Słonecznego zapadnie się w dwa wymiary. Rezultatem będzie całkowite zniszczenie wszystkich form życia.
>
> Szacuje się, że ten proces potrwa od ośmiu do dziesięciu dni. W tym momencie przestrzeń już się zapada, a tempo i zasięg tego procesu szybko się zwiększają.
>
> Potwierdziliśmy, że prędkość ucieczki z zapadającego się rejonu jest równa prędkości światła.
>
> Przed godziną rząd i parlament Federacji podjęły nową uchwałę, która znosi wszystkie przepisy prawne odnoszące się do eskapizmu. Jednak rząd pragnie przypomnieć wszystkim obywatelom, że prędkość ucieczki znacznie przekracza możliwości wszystkich pojazdów wyprodukowanych przez ludzi. Prawdopodobieństwo, że ucieczka się powiedzie, jest zerowe.
>
> Rząd Federacji, parlament i Sąd Najwyższy będą pełnić obowiązki do końca.

AA i Cheng Xin nie zawracały sobie głowy oglądaniem kolejnych wiadomości. Było możliwe, że – jak powiedział Cao Bin – w Świecie Schronu żyło się jak w raju. Chciały zobaczyć, jak wygląda ten raj, ale bały się spojrzeć. Jeśli wszystko zmierzało ku zagładzie, to im piękniejsze by było, tym większy sprawiłoby ból. W każdym razie był to raj, który trząsł się ze strachu przed śmiercią.

Halo przestało przyspieszać. Jowisz, który został z tyłu, był małą żółtą plamką. Jego pasażerki spędziły kilka następnych dni podróży na nieprzerwanej drzemce, w której utrzymywał je generator snu. Podczas tej samotnej podróży przez noc przed końcem świata same szalone wyobrażenia mogły doprowadzić człowieka do kompletnego załamania.

Sztuczna inteligencja *Halo* obudziła AA i Cheng Xin ze snu bez snów, gdy statek zbliżył się do Plutona.

Przez iluminator i na ekranie monitora widziały go całego. Kiedy tylko ujrzały tę pogrążoną w mroku planetę karłowatą, pomyślały, że wygląda jak wiecznie zamknięte oko. W tak dużej odległości od Słońca światło było niezwykle skąpe. Cheng Xin i AA dostrzegły kolory na powierzchni Plutona, dopiero kiedy *Halo* weszło na niską orbitę. Skorupa zdawała się składać ze skrawków błękitu i czerni. Czarne były skały, co niekoniecznie znaczyło, że taką mają barwę, ale przyćmione światło nie pozwalało określić ich inaczej. Niebieskie były zestalony azot i metan. Gdyby widziały Plutona dwieście lat wcześniej, kiedy był blisko swego aphelium, a więc pod orbitą Neptuna, powierzchnia wyglądałaby zupełnie inaczej. Lód by się częściowo stopił i powstałaby cienka atmosfera. Z tej odległości wyglądałaby na ciemnożółtą.

Halo wciąż opadało. Gdyby to była Ziemia, wchodzenie w atmosferę byłoby wzruszającym przeżyciem, tu jednak jacht leciał przez cichą próżnię, hamując za pomocą silników sterujących. Na niebiesko-czarnej powierzchni pojawił się przyciągający uwagę biały napis:

CYWILIZACJA ZIEMSKA

Napis wykonany był pismem współczesnym, łączącym znaki chińskie i litery alfabetu łacińskiego. Poniżej znajdowało się kilka mniejszych wierszy powtarzających to samo w różnych pismach. Cheng Xin zauważyła, że w żadnym z nich nie ma słowa „muzeum”. Jacht znajdował się jeszcze sto kilometrów nad powierzchnią, co oznaczało, że napisy te są

ogromne. Cheng Xin nie potrafiła dokładnie ocenić wielkości, ale była pewna, że to największe znaki zapisane kiedykolwiek przez ludzi i że w każdym z nich mogłoby się zmieścić miasto. Gdy *Halo* zniżyło się do dziesięciu tysięcy metrów nad powierzchnią, jeden z gigantycznych znaków wypełnił całe pole widzenia. W końcu jacht siadł na szerokim lądowisku, którym była najwyższa kreska chińskiego znaku *qiu* (球), części słowa „Ziemia”.

Za radą sztucznej inteligencji Cheng Xin i AA włożyły lekkie skafandry kosmiczne i wyszły na powierzchnię Plutona. W tym lodowatym środowisku układy grzewcze w skafandrach pracowały pełną mocą. Lądowisko było puste, białe i zdawało się fosforyzować w świetle gwiazd. Liczne ślady wypalone w ziemi świadczyły, że kiedyś lądowało tu i odlatywało stąd wiele statków kosmicznych, ale teraz *Halo* było jedyną jednostką.

W erze schronu Pluton przypominał Antarktydę na starożytnej Ziemi. Nikt nie mieszkał tu na stałe, a na krótko przybywało niewiele osób.

Pomiędzy gwiazdami na niebie przesunęła się szybko czarna kula. Była duża, ale spowita mrokiem – to Charon, księżyc Plutona. Miał masę równą jednej dziesiątej masy Plutona, więc oba te ciała niebieskie tworzyły prawie układ podwójny planet krążących wokół wspólnego środka masy.

Halo włączyło reflektory. Z powodu braku atmosfery nie wydobywały się z nich widzialne snopy światła. Rzucały tylko kręgi światła na odległy prostokątny obiekt. Ten czarny monolit był jedynym wzniesieniem na białej ziemi. Zwracał uwagę prostotą, jakby był abstrakcyjnym przedstawieniem rzeczywistego świata.

– Wygląda nieco znajomo – stwierdziła Cheng Xin.

– Nie wiem, co to jest, ale mam złe przeczucie.

Ruszyły w stronę monolitu. Grawitacja na Plutonie wynosiła tylko jedną dziesiątą ziemskiej, więc posuwały się skokami. Zauważyły na ziemi rząd strzałek wskazujących monolit. Dopiero gdy do niego dotarły, zdały sobie sprawę z jego ogromu. Gdy podniosły głowy, wyglądał jak kawał gwiaździstego nieba. Rozejrzały się i zobaczyły, że ze wszystkich stron biegną do niego takie same rzędy strzałek jak ten, wzdłuż którego szły. U stóp monolitu znajdowało się inne wzniesienie – metalowe koło o średnicy około metra. Ku swemu zdziwieniu stwierdziły, że trzeba obracać je ręcznie. Nad kołem znajdował się diagram utworzony z białych linii na czarnej powierzchni monolitu. Dwie łukowate strzałki pokazywały kierunki, w których należało nim kręcić. Obok jednej z nich umieszczony był rysunek półotwartych drzwi, obok drugiej rysunek drzwi zamkniętych. Cheng Xin obróciła się i popatrzyła na strzałki wskazujące monolit. Te proste, jasne, bezsłowne instrukcje napełniły ją dziwnym uczuciem, które głośno wyraziła AA:

– Te rzeczy… nie sądzę, żeby były przeznaczone dla ludzi.

Obróciły koło zgodnie ze wskazówkami zegara. Zacinało się, ale w końcu w ścianie monolitu otworzyły się drzwi. Wydobyło się przez nie trochę gazu, a znajdująca się w środku para wodna szybko zamieniła się w kryształki lodu, które lśniły w świetle reflektorów. Zobaczyły naprzeciwko drugie drzwi, również otwierane kołem. Tym razem nad kołem była napisana prosta instrukcja z informacją, że są w śluzie powietrznej i że przed otwarciem drzwi wewnętrznych muszą najpierw zamknąć zewnętrzne. Było to niezwykłe, ponieważ od końca ery kryzysu można było otwierać drzwi hermetycznych budynków wprost na próżnię, bez potrzeby korzystania ze śluzy powietrznej.

Cheng Xin i AA pokręciły kołem umieszczonym na wewnętrznej stronie drzwi, przez które weszły, i je zamknęły. W ten sposób odcięły światło

reflektorów. Bojąc się ciemności, już miały włączyć lampki skafandrów, gdy zauważyły na suficie wąskiej śluzy małą lampę. Była to pierwsza oznaka istnienia elektryczności na tej planecie. Zaczęły obracać koło, by otworzyć drugie drzwi. Cheng Xin była pewna, że otworzyłyby je, nawet gdyby nie zamknęły pierwszych. Jedynym zabezpieczeniem przed ucieczką powietrza było postępowanie zgodnie z instrukcją. W tym środowisku o niskiej technologii nie było żadnych automatycznych mechanizmów chroniących przed popełnieniem błędów.

Uderzenie powietrza omal ich nie przewróciło, a w szybko podnoszącej się temperaturze wizjery ich hełmów zaszły mgłą. Ale czujniki w skafandrach wskazywały, że skład i ciśnienie powietrza są takie, iż można nim oddychać, więc otworzyły hełmy.

Zobaczyły prowadzący w głąb ziemi tunel oświetlony słabymi lampami. Ciemne ściany tunelu pochłaniały ich skąpe światło, wskutek czego pomiędzy stożkami światła zalegała ciemność. Podłoga tunelu była gładka i chociaż biegł on w dół pod kątem prawie czterdziestu pięciu stopni, nie było tam schodów. Taką konstrukcję wybrano prawdopodobnie z jednego z dwóch powodów: albo przy tak niskiej sile grawitacji schody nie były potrzebne, albo nie zaprojektowano go dla ludzi.

– Nie ma tu windy? – zapytała AA. Bała się schodzić po takiej stromiźnie.

– Winda mogłaby się z czasem zepsuć. Tę budowlę wzniesiono tak, by przetrwała liczne ery geologiczne.

Głos dobiegał z drugiego końca tunelu, gdzie pojawił się starzec. W mdłym świetle widać było, że jego długie białe włosy i broda unoszą się przy niskiej grawitacji, jakby pływały w powietrzu.

– Pan Luo Ji? – krzyknęła AA.

– A któżby inny? Dzieci, nogi nie noszą mnie już tak dobrze jak dawniej, więc wybaczcie, że nie wyszedłem wam na powitanie. Zejdźcie tu same.

Cheng Xin i AA pokonały pochyłość skokami. Dzięki małej sile ciążenia nie było to zbyt niebezpieczne. Gdy się zbliżyły do starca, zobaczyły, że to rzeczywiście Luo Ji. Miał na sobie długą, białą chińską szatę zwaną *changshan* i wspierał się na lasce. Był nieco przygarbiony, ale głos miał zdrowy i donośny.

Na dole Cheng Xin złożyła mu głęboki ukłon.

– Witaj, czcigodny starcze.

– Ha, ha, ha… dajmy sobie spokój z tymi grzecznościami. – Luo Ji machnął ręką. – Kiedyś byliśmy… kolegami z pracy. – Przyjrzał się Cheng Xin i w jego oczach pojawiły się zdumienie i zachwyt, który zdawał się nie pasować do jego wieku. – Jesteś wciąż taka młoda. Niegdyś widziałem w tobie tylko Dzierżycielkę Miecza, a potem stopniowo stałaś się piękną młodą kobietą. Ha, ha, ha…

W oczach Cheng Xin i AA Luo Ji też się zmienił. Zniknął stateczny Dzierżyciel Miecza. Nie wiedziały, że ten cyniczny i wesoły człowiek, który stał przed nimi, był z powrotem Luo Ji sprzed czterech stuleci, zanim został Wpatrującym się w Ścianę. Dawny Luo Ji powrócił, jakby obudził się z hibernacji, ale upływ czasu sprawił, że złagodniał i stał się bardziej skłonny do refleksji.

– Wie pan, co się stało? – zapytała AA.

– Oczywiście, dziecko. – Wskazał za siebie laską. – Ci wszyscy idioci stąd odlecieli. Wiedzieli, że w końcu i tak nie uda im się uciec, a mimo to próbowali. Głupcy.

Miał na myśli pozostałych pracowników Muzeum Cywilizacji Ziemskiej.

– Ty i ja na darmo się trudziliśmy – rzekł Luo Ji do Cheng Xin.

Dopiero po chwili zrozumiała, o czym mówił, ale napływ wspomnień i emocji ostudziły następne słowa Luo Ji.

– Nie ma o czym mówić. Słuszną drogą było zawsze *carpe diem*. Oczywiście nie ma już zbyt dużo *diem* na *carpe*, ale nie musimy szukać kłopotów. Chodźmy. Nie musicie mi pomagać. Nawet nie nauczyłyście się jeszcze, jak tu należy chodzić.

W zaawansowanym wieku Luo Ji – dwieście lat – największą trudnością w chodzeniu w tak słabym polu grawitacji było nie to, że człowiek poruszał się zbyt wolno, lecz że zbyt szybko. Laska służyła mu nie tyle za podporę, ile za hamulec.

Po chwili otworzyła się przed nimi szeroka przestrzeń. Cheng Xin i AA zdały sobie sprawę, że znajdują się teraz w dużo większym tunelu, właściwie w jaskini. Jej sklepienie wznosiło się wysoko, ale i to pomieszczenie było oświetlone tylko rzędem przyćmionych lamp. Jaskinia zdawała się bardzo długa – nie było widać jej końca.

– To główna część muzeum – wyjaśnił Luo Ji.

– Gdzie są artefakty?

– W salach na drugim końcu. One nie są tak ważne. Ile czasu mogą przetrwać? Dziesięć tysięcy lat? Sto tysięcy? W najlepszym razie milion. Praktycznie wszystkie rozsypią się wcześniej w proch. Ale to – Luo Ji zatoczył laską krąg wokół nich – miało w zamyśle twórców tej budowli przetrwać setki milionów lat. No i co, nadal myślicie, że to muzeum? Nie, nikt go nie zwiedza. To nie jest miejsce dla zwiedzających. To tylko nagrobek – nagrobek ludzkości.

Cheng Xin rozejrzała się po pustej, słabo oświetlonej jaskini i wróciła myślami do wszystkiego, co widziała. Rzeczywiście wszystko tutaj naznaczone było śmiercią.

– Skąd się wziął taki pomysł? – AA też się rozejrzała.

– Pytasz, bo jesteś za młoda. – Luo Ji wskazał na Cheng Xin i na siebie. – W naszych czasach ludzie często planowali miejsce pochówku za życia. Znalezienie cmentarza dla ludzkości nie jest takie łatwe, ale nagrobek da się wznieść. – Obrócił się do Cheng Xin. – Pamiętasz sekretarz generalną Say?

Cheng Xin kiwnęła głową.

– Oczywiście.

Gdy przed czterystu laty pracowała w PAW, spotkała kilka razy Say na różnych zebraniach. Ostatni raz na odprawie PAW. Był tam też Wade. Cheng Xin przedstawiła Say na dużym ekranie projekt Klatka Schodowa. Była to prezentacja w programie PowerPoint. Say wysłuchała wszystkiego w milczeniu, nie zadając żadnych pytań. Po wszystkim podeszła do Cheng Xin i powiedziała szeptem: „Potrzebujemy więcej takich ludzi jak pani”.

– Była prawdziwą wizjonerką. Przez te wszystkie lata często ją wspominałem. Czy to możliwe, że nie żyje już od czterystu lat? – Luo Ji wsparł się na lasce i westchnął. – To ona pierwsza o tym pomyślała. Chciała zrobić coś, dzięki czemu ludzkie dziedzictwo zostałoby zachowane jeszcze długo po zniknięciu naszej cywilizacji. Planowała wysłać kosmiczny statek bezzałogowy z artefaktami i informacjami o nas, ale uznano to za formę eskapizmu i wraz z jej śmiercią wstrzymano ten projekt. Przypomniano sobie o nim trzysta lat później, po rozpoczęciu programu Schron. W owym czasie ludzie martwili się, że w każdej chwili może nastąpić koniec świata. Nowy rząd Federacji postanowił zbudować nagrobek równocześnie z miastami w ramach programu Schron, ale oficjalnie, żeby nie postrzegano tego jako oznaki pesymizmu, nazywano go Muzeum Cywilizacji Ziemskiej. Zostałem mianowany przewodniczącym komitetu budowy tego nagrobka. Najpierw rozpoczęliśmy zakrojone na szeroką skalę badania nad tym, w jaki sposób przechować informacje przez eony geologiczne. Początkowo dolną granicą był miliard lat. Ha! Miliard. Ci idioci myśleli, że to będzie

łatwe – w końcu skoro udało się nam zbudować Świat Schronu, to co mogło być w tym trudnego? Wkrótce jednak zdali sobie sprawę, że współczesne kwantowe urządzenia do przechowywania informacji, chociaż umożliwiają zawarcie całej biblioteki w ziarnku ryżu, mogą je przechowywać bez strat przez około dwóch tysięcy lat. Po tym czasie rozkład nośników sprawiłby, że nie dałoby się ich zdekodować. Prawdę mówiąc, odnosiło się to tylko do urządzeń najwyższej klasy. Dwie trzecie bardziej powszechnych nośników zawodziło już po pięciuset latach. To spostrzeżenie nagle przekształciło ten projekt z oderwanej od rzeczywistości, kontemplacyjnej sprawy w interesujący problem praktyczny. Pięćset lat to była rzeczywistość – w końcu ty i ja pochodzimy z epoki odległej zaledwie o czterysta lat, prawda? Tak więc rząd wstrzymał wszystkie prace nad muzeum i skierował nas do prac nad tym, jak zrobić kopie ważnych informacji o świecie współczesnym, które można by odczytać po upływie pięciuset lat, he, he… W końcu trzeba było założyć specjalny instytut, który miał się zająć rozwiązaniem tego problemu, żeby reszta nas mogła się skupić na muzeum, czyli nagrobku. Naukowcy zdali sobie sprawę, że jeśli chodzi o trwałość danych, urządzenia do ich gromadzenia pochodzące z naszych czasów były lepsze. Znaleźli trochę pamięci USB i dysków twardych z ery powszechnej i na niektórych z nich dane nadal były możliwe do odzyskania! Eksperymenty pokazały, że jeśli te urządzenia były wysokiej jakości, zawarte w nich informacje pozostawały bezpieczne przez prawie pięć tysięcy lat. Szczególnie odporne na działanie czasu były dyski optyczne z naszej ery. Jeśli wykonano je ze specjalnego metalu, można było niezawodnie przechować na nich dane przez sto tysięcy lat. Jednak żaden z tych nośników nie mógł się równać z drukowanym materiałem. Teksty zapisane specjalnym atramentem na papierze kompozytowym można by odczytać za dwieście tysięcy lat. To jednak była

nieprzekraczalna granica. Nasze konwencjonalne techniki przechowywania danych umożliwiały zachowanie informacji przez dwieście tysięcy lat, a nam potrzebne były takie, które przedłużyłyby ten okres do miliona! Poinformowaliśmy rząd, że w obecnym stanie technologii przechowanie dziesięciu gigabajtów obrazów i jednego gigabajta tekstu – co było podstawowym wymogiem muzeum – przez miliard lat jest niemożliwe. Nie chcieli nam uwierzyć, więc musieliśmy przedstawić dowody. W końcu zgodzili się skrócić ten okres do stu milionów lat, ale nadal było to niezwykle trudne zadanie. Poszukiwaliśmy informacji, które przetrwały przez tak długi czas. Wzory na prehistorycznej ceramice miały około dziesięciu tysięcy lat. Malowidła naskalne w europejskich jaskiniach pochodziły mniej więcej sprzed czterdziestu tysięcy lat. Jeśli uznać za informacje znaki na kamieniach z czasów, kiedy nasi przodkowie, hominidy, robili pierwsze narzędzia, to najwcześniejsze pochodzą z plejstocenu, czyli liczą sobie dwa i pół miliona lat. No i wreszcie znaleźliśmy informacje zostawione sto milionów lat temu, chociaż nie przez ludzi – odciski łap dinozaurów. Badania trwały, ale nie robiliśmy żadnych postępów. Widać było, że inni specjaliści doszli do jakichś wniosków, ale nie chcieli nic mówić. Więc powiedziałem im: „Nie krępujcie się. Bez względu na to, jak dziwaczne czy niezwykłe mogą się wydawać wasze wnioski, musimy je przyjąć, skoro nie ma innych możliwości”. Dodałem, że trudno sobie wyobrazić coś bardziej dziwacznego i niezwykłego od tego, co ja sam przeszedłem, więc na pewno nie będę się z nich śmiał. Wtedy powiedzieli, że stosując się do najnowszych teorii i korzystając z najnowszych technik, poprzez eksperymenty, analizę i porównanie wielu propozycji, znaleźli sposób zachowania informacji przez około sto milionów lat. Podkreślili, że to jedyna znana metoda, która jest wykonalna. A jest nią – Luo Ji podniósł

laskę nad głowę i z rozwianymi białymi włosami i brodą wyglądał jak Mojżesz rozdzielający Morze Czerwone, kiedy zaintonował: – rycie słów w kamieniu.

AA zachichotała. Ale Cheng Xin się nie roześmiała. Osłupiała.

– Rycie słów w kamieniu – powtórzył Luo Ji i wskazał laską ściany jaskini.

Cheng Xin podeszła do jednej z nich. W przyćmionym świetle zobaczyła, że jest ona pokryta gęstym wyrytym tekstem oraz reliefami. Skała nie była surowa; zdawała się przepojona metalem, a może powleczona jakimś trwałym stopem tytanu lub złota. W zasadzie jednak wykuwanie w niej słów nie różniło się od rycia w kamieniu. Tekst był drobny – każdy znak czy litera miał około centymetra kwadratowego. To też miało pomóc mu dłużej przetrwać, ponieważ mniejsze znaki trudniej by było zachować.

– Oczywiście przy takim podejściu pojemność przechowywania trzeba było znacznie zredukować, co zostawiało nam mniej niż jedną dziesięciotysięczną planowanej ilości. Ale nie mieliśmy wyboru – rzekł Luo Ji.

– Te lampy są naprawdę dziwne – powiedziała AA.

Cheng Xin spojrzała na lampę na skalnej ścianie. Przede wszystkim zwróciła uwagę na jej kształt: wystające ze ściany ramię z pochodnią. Pomyślała, że skądś zna ten wzór, ale najwyraźniej AA nie to miała na myśli. Lampa o takim kształcie wyglądała pokracznie. Jej wielkość i konstrukcja przypominały starożytny reflektor, ale światło, które emitowała, było bardzo słabe, mniej więcej takie jak starożytnej dwudziestowatowej żarówki. Po przejściu przez gruby klosz nie było jaśniejsze od świeczki.

– Tam jest maszyneria, która dostarcza elektryczność do tego kompleksu, jak elektrownia – powiedział Luo Ji, wskazując za siebie. – Ta lampa to

zdumiewające osiągnięcie. W środku nie ma żarówki ani gazu palnego, i właściwie nie wiem, co jest elementem świecącym, ale może się palić przez sto tysięcy lat. Drzwi, przez które tu weszłyście, powinny w normalnych warunkach działać przez pięćset tysięcy lat. Potem się zdeformują i ktokolwiek będzie chciał tu wejść, będzie musiał je wyważyć. Wtedy te lampy nie będą się paliły już od czterystu tysięcy lat i będzie tu panowała ciemność. Ale będzie to dopiero początek obliczonej na sto milionów lat drogi.

Cheng Xin zdjęła rękawiczkę i pogłaskała znaki wyryte w zimnym kamieniu. Potem oparła się plecami o skalną ścianę i zapatrzyła na lampy. Przypomniała sobie, gdzie takie widziała – w Panteonie w Paryżu. Ręka trzymająca pochodnię była taka sama jak przy grobie Rousseau. Teraz słabe żółte światła przed nią nie wyglądały już na elektryczne; wydawały się małymi płomykami, które zaraz zgasną.

– Nie jesteś zbyt rozmowna – powiedział Luo Ji. Jego głos przepojony był troskliwością, której od tak dawna jej brakowało.

– Zawsze taka była – wyjaśniła AA.

– Ach, ja kiedyś uwielbiałem mówić, a potem zapomniałem, jak się to robi. Ale nauczyłem się tego od nowa i teraz nie przestaję paplać, jak dziecko. Mam nadzieję, że was nie zanudzam.

Cheng Xin zdobyła się na uśmiech.

– Ależ skąd. Chodzi o to, że… nie wiem, co powiedzieć, patrząc na to wszystko.

To była prawda. Co można było powiedzieć? Cywilizacja była jak szaleńczy bieg, który trwał pięć tysięcy lat. Postęp rodził postęp, niezliczone cuda torowały drogę następnym cudom. Ludzkość zdawała się posiadać boską moc, ale ostatecznie prawdziwą moc miał czas. Zostawienie po sobie śladu okazało się trudniejsze niż stworzenie świata. Pod koniec

świata ludzkość mogła zrobić tylko to, co robiła w odległej przeszłości – wyryć słowa w kamieniu.

Cheng Xin przyjrzała się dokładnie rytom na ścianie. Zaczynały się od płaskorzeźby przedstawiającej mężczyznę i kobietę, być może po to, by pokazać przyszłym odkrywcom jaskini, jak wyglądali ludzie. Jednak w odróżnieniu od schematycznych rysunków mężczyzny i kobiety na metalowej płytce, jakie niosły w kosmos sondy Pioneer w erze powszechnej, tutaj te dwie postaci ukazane zostały w pozach pełnych ekspresji i życia, co przywoływało na myśl Adama i Ewę.

Cheng Xin przeszła się wzdłuż ściany. Po tych postaciach następowały hieroglify i znaki pisma klinowego, prawdopodobnie skopiowane ze starożytnych pierwowzorów – możliwe, że niektóre z nich były niezrozumiałe nawet dla współczesnych ludzi, a jeśli tak, jak mieliby je zrozumieć przyszli odkrywcy spoza Ziemi? Dalej zobaczyła chińską poezję, a przynajmniej tak wywnioskowała na podstawie układu znaków. Żadnego jednak nie rozpoznała, mogła powiedzieć tylko tyle, że zostały zapisane w stylu wielkopieczęciowym.

– To *Księga Pieśni*, powstała tysiąc lat przed narodzeniem Chrystusa – wyjaśnił Luo Ji. – Jeśli pójdziesz dalej, zobaczysz fragmenty klasycznej filozofii greckiej. Żeby ujrzeć znaki i litery, które potrafisz odczytać, będziesz musiała przejść kilkadziesiąt metrów.

Pod literami greckimi zobaczyła inną płaskorzeźbę, która zdawała się przedstawiać starożytnych uczonych w prostych szatach dyskutujących na otoczonej kamienną kolumnadą agorze.

Cheng Xin przyszedł do głowy dziwny pomysł. Odwróciła się i przyjrzała miejscu na początku rytów, ale nie znalazła tego, czego szukała.

– Szukasz kamienia z Rosetty? – zapytał Luo Ji.

– Tak. Nie ma tu jakiegoś systemu, który pomógłby odczytać te znaki?

– Dziecko, mówimy o żłobieniu w kamieniu, nie o komputerze. Jak moglibyśmy wpasować tutaj coś takiego?

AA popatrzyła na skalną ścianę, a potem spojrzała na Luo Ji.

– Mówi pan, że wyryliśmy tu znaki, których sami nie rozumiemy, z nadzieją, że któregoś dnia zdoła je odczytać jakaś istota pozaziemska?

To prawda, że dla pozaziemskich odkrywców z dalekiej przyszłości wyryta na ścianach jaskini klasyka ludzkiej literatury byłaby prawdopodobnie tym samym, co dla nas pismo linearne A, kreteńskie hieroglify i inne starożytne pisma, których nikt nie potrafił odczytać. Być może nadzieja, że ktoś kiedykolwiek zdoła je odszyfrować, od początku była płonna. Gdy budowniczowie tego monumentu naprawdę pojęli potęgę czasu, nie wierzyli już, że zaginiona cywilizacja może zostawić po sobie jakieś ślady, które przetrwają eony. Jak powiedział Luo Ji, to nie było muzeum.

Muzea buduje się dla zwiedzających, nagrobki dla budowniczych.

Poszli we troje dalej. Luo Ji rytmicznie stukał laską o posadzkę.

– Często przechadzam się tu, snując szalone myśli. – Luo Ji zatrzymał się i wskazał płaskorzeźbę starożytnego żołnierza w zbroi, dzierżącego włócznię. – Tu opisane są podboje Aleksandra Macedońskiego. Gdyby posunął się trochę dalej na wschód, napotkałby Qin pod koniec Epoki Walczących Królestw… Ciekawe, co by się wtedy stało? I jak zmieniłaby się historia? – Przeszli jeszcze kawałek i Luo Ji znowu wskazał na ścianę. W tym miejscu pismo małopieczęciowe ustępowało miejsca pismu kancelaryjnemu. – No i dotarliśmy do dynastii Han. Od tamtej pory Chiny zostały dwukrotnie zjednoczone. Czy zjednoczone terytorium i ujednolicony system myślenia są dobre dla cywilizacji jako całości? Dynastia Han w końcu poparła konfucjanizm, ale co by się stało, gdyby przetrwała mnogość szkół myślenia z Epoki Wiosen i Jesieni? Jak

odmienna byłaby teraźniejszość? – Zatoczył laską krąg. – W każdym momencie historii można znaleźć nieskończoną liczbę zaprzepaszczonych okazji.

– Jak w życiu – powiedziała cicho Cheng Xin.

– O nie, nie. – Luo Ji potrząsnął energicznie głową. – Przynajmniej nie w moim. Nie sądzę, żebym cokolwiek zaprzepaścił, ha, ha, ha. – Spojrzał na Cheng Xin. – Dziecko, naprawdę sądzisz, że cokolwiek przegapiłaś? Wobec tego w przyszłości nie pozwól, by okazje przechodziły ci koło nosa.

– Nie ma już żadnej przyszłości – powiedziała chłodno AA. Zastanawiała się, czy Luo Ji nie cierpi na demencję.

Doszli do końca jaskini. Odwróciwszy się, by ogarnąć spojrzeniem ten podziemny nagrobek, Luo Ji westchnął.

– Zaprojektowaliśmy tę budowlę tak, by przetrwała sto milionów lat, a ona nie przetrwa nawet stu.

– Kto wie? Może zobaczy to wszystko jakaś dwuwymiarowa cywilizacja – powiedziała AA.

– Interesujące! Mam nadzieję, że się nie mylisz… Patrzcie, tu trzymamy artefakty. Mamy w sumie trzy sale.

Cheng Xin i AA jeszcze raz zobaczyły przed sobą otwartą przestrzeń. Pomieszczenie bardziej przypominało magazyn niż salę wystawową. Wszystkie przedmioty znajdowały się w identycznych metalowych skrzynkach, a każda skrzynka była szczegółowo oznakowana.

Luo Ji stuknął laską w jedną z leżących blisko nich.

– Jak powiedziałem, te rzeczy nie są tak ważne. Trwałość większości z nich nie przekracza pięćdziesięciu tysięcy lat, aczkolwiek niektóre z tych rzeźb mogą dotrwać do miliona. Ale radzę, byście nie ruszały rzeźb. Chociaż dzięki słabej sile ciążenia łatwo jest je przenieść, zajmują za dużo miejsca… No dobrze, bierzcie, co chcecie.

AA rozejrzała się z podnieceniem.

– Sugeruję, byśmy wzięły obrazy. Możemy zapomnieć o starych klasykach i starożytnych manuskryptach – nikt tego nie zrozumie.

Podeszła do jednej z metalowych skrzyń i nacisnęła coś na jej wierzchu, co wyglądało jak guzik, ale skrzynia się nie otworzyła, a nie było na niej żadnej instrukcji. Dołączyła do niej Cheng Xin i wspólnymi siłami podniosły pokrywę. AA wyjęła obraz olejny.

– Myślę, że obrazy też zajmują dużo miejsca – powiedziała.

Luo Ji wziął kombinezon leżący na innej skrzyni i z jego kieszeni wydobył mały nóż oraz śrubokręt.

– To rama zajmuje dużo miejsca. Możesz wyjąć z niej obraz.

AA wzięła od niego śrubokręt, ale zanim zabrała się do pracy, Cheng Xin krzyknęła:

– Nie!

Obrazem była *Gwiaździsta noc* van Gogha.

Zaskoczenie Cheng Xin wzięło się nie tylko z tego, że obraz był cenny. Raz już go widziała. Przed czterema wiekami, tuż po rozpoczęciu pracy w PAW, zwiedziła w któryś weekend Museum of Modern Art w Nowym Jorku i obejrzała tam kilka dzieł van Gogha. Sposób, w jaki van Gogh przedstawiał przestrzeń kosmiczną, wywarł na niej duże wrażenie. W jego podświadomości zdawała się ona mieć strukturę. Cheng Xin nie była wtedy specjalistką w zakresie fizyki teoretycznej, ale wiedziała, że według teorii strun przestrzeń kosmiczna, podobnie jak obiekty materialne, składa się z wielu mikroskopijnych, wibrujących strun. Van Gogh namalował te struny. Na jego obrazach przestrzeń – tak jak góry, pola pszenicy, domy i drzewa – wypełniają drobne wibracje. *Gwiaździsta noc* wycisnęła na jej umyśle niezatarte piętno, więc była zaskoczona, ujrzawszy ją cztery wieki później na Plutonie.

– Wyjmijcie go z ram. W ten sposób będziecie mogły zabrać więcej. – Luo Ji machnął niedbale laską. – Myślicie, że te przedmioty są nadal warte tyle, co okup za miasto? Teraz nawet miasto jest bezwartościowe.

Tak więc usunęły ramę, która miała może z pięćset lat, ale zostawiły twardą podkładkę pod płótnem, by go nie uszkodzić. Robiły to samo z innymi obrazami olejnymi i wkrótce podłogę zaścielały puste ramy. Podszedł do nich Luo Ji i położył rękę na małym obrazie.

– Możecie mi go zostawić?

Cheng Xin i AA postawiły obraz na skrzyni przy ścianie. Były zaskoczone, gdy zobaczyły, że jest to *Mona Lisa*.

Potem z powrotem wzięły się do roboty. AA powiedziała szeptem:

– Sprytny staruszek. Najdroższe dzieło wziął dla siebie.

– Nie sądzę, że zrobił to z tego powodu.

– Może kochał kiedyś dziewczynę, która nazywała się Mona Lisa?

Luo Ji usiadł koło *Mony Lisy* i gładził starożytną ramę.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś – mruknął. – Gdybym wiedział, często przychodziłbym popatrzeć na ciebie.

Cheng Xin zobaczyła, że nie patrzy na obraz. Wbijał wzrok w przestrzeń przed nim, jakby zaglądał w otchłań przeszłości. Widziała, że jego oczy napełniły się łzami, i nie była pewna, czy się nie myli.

We wspaniałym grobowcu pod powierzchnią Plutona, oświetlonym mdłymi lampami, które miały świecić przez sto tysięcy lat, uśmiech Mony Lisy zdawał się to pojawiać, to znikać. Ten uśmiech intrygował ludzi przez dziewięć stuleci, a teraz wydawał się jeszcze bardziej zagadkowy i niesamowity, jakby znaczył wszystko i nic, niczym nadciągająca śmierć.

68 rok ery schronu

Dwuwymiarowy Układ Słoneczny

Cheng Xin i AA wyniosły pierwszą partię artefaktów na powierzchnię. Poza kilkunastoma pozbawionymi ram obrazami zabrały też dwa brązowe naczynia rytualne z czasów Zachodniej Dynastii Zhou i kilka starożytnych ksiąg. Przy standardowej grawitacji 1 g nie byłyby w stanie udźwignąć tego wszystkiego, ale na Plutonie nie wymagało to wielkiego wysiłku. Po przejściu przez śluzę powietrzną starannie zamknęły za sobą pierwsze drzwi, żeby uciekające powietrze nie wywiało ich na zewnątrz razem z artefaktami. Gdy tylko otworzyły drugie drzwi, niewielka ilość powietrza w śluzie zamieniła się w tuman lodowych kryształków. Początkowo myślały, że kryształki te oświetlają reflektory *Halo*, ale kiedy kryształki przestały wirować, zorientowały się, że są one zgaszone. Na powierzchnię Plutona padało światło z jakiegoś innego źródła i *Halo* oraz czarny monolit rzucały długie cienie na biały grunt. Podniosły głowy i wstrząśnięte cofnęły się o dwa kroki.

Z kosmosu patrzyło na nie dwoje ogromnych oczu.

W górze wisiały dwa jarzące się owale, które wyglądały zupełnie jak oczy. „Białka” były białe czy jasnożółte, „źrenice” ciemne.

– To Neptun, a ten drugi to Ura… och, nie, to Saturn! – powiedziała AA.

Oba gazowe olbrzymy zostały zredukowane do dwóch wymiarów. Orbita Urana znajdowała się za orbitą Saturna, ale ponieważ teraz Uran był po drugiej stronie Słońca, Saturn pierwszy wpadł w dwuwymiarową

przestrzeń. Po zapadnięciu się ogromne planety powinny wyglądać jak koła, ale pod kątem widzenia z Plutona wydawały się owalne. Każda z tych dwuwymiarowych planet była teraz zbiorem koncentrycznych pierścieni. Neptun składał się z trzech. Zewnętrzny, niebieski, jasny i żywy niczym wytuszowane rzęsy, był wodorowo-helową atmosferą. Środkowy, biały, stanowił jego dawny płaszcz o grubości dwudziestu tysięcy kilometrów, który zdaniem astronomów był wodno-amoniakowym oceanem. Wewnętrzny, ciemny, był jądrem o masie równej całej Ziemi. Saturn miał podobną budowę, tyle że bez zewnętrznego, niebieskiego pierścienia.

Każdy z tych dużych pierścieni złożony był z wielu mniejszych, pełnych szczegółowych struktur. Gdy Cheng Xin i AA lepiej przyjrzały się obu planetom, ogromne oczy zaczęły się im kojarzyć bardziej ze słojami ściętego drzewa. Wokół każdej z tych dwuwymiarowych planet znajdowało się kilkanaście mniejszych kręgów – księżyców, które też zostały spłaszczone. Saturna otaczał drugi, słabiej widoczny krąg – jego pierścienie. Cheng Xin i AA odnalazły Słońce – mały dysk emitujący słabe żółte światło. Ponieważ obie planety znajdowały się wciąż po drugiej stronie Słońca, widok ich obszaru po zapadnięciu się w dwa wymiary musiał zapierać dech w piersiach. Miały zerową grubość.

W świetle tych dwuwymiarowych planet Cheng Xin i AA przeniosły artefakty przez białe lądowisko na *Halo*. Gładki opływowy kadłub był jak krzywe lustro, w którym odbicia dwuwymiarowych planet układały się w długie, płynne kształty. Profil jachtu nasuwał naturalnie ludziom na myśl krople i emanował krzepiącą siłą i lekkością. W drodze na Plutona AA powiedziała Cheng Xin, że jej zdaniem został prawdopodobnie w dużej części zbudowany z materiałów składających się z cząstek powiązanych oddziaływaniem silnym.

Gdy do niego doszły, bezszelestnie otworzyły się drzwi w dnie statku. Wniosły dzieła po schodach do kabiny, zdjęły hełmy i zaczerpnęły głęboko powietrza w ich przytulnym małym światku. Poczuły w sercach ulgę – mimowolnie już myślały o jachcie jak o domu.

Cheng Xin zapytała sztuczną inteligencję, czy odebrała jakieś transmisje z Neptuna i Saturna. Zaledwie to zrobiła, runęła przytłaczająca lawina kolorowych okien informacyjnych. Przypomniał im się fałszywy alarm sprzed stu osiemnastu lat. Wtedy większość informacji pochodziła ze środków masowego przekazu, natomiast teraz wydawało się, że przestały one istnieć. Prawie wszystkie okna pokazywały obrazy, w których nie sposób było się rozeznać – niektóre były zamazane, inne drgały, jeszcze inne były zbliżeniami nie wiadomo czego. Ale kilka okien wypełniały pasma wspaniałych kolorów, które falując i zmieniając się, ukazywały złożone, szczegółowe struktury. Prawdopodobnie było to oblicze dwuwymiarowego wszechświata.

AA poleciła sztucznej inteligencji, by filtrowała obrazy, na co ta zapytała, jakiego rodzaju informacje chcą zobaczyć. Cheng Xin poprosiła o wiadomości z miast kosmicznych. Zalew okien ustał i w ich miejsce pojawiło się kilkanaście innych, w pewien sposób uporządkowanych. Jedno z nich powiększyło się i wysunęło przed pozostałe. Sztuczna inteligencja wyjaśniła, że oglądają to, co się wydarzyło przed dwunastoma godzinami w Europie VI w skupisku koło Neptuna. Europa VI była kiedyś częścią połączonego miasta, które rozdzieliło się po ogłoszeniu alarmu o uderzeniu.

Obraz był wyraźny, ujęcie szerokie. Kamera umieszczona była prawdopodobnie na końcu miasta, dlatego widać je było jak na dłoni.

W całym mieście wysiadł prąd i tylko kilka reflektorów rzucało chwiejne kręgi światła na jego drugi koniec. Trzy sztuczne termojądrowe słońca wzdłuż osi miasta zamieniły się w srebrzyste księżyce, które wprawdzie

rozjaśniały nieco ciemność, ale ani trochę nie grzały. Europa VI była typowym miastem w kształcie piłki do rugby, ale budynki zupełnie nie przypominały tych, które Cheng Xin widziała pół wieku wcześniej. Świat Schronu kwitł, więc zabudowa nie była już tak jednolita i monotonna. Domy były wyższe, każdy wzniesiony według innego projektu. Szczyty niektórych wieżowców sięgały niemal do osi miasta. Pojawiły się również ponownie budynki w kształcie drzew. Wyglądały na prawie tak duże jak te, które dawniej powstawały na Ziemi, chociaż miały gęściejsze liście. Można było sobie wyobrazić, jak pięknie wyglądało to miasto, kiedy nocą zapalały się w nim światła. Jednak teraz, skąpane tylko w poświacie księżyca, drzewa mieszkalne rzucały tak szerokie cienie, że reszta miasta wyglądała jak ruiny w mrocznym lesie.

Miasto przestało się obracać i wszystko stało się nieważkie. W powietrzu unosiła się masa przedmiotów – pojazdy, różnoraki sprzęt, a nawet całe budynki.

Na osi miasta pojawił się pas czarnych chmur łączący oba bieguny. Sztuczna inteligencja jachtu zakreśliła prostokąt na obrazie i pokazała jego zbliżenie w nowym oknie informacyjnym. Cheng Xin i AA doznały wstrząsu, gdy zobaczyły, że tę chmurę tworzą ludzie unoszący się w środku miasta. Niektóre z tych nieważkich osób zbiły się w gromadę, inne trzymały się za ręce, układając się w linię, ale większość dryfowała samotnie. Wszyscy byli w hełmach i ubraniach zakrywających całe ciało, najprawdopodobniej w skafandrach kosmicznych. Nawet podczas ostatniego przebudzenia się Cheng Xin z hibernacji trudno było odróżnić zwykłe ubranie od skafandra kosmicznego. Każdy człowiek zdawał się mieć stale przy sobie systemy podtrzymania życia – niektórzy nosili je na plecach, inni trzymali w rękach. Ale większość ludzi miała otwarte wizjery i można było zobaczyć lekkie podmuchy wiatru, co wskazywało, że

powietrzem w mieście nadal można było oddychać. Wielu ludzi zgromadziło się wokół słońc, licząc na to, że znajdą tam trochę ciepła, ale światło termojądrowych słońc było zimne. Przedostawało się przez szczeliny w chmurze ludzi, którzy rzucali cętkowane cienie na miasto wokół nich.

Według sztucznej inteligencji jachtu połowa z sześciu milionów mieszkańców Europy VI uciekła już z miasta na statkach kosmicznych. Część z pozostałych trzech milionów nie miała żadnej możliwości wydostania się stamtąd, ale większość zrozumiała, że ucieczka nie ma sensu. Nawet gdyby niektórym statkom udało się jakimś cudem umknąć przed zapadającą się strefą i dotrzeć w głąb kosmosu, to większość z nich nie miała układów recyklingu ekologicznego, które mogłyby przez długi czas zapewniać warunki wystarczające dla podtrzymania życia. Dostęp do statków międzygwiezdnych, w których można by żyć nieskończenie długo, nadal był przywilejem nielicznych. Ci ludzie postanowili czekać na koniec w miejscu, które znali.

Dźwięk podczas tej transmisji nie był ściszony, ale mimo to Cheng Xin nic nie słyszała. Zarówno ludzka chmura, jak i miasto były niesamowicie ciche. Wszyscy patrzyli w tę samą stronę. Tamta część miasta niczym się nie różniła od innych – była pełna krzyżujących się ulic i rzędów budynków. Ci ludzie na coś czekali. W zimnym blasku księżyca ich twarze były białe jak duchy. Ten widok przypomniał Cheng Xin krwawy świt w Australii przed stu dwudziestoma sześcioma laty. Tak jak wtedy miała wrażenie, że patrzy na mrowisko, a unosząca się pośrodku miasta ludzka chmura przypominała dryfującą armię mrówek.

Ktoś z tej chmury wrzasnął. Na równiku miasta, w miejscu, w które wszyscy się wpatrywali, pojawiła się jarząca się plamka. Wyglądała jak

otwór w dachu ciemnego domu, który wpuszczał do środka słońce. Był to punkt, w którym Europa VI zetknęła się z przestrzenią dwuwymiarową.

Plamka szybko się powiększyła i przemieniła w jarzący się owal. Światło, które wysyłała, pocięte przez wysokie budynki na snopy, padało na ludzką chmurę na osi miasta. Samo miasto przypominało ogromny statek z przedziurawionym dnem, tonący w płaskim morzu. Płaszczyzna dwuwymiarowej przestrzeni podnosiła się jak woda i wszystko, co się z nią zetknęło, momentalnie się w nią wtapiało. Rozcinała skupiska budynków, a ich dwuwymiarowe obrazy rozpościerały się na niej. Ponieważ przekrój miasta był tylko małą częścią jego spłaszczonego obrazu, większość dwuwymiarowych budynków znalazła się poza owalem wyznaczonym jego powłoką. Na poszerzającej się płaszczyźnie pojawiały się wspaniałe kolory i skomplikowane struktury i rozpierzchały się na wszystkie strony, jakby była ona soczewką, przez którą patrzyło się na umykające zwierzęta. W mieście wciąż jeszcze znajdowało się powietrze, słychać więc było odgłos zapadania się trójwymiarowego świata w dwa wymiary: serię przeszywających trzasków i chrzęstów, jakby całe miasto zrobione było z kunsztownie grawerowanego szkła i kruszył je gigantyczny walec.

W miarę podnoszenia się płaszczyzny ludzka chmura zaczęła się przesuwać w przeciwną stronę, niczym kurtyna podciągana niewidzialną ręką. Ta scena przypomniała Cheng Xin ogromne stado milionów ptaków, które kiedyś widziała. Tamto stado wydawało się jednym organizmem zmieniającym kształt na ciemniejącym o zmierzchu niebie.

Wkrótce płaszczyzna pochłonęła jedną trzecią miasta i nadal gorączkowo drgała, wznosząc się nieodparcie ku jego osi. Niektórzy ludzie zaczęli na nią spadać, albo wskutek awarii silników sterujących w ich skafandrach, albo dlatego, że przestali uciekać. W jednej chwili rozpływali się na niej jak krople kolorowego tuszu i każdy ukazywał się w dwóch wymiarach jako

niepowtarzalna figura. Na jednym z pokazanych przez sztuczną inteligencję zbliżeń Cheng Xin i AA zobaczyły parę zakochanych, którzy skakali na płaszczyznę, trzymając się w objęciach. Nawet po spłaszczeniu widać było dwie leżące obok siebie obejmujące się figury. Ich pozycje wydawały się dziwne, jakby narysowało je dziecko nieznające zasad perspektywy. W pobliżu była matka, która spadając na płaszczyznę, trzymała nad głową niemowlę, żeby żyło chociaż jedną dziesiątą sekundy dłużej. Również one zostały żywo sportretowane na tym gigantycznym malowidle. Deszcz spadających stawał się coraz rzęsistszy. Dwuwymiarowe ludzkie postacie zalewały płaszczyznę aż poza granice miasta.

Kiedy dwuwymiarowa przestrzeń dosięgła osi, większość ocalałej jeszcze ludności wylądowała na drugim końcu miasta. Pochłonięta została ponad jego połowa i gdy ludzie patrzyli „w górę”, nie widzieli już po drugiej stronie znajomego widoku domów, lecz chaotycznie ukształtowane dwuwymiarowe niebo napierające na te części Europy VI, które pozostawały jeszcze w trzech wymiarach. Nie można już było uciec przez główną bramę na biegunie północnym, więc ludzie gromadzili się wzdłuż równika, gdzie znajdowały się trzy wyjścia ewakuacyjne. Wokół nich piętrzyły się góry nieważkiego tłumu.

Dwuwymiarowa przestrzeń przesunęła się przez oś i pochłonęła trzy słońca, ale światło wyemitowane podczas ich spłaszczania jeszcze bardziej rozjaśniło ten świat.

Rozległ się narastający świst – z miasta uchodziło w kosmos powietrze. Trzy wyjścia ewakuacyjne, każde wielkości boiska piłkarskiego, były szeroko otwarte; za nimi wciąż istniała przestrzeń trójwymiarowa.

Sztuczna inteligencja statku wysunęła naprzód inne okno informacyjne. Był to widok Europy VI z góry. Dwuwymiarowa część miasta rozpościerała się na niewidzialnej płaszczyźnie. W porównaniu z nią szybko się kurcząca

część trójwymiarowa wyglądała na mikroskopijnie małą, jak wystający z morza grzbiet wieloryba na tle bezmiaru wody. Z miasta wzbiły się i rozproszyły w kosmosie trzy słupy czarnego „dymu” utworzonego z ludzi wyrzuconych przez silny wiatr dekompresji. Samotna trójwymiarowa wyspa nadal tonęła i rozpływała się w dwuwymiarowym morzu. Po niespełna dziesięciu minutach cała Europa VI zamieniła się w obraz.

Obraz ten był tak ogromny, że trudno było ocenić jego rozmiary. Było to martwe miasto, choć być może precyzyjniej byłoby nazwać je rysunkiem miasta w skali jeden do jednego. Rysunek odzwierciedlał wszystkie szczegóły do ostatniej śrubki, każde włókno, każde roztocze, a nawet każdą bakterię. Każdy atom pierwotnej trójwymiarowej przestrzeni został rzutowany zgodnie z żelaznymi prawami na odpowiadające mu miejsce w przestrzeni dwuwymiarowej. Podstawowe zasady, do których stosował się ten rysunek, były takie, że żadne części nie mogły na siebie zachodzić ani być ukryte i że na płaszczyźnie musiał być odwzorowany każdy szczegół. Tutaj złożoność była substytutem wspaniałości. Niełatwo było zinterpretować ten rysunek. Można było zobaczyć ogólny plan miasta i rozpoznać niektóre duże konstrukcje, takie jak ogromne drzewa, które nawet w dwóch wymiarach wyglądały jak drzewa, ale budynki po spłaszczeniu wyglądały zupełnie inaczej – było niemal niemożliwe tylko dzięki samej wyobraźni wydedukować na podstawie dwuwymiarowego rysunku, jaką miały strukturę w trzech wymiarach. Nie ulegało jednak wątpliwości, że potrafiłby tego dokonać program przetwarzania obrazów wyposażony w odpowiedni model matematyczny.

W oknie informacyjnym można też było dostrzec w oddali dwa inne spłaszczone miasta kosmiczne. Wyglądały jak idealnie płaskie kontynenty dryfujące w ciemnej przestrzeni kosmicznej, spoglądające na siebie

nawzajem przez płaszczyznę. Ale kamera, być może umieszczona na dronie, też ku niej opadała i wkrótce cały ekran wypełnił obraz Europy VI.

Przez wyjścia awaryjne wydostało się z Europy VI blisko milion ludzi; teraz, schwytani przez otaczającą ich i zapadającą się w dwa wymiary przestrzeń trójwymiarową, spadali na płaszczyznę jak chmara mrówek porwanych przez wodospad. Ten deszcz padał coraz gęściej i mnożyły się dwuwymiarowe figury ludzi w mieście. Spłaszczone osoby zajmowały dużą przestrzeń – chociaż nadal małą w porównaniu z dwuwymiarowymi budynkami – i wyglądały jak drobne człekokształtne plamki na ogromnym obrazie.

W widocznej w oknie informacyjnym trójwymiarowej przestrzeni pojawiło się więcej obiektów. Były to łodzie, które wcześniej opuściły Europę VI. Ich reaktory termojądrowe pracowały pełną mocą, ale pojazdy niepowstrzymanie opadały ku płaszczyźnie. Przez chwilę Cheng Xin myślała, że niebieskie płomienie silników jądrowych przeniknęły przez bezdenną płaszczyznę, ale plazma została po prostu ujęta w dwa wymiary. Na tamtych obszarach dwuwymiarowe budynki zostały wypaczone i skręcone przez dwuwymiarowe płomienie. Następnie częścią ogromnego rysunku stały się łodzie. Stosując się do zasady nienakładania się na siebie, dwuwymiarowe miasto poszerzyło się, by zrobić miejsce dla tych nowych obiektów i cały obraz przypominał fale rozchodzące się po powierzchni stawu.

Kamera nadal opadała na płaszczyznę. Cheng Xin patrzyła na zbliżające się dwuwymiarowe miasto, licząc na to, że dostrzeże tam jakieś ślady ruchu. Jednak poza zniekształceniami spowodowanymi wcześniej przez plazmę wszystko w tym płaskim mieście pozostawało nieruchome.

To był martwy świat. Martwy obraz.

Kamera coraz bardziej zbliżała się do płaszczyzny, opadając w stronę dwuwymiarowego ciała. Członki tego ciała wypełniły cały obraz, a potem pokazał się złożony układ włókien i naczyń krwionośnych. Może było to tylko złudzenie, ale Cheng Xin wydało się, że widzi przepływającą przez nie czerwoną dwuwymiarową krew. W mgnieniu oka obraz zniknął.

Cheng Xin i AA ruszyły po raz drugi po następne dzieła. Obie miały wrażenie, że ich misja jest bezsensowna. Po obejrzeniu strąconych w dwa wymiary miast zrozumiały, że podczas tego procesu zostaje zachowana większość informacji ze świata trójwymiarowego. Jeśli dochodziło do jakiejś utraty informacji, to działo się to na poziomie atomowym. Dzięki zasadzie nienakładania się na siebie, do której stosowało się rzutowanie na płaszczyznę, skorupa Plutona nie zostanie zmieszana z dziełami zgromadzonymi w muzeum, więc informacje w nich zawarte zostaną zachowane. Skoro jednak podjęły się tego zadania, to je wykonają. Jak powiedział Cao Bin, lepiej robić coś niż nic.

Wyszły z *Halo* i zobaczyły nadal zawieszone nad ich głowami dwie spłaszczone planety, teraz jednak dużo ciemniejsze. Wskutek tego nowy rozjarzony pas, który pojawił się pod planetami, stał się jeszcze bardziej widoczny. Ciągnął się od końca do końca nieba jak naszyjnik z wielu świetlnych punktów.

– To pas asteroid? – zapytała Cheng Xin.

– Tak. Następny będzie Mars – odparła AA.

– Mars jest teraz po tej stronie Słońca.

Obie umilkły. Nie patrząc już na spłaszczony pas asteroid, poszły w stronę czarnego monolitu.

Po Marsie przyjdzie kolej na Ziemię.

W wielkiej sali muzeum zobaczyły, że Luo Ji przygotował już dla nich następną partię artefaktów. Wśród nich było wiele chińskich zwojów z obrazami wykonanymi pędzelkiem. AA rozwinęła jeden – *Widok wzdłuż rzeki podczas święta Qingming*.

Cheng Xin i AA nie czuły już takiego podziwu i przyjemności z oglądania cennych dzieł sztuki jak na początku – w porównaniu ze wspaniałością odbywającego się na zewnątrz dzieła zniszczenia było to tylko stare malowidło. Kiedy przyszli odkrywcy pojawią się przed tym wspaniałym obrazem, jakim był spłaszczony Układ Słoneczny, nie będą sobie w stanie wyobrazić, że ten prostokąt o wymiarach dwadzieścia cztery centymetry na pięć metrów był kiedyś uważany za coś bardzo szczególnego.

Cheng Xin i AA zaprosiły Luo Ji na *Halo*. Powiedział, że chciałby zobaczyć jacht, więc poszły po skafander kosmiczny dla niego.

Gdy w trójkę wynosili z monolitu dzieła sztuki, powitał ich widok spłaszczonej Ziemi.

Ziemia była pierwszą skalistą planetą, która zapadła się w dwa wymiary. „Drzewne słoje” w dwuwymiarowej Ziemi miały jeszcze więcej drobnych szczegółów niż Neptun i Saturn – żółty płaszcz stopniowo przechodził w czerwień niklowo-żelaznego jądra – ale jej powierzchnia była dużo mniejsza niż gazowych olbrzymów.

Wbrew temu, co sobie wyobrażali, nie dostrzegli ani odrobiny błękitu.

– Co się stało z naszymi oceanami? – zapytał Luo Ji.

– Powinny być blisko skraju… Ale woda w dwóch wymiarach jest przezroczysta, więc nie możemy jej zobaczyć – odparła AA.

Dalej poszli w milczeniu. Jeszcze nie czuli żalu, tak jak nie od razu czuje się cięcie zadane ostrym nożem.

Ale spłaszczona Ziemia pokazała swoje cuda. Na jej obrzeżu stopniowo pojawił się biały krąg. Początkowo był ledwie widoczny, ale wkrótce rysował się ostro na czarnym tle kosmosu. Był czysty, nieskazitelny, ale zdawał się mieć nierówny skład, jakby został utworzony z niezliczonych małych ziarenek.

– To jest nasz ocean! – krzyknęła Cheng Xin.

– W dwuwymiarowej przestrzeni woda zamarza – powiedziała AA. – Jest tam zimno.

– Och… – Luo Ji chciał się pogładzić po brodzie, ale trafił dłonią na wizjer.

W trójkę wnieśli dzieła sztuki na *Halo*. Luo Ji zdawał się znać układ pomieszczeń na statku, bo skierował się wprost do ładowni, nie zapytawszy o drogę ani Cheng Xin, ani AA. Rozpoznała go też sztuczna inteligencja statku i wykonywała jego polecenia. Po zabezpieczeniu dzieł wrócili do części mieszkalnej jachtu. Luo Ji poprosił sztuczną inteligencję o filiżankę gorącej herbaty i niebawem przyniósł mu ją mały robot, którego nie widziały wcześniej ani Cheng Xin, ani AA. Najwyraźniej Luo Ji łączyła ze statkiem jakaś historia, o której kobiety nie miały pojęcia. Chciały ją poznać, ale najpierw trzeba się było zająć pilniejszymi sprawami.

Cheng Xin poprosiła sztuczną inteligencję, żeby odtworzyła jakieś wiadomości z Ziemi, ale otrzymała odpowiedź, że dotarło stamtąd tylko kilka transmisji i że nie można wyłowić niczego sensownego zarówno z ich treści wizualnej, jak i dźwiękowej. Popatrzyły na kilka okien informacyjnych i zobaczyły tylko zamazane ujęcia zrobione przez automatyczną aparaturę. Sztuczna inteligencja dodała, że może odtworzyć film nakręcony przez statek kosmiczny monitorujący okolice Ziemi. Pojawiło się nowe duże okno, które wypełniła spłaszczona Ziemia.

Cała trójka natychmiast pomyślała, że obraz wygląda nierealistycznie, podejrzewając nawet sztuczną inteligencję, że go wykreowała, by wprowadzić ich w błąd.

– Co to jest, na litość boską? – krzyknęła AA.

– Ziemia sprzed siedmiu godzin. Kamera znajduje się pięćdziesiąt jednostek astronomicznych dalej, a powiększenie kątowe wynosi czterysta pięćdziesiąt razy.

Przyjrzeli się dokładniej holograficznemu wideo zrobionemu przez soczewki teleskopowe. Ciało spłaszczonej Ziemi widać było bardzo wyraźnie, a oglądane gołym okiem „trzy pierścienie" były nawet gęstsze. Zapadanie w dwa wymiary chyba już się zakończyło, bo Ziemia ciemniała. Ale naprawdę nimi wstrząsnął zamarznięty dwuwymiarowy ocean – biały pierścień wokół obwodu Ziemi. Widzieli jak na dłoni, z czego się składał – z płatków śniegu! Były niewyobrażalnie duże, sześciokątne, ale każdy z innym układem kryształowych odnóg – tak piękny, że trudno to było oddać słowami. Oglądanie płatków śniegu z odległości pięćdziesięciu jednostek astronomicznych było już samo w sobie surrealistyczne, a poza tym leżały jeden obok drugiego, co jeszcze potęgowało wrażenie nierzeczywistości. Wydawały się czysto artystycznym przedstawieniem, co sprawiało, że zamarznięte morze było dziełem sztuki.

– Jak duże są te płatki? – zapytała AA.

– Większość ma średnicę od czterech do pięciu tysięcy kilometrów – kontynuowała spokojnym tonem niezdolna do zdziwienia sztuczna inteligencja.

– Większą niż Księżyc! – zdumiała się Cheng Xin.

Sztuczna inteligencja otworzyła kilka innych okien i w każdym znalazło się zbliżenie płatka śniegu. Patrząc na te obrazy, nie miało się poczucia skali – płatki wyglądały jak małe duszki pod szkłem powiększającym

i wydawało się, że każdy zamieni się w kroplę wody, kiedy znajdzie się na dłoni.

– Och… – Luo Ji znowu spróbował pogładzić się po brodzie i tym razem mu się udało.

– Jak są uformowane? – zapytała AA.

– Nie wiem – odpowiedziała sztuczna inteligencja. – Nie mogę znaleźć żadnych informacji o krystalizacji wody w skali astronomicznej.

W przestrzeni trójwymiarowej płatki śniegu tworzyły się zgodnie z prawami rośnięcia kryształków lodu. Teoretycznie prawa te nie ograniczały ich rozmiarów. Największy poprzednio odnotowany miał trzydzieści centymetrów średnicy.

Nikt nie znał praw rośnięcia kryształów w przestrzeni dwuwymiarowej. Bez względu na to, jakie były, pozwalały im rosnąć do pięciu tysięcy kilometrów.

– Na Neptunie i Saturnie jest woda, a amoniak też może tworzyć kryształy. Dlaczego nie widzimy tam dużych kryształów? – zapytała Cheng Xin.

Sztuczna inteligencja nie wiedziała.

Luo Ji zmrużył oczy i kontemplował dwuwymiarową wersję Ziemi.

– Ocean w tej postaci wygląda całkiem ładnie, nie sądzicie? Tylko Ziemia zasługuje na taki piękny wieniec.

– Ja naprawdę chcę wiedzieć, jak teraz wyglądają lasy, tereny trawiaste, starożytne miasta – powiedziała wolno Cheng Xin.

W końcu dopadł ich żal i AA zaczęła szlochać. Cheng Xin odwróciła wzrok od oceanu płatków śnieżnych i nie wydała żadnego dźwięku, ale jej oczy też zaszły łzami. Luo Ji potrząsnął głową, westchnął i dalej popijał herbatę. Żal łagodziła nieco świadomość, że dwuwymiarowa przestrzeń stanie się w końcu również ich domem.

Osiągną wieczny odpoczynek na tej płaszczyźnie obok Matki Ziemi.

Postanowili po raz trzeci iść po dzieła sztuki. Wyszli z *Halo*, spojrzeli na niebo i zobaczyli trzy dwuwymiarowe planety. Neptun, Saturn i Ziemia jeszcze bardziej się powiększyły, a pas asteroid stał się szerszy. Nie było to złudzenie. Zapytali o to sztuczną inteligencję.

– System nawigacji odkrył rozdźwięk w słonecznym układzie odniesienia. Pierwszy układ odniesienia pozostaje bez zmian. Boje kursowe w tym układzie – Słońce, Merkury, Mars, Jowisz, Uran, Pluton oraz niektóre asteroidy i obiekty w Pasie Kuipera – nadal spełniają kryteria rozpoznawania. Natomiast drugi układ odniesienia radykalnie się zmienił. Neptun, Saturn, Ziemia i niektóre asteroidy straciły cechy boi kursowych. Pierwszy układ odniesienia przesuwa się w stronę drugiego, co prowadzi do obserwowanego przez was zjawiska.

Po innej stronie nieba pojawiło się przed gwiazdami wiele ruchomych punktów świetlnych – flota statków, które starały się uciec z Układu Słonecznego. Niektóre z tych niebieskich światełek ciągnęły za sobą długie ogony. Kilka statków przemknęło blisko nich. W jaskrawym blasku ich pracujących z maksymalną mocą silników trójka obserwatorów rzucała na ziemię poruszające się cienie. Żaden z tych statków nie próbował wylądować na Plutonie.

Ale ucieczka przed zapadającą się strefą była niemożliwa. Sztuczna inteligencja *Halo* wyjaśniła to za pomocą następującego porównania: trójwymiarowa przestrzeń Układu Słonecznego była jak duży dywan ściągany przez niewidoczne ręce w dwuwymiarową przepaść. Te statki były niczym owady pełznące po tym dywanie – mogły niewiele przedłużyć przydzielony im czas.

– Idźcie dalej same – powiedział Luo Ji. – Weźcie jeszcze parę przedmiotów. Ja poczekam tutaj. Nie chcę tego przegapić.

Cheng Xin i AA zrozumiały, co konkretnie ma na myśli, ale nie miały ochoty oglądać tej sceny.

Po powrocie do podziemnej sali Cheng Xin i AA nie były w nastroju do wybierania czegokolwiek, więc wzięły na chybił trafił zbiór artefaktów. Cheng Xin chciała zabrać czaszkę neandertalczyka, ale AA odrzuciła ją na bok.

Cheng Xin przyznała jej rację. Najstarsi neandertalczycy żyli zaledwie przed kilkuset tysiącami lat. W najbardziej optymistycznym scenariuszu spłaszczony Układ Słoneczny nie będzie miał gości przez tyle samo lat od tej chwili. W ich oczach neandertalczycy i ludzie współcześni będą wyglądać na przedstawicieli tego samego gatunku. Cheng Xin rozejrzała się po innych przedmiotach, ale nic jej nie zainteresowało. Dla nich w teraźniejszości i dla tych trudnych do wyobrażenia gości w odległej przyszłości nic tutaj nie było tak ważne jak umierający świat na zewnątrz.

Rzuciły po raz ostatni wzrokiem na skąpo oświetloną salę i wyszły. Mona Lisa przyglądała się, jak wychodzą, uśmiechając się złowróżbnie.

Znalazłszy się na powierzchni, zobaczyły, że na niebie pojawiła się jeszcze jedna dwuwymiarowa planeta – Merkury (Wenus była w tej chwili po drugiej stronie Słońca). Był mniejszy od dwuwymiarowej Ziemi, ale dzięki światłu powstałemu wskutek jego niedawnego zapadnięcia się w dwa wymiary był bardzo jasny.

Po złożeniu artefaktów w ładowni Cheng Xin i AA wyszły z jachtu. Luo Ji, który czekał na zewnątrz wsparty na lasce, powiedział:

– No dobrze. Myślę, że to wystarczy. I tak nie ma sensu brać więcej rzeczy.

Kobiety zgodziły się z nim. Stali razem na ziemi Plutona i czekali na najwspanialszą scenę tej sztuki – spłaszczenie Słońca.

W tym momencie Pluton znajdował się czterdzieści pięć jednostek astronomicznych od niego. Wcześniej, ponieważ i on, i Słońce były w tym samym rejonie trójwymiarowej przestrzeni, odległość między nimi się nie zmieniała, ale kiedy Słońce zetknęło się z płaszczyzną, przestało się poruszać, natomiast Pluton dalej opadał ku niemu wraz z otaczającą go przestrzenią, wskutek czego dystans między nimi raptownie się kurczył.

Kiedy Słońce zaczęło przechodzić w dwa wymiary, gołym okiem można było dostrzec tylko to, że nagle zwiększyły się jego jasność i wielkość. To drugie wynikało z szybkiego rozszerzania się jego spłaszczonej części, ale z daleka wyglądało to tak, jakby Słońce rosło. Sztuczna inteligencja *Halo* wyświetliła duże okno informacyjne obok statku, by pokazać holograficzny obraz z teleskopu, ale ponieważ Pluton zbliżył się do Słońca, wspaniały spektakl gwiazdy zapadającej się w dwa wymiary widać było nawet gołym okiem.

Krąg na płaszczyźnie stale się poszerzał i wkrótce planarna średnica Słońca stała się większa od średnicy tej jego części, która pozostawała jeszcze w trzech wymiarach. Proces ten trwał tylko trzydzieści sekund. Skoro średni promień Słońca wynosił siedemset tysięcy kilometrów, oznaczało to, że jego brzeg w dwóch wymiarach przesuwał się w tempie dwudziestu tysięcy kilometrów na sekundę. Płaskie Słońce nadal rosło, tworząc na płaszczyźnie morze ognia, a jego trójwymiarowa część powoli tonęła w tym krwistoczerwonym morzu.

Przed czterema wiekami Ye Wenjie stała na szczycie góry w bazie Czerwony Brzeg i w ostatnich chwilach życia oglądała taki zachód słońca. Jej serce biło z wysiłkiem, jak struna cytry, która ma za chwilę pęknąć. Słońce, które powoli zanurzało się w morzu chmur nad zachodnim

horyzontem, zdawało się topnieć. Rozpłynęło się w chmurach i zalało całe niebo krwawą czerwienią. Ye Wenjie nazwała to zachodem ludzkości.

A teraz naprawdę topniało, a jego krew wsiąkała w zabójczą płaszczyznę. To był ostatni zachód słońca.

W oddali, za lądowiskiem, z ziemi podniosła się biała mgła. Zestalony azot i amoniak przechodziły w gaz i światło Słońca zaczęło się rozpraszać w świeżej, cienkiej warstwie atmosfery. Niebo nie było już całkowicie czarne, pokazała się na nim odrobina purpury.

Podczas gdy trójwymiarowe Słońce zachodziło, dwuwymiarowe wstawało. W płaszczyźnie gwiazda nadal mogła wysyłać światło, więc w dwuwymiarowym Układzie Słonecznym pojawiły się jego pierwsze promienie. Boki czterech dwuwymiarowych planet – Neptuna, Saturna, Ziemi i Merkurego – rozjarzyły się złociście, ale światło padało jedynie na jednowymiarowy zakrzywiony skraj każdej z nich. Ogromne płatki śniegu, które otaczały Ziemię, stopiły się i zamieniły w białą mgłę, którą dwuwymiarowy wiatr słoneczny rozdmuchiwał w dwuwymiarowej przestrzeni. Część tej mgły przenikało światło słoneczne, przez co wydawało się, że Ziemia ma powiewające na wietrze włosy.

Godzinę później Słońce całkowicie zapadło się w dwa wymiary.

Z Plutona wyglądało jak gigantyczny owal. W porównaniu z nim dwuwymiarowe planety były małymi fragmentami. Nie miało jednak wyraźnych „słojów”, lecz trzy koncentryczne kręgi rozmieszczone wokół bardzo jasnego środka – prawdopodobnie odpowiadał on jądru pierwotnego trójwymiarowego Słońca – w którym nie widać było żadnych szczegółów. Szeroki pierścień wokół jądra odpowiadał pierwotnej strefie promienistej – był wrzącym, dwuwymiarowym, jasnoczerwonym oceanem, w którym szybko tworzyły się, rozdzielały, łączyły i znikały podobne do komórek struktury. Kiedy patrzyło się na fragmenty tej strefy, wydawało się, że jest

to chaotyczny proces, ale przy spojrzeniu na całość widać było, że odbywa się to w sposób uporządkowany i zgodny z pewnymi regułami. Na zewnątrz była pierwotna strefa konwektywna. Podobnie jak z trójwymiarowego Słońca kolumny materii słonecznej wynosiły z niej ciepło w przestrzeń kosmiczną. Jednak w odróżnieniu od chaotycznej strefy promienistej nowa strefa konwektywna miała wyraźną strukturę, bo liczne komórki konwekcyjne, o podobnym kształcie i rozmiarze, układały się obok siebie w idealnym porządku. Najbardziej zewnętrzną warstwą była atmosfera. Z jej brzegu strzelały złote słupy i tworzyły dużą liczbę dwuwymiarowych erupcji, przypominających pełnych gracji tancerzy, którzy hasali figlarnie wokół Słońca. Niektórzy z tych „tancerzy” uciekali nawet od niego i unosili się daleko w dwuwymiarowym wszechświecie.

– Czy Słońce nadal jest aktywne w dwóch wymiarach? – zapytała AA.

Wyrażała nadzieje całej trójki. Wszyscy pragnęli, by wciąż dawało światło i ciepło płaskiemu Układowi Słonecznemu, nawet jeśli nie było już w nim żadnych żywych istot.

Ale ta nadzieja szybko zgasła.

Spłaszczone Słońce zaczęło ciemnieć. Światło z jądra szybko przygasło i wkrótce zobaczyli w nim pierścieniowate struktury. Uspokoiło się też w sferze promienistej – ocean przestał wrzeć. Komórki w sferze konwektywnej zdeformowały się, rozpadły i wkrótce zniknęły. Złociści tancerze wokół skraju Słońca skurczyli się jak zwiędłe liście i stracili energię. Teraz widać było, że w dwuwymiarowym wszechświecie istnieje przynajmniej grawitacja. Erupcje straciły oparcie w promieniowaniu i siła ciężkości zaczęła je z powrotem odciągać na skraj. W końcu poddali się jej też tancerze i opadli letargicznie, a z atmosfery Słońca został tylko cienki gładki pierścień. Gdy zgasło, zniknęły również złote łuki z brzegów planet, a dwuwymiarowe włosy Ziemi straciły połysk.

Po zapadnięciu się w dwa wymiary wszystko, co istniało w trójwymiarowym świecie, zmarło. Nic nie przetrwało na obrazie o zerowej grubości.

Być może dwuwymiarowy wszechświat mógł mieć własne słońce i planety, na których mogło istnieć życie, ale to wszystko musiałoby zostać stworzone i działać według zupełnie innych zasad.

Kiedy tych troje skupiało uwagę na spłaszczającym się Słońcu, w dwa wymiary zapadły się też Wenus i Mars. Jednak w porównaniu ze Słońcem opadanie tych dwóch planet typu ziemskiego na płaszczyznę było raczej nijakie. Obie stały się podobne do Ziemi pod względem „słojowej” struktury. Blisko skraju Marsa było wiele pustych obszarów, miejsc w jego skorupie, gdzie znajdowała się woda, co świadczyło, że planeta posiadała dużo więcej wody, niż myśleli ludzie. Po chwili ta woda również przybrała kolor nieprzezroczystej bieli, ale nie pojawiły się ogromne płatki śniegu. Były za to wokół spłaszczonej Wenus, choć nie tak liczne jak koło Ziemi, poza tym miały żółte zabarwienie, co wskazywało, że nie są kryształkami wody. Po niedługim czasie spłaszczeniu uległy też asteroidy po tej stronie Słońca, dopełniając drugą połowę naszyjnika Układu Słonecznego.

Z jasnopurpurowego nieba nad Plutonem zaczął sypać śnieg. Te płatki były drobne i trójwymiarowe. Powstały z azotu i amoniaku, które zamieniły się w gaz wskutek wybuchu energii podczas spłaszczania Słońca, a teraz, gdy raptownie obniżyła się temperatura po jego zgaszeniu, zamarzały i spadały w takiej postaci. Sypało coraz mocniej, wkrótce na monolicie i na *Halo* utworzyła się gruba warstwa śniegu. Chociaż nie było chmur, gęsty opad sprawił, że obraz dwuwymiarowego Słońca i planet się zamglił. Ten świat wydawał się mniejszy.

– Nie czujecie się jak w domu? – AA podniosła obie ręce i zrobiła piruet.

– Właśnie pomyślałam tak samo – powiedziała Cheng Xin i kiwnęła głową. Ona też uważała, że śnieg jest czymś charakterystycznym dla Ziemi. To, że sypał teraz na tym zimnym ciemnym świecie na skraju Układu Słonecznego, dawało jej poczucie domowego ciepła.

Luo Ji przyglądał się, jak AA i Cheng Xin próbują chwytać płatki.

– Hej! – krzyknął. – Tylko niech wam nie przyjdzie do głowy, żeby zdjąć rękawiczki!

Cheng Xin faktycznie chciała pod wpływem impulsu złapać śnieg gołymi rękami. Pragnęła poczuć lekki chłód na dłoniach i patrzeć, jak krystaliczne płatki topnieją pod wpływem ciepła jej ciała… ale oczywiście miała tyle przytomności umysłu, by nie ulec temu impulsowi. Azotowo-amoniakowe płatki miały temperaturę minus dwustu dziesięciu stopni Celsjusza. Gdyby ściągnęła rękawiczki, jej dłonie stałyby się kruche i twarde jak szkło i uczucie, że znalazła się z powrotem na Ziemi, natychmiast by zniknęło.

– Nie ma już domu – powiedział Luo Ji, potrząsając głową i opierając się na lasce. – Dom jest teraz tylko obrazem.

Opady azotowo-amoniakowego śniegu nie trwały długo. Płatki przerzedziły się i z atmosfery zniknęła wywołana przez nie purpurowa mgła. Niebo znowu było idealnie przejrzyste i ciemne. Zobaczyli, że Słońce i planety stały się jeszcze większe, co świadczyło, że Pluton zbliżył się jeszcze bardziej do dwuwymiarowej otchłani.

Kiedy śnieg przestał padać, tuż nad horyzontem pojawiło się jasne światło. Jego intensywność szybko rosła i wkrótce przyćmiło zanikające dwuwymiarowe Słońce. Chociaż nie widzieli szczegółów, wiedzieli, że właśnie opada na płaszczyznę Jowisz, największa planeta Układu Słonecznego. Pluton powoli się obrócił i część spłaszczonego Układu Słonecznego zniknęła za horyzontem, więc myśleli, że nie będą świadkami

zapadania się gazowego olbrzyma, ale wydawało się, że zwiększa się tempo przechodzenia w dwa wymiary.

Poprosili sztuczną inteligencję *Halo* o transmisje z Jowisza. Przekazywano teraz bardzo mało obrazów i nagrań wideo, a poza tym większości z nich nie dało się odszyfrować. Prawie wszystkie informacje, jakie uzyskali, były głosowe. Na każdym kanale łączności panował hałas, głównie ludzkie głosy, jakby całą pozostałą jeszcze trójwymiarową przestrzeń w Układzie Słonecznym wypełniało morze rozgorączkowanych ludzi. Było słychać krzyki, płacz, histeryczny śmiech… a nawet śpiew. Wbrew kakofonii dźwięków w tle nie można się było zorientować, co to za pieśń, ale śpiewało ją w harmonii wiele głosów. Melodia była poważna, miała wolny rytm, jak hymn. Cheng Xin zapytała sztuczną inteligencję, czy może odebrać jakieś oficjalne wiadomości od rządu Federacji, na co ta odpowiedziała, że wszystkie oficjalne komunikaty władz skończyły się wraz ze spłaszczeniem Ziemi. Tak więc okazało się, że rząd Federacji nie mógł dotrzymać obietnicy, iż będzie pełnił obowiązki do końca istnienia Układu Słonecznego.

W sąsiedztwie Plutona nadal przepływał strumień statków próbujących uciec przed zagładą.

– No, dzieci, pora lecieć – rzekł Luo Ji.

– Leć z nami – zaproponowała Cheng Xin.

– A po co? – Luo Ji potrząsnął głową i uśmiechnął się. Wskazał laską monolit. – Dobrze mi tu.

– W porządku. Poczekamy do spłaszczenia Urana, żeby spędzić z panem więcej czasu – powiedziała AA.

Rzeczywiście nie było sensu nalegać. Nawet gdyby Luo Ji wsiadł na *Halo*, odwlekłoby to nieuniknione o godzinę. Nie potrzebował tego ułamka

czasu. Prawdę mówiąc, gdyby Cheng Xin i AA nie miały zadania do wykonania, też nie dbałyby o to, by pożyć jeszcze tych parę chwil dłużej.

– Nie. Musicie lecieć już teraz! – sprzeciwił się Luo Ji. Dla podkreślenia wagi swych słów stuknął mocno laską w ziemię, przez co wskutek niskiej grawitacji poleciał w górę. – Nie wiadomo, o ile szybciej zapada się teraz nasz układ. Wykonajcie swoją misję! Możemy pozostać w kontakcie, co nie różni się od bycia razem.

Cheng Xin wahała się przez chwilę, potem kiwnęła głową.

– Dobrze. Odlecimy. Niech pan utrzymuje z nami kontakt!

– Oczywiście.

Luo Ji podniósł na pożegnanie laskę i odwrócił się, by odejść do monolitu. Przy niskiej grawitacji niemal frunął nad śniegiem i musiał używać laski nie dla podpierania się, ale dla hamowania. Cheng Xin i AA poczekały, aż wiekowa postać tego Wpatrującego się w Ścianę, Dzierżyciela Miecza i ostatniego grabarza ludzkości zniknie za drzwiami monolitu.

Potem wróciły na *Halo*. Jacht od razu wystartował, wzbijając silnikami tumany śniegu. Wkrótce osiągnął prędkość ucieczki z Plutona – nieco ponad kilometr na sekundę – i wszedł na orbitę. Przez iluminatory i na monitorze Cheng Xin i AA widziały, że do niebieskich i czarnych skrawków powierzchni planety dołączyły pasma bieli. Ogromne słowa „Cywilizacja Ziemska” wypisane różnym pismem w wielu językach były teraz niemal niewidoczne spod śniegu. *Halo* pokonało przestrzeń między Plutonem i Charonem, jakby przelatywało przez kanion, gdyż te dwa ciała niebieskie znajdowały się bardzo blisko siebie.

W tym kanionie było wiele innych poruszających się gwiazd – uciekających statków kosmicznych. Wszystkie leciały szybciej niż *Halo*. Jeden przemknął obok jachtu w odległości nie większej niż sto kilometrów

i blask z jego rur wydechowych rozświetlił gładką powierzchnię Charona. Wyraźnie widziały jego trójkątny kadłub i długi na niemal dziesięć kilometrów niebieski płomień wydobywający się z jego silników.

– To *Mykeny*, średniej wielkości statek planetarny bez systemu recyklingu ekologicznego – wyjaśniła sztuczna inteligencja. – Po opuszczeniu Układu Słonecznego pasażerowie nie przetrwaliby pięciu lat, nawet gdyby zużyli wszystkie jego zasoby tylko dla podtrzymania własnego życia.

Sztuczna inteligencja nie wiedziała, że *Mykeny* nie mogłyby opuścić Układu Słonecznego. Jak wszystkie inne uciekające statki będą istniały w przestrzeni trójwymiarowej jeszcze najwyżej trzy godziny.

Halo wyleciało z wąwozu między Plutonem i Charonem, zostawiło za sobą oba ciemne światy i skierowało się w otwartą przestrzeń kosmiczną. Cheng Xin i AA zobaczyły w całości Słońce i Jowisza, którego proces spłaszczania już się prawie zakończył. Z wyjątkiem Urana ogromna większość Układu Słonecznego zapadła się w płaszczyznę.

– O bogowie! Gwiaździste niebo! – krzyknęła AA.

Cheng Xin wiedziała, że ten okrzyk odnosi się do płótna van Gogha. Faktycznie ów wszechświat wyglądał jak tamten obraz. Z tego, co pamiętała, malowidło było niemal doskonałą kopią dwuwymiarowego Układu Słonecznego, który miała przed oczami. Przestrzeń kosmiczną wypełniały olbrzymie planety, których obszary zdawały się przekraczać nawet odstępy między nimi. Ale wskutek wielkości te planety nie wydawały się zbudowane z materii. Wyglądały raczej jak wiry w czasoprzestrzeni. W tym wszechświecie każda część przestrzeni płynęła, kręciła się, drgała, rozdarta między szaleństwem i grozą, niczym płomienie, które wydzielały tylko mróz. Słońce, planety, cała materia i istnienie

wydawały się halucynacjami wytworzonymi przez turbulencje czasoprzestrzeni.

Cheng Xin przypomniała sobie dziwne uczucie, które ogarniało ją za każdym razem, gdy patrzyła na ten obraz van Gogha. Wszystkie pozostałe obiekty – drzewa, które zdawały się płonąć, wioska i góry – miały głębię i ukazane były z zachowaniem reguł perspektywy, ale w gwiaździstym niebie nie było ani odrobiny trójwymiarowości – wyglądało jak obraz wiszący w przestrzeni kosmicznej.

A to dlatego, że gwiaździsta noc była dwuwymiarowa.

Jakim cudem van Gogh mógł namalować takie dzieło w 1889 roku? Czyżby po drugim załamaniu psychicznym naprawdę przeskoczył pięćset lat i zobaczył to, co teraz widziały przed sobą, tylko dzięki pogrążonej w malignie świadomości? A może było na odwrót: zobaczył przyszłość i widok tego Sądu Ostatecznego doprowadził go do załamania psychicznego i ostatecznie do samobójstwa?

– Jak tam, dzieci, wszystko w porządku? Co zamierzacie teraz zrobić?

W otwierającym się oknie pokazał się Luo Ji. Zdjął już skafander kosmiczny i jego białe włosy oraz broda poruszały się w niskiej grawitacji jak w wodzie. Za nim znajdował się tunel, który zgodnie z zamiarami jego budowniczych miał przetrwać sto milionów lat.

– Witam! Zamierzamy wyrzucić te artefakty w przestrzeń kosmiczną – powiedziała AA. – Ale chcemy zachować *Gwiaździstą noc*.

– Uważam, że powinnyście zachować wszystkie dzieła. Żadnego nie wyrzucajcie. Zabierzcie je i uciekajcie.

Cheng Xin i AA popatrzyły na siebie.

– Dokąd miałybyśmy uciekać? – zapytała AA.

– Dokąd chcecie. Możecie polecieć w dowolne miejsce w Drodze Mlecznej. Za swego życia mogłybyście prawdopodobnie dotrzeć do

Galaktyki Andromedy. *Halo* może rozwinąć prędkość światła. Jest wyposażone w jedyny na świecie napęd krzywiznowy.

AA i Cheng Xin z wrażenia odebrało mowę.

– Byłem członkiem grupy naukowców, którzy w tajemnicy pracowali nad napędem krzywiznowym – ciągnął Luo Ji. – Po śmierci Wade'a ci, którzy pracowali w Halo City, nie zrezygnowali z badań. Gdy skazani na karę więzienia wyszli na wolność, zbudowali drugą tajną bazę, a wasza Halo Group została reaktywowana i rozwinięta na tyle, by mogła utrzymać ten ośrodek. Wiecie, gdzie on się znajdował? Na Merkurym, drugim miejscu w Układzie Słonecznym, gdzie niewiele osób postawiło stopę. Cztery wieki temu inny Wpatrujący się w Ścianę, Manuel Rey Diaz, użył gigantycznych bomb wodorowych do utworzenia tam krateru. Bazę założono w tym kraterze, a jej budowa zajęła ponad trzydzieści lat. Całość przykryto kopułą. Jej twórcy twierdzili, że to instytut zajmujący się badaniem aktywności Słońca.

Przez iluminator wpadł snop jaskrawego światła. AA i Cheng Xin zignorowały go, ale sztuczna inteligencja statku wyjaśniła, że również Uran przeszedł „zmianę stanu", co znaczyło, że zapadł się w dwa wymiary. Teraz między nimi i Plutonem nie było już żadnego ciała niebieskiego.

– Trzydzieści pięć lat po śmierci Wade'a podjęto dalsze badania nad napędem krzywiznowym. Zaczęli od miejsca, w którym udało się przesunąć o dwa centymetry dwumilimetrowy ścinek twoich włosów. Prace kontynuowano przez pół wieku – chociaż kilka razy zostały z różnych powodów przerwane – i stopniowo przechodzono od teorii do praktyki. W ostatnich fazach trzeba było przeprowadzić eksperymenty z napędem krzywiznowym na dużą skalę. Był to nie lada problem dla bazy na Merkurym, ponieważ dysponowała ograniczonymi środkami, a w wyniku eksperymentu powstałyby wielkie smugi, które zdradziłyby, jaki jest

prawdziwy cel pracujących tam ludzi. W rzeczywistości rząd Federacji musiał się zorientować na podstawie ruchu w bazie, czym naprawdę ona się zajmuje, ale ze względu na małą skalę eksperymentów i fakt, że wszystkie badania prowadzono pod przykrywką innych projektów, tolerował jej działalność. Jednak eksperyment na dużą skalę wymagał współpracy rządu. Postaraliśmy się nakłonić go do tego i poszło nam bardzo dobrze.

– Uchylili zakaz badań nad skonstruowaniem statków zdolnych do rozwijania prędkości światła? – zapytała Cheng Xin.

– A skąd! Rząd współpracował z nami, bo… – Luo Ji stuknął laską w posadzkę i zawahał się. – Zostawmy to na razie. Kilka lat temu skonstruowaliśmy trzy silniki krzywiznowe i przeprowadziliśmy trzy próby ze statkami bezzałogowymi. Silnik numer jeden osiągnął prędkość światła około stu pięćdziesięciu jednostek astronomicznych od Słońca i wrócił po przelocie z nią przez kawałek czasu. Dla silnika trwało to jakieś dziesięć minut, ale my czekaliśmy trzy lata na jego powrót. Drugiej próbie poddaliśmy jednocześnie silniki numer dwa i trzy. W tej chwili są za Obłokiem Oorta i powinny wrócić do Układu Słonecznego za sześć lat. Silnik numer jeden, który został już wypróbowany, zainstalowaliśmy w *Halo*.

– Ale jak mogliście wysłać tylko Cheng Xin i mnie? – krzyknęła AA. – Powinno być z nami co najmniej dwóch mężczyzn.

Luo Ji potrząsnął głową.

– Nie było na to czasu. Rząd Federacji współpracował z Halo Group w tajemnicy. O istnieniu silników krzywiznowych wiedziało bardzo mało osób, a jeszcze mniej o tym, gdzie zainstalowano jedyny silnik, który pozostał w Układzie Słonecznym. I było to zbyt niebezpieczne. Kto wie, do czego są zdolni ludzie, kiedy koniec jest blisko? Wszyscy zaczęliby walczyć o *Halo* i być może nic by z niego nie zostało. Tak więc przed

publicznym ostrzeżeniem o uderzeniu z ciemnego lasu musieliśmy zabrać jacht ze Świata Schronu. Naprawdę nie mieliśmy czasu. Cao Bin wysłał *Halo* na Plutona, ponieważ chciał, żebyście wzięły mnie ze sobą. Powinien był rozpędzić statek do prędkości światła już przy Jowiszu.

– To dlaczego nie poleciał pan z nami? – krzyknęła AA.

– Żyłem już wystarczająco długo. Nawet gdybym wsiadł na ten statek, długo bym nie pożył. Wolę zostać tutaj jako dozorca cmentarza.

– Możemy po pana wrócić! – powiedziała Cheng Xin.

– Nie ważcie się! Nie ma czasu!

Trójwymiarowa przestrzeń, w której były, zbliżała się do dwuwymiarowej i przyspieszała. Dwuwymiarowe Słońce, które już zupełnie zgasło i wyglądało jak ogromne, ciemnoczerwone, martwe morze, przesłoniło większość widoku z *Halo*. Cheng Xin i AA zauważyły, że płaszczyzna nie była zupełnie równa, lecz falowała! Przesuwała się przez nią powoli długa fala. Podobna fala w trójwymiarowej przestrzeni pozwoliła *Błękitnej Przestrzeni* i *Grawitacji* znaleźć wypaczenia, przez które oba statki weszły w przestrzeń czterowymiarową. Nawet w miejscach, w których w przestrzeni dwuwymiarowej nie było żadnych obiektów, widać było falę. Fale były wizualizacją tej przestrzeni w trzech wymiarach i pojawiały się tylko wtedy, gdy ta pierwsza była dostatecznie duża.

Na samym jachcie odkształcenie czasoprzestrzeni spowodowane przyspieszonym spadaniem zaczęło być widoczne, gdy przestrzeń kosmiczna została rozciągnięta w stronę płaszczyzny. Cheng Xin zauważyła, że okrągłe iluminatory wydawały się teraz owalne, a szczupła i wysoka AA niska i przysadzista. Ale ani Cheng Xin, ani AA nie odczuwały żadnych dolegliwości, a systemy statku działały normalnie.

– Wracaj na Plutona! – poleciła Cheng Xin sztucznej inteligencji. Potem odwróciła się do okna, w którym stał Luo Ji. – Wracamy. Mamy czas, Uran

nie został jeszcze spłaszczony.

– Luo Ji ma najwyższy poziom spośród wszystkich upoważnionych użytkowników w zakresie komunikacji – odpowiedziała sztywno sztuczna inteligencja. – Tylko on może nakazać *Halo* powrót na Plutona.

Luo Ji uśmiechnął się.

– Gdybym chciał stąd odlecieć, już wcześniej wsiadłbym z wami na statek. Jestem za stary na podróże daleko od domu. Nie martwcie się o mnie, dzieci. Jak powiedziałem, nie sądzę, żeby coś mnie ominęło. Przygotuj się do lotu z prędkością światła!

Jego ostatnie słowa były skierowane do sztucznej inteligencji jachtu.

– Parametry kursu? – zapytała sztuczna inteligencja.

– Kontynuuj obecny kierunek. Nie wiem, dokąd chcecie lecieć, i myślę, że wy same nie wiecie. Jeśli zdecydujecie się na jakiś cel podróży, wskażcie go tylko na mapie gwiezdnej. Ten statek ma automatyczną nawigację i potrafi sam dolecieć do większości gwiazd w promieniu pięćdziesięciu tysięcy lat świetlnych.

– Potwierdzam – powiedziała sztuczna inteligencja. – Za trzydzieści sekund uruchamiam napęd krzywiznowy.

– Musimy się zanurzyć w płynie głębinowym? – zapytała AA, chociaż wiedziała, że przy konwencjonalnym napędzie takie przyspieszenie zgniotłoby ją na miazgę bez względu na to, w jakim zanurzyłaby się płynie.

– Nie musicie się w żaden sposób przygotowywać. Ten napęd polega na manipulowaniu przestrzenią, więc nie ma hipergrawitacji. Napęd krzywiznowy włączony. System działa normalnie. Miejscowa krzywizna przestrzeni: dwadzieścia trzy, przecinek, osiem. Stosunek krzywizny z przodu: trzy, przecinek, czterdzieści jeden do jednego. *Halo* osiągnie prędkość światła za sześćdziesiąt cztery minuty i osiemnaście sekund.

Dla Cheng Xin i AA oświadczenie sztucznej inteligencji zabrzmiało jak komenda „cała stop!”, bo nagle wszystko ucichło. Domyślały się, że tę ciszę spowodowało wyłączenie napędu jądrowego, ale buczenie reaktora i silników sterujących nagle ustało i nie zastąpił go żaden inny dźwięk. Trudno było uwierzyć, że został uruchomiony jakiś inny silnik.

Pojawiły się jednak pewne oznaki działania napędu krzywiznowego. Zniekształcenie przestrzeni powoli zniknęło – iluminatory odzyskały okrągły kształt, a AA znowu była szczupła. Wyglądając przez iluminatory, nadal widziały mijające je inne statki, ale te teraz przelatywały dużo wolniej.

Sztuczna inteligencja zaczęła przekazywać wiadomości wymieniane między uciekającymi statkami, być może dlatego, że dotyczyły one *Halo*.

– Spójrzcie na ten statek! Jak to możliwe, że jest zdolny do takiego przyspieszenia? – krzyknęła jakaś kobieta.

– Och, pasażerowie musieli zostać zmiażdżeni – odezwał się męski głos.

– Jesteście idiotami – zareagował na to inny mężczyzna. – Przy takim przyspieszeniu zostałby zmiażdżony sam statek. Ale przyjrzyjcie się mu – jest w doskonałym stanie. To nie jest napęd jądrowy, ale jakiś zupełnie inny.

– Napęd krzywiznowy? Statek, który może osiągnąć prędkość światła? Tak!

– A zatem pogłoski były prawdziwe. Budowali w sekrecie statki zdolne do lotu z prędkością światła, żeby móc uciec…

– Aaach…

– Hej, są z przodu jakieś statki? Zatrzymajcie ten statek! Zderzcie się z nim. Jeśli mamy zginąć, to wszyscy!

– Oni mogą osiągnąć prędkość ucieczki! Mogą zwiać i żyć! Aaach! Zatrzymajcie ich, zatrzymajcie i wszystkich zabijcie!

Potem jeszcze jeden krzyk – w jachcie. Wydała go AA.

– Jak mogą być dwa Plutony?

Cheng Xin obróciła się w stronę okna informacyjnego, na które patrzyła AA. Pokazywało zdjęcie Plutona zrobione przez system monitorujący statku. Chociaż Pluton został daleko za nimi, było dobrze widać, że zarówno on, jak i Charon zostały zduplikowane i ich bliźniacze wersje znajdowały się obok nich. Cheng Xin zauważyła, że zostały zduplikowane również niektóre spłaszczone obiekty w przestrzeni dwuwymiarowej. Wyglądało to tak, jakby za pomocą programu przetwarzającego obrazy wybrano część zdjęcia, sklonowano je, a potem umieszczono klona nieco z boku oryginału.

– To skutek tego, że w smudze zostawianej przez *Halo* światło zwalnia – powiedział Luo Ji. Jego obraz był zniekształcony, ale głos słychać było wyraźnie. – Pluton nadal się porusza. Jeden z Plutonów, które widzicie, jest rezultatem spowolnienia światła. Kiedy planeta wychodzi ze smugi zostawianej przez wasz jacht, światło rozchodzi się z normalną prędkością i przekazuje wam drugi obraz. Dlatego widzicie podwójnie.

– Światło zwalnia? – Cheng Xin czuła, że właśnie wyjawia się im wielką tajemnicę.

– Wiem, że wpadłyście na pomysł napędu krzywiznowego, obserwując małą łódeczkę popychaną przez mydło. Pozwólcie, że zapytam: kiedy ta łódeczka dopłynęła do brzegu wanny, spróbowałyście jeszcze raz?

Nie spróbowały. Z obawy przed sofonami Cheng Xin odłożyła ją na bok. Ale łatwo było się domyślić, co by się zdarzyło, gdyby spróbowały puścić ją ponownie.

– Łódka nie poruszałaby się, a przynajmniej poruszałaby się wolno – odparła Cheng Xin. – Po pierwszym rejsie napięcie powierzchniowe wody już by się zmniejszyło.

– Zgadza się. Ta sama zasada stosuje się do statków latających z prędkością światła. Smuga zostawiona przez statek o napędzie krzywiznowym zmienia samą strukturę przestrzeni kosmicznej. Gdyby znalazł się w niej drugi statek o takim napędzie, ledwie by się poruszał. W smugach zostawianych przez statki trzeba mocniejszego napędu krzywiznowego. Nadal można by było uzyskać najwyższą prędkość możliwą w takiej przestrzeni, ale byłaby ona dużo niższa od maksymalnej prędkości pierwszego statku. Innymi słowy, prędkość światła w próżni zmniejsza się w smudze statku lecącego z jego prędkością.

– O ile?

– Teoretycznie można by ją zredukować do zera, ale w rzeczywistości to nieosiągalne. Ale jeśli nastawicie silnik *Halo* na maksimum, możecie ją obniżyć dokładnie do wielkości, której szukaliśmy: szesnastu i siedmiu dziesiątych kilometra na sekundę.

– I wtedy mielibyśmy… – powiedziała AA, patrząc na Luo Ji.

„Czarną domenę” – pomyślała Cheng Xin.

– Czarną domenę – rzekł Luo Ji. – Oczywiście jeden statek nie wystarczy do stworzenia czarnej domeny obejmującej gwiazdę i cały jej układ planetarny. Obliczyliśmy, że potrzeba by było ponad tysiąc statków o napędzie krzywiznowym. Gdyby wszystkie wystartowały z miejsca w pobliżu Słońca i rozleciały się we wszystkie strony z prędkością światła, wytworzone przez nie smugi rozszerzyłyby się i połączyły, tworząc sferę, która objęłaby cały Układ Słoneczny. Prędkość światła w tej sferze wynosiłaby szesnaście i siedem dziesiątych kilometra na sekundę, czyli powstałaby czarna dziura ze zmniejszoną prędkością światła albo czarna domena.

– A więc czarna domena może być wytworem statków latających z prędkością światła…

Smuga zostawiona przez napęd krzywiznowy mogła być w kosmosie oznaką zagrożenia, ale też gwarancją bezpieczeństwa. Tą pierwszą, gdy znalazła się daleko od świata, tą drugą, gdy go spowijała. Była jak pętla, która wskazywała zagrożenie i agresję, gdy ktoś trzymał ją w ręku, ale bezpieczeństwo, gdy ten ktoś założył ją sobie na szyję.

– Zgadza się, ale zbyt późno to odkryliśmy. W pracy nad napędem krzywiznowym eksperymentatorzy wysunęli się przed teoretyków. Powinnaś wiedzieć, że taki był styl Wade'a. Teoria nie potrafiła wyjaśnić wielu odkryć dokonanych podczas eksperymentów, ale bez ram teoretycznych niektóre zjawiska po prostu ignorowano. W pierwszych latach badań, kiedy największym osiągnięciem było przesunięcie twoich włosów, smugi wytwarzane przez napęd krzywiznowy były cienkie i małe i prawie nikt nie zwracał na nie uwagi, mimo że wiele oznak świadczyło o tym, że dzieje się coś dziwnego. Na przykład kiedy smuga się rozszerzała, niska prędkość światła powodowała awarie kwantowych obwodów scalonych w znajdujących się w pobliżu komputerach, ale nikt nie spróbował zbadać przyczyny. Później, gdy skala eksperymentów się powiększyła, odkryto wreszcie sekret smug zostawianych przez statki latające z prędkością światła. To właśnie dzięki temu zgodził się z nami współpracować rząd Federacji. W rzeczywistości wpompowali wszystkie środki, jakie mogli zgromadzić, w rozwój badań nad tymi statkami, ale po prostu zabrakło nam czasu.

Luo Ji potrząsnął głową i westchnął.

Cheng Xin powiedziała to, co jemu nie mogło przejść przez usta:

– Od incydentu w Halo City do ukończenia bazy na Merkurym minęło trzydzieści pięć lat. Trzydzieści pięć cennych lat zostało straconych.

Luo Ji kiwnął głową. Cheng Xin odniosła wrażenie, że jego spojrzenie nie jest już życzliwe, ale raczej przypomina ognie Sądu Ostatecznego.

Zdawało się mówić: „Zobacz, dziecko, co narobiłaś”. Zrozumiała, że spośród trzech sposobów na przetrwanie ludzkości – programu Schron, planu Czarna Domena i statków zdolnych do osiągnięcia prędkości światła – tylko ten ostatni był właściwy.

Wykazał to Yun Tianming, a ona zablokowała prace nad tym.

Gdyby nie powstrzymała Wade’a, Halo City mogło uzyskać niepodległość. Nawet gdyby ta niepodległość była krótkotrwała, mogliby odkryć skutki smug zostawianych przez statki latające z prędkością światła i zmienić stosunek rządu do nich. Ludzkość mogłaby mieć czas na zbudowanie tysiąca takich statków i utworzenie czarnej domeny, dzięki czemu uniknęłaby tego dwuwymiarowego uderzenia z ciemnego lasu. Mogłaby się podzielić na dwie części: tych, którzy chcieliby lecieć do gwiazd, i tych, którzy woleliby zostać w czarnej domenie i żyć w spokoju. Każdy dostałby to, czego by chciał.

Na koniec popełniła kolejny poważny błąd.

Dwukrotnie uzyskała ogromną władzę, stając się drugą po Bogu, i za każdym razem w imię miłości zepchnęła ludzkość na skraj przepaści. Tym razem nikt nie mógł naprawić jej błędu.

Zaczęła odczuwać nienawiść do pewnej osoby – do Wade’a. Nienawidziła go za to, że dotrzymał danego jej słowa. Dlaczego? Z powodu męskiej dumy czy z jej powodu? Zdawała sobie sprawę, że Wade nie znał wpływu smug zostawianych przez silniki z napędem krzywiznowym na prędkość światła. Cel, który mu przyświecał przy badaniach nad statkami zdolnymi osiągnąć prędkość światła, jasno wyłożył ów anonimowy żołnierz w Halo City. Była nim walka o wolność, o możliwość bycia wolnymi ludźmi w kosmosie, o szansę znalezienia tam miliardów nowych światów. Była przekonana, że gdyby wiedział, iż jedyną drogą prowadzącą do

przetrwania rodzaju ludzkiego jest skonstruowanie statków zdolnych do podróżowania z prędkością światła, nie dotrzymałby przyrzeczenia.

Nie mogła uchylić się od odpowiedzialności. To, czy naprawdę była drugą po Bogu, nie miało znaczenia – skoro otrzymała taką władzę, musiała spełnić swój obowiązek.

Niedawno, na Plutonie, przeżyła jedną z najspokojniejszych chwil w swoim życiu. W istocie łatwo było patrzeć na koniec świata – znikały wszystkie obowiązki, tak samo wszystkie zmartwienia i niepokoje. Życie było tak czyste i proste jak w chwili, gdy człowiek wyłaniał się z łona matki. Cheng Xin musiała tylko spokojnie czekać na swój poetycki, artystyczny koniec, na moment, w którym stanie się elementem ogromnego obrazu Układu Słonecznego.

Teraz jednak to wszystko się odwróciło. Każda kosmologia przedstawiała pewien paradoks – skoro Wszechświat jest nieskończony, to w każdym jego miejscu powinno się odczuwać skumulowany wpływ grawitacji nieskończonej liczby ciał niebieskich. Cheng Xin naprawdę poczuła teraz tę nieskończoną siłę ciężkości. Dochodziła ona z każdego zakątka Wszechświata i bezlitośnie napierała na jej duszę. Kiedy legł na niej przytłaczający ciężar czterech miliardów lat historii, ponownie ogarnęło ją przerażenie, które owładnęło nią w ostatnich chwilach sprawowania funkcji Dzierżyciela Miecza przed stu dwudziestoma siedmioma laty. Niebo było pełne patrzących na nią oczu: oczu dinozaurów, trylobitów, mrówek, ptaków, motyli… sami tylko ludzie, którzy kiedykolwiek żyli na Ziemi, mieli sto miliardów par oczu.

Cheng Xin spojrzała na AA i zrozumiała, co mówi jej spojrzenie: „W końcu przeżyłaś coś gorszego niż śmierć”.

Wiedziała, że nie ma wyboru i musi żyć dalej. Obie z AA były ostatnimi przedstawicielkami rodzaju ludzkiego, a zatem jej śmierć oznaczałaby

śmierć połowy tego, co zostało z ludzkości. Zresztą dalsze życie było odpowiednią karą za popełniony przez nią błąd.

Ale przyszłość była pustką. W jej sercu kosmos nie był już czarny, lecz bezbarwny. Jaki sens miało teraz podróżowanie?

– Dokąd powinnyśmy polecieć? – wyszeptała.

– Znajdźcie ich – odparł Luo Ji. Jego obraz był coraz bardziej zamazany i już tylko czarno-biały.

Słowa te rozświetliły ponure myśli Cheng Xin jak błyskawica. Spojrzały z AA na siebie nawzajem i od razu zrozumiały, o kogo mu chodzi.

– Oni wciąż żyją – kontynuował Luo Ji. – Pięć lat temu Świat Schronu otrzymał od nich wiadomość na falach grawitacyjnych. Była krótka i nie wyjaśniała, gdzie są. Niech *Halo* od czasu do czasu przywołuje ich na falach grawitacyjnych. Może ich znajdziecie, a może oni znajdą was.

Zniknął również czarno-biały widok Luo Ji, ale wciąż słyszały jego głos. Powiedział jeszcze jedną, ostatnią rzecz:

– Aha, nadszedł i dla mnie czas, żeby wejść do obrazu. Bezpiecznej podróży, dzieci.

Transmisja z Plutona została przerwana.

Widziały na monitorze, jak planeta się rozjarza i rozszerza w dwóch wymiarach. Najpierw zetknęła się z płaszczyzną ta część, na której znajdowało się muzeum.

Teraz widoczny był efekt Dopplera spowodowany prędkością *Halo*. Światło gwiazd z przodu zmieniło się na niebieskawe, a światło tych, które były z tyłu, na czerwonawe. Ta zmiana koloru dotyczyła również dwuwymiarowego Układu Słonecznego.

Nie było widać żadnych innych uciekających statków kosmicznych; jacht wszystkie wyprzedził. Spadały teraz na płaszczyznę jak krople deszczu na szkło.

Od strony Układu Słonecznego docierało już bardzo niewiele przekazów. Wskutek efektu Dopplera krótkie burze głosów brzmiały dziwnie, jak śpiew.

– Jesteśmy bardzo blisko! Jesteście za nami?… Nie rób tego! Nie!… Nie czuje się żadnego bólu. Mówię wam, to się stanie w mgnieniu oka… Po tym wszystkim nadal mi nie wierzysz? Dobrze, nie wierz… Tak, kochanie, staniemy się chudziutcy… Chodź tutaj! Powinniśmy być razem.

Cheng Xin i AA przysłuchiwały się temu. Docierało do nich coraz mniej głosów, przerwy między nimi były coraz dłuższe. Po trzydziestu minutach usłyszały ostatni:

– Aaaach…

Krzyk się urwał. Ogromny obraz zwany Układem Słonecznym był ukończony.

Halo nadal spadało w stronę płaszczyzny. Prędkość, z którą już leciało, spowalniała ten spadek, ale jacht nie osiągnął jeszcze prędkości ucieczki. W tej chwili był jedynym stworzonym przez człowieka trójwymiarowym przedmiotem w Układzie Słonecznym, a Cheng Xin i AA jedynymi osobami, które nie znalazły się na obrazie. Były bardzo blisko płaszczyzny i patrząc pod tym kątem na dwuwymiarowe Słońce, miały wrażenie, jakby patrzyły z brzegu na morze – ciemnoczerwona powierzchnia ciągnęła się po horyzont. Niedawno spłaszczony Pluton był teraz bardzo duży i nadal rozszerzał się w tempie widocznym gołym okiem. Cheng Xin uważnie się przyjrzała kunsztownie ukształtowanym „słojom drzewnym” planety, starając się znaleźć ślady muzeum, ale ich nie dostrzegła – było zbyt małe. Ogromny wodospad, którym była trójwymiarowa przestrzeń spadająca na płaszczyznę, wydawał się niepowstrzymany. Cheng Xin ogarnęły wątpliwości, czy silnik z napędem krzywiznowym rzeczywiście może

osiągnąć prędkość światła. Miała nadzieję, że za chwilę będzie po wszystkim.

Ale akurat wtedy przemówiła sztuczna inteligencja statku:

– Za sto osiemdziesiąt sekund *Halo* osiągnie prędkość światła. Proszę wybrać cel podróży.

– Nie wiemy, dokąd lecieć – powiedziała AA.

– Możecie wybrać cel po osiągnięciu prędkości światła. Jednak w waszym subiektywnym odczuciu nie spędzicie wiele czasu w tej prędkości, więc łatwo jest minąć cel. Lepiej wybrać go teraz.

– Nie wiemy, gdzie ich znaleźć – stwierdziła Cheng Xin. Fakt, że żyją jeszcze inni ludzie, nieco rozświetlał mroczną przyszłość, ale wciąż czuła się zagubiona.

AA chwyciła ją za dłonie.

– Zapomniałaś? Poza nimi żyje jeszcze on.

„Tak, on nadal żyje” – pomyślała Cheng Xin i poczuła skurcz serca. Jeszcze do nikogo tak nie tęskniła jak do niego.

– Masz randkę – powiedziała AA.

– Tak, mamy randkę – powtórzyła mechanicznie Cheng Xin. Po burzy emocji była odrętwiała.

– No więc lećmy na twoją gwiazdę.

– Tak, lećmy na moją gwiazdę! – Cheng Xin zwróciła się do sztucznej inteligencji statku. – Potrafisz znaleźć DX3906? Taki przydzielono jej numer na początku ery kryzysu.

– Tak. Teraz ma numer S74390E2. Proszę o potwierdzenie.

Przed Cheng Xin i AA pojawiła się duża holograficzna mapa. Pokazywała wszystko w promieniu stu lat świetlnych od Układu Słonecznego. Jedna z gwiazd jarzyła się czerwono i wskazywała ją biała strzałka. Cheng Xin dobrze znała ten widok.

– To ta. Lećmy tam.

– Kurs ustalony i potwierdzony. *Halo* za pięćdziesiąt sekund osiągnie prędkość światła.

Mapa zniknęła. W istocie zniknął cały kadłub statku i Cheng Xin oraz AA zdawały się unosić w przestrzeni kosmicznej. Sztuczna inteligencja nie zastosowała wcześniej ani razu tej techniki. Przed nimi rozciągało się morze gwiazd, które było Drogą Mleczną, teraz jasnoniebieską, przypominającą prawdziwe morze. Za nimi leżał dwuwymiarowy Układ Słoneczny, skąpany w krwistej czerwieni.

Wszechświat zadrżał. Wszystkie gwiazdy przed nimi wystrzeliły do przodu, jakby tamta połowa Wszechświata przemieniła się w czarną misę, do której wpadały. Zlały się przed statkiem w jednolitą poświatę, jakby utworzyły ogromny szafir, w którym nie można było odróżnić poszczególnych gwiazd. Od czasu do czasu z tego szafiru wystrzeliwała jedna z nich i przemykała obok statku, by spaść za nim, przez całą drogę zmieniając kolor: z niebieskiego na zielony, potem na żółty i w końcu, gdy znalazła się za statkiem, na czerwony. Kiedy Cheng Xin i AA się obejrzały, zobaczyły, że dwuwymiarowy Układ Słoneczny i te gwiazdy stopiły się w czerwoną kulę, płonącą jak ognisko na końcu Wszechświata.

Halo leciało z prędkością światła ku gwieździe, którą Yun Tianming podarował Cheng Xin.

CZĘŚĆ VI

409 rok ery galaktycznej

Nasza gwiazda

Halo wyłączyło silnik krzywiznowy i leciało dalej siłą rozpędu, ale z prędkością światła. AA starała się pocieszyć Cheng Xin, chociaż wiedziała, że to beznadziejne zadanie.

– To absurdalne, że się obwiniasz o zniszczenie Układu Słonecznego. Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że gdybyś stanęła na rękach, to podniosłabyś Ziemię? Nawet gdybyś nie powstrzymała Wade'a, trudno by było przewidzieć wynik tej wojny. Czy Halo City mogłoby uzyskać niepodległość? Nawet Wade nie był tego pewien. Czy parę pocisków z antymaterią mogłoby naprawdę odstraszyć rząd i Flotę Federacji? Może Halo City zniszczyłoby kilka statków wojennych, a nawet jakieś miasto kosmiczne, ale w końcu zostałoby unicestwione przez Flotę Federacji. A w tej wersji historii nie byłoby bazy na Merkurym, nie byłoby żadnej drugiej szansy. Myślisz, że nawet gdyby Halo City udało się uzyskać niepodległość, kontynuować badania nad napędem krzywiznowym, odkryć spowalniający wpływ smug i w końcu nawiązać współpracę z rządem Federacji, ludzie zgodziliby się na stworzenie czarnej domeny? Pamiętasz, jaką wszyscy mieli pewność, że Świat Schronu przetrwałby uderzenie z ciemnego lasu? Czy w tej sytuacji daliby się zamknąć w czarnej domenie?

Słowa AA spływały po Cheng Xin jak krople wody po liściu lilii, nie zostawiając żadnego śladu. Myślała tylko o tym, by odnaleźć Yun Tianminga i wszystko mu opowiedzieć. Wyobraziła sobie, że pokonanie

odległości dwustu osiemdziesięciu siedmiu lat świetlnych będzie trwało długo, ale sztuczna inteligencja poinformowała ją, że w ich układzie odniesienia podróż potrwa tylko pięćdziesiąt dwie godziny. Wszystko wydawało się jej nierealne, jakby już umarła i znalazła się na tamtym świecie.

Długo spoglądała przez iluminator w przestrzeń kosmiczną. Rozumiała, że za każdym razem kiedy z niebieskiej gromady gwiazd z przodu jedna wyskakuje, przemyka obok statku i dołącza do czerwonej gromady za nim, oznacza to, że *Halo* ją minęło. Liczyła te gwiazdy i patrzyła, jak zmieniają kolor z niebieskiego na czerwony. Był to tak hipnotyzujący widok, że w końcu zasnęła.

Gdy się obudziła, *Halo* było blisko celu podróży. Obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie uruchomiło silnik krzywiznowy, by wyhamować – w istocie napierało teraz na smugę, którą samo zostawiło. Podczas jego zwalniania skupiska niebieskie i czerwone zaczęły się rozpraszać jak wachlarze ogni sztucznych i wkrótce przeistoczyły się w morze gwiazd rozmieszczonych równomiernie wokół statku. Zmniejszanie prędkości stopniowo spowodowało zanik przesunięć między błękitem i czerwienią. Cheng Xin i AA zobaczyły, że Droga Mleczna przed nimi wciąż wygląda tak samo jak przedtem, ale żadna z gwiazd za nimi nie wyglądała już znajomo. Układ Słoneczny zniknął dawno temu.

– Jesteśmy teraz dwieście osiemdziesiąt sześć i pół roku świetlnego od Układu Słonecznego – oznajmiła sztuczna inteligencja.

– A więc tam minęło już dwieście osiemdziesiąt sześć lat? – zapytała AA. Wyglądała, jakby się przed chwilą obudziła.

– Tak, jeśli używasz ich punktu odniesienia.

Cheng Xin westchnęła. Czy dla Układu Słonecznego w jego obecnym stanie była jakaś różnica między 286 latami i 2,86 miliona lat? Ale coś

przyszło jej na myśl.

– Kiedy zakończyło się zapadanie w dwa wymiary?

To pytanie odebrało AA mowę. Faktycznie, kiedy – jeśli w ogóle kiedykolwiek – to się zakończyło? Czy w małej paczuszce z dwuwymiarową folią znajdowało się jakieś polecenie, które powstrzymałoby w końcu jej rozprzestrzenianie? Ani ona, ani Cheng Xin nie miały pojęcia, na podstawie jakiej teorii trójwymiarowa przestrzeń zapada się w dwuwymiarową, ale obie instynktownie czuły, że polecenie wbudowane w tę drugą graniczyłoby z magią, i to z taką, która wydawała się niemożliwa.

Czy to zapadanie nigdy się nie zakończy?

Najlepiej było nie myśleć o tym za dużo.

Gwiazda o nazwie DX3906 była mniej więcej wielkości Słońca. Kiedy *Halo* zaczęło hamować, nadal wyglądała jak zwykła gwiazda, ale gdy został wyłączony silnik krzywiznowy, ukazała się jako dysk, którego światło wydawało się czerwieńsze od słonecznego.

Halo włączyło silnik jądrowy i cisza na statku została przerwana. Jego wnętrze wypełniło buczenie i wszystkie powierzchnie zaczęły lekko drgać. Sztuczna inteligencja przeanalizowała dane z systemu monitorującego i potwierdziła podstawowe fakty o tym układzie słonecznym: DX3906 miał dwie planety, obie w stanie stałym. Ta, która znajdowała się dalej od gwiazdy, była mniej więcej wielkości Marsa, ale nie miała atmosfery i wydawała się szara, więc Cheng Xin i AA postanowiły nazwać ją Szarą Planetą. Druga, leżąca bliżej gwiazdy, była rozmiaru Ziemi, a jej powierzchnia też przypominała ziemską. Jej atmosfera zawierała tlen i wiele oznak świadczyło o istnieniu na niej życia, ale bez śladu rolnictwa i przemysłu. Ponieważ była, podobnie jak Ziemia, niebieska, postanowiły nazwać ją Niebieską Planetą.

AA bardzo się ucieszyła, że potwierdziły się wyniki jej badań. Ponad czterysta lat wcześniej odkryła, że ta gwiazda jest centrum układu planetarnego. Przedtem ludzie sądzili, że jest samotna. Dzięki tej pracy poznała Cheng Xin. Gdyby nie ten zbieg okoliczności, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Los był taki dziwny – gdy cztery wieki temu patrzyła przez teleskop na ten odległy świat, nie przyszłoby jej do głowy, że pewnego dnia tutaj przybędzie.

– Zaobserwowałaś wtedy te planety? – zapytała Cheng Xin.

– Nie. Nie można ich było dostrzec w zakresie światła widzialnego. Może dałoby się je zobaczyć przez teleskopy systemu wczesnego ostrzegania Układu Słonecznego, ale ja wydedukowałam ich istnienie jedynie na podstawie danych uzyskanych przez solarne soczewki grawitacyjne… Snułam teorie o wyglądzie tych dwóch planet i wychodzi na to, że w zasadzie miałam rację.

Przebycie dwustu osiemdziesięciu sześciu lat świetlnych dzielących układ planetarny wokół DX3906 od Układu Słonecznego zajęło *Halo* zaledwie pięćdziesiąt dwie godziny (według układu odniesienia statku), ale pokonanie sześćdziesięciu jednostek astronomicznych pomiędzy skrajem tego układu i Niebieską Planetą z prędkością niższą od prędkości światła trwało osiem pełnych dni. Gdy jacht zbliżył się do niej, Cheng Xin i AA odkryły, że jej podobieństwo do Ziemi było tylko pozorne. Niebieską barwę planeta zawdzięczała nie kolorowi oceanu, lecz roślinności. Oceany były jasnożółte i zajmowały jedynie jedną piątą jej powierzchni. Był to zimny świat; około jednej trzeciej kontynentów pokrywała niebieska roślinność, resztę śnieg. Oceany były w większości zamarznięte i tylko małe skrawki koło równika były w stanie ciekłym.

Halo weszło na orbitę wokół Niebieskiej Planety i zaczęło się zniżać. Ale sztuczna inteligencja statku poinformowała o nowym odkryciu.

– Odebrano sygnał radiowy nadany z powierzchni przez inteligentne istoty. Został wysłany z radiolatarni według formatów komunikacyjnych z początku ery kryzysu. Czy mam postępować zgodnie z tymi instrukcjami?

Cheng Xin i AA spojrzały na siebie z podnieceniem.

– Tak! – powiedziała Cheng Xin. – Ląduj zgodnie z tymi instrukcjami.

– Przeciążenie osiągnie 4 g. Proszę usiąść w bezpiecznych pozycjach. Procedura lądowania zostanie rozpoczęta, gdy zajmiecie te pozycje.

– Myślisz, że to on? – zapytała AA.

Cheng Xin potrząsnęła głową. W jej życiu chwile szczęścia były tylko przerwami między wielkimi katastrofami. Teraz bała się szczęścia.

Usiadły w fotelach przeciążeniowych, które zamknęły się wokół nich niczym potężne dłonie. *Halo* wyhamowało i po serii silnych wstrząsów weszło w atmosferę Niebieskiej Planety. Widziały biało-niebieskie kontynenty przewijające się na obrazach zrobionych przez system monitorujący statku.

Dwadzieścia minut później *Halo* wylądowało koło równika. Jego sztuczna inteligencja poradziła Cheng Xin i AA, by odczekały dziesięć minut, zanim wstaną z foteli, dając swoim ciałom możliwość przystosowania się do siły grawitacji Niebieskiej Planety, która była zbliżona do ziemskiej. Przez iluminatory i na terminalach systemu monitorującego widziały, że jacht siadł na niebieskiej trawiastej równinie. Niedaleko wznosiły się faliste, pokryte śniegiem góry – lądowisko było tuż przy ich podnóżu. Niebo miało jasnożółty kolor, jak widziany z kosmosu ocean. Świeciło na nim jasnoczerwone słońce. Było południe, ale za sprawą barw nieba i słońca przypominało to zmierzch na Ziemi.

Cheng Xin i AA nie przyjrzały się zbyt dokładnie otoczeniu. Ich uwagę przykuł inny pojazd stojący obok *Halo*. Był mały, miał cztery czy pięć metrów wysokości i ciemnoszary kadłub, opływowy kształt, lecz niewielkie

stateczniki. Nie wyglądał na samolot, ale raczej na prom kursujący między przestrzenią kosmiczną i planetą.

Obok promu stał mężczyzna w białej kurtce i ciemnych spodniach. Podmuch powietrza wywołany lądowaniem *Halo* wzburzył jego włosy.

– To on? – zapytała AA.

Cheng Xin potrząsnęła głową. Od pierwszego spojrzenia wiedziała, że to nie jest Yun Tianming.

Mężczyzna ruszył przez morze niebieskiej trawy ku *Halo*. Poruszał się powoli, a jego postawa i ruchy wskazywały, że wymaga to od niego pewnego wysiłku. Nie okazywał żadnych oznak zdziwienia ani ekscytacji, jakby pojawienie się *Halo* było najnormalniejszą rzeczą. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od jachtu i cierpliwie czekał.

– Jest przystojny – stwierdziła AA.

Mężczyzna wyglądał na czterdzieści kilka lat. Miał azjatyckie rysy i rzeczywiście był przystojniejszy od Yun Tianminga, z szerokim czołem i mądrymi, łagodnymi oczami. Patrzył tak, jakby zawsze myślał, że nic we Wszechświecie, włącznie z *Halo*, nie mogło go zaskoczyć, a tylko skłaniało do jeszcze głębszego myślenia. Podniósł ręce i poruszył nimi wokół głowy, co oznaczało hełm. Potem potrząsnął głową i pomachał przecząco dłonią, pokazując w ten sposób, że nie będą im tutaj potrzebne skafandry kosmiczne.

Sztuczna inteligencja statku się z tym zgodziła.

– Skład atmosfery: tlen – trzydzieści pięć procent, azot – sześćdziesiąt trzy procent, dwutlenek węgla – dwa procent, śladowe ilości gazów obojętnych. Można nim oddychać. Ale ciśnienie atmosferyczne wynosi tylko zero, przecinek, pięćdziesiąt trzy ziemskiego. Nie podejmujcie dużego wysiłku.

– Kim jest ta istota stojąca obok statku? – zapytała AA.

– Normalną ludzką istotą – odpowiedziała sztuczna inteligencja.

Cheng Xin i AA wyszły ze statku. Nie przystosowały się jeszcze do miejscowej siły ciążenia, więc trochę się potykały. Na zewnątrz oddychały swobodnie, nie czując, że powietrze jest rozrzedzone. Owiał je podmuch wiatru, przynosząc odświeżającą woń trawy. W szeroko otwartej przestrzeni widziały niebiesko-białe góry i ziemię, jasnożółte niebo i czerwone słońce. Wszystko przypominało zdjęcie Ziemi w niewłaściwych barwach. Poza dziwnymi kolorami wszystko wyglądało znajomo. Nawet źdźbła trawy podobne były do trawy na Ziemi, tyle że były niebieskie. Mężczyzna podszedł do podnóża schodów.

– Zaczekajcie. Te schody są zbyt strome. Pomogę wam zejść. – Z łatwością wspiął się na stopnie i pomógł Cheng Xin. – Powinnyście dłużej poczekać przed wyjściem. Nie ma pośpiechu. – Cheng Xin słyszała wyraźny akcent z ery odstraszania.

Jego ręka była ciepła i silna, a szerokie plecy osłaniały ją przed chłodnym wiatrem. Pod wpływem impulsu chciała skoczyć temu mężczyźnie, pierwszemu, jakiego spotkała po przebyciu ponad dwustu lat świetlnych, w ramiona.

– Przyleciałyście z Układu Słonecznego? – zapytał.

– Tak.

Oparła się na jego ramieniu i zaczęła schodzić na ziemię. Jej zaufanie do niego wzrosło, przeniosła więc na niego większość ciężaru ciała.

– Nie ma już Układu Słonecznego – powiedziała AA, siadając na szczycie schodów.

– Wiem. Uciekł ktoś jeszcze?

Cheng Xin była już na dole. Zanurzyła stopy w miękkiej trawie i usiadła na najniższym stopniu schodów.

– Chyba nie.

– Och… – Mężczyzna kiwnął głową i ponownie wszedł na górę, by pomóc zejść AA. – Nazywam się Guan Yifan. Czekałem tu na was.

– Skąd pan wiedział, że przylecimy? – zapytała AA, pozwalając Yifanowi ująć się za rękę.

– Odebraliśmy waszą transmisję na falach grawitacyjnych.

– Pan jest z *Błękitnej Przestrzeni*?

– Ha! Gdyby zadała pani to pytanie tym, którzy niedawno stąd odlecieli, uznaliby, że jest pani bardzo dziwna. *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* to odległa historia sprzed ponad czterech stuleci. Ale ja rzeczywiście pochodzę z tamtych czasów. Byłem cywilnym astronomem na *Grawitacji*. Przez czterysta lat znajdowałem się w stanie hibernacji i obudzono mnie dopiero pięć lat temu.

– Gdzie są teraz te statki? – Cheng Xin wstała z pewnym trudem, podciągając się na poręczy schodów.

Yifan dalej schodził z AA.

– W muzeach.

– A gdzie są te muzea? – zapytała AA. Objęła Yifana za ramiona, tak że praktycznie znosił ją na dół.

– Na Świecie I i Świecie IV.

– A ile jest tych światów?

– Cztery. Rozpoczynamy też kolonizację kolejnych dwóch.

– Gdzie leżą te wszystkie światy?

Guan Yifan postawił delikatnie AA na ziemi i wybuchnął śmiechem.

– Dam wam pewną radę. W przyszłości, bez względu na to, kogo spotkacie – człowieka czy inną istotę – nie pytajcie o położenie jego czy jej świata. To podstawa dobrych manier w kosmosie, zupełnie tak jak na Ziemi niegrzecznie było pytać damę o wiek… Mimo to spytam: ile macie lat?

– Tyle, na ile wyglądamy – odparła AA i usiadła na trawie. – Ona siedemset, a ja pięćset.

– Doktor Cheng wygląda prawie tak samo jak czterysta lat temu.

– Zna ją pan? – AA zadarła głowę i spojrzała na Guan Yifana.

– Widziałem jej zdjęcia w transmisjach z Ziemi. Cztery wieki temu.

– Ile jest osób na tej planecie?

– Tylko nas troje.

– To musi znaczyć, że wasze światy są lepsze niż ten – powiedziała AA.

– Ma pani na myśli środowisko naturalne? Nic podobnego. W niektórych miejscach powietrze jest takie, że ledwie można nim oddychać, i to nawet po stu latach terraformowania. To jedna z najlepszych planet do zasiedlenia, jakie widzieliśmy. Chociaż jest tu pani mile widziana, doktor Cheng, nie uznajemy pani prawa własności do niej.

– Już dawno się go zrzekłam – powiedziała Cheng Xin. – To dlaczego ludzie się tu nie osiedlili?

– Bo jest tu zbyt niebezpiecznie. Często przylatują tutaj obcy.

– Obcy? Istoty pozaziemskie? – zapytała AA.

– Tak. Blisko stąd do środka Ramienia Oriona. Przebiegają tędy dwa ruchliwe szlaki.

– No to co pan tutaj robi? Tylko czeka na nas?

– Nie. Przybyłem z ekspedycją badawczą. Reszta już odleciała, a ja zostałem, żeby na was zaczekać.

Mniej więcej dziesięć godzin później cała trójka powitała noc na Niebieskiej Planecie. Nie było księżyca, ale gwiazdy świeciły dużo jaśniej niż na Ziemi. Droga Mleczna była jak morze srebrnego ognia, które rzucało blask na ziemię. To miejsce nie znajdowało się dużo bliżej środka Galaktyki

niż Układ Słoneczny, ale przestrzeń między nim i Słońcem wypełniał pył międzygwiezdny, przez co Droga Mleczna widziana z Układu Słonecznego była dużo ciemniejsza.

W jasnym świetle gwiazd Cheng Xin i AA widziały, że trawa się porusza. Najpierw myślały, że to złudzenie wywołane przez wiatr, ale później zdały sobie sprawę, że porusza się też z szelestem trawa pod ich stopami. Yifan to potwierdził. Korzenie niebieskiej trawy były jednocześnie jej nogami i gdy zmieniały się pory roku, trawa przenosiła się na inne szerokości geograficzne, przeważnie nocą. Gdy tylko AA to usłyszała, odrzuciła źdźbło, którym się bawiła. Yifan wyjaśnił, że są to rośliny, bo wykorzystują fotosyntezę i mają tylko elementarny zmysł dotyku. Również pozostałe rośliny na tym świecie potrafiły się poruszać. Wskazał na góry i obie zobaczyły przemieszczające się lasy. Drzewa poruszały się dużo szybciej niż trawa i przypominały maszerującą nocą armię.

Potem Yifan wskazał im miejsce na niebie, gdzie gwiazdy były nieco rzadsze.

– Kilka dni temu widzieliśmy w tej stronie Słońce, dużo wyraźniej, niż widać je z Ziemi. Oczywiście widzieliśmy tylko Słońce sprzed osiemdziesięciu siedmiu lat. Zgasło w dniu, w którym zostawiła mnie tutaj ekspedycja.

– Słońce nie wysyła już światła, ale zajmuje ogromny obszar. Może nadal będziecie je mogli dostrzec przez teleskopy – powiedziała AA.

– Nie, niczego nie zobaczycie. – Yifan potrząsnął głową i znowu wskazał tamten skrawek nieba. – Nic nie zobaczyłybyście, nawet gdybyście tam teraz wróciły. Tamta część przestrzeni jest pusta. To dwuwymiarowe Słońce i planety, które widziałyście, były po prostu wynikiem wyzwolenia energii podczas zapadania się trójwymiarowej materii w dwa wymiary. To nie była dwuwymiarowa materia, a jedynie refrakcja promieniowania

elektromagnetycznego w miejscu zetknięcia się przestrzeni dwuwymiarowej z trójwymiarową. Po wyzwoleniu energii nic nie jest już widzialne. Dwuwymiarowy Układ Słoneczny nie ma żadnego kontaktu z przestrzenią trójwymiarową.

– Jak to możliwe? – zapytała Cheng Xin. – Można przecież zobaczyć trójwymiarowy świat z przestrzeni czterowymiarowej.

– To prawda. Ja sam to oglądałem, ale nie można zobaczyć dwuwymiarowego świata z trzech wymiarów, a to dlatego, że trójwymiarowa przestrzeń ma pewną grubość, to znaczy jest w niej wymiar, który może zatrzymać i rozproszyć światło, dzięki czemu jest ona widzialna z czterech wymiarów. Natomiast przestrzeń dwuwymiarowa nie ma żadnej grubości, więc światło z przestrzeni trójwymiarowej przechodzi przez nią bez przeszkód. Dwuwymiarowy świat jest zupełnie przezroczysty, więc nie można go zobaczyć.

– W żaden sposób? – dociekała AA.

– Nie. W teorii nic na to nie pozwala.

Cheng Xin i AA milczały przez chwilę. Układ Słoneczny zupełnie zniknął. Ulotniła się resztka nadziei, którą miały. Ale Guan Yifan dodał im nieco otuchy.

– Jest jeden sposób na wykrycie dwuwymiarowego Układu Słonecznego z przestrzeni trójwymiarowej – grawitacja. W Układzie Słonecznym nadal istnieje grawitacja, więc powinien być wykrywalny w tej pustej przestrzeni jako jej niewidzialne źródło.

Cheng Xin i AA popatrzyły na siebie w zamyśleniu.

– Brzmi to jak ciemna materia, prawda? – rzekł ze śmiechem Yifan. Potem zmienił temat. – A może byśmy porozmawiali o randce, na którą tu przyleciałyście?

– Zna pan Yun Tianminga? – zapytała AA.

– Nie.

– A co się dzieje z flotą trisolariańską? – zapytała Cheng Xin.

– Niewiele o niej wiemy. Druga flota nigdy nie połączyła się z pierwszą. Ponad sześćdziesiąt lat temu w przestrzeni kosmicznej niedaleko gwiazdozbioru Byka rozegrała się wielka bitwa. Była zacięta, a szczątki zniszczonych statków utworzyły nowy obłok pyłu międzygwiezdnego. Wiemy, że jedną ze stron była druga flota trisolariańska, ale nie wiemy, z kim walczyła. Nie wiemy też, jak ta bitwa się zakończyła.

– A co się stało z pierwszą flotą trisolariańską? – Oczy Cheng Xin błyszczały w świetle gwiazd.

– Nie otrzymaliśmy o niej żadnych informacji… Tak czy owak, nie powinnyście zostawać tutaj zbyt długo. Tu nie jest bezpiecznie. A może polecicie ze mną na nasz świat? Zakończyło się tam terraformowanie i żyje się coraz lepiej.

– Zgadzam się! – powiedziała AA. Potem ujęła Cheng Xin za ramię. – Lećmy z nim. Nawet jeśli będziesz czekała tutaj przez resztę życia, najprawdopodobniej nie dostaniesz od niego żadnych wieści. Życie nie powinno być wiecznym czekaniem.

Cheng Xin skinęła w milczeniu głową. Wiedziała, że żyje ułudą.

Postanowili spędzić na Niebieskiej Planecie jeszcze jeden dzień.

Na orbicie synchronicznej czekał na Guan Yifana mały statek kosmiczny. Nie miał nazwy, tylko numer, ale Yifan mówił o nim *Hunter*. Wyjaśnił, że ta nazwa upamiętniała przyjaciela, który ponad czterysta lat wcześniej żył na *Grawitacji*. *Hunter* nie był wyposażony w system recyklingu ekologicznego, więc podczas długich lotów pasażerowie musieli poddawać się hibernacji. Chociaż miał tylko kilka procent pojemności *Halo*, posiadał

silnik krzywiznowy i mógł osiągnąć prędkość światła. Postanowili, że Yifan też poleci na *Halo* i będzie kierował *Hunterem* jak dronem. Ani Cheng Xin, ani AA nie pytały o to, jaki obiorą kurs, a Yifan odmówił odpowiedzi nawet na pytanie, jak długo potrwa podróż. Był niezwykle ostrożny, gdy chodziło o informacje o położeniu ludzkich światów.

Tego dnia zrobili kilka krótkich wycieczek w pobliżu *Halo*. Był to dzień, w którym Cheng Xin, AA i wszyscy ludzie z Układu Słonecznego, którzy zniknęli razem ze swym rodzinnym światem, dokonali wielu rzeczy po raz pierwszy: znaleźli się w pozaziemskim układzie planetarnym, postawili nogę na powierzchni egzoplanety, napotkali poza Układem Słonecznym świat, na którym istniało życie.

W porównaniu z Ziemią ekologia Niebieskiej Planety była dość prosta. Poza poruszającymi się niebieskimi roślinami było tam niewiele form życia – kilka gatunków ryb w oceanie. Nie było złożonych zwierząt, jedynie proste owady. Ten świat był jakby uproszczoną Ziemią. Mogłyby tam przetrwać ziemskie rośliny, więc mogliby żyć również ludzie, nawet bez rozwiniętej technologii.

Guan Yifan był pełen podziwu dla *Halo*. Powiedział, że ludzie galaktyczni, a więc ci, którzy zamieszkali w Drodze Mlecznej, nie odziedziczyli po ziemskich przodkach jednej cechy – radości życia. Spędził wiele czasu w pięknych ogródkach i dogadzał sobie oglądaniem holograficznych widoków ze starożytnej Ziemi. Był zamyślony jak wcześniej, ale miał wilgotne oczy.

Przez cały dzień 艾 AA rzucała na Yifana zalotne spojrzenia. Wymyślała różne wymówki, by być blisko niego, uważnie słuchała, gdy mówił, od czasu do czasu kiwając głową i uśmiechając się. Nigdy dotąd nie zachowywała się tak wobec żadnego mężczyzny. W czasie tych kilkuset lat znajomości z Cheng Xin AA miała niezliczonych kochanków, niekiedy

dwóch lub więcej równocześnie, ale nigdy nie była naprawdę zakochana. Teraz jednak najwyraźniej zadurzyła się w tym kosmologu z ery odstraszania. Cheng Xin cieszyła się z tego. AA zasługiwała na szczęśliwe życie w tym nowym świecie.

Ale ona sama była duchowo martwa. Do tej pory żyła nadzieją, że odnajdzie Tianminga, a teraz wydawało się to nieosiągalnym marzeniem. Tak naprawdę zawsze wiedziała, że spotkanie wyznaczone za czterysta lat w odległości dwustu osiemdziesięciu sześciu lat świetlnych jest nieosiągalnym marzeniem. Będzie podtrzymywała ciało przy życiu, ale tylko po to, by spełnić spoczywający na niej obowiązek zapobieżenia śmierci połowy ludzkości, która przetrwała zniszczenie Ziemi.

Znowu zapadła noc. Postanowili przespać się na *Halo* i rano odlecieć.

O północy Guan Yifana obudził jego nadgarstkowy komunikator. Była to wiadomość od *Huntera* z orbity synchronicznej. *Hunter* przekazywał informacje zebrane przez trzy małe satelity monitorujące, z których dwa krążyły wokół Niebieskiej Planety a jeden wokół Szarej. Alarm wywołał ten ostatni.

Przed trzydziestoma pięcioma minutami na Szarej Planecie wylądowało pięć niezidentyfikowanych statków. Po dwunastu minutach wszystkie odleciały i zniknęły, nawet nie wchodząc na orbitę. Wiadomość z satelity przerywały silne zakłócenia, a obrazy były zamazane.

Ekspedycja, w której brał udział Yifan, miała szukać i badać ślady zostawione w tym układzie planetarnym przez inne cywilizacje. Po otrzymaniu alarmu z satelity natychmiast postanowił polecieć promem na *Huntera*, by zbadać sprawę. Cheng Xin nalegała, by wziął ją ze sobą. Początkowo odmówił, ale zgodził się, gdy AA powiedziała:

– Niech pan pozwoli jej ze sobą lecieć. Ona chce się dowiedzieć, czy ma to coś wspólnego z Yun Tianmingiem.

Przed odlotem Yifan przypomniał AA, żeby, jeśli nie zdarzy się nic wyjątkowego, nie komunikowała się z *Hunterem*. Nikt z nich nie wiedział, czy gdzieś w tym układzie nie kryje się sprzęt monitorujący istot pozaziemskich, więc każde połączenie mogło narazić ich na niebezpieczeństwo.

Na tym samotnym świecie trojga osób nawet krótkie rozstanie budziło niepokój. AA objęła Cheng Xin i Guan Yifana i życzyła im bezpiecznej podróży. Przed wejściem na prom Cheng Xin obejrzała się za siebie i zobaczyła w rozmytym świetle gwiazd machającą im ręką na pożegnanie AA. Wokół niej poruszała się niebieska trawa, a zimny wiatr wichrzył jej krótkie włosy.

Prom wystartował. Na obrazie z systemu monitorującego Cheng Xin widziała, jak płomień z silnika wypala krąg w trawie, której źdźbła uciekają we wszystkie strony. Gdy prom się wzniósł, jasna plama na ziemi szybko pociemniała i znowu oświetlał ją tylko blask gwiazd.

Godzinę później prom przycumował do statku macierzystego. *Hunter* miał kształt stożkowatego czworościanu i wyglądał jak mała piramida. Wnętrze było surowe i bardzo ciasne – większość miejsca zajmowała komora hibernacyjna, która mogła pomieścić maksymalnie cztery osoby.

Podobnie jak *Halo*, był wyposażony zarówno w silnik krzywiznowy, jak i jądrowy. Podczas lotów między planetami danego układu gwiezdnego używano tylko tego drugiego, ponieważ krzywiznowy mógł sprawić, że statek przemknąłby obok celu podróży, nie mając czasu na wyhamowanie. *Hunter* opuścił orbitę i skierował się ku Szarej Planecie, która z tej odległości była małą świetlną plamką. W trosce o Cheng Xin Guan Yifan początkowo ograniczył przyspieszenie do 1,5 g, ale powiedziała mu, żeby się o nią nie martwił, i leciał już szybciej. Zwiększył prędkość, błękitny płomień wydobywający się z rur wydechowych stał się dwa razy dłuższy,

a przeciążenie wzrosło do 3 g. W tym momencie mogli tylko siedzieć w objęciach foteli przyspieszeniowych. Ponieważ mieli bardzo ograniczoną swobodę ruchów, Yifan przełączył statek na holograficzny tryb wyświetlania obrazu i jego kadłub zniknął. Zawieszeni w przestrzeni kosmicznej, patrzyli, jak oddala się Niebieska Planeta. Cheng Xin wyobraziła sobie, że źródłem grawitacji o sile 3 g jest właśnie ta planeta, więc przestrzeń podzieliła się na górę i na dół, a oni lecieli w górę, ku Galaktyce.

Przy takiej sile grawitacji można było mówić bez wielkiego trudu, więc zaczęli rozmowę. Cheng Xin zapytała Yifana, dlaczego przebywał tak długo w stanie hibernacji. Odpowiedział, że podczas długich podróży w poszukiwaniu nadających się do zasiedlenia światów nie miał żadnych obowiązków. Po odkryciu przez *Błękitną Przestrzeń* i *Grawitację* pierwszego takiego świata życie upływało głównie na przygotowywaniu go do zasiedlenia i stworzeniu podstaw osadnictwa. Pierwsza kolonia przypominała miasteczko z czasów gospodarki rolnej, a surowe warunki nie pozwalały na prowadzenie jakichkolwiek badań naukowych. Rząd nowego świata podjął uchwałę, na której mocy wszyscy naukowcy mogli albo włączyć się do tych prac, albo pozostać w hibernacji do czasu, gdy powstaną warunki umożliwiające podjęcie badań podstawowych. Był jedynym takim naukowcem na *Grawitacji*, ale na *Błękitnej Przestrzeni* było siedmiu innych. Obudzono go jako ostatniego. Od dnia, w którym na Świat I przybyły dwa statki, minęły dwa wieki.

Cheng Xin była zauroczona opowieściami Yifana o nowych ludzkich światach, ale zauważyła, że ani słowem nie wspomniał o Świecie III.

– Nigdy tam nie byłem – odparł, gdy go o to zapytała. – Zresztą nikt tam nie był. No, mówiąc dokładniej, każdy człowiek, który się tam uda, nie może wrócić. Ten świat jest zamknięty w świetlnym grobie.

– W świetlnym grobie?

– To czarna dziura utworzona przez smugi statków latających z prędkością światła. Na Świecie III zdarzyło się coś, co skłoniło ich do wniosku, że jego współrzędne zostały odkryte. Nie mieli wyboru – musieli przekształcić swój świat w czarną dziurę.

– My nazywamy takie miejsce czarną domeną.

– Dobra nazwa. Prawdę mówiąc, mieszkańcy Świata III początkowo nazywali to zasłoną świetlną, ale ludzie z innych światów mówią o tym świetlny grób.

– Zasłona jak całun?*

– Zgadza się. Różni ludzie różnie widzą różne rzeczy. Mieszkańcy Świata III twierdzili, że jest to raj, chociaż nie wiem, czy nadal tak uważają. Po ukończeniu świetlnego grobu nie może się stamtąd wydostać żadna wiadomość. Ale myślę, że są szczęśliwi. Dla niektórych bezpieczeństwo jest warunkiem sine qua non szczęścia.

Cheng Xin zapytała, kiedy wyprodukowano pierwsze statki zdolne do latania z prędkością światła, i dowiedziała się, że przed wiekiem. Zatem jej interpretacja sekretnego przesłania pozwoliła ludziom z Układu Słonecznego osiągnąć to stadium rozwoju dwieście lat przed ludźmi galaktycznymi. Nawet jeśli wziąć pod uwagę czas, który ci drudzy musieli poświęcić, by przygotować swoje światy do zasiedlenia, Tianming przyspieszył postęp co najmniej o sto lat.

– To wielki człowiek – rzekł Yifan po wysłuchaniu opowieści Cheng Xin.

Cywilizacja Układu Słonecznego jednak nie wykorzystała tej szansy. Straciła trzydzieści pięć cennych lat, prawdopodobnie przez Cheng Xin. Nie bolało jej już serce, gdy o tym myślała; czuła tylko odrętwienie, które świadczyło o tym, że panuje w nim pustka.

– Budowa statków kosmicznych zdolnych do podróżowania z prędkością światła była ważnym kamieniem milowym dla ludzkości. To było jak oświecenie, drugi renesans. Loty z prędkością światła zupełnie zmieniły ludzkie myślenie, cywilizację i kulturę.

– Wiem. Ja sama poczułam, że się zmieniam w momencie, kiedy osiągnęłyśmy prędkość światła. Uświadomiłam sobie, że mogę przeskoczyć przez czasoprzestrzeń i dotrzeć do końca Wszechświata. Sprawy, które wydawały się zagadnieniami filozoficznymi, stały się nagle bardzo konkretne i realne.

– Tak. Takie kwestie jak los i cel Wszechświata były dawniej domeną filozofów, a teraz musi się nad nimi zastanawiać każda zwykła osoba.

– Czy ktokolwiek w tym nowym świecie wpadł na pomysł, żeby polecieć do końca Wszechświata?

– Oczywiście. Wysłano już pięć ostatecznych statków.

– Ostatecznych?

– Niektórzy nazywają je statkami sądnego dnia. Nie lecą one do żadnego określonego miejsca. Nastawiły silniki krzywiznowe na maksimum i pędzą jak szalone, bez końca zbliżając się do prędkości światła. Ich celem jest przeskoczyć zgodnie z teorią względności czas i dotrzeć do śmierci cieplnej Wszechświata. Według obliczeń dziesięć lat w ich układzie odniesienia równa się pięćdziesięciu miliardom lat w naszym. Prawdę mówiąc, nie trzeba tego nawet planować. Jeśli po osiągnięciu przez statek prędkości światła dojdzie na nim do jakiejś awarii uniemożliwiającej hamowanie, to jeszcze za życia dotrzesz do końca świata.

– Żal mi ludzi z Układu Słonecznego – powiedziała Cheng Xin. – Nawet pod sam koniec większość z nich żyła w ograniczonym kawałku czasoprzestrzeni, zupełnie jak ci ludzie w erze powszechnej, którzy przez

całe życie nie wyściubili nosa ze swojej wioski. Dla nich Wszechświat pozostał do końca tajemnicą.

Yifan uniósł głowę i spojrzał na nią. Przy 3 g był to wyczerpujący wysiłek. Mimo to przez pewien czas pozostawał w tej pozycji.

– Niepotrzebnie ich pani żałuje. Naprawdę niepotrzebnie. Rzeczywistość Wszechświata nie jest do pozazdroszczenia.

– Dlaczego?

Yifan podniósł rękę i wskazał gwiazdy w Galaktyce. Potem pozwolił, by siła 3 g ściągnęła ją z powrotem na jego pierś.

– Ciemność. Tylko ciemność.

– Ma pan na myśli ciemny las?

Guan Yifan potrząsnął głową. W stanie przeciążenia wymagało to ogromnego wysiłku.

– Dla nas ciemny las jest bardzo ważny, ale to tylko szczegół kosmosu. Jeśli wyobrazi sobie pani kosmos jako wielkie pole walki, to uderzenia z ciemnego lasu są tylko strzałami snajpera do nieuważnych istot – posłańców, zabłąkanych i tak dalej. W całym przebiegu walki nie mają one żadnego znaczenia. Nie widziała pani prawdziwej wojny międzygwiezdnej.

– A wy widzieliście?

– Parę migawek. Ale większości rzeczy tylko się domyślamy… Naprawdę chce pani wiedzieć? Im więcej zdobywasz tego rodzaju wiedzy, tym mniej światła zostaje w twoim sercu.

– W moim sercu i tak już panuje kompletna ciemność. Chcę wiedzieć.

I tak ponad sześćset lat po tym, jak pod Luo Ji załamał się lód na jeziorze, przed oczami jednej z nielicznych osób należących do cywilizacji ziemskiej, które przetrwały, rozsunęła się kolejna zasłona skrywająca prawdę o Wszechświecie.

– Może mi pani powiedzieć, jaka jest najpotężniejsza broń cywilizacji, która osiągnęła prawie nieskończoną sprawność technologiczną? – zapytał Yifan. – Niech pani nie uważa tego za pytanie czysto techniczne. Proszę myśleć filozoficznie.

Cheng Xin chwilę się zastanawiała, a potem z trudem pokręciła głową.

– Nie wiem.

– Pewną wskazówką mogą być pani osobiste doświadczenia.

Czego doświadczyła? Widziała, jak okrutny napastnik zdołał zmniejszyć liczbę wymiarów o jeden i zniszczyć cały Układ Słoneczny.

„Czym są wymiary?” – pomyślała, a potem powiedziała:

– Powszechne prawa fizyki.

– Zgadza się. Najstraszniejszą bronią, a zarazem najskuteczniejszym środkiem obrony, są powszechne prawa fizyki. Czy to w Drodze Mlecznej, czy w Galaktyce Andromedy, w lokalnym skupisku gwiazd czy w gwiazdozbiorze Panny, wojujące cywilizacje, które posiadają niemal boską technologię, nie zawahają się użyć jako broni praw fizyki. Wiele praw można przekształcić w broń, ale najczęściej dochodzi do manipulowania wymiarami i prędkością światła. Na ogół obniżenie liczby wymiarów jest metodą atakowania, a obniżenie prędkości światła techniką obrony. A zatem wymiarowy atak na Układ Słoneczny był zaawansowaną metodą ataku. Takie uderzenie jest oznaką szacunku. W tym Wszechświecie nie jest łatwo zasłużyć sobie na szacunek. Chyba powinna pani uznać to za zaszczyt dla Ziemi.

– Chciałam pana o coś zapytać. Kiedy zakończy się zapadanie przestrzeni w sąsiedztwie Układu Słonecznego w dwa wymiary?

– Nigdy.

Cheng Xin zadrżała.

– Boi się pani? Myśli pani, że w tej Galaktyce, w tym Wszechświecie tylko Układ Słoneczny zapada się w dwa wymiary? Ha, ha, ha…

Gorzki śmiech Guan Yifana sprawił, że Cheng Xin zamarło serce.

– To, co pan mówi, nie ma sensu – powiedziała. – W każdym razie nie ma sensu zmniejszanie liczby wymiarów jako metody ataku. Po pewnym czasie ta broń obróci się również przeciw napastnikowi. W końcu strona atakująca zobaczy, jak w stworzoną przez nią dwuwymiarową otchłań wpada jej własna przestrzeń.

Odpowiedziało jej milczenie. Po długiej chwili zawołała:

– Doktorze Guan?

– Jest pani zbyt… dobroduszna – powiedział cicho Guan Yifan.

– Nie rozumiem.

– Napastnik ma sposób, żeby uniknąć śmierci. Niech pani o tym pomyśli.

Cheng Xin zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

– Nie potrafię nic wymyślić.

– Wiem, że pani nie potrafi. Bo jest pani zbyt dobra. To jest bardzo proste. Napastnicy muszą najpierw przekształcić się w formy życia, które mogą przetrwać w świecie o mniejszej liczbie wymiarów. Na przykład rodzaj czterowymiarowy może się przemienić w istoty trójwymiarowe albo rodzaj trójwymiarowy w dwuwymiarowe formy życia. Kiedy cała cywilizacja zejdzie w mniejszy wymiar, może przypuścić na wroga atak wymiarowy bez liczenia się z konsekwencjami.

Cheng Xin znowu zamilkła.

– Coś to pani przypomina? – zapytał Yifan.

Cheng Xin wróciła myślami do czasów sprzed ponad czterystu lat, kiedy *Błękitna Przestrzeń* i *Grawitacja* natknęły się na fragment czterowymiarowej przestrzeni. Yifan był członkiem małej ekspedycji, która rozmawiała z Pierścieniem.

„To ty stworzyłeś ten czterowymiarowy fragment?

Powiedzieliście, że przybyliście z morza. To wy stworzyliście to morze?

Mówisz, że dla ciebie, a przynajmniej dla twoich twórców, ta czterowymiarowa przestrzeń jest jak morze dla nas?

Raczej jak kałuża. Morze wyschło.

Dlaczego w tak małej przestrzeni zebrało się tak dużo statków?

Gdy morze wysycha, ryby muszą się zebrać w kałuży. Kałuża też wysycha, więc wszystkie ryby znikną.

Są tu wszystkie?

Nie ma tu ryb odpowiedzialnych za wyschnięcie morza.

Przykro nam. Naprawdę trudno jest zrozumieć to, co powiedziałeś".

Ryby, które osuszyły morze, wyszły przedtem na ląd. Przeniosły się z jednego ciemnego lasu do drugiego.

– Warto zapłacić taką cenę za zwycięstwo w wojnie? – zapytała Cheng Xin.

Nie mogła sobie wyobrazić, jak można by żyć w świecie pozbawionym jednego wymiaru. W przestrzeni dwuwymiarowej świat widzialny składał się z kilku odcinków linii o różnej długości. Czy ktokolwiek, kto urodził się w przestrzeni trójwymiarowej, przystałby dobrowolnie na życie w kartce papieru o zerowej grubości? Podobnie ograniczone i niewyobrażalne musi się wydawać istotom ze świata czterowymiarowego życie w przestrzeni trójwymiarowej.

– Lepsze to niż śmierć – skwitował Guan Yifan.

Cheng Xin wciąż dochodziła do siebie po wstrząsie, a Yifan kontynuował:

– Również prędkości światła używa się często jako broni. Nie mówię o budowaniu świetlnych grobów czy, jakby to pani nazwała, czarnych domen. To tylko mechanizmy obronne wykorzystywane przez takie słabe robaki jak my. Bogowie nie zniżają się do tego. Podczas wojny można zmniejszać prędkość światła i tworzyć czarne dziury, by zamknąć w nich wroga. Ale częściej używa się tej techniki do konstruowania odpowiedników fos i murów obronnych. Niektóre pasy o zmniejszonej prędkości światła są tak duże, że przecinają całe ramię Galaktyki. W miejscach, gdzie znajdują się gęste skupiska gwiazd, można połączyć wiele czarnych dziur w łańcuchy ciągnące się przez dziesiątki milionów lat świetlnych. To Wielki Mur w skali Wszechświata. Nie mogą stamtąd uciec nawet najpotężniejsze floty, gdy zostaną tam zwabione. Bardzo trudno jest pokonać te bariery.

– Jaki będzie ostateczny wynik tego manipulowania czasoprzestrzenią?

– Wskutek uderzeń wymiarowych coraz większa część Wszechświata będzie się stawała dwuwymiarowa, aż pewnego dnia cały zapadnie się w dwa wymiary. I podobnie budowa tych fortyfikacji spowoduje w końcu, że wszystkie obszary o zmniejszonej prędkości światła będą się łączyć, aż ta obniżona prędkość się uśredni. Będzie to nowa *c* dla Wszechświata. Wtedy każdy naukowiec z niemowlęcej cywilizacji, takiej jak nasza, będzie myślał, że prędkość światła w próżni wynosi zaledwie kilkadziesiąt kilometrów na sekundę, tak jak my uważamy, że jest to trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Oczywiście podałem tylko dwa przykłady. Również innych praw fizyki używa się jako broni. Nie znamy ich wszystkich. Prawdopodobnie wszystkie prawa zostały tak wykorzystane. Być może w niektórych częściach Wszechświata wykorzystano nawet… Dajmy temu spokój – sam w to nie wierzę.

– Co chciał pan powiedzieć?

– Podstawy matematyki.

Cheng Xin starała się to sobie wyobrazić, ale nie była w stanie.

– To… szaleństwo. – Potem zapytała: – Czy Wszechświat zmieni się w zgliszcza? A może właściwsze byłoby pytanie: czy prawa fizyki zmienią się w zgliszcza?

– Może już nimi są… Fizycy i kosmolodzy nowego świata starają się odtworzyć pierwotny wygląd Wszechświata sprzed wojen, czyli sprzed dziesięciu miliardów lat. Skonstruowali już dość przejrzysty model przedstawiający przedwojenny Wszechświat. To były naprawdę piękne czasy, kiedy sam Wszechświat był rajskim ogrodem. Oczywiście to piękno można opisać tylko matematycznie. Nie jesteśmy w stanie sobie tego wyobrazić – nasze mózgi nie mają dość wymiarów.

Cheng Xin znowu wróciła myślami do rozmowy z Pierścieniem.

„To ty stworzyłeś ten czterowymiarowy fragment?

Powiedzieliście, że przybyliście z morza. To wy stworzyliście to morze?”

– Mówi pan, że Wszechświat w tej rajskiej epoce był czterowymiarowy, a prędkość światła była dużo wyższa?

– Ależ skąd! W tamtej epoce Wszechświat był dziesięciowymiarowy. Prędkość światła była wtedy nie tylko dużo większa, ale raczej bliska nieskończoności. Światło mogło się dostać z jednego końca Wszechświata na drugi w czasie Plancka… Gdyby znalazła się pani w czterowymiarowej przestrzeni tak jak my, miałaby pani pewne pojęcie o tym, jak piękny musiał być ten dziesięciowymiarowy rajski ogród…

– Twierdzi pan…

– Ja nic nie twierdzę. – Yifan sprawiał wrażenie, jakby obudził się ze snu. – Widzieliśmy tylko drobne wskazówki, cała reszta to domysły. I tak

powinna to pani traktować: jako domysły, jako stworzony przez nas mroczny mit.

Ale Cheng Xin ciągnęła wątek:

– …że w wyniku wojen po tej rajskiej epoce odejmowano kolejne wymiary ze skali makroskopowej i zamykano w skali mikroskopowej oraz stale zmniejszano prędkość światła…

– Jak powiedziałem, ja nic nie twierdzę, a tylko zgaduję. – Głos Yifana stał się cichszy. – Kto wie, czy prawda nie jest jeszcze bardziej ponura niż nasze domysły… Jesteśmy pewni tylko jednego: Wszechświat umiera.

Statek przestał przyspieszać i powróciła nieważkość. Gwiazdy przed oczami Cheng Xin wyglądały coraz bardziej jak halucynacje, jak koszmary senne. Tylko przeciążenie o sile 3 g dawało jakieś poczucie stałości. Z ulgą przyjęła mocne objęcie tych ramion, objęcie, które zapewniało pewną ochronę przed zgrozą i zimnem, jakimi przejmowały ją te mroczne mity Wszechświata. Ale nie było już przeciążenia i pozostały tylko koszmary. Droga Mleczna jawiła się jako pas lodu skrywający zakrwawione szczątki, a pobliska DX3906 jako krematorium dymiące nad otchłanią.

– Może pan wyłączyć obraz holograficzny? – zapytała.

Yifan zrobił to, o co prosiła, i Cheng Xin powróciła z bezkresu kosmosu do ciasnej skorupki kabiny. Tutaj odzyskała częściowo poczucie bezpieczeństwa, którego pragnęła.

– Nie powinienem był pani tego wszystkiego opowiadać – rzekł Yifan. W jego głosie słyszała autentyczny żal.

– Wcześniej czy później i tak bym się o tym dowiedziała – odparła.

– Pozwoli pani, że powtórzę: to tylko domysły. Nie ma na to żadnych dowodów naukowych. Niech pani za dużo o tym nie myśli. Proszę się skupić na tym, co ma pani przed oczami, na życiu, które musi pani przeżyć. – Yifan zakrył jej dłonią oczy. – Nawet jeśli to, co pani powiedziałem, jest

prawdą, te wydarzenia mierzy się w skali setek milionów lat. Niech pani leci ze mną na nasz świat, który teraz jest również pani światem. Niech pani żyje swoim życiem i nie skacze po powierzchni czasu. Nawet jeśli przeżyje pani sto tysięcy lat i pokona tysiąc lat świetlnych, nie musi się pani niepokoić żadną z tych rzeczy. To powinno wystarczyć każdemu.

– Tak, to wystarczy. Dziękuję. – Cheng Xin ujęła go za rękę.

Cheng Xin i Guan Yifan spędzili resztę podróży we śnie wymuszonym za pomocą generatora snu. Lot trwał cztery dni. Gdy się obudzili w przeciążeniu spowodowanym hamowaniem, większą część pola widzenia zajmowała Szara Planeta.

Była mała. Wizualnie przypominała Księżyc, nagą skałę, ale zamiast kraterów jej powierzchnię zajmowały puste równiny. *Hunter* wszedł na orbitę, bardzo niską, gdyż planeta nie miała atmosfery. Zbliżył się do miejsca wyznaczonego przez współrzędne uzyskane z satelity monitorującego, gdzie wylądowało i skąd później odleciało pięć niezidentyfikowanych jednostek. Yifan już wcześniej planował posadzić tam prom i zbadać ślady zostawione przez te statki, ale ani on, ani Cheng Xin nie spodziewali się, że tajemniczy goście zostawią po sobie tak duże, widoczne nawet z kosmosu znaki.

– A to co? – krzyknęła Cheng Xin.

– Linie śmierci. – Guan od razu je rozpoznał. – Za bardzo się do nich nie zbliżaj – polecił sztucznej inteligencji.

To było pięć czarnych linii. Koniec każdej z nich był połączony z planetą, a drugi unosił się w przestrzeni. Wyglądały jak pięć czarnych włosów wyrastających z Szarej Planety. Każda sięgała powyżej orbity *Huntera*.

– Co to jest?

– Smugi zostawione przez statki o napędzie krzywiznowym. Są wynikiem ekstremalnych manipulacji krzywizną. Prędkość światła w takiej smudze jest zerowa.

Na następnej orbicie Guan Yifan i Cheng Xin wsiedli do promu i opuścili się szybko na powierzchnię. Prom wylądował około trzech kilometrów od linii śmierci.

Przy sile ciążenia 0,2 g poruszali się skokami. Powierzchnię Szarej Planety pokrywały gruba warstwa pyłu oraz żwir o ziarnach różnej wielkości. Z braku rozpraszającej światło atmosfery oświetlone i zacienione obszary były od siebie ostro odgraniczone. Gdy znaleźli się jakieś sto metrów od linii, Yifan podniesieniem ręki dał Cheng Xin znak, by się zatrzymała. Każda linia śmierci miała około dwudziestu lub trzydziestu metrów średnicy i z miejsca, gdzie stanęli, przypominała raczej kolumnę.

– To chyba najciemniejsze rzeczy we Wszechświecie – powiedziała Cheng Xin.

W liniach śmierci nie widać było żadnych szczegółów, a tylko całkowitą czerń, pokazującą granicę rejonu o zerowej prędkości światła, bez rzeczywistej powierzchni. Kiedy spojrzeli w górę, widać je było wyraźnie nawet na ciemnym tle nieba.

– I najbardziej martwe – rzekł Guan Yifan. – Zerowa prędkość światła oznacza całkowitą, stuprocentową śmierć. W tej strefie martwa jest każda cząstka elementarna, każdy kwark. Nie ma żadnych drgań. Nawet bez źródła grawitacji wewnątrz niej każda linia śmierci jest czarną dziurą. Czarną dziurą o zerowej grawitacji. Wszystko, co w nią wpadnie, już nie może się wyłonić.

Guan Yifan podniósł z ziemi kamień i wrzucił w jedną z czarnych linii. Kamień zniknął w absolutnej ciemności.

– Czy wasze statki mogą wytwarzać linie śmierci? – zapytała Cheng Xin.

– Ależ skąd.

– A zatem widział je pan już wcześniej?

– Tak, ale tylko kilka razy.

Cheng Xin patrzyła na sięgające w kosmos kolumny. Wydawały się podtrzymywać sklepienie nieba i przemieniać Wszechświat w pałac śmierci. „Czy wszystko czeka taki koniec?” – pomyślała. Widziała końce kolumn. Wskazała w tamtą stronę.

– A więc tam te statki nabrały prędkości światła?

– Zgadza się. Te linie mają zaledwie około stu kilometrów wysokości. Widzieliśmy nawet krótsze; przypuszczalnie zostawiły je statki, które mogą prawie natychmiast osiągnąć prędkość światła.

– To najbardziej zaawansowane statki zdolne do osiągnięcia takiej prędkości?

– Być może. Ale to rzadko spotykana technika. Linie śmierci są zwykle wytworami Zerowian.

– Zerowian?

– Nazywa się ich też Reseterami. Może jest to grupa inteligentnych jednostek, może cywilizacja albo grupa cywilizacji. Nie wiemy dokładnie, kim są, ale uzyskaliśmy dowody potwierdzające ich istnienie. Chcą oni wyzerować Wszechświat i powrócić do stanu sprzed wojen, czyli do rajskiego ogrodu.

– Jak?

– Cofając wskazówkę godzinową zegarka za dwunastą. Weźmy na przykład wymiary przestrzeni. Wciągnięcie Wszechświata w większą liczbę wymiarów jest praktycznie niemożliwe, więc może lepiej jest działać w odwrotnym kierunku. Jeśli udałoby się sprowadzić wymiary Wszechświata do zera i dalej, może zegar zostałby przestawiony i wszystko

wróciłoby do początku. Wszechświat mógłby znowu posiadać dziesięć makroskopowych wymiarów.

– Zero wymiarów! Widział pan kiedyś coś takiego?

– Nie. Byliśmy tylko świadkami sprowadzania do dwuwymiarowości. Nigdy nie widzieliśmy sprowadzania do jednowymiarowości. Ale jacyś Zerowianie muszą gdzieś tego próbować. Nikt nie wie, czy im się udało. Stosunkowo łatwiej jest zmniejszyć do zera prędkość światła, więc widzieliśmy dowody świadczące o podejmowaniu prób takiego zmniejszania, a potem przywracania jej do nieskończoności.

– Czy to w ogóle, nawet teoretycznie, możliwe?

– Tego nie wiemy. Może Zerowianie mają teorie, które odpowiadają twierdząco na to pytanie, ale nie sądzę, by tak było. Zerowa prędkość światła jest murem nie do przebycia. Oznacza ona śmierć wszystkiego, co istnieje, ustanie wszelkiego ruchu. W takich warunkach to, co subiektywne, nie może w żaden sposób wpłynąć na to, co obiektywne, jak więc można by cofnąć wskazówkę zegara poza ten punkt? Myślę, że są to raczej jakieś praktyki religijne Zerowian, coś w rodzaju sztuki performatywnej.

Cheng Xin popatrzyła na linie śmierci z mieszaniną strachu i podziwu.

– Skoro są to smugi, to dlaczego się nie rozszerzają?

Guan Yifan chwycił ją za ramię.

– Właśnie do tego zmierzałem. Musimy się stąd wynosić. Nie tylko z Szarej Planety, ale z całego tego układu. To bardzo niebezpieczne miejsce. Linie śmierci nie zachowują się jak zwykłe smugi. Jeśli nic ich nie potrąci, pozostaną takie jak teraz, ze średnicą równą skutecznej powierzchni silnika krzywiznowego. Ale gdy ulegną zakłóceniu, bardzo szybko się rozprzestrzenią. Linia śmierci tego rozmiaru może się tak rozszerzyć, że pokryje obszar wielkości układu słonecznego. Naukowcy nazywają to zjawisko przerwaniem linii śmierci.

– Czy przerwanie zmniejsza prędkość światła do zera w całym rejonie?

– Nie, nie. Po przerwaniu linia zamienia się w normalną smugę. Prędkość światła, które w nią wpada, wzrasta w miarę jej rozpraszania się, ale nigdy nie wyniesie więcej niż kilkadziesiąt metrów na sekundę. Po poszerzeniu się tych linii cały układ może się zamienić w czarną dziurę czy czarną domenę… Chodźmy.

Odwrócili się w stronę promu i zaczęli uciekać w podskokach.

– Jakiego rodzaju zakłócenia powodują ich rozszerzanie się? – zapytała Cheng Xin. Obróciła głowę, by po raz ostatni spojrzeć na linie śmierci. Pięć linii rzucało długie cienie ciągnące się przez równinę po horyzont.

– Nie jesteśmy pewni. Według niektórych teorii zakłócenia powoduje pojawienie się w pobliżu innych smug krzywiznowych. Uzyskaliśmy potwierdzenie, że w krótkich odległościach smugi krzywiznowe mogą na siebie nawzajem wpływać.

– A więc jeśli *Halo* przyspieszy…

– Właśnie dlatego musimy odlecieć dalej tylko z użyciem silnika jądrowego. Musimy się przesunąć… w waszych jednostkach miary… o co najmniej czterdzieści jednostek astronomicznych.

Kiedy prom wystartował, Cheng Xin nie odrywała wzroku od oddalających się linii śmierci.

– Ci Zerowianie dali mi odrobinę nadziei – powiedziała.

– We Wszechświecie jest mnóstwo rozmaitych cywilizacji – rzekł Yifan. – Można znaleźć idealistów, takich jak Zerowianie, pacyfistów, filantropów, a nawet cywilizacje, które oddają się tylko sztuce i pięknu. Ale one nie należą do głównego nurtu i nie mogą zmienić kierunku, w którym zmierza Wszechświat.

– To zupełnie tak jak w świecie ludzi.

– Przynajmniej sam kosmos spełni zadanie, które stawiają sobie Zerowianie.

– Ma pan na myśli koniec Wszechświata?

– Tak.

– Ale z tego, co wiem, Wszechświat będzie się stale rozszerzał i stawał się coraz rzadszy i zimniejszy.

– To stara kosmologia, którą obaliliśmy. Zbyt nisko oszacowano ilość ciemnej materii. Wszechświat przestanie się w końcu rozszerzać i zapadnie się pod wpływem grawitacji, tworząc osobliwość i rozpoczynając następny Wielki Wybuch. I tak ostatecznym zwycięzcą zostanie Natura.

– Czy ten nowy wszechświat będzie dziesięciowymiarowy?

– Kto wie? Jest nieskończona liczba możliwości. To będzie zupełnie nowy wszechświat i zupełnie nowe życie.

Podróż powrotna na Niebieską Planetę przebiegała równie spokojnie jak lot na Szarą Planetę. Dzięki generatorom snu Cheng Xin i Guan Yifan większość czasu przespali. Kiedy się obudzili, *Hunter* znajdował się na orbicie wokół Niebieskiej Planety. Patrząc na ten niebiesko-biały świat, Cheng Xin czuła się niemal tak, jakby wracała do domu.

Powitała ich AA, a Yifan odpowiedział:

– Tu *Hunter*. Stało się coś złego?

– Wiele razy was wywoływałam, ale sztuczna inteligencja nie chciała was obudzić! – odparła podnieconym głosem AA.

– Powiedziałem pani, że trzeba utrzymywać ciszę radiową. Co się stało?

– Jest tutaj Yun Tianming!

Cheng Xin zamarła jak rażona piorunem. Senność natychmiast się ulotniła i nawet Yifanowi opadła szczęka.

– Co? – powiedziała cicho Cheng Xin.

– Jest tutaj Yun Tianming! Jego statek wylądował trzy godziny temu.

– Och – odpowiedziała odruchowo Cheng Xin.

– Jest wciąż młody, tak jak ty!

– Naprawdę? – Głos Cheng Xin nawet jej samej zdawał się odległy.

– Przywiózł ci prezent.

– Już mi dał prezent. Teraz w nim jesteśmy.

– To drobiazg w porównaniu z tym, co ma dla ciebie teraz. Mówię ci, to fantastyczna rzecz i dużo większa… Teraz Yun Tianming jest akurat na zewnątrz. Zaraz go zawołam.

– Nie – wtrącił się Yifan. – Teraz schodzimy. To niebezpieczne tak dużo rozmawiać przez radio. Przerywam połączenie.

Yifan i Cheng Xin popatrzyli na siebie nawzajem i wybuchnęli śmiechem.

– Naprawdę nie śnimy? – zapytała Cheng Xin.

Nawet gdyby był to tylko sen, chciała, by śniło jej się to dalej. Włączyła obraz holograficzny. Rozgwieżdżone niebo nie wydawało się jej już tak ciemne i zimne; prawdę mówiąc, było czyste i piękne jak po świeżym deszczu. Światło gwiazd zdawało się przesycone wonią rozkwitających wiosną pąków. Czuła się jak nowo narodzona.

– Przejdźmy do promu i lądujmy – powiedział Yifan.

Hunter rozpoczął proces rozłączania. Przed ponownym wejściem w atmosferę Yifan przeprowadzał na oknie złącza ostatnią kontrolę.

– Jakim cudem dotarł tutaj tak szybko? – mruknęła Cheng Xin, jakby wciąż śniła.

Yifan był teraz zupełnie spokojny.

– To potwierdza nasz domysł. Pierwsza flota trisolariańska założyła w pobliżu, może o sto lat świetlnych stąd, kolonię. Musieli otrzymać

nadany na falach grawitacyjnych sygnał z *Halo*.

Prom odłączył się od *Huntera*. Widzieli w systemie monitorującym, jak mała piramida się oddala.

– Jaki dar może być większy od słońca i jego układu planetarnego? – zapytał z uśmiechem Yifan.

Podekscytowana Cheng Xin potrząsnęła głową.

Uruchomił się reaktor jądrowy promu i pierścień chłodzący na zewnątrz rozjarzył się czerwono. Rozgrzewały się silniki sterujące i okno złącza pokazało, że za trzydzieści sekund zacznie się hamowanie. Po wejściu w atmosferę Niebieskiej Planety prom miał szybko wylądować na jej powierzchni.

Cheng Xin usłyszała nagły zgrzyt, jakby coś przecięło prom od dzioba do rufy. Potem nastąpiły silne wstrząsy. I wtedy przeżyła niesamowitą chwilę – niesamowitą, bo nie była pewna, czy to tylko chwila. Wydawała się nieskończenie krótka, a jednocześnie nieskończenie długa. Cheng Xin miała wrażenie, jakby przekraczała czas i była jednocześnie poza czasem.

Później Yifan wyjaśnił jej, że doświadczyła „próżni czasu”. Długości tej chwili nie można było zmierzyć, ponieważ czas wtedy nie istniał.

Jednocześnie Cheng Xin czuła, że się gdzieś zapada, jakby miała się zamienić w osobliwość. Tymczasem masa jej, Guan Yifana i promu wzrosła do nieskończoności.

A potem wszystko pogrążyło się w mroku. Początkowo Cheng Xin myślała, że coś się stało z jej wzrokiem. Nie wierzyła, że wewnątrz promu może panować taka ciemność, tak gęsta, że nie widziała własnych palców, którymi machała przed oczami. Krzyknęła do Guan Yifana, ale w słuchawce jej skafandra panowała cisza.

Yifan macał w ciemności, aż trafił na głowę Cheng Xin. Poczuła, że jej twarz styka się z jego twarzą. Nie opierała się, poczuła ulgę. Potem

zrozumiała, dlaczego Yifan próbuje jej coś powiedzieć, ale nic z tego nie wychodzi. Systemy łączności w ich skafandrach przestały działać i aby rozmawiać, musieli zetknąć wizjery swoich hełmów, by przeniosły się przez nie ich głosy.

– Nie bój się. Nie panikuj. Słuchaj mnie i nie ruszaj się! – polecił Yifan.

Na podstawie drgań płytki wizjera Cheng Xin wiedziała, że on krzyczy, ale to, co słyszała, brzmiało bardzo cicho, jak szept. Czuła, że Yifan maca w ciemności ręką wokół siebie, i po chwili w kabinie rozbłysło światło. Dochodziło z czegoś, co trzymał w ręku, z laseczki wielkości papierosa. Wiedziała, że jego źródłem jest jakiś związek chemiczny. W podobne źródła energii wyposażone było *Halo*.

– Nie ruszaj się. Skafandry nie dostarczają już nam tlenu. Oddychaj wolniej. Przywrócę ciśnienie w kabinie. To nie potrwa długo.

Wręczył jej świecącą laseczkę, otworzył znajdujący się obok jego siedzenia schowek i wyjął metalową butelkę, która przypominała małą gaśnicę. Odkręcił ją i z butelki wydobył się gwałtownym strumieniem biały gaz.

Oddech Cheng Xin przyspieszył. Pozostało jej tylko powietrze w hełmie, a im ciężej oddychała, tym bardziej się dusiła. Sięgnęła instynktownie ręką do wizjera, ale Yifan w porę ją powstrzymał. Znowu ją objął, tym razem, by ją uspokoić. Wyobraziła sobie, że ratuje ją przed utonięciem. W zimnym świetle widziała jego oczy, których spojrzenie mówiło, że są już prawie na powierzchni. Czuła, że w kabinie wzrasta ciśnienie, i gdy już niemal traciła przytomność z powodu braku tchu, Yifan otworzył szarpnięciem jej wizjer, a potem swój. Łapczywie chwytali ustami powietrze.

Gdy jej oddech się uspokoił, przyjrzała się dokładniej metalowej butelce. Zauważyła miernik ciśnienia przy jej szyjce i starożytną analogową tarczę z wahającą się wskazówką, która teraz przesunęła się w strefę zieloną.

– Tlenu z tego nie starczy na długo, a kabina bardzo szybko się wychłodzi – powiedział Yifan. – Musimy zmienić skafandry.

Odepchnął się od fotela i z tyłu kabiny przyciągnął dwie metalowe skrzynie. Otworzył jedną z nich i pokazał Cheng Xin znajdujący się w środku skafander.

Współczesne skafandry kosmiczne – w Układzie Słonecznym i tutaj – były bardzo lekkie. Jeśli nie utrzymywało się w nich ciśnienia, odłączyło się mały pakiet podtrzymywania życia i zdjęło hełm, skafander nie różnił się praktycznie niczym od zwykłego ubrania. Jednak modele w skrzyniach były ciężkie i niezgrabne, przypominały skafandry kosmiczne z ery powszechnej.

Widzieli teraz swoje oddechy. Cheng Xin zdjęła normalny skafander i poczuła przeszywające do szpiku kości zimno. Trudno było włożyć ciężki skafander i Yifan musiał jej pomóc. Czuła się jak dziecko zależne od tego mężczyzny. Od dawna nie doświadczyła takiego uczucia. Nim włożyła hełm, Yifan wyjaśnił jej szczegółowo cechy skafandra: tarczę wskazującą ilość tlenu, przełącznik ciśnienia, pokrętło temperatury, przyciski łączności oraz oświetlenia i tak dalej. W skafandrze nie było żadnych automatycznych systemów i wszystko trzeba było ustawiać ręcznie.

– Nie ma tu żadnych modułów komputerowych. W tej chwili nie pracuje żaden z naszych komputerów elektronicznych i kwantowych.

– Dlaczego?

– Światło porusza się teraz z prędkością poniżej dwudziestu kilometrów na sekundę.

Yifan pomógł jej włożyć hełm. Niemal już zamarzała. Włączył tlen i ogrzewanie w jej skafandrze i poczuła, że taje. Potem odwrócił się i sam zmienił skafander. Robił to szybko, ale trochę potrwało, zanim się połączyli

na kanale komunikacyjnym. Żadne z nich nie mogło wykrztusić ani słowa, dopóki nie rozgrzały się ich wychłodzone ciała.

Skafandry były tak ciężkie i niewygodne, że Cheng Xin mogła sobie wyobrazić, jak trudno było się w nich poruszać w środowisku, gdzie siła grawitacji wynosiła poniżej 1 g. Jej skafander był nie tyle strojem, ile domem, jedynym miejscem, gdzie mogła znaleźć schronienie. Emitująca światło laseczka przygasła, więc Yifan włączył lampkę na swoim skafandrze. Cheng Xin pomyślała, że tkwią w tej ciasnej przestrzeni jak starożytni górnicy uwięzieni pod ziemią.

– Co się stało? – zapytała.

Yifan wypłynął ze swojego fotela i starał się otworzyć ekran nad jednym z iluminatorów, ale automatyczny układ sterowania nie działał. Przeleciał na przeciwną stronę kabiny i powtórzył ten zabieg z drugim ekranem.

Cheng Xin patrzyła na przemieniony Wszechświat na zewnątrz.

Zobaczyła dwa skupiska gwiazd – to z przodu jarzyło się niebiesko, to z tyłu czerwono. Podobny widok oglądała, kiedy *Halo* leciało z prędkością światła, ale te dwa skupiska, które widziała teraz, nie były stabilne. Ich kształty zmieniały się niczym płomieniste kule w gwałtownych porywach wiatru. Gwiazdy nie przeskakiwały co jakiś czas z niebieskiego skupiska do czerwonego, lecz tworzyły dwa świetlne pasy łączące dwa końce Wszechświata, przy czym każdy był widoczny z innej strony statku.

Szerszy zajmował połowę przestrzeni z jednej strony. Jego końce nie łączyły się ze skupiskami gwiazd i były zaokrąglone. Cheng Xin zorientowała się, że ten „pas” jest w rzeczywistości bardzo spłaszczonym owalem, a może rozciągniętym kołem. Przemykały przez niego kolorowe plamy o różnej wielkości – niebieskie, białe i żółte światło. Instynktownie zrozumiała, że patrzy na Niebieską Planetę.

Pas światła po drugiej stronie był węższy, ale jaśniejszy, a na jego powierzchni nie widać było żadnych szczegółów. W odróżnieniu od Niebieskiej Planety długość tego pasa szybko cyklicznie się zmieniała, przechodząc od jaskrawej linii, która łączyła niebieskie skupisko gwiazd z czerwonym, do równie jaskrawego koła i z powrotem. Te okresowe zmiany uświadomiły Cheng Xin, że patrzy na gwiazdę DX3906.

– Okrążamy Niebieską Planetę z prędkością światła – powiedział Guan Yifan. – Z tym że prędkość światła jest teraz bardzo mała.

Prom poruszał się dużo szybciej niż wcześniej, ale ponieważ prędkość światła była nieprzekraczalną granicą, jego prędkość została zredukowana do jej wielkości.

– Linie śmierci zostały przerwane?

– Tak. Rozszerzają się i ogarną cały układ. Jesteśmy tu uwięzieni.

– Czy to wskutek zakłóceń spowodowanych przez statek Tianminga?

– Być może. Nie wiedział, że są tu te linie śmierci.

Cheng Xin wolała nie pytać, jaki będzie ich następny krok, bo wiedziała, że nie mogą zrobić nic więcej. Przy prędkości światła poniżej dwudziestu kilometrów na sekundę nie działał żaden komputer. Sztuczna inteligencja i systemy sterujące promu padły. W takich warunkach nie można było nawet włączyć światła w jego wnętrzu – był metalową puszką pozbawioną zasilania. Tak samo *Hunter* – też był martwy. Przed zapadnięciem się w rejon o zmniejszonej prędkości światła prom nie zaczął jeszcze przyspieszać, więc statek powinien być w pobliżu, ale równie dobrze mógłby znajdować się po drugiej stronie planety. Bez układów sterowania ani prom, ani *Hunter* nie mogły otworzyć drzwi.

Cheng Xin pomyślała o Yun Tianmingu i 艾 AA. Oboje znajdowali się na powierzchni planety, więc powinni być bezpieczni, ale nie sposób było nawiązać z nimi połączenia. Nigdy się z nim nawet nie przywita.

Coś uderzyło lekko w jej hełm – metalowa butelka. Cheng Xin ponownie spojrzała na starożytny miernik ciśnienia na niej i dotknęła skafandra. Nadzieja, która już zgasła, znowu błysnęła jak świetlik.

– Przygotował się pan na takie sytuacje? – zapytała.

– Tak. – Z powodu używania starożytnych sygnałów analogowych głos Yifana w słuchawce Cheng Xin był zniekształcony. – Oczywiście nie na przerwane linie śmierci, ale na przypadkowe zdryfowanie w smugi statków lecących z prędkością światła. Ta sytuacja jest podobna, bo światło o zmniejszonej prędkości wszystko powstrzymuje… Musimy uruchomić neurony.

– Co?

– Komputery neuronowe. Takie, które mogą działać przy obniżonej prędkości światła. I prom, i *Hunter* mają po dwa systemy sterowania, z których jeden opiera się na komputerach neuronowych.

Cheng Xin była zdumiona, że istnieją takie maszyny.

– Kluczem nie jest prędkość światła, lecz konstrukcja systemu. Przekazywanie sygnałów chemicznych w mózgu odbywa się jeszcze wolniej, z prędkością zaledwie dwóch czy trzech metrów na sekundę, niewiele szybciej, niż chodzimy. Komputery neuronowe mogą działać w takich warunkach, ponieważ naśladują bardzo podobne procesy przetwarzania informacji, które zachodzą w mózgach wyższych zwierząt. Wszystkie ich moduły zostały tak skonstruowane, by pracowały przy zmniejszonej prędkości światła.

Yifan otworzył metalową gródź udekorowaną wieloma kropkami połączonymi w zawiłą sieć niczym macki ośmiornicy. Wewnątrz znajdował się mały panel sterujący z płaskim ekranem oraz kilka włączników i lampek kontrolnych. Całość zbudowana była z elementów uznawanych za przestarzałe już pod koniec ery kryzysu. Wcisnął czerwony włącznik

i ekran się rozjarzył. Pojawił się na nim jakiś tekst. Cheng Xin widziała, że to ładowanie początkowe systemu operacyjnego.

– Równoległy tryb neuronowy jeszcze się nie uruchomił, więc musimy ładować system operacyjny szeregowo. Pewnie trudno będzie pani uwierzyć, jak wolne jest przekazywanie danych przy zmniejszonej prędkości światła – proszę spojrzeć, odbywa się to w tempie kilkuset bajtów na sekundę. Nawet nie kilobajta.

– Wobec tego inicjowanie będzie długo trwało.

– Zgadza się. Ale w miarę wzmacniania się trybu równoległego ładowanie nabierze tempa. Mimo to rzeczywiście dopiero po długim czasie dobiegnie końca.

Yifan pokazał palcem wskaźnik postępu – linię tekstu u dołu ekranu.

Czas pozostały do inicjowania modułu: 68 godzin 43 minuty [***zmieniające się cyfry***] sekund. Całkowity pozostały czas ładowania: 297 godzin 52 minuty [***zmieniające się cyfry***] sekund.

– Dwanaście dni! – wykrzyknęła Cheng Xin. – A co z *Hunterem*?

– Jego systemy wykryją, że prędkość światła się zmniejszyła, i automatycznie uruchomią komputer neuronowy. Ale cały ten proces potrwa tak samo długo jak tu.

Dwanaście dni. Do zapasów na promie i na *Hunterze*, które umożliwiały przetrwanie, będą mogli się dostać dopiero po dwunastu dniach. Do tego czasu będą musieli polegać na tych prymitywnych skafandrach kosmicznych. Jeśli skafandry były zasilane przez akumulatory jądrowe, powinny tyle wytrzymać, ale nie mieli dość tlenu.

– Musimy hibernować – powiedział Yifan.

– Mamy na promie sprzęt do hibernacji?

Zaledwie Cheng Xin zadała to pytanie, uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Nawet gdyby był tam taki sprzęt, obsługiwałyby go komputery, co teraz nie wchodziło w rachubę.

Yifan otworzył schowek, z którego wcześniej wyjął butelkę z tlenem, i wziął małe pudełko. Otworzył je i pokazał Cheng Xin kilka kapsułek.

– To środek na krótkotrwałą hibernację. W odróżnieniu od normalnej hibernacji nie będzie pani potrzebowała zewnętrznego systemu podtrzymania życia. Podczas hibernacji pani oddech zwolni i będzie pani zużywała bardzo mało tlenu. Jedna kapsułka wystarczy na piętnaście dni.

Cheng Xin odsunęła wizjer i połknęła kapsułkę. Widziała, że Yifan zrobił to samo. Potem wyjrzeli przez iluminatory.

Kolorowe pasma – ów szeroki pas, który łączył niebieski z czerwonym końcem Wszechświata, w którym światło poruszało się ze zwykłą prędkością – przesuwały się teraz tak szybko nad Niebieską Planetą, że się zamazywały.

– Widzi pani te wzory na pasie, które się co pewien czas powtarzają? – Yifan w ogóle nie patrzył na zewnątrz. Z półprzymkniętymi oczami zapiął pasy fotela przeciążeniowego.

– Przesuwają się zbyt szybko.

– Niech pani postara się podążać za nimi wzrokiem.

Cheng Xin próbowała dostosować swoje poruszające się spojrzenie do wzorów przepływających po pasie. Przez chwilę widziała niebieskie, białe i żółte pasma, ale natychmiast ponownie zlały się w jeden zamazany obraz.

– Nie mogę – powiedziała.

– Nie szkodzi. Poruszają się zbyt szybko. Ten wzór może się powtarzać kilkaset razy w ciągu sekundy.

Yifan westchnął. Mimo że starał się to ukryć, Cheng Xin dostrzegła, że jest smutny. I wiedziała dlaczego.

Zorientowała się, że za każdym razem kiedy pojawiał się ten wzór na szerokim pasie, prom kończył kolejne okrążenie Niebieskiej Planety, lecąc z prędkością światła. Mimo że była ona zmniejszona, nadal obowiązywały diabelskie zasady szczególnej teorii względności. W układzie odniesienia planety czas płynął miliony razy szybciej niż tutaj, jak krew wyciekająca z serca.

Tutaj chwila, tam eony.

Cheng Xin odwróciła się od iluminatora i również zapięła pasy. Za iluminatorem po drugiej stronie migało światło. Słońce tego świata było na przemian jaskrawą linią łączącą dwa końce Wszechświata i świetlistą kulą. Tańczyło szalony taniec śmierci.

– Cheng Xin – zawołał cicho Yifan. – Możliwe, że gdy się obudzimy, znajdziemy na ekranie informację, że wystąpił jakiś błąd.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego przez wizjer.

– Nie boję się.

– Wiem, że się pani nie boi. Chcę tylko coś powiedzieć, na wypadek gdybyśmy… Wiem, co pani przeżyła jako Dzierżycielka Miecza. Chcę pani powiedzieć, że nie zrobiła pani nic złego. Wybrała panią ludzkość, co znaczy, że wolała traktować życie i wszystko inne z miłością, nawet gdyby musiała zapłacić za to wielką cenę. Spełniła pani życzenie świata, opowiedziała się po stronie jej wartości i wprowadziła w życie jej wybór. Naprawdę nie zrobiła pani nic złego.

– Dziękuję – powiedziała cicho Cheng Xin.

– Nie wiem, co się później z panią działo, ale na pewno nadal nie robiła pani nic złego. Miłość nie jest złem. Pojedyncza jednostka nie jest w stanie zniszczyć świata. Jeśli ten świat był skazany na zagładę, to było to wynikiem starań wszystkich, włącznie z tymi, którzy wtedy żyli, i tymi, którzy już umarli.

– Dziękuję – powiedziała jeszcze raz Cheng Xin. Czuła, że ma wilgotne oczy.

– Jeśli chodzi o to, co się dalej zdarzy, ja też się nie boję. Kiedy byłem na *Grawitacji*, te wszystkie gwiazdy w pustce przerażały mnie i męczyły i chciałem przestać myśleć o Wszechświecie. Ale to było jak narkotyk i nie mogłem przestać. No, a teraz wreszcie mogę.

– To dobrze. Wie pan co? Boję się tylko tego, że pan się będzie bał.

– Ja czuję to samo.

Ujęli się za ręce i gdy słońce kontynuowało swój szalony taniec, stopniowo tracili świadomość i przestawali oddychać.

* W języku chińskim jest to gra słów. 幕 (*mu*), czyli „zasłona”, jest homonimem 墓 (*mu*), czyli „grobu”.

Około siedemnastu miliardów lat po początku czasu

Nasza gwiazda

Długo się budzili.

Cheng Xin stopniowo odzyskiwała świadomość. Gdy wróciły jej pamięć i wzrok, od razu wiedziała, że komputer neuronowy naładował się i uruchomił. Kabinę wypełniało łagodne światło; słyszała podnoszące na duchu buczenie maszyn. Powietrze było ciepłe. Prom został przywrócony do życia.

Ale wkrótce zdała sobie sprawę, że światło w kabinie wydobywa się z innych urządzeń niż poprzednio – może były to lampy zapasowe, skonstruowane specjalnie do użytku w przestrzeni, gdzie prędkość światła była zmniejszona. W powietrzu nie było żadnych okien informacyjnych. Możliwe, że w takich warunkach nie działały holograficzne wyświetlacze. Łącze komputera neuronowego ograniczało się do płaskiego ekranu, który przypominał teraz kolorowy wyświetlacz map bitowych z ery powszechnej.

Przed wyświetlaczem unosił się Guan Yifan i stukał w ekran palcami dłoni bez rękawicy. Odwrócił się, uśmiechnął do Cheng Xin, pokazał jej gestem, że może się napić, a potem podał butelkę wody.

– Minęło szesnaście dni – powiedział.

Butelka była ciepła. Cheng Xin zobaczyła, że ona też nie ma rękawic. Uświadomiła sobie, że chociaż nadal jest w prymitywnym skafandrze,

zdjęto jej hełm. Temperatura i ciśnienie w kabinie były odpowiednie.

Ponieważ doszła już na tyle do siebie, że mogła poruszać rękami, rozpięła pasy i podpłynęła do Yifana, by też spojrzeć na ekran. Ich skafandry ściśle przylegały do siebie. Na ekranie widać było kilka okien, w każdym szybko przewijały się cyfry – diagnoza różnych systemów promu. Yifan powiedział jej, że nawiązał kontakt z *Hunterem*, którego komputer neuronowy widocznie też się naładował i uruchomił.

Podniosła głowę i zobaczyła, że dwa iluminatory są wciąż odsłonięte. Podpłynęła do nich. Guan Yifan przyciemnił światła w kabinie, by nie przeszkadzał jej ich blask. Uprzedzali nawzajem swoje życzenia, jakby czytali w swoich myślach.

Początkowo Wszechświat wyglądał tak, jakby się nie zmienił od czasu, kiedy go poprzednio widziała: statek nadal orbitował wokół Niebieskiej Planety ze zmniejszoną prędkością światła, oba skupiska gwiazd, niebieskie i czerwone, nadal zmieniały nieregularnie swoje kształty na dwóch końcach Wszechświata, słońce nadal wykonywało szalony taniec, to przechodząc w linię, to w koło, a przez powierzchnię Niebieskiej Planety przemykały kolorowe pasma. Kiedy starała się dostosować wzrok do tej szybko przepływającej powierzchni, dostrzegła w końcu, że coś się zmieniło – niebieskie i białe pasma zostały zastąpione przez fioletowe.

Yifan wskazał na ekran.

– Autodiagnoza układu napędowego zakończona. Zasadniczo wszystko działa. W każdej chwili możemy zmniejszyć prędkość.

– Napęd jądrowy wciąż działa? – zapytała Cheng Xin.

Przed hibernacją to pytanie nie dawało jej spokoju. Nie zadała go, bo mogła otrzymać rozczarowującą odpowiedź, a nie chciała przysparzać Yifanowi dodatkowych zmartwień.

– Oczywiście, że nie. Przy tak małej prędkości światła reakcja jądrowa daje zbyt małą moc. Musimy użyć zapasowego układu napędowego z wykorzystaniem antymaterii.

– Antymaterii? Ale czy zmniejszona prędkość światła nie uszkodzi ograniczającego ją pola siłowego?

– Nie będzie z tym żadnych problemów. Silnik na antymaterię został skonstruowany specjalnie w celu poruszania się w obszarze, gdzie ta prędkość jest zmniejszona. Kiedy wyprawiamy się na długie ekspedycje, takie jak ta, wyposażamy wszystkie statki w układy napędowe umożliwiające lot w takich warunkach… Nasz świat przykłada dużą wagę do opracowywania takich technologii. Celem jest nie tyle rozwiązanie problemu po przypadkowym wejściu w smugę zostawioną przez statek o napędzie krzywiznowym, ile raczej przygotowanie się na sytuację, w której będziemy musieli się ukryć w świetlnym grobie, czyli w czarnej domenie.

Pół godziny później prom i *Hunter* uruchomiły silniki na antymaterię i zaczęły hamować. Cheng Xin i Guan Yifan zostali wciśnięci przez przeciążenie w fotele i podniosły się zasłony iluminatorów. Promem szarpały silne wstrząsy, ale stopniowo ustępowały. Proces hamowania trwał niecałe dwadzieścia minut. Potem silniki się wyłączyły i oboje znowu znaleźli się w stanie nieważkości.

– Wyszliśmy z prędkości światła – oznajmił Guan Yifan.

Nacisnął guzik i zasłony iluminatorów się podniosły.

Cheng Xin zobaczyła przez nie, że niebieskie i czerwone skupiska gwiazd zniknęły, a słońce było normalne. Ale zdumiał ją widok Niebieskiej Planety po drugiej stronie – była ona teraz „Fioletową Planetą”. Całą planetę – poza oceanem, który nadal był żółty – pokrywał teraz fiolet.

Zniknął nawet śnieg. Najbardziej jednak wstrząsnął nią widok samej przestrzeni kosmicznej.

– Co to za linie? – krzyknęła.

– Myślę, że to… gwiazdy.

Yifan był tak samo zaskoczony jak ona.

Wszystkie gwiazdy zamieniły się w cienkie linie światła. Właściwie Cheng Xin znała już ten widok – widziała mnóstwo zdjęć rozgwieżdżonego nieba zrobionych z Ziemi przy długim czasie naświetlania. Wskutek ruchu obrotowego Ziemi gwiazdy na tych zdjęciach stały się koncentrycznymi łukami tej samej mniej więcej długości. Jednak gwiazdy, na które teraz patrzyła, były odcinkami o różnej długości, rozrzuconymi na wszystkie strony. Kilka najdłuższych zajmowało prawie jedną trzecią nieba. Linie przecinały się pod różnymi kątami, przez co kosmos wydawał się jeszcze bardziej chaotyczny niż przedtem.

– Myślę, że to gwiazdy – powtórzył Yifan. – Światło gwiazdy musi przejść przez dwie granice, zanim do nas dotrze, najpierw przez granicę między światłem o normalnej prędkości, a potem przez horyzont zdarzeń czarnej dziury. Dlatego wygląda tak dziwnie.

– Jesteśmy w czarnej domenie?

– Tak. Jesteśmy w świetlnym grobie.

Układ słoneczny DX3906 był teraz zupełnie odciętą od reszty Wszechświata czarną dziurą, w której światło rozchodziło się ze zmniejszoną prędkością. Gwiaździste niebo utkane z mnóstwa krzyżujących się srebrnych linii było wymarzonym miejscem, które można było zobaczyć, ale do którego nigdy nie da się dotrzeć.

– Zejdźmy na powierzchnię – powiedział Yifan po długim milczeniu.

Prom dalej hamował i coraz bardziej zniżał lot. Wszedł w atmosferę, czemu towarzyszyła seria potężnych wstrząsów, i opuścił się na

powierzchnię świata, na którym zrządzeniem losu musieli spędzić resztę życia.

Większą część obrazu na ekranie systemu monitorującego wypełniły fioletowe kontynenty. Stwierdzili, że ten kolor nadawała roślinność. Prawdopodobnie zmiana promieniowania słonecznego spowodowała, że rośliny, przystosowując się do nowego światła, zmieniły kolor z niebieskiego na fioletowy.

Prawdę mówiąc, Cheng Xin i Guan Yifana zaskoczyło to, że słońce w ogóle istniało. Skoro $E = mc^2$, to reakcje jądrowe zachodzące przy zmniejszonej prędkości światła mogły wytworzyć małą ilość energii. Być może we wnętrzu słońca światło zachowało normalną prędkość?

Współrzędne lądowania promu były ustawione na to samo miejsce, z którego wystartował i w którym zostało *Halo*. Kiedy zbliżyli się do powierzchni, zobaczyli tam gęsty fioletowy las. W chwili gdy prom miał już wzbić się wyżej w poszukiwaniu bardziej otwartej przestrzeni, drzewa pierzchły, uciekając przed płomieniami silników sterujących. Prom siadł łagodnie na opuszczonym przez nie terenie.

Ekran pokazywał, że powietrzem na zewnątrz można było oddychać. Zawartość tlenu w atmosferze była znacznie wyższa, niż gdy byli tu poprzednim razem. Poza tym atmosfera była gęściejsza, a ciśnienie półtora raza wyższe.

Cheng Xin i Guan Yifan wysiedli z promu i raz jeszcze zeszli na powierzchnię Niebieskiej Planety. Powitało ich ciepłe, wilgotne powietrze, a ziemię pokrywała warstwa miękkiego, sprężystego hummusu. Pełno było w nim dziur zostawionych przez korzenie drzew, które usunęły się z drogi. Zgromadziły się teraz wokół polany, a ich szerokie liście szeleściły w powiewie wiatru, co sprawiało wrażenie, jakby otaczał ich tłum porozumiewających się szeptem olbrzymów. Ich cienie kładły się na całą

polanę. Za sprawą tak gęstej roślinności planeta była zupełnie innym światem niż ten, który widzieli wcześniej.

Cheng Xin nie lubiła fioletu. Zawsze uważała go za przygnębiający kolor, bo przywodził jej na myśl usta chorych, których serca nie dostarczały dość tlenu. Jednak teraz fiolet otaczał ją ze wszystkich stron i w tym fioletowym świecie będzie musiała spędzić resztę życia.

Nie było ani śladu *Halo*, ani śladu statku Yun Tianminga, ani śladu ludzkiej obecności.

Guan Yifan i Cheng Xin rozejrzeli się po otaczającym ich krajobrazie i uświadomili sobie, że jego cechy geograficzne w niczym nie przypominały tych, które były tam podczas ich poprzedniej wizyty. Wyraźnie pamiętali, że w pobliżu leżały pofałdowane góry, natomiast teraz las rósł na równinie. Wrócili do promu, by sprawdzić, czy wprowadzili właściwe współrzędne – okazało się, że tak. Potem zbadali dokładniej teren wokół promu, ale mimo starannych poszukiwań nadal nie mogli znaleźć niczego, co świadczyłoby, że przed nimi gościli tam jacyś ludzie. Był to dziewiczy ląd, jakby wcześniej wylądowali na innej planecie, w innej czasoprzestrzeni, której nic nie łączyło z tym miejscem.

Yifan wrócił na prom i nawiązał połączenie z *Hunterem*, który nadal znajdował się na orbicie blisko ziemi. Komputer neuronowy statku miał dużą moc, a jego sztuczna inteligencja mogła się porozumiewać z użytkownikami w naturalnym ludzkim języku. W warunkach zmniejszonej prędkości światła komunikacja między ziemią i przestrzenią kosmiczną odbywała się z dziesięciosekundowym opóźnieniem. Po wyjściu razem z promem z prędkości światła *Hunter* przeszukiwał powierzchnię planety z niskiej orbity. Kiedy Yifan się z nim połączył, statek zakończył badanie większości lądu, ale nie odkrył żadnych śladów pozostawionych przez ludzi czy jakąkolwiek inną formę inteligencji.

Następnie Cheng Xin i Guan Yifan musieli się zająć zadaniem, które ich przerażało, ale którego wykonanie było absolutnie konieczne – obliczeniem, ile czasu upłynęło w tym układzie odniesienia od ich wejścia w strefę zmniejszonej prędkości światła. Istniała technika radiometrycznego datowania w warunkach zmniejszonej prędkości światła – pewne pierwiastki, które przy normalnej jego prędkości nie ulegały rozkładowi, przy obniżonej rozpadały się w różnym tempie, dzięki czemu można było precyzyjnie zmierzyć jego upływ. Ponieważ celem ekspedycji Yifana były badania naukowe, prom był wyposażony w urządzenie do mierzenia rozpadu atomów, ale do przetworzenia tych danych potrzebny był komputer. Połączenie tego instrumentu z komputerem neuronowym wymagało od Yifana trochę zachodu, ale w końcu udało mu się to zrobić. Polecili urządzeniu, by zbadało dziesięć próbek skał pobranych z różnych części planety i porównało rezultaty. Instrument potrzebował na to pół godziny.

Czekali na wyniki na polanie. Przez luki w koronach drzew przeświecały promienie słońca. Między pniami przemykało wiele dziwnych małych stworzeń. Niektóre z nich były owadami ze śmigłami na grzbietach, wyglądającymi jak miniaturowe helikoptery, inne przypominały kolorowe, przezroczyste baloniki, które dryfowały w powietrzu, mieniąc się tęczowo w snopach światła, ale żadne nie miały skrzydeł.

– Może minęło kilkadziesiąt tysięcy lat – mruknęła Cheng Xin.

– Albo nawet więcej – powiedział Guan Yifan, wpatrując się w głąb lasu. – W naszej obecnej sytuacji nie ma wielkiej różnicy między kilkudziesięcioma tysiącami a setkami tysięcy lat.

Nie powiedzieli już nic więcej, tylko siedzieli na schodach promu, opierając się o siebie nawzajem i czerpiąc pociechę z uderzeń swoich serc.

Pół godziny później wrócili do środka, by stawić czoło faktom. Ekran na pulpicie sterowniczym pokazywał wyniki badań dziesięciu próbek. Wszystkie były podobne. Na dole ekranu podano ich uśrednione wartości:

Datowanie w oparciu o średni okres rozpadu atomów (margines błędu: 0,4%): upływ czasu gwiezdnego: 6 177 906 lat; upływ czasu ziemskiego: 18 903 729 lat.

Cheng Xin trzy razy policzyła cyfry ostatniej liczby, odwróciła się i w milczeniu wyszła z promu. Powróciła do fioletowego świata. Otaczały ją wysokie drzewa, promień światła rysował jasny krąg koło jej stóp, wilgotny wiatr wichrzył jej włosy, nad głową przepływały żywe baloniki, a za sobą miała blisko dziewiętnaście milionów lat.

Podszedł do niej Yifan. Ich spojrzenia się spotkały, a dusze objęły.

– Cheng Xin, nie zdążyliśmy.

Ponad osiemnaście milionów lat po przemienieniu się układu DX3906 w czarną dziurę o zmniejszonej prędkości światła, siedemnaście miliardów lat po narodzinach Wszechświata, mężczyzna i kobieta mocno się objęli.

Cheng Xin wyszlochała się na ramieniu Yifana. Pamiętała, że wcześniej popłakała się tak tylko raz, kiedy wyjęto mózg Tianminga z czaszki. Było to… 18 903 729 lat oraz sześć wieków temu, a te sześć stuleci było w takiej geologicznej skali czasowej zaledwie marginesem błędu zaokrąglenia. Tym razem opłakiwała nie tylko Tianminga. Płakała, bo się poddała. W końcu zrozumiała, że jest tylko pyłkiem niesionym przez wiatr, listkiem dryfującym po szerokiej rzece. Z rezygnacją pozwoliła, by przenikał przez nią ten wiatr, by promień słońca wbił się w jej duszę.

Puściła przeszłość w niepamięć, pozwoliła, by jej sercem zawładnął głęboki szacunek dla Guan Yifana.

Usiedli, nadal się obejmując, na miękkim hummusie i pozwalali, by czas płynął. Planeta się obracała i przesuwały się plamy światła wokół nich. Chwilami Cheng Xin zadawała sobie pytanie: „Czy minął kolejny milion lat?”. Mała, racjonalna część jej umysłu podpowiadała, że to możliwe, bo rzeczywiście istniały światy, gdzie można było wedle własnej woli przekroczyć tysiąc lat. Weźmy linie śmierci – gdyby zostały przerwane i trochę się rozszerzyły, prędkość światła wzrosłaby w nich od zera do niezwykle małej liczby, takiej jak tempo, w jakim oddalały się od siebie kontynenty, centymetr na dziesięć tysięcy lat. Gdyby w takim świecie ktoś wstał z łóżka, w którym leżał z kochanką czy kochankiem, i odszedł kilka kroków, oddzielałyby ich miliony lat.

Tęskniliby do siebie.

Po nie wiadomo jak długim czasie Yifan zapytał cicho:

– Co powinniśmy zrobić?

– Chcę się jeszcze rozejrzeć. Musi być jakiś ślad ich obecności.

– Naprawdę nic nie będzie. Osiemnaście milionów lat wszystko zetrze. Czas jest najokrutniejszą ze wszystkich sił.

– Rycie słów w kamieniu.

Yifan spojrzał na nią zdezorientowany.

– Ai AA wiedziałaby, że trzeba wyryć słowa w kamieniu – mruknęła Cheng Xin.

– Nie rozumiem…

Zamiast wyjaśnić Yifanowi, co ma na myśli, objęła go za ramiona.

– Czy *Hunter* może przeszukać ziemię pod powierzchnią i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś?

– Czego szukasz?

– Słów. Chcę zobaczyć, czy są tam jakieś słowa.

Yifan potrząsnął głową.

– Rozumiem twoje pragnienie, ale…

– Żeby lepiej przetrwać eony, te słowa powinny być duże.

Yifan kiwnął głową, ale wyraźnie tylko po to, by ją uspokoić. Wrócili na prom. Chociaż było to tylko kilka kroków, tulili się do siebie, jakby się bali, że czas ich rozdzieli, jeśli rozłączą się fizycznie. Yifan skontaktował się z *Hunterem* i polecił mu przeszukać teren na głębokości od pięciu do dziesięciu metrów w promieniu trzech kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowali. Aparatura została ustawiona na szukanie ludzkiego pisma albo innych znaczących znaków.

Piętnaście minut potem *Hunter* przeleciał nad ich głowami, a po kolejnych dziesięciu przesłał wyniki poszukiwań: nic.

Guan Yifan nakazał mu przeszukać ziemię na głębokości od dziesięciu do dwudziestu metrów. Zajęło to kolejną godzinę, która zeszła im głównie na czekaniu na przelot statku nad nimi. Wynik i tym razem był negatywny. Na tej głębokości nie było już ziemi, tylko podłoże skalne.

Yifan ustawił aparaturę na poszukiwania na głębokości od dwudziestu do trzydziestu metrów.

– To ostatnia próba – powiedział. – Czujniki nie sięgną głębiej.

Jeszcze raz poczekali, aż statek okrąży Niebieską Planetę. Słońce już zachodziło i na niebie pełno było pięknych ognistych obłoków, a fioletowe lasy jarzyły się złocistą poświatą.

Tym razem ekran promu pokazał obrazy przesłane przez statek. Po ich przetworzeniu przez oprogramowanie ulepszające zobaczyli kilka fragmentów białych słów osadzonych w czarnej skale: „żyl”, „em”, „wam”, „mały”, „odku”, „przejdźcie”. Biały kolor wskazywał, że zostały w niej wyryte; każdy znak miał wielkość około metra kwadratowego, wszystkie były ustawione w czterech rzędach. Znajdowały się około dwudziestu ośmiu metrów pod nimi, na zboczu o pochyłości około czterdziestu stopni.

ŻYLIŚMY RAZEM SZCZĘŚLIWIE
DAJEMY WAM MAŁY
PRZETRWAJCIE ZAPADANIE W ŚRODKU
PRZEJDŹCIE DO NOWEGO

Sztuczna inteligencja *Huntera* włączyła specjalistyczny program geologiczny, by zinterpretował te wyniki. Okazało się, że ogromne znaki wykuto w powierzchni dużej skały osadowej na zboczu góry. Początkowo zajmowały powierzchnię około stu trzydziestu metrów kwadratowych. W ciągu eonów góra, na której zboczu znajdowała się ta skała, osunęła się i zapadła w głąb ziemi i dlatego napis znalazł się pod nimi. Były tam jeszcze cztery wiersze tekstu, ale dolna część skały popękała podczas przesunięć geologicznych i tekst przepadł. Zresztą to, co zostało, też było niekompletne – w ostatnich trzech wierszach brakowało końca.

Cheng Xin i Guan Yifan znowu się objęli. Na wiadomość, że 艾 AA i Yun Tianming przed ponad stu osiemdziesięcioma tysiącami wieków znaleźli wspólnie szczęście, po ich policzkach pociekły łzy radości. W ich zrozpaczonych sercach zagościł spokój.

– Zastanawiam się, jak wyglądało ich życie – powiedziała Cheng Xin.

– Wszystko było możliwe – rzekł Guan Yifan.

– Ciekawe, czy mieli dzieci.

– Wszystko możliwe. Mogli nawet założyć tutaj cywilizację.

Cheng Xin wiedziała, że rzeczywiście było to możliwe. Ale nawet gdyby ta cywilizacja przetrwała dziesięć milionów lat, te następne osiem milionów lat z hakiem wymazałoby jej wszystkie ślady.

Czas naprawdę był najokrutniejszą ze wszystkich sił.

Ich medytacje przerwało coś dziwnego – nad polaną unosił się jak zakreślony fragment obrazu prostokąt obrzeżony liniami słabego światła, mniej więcej wysokości człowieka. Przesunął się w powietrzu, ale nie odpłynął daleko i po chwili wrócił na poprzednie miejsce. Być może był tam cały czas, ale jego obrys był tak słaby i cienki, że w świetle dziennym był niewidoczny. Bez względu na to, czy był materialny, czy wytwarzało go pole siłowe, nie mieli wątpliwości, że jest dziełem istot inteligentnych. Linie, z których się składał, przywodziły na myśl gwiazdy w kształcie linii na niebie nad Niebieską Planetą.

– Myślisz, że to jest… ten dar, który nam zostawili? – zapytała Cheng Xin.

– Aż trudno uwierzyć. Jak mogło to przetrwać ponad osiemnaście milionów lat?

Ale Yifan się mylił. Ten obiekt rzeczywiście przetrwał osiemnaście milionów lat. I gdyby to było konieczne, trwałby do końca Wszechświata, bo istniał poza czasem.

Drzwi pamiętały, że początkowo były umieszczone obok skały z tekstem w metalowych ościeżnicach. Ale już po pięciuset tysiącach lat metal przeżarła rdza, natomiast one same były jak nowe. Nie obawiały się czasu, bo ich własny czas jeszcze się nie zaczął. Pozostały obok skały i zapadły się trzydzieści metrów pod ziemię, ale odkryły obecność ludzi i wydostały się na powierzchnię. Zrobiły to bez kontaktu ze skorupą, poruszając się jak duch. Teraz potwierdziły, że czekały właśnie na tych dwoje.

– To wygląda jak drzwi – powiedziała Cheng Xin.

Yifan podniósł z ziemi małą gałązkę i wrzucił ją w prostokąt. Gałązka przeleciała przez niego i spadła po drugiej stronie. Widzieli, jak w górze dryfuje świetliste stadko baloników. Kilka z nich przepłynęło przez prostokąt, a jeden nawet przez jego jarzący się obrys.

Yifan wyciągnął rękę i dotknął ościeżnicy. Światło i jego palec przeszły nawzajem przez siebie i nic nie poczuł. Bez zastanowienia włożył rękę w przestrzeń obramowaną prostokątem. Cheng Xin krzyknęła. Yifan cofnął rękę – wyglądała na nienaruszoną.

– Twoja ręka… Nie przeszła przez to. – Cheng Xin wskazała prostokąt.

Yifan spróbował ponownie. Jego dłoń i przedramię zniknęły – nie przeszły na drugą stronę. Stojąca tam Cheng Xin widziała przekrój jego ręki – wszystkie kości, mięśnie i naczynia krwionośne. Cofnął rękę i ponowił próbę z gałązką. Przeszła przez framugę bez kłopotu. Zaraz potem przeleciały przez prostokąt dwa owady z obracającymi się śmigłami na grzbietach.

– To naprawdę są drzwi, inteligentne drzwi, które rozpoznają, co przez nie przechodzi – stwierdził Guan Yifan.

– Ciebie wpuściły.

– Prawdopodobnie wpuszczą też ciebie.

Cheng Xin ostrożnie spróbowała i jej ręka też zniknęła w „drzwiach”. Yifan przyglądał się z drugiej strony przekrojowi jej ręki i doznał déjà vu.

– Zaczekaj tu na mnie – powiedział. – Wejdę tam to zbadać.

– Powinniśmy wejść razem – odrzekła stanowczo Cheng Xin.

– Nie, zaczekaj tutaj.

Cheng Xin chwyciła go za ramiona i obróciła twarzą do siebie. Spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę chcesz, by rozdzieliło nas osiemnaście milionów lat?

Yifan przez długą chwilę wpatrywał się w jej oczy, po czym w końcu kiwnął głową.

– Może powinniśmy wziąć ze sobą parę rzeczy.

Dziesięć minut później przeszli przez drzwi ręka w rękę.

Poza czasem

Nasz wszechświat

Pierwotna ciemność.

Cheng Xin i Guan Yifan ponownie zanurzyli się w próżni czasu. Było to doznanie podobne do tego, które mieli, gdy prom znalazł się w rejonie o zmniejszonej prędkości światła. Czas tam nie płynął, a może trafniejsze byłoby stwierdzenie, że nie istniał. Stracili jego poczucie i jeszcze raz doświadczyli uczucia, że go przekraczają, ale istnieją poza nim.

Ciemność zniknęła, zaczął się czas.

W ludzkim języku nie ma odpowiedniego słowa dla wyrażenia początku czasu. Nie można powiedzieć, że zaczął się po ich przejściu przez drzwi, ponieważ „po” wymagało odniesienia do jakiegoś momentu, a skoro ten tutaj nie istniał, nie mogło być żadnego przedtem ani potem. Chwila „po” ich wejściu mogła być krótsza niż jedna trylionowa część sekundy albo dłuższa niż trylion lat.

Słońce pojaśniało. Stawało się to stopniowo. Najpierw było tylko dyskiem, a potem zaczęło odsłaniać cały świat. Było jak pieśń, która zaczyna się od zaledwie słyszalnego nucenia, a potem staje się coraz głośniejsza i przechodzi w potężny chór. Wokół słońca pojawił się niebieski krąg, rozszerzył i przekształcił w niebieskie niebo. Pod nim powoli nabierała kształtów sielankowa sceneria. Było tam nieobsiane pole z czarną glebą, obok niego stał piękny biały dom. Rosło też kilka drzew, których szerokie, dziwnie uformowane liście wnosiły powiew egzotyki. W coraz

jaśniejszym blasku słońca spokojna sceneria zdawała się brać ich w serdeczne objęcia.

– Są tu ludzie! – Guan Yifan wskazał w dal.

Widzieli plecy dwóch postaci stojących na horyzoncie: mężczyzny i kobiety. Mężczyzna opuścił podniesioną przed chwilą rękę.

– To my – powiedziała Cheng Xin.

Daleko przed tymi dwiema postaciami zobaczyli biały dom i drzewa, dokładną kopię tego, co znajdowało się obok nich. Nie widzieli, co było pod ich stopami, ale domyślali się, że drugie czarne pole. Na końcu tego świata znajdowała się jego kopia, a może odwzorowanie.

Kopie lub odwzorowania otaczały ich ze wszystkich stron. Spojrzeli na boki i ujrzeli powtórzenie tej samej sceny. Oni też istnieli w tamtych światach, ale widzieli tylko plecy tych postaci, które odwracały głowy, gdy tylko się ku nim obrócili. Obejrzeli się do tyłu i zobaczyli to samo, tyle że teraz patrzyli na ten świat z innej strony.

Wejście zniknęło.

Ruszyli wyłożoną kamieniami ścieżką, a ich kopie w kopiach tego świata szły razem z nimi. Ścieżkę przecinał strumyk, nad którym nie było mostku, ale tak wąski, że mogli go przeskoczyć. Dopiero teraz zorientowali się, że grawitacja wynosiła 1 g. Minęli kępę drzew i podeszli do domu. Drzwi były zamknięte, a okna zasłonięte niebieskimi firankami. Wszystko wyglądało na nowiuteńkie, bez odrobiny kurzu; prawdę mówiąc, oni też byli nowiuteńcy, bo czas dopiero zaczął płynąć.

Przed domem leżała sterta prymitywnych narzędzi rolniczych: łopaty, grabie, koszyki, wiadra i tak dalej. Chociaż niektóre z nich miały dziwne kształty, po ich wyglądzie łatwo się było domyślić, do czego służyły. Jednak ich uwagę przyciągnął rząd metalowych kolumn stojących obok narzędzi. Były wysokości człowieka, a ich gładkie powierzchnie lśniły

w słońcu. Każda miała dodatki, które wyglądały na złożone kończyny. Prawdopodobnie były to roboty w stanie spoczynku.

Przed wejściem do domu postanowili zapoznać się z otoczeniem, więc minęli go i poszli dalej. Po niespełna kilometrze dotarli do końca tego małego świata i zobaczyli przed sobą jego kopię. Najpierw myśleli, że jest to lustrzane odbicie ich świata, chociaż nie było tam luster. W połowie drogi jednak doszli do wniosku, że nie może to być odbicie, bo wszystko wydawało się zupełnie rzeczywiste. Dali krok do przodu i nie napotykając żadnego oporu, znaleźli się w tej kopii. Rozejrzawszy się wokół, Cheng Xin nieco się przestraszyła.

Wszystko wyglądało tak samo jak po ich wejściu do pierwszego świata. Ta sama bukoliczna sceneria, z kopiami przed nimi i po bokach, a w tych kopiach kopie ich postaci. Odwrócili się, spojrzeli za siebie i zobaczyli spoglądające za siebie swoje kopie na drugim końcu świata, który przed chwilą opuścili.

Yifan przeciągle westchnął.

– Sądzę, że nie musimy iść dalej. Nigdy nie dojdziemy do końca. – Wskazał w górę, a potem w dół. – Założę się, że bez tych przeszkód zobaczylibyśmy tę samą scenę pod i nad nami.

– Wiesz, co to jest?

– Znasz prace Charlesa Misnera?

– A kto to?

– Był fizykiem w erze powszechnej. Pierwszy wysunął tę koncepcję. Świat, w którym jesteśmy, jest w istocie bardzo prosty. Te regularny sześcian o boku około kilometra. Możesz go sobie wyobrazić jako pokój z czterema ścianami, podłogą i sufitem. Jest on tak skonstruowany, że sufit jest też podłogą, a każda ściana ścianą przeciwległą. W rzeczywistości ma on tylko dwie ściany. Jeśli przejdziesz przez jedną z nich, wyłonisz się przy

przeciwnej. To samo odnosi się do podłogi i sufitu. Obrazy, które widzimy wokół nas, są wynikiem tego, że światło po przejściu przez cały świat wraca do punktu wyjścia. Jesteśmy w tym samym świecie, z którego wyszliśmy, bo istnieje tylko on. Wszystkie kopie, które widzimy wokół nas, są jedynie obrazami tego świata.

– A więc jest to…

– Tak! – Yifan zatoczył ręką krąg. – Yun Tianming podarował ci kiedyś gwiazdę, a teraz dał ci wszechświat. To jest cały wszechświat, Cheng Xin. Może mały, ale cały.

Cheng Xin rozejrzała się, nie wiedząc, co powiedzieć. Yifan usiadł na skraju pola, podniósł garść czarnej ziemi i patrzył, jak przesypuje się między palcami.

– Jest mężczyzną zdolnym podarować ukochanej kobiecie gwiazdę i wszechświat. Ja nic nie mogę ci dać.

Cheng Xin usiadła obok niego i oparła się o jego ramię. Roześmiała się i powiedziała:

– Jesteś jedynym mężczyzną w tym wszechświecie. Nie musisz mi niczego dawać.

Poczucie osamotnienia legło w gruzach, gdy usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi. Z domu wyszła jakaś postać i ruszyła w ich stronę. Ten świat był taki mały, że z tej odległości można było każdego zobaczyć wyraźnie. Zbliżała się do nich odziana w kimono kobieta. Kimono w małe czerwone kwiatki było jak chodząca grządka rozkwitających kwiatów, która wniosła do tego świata powiew wiosny.

– Sofona! – krzyknęła Cheng Xin.

– Znam ją – powiedział Yifan. – To robot sterowany przez sofony.

Wyszli jej na spotkanie i stanęli pod jednym z drzew. Cheng Xin zobaczyła, że to rzeczywiście Sofona – jej niezrównana uroda ani trochę się

nie zmieniła.

Sofona złożyła im głęboki ukłon. Gdy się wyprostowała, uśmiechnęła się do Cheng Xin.

– Powiedziałam, że Wszechświat jest wielki, ale życie jest większe. Los tak nami pokierował, że znowu się spotkałyśmy.

– Nie mogłabym sobie tego wyobrazić – powiedziała Cheng Xin. – Naprawdę się cieszę, że cię widzę.

Sofona przeniosła ją w przeszłość sprzed osiemnastu milionów lat, chociaż właściwie nie było to trafne stwierdzenie, bo znajdowali się teraz w zupełnie innym strumieniu czasu.

Sofona znowu się ukłoniła.

– Witajcie we Wszechświecie 647. Jestem jego zarządczynią.

– Zarządczynią wszechświata? – Yifan popatrzył na nią z osłupieniem. – Cóż za wspaniały tytuł! Dla kosmologa, takiego jak ja, brzmi to…

– Och, nie! – Sofona roześmiała się i zbyła jego słowa machnięciem ręki. – To wy jesteście prawdziwymi panami Wszechświata 647 i macie pełnię władzy nad wszystkim, co tu się znajduje. Ja tu tylko mam wam służyć.

Sofona pokazała gestem, żeby za nią poszli. Weszli do domu, do wykwintnego salonu. Był on urządzony we wschodnim stylu i ozdobiony kilkoma wiszącymi na ścianach rysunkami pędzelkiem i zwojami z wykaligrafowanymi tekstami. Cheng Xin rozejrzała się, szukając artefaktów zabranych przez *Halo* z Plutona, ale nie zobaczyła ani jednego. Gdy usiedli przy wiekowym drewnianym stole, Sofona podała im herbatę bez przechodzenia przez skomplikowaną ceremonię drogi herbaty. Wydawało się, że jest to gatunek Longjing. Listki stały na dnie filiżanek jak malutki zielony las i wydzielały świeży aromat.

Cheng Xin i Guan Yifan mieli wrażenie, że to wszystko im się śni.

– Ten wszechświat jest podarunkiem od pana Yun Tianminga dla was obojga – powiedziała Sofona.

– Myślę, że miał to być prezent dla Cheng Xin – rzekł Yifan.

– Nie. Pan też jest jednym z obdarowanych. Upoważnienie dla pana dodano do systemu rozpoznawania, bo inaczej nie zostałby pan tu wpuszczony. Pan Yun miał nadzieję, że będziecie mogli się schronić w tym małym wszechświecie i uniknąć zapadnięcia się wielkiego Wszechświata, czyli wielkiego zmiażdżenia, a po następnym Wielkim Wybuchu wejść do nowego wszechświata i znaleźć się w rajskiej epoce. Teraz istniejemy w niezależnej osi czasowej. W wielkim Wszechświecie czas szybko mija i na pewno zobaczycie za swojego życia jego koniec. Mówiąc dokładnie, oceniam, że wielki Wszechświat zapadnie się i zamieni się w osobliwość za dziesięć tutejszych lat.

– Skąd będziemy wiedzieli, że doszło do następnego Wielkiego Wybuchu? – zapytał Yifan.

– Dowiemy się o tym. Możemy odkryć warunki panujące w wielkim Wszechświecie przez supermembranę.

Słowa Sofony przypomniały Cheng Xin o tym, co Yun Tianming i 艾 AA wyryli w skale, natomiast Guan Yifanowi o czymś innym. Sofona mówiła o rajskiej epoce w nowym wszechświecie. To określenie ukuli ludzie galaktyczni, a zatem były dwie możliwości. Jedna, że jakimś zbiegiem okoliczności ten sam termin wybrali też Trisolarianie. Druga była bardziej przerażająca: Trisolarianie odkryli już galaktycznych ludzi. Skoro Yun Tianming tak szybko przybył na Niebieską Planetę, pierwsza flota trisolariańska musiała się znajdować blisko światów zamieszkanych przez rodzaj ludzki. A cywilizacja trisolariańska rozwinęła się tak bardzo, że potrafiła konstruować małe wszechświaty. Było to wielkie zagrożenie dla ludzkości.

Potem się roześmiał.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Cheng Xin.

– Z samego siebie.

Bo był śmieszny. Od dnia, w którym przybył na Niebieską Planetę, minęło ponad osiemnaście milionów lat, a i to tylko do chwili, gdy znalazł się w tym małym wszechświecie z własnym czasem. W wielkim Wszechświecie musiały minąć setki milionów lat. Martwił się o coś, co naprawdę było starożytną historią.

– Widziałaś Yun Tianminga? – zapytała Cheng Xin.

Sofona potrząsnęła głową.

– Nie. Nigdy go nie spotkałam.

– A Ai AA?

– Ostatni raz widziałam ją na Ziemi.

– A jak się tutaj znalazłaś?

– Wszechświat 647 został zbudowany na zamówienie. Jestem tu od jego ukończenia. Pamiętaj, że w zasadzie jestem zbiorem bitów i można mnie wiele razy skopiować.

– Wiedziałaś, że Tianming przywiózł ten wszechświat na Niebieską Planetę?

– Nie wiem, co to jest Niebieska Planeta. Ale jeśli to planeta, pan Yun nie mógł zabrać na nią Wszechświata 647, bo jest on niezależny od wielkiego Wszechświata i nie istnieje w nim. Mógł tam zabrać tylko wejście do tego wszechświata.

– Dlaczego nie ma tu Tianminga i AA? – zapytał Yifan.

Było to pytanie, na które również Cheng Xin chciała poznać odpowiedź. Chociaż już wcześniej cisnęło się jej na usta, nie zadała go, bo bała się, że usłyszy odpowiedź, której wolałaby nie znać.

Sofona znowu potrząsnęła głową.

– Nie wiem. W systemie rozpoznawania zawsze było upoważnienie dla pana Yuna.

– Dla kogo jeszcze jest tam upoważnienie?

– Tylko dla was trojga.

Po chwili Cheng Xin powiedziała do Yifana:

– AA zawsze bardziej interesowała się otaczającym nas światem niż ja. Nie sądzę, by zaciekawił ją nowy wszechświat, który ma się pojawić dziesiątki miliardów lat później.

– Mnie interesuje – powiedział Yifan. – Naprawdę chcę zobaczyć, jaki będzie nowy wszechświat, zanim zniekształcą go życie i cywilizacja. Myślę, że musi się odznaczać największą harmonią i pięknem.

– Ja też chcę się znaleźć w nowym wszechświecie – oświadczyła Cheng Xin. – Ta osobliwość i nowy Wielki Wybuch wymażą wszystkie wspomnienia o naszym Wszechświecie. Chcę zanieść tam pamięć o ludzkości.

Sofona kiwnęła uroczyście głową.

– Stawiasz sobie wielkie zadanie – powiedziała do Cheng Xin. – Inni wykonują podobną pracę, ale ty jesteś pierwszym człowiekiem z Układu Słonecznego, który zamierza się do tego wziąć.

– Zawsze miałaś w życiu większe cele niż ja – szepnął do niej Yifan.

Nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Sofona wstała.

– Witajcie w nowym życiu we Wszechświecie 647. Może wyjdziemy i rozejrzymy się?

Na dworze była wiosna w pełni. Roboty pracowały w polu. Niektóre wyrównywały ziemię grabiami – była tak sypka, że nie trzeba jej było orać – inne sadziły nasiona na wyrównanych już częściach. Stosowane przez nie metody były bardzo proste – nie było bron, więc do wyrównywania gleby

służyły grabie, nie było siewników, więc każdy robot miał torbę z nasionami, które zasadzał po kolei. Cała scena przywoływała obrazy ze starożytności. Roboty wydawały się tutaj bardziej naturalne niż prawdziwi rolnicy.

– Mamy tu jedzenia na dwa lata – wyjaśniła Sofona. – Potem będziecie musieli jeść to, co sami zasiejecie i zbierzecie. Nasiona pochodzą od tych, które Cheng Xin wysłała z panem Yunem. Oczywiście wszystkie zostały genetycznie poprawione.

Yifana zdawała się nieco dziwić ziemia.

– Uważam, że odpowiedniejsze byłyby tutaj kadzie bezglebowe – powiedział.

– Każdy człowiek czuje pewną nostalgię za ziemią. Pamiętasz, co powiedział ojciec Scarlett w *Przeminęło z wiatrem*? „Ziemia to jedyne, dla czego warto pracować, walczyć i ginąć. Tylko ziemia trwa”.

– Ludzie z Układu Słonecznego przelali ostatnią kroplę krwi za to, by zostać na swojej ziemi… no, może oprócz dwóch kropli – ciebie i AA – powiedział Yifan. – I po co to było? Nie przetrwali ani oni, ani ich ziemia. W wielkim Wszechświecie minęły setki milionów lat i myślisz, że ktoś ich jeszcze pamięta? Ta obsesja na punkcie domu i ziemi, to stałe dorastanie, kiedy nie jesteś już dzieckiem, ale boisz się opuścić rodzinny dom, to podstawowy powód unicestwienia naszego rodzaju. Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale taka jest prawda.

Cheng Xin uśmiechnęła się do wzburzonego Yifana.

– Nie uraziłeś mnie. To, co powiedziałeś, to szczera prawda. Wiedzieliśmy o tym, ale nic nie mogliśmy poradzić. Ty pewnie też nic na to nie poradzisz. Nie zapominaj, że i ty, i cała załoga *Grawitacji* byliście więźniami, zanim staliście się ludźmi galaktycznymi.

– To prawda. – Guan Yifan nie mówił już z taką pasją. – Nigdy nie uważałem się za człowieka nadającego się do życia w przestrzeni kosmicznej.

Wedle kryteriów tej przestrzeni nie było zbyt wielu ludzi, którzy się do tego nadawali, i Cheng Xin wątpiła, czy którykolwiek z nich by się jej podobał. Przychodziła jej na myśl tylko jedna osoba, która prawdopodobnie się do tego nadawała. Głos tego człowieka nadal brzmiał jej w uszach: „Będziemy iść naprzód! Naprzód! Nic nas nie powstrzyma!”.

– Nie rozpamiętujcie przeszłości – powiedziała swoim słodkim głosem Sofona. – Tutaj wszystko zaczyna się od nowa.

We Wszechświecie 647 minął rok. Dwa razy zżęto pszenicę, Cheng Xin i Guan Yifan dwukrotnie patrzyli, jak zielone siewki zmieniają się w morze złocistych łodyg. Leżące obok pszenicy pola warzywne zawsze pozostawały zielone.

Na tym małym świecie mieli zaspokojone wszystkie potrzeby materialne. Żaden przedmiot nie miał znaku fabrycznego, bo zrobili je Trisolarianie, ale wszystkie wyglądały jak wytwory ludzi.

Czasami Cheng Xin i Guan Yifan wychodzili w pole i pracowali wspólnie z robotami. Czasami spacerowali po swoim wszechświecie – dopóki starali się nie zostawiać śladów stóp, mogli chodzić bez końca i mieć wrażenie, że przemierzają niezliczone światy.

Jednak większość czasu spędzali przed komputerem. Terminal można było przywołać w dowolnym miejscu tego małego świata, ale nie wiedzieli, gdzie jest główna jednostka komputera. W komputerze był ogromny bank danych: tekstów, obrazów i filmów z Ziemi, z których większość pochodziła sprzed ery nadawania. Widać było, że Trisolarianie zbierali te

informacje podczas swych studiów nad ludzkością, a materiały odnosiły się do wszystkich dziedzin nauk ścisłych i humanistyki.

Ale jeszcze więcej informacji było zapisanych w języku trisolariańskim. Cheng Xin i Guan Yifana najbardziej interesował właśnie ten ocean danych. Ponieważ nie mogli znaleźć w komputerze żadnego programu do przekładania pisma trisolariańskiego na ludzkie języki, musieli studiować same te teksty. Sofona stała się ich nauczycielką, ale wkrótce przekonali się, że jest to niezwykle trudne zadanie, bo pismo trisolarian było czysto ideograficzne; w odróżnieniu od ludzkiego, które było przeważnie fonetyczne, nie miało żadnego związku z ich mową, ale wyrażało myśli wprost. W odległej przeszłości również ludzie używali pisma ideograficznego – takiego jak niektóre hieroglify – ale później większość tego zaginęła*. Czytając, ludzie odkodowywali wizualny zapis mowy. Jednak wkrótce Cheng Xin i Guan Yifan poradzili sobie z tą trudnością. Im bardziej się przykładali, tym łatwiej szła im nauka. Już po dwóch miesiącach dokonywali szybkich postępów. W porównaniu z pismem fonetycznym największą zaletą pisma ideograficznego była szybkość, z jaką dało się je czytać – Cheng Xin i Guan Yifan pochłaniali teksty trisolariańskie co najmniej dziesięciokrotnie szybciej niż teksty w ludzkich językach.

Zabrali się do lektury materiałów trisolariańskich w banku danych, najpierw z wahaniem, potem bardziej ochoczo. Przyświecały im dwa cele. Po pierwsze, pragnęli poznać trisolariański opis okresu kontaktów z ziemską cywilizacją, po drugie, chcieli się dowiedzieć, w jaki sposób skonstruowano ten miniwszechświat. Zdawali sobie sprawę, że prawdopodobnie nie uda im się zdobyć wiedzy specjalistycznej, ale mieli nadzieję, że zrozumieją to przynajmniej na poziomie popularnonaukowym. Sofona szacowała, że by osiągnąć te dwa cele, muszą poświęcić jeszcze rok

na udoskonalenie umiejętności czytania, a potem kolejny na wykształcenie zdolności dogłębnej analizy tekstów.

Podstawowe zasady, na których opierał się ten mały sztuczny wszechświat, były dla nich niewyobrażalne. Krył on wiele tajemnic, które cały czas ich zdumiewały. Na przykład jak w zamkniętej przestrzeni wielkości jednego kilometra sześciennego może przebiegać pełny cykl ekologiczny? Czym jest słońce? Co jest źródłem energii? I najbardziej konfundujące: skoro układ ten jest hermetyczny, gdzie uchodzi powstające w nim ciepło?

Pytali o to Sofonę. Na niektóre pytania potrafiła odpowiedzieć, w innych sprawach odsyłała ich do materiałów w komputerze.

Nie dawało im spokoju zwłaszcza jedno pytanie: czy ten miniwszechświat mógł się komunikować z wielkim Wszechświatem? Sofona powiedziała, że nie ma sposobu, żeby wysłać jakąkolwiek wiadomość do wielkiego Wszechświata, ale otrzymywanie wiadomości stamtąd jest możliwe. Wyjaśniła, że wszystkie wszechświaty są pęcherzykami nad supermembraną, która jest podstawowym obrazem pojęciowym trisolariańskiej fizyki i kosmologii, ale nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Wszechświat miał dość energii, by przesyłać informację przez membranę, ale było to trudne i wymagało wielkiego wydatku energii – trzeba było przemienić w czystą energię taką ilość materii, jaką zawierała cała Droga Mleczna. W istocie systemy monitoringu we Wszechświecie 647 często odbierały wiadomości od wielkich wszechświatów na supermembranie. Niektóre z nich były zjawiskami naturalnymi, ale inne wiadomościami od istot inteligentnych, których jednak nie dało się odszyfrować. Nigdy nie dotarła do nich wiadomość z tego wielkiego Wszechświata, z którego pochodzili. Czas płynął codziennie jak woda w małym strumyku.

Cheng Xin zaczęła pisać pamiętnik, by utrwalić znaną jej historię. Nazwała go *Przeszłością poza czasem*.

Czasami starali się wyobrazić sobie życie w nowym wszechświecie. Sofona powiedziała im, że według teorii kosmologicznych będzie on na pewno posiadał więcej niż cztery wymiary makro, może nawet ponad dziesięć. Po jego narodzinach Wszechświat 647 będzie mógł automatycznie zbudować wejście do niego i zbadać panujące w nim warunki. Gdyby w nowym wszechświecie było więcej niż dziesięć wymiarów, wejście z ich miniświata można by było obracać, dopóki w wielkim Wszechświecie nie znalazłoby się miejsce bardziej odpowiednie do osiedlenia. Jednocześnie ich miniwszechświat mógłby nawiązać łączność z innymi trisolariańskimi wszechświatami, a nawet z galaktycznymi migrantami rodzaju ludzkiego. W nowym wszechświecie wszyscy emigranci ze starego byliby praktycznie jedną rasą i powinni móc współpracować w celu stworzenia wspólnego świata. Sofona podkreśliła, że prawdopodobieństwo przetrwania w świecie wielowymiarowym znacznie zwiększa jedna jego cecha – spośród wielu makrowymiarów prawdopodobnie więcej niż jeden będzie należał do czasu.

– Wielowymiarowy czas? – Cheng Xin początkowo nie mogła tego pojąć.

– Nawet gdyby czas miał tylko dwa wymiary, byłby płaszczyzną, nie linią – wyjaśnił Yifan. – Byłaby tam nieskończona liczba kierunków i moglibyśmy dokonywać jednocześnie niezliczonych wyborów.

– I przynajmniej jeden z nich okazałby się właściwy – dodała Sofona.

Pewnej nocy po drugich żniwach Cheng Xin obudziła się i nie ujrzała koło siebie Yifana. Wstała, wyszła z domu i zobaczyła, że słońce zmieniło się już

w księżyc i ich mały świat pogrążony jest w jego rozmytym zimnym blasku. Yifan siedział z posępną miną nad strumykiem.

W tym zamieszkiwanym tylko przez ich dwoje świecie każde z nich stało się bardzo wrażliwe na nastroje drugiego. Cheng Xin już wcześniej zauważyła, że Yifana coś gnębi. Wcześniej był pogodny i wesoły. Przez kilka dni opowiadał o swoim marzeniu, że gdyby znaleźli w nowym wielkim świecie miejsce, gdzie mogliby wieść spokojne życie, być może ich dzieciom udałoby się odtworzyć rodzaj ludzki. Ale potem nagle przestał o tym mówić, zmienił się i często szedł gdzieś sam, rozmyślając o czymś, albo obliczał coś na komputerze.

Cheng Xin usiadła obok niego i objął ją. W poświacie księżyca na świecie było bardzo cicho, słychać było tylko szmer strumyka. Światło ukazywało dojrzałą pszenicę; nazajutrz trzeba było przystąpić do żniw.

– Utrata masy – powiedział Yifan.

Cheng Xin nic na to nie rzekła. Patrzyła na światło księżyca tańczące na powierzchni wody w strumyku. Wiedziała, że Yifan wyjaśni, co ma na myśli.

– Czytam kosmologię trisolariańską i natrafiłem na dowód elegancji matematyki leżącej u podstaw Wszechświata, z którego wszyscy pochodzimy. Ilość materii była w nim idealna, rzec można: precyzyjnie obliczona. Trisolarianie dowiedli, że całkowita masa Wszechświata była akurat taka, że mógłby zostać zmiażdżony. Gdyby została choćby niewiele zmniejszona, z zamkniętego stałby się otwarty i bez końca by się rozszerzał.

– Ale utraciłby część masy – powiedziała Cheng Xin. Wiedziała, do czego zmierza Yifan.

– Tak. Trisolarianie zbudowali już kilkaset miniwszechświatów. A ile zbudowały inne cywilizacje, by uniknąć wielkiego zmiażdżenia, albo

w jakimś innym celu? Każdy z tych miniświatów zabrał trochę materii z wielkiego Wszechświata.

– Musimy zapytać Sofonę.

– Już ją zapytałem. Powiedziała mi, że w chwili kończenia prac nad budową Wszechświata 647 nie zaobserwowali żadnej utraty masy w wielkim Wszechświecie. Był on zamknięty i nie ulegało wątpliwości, że w końcu się zapadnie.

– A po skonstruowaniu Wszechświata 647?

– Oczywiście nie miała pojęcia. Wspomniała też, że we Wszechświecie istnieje grupa inteligentnych istot, które przypominają Zerowian, ale nazywają się Powracającymi. Występują przeciwko budowaniu miniświatów i nawołują do zwrotu masy tych wszechświatów do wielkiego Wszechświata… Ale poza tym niewiele o nich wiedziała. Dajmy sobie z tym spokój. Nie jesteśmy Bogiem.

– Ale już od dawna musimy myśleć o sprawach, które należą do sfery Jego postanowień.

Siedzieli nad strumykiem, aż księżyc znowu zmienił się w słońce.

Trzy dni po żniwach cała pszenica została już wymłócona, przewiana i złożona. Cheng Xin stała z Guan Yifanem na skraju pola i przyglądała się, jak roboty przygotowują je pod nowy zasiew. Stodoła była pełna, nie było miejsca pod nowe zbiory. Wcześniej dyskutowali, co zasiać na następny sezon, ale teraz martwili się innymi sprawami i nie mieli głowy do tego, by się nad tym zastanawiać. Przez cały czas żniw i młócki pozostawali w domu i dyskutowali o możliwych wersjach przyszłości. Zdawali sobie sprawę z tego, że nawet ich indywidualne wybory wpływały na los Wszechświata, a nawet na losy wielu wszechświatów. Naprawdę czuli się jak Bóg. Spoczywał na nich tak wielki ciężar odpowiedzialności, że ledwie mogli oddychać, więc wyszli z domu.

Zobaczyli, że skrajem pola idzie ku nim Sofona. Rzadko im przeszkadzała i pojawiała się tylko wtedy, gdy jej potrzebowali. Teraz jednak poruszała się inaczej – spieszyła się i pozbyła się swej zwykłej gracji i godności. Nigdy wcześniej nie widzieli też, by miała tak zaaferowaną minę.

– Dostaliśmy na supermembranie wiadomość z wielkiego Wszechświata!

Sofona powiększyła okno, które ze sobą przyniosła. By mogli je lepiej zobaczyć, zmniejszyła jasność słońca.

Na ekranie pojawił się zalew symboli – mapa bitowa z wiadomością otrzymaną na supermembranie. Były dziwne i nie do rozszyfrowania. Cheng Xin i Guan Yifan zauważyli, że każdy rząd składał się z innych symboli. Przepływały jak rwąca rzeka.

– Ta transmisja zaczęła się przed pięcioma minutami i trwa nadal. – Sofona pokazała okno. – W istocie ta wiadomość jest bardzo prosta i krótka, ale trwa to tak długo, bo przekazywana jest w wielu językach. Już widzieliśmy ich sto tysięcy!

– Jest skierowana do wszystkich miniświatów? – zapytała Cheng Xin.

– Zdecydowanie. Kto inny by ją odebrał? Ci, którzy ją wysłali, zużyli tyle energii, że musi być bardzo ważna.

– Widziałaś języki trisolariańskie albo ziemskie?

– Nie.

Cheng Xin i Guan Yifan uświadomili sobie, że ta wiadomość jest wykazem cywilizacji, które przetrwały w wielkim Wszechświecie.

W tamtym Wszechświecie minęły już miliony lat. Bez względu na treść wiadomości, jeśli została ona nadana w jednym z języków znajdujących się na liście, znaczyło to, że dana cywilizacja jeszcze istniała albo jeśli nie, to trwała tak długo, że zostawiła niezatarty ślad w wielkim Wszechświecie.

Przez ekran przetaczała się rzeka symboli: dwieście tysięcy języków, trzysta, czterysta tysięcy… milion. Ich liczba cały czas rosła.

Nie było wśród nich trisolariańskich ani ziemskich.

– To nie ma znaczenia – powiedziała Cheng Xin. – Wiemy, że istnieliśmy, że żyliśmy.

Oparli się z Guan Yifanem o siebie nawzajem.

– Trisolariański! – krzyknęła Sofona i wskazała ekran.

Do tej pory wiadomość ukazała się już w milion trzystu tysiącach języków, a teraz przemknął przez ekran rządek znaków pisma trisolariańskiego. Cheng Xin i Guan Yifan go nie zauważyli, ale Sofona tak.

– Ziemia! – zawołała Sofona kilka sekund później.

Po nadaniu wiadomości w milionie i pięciuset siedemdziesięciu tysiącach języków transmisja się skończyła. Okno pokazywało ją teraz tylko w językach trisolariańskich i ziemskich. Cheng Xin i Guan Yifan nie mogli jej nawet odczytać, bo zamazywały ją łzy, którymi zaszły ich oczy.

W dniu Sądu Ostatecznego Wszechświata dwoje ludzi oraz robot należący do ziemskiej i trisolariańskiej cywilizacji objęli się w ekstazie.

Wiedzieli, że języki i sposoby ich zapisywania bardzo szybko się zmieniały. Jeśli dwie cywilizacje przetrwały wystarczająco długo, a może nawet wciąż istniały, używane przez nie rodzaje zapisu bardzo się różniły od tego, co widzieli na ekranie. Jednak by zrozumieli to ci, którzy ukrywali się w miniświatach, trzeba było użyć starodawnego pisma. W porównaniu z ogólną liczbą cywilizacji, które istniały w wielkim Wszechświecie, milion pięćset siedemdziesiąt tysięcy było niewielką liczbą.

Przez wieczną noc panującą w Ramieniu Oriona Drogi Mlecznej przemknęły niczym gwiazdy dwie cywilizacje, a Wszechświat zapamiętał ich blask.

Gdy Cheng Xin i Guan Yifan się uspokoili, przeczytali wiadomość. Jej treść była bardzo prosta i taka sama w obu językach:

> Powiadomienie od Powracających: całkowita masa naszego wszechświata spadła poniżej progu krytycznego. Z zamkniętego nasz wszechświat zmieni się w otwarty i powoli umrze, rozszerzając się w nieskończoność. Umrą też wszystkie istoty żywe i wspomnienia. Prosimy, byście zwrócili masę, którą zabraliście, i przesłali do nowego świata tylko wspomnienia.

Cheng Xin i Guan Yifan wymienili spojrzenia. W swoich oczach widzieli mroczną przyszłość wielkiego Wszechświata. Wskutek jego wiecznego rozszerzania się wszystkie galaktyki oddalą się tak bardzo od siebie, że z żadnej z nich nie będzie widać pozostałych. Gdyby ktoś stanął wtedy w jakimś punkcie Wszechświata, widziałby wokół tylko ciemność. Gwiazdy gasłyby jedna po drugiej, wszystkie ciała niebieskie zmieniłyby się w obłoki rzadkiego pyłu. Wszędzie zapanowałyby ziąb i mrok i Wszechświat stałby się ogromnym, pustym grobem. Pogrzebane zostałyby w nim wszystkie cywilizacje i wspomnienia. Zapanowałaby wieczna śmierć.

Mogło temu zapobiec tylko zwrócenie materii zamkniętej w miniwszechświatach skonstruowanych przez wszystkie cywilizacje. Ale taka decyzja oznaczała, że żaden z nich nie przetrwa i wszyscy, którzy znaleźli na nich schronienie, muszą powrócić do wielkiego Wszechświata. Stąd Powracający wzięli swą nazwę.

To, co trzeba było powiedzieć, przekazali sobie spojrzeniem i podjęli decyzję bez słowa. Mimo to Cheng Xin powiedziała:

– Chcę wrócić. Ale jeśli ty chcesz zostać tutaj, zostanę z tobą.

Yifan pokręcił powoli głową.

– Badam wszechświat, którego średnica ma szesnaście miliardów lat świetlnych. Nie chcę spędzić reszty życia we wszechświecie, którego wymiary wynoszą tylko kilometr w każdą stronę. Wracajmy.

– Muszę wam to odradzić – powiedziała Sofona. – Nie możemy precyzyjnie ustalić, jak szybko płynie czas w wielkim Wszechświecie, ale jestem pewna, że odkąd tu przybyliście, minęło co najmniej dziesięć miliardów lat. Niebieska Planeta przestała istnieć już dawno temu. A gwiazda, którą pan Yun ci podarował, zgasła. Nie mamy najmniejszego pojęcia, jakie warunki panują w wielkim Wszechświecie – może nawet nie jest już trójwymiarowy.

– Zdawało mi się, że możesz obrócić wyjście z tego miniświata z prędkością światła – powiedział Yifan. – Możesz je ustawić na jakiś świat możliwy do zamieszkania?

– Skoro nalegasz, spróbuję. Ale nadal uważam, że najlepszym wyborem jest pozostanie tutaj. Jeśli tu zostaniecie, macie dwie możliwe wersje przyszłości. Gdyby Powracającym udało się dopiąć swego, wielki Wszechświat się zapadnie i stanie osobliwością, która doprowadzi do nowego Wielkiego Wybuchu, a my będziemy mogli znaleźć się w tym nowym wszechświecie. Natomiast gdyby się im nie udało i wielki Wszechświat by umarł, możecie przeżyć resztę życia w tym miniwszechświecie. To nie jest takie złe.

– Jeśli tak samo myślą wszyscy w każdym wszechświecie – powiedziała Cheng Xin – to skazali wielki Wszechświat na unicestwienie.

Sofona spojrzała na nią bez słowa. Wobec szybkości jej procesów myślowych ta chwila była dla niej tak długa jak kilka stuleci. Trudno było sobie wyobrazić, że jej oprogramowanie i algorytmy mogły wywołać taki wyraz na jej twarzy. Być może jej sztuczna inteligencja przywołała wszystkie wspomnienia zebrane w ciągu prawie dwudziestu milionów lat

od chwili, w której poznała Cheng Xin. Być może wszystkie skumulowały się w tym spojrzeniu, wyrażającym smutek, podziw, zdziwienie, wymówkę, żal… tyle mieszanych uczuć.

– Wciąż dźwigasz na sobie odpowiedzialność – powiedziała.

* To stwierdzenie może zdziwić część czytelników z Zachodu. Powszechne określenie chińskich znaków – pisma, w którym zapisany został oryginał niniejszej powieści – jako ideogramów jest niepoprawne. Pismo chińskie, jak prawie wszystkie pozostałe używane nadal rodzaje pisma, jest fonetyczne, chociaż zawiera niewiele (bardzo niewiele) ideograficznych elementów, które przetrwały wieki. Wstęp do wiedzy o tym, jakie funkcje pełnią naprawdę chińskie znaki, można znaleźć w *The Chinese Language: Facts and Fantasy* Johna DeFrancisa.

Fragment *Przeszłości poza czasem*

Schody odpowiedzialności

Przez całe życie wspinałam się po schodach odpowiedzialności.

Kiedy byłam mała, moim jedynym obowiązkiem było poświęcać czas na naukę i słuchać rodziców.

Później, w szkole średniej i na studiach, nadal miałam obowiązek przykładać się do nauki, ale doszedł dodatkowy: miałam stać się osobą pożyteczną, nie pasożytem społecznym.

Potem, kiedy zaczęłam pracować nad doktoratem, moje obowiązki stały się bardziej konkretne. Musiałam wnieść wkład w rozwój rakiet o napędzie chemicznym, by były bardziej niezawodne i mogły wynieść na orbitę wokół Ziemi więcej materiałów oraz kilkoro mężczyzn i kobiet.

Później zaczęłam pracować w PAW i moim obowiązkiem stało się wysłanie sondy kosmicznej na odległość roku świetlnego, gdzie mogłaby spotkać flotę inwazyjną Trisolarian. Był to dystans dziesięć milionów razy większy niż ten, który mogły pokonać rakiety chemiczne.

A potem dostałam gwiazdę. W tej nowej erze spoczęła na mnie odpowiedzialność, jakiej sobie wcześniej nawet nie wyobrażałam. Zostałam Dzierżycielką Miecza, której zadaniem było odstraszanie wroga z ciemnego lasu. Z perspektywy czasu uważam, że twierdzenie, jakoby w moich rękach

spoczywał los ludzkości, było lekką przesadą, ale rzeczywiście wpływałam na kierunek rozwoju dwóch cywilizacji.

Potem moje obowiązki bardziej się skomplikowały: chciałam dać ludziom skrzydła, dzięki którym mogliby rozwinąć prędkość światła, ale musiałam zrezygnować z tego celu, by zapobiec wojnie.

Nie wiem, w jakim stopniu przyczyniłam się do tych katastrof i zniszczenia Układu Słonecznego. Na te pytania nigdy nie będzie można uzyskać definitywnych odpowiedzi. Jestem jednak pewna, że ma to jakiś związek ze mną, z moimi obowiązkami.

A teraz osiągnęłam szczyt odpowiedzialności – odpowiadam za los Wszechświata. Oczywiście ta odpowiedzialność spoczywa nie tylko na mnie i Guan Yifanie, ale dzielimy ją z innymi, czego nigdy sobie nie wyobrażałam.

Chcę powiedzieć tym, którzy wierzą w Boga, że nie jestem Bożą Wybranką. Chcę też powiedzieć wszystkim ateistom, że nie tworzę historii. Jestem zwykłą osobą. Niestety, nie dane mi było iść drogą zwykłej osoby. Moja droga jest w rzeczywistości podróżą cywilizacji.

Teraz wiemy, że tę podróż musi odbyć każda cywilizacja: obudzić się w ciasnej kołysce, wygramolić się z niej, uciec, lecieć coraz szybciej i w końcu zespolić z losem Wszechświata.

Ostatecznym przeznaczeniem wszystkich istot inteligentnych zawsze było dorównać wielkością swoim pomysłom.

Poza czasem

Nasz wszechświat

Za pomocą układu sterowania Sofonie udało się przesunąć wyjście z miniwszechświata do wielkiego Wszechświata. Drzwi poruszały się szybko, szukając świata nadającego się do zasiedlenia. Ilość informacji, które mogły przekazać do miniwszechświata, była bardzo ograniczona, a do tego nie obejmowała żadnych obrazów ani filmów. Mogły przesłać jedynie powierzchowną analizę środowiska. Była to liczba mieszcząca się w przedziale od minus dziesięciu do plus dziesięciu. Ludzie mogli przetrwać tylko tam, gdzie była ona wyższa od zera.

Drzwi skakały dziesiątki tysięcy razy po wielkim Wszechświecie. Po trzech miesiącach odkryły tylko jedną nadającą się do zamieszkania planetę, z oceną trzy. Sofona musiała przyznać, że prawdopodobnie nie znajdą żadnej z lepszym wynikiem.

– Ocena trzy wskazuje, że to niebezpieczny i niegościnny świat – ostrzegła.

– Nie boimy się – odparła zdecydowanie Cheng Xin. Yifan kiwnął głową. – Idźmy tam.

We Wszechświecie 647 pojawiły się drzwi. Podobnie jak te, które Cheng Xin i Guan Yifan widzieli na Niebieskiej Planecie, był to również prostokąt obramowany jarzącymi się liniami. Ale te drzwi były większe, być może po to, by łatwiej było przetransportować przez nie materiał. Początkowo nie były połączone z wielkim Wszechświatem i wszystko mogło przez nie

przejść, nie opuszczając miniwszechświata. Sofona tak ustawiła parametry, że to, co się przez nie wydostawało, znikało i pojawiało się w wielkim Wszechświecie.

Nadszedł czas, by zwrócić materię miniwszechświata wielkiemu Wszechświatu.

Sofona wyjaśniła, że miniwszechświat nie miał własnej materii. Cała jego masa pochodziła z materiału pobranego z wielkiego Wszechświata. Wszechświat 647 był najmniejszym ze wszystkich skonstruowanych przez Trisolarian. W sumie potrzebował pięciuset tysięcy ton materii, czyli mniej więcej tyle, ile wynosiła ładowność dużego tankowca. W skali Wszechświata było to praktycznie nic.

Zaczęli od gleby. Po żniwach pole pozostawiono ugorem. Roboty woziły wilgotną ziemię taczkami i wysypywały przez drzwi, gdzie znikała. Szło to bardzo szybko. Trzy dni później w miniwszechświecie nie było już ani piędzi ziemi. Przerzucono nawet drzewa, które rosły koło domu.

Po usunięciu ziemi ukazała się metalowa podłoga miniwszechświata. Była zrobiona z gładkich płyt, w których odbijało się światło słońca. Roboty zdjęły je jedną po drugiej i też wyekspediowały przez drzwi.

Pod podłogą był mały statek kosmiczny. Chociaż miał niespełna dwadzieścia metrów długości, zawierał najbardziej zaawansowaną technologię trisolariańską. Był zaprojektowany specjalnie dla ludzi, dla trzech osób, i wyposażony w napęd jądrowy i krzywiznowy. Na pokładzie znajdował się miniaturowy układ recyklingu ekologicznego odpowiedni dla ludzkich potrzeb oraz sprzęt do hibernacji. Podobnie jak *Halo*, mógł lądować i startować z powierzchni planet. Miał opływowy kształt i był wąski, być może po to, by można nim było łatwiej wylecieć przez drzwi miniwszechświata. Miał posłużyć mieszkańcom Wszechświata 647 do wejścia do nowego wielkiego wszechświata po następnym Wielkim

Wybuchu. Przez długi czas, dopóki nie znaleźliby odpowiedniego miejsca, mógł pełnić funkcję bazy. Teraz jednak wykorzystają go do powrotu do starego wielkiego Wszechświata.

Po usunięciu reszty podłogi ukazało się więcej maszynerii. Były to pierwsze przedmioty w miniwszechświecie, które nosiły wyraźne znaki trisolariańskiego pochodzenia. Jak podejrzewała Cheng Xin, ich wygląd świadczył o estetyce zupełnie odmiennej od ludzkiego ideału piękna. Początkowo i ona, i Guan Yifan nie mieli nawet pojęcia, że patrzą na maszynerię, bo te obiekty przypominały bardziej dziwne rzeźby czy naturalne formacje geologiczne. Roboty zaczęły ją rozbierać i wysyłać przez drzwi.

Cheng Xin i Sofona zamknęły się w pokoju i nie wpuszczały tam Yifana. Oświadczyły, że pracują nad „kobiecym projektem” i później go nim zadziwią.

Po zamknięciu części maszyn pod podłogą z miniwszechświata zniknęła grawitacja. Biały dom zaczął się unosić w powietrzu.

Nieważkie roboty rozebrały niebo, które było cienką błoną naśladującą niebieskie sklepienie i białe chmury. Na koniec zdemontowały też i wysłały na zewnątrz resztę maszynerii.

W miniwszechświecie wyparowała woda i wszędzie podniosła się mgła. Zza zasłony chmur świeciło słońce, więc pojawiła się tęcza sięgająca od jednego końca tego wszechświata do drugiego. Cała woda, która pozostała jeszcze w stanie ciekłym, utworzyła różnej wielkości kule dryfujące wokół tęczy, w których załamywało się światło słoneczne.

Demontaż maszyn oznaczał też wyłączenie recyklingu ekologicznego. Cheng Xin i Guan Yifan musieli włożyć skafandry kosmiczne.

Sofona ponownie ustawiła parametry drzwi, by wypuścić gaz. Miniwszechświatem wstrząsnęło dudnienie spowodowane przez uciekające

powietrze. Biała mgła pod tęczą utworzyła wokół drzwi wielki malstrom, który wyglądał jak tajfun obserwowany z kosmosu. Potem wirująca mgła stała się wyjącym tornadem. Wciągało ono dryfujące kule wody, które rozrywały się i znikały w drzwiach. Cyklon porwał też niezliczone małe przedmioty unoszące się swobodnie w powietrzu. Również dom, statek i inne obiekty płynęły w stronę wyjścia, ale wyposażone w silniki kierunkowe roboty szybko je zatrzymały.

Gdy przerzedziło się powietrze, zniknęła tęcza, a mgła się rozproszyła. Powietrze stało się przejrzystsze i stopniowo ukazał się widok wnętrza miniwszechświata. Podobnie jak przestrzeń w wielkim Wszechświecie, było ono ciemne i głębokie, ale nie było w nim gwiazd. Dryfowały tam tylko trzy obiekty: słońce, dom i statek, a także dziesiątki robotów. Ten uproszczony świat przypominał Cheng Xin rysunki, które robiła w dzieciństwie.

Oboje z Guan Yifanem włączyli silniki sterujące na swoich skafandrach i polecieli w głąb przestrzeni kosmicznej. Po kilometrze dotarli do kresu wszechświata i w mgnieniu oka znaleźli się z powrotem tam, skąd zaczęli. W każdej stronie widzieli odbijające się bez końca obrazy wszystkich dryfujących przedmiotów. Obrazy tworzyły nieskończone rzędy, jak dwa ustawione naprzeciw siebie lustra.

Dom został rozebrany. Jako ostatni miał być przesłany urządzony w stylu wschodnim salon, w którym powitała ich Sofona. Wszystkie zwoje, stolik do herbaty i pozostałe elementy zostały już wysłane przez roboty za drzwi.

W końcu zgasło słońce. Była to metalowa półkula, której emitująca światło część była przezroczysta. Roboty przepchnęły ją przez drzwi. Teraz miniwszechświat oświetlały tylko lampy, a próżnia, która tworzyła jego przestrzeń, szybko się oziębiła. Resztki powietrza i wody przemieniły się w lód, który skrzył się w blasku lamp.

Sofona poleciła robotom, by ustawiły się rzędem i jeden za drugim wyszły. W miniwszechświecie zostały tylko smukły statek i trzy unoszące się obok niego postacie.

Sofona trzymała metalowe pudełko. Zostanie ono w tym miniwszechświecie jak list w butelce do nowego wszechświata, który narodzi się po następnym Wielkim Wybuchu. Znajdował się w nim miniaturowy komputer, w którego pamięci zostały zawarte wszystkie informacje z komputera tego miniwszechświata, praktycznie cała wiedza cywilizacji trisolariańskiej i ziemskiej. Po powstaniu nowego wszechświata otrzyma sygnał z drzwi, przeleci przez nie na własnych silnikach kierunkowych i wleci do nowego wszechświata. Pudełko będzie potem dryfowało w jego wielowymiarowej przestrzeni, aż pewnego dnia zostanie znalezione, a jego zawartość odczytana. Będzie stale nadawało wiadomości na neutrinach, jeśli będą one istniały w nowym wszechświecie.

Cheng Xin i Guan Yifan wierzyli, że to samo działo się przynajmniej w tych miniwszechświatach, które posłuchały wezwania Powracających. Gdyby rzeczywiście narodził się nowy wszechświat, byłoby w nim wiele butelek zawierających informacje od mieszkańców starego. Być może w znacznej ich liczbie przechowano wspomnienia i myśli z każdej z ówczesnych cywilizacji oraz komplet szczegółów dotyczących biologii ich członków, a dane te wystarczyły dla ożywienia tych starych cywilizacji przez cywilizacje nowego wszechświata.

– Możemy zmieścić tu jeszcze pięć kilogramów? – zapytała Cheng Xin.

Unosiła się w skafandrze kosmicznym po drugiej stronie statku i trzymała w ręku przezroczystą świecącą kulę. Kula miała około pół metra średnicy i unosiło się w niej kilka pęcherzy wody. W każdym z nich znajdowało się parę małych rybek i zielone algi. Były tam też dwie dryfujące miniatury pokrytych zieloną trawą kontynentów. Światło

wydobywało się z góry kuli, gdzie umieszczony był mały nadajnik, słońce tego miniaturowego świata. Była to całkowicie zamknięta sfera ekologiczna, owoc ponad dziesięciu dni pracy Cheng Xin i Sofony. Ten miniaturowy układ ekologiczny będzie istniał, dopóki będzie świeciło jego słońce. I do tego czasu Wszechświat 647 nie będzie ciemnym, martwym światem.

– Oczywiście – odparł Guan Yifan. – Wielki Wszechświat nie zapadnie się z powodu braku pięciu kilogramów.

Ale przyszło mu też do głowy, że być może naprawdę się nie zapadnie, jeśli zabraknie masy jednego atomu. Precyzja natury przekraczała niekiedy granice wyobraźni. Na przykład po to, by istniało życie, potrzebne było współdziałanie wielu powszechnych stałych w zakresie trylionowym. Ale Cheng Xin i tak zostawiła ekologiczną kulę. Zapewne niektóre spośród niezliczonych wszechświatów stworzonych przez niezliczone cywilizacje nie odpowiedzą na wezwanie Powracających i wielki Wszechświat straci co najmniej kilkaset milionów, a może nawet kwadrylion ton materii.

Trzeba było mieć nadzieję, że taka strata mu nie zaszkodzi.

Cheng Xin i Guan Yifan weszli do statku kosmicznego. Jako ostatnia wsiadła Sofona. Już dawno przestała nosić wspaniałe kimono i ponownie zmieniła się w sprężystą wojowniczkę odzianą w strój ochronny. Przytroczyła do ciała przeróżną broń i sprzęt umożliwiający przetrwanie, a najbardziej rzucała się w oczy katana na jej plecach.

– Nie martwcie się – powiedziała dwojgu ludzkich towarzyszy. – Dopóki będę żyła, nie stanie się wam nic złego.

Włączył się silnik jądrowy i z dysz wydobyło się przyćmione niebieskie światło. Statek powoli przeleciał przez drzwi do Wszechświata.

W miniwszechświecie zostały tylko list w butelce i ekologiczna sfera. W ciemności tego wszechświata o wielkości jednego kilometra sześciennego jedynym źródłem światła było malutkie słońce u góry sfery. W jej środku unosiło się w nieważkości tylko kilka pęcherzy czystej wody. Z jednego z nich wyskoczyła mała rybka i wskoczyła do drugiego, gdzie bez trudu pływała między zielonymi algami. Z czubka źdźbła trawy na jednym z miniaturowych kontynentów stoczyła się kropla rosy i zawirowała w powietrzu. Odbił się od niej promień światła i pomknął w przestrzeń kosmiczną.

Spis treści

KONIEC ŚMIERCI

Nota od autora przekładu angielskiego

SPIS ER

Fragment Wstępu do *Przeszłości poza czasem*

CZĘŚĆ I
Maj 1453 roku ery powszechnej. Śmierć czarodziejki
1 rok ery kryzysu. Możliwość życia
4 rok ery kryzysu. Yun Tianming
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Infantylizm na początku kryzysu
4 rok ery kryzysu. Yun Tianming
Lata 1–4 ery kryzysu. Cheng Xin
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Hibernacja: człowiek po raz pierwszy przekracza czas
Lata 1–4 ery kryzysu. Cheng Xin
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Program Klatka Schodowa
Lata 1–4 ery kryzysu. Cheng Xin
Lata 5–7 ery kryzysu. Program Klatka Schodowa

CZĘŚĆ II
12 rok ery odstraszania. *Epoka Brązu*

Fragment *Przeszłości poza czasem*. Nyktohylofobia
12 rok ery odstraszania. *Epoka Brązu*
13 rok ery odstraszania. Proces
61 rok ery odstraszania. Dzierżyciel Miecza
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Duch Wpatrujących się w Ścianę: Dzierżyciel Miecza
61 rok ery odstraszania. Dzierżyciel Miecza
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Odbicie kultury
61 rok ery odstraszania. Dzierżyciel Miecza
62 rok ery odstraszania. *Grawitacja*, pobliże Obłoku Oorta
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Bardziej bezpośrednie dowody na istnienie ciemnego lasu: martwe strefy dla sofonów
62 rok ery odstraszania. *Grawitacja*, pobliże Obłoku Oorta
62 rok ery odstraszania. 28 listopada, godz. 16.00–16.17. Centrum Odstraszania
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Wybór Dzierżyciela Miecza: dziesięć minut między istnieniem a unicestwieniem
Rok 62 ery odstraszania. 28 listopada, 16.00–16.17. Centrum Odstraszania
Ostatnie 10 minut ery odstraszania. 62 rok od jej początku. 28 listopada, 16.17.34–16.27.58. Centrum Odstraszania
Pierwsza godzina ery postodstraszania. Utracony świat
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Refleksje nad załamaniem się systemu odstraszania
Pierwsza godzina ery postodstraszania. Utracony świat
60 dzień ery postodstraszania. Utracony świat
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Błyskawiczny rozwój technologii na Trisolaris
60 dzień ery postodstraszania. Utracony świat

2 rok ery postodstraszania. Australia
Ostatnie 10 minut ery odstraszania. 62 rok od jej początku. 28 listopada, 16.17.34–16.27.58. *Grawitacja* i *Błękitna Przestrzeń*, kosmos
2 rok ery postodstraszania. Ranek po zakończeniu Wielkiego Przesiedlenia. Australia
1–5 dzień ery postodstraszania. *Grawitacja* i *Błękitna Przestrzeń*, kosmos za Obłokiem Oorta

CZĘŚĆ III
7 rok ery nadawania. Cheng Xin
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Złudzenia na temat kosmicznego zagrożenia: ostatnia próba unieważnienia teorii ciemnego lasu
7 rok ery nadawania. Cheng Xin
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Nowy model ciemnego lasu
7 rok ery nadawania. Sofona
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Kosmiczna gwarancja bezpieczeństwa: samotne dzieło sztuki performatywnej
7 rok ery nadawania. Sofona
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Długa Klatka Schodowa
7 rok ery nadawania. Yun Tianming
7 rok ery nadawania. Baśnie Yun Tianminga
Pierwsza opowieść Yun Tianminga „Nowy malarz króla”
Druga opowieść Yun Tianminga „Morze Żarłoków”
Trzecia opowieść Yun Tianminga „Książę Głęboka Woda”
7 rok ery nadawania. Baśnie Yun Tianminga
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Program Schron: arka dla ziemskiej cywilizacji
7 rok ery nadawania. Baśnie Yun Tianminga

Fragment *Przeszłości poza czasem*. Podróżowanie poprzez zgięcie przestrzeni kosmicznej
7 rok ery nadawania. Baśnie Yun Tianminga
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Trzy sposoby przetrwania ziemskiej cywilizacji
8 rok ery nadawania. Wybór losu
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Kosmiczne posterunki: system wczesnego ostrzegania w Układzie Słonecznym
8 rok ery nadawania. Wybór losu
Fragment *Przeszłości poza czasem*. Strach przed nieskończoną nocą
8 rok ery nadawania. Punkt libracyjny między Słońcem a Ziemią

CZĘŚĆ IV
11 rok ery schronu. Świat Schronu
11 rok ery schronu. Prędkość Światła II
11 rok ery schronu. Halo City

CZĘŚĆ V
67 rok ery schronu. Ramię Oriona w Drodze Mlecznej
67 rok ery schronu. *Halo*
66 rok ery schronu. Poza Układem Słonecznym
68 rok ery schronu. Pluton
68 rok ery schronu. Dwuwymiarowy Układ Słoneczny

CZĘŚĆ VI
409 rok ery galaktycznej. Nasza gwiazda
Około siedemnastu miliardów lat po początku czasu. Nasza gwiazda
Poza czasem. Nasz wszechświat

Fragment *Przeszłości poza czasem*. Schody odpowiedzialności
Poza czasem. Nasz wszechświat

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł: 死神永生
Autor: 刘慈欣
Copyright © 2010 by 刘慈欣 (Liu Cixin)
Polish translation rights authorized by China Educational Publications Import & Export Corporation Ltd.
All Rights Reserved

B&R Book Program

Tytuł wydania angielskiego: *Death's End*
(przekład z chińskiego: Ken Liu)

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Ilustracja na okładce: Stephan Martiniere

Opracowanie graficzne okładki: Sławomir Folkman

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Koniec śmierci, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-910-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl